



PATRICIA
CORNWELL

Śmiertelny koktajl

Prószyński i S-ka

PATRICIA CORNWELL

ŚMIERTELNY KOKTAJL

(Blow Fly)

Przełożył: Maciej Antosiewicz



Prószyński i S-ka

2005

[☞ Spis treści ☞](#)

*Doktorowi Louisowi Cataldiemu,
lekarzowi sądowemu z okręgu East Baton Rouge,
człowiekowi wielkich zalet, honorowemu, ludzkiemu
i prawdomównemu
– świat jest lepszy dzięki tobie.*

*A w ziemi leżą razem,
obydwu pokrywa robactwo.*
Hiob 21, 26

ROZDZIAŁ 1

Doktor Kay Scarpetta podnosi maleńką szklaną fiolkę do płomienia świecy, oświetlając larwę pływającą w trującej kąpieli z etanolu.

Na pierwszy rzut oka rozpoznaje stadium metamorfozy kremowego robaka, nie większego od ziarenka ryżu, umieszczonego w laboratoryjnej probówce z czarną nakrętką. Gdyby larwa żyła, przeistoczyłaby się w pospolitą *Calliphora vicina*, muchę plujkę. Mogłaby składać jaja w ustach lub oczach ludzkich zwłok albo w cuchnących ranach żywego człowieka.

– Dziękuję bardzo – mówi Kay, wodząc spojrzeniem po czternastu siedzących wokół stołu policjantach i technikach dochodzeniowych, słuchaczach tegorocznego kursu w Federalnej Akademii Kryminalistyki. Zatrzymuje wzrok na niewinnej twarzyczce Nicole Robillard. – Nie wiem, kto pobrał to z miejsca, o którym lepiej nie wspominać przy kolacji, i spreparował z myślą o mnie... ale... – Widzi wokoło puste spojrzenia i wzruszenia ramion. – Muszę powiedzieć, że po raz pierwszy dostałam w prezencie larwę.

Nikt się nie przyznaje, ale jeśli jest coś, w co Kay nie wątpi, to w zdolność gliniarza do blefu i, w razie potrzeby, łgarstwa. Zauważywszy delikatny grymas w kąciku ust Nicole Robillard, zanim ktokolwiek uświadomił sobie, że przy kolacji dołączyła do nich larwa, doktor Scarpetta ma już podejrzanego.

Światło świecy tańczy na fiolce, którą Kay trzyma koniuszkami palców. Paznokcie ma krótkie i starannie opiłowane, dłoń smukłą i elegancką, lecz silną po latach pracy przy opornych zwłokach, przecinania upartych tkanek i kości.

Na nieszczęście dla Nicole, jej koledzy się nie śmieją i upokorzenie owiewa ją jak lodowaty przeciąg. Po dziesięciu tygodniach spędzonych z gliniarzami, których powinna już uważać za kumpli i przyjaciół, wciąż jest prowincjuszka z Zachary w Luizjanie, miasteczka o dwunastu tysiącach mieszkańców, gdzie do niedawna zbrodnia była czymś niesłychanym. Zdarzało się, że w Zachary przez całe lata nie dochodziło do ani jednego morderstwa.

Większość kolegów Nic Robillard do tego stopnia przywykła do zabójstw, że na własny użytek podzielili je na kategorie: prawdziwe morderstwa, drobne morderstwa, zbrodnie przypadkowe i tak dalej. Ona jednak nie stosuje żadnych kategorii. Morderstwo to morderstwo. W swojej ośmioletniej karierze pracowała dotąd jedynie nad dwoma, w obu przypadkach chodziło o awantury rodzinne. Pierwszego dnia w akademii było strasznie, kiedy instruktor chodził od gliniarza do gliniarza i pytał, ile zabójstw rocznie przypada średnio na wydział każdego z nich. „Ani jednego”, oświadczyła Nicole. Potem instruktor zapytał o liczebność wydziałów. „Trzydzieści pięć osób”, odpowiedziała. Czyli „mniej niż moja klasa w podstawówce”, jak to ujął jeden z jej nowych kolegów. Od początku tego, co uważała za największą okazję w swoim życiu, Nicole próbowała się dostosować do reszty uczestników kursu, godząc się z faktem, że w policyjnym sposobie definiowania świata należała do „nich”, nie do „nas”.

Nieprzemyślany dowcip z larwą, uświadamia sobie z żalem Nic, wydaje się naruszeniem reguł, choć nie jest pewna jakich, lecz z całą pewnością nie powinna wręczać prezentów, serio ani żartem, legendarnej patolog sądowej, doktor Kay Scarpeticie. Twarz ją pali, kiedy obserwuje teraz swoją idolkę, nie mogąc zinterpretować jej reakcji, prawdopodobnie dlatego, że Nicole jest przytłoczona poczuciem niepewności i zakłopotaniem.

– Nazwę ją Maggie, choć na razie nie możemy jeszcze określić płci – postanawia doktor Scarpetta, jej okulary w drucianej oprawce odbijają migoczące światło świecy. – To chyba dobre imię dla larwy. – Wentylator na suficie szarpie i rozrywa odblask świecy w szkle, kiedy Kay podnosi próbkę. – Kto mi powie, w jakim stadium rozwoju jest Maggie? W jakim stadium była, zanim ktoś... – patrzy po twarzach przy stole, znowu zatrzymując wzrok na Nicole – ...wrzucił ją do tej buteleczki z etanolem? A tak nawiasem mówiąc, podejrzewam, że Maggie wchłonęła go i utonęła. Larwy potrzebują powietrza tak samo jak my.

– Co za dupek utopił larwę? – pyta jeden z gliniarzy.

– Taaak. Wyobraźcie sobie tylko, wchłaniać alkohol...

– O czym ty mówisz, Joey? Wchłaniasz go przez cały wieczór.

Posępna, złowieszcza wesołość zaczyna dudnić jak odległa burza, a Nicole nie wie, gdzie się przed nią schować. Odchyła się na oparcie krzesła, krzyżuje ręce na piersiach i stara się przybrać możliwie najbardziej obojętny wyraz twarzy, a umysł nieoczekiwanie podsuwa jej jedno z ciągłych ostrzeżeń ojca: „Posłuchaj, Nic, kochanie, kiedy się błyska, nie stój jak słup i nie wyobrażaj sobie, że będziesz bezpieczna, chowając się pod drzewem. Znajdź najbliższy rów i połóż się tak płasko, jak możesz”. W tym momencie nie ma żadnej kryjówki poza własnym milczeniem.

– Hej, pani doktor, zdaliśmy już ostatni test.

– Kto przyniósł pracę domową na przyjęcie?

– Ale jesteśmy po służbie.

– Po służbie, rozumiem. – Doktor Scarpetta kiwa głową. – Zatem jeśli będziecie po służbie, kiedy znajdą ciało zaginionej osoby, nie zamierzacie reagować. Czy to chcieliście powiedzieć?

– Będę musiał zaczekać, aż wyparuje ze mnie burbon – oświadcza jeden z kursantów, którego ogolona głowa lśni jak wypolerowana woskiem.

– Dobra myśl – mówi doktor Scarpetta.

Teraz gliniarze wybuchają śmiechem – wszyscy z wyjątkiem Nicole.

– To się może zdarzyć. – Kay kładzie probówkę obok swojego kieliszka z winem. – W każdym momencie możemy dostać wezwanie. Może to być najpoważniejsza sprawa w całej naszej karierze, a my jesteśmy kołowaci po kilku drinkach wypitych w czasie wolnym od służby, albo w trakcie sprzeczki z kochankiem, przyjacielem lub którymś z dzieci. – Odsuwa niedojedzonego tuńczyka i kładzie ręce na obrusie. – A sprawy nie mogą czekać – dodaje.

– Niektóre chyba mogą? – pyta detektyw z Chicago kolegę nazywanego Popeye z powodu kotwicy wytatuowanej na lewym przedramieniu. – Na przykład kości w studni albo w piwnicy. Albo zwłoki pod bryłą betonu. To znaczy, nigdzie sobie nie pójda.

– Umarli są niecierpliwi – mówi doktor Scarpetta.

ROZDZIAŁ 2

Noc na moczarach przywodzi na myśl Jayowi Talleyowi kreolski zespół muzyczny złożony z żab grających na basach, kumaków szarpiących struny gitar elektrycznych oraz cykad i świerszczy rzępolących na tarkach i skrzypcach.

Zapala latarkę w pobliżu ciemnego, artretycznego pnia starego cyprysu, a oczy aligatora błyskają i znikają pod czarną powierzchnią wody. Światło zdaje się roztopiać w złowieszczo cichym dźwięku moskitów, kiedy łódź dryfuje z wyłączonym silnikiem. Jay siedzi na krzeselku kapitana i leniwie obserwuje kobietę leżącą w skrzyni na ryby. Kiedy kilka lat temu zajmował się sprzedażą łodzi, ekscytowały go zwłaszcza modele BayStealth. Skrzynia pod jego stopami jest dostatecznie długa i głęboka, by pomieścić ponad pięćdziesiąt kilogramów lodu i ryb albo kobietę zbudowaną tak jak on lubi.

Jej szeroko otwarte, przerażone oczy błyszczą w ciemnościach. W świetle dnia są niebieskie, cudownie ciemnoniebieskie. Zaciska je mocno, kiedy Jay pieści ją snopem światła latarki, poczynając od dojrzałej, ślicznej twarzy aż po czerwone, pomalowane paznokcie u nóg. Jest blondynką, ma około czterdziestu lat, ale wygląda młodziej, drobna, lecz zaokrąglona. Wykonana z włókna szklanego skrzynia na ryby jest wyścielona pomarańczowymi kapokami, brudnymi i poznaczonymi czarnymi plamami starej krwi. Jay z uwagą, a nawet czułością wiązał kobiecie nadgarstki i kostki, luźno, tak aby nylonowa linka nie tamowała krążenia. Powiedział, że jeśli nie będzie się szarpać, sznur nie poobciera jej delikatnej skóry.

– Bo i tak nie ma sensu się szarpać – powiedział miękkiem barytonem, który doskonale pasuje do jego wyglądu młodego, jasnowłosego boga. – I

nie zamierzam cię kneblować. Krzyżeć też nie ma sensu, prawda?

Skinęła głową, co go rozbawiło, ponieważ kiwała głową, jakby odpowiadała „tak”, choć oczywiście miała na myśli „nie”. Ale rozumiał, jak myślą i postępują zwyczajni ludzie, kiedy są przerażeni. To określenie zawsze uderzało go jako całkowicie nieodpowiednie. Zapewne kiedy Samuel Johnson mozolił się nad licznymi wyrazami swojego słownika, nie miał pojęcia, co czuje istota ludzka, gdy przewiduje okropności i śmierć. Przewidywanie wywołuje szal paniki w każdym neuronie, w każdej komórce ciała; strach wykraczający daleko, daleko poza zwyczajne przerażenie, ale nawet Jay, który włada płynnie wieloma językami, nie zna lepszego słowa na opisanie tego, czego doświadcza jego ofiara.

Paroksyzm przerażenia.

Nie.

Przygląda się kobiecie. Ona z pewnością jest jagnięciem. Na świecie są tylko dwa rodzaje ludzi: wilki i jagnięta.

Determinacja Jaya, aby idealnie określić to, co czują jego jagnięta, stała się dlań nieodpartym, obsesyjnym wyzwaniem. Hormon nadnercza – adrenalina – uruchamia procesy chemiczne, które przekształcają normalną istotę ludzką w niższą formę życia, działającą z taką samą celowością i logiką jak przebita ościeniem żaba. Na reakcję fizjologiczną, prowadzącą się do tego, co kryminolodzy, psychologowie i inni tak zwani eksperci określają jako odruch „uciekaj lub walcz”, nakładają się elementy dodatkowe w postaci wcześniejszych doświadczeń i wyobraźni jagnięcia. Im więcej przemocy doświadczyło na przykład za pośrednictwem książek, filmów i dzienników telewizyjnych, tym wyraziściej potrafi wyobrazić sobie koszmar tego, co może nastąpić.

Ale słowo, jedno idealne słowo tej nocy mu umyka.

Jay schodzi pod pokład i słucha urywanego, płytkiego oddechu swojego jagnięcia. Kobieta dygocze, gdy trzęsienie ziemi przerażenia (z braku idealnego słowa) porusza każdą jej molekułą, tworząc nieznośny chaos. Jay dotyka jej ręki. Jest zimna jak śmierć. Przyciska dwa palce do szyi, znajduje tętnicę i wykorzystuje fosforyzującą tarczę zegarka, żeby zbadać puls.

– Sto osiemdziesiąt, mniej więcej – mówi. – Nie dostań ataku serca. Miałem jedną taką, która dostała.

Kobieta patrzy na niego oczami większymi niż księżyc w pełni, jej dolna warga drży.

– Mówię poważnie. Nie dostań ataku serca.

To jest rozkaz.

– Weź głęboki oddech.

Spełnia polecenie, nie przestając się trząść.

– Lepiej?

– Tak. Proszę...

– Dlaczego wy, jagniątko, jesteście zawsze takie cholernie uprzejme?

Jej czerwona bawełniana bluzka została rozdarta kilka dni temu i Jay rozchyła teraz tkaninę, odsłaniając bardziej niż pełne piersi kobiety. Drżą i połyskują w słabym świetle, kiedy przesuwa wzrokiem po krągłych kształtach, w dół poruszającej się w rytmie oddechu klatki piersiowej, aż do płaskiego brzucha i rozpiętego suwaka džinsów.

– Przepraszam – próbuje wyszeptać kobieta, po jej umorusanej twarzy toczą się łzy.

– No masz, znowu. – Talley siada z powrotem na tronie kapitańskiego krzesła. – Czy naprawdę wierzysz, że jeśli będziesz uprzejma, zmienię swoje zamiary? – Powoli zaczyna w nim wzbierać gniew. – Czy wiesz, czym jest dla mnie uprzejmość?

Oczekuje odpowiedzi.

Kobieta próbuje zwilżyć wargi, język ma suchy jak papier. Jej tętno pulsuje wyraźnie na szyi, jakby był tam uwięziony maleński ptak.

– Nie. – Krztusi się tym słowem, łzy spływają jej do uszu i na włosy.

– Słabością – mówi Jay.

Kilka żab rozpoczyna koncert. Jay studiuje nagość swej ofiary, jej bladą skórę błyszczącą od maści odstraszałej robactwo – drobny akt humanitaryzmu z jego strony, umotywowany niechęcią do czerwonych śladów po ukąszeniach. Moskity wirują wokół niej szarą, drgającą chmurą, ale nie siadają. Znow wstaje z krzesła i daje jej łyk wody z butelki. Większość spływa jej po brodzie. Kontakt seksualny z tą kobietą go nie interesuje. Trzy noce temu przywiózł ją tutaj, ponieważ chciał w spokoju z nią porozmawiać i przyjrzeć się jej nagości, mając nadzieję, że w jakiś sposób jej ciało stanie się ciałem Kay Scarpetty, i w końcu wpada teraz we wściekłość, ponieważ tak się nie dzieje, wpada we wściekłość, ponieważ Kay nie byłaby uprzejma, ponieważ Scarpetta nie jest słaba. Rozwścieczona część jego psychiki boi się, że przegrał, gdyż tamta jest wilkiem, a on porywa tylko jagnięta i nie może znaleźć idealnego słowa, tego słowa.

Uświadamia sobie, że przy tym jagnięciu w skrzyni na ryby właściwe słowo do niego nie przyjdzie, tak jak nie przyszło przy innych.

– Zaczynam się nudzić – mówi do swojej ofiary. – Zapytam cię jeszcze raz. Ostatnia szansa. Jakie to słowo?

Kobieta przełyka głośno, jej głos przypomina pisk złamanej osi, kiedy próbuje się zmusić, aby przemówić. Jay wręcz słyszy, jak jej język przywiera do podniebienia.

– Nie rozumiem. Przepraszam...

– Do diabła z uprzejmością, słyszysz mnie? Ile razy mam ci to powtarzać?

Maleński ptak w jej szyi trzepocze się szaleńczo, łzy płyną szybciej.

– Jakie to słowo? Powiedz mi, co czujesz. I nie mów, że jesteś przerażona. Jesteś przecież cholerną nauczycielką. Musisz znać więcej niż pięć słów.

– Czuję... czuję się pogodzona – odpowiada z łkaniem.

– Czujesz co?

– Nie zamierzasz mnie wypuścić – mówi. – Teraz już to wiem.

ROZDZIAŁ 3

Subtelny dowcip doktor Scarpetty przypomina Nicole błyskawicę. Nie spada z hukiem i nie objawia się jak zwyczajne wyładowanie atmosferyczne, lecz jest cichym, migoczącym rozbłyskiem, o którym matka mówiła, że to Bóg robi zdjęcia.

„Robi zdjęcia wszystkiego, co robisz, Nic, więc lepiej zachowuj się grzecznie, bo pewnego dnia nastąpi Sąd Ostateczny i wszyscy będą mogli zobaczyć twoje złe uczynki”.

Nicole przestała wierzyć w takie rzeczy, zanim poszła do szkoły średniej, lecz milczący współnik, jak myśli o swoim sumieniu, prawdopodobnie nigdy nie przestanie jej ostrzegać, że wszystkie grzechy kiedyś wyjdą na jaw. A Nic uważa, że ma wiele grzechów.

– Śledcza Robillard? – mówi doktor Scarpetta.

Nicole jest zaskoczona brzmieniem swojego nazwiska. Znowu skupia uwagę na przytulnej, mrocznej sali i gliniarzach, którzy siedzą przy stole.

– Powiedz nam, co byś zrobiła, gdyby o drugiej nad ranem zadzwonił telefon, a ty byłabyś po kilku drinkach, ale potrzebowaliby cię na miejscu paskudnej, naprawdę paskudnej zbrodni – zwraca się do niej wykładowczyni. – Tytułem wstępu pozwolę sobie wyjaśnić, że nikomu nie chce się iść na miejsce naprawdę paskudnej zbrodni. Może nie lubimy się do tego przyznawać, ale to prawda.

– Nie piję dużo. – Nicole zaczyna żałować tej uwagi w momencie, gdy jej koleżdy jęczą.

– Rany, gdzie ty się chowałaś, dziewczyno, w szkółce niedzielnej?

– Chodzi o to, że naprawdę nie mogę, ponieważ mam pięcioletniego syna... – Głos ją zawodzi, a ona ma ochotę się rozpłakać. Jeszcze nigdy nie opuściła go na tak długo.

Przy stole zapada cisza. Wstyd i zakłopotanie psują nastrój.

– Hej, Nic – mówi Popeye – masz przy sobie jego fotografię? Ma na imię Buddy – wyjaśnia doktor Scarpette. – Powinna pani zobaczyć jego zdjęcie. Prawdziwy mały hombre na kucyku...

Nicole nie ma ochoty puszczać w obieg fotografii, która jest już zupełnie pognieciona, a napis na odwrocie wyblakł i rozmazał się od ciągłego wyjmowania i patrzenia. Chce, żeby Popeye zmienił temat lub przestał się do niej odzywać.

– Kto z was ma dzieci? – pyta pani doktor.

Podnosi się około tuzina rąk.

– Jednym z bolesnych aspektów naszej pracy – oświadcza – może najgorszą rzeczą w naszej pracy – nazwałabym ją raczej powołaniem – jest to, co robi ludziom, których kochamy, bez względu na to, jak bardzo staramy się ich chronić.

Wcale nie błyskawica. Po prostu aksamitna czarna ciemność, zimna i cudowna w dotyku, myśli Nicole, patrząc na wykładowczynię.

Jest delikatna. Za murem żarliwej niezłomności i błyskotliwości jest subtelna i delikatna.

– W tej pracy bliscy też mogą się stać ofiarami i często się nimi stają – tłumaczy Kay, która zawsze próbuje uczyć, ponieważ łatwiej jest jej dzielić się swoimi przemyśleniami, niż dotykać uczuć, które po mistrzowsku potrafi ukrywać.

– A pani ma dzieci? – Reba, technik dochodzeniowy z San Francisco, sączy kolejną whisky z sokiem cytrynowym. Zaczyna już bełkotać i jest zupełnie pozbawiona taktu.

Doktor Scarpetta się waha.

– Mam siostrzenicę.

– Och, tak! Teraz sobie przypominam. Lucy. Było o niej mnóstwo w wiadomościach. A może, to znaczy...

Głupia, pijana idiotka, protestuje w myślach Nicole z błyskiem gniewu.

– Tak, Lucy jest moją siostrzenicą – odpowiada pani doktor.

– FBI. Geniusz komputerowy. – Reba nie milknie. – A co dalej? Niech pomyślę. Coś o lataniu śmigłowcami i AFT.

ATF, ty głupia pijaczko. W głowie Nic dudni grom.

– Nie wiem. Był chyba jakiś wielki pożar i ktoś zginął? Co ona teraz robi? – Dopija swoją whisky i ogląda się za kelnerką.

– To było dawno temu. – Doktor Scarpetta nie odpowiada na pytanie, a Nicole wyczuwa zmęczenie i wciąż ogromny smutek, okaleczony jak pnie cyprysów na bagnach i moczarach jej rodzinnej południowej Luizjany.

– Coś takiego, zapomniałam, że to pani siostrzenica. A teraz jest kimś, bez dwóch zdań. Albo była – ciągnie grubiańsko Reba, odgarniając krótkie czarne włosy z przekrwionych oczu. – Chyba wpakowała się w jakieś kłopoty, prawda?

Pieprzona lesbo, zamknij się!

Błyskawica rozdziera czarną zasłonę nocy i przez mgnienie Nicole widzi białe światło dnia po drugiej stronie. Tak zawsze tłumaczył jej to ojciec, kiedy wyglądali przez okno podczas gwałtownych burz, a błyskawica nagle i bez ostrzeżenia przecinała niebo jak świetliste ostrze. „Widzisz, Nic, mówił, tam już jest jutro, widzisz? Musisz szybko spojrzeć, Nic. Tam, po drugiej stronie jest jutro, to jasne białe światło. Przekonasz się, jak szybko przynosi ukojenie. Bóg przynosi ukojenie tak samo szybko”.

– Reba, wracaj do hotelu – mówi teraz Nicole takim samym stanowczym, opanowanym tonem, jakiego używa, kiedy Buddy wpada w

złość. – Wypiłaś dosyć jak na jeden wieczór.

– No tak, przepraszam panią. – Reba osuwa się w nieświadomość i bełkocze, jakby miała w ustach gumki aptekarskie.

Nic czuje na sobie wzrok doktor Scarpetty i żałuje, iż nie może przesłać jej sygnału, który mógłby dodawać otuchy lub służyć jako przeprosiny za oburzający występ Reby.

Lucy wkroczyła do sali jak hologram, a subtelna, lecz głęboko emocjonalna reakcja wykładowczyni wywołuje u Nicole zazdrość, zawiść, o jaką nigdy się nie podejrzewała. Czuje się gorsza od siostrzenicy swojej bohaterki, superpolicjantki, której umiejętności i świat są ogromne w porównaniu z umiejętnościami i światem skromnej śledczej z Luizjany. Serce ją boli jak unieruchomiony staw, gdy wreszcie się go prostuje, jak wówczas, kiedy matka łagodnie rozprostowywała złamaną rękę Nic za każdym razem, gdy zdejmowano jej łubki.

„Ból jest dobry, kochanie. Gdybyś nic nie czuła, twoja mała rączka byłaby martwa i pewnie by odpadła. Nie chciałabyś tego, prawda?”.

„Nie, mamó. Przepraszam za to, co zrobiłam”.

„Daj spokój, Nicei, to głupie. Przecież nie wyrządziłaś sobie krzywdy celowo!”.

„Ale nie zrobiłam tego, co mówił tata. Pobiegłam prosto pod drzewo i właśnie wtedy się potknęłam...”.

„Wszyscy popełniamy błędy, kiedy jesteśmy przestraszeni, kochanie. Może to dobrze, że upadłaś – leżałaś na ziemi, kiedy uderzył piorun”.

ROZDZIAŁ 4

Wspomnienia Nicole Robillard z dzieciństwa na głębokim Południu są pełne burz.

Wydaje się, że niebiosa co tydzień wybuchały straszliwym gniewem, ciskając mściwymi piorunami i próbując utopić lub porazić wszystkie żywe istoty na ziemi. Ilekroć burzowe chmury rozpoczynały swoje złowieszcze ostrzeżenia i grzmiały groźbami, ojciec wygłaszał przemowy o bezpieczeństwie, a piękna jasnowłosa matka stawała w drzwiach, machając na Nic, żeby szybko biegła do domu, do ciepłego suchego schronienia, w bezpieczne objęcia jej ramion.

Ojciec zawsze gasił światło i wszyscy troje stali w ciemnościach, powtarzając fragmenty Biblii i sprawdzając, ile wersów czy psalmów mogą zacytować z pamięci. Bezbłędna recytacja była warta ćwierć dolara, ale ojciec płacił, dopiero kiedy burza przeszła, ponieważ ćwierćdolarówki były wykonane z metalu, a metal przyciąga pioruny.

„Nie będziesz pożądał”.

Nicole ledwo mogła zapanować nad sobą z podniecenia, kiedy się dowiedziała, że jednym z wykładowców w akademii jest doktor Kay Scarpetta, która w dziesiątym, ostatnim tygodniu szkolenia będzie opowiadała o metodach prowadzenia śledztwa w sprawie o morderstwo. Nic liczyła dni. Miała wrażenie, że pierwsze dziewięć tygodni nigdy się nie skończy. Potem doktor Scarpetta pojawiła się tutaj, w Knoxville, i ku bolesnemu zakłopotaniu Nicole spotkały się po raz pierwszy w damskiej toalecie, kiedy Nic właśnie spuściła wodę i wyszła z kabiny, zapinając suwak granatowych spodni od munduru.

Kay Scarpetta myła ręce nad umywalką, a Nicole przypomniała sobie, jak po raz pierwszy zobaczyła jej fotografię i jaka była zdziwiona, że ta kobieta nie ma ciemnej południowej karnacji. Było to mniej więcej osiem lat temu, kiedy Nic знаła jedynie nazwisko Scarpetty i nie przypuszczała, że sławna pani patolog okaże się niebieskooką blondynką, której przodkowie pochodzili z północnych Włoch, uprawiali ziemię nad austriacką granicą i mieli tak samo aryjski wygląd jak Niemcy.

– Cześć, jestem doktor Scarpetta – powiedziała jej bohaterka, jakby nieświadoma faktu, że spuszczana woda i Nic mają ze sobą coś wspólnego.
– I niech zgadnę, ty jesteś Nicole Robillard.

Nicole oniemiała i oblała się rumieńcem.

Skąd...

Zanim zdołała wykrztusić resztę zdania, tamta wyjaśniła:

- Poprosiłam o kopie wszystkich formularzy, łącznie z fotografiami.
- Naprawdę? – Była nie tylko oszołomiona, że doktor Scarpetta poprosiła o ich kwestionariusze, nie miała również pojęcia, dlaczego wykładowczyni traciła czas, żeby je przejrzeć. – To pewnie zna pani mój numer ubezpieczenia. – Próbowała być dowcipna.
- W tej chwili nie pamiętam – odpowiedziała wykładowczyni, wycierając ręce papierowym ręcznikiem. – Ale wiem dosyć.

ROZDZIAŁ 5

– Drugie stadium – popisuje się Nic, odpowiadając na zapomniane pytanie o larwę Maggie.

Gliniarze przy stole potrząsają głowami i wymieniają spojrzenia. Nicole ma zdolność do irytowania swoich kolegów, robiła to bez przerwy przez ostatnie dwa i pół miesiąca. Pod pewnymi względami przypomina doktor Scarpeticie Lucy, która przez pierwsze dwadzieścia lat swego młodego życia oskarżała ludzi o zaniedbania, jakich się nie dopuścili, i wykorzystywała swoje zdolności do granic ekshibicjonizmu.

– Bardzo dobrze, Nic – chwali ją Kay.

– Kto zaprosił przemądrzałe fladry? – Reba, która nie chce wrócić do Holiday Inn, jest po prostu nieprzyjemna, kiedy nie drzemie nad talerzem.

– Myślę, że Nic za mało wypila, ma delirium tremens i wszędzie widzi pełzające larwy – mówi detektyw z błyszczącą, ogoloną głową.

Sposób, w jaki patrzy na Nicole, nie pozostawia wątpliwości. Choć jest ona klasową oferumą, podoba mu się.

– A ty pewnie myślisz, że stadium to pozycja na boisku do baseballu. – Nic chce być dowcipna, ale nie umie zapanować nad swoim poważnym usposobieniem. – Widzisz tę małą larwę, którą dałam doktor Scarpeticie...?

– Ach! Wreszcie się przyznała.

– To drugie stadium. – Nic wie, że powinna przestać. – Zrzuciła już raz skórę, odkąd się wylęgła.

– Och, doprawdy? Skąd to wiesz? Jesteś świadkiem? Rzeczywiście widziałaś, jak mała Maggie zrzuca skórę? – drażny detektyw z ogoloną głową, mrugając.

– Nic ma namiot na Trupiej Farmie, śpi tam razem ze wszystkimi swoimi pełzającymi przyjaciółmi – mówi ktoś inny.

– Mogłabym, gdybym musiała.

Nikt temu nie zaprzecza. Nicole jest dobrze znana ze swoich wypraw do położonego na hektarze zalesionego terenu ośrodka badawczego Uniwersytetu Tennessee, gdzie studiuje się rozkład ofiarowanych uczelni ludzkich zwłok, aby ustalić różne istotne fakty, między innymi określić, kiedy nastąpiła śmierć. Dowcip głosi, że Nicole Robillard chodzi na Trupią Farmę, jakby wpadała do domu i odwiedzała krewnych.

– Założę się, że Nic nadała imię każdej żyjącej tam larwie, musze, żukowi i myszołowowi.

Żarciki i niesmaczne uwagi trwają, dopóki Reba nie rzuca widelca z donośnym brzękiem.

– Nie kiedy jem stek! – protestuje o wiele za głośno.

– Szpinak daje piękny odcień zieleni, dziewczyno.

– Szkoda, że nie zamówiłaś ryżu...

– Hej, jeszcze nie jest za późno! Kelnerka! Proszę przynieść tej pani dużą miskę ryżu. Z sosem!

– A co to za czarne kropki, które wyglądają jak oczy Maggie? – Doktor Scarpetta znowu unosi probówkę do światła, mając nadzieję, że uczestnicy kursu uspokoją się, zanim zostaną wyrzuceni z restauracji.

– Oczy – mówi gliniarz z ogoloną głową. – To są oczy, prawda?

Reba zaczyna kołysać się na krześle.

– Nie, to nie są oczy – odpowiada Kay. – Śmiało. Kilka minut temu dałam ci wskazówkę.

– Dla mnie wyglądają jak oczy. Małe, paciorkowate czarne oczy, jak u Magilli.

W ciągu minionych dziesięciu tygodni sierżant Magii z Houston stał się „Gorylem Magillą” z powodu owłosionego, muskularnego ciała.

– Hej! – protestuje. – Spytajcie mojej dziewczyny, czy mam oczy larwy. Patrzy mi głęboko w oczy i mdleje.

– O tym właśnie mówimy, Magilla. Patrę w te twoje oczy i też robi mi się słabo.

– To są szczeliny, nie oczy – odpowiada Nicole. – Te czarne kropki są jak małe zawory powietrzne, żeby larwa mogła oddychać.

– Zawory?

– Zaczekajcie chwilę. Hej, proszę mi to dać, doktor Scarpetta. Chcę zobaczyć, czy Maggie ma maskę i płetwy.

Chuda policjantka z Michigan zanosi się tak niepohamowanym śmiechem, że dotyka głową stołu.

– Następnym razem znajdziemy dojrzałą sztukę i obejrzymy sobie jej zawory...

Chichoty przechodzą w ryki, Magilla zsuwa się z krzesła na podłogę.

– O cholera! Będę wymiotował! – krzyczy ze śmiechem.

– Zawory!

Doktor Scarpetta poddaje się i siedzi w milczeniu, sytuacja wymyka się spod jej kontroli.

– Hej, Nic! Nie wiedziałem, że jesteś płetwonurkiem!

Trwa to, dopóki właściciel Ye Old Steak House nie pojawia się po cichu w drzwiach, dając w ten sposób do zrozumienia, że przyjęcie w bocznej sali przeszkadza innym gościom.

– Dobrze, chłopcy i dziewczęta – mówi doktor Scarpetta budzącym lęk tonem. – Wystarczy.

Wesołość ulatuje jak fala uderzeniowa, kończą się żarty, a potem są inne prezenty dla wykładowczynie: wieczne pióro, którym jakoby można pisać

„w deszcz, śnieżycę i jeśli upuści je pani przypadkowo do jamy brzusznej podczas sekcji”; miniaturowa latarka, „żeby widzieć w tych trudno dostępnych miejscach”, i granatowa czapka baseballowa ze złotym szamerunkiem, którego nie powstydziliby się generał.

– Generał doktor Scarpetta. Baczość!

Wszyscy salutują, czekając na jej reakcję, nonszalanckie uwagi znowu latają w powietrzu jak śrut z dubeltówki. Magilla napełnia kieliszek wykładowczyni winem z kartonowego pojemnika. Kay wyobraża sobie, że tanie chardonnay prawdopodobnie jest robione z winogron rosnących w najniższych partiach zbocza, gdzie panuje straszna wilgoć. W najlepszym razie ma cztery miesiące. Jutro będzie chora, jest tego pewna.

ROZDZIAŁ 6

Wczesnym rankiem następnego dnia na nowojorskim lotnisku Kennedyego strażnik każe Lucy Farinelli zdjąć zegarek Breitling z nierdzewnej stali, opróżnić kieszenie z monet i położyć wszystko na tacce.

Nie jest to uprzejme polecenie, lecz rozkaz, kiedy prosi, aby zdjęła sportowe buty, kurtkę oraz pasek i położyła je wraz z walizką na taśmie, która przeniesie wszystko przez urządzenie rentgenowskie, gdzie zaświecą się tylko telefon komórkowy, szczotka do włosów i szminka. Pracownicy Brytyjskich Linii Lotniczych w ciemnych zakietach i granatowych spódniczkach w biało-czerwona kratkę zachowują się dosyć miło, lecz ochrona lotniska jest wyjątkowo czujna. Choć czujniki nie zareagowały, kiedy Lucy przechodziła przez bramkę w skarpetach i luźnych dżinsach, zostaje sprawdzona ręcznym skanerem, a jej stanik z drucianym usztywnieniem powoduje miarowe bipbipbip.

– Proszę podnieść ręce – mówi atletycznie zbudowana strażniczka.

Lucy uśmiecha się i rozkłada ramiona, a strażniczka przeszukuje ją szybko, jej dłonie dotykają Lucy pod pachami, pod piersiami, przesuwają się po udach aż do krocza – bardzo profesjonalnie, oczywiście. Inni pasażerowie przechodzą nienagabywani, a mężczyźni, zwłaszcza mężczyźni, przyglądają się z żywym zainteresowaniem młodej kobiecie stojącej w rozkroku z rozpostartymi ramionami. Lucy przeżyła zbyt wiele, żeby silić się na skromność, i kusi ją, aby rozpiąć bluzkę i pokazać stanik, udowadniając wszystkim, że nie ma tam przyklepionej baterii i cienkiego – bardzo cienkiego – ładunku wybuchowego.

– To mój stanik – wyjaśnia obojętnie wystraszonej strażniczce, która denerwuje się znacznie bardziej niż podejrzana pasażerka. – Do diabła, nigdy nie pamiętam, żeby włożyć biustonosz bez drutów, na przykład sportowy, albo w ogóle go nie wkładać. Naprawdę mi przykro, że sprawiłam kłopot, funkcjonariuszko Washington. – Zdążyła już przeczytać jej nazwisko na plakietce. – Dziękuję, że dobrze wykonuje pani swoją pracę. W takim świecie przyszło nam żyć. Rozumiem, że znowu ogłoszono alarm antyterrorystyczny.

Lucy zostawia oszołomioną strażniczkę, zabiera zegarek i monety z tacki, łapie walizkę, kurtkę oraz pasek. Siada na zimnej, twardej podłodze, z dala od strumienia przechodzących pasażerów, aby włożyć buty, nie zwracając sobie głowy ich sznurowaniem. Wstaje, wciąż uprzejma i słodka dla policjantów i pracowników Brytyjskich Linii Lotniczych, którzy się jej przyglądają. Sięga do tylnej kieszeni i wyjmuje bilet i paszport, wystawione na jedno z wielu fałszywych nazwisk. Idzie nonszalancko, z powiewającymi sznurowadłami, do bramki numer dziesięć i pochyła się w niskich drzwiach concorde'a. Pracownica Brytyjskich Linii Lotniczych uśmiecha się, sprawdzając jej kartę pokładową.

– Fotel jeden C. – Pokazuje drogę do miejsca w pierwszym rzędzie za przepierzeniem, zupełnie jakby Lucy nigdy dotąd nie podróżowała concorde'em.

Ostatnim razem leciała pod innym nazwiskiem, nosiła okulary i zielone szkła kontaktowe, a włosy miała ufarbowane na niebiesko i fioletowo, tak jak na fotografii w tamtym paszporcie. Z zawodu była muzykiem. Chociaż nikt nie mógł znać jej nieistniejącego zespołu techno, Yellow Heli, mnóstwo ludzi mówiło: „Och, tak, słyszałem! Świetne!”.

Lucy liczy na kiepską spostrzegawczość szerokich mas. Liczy na strach ludzi przed okazaniem ignorancji, na przyjmowanie kłamstw jako uznanych

prawd. Wie też, że jej wrogowie zwracają uwagę na wszystko, co się dzieje wokół nich, i, podobnie jak oni, sama też zwraca uwagę na wszystko, co się dzieje dookoła. Na przykład kiedy urzędnik celny długo studiował jej paszport, trafnie odczytała jego zachowanie i zrozumiała, dlaczego zaostrożono czujność. Interpol przesłał przez Internet czerwone ostrzeżenie do stu osiemdziesięciu dwóch krajów, dotyczące zbiega nazwiskiem Rocco Caggiano, poszukiwanego we Włoszech i we Francji za morderstwo. Rocco nie ma pojęcia, że jest poszukiwany. Nie ma pojęcia, że Lucy wysłała informację do centralnego biura Interpolu w Waszyngtonie, że jej wiarygodna informacja została pieczołowicie sprawdzona, zanim trafiła do siedziby Interpolu w Lyonie, gdzie wystawiono list gończy i przesłano do stróżów porządku na całym świecie. A wszystko to w ciągu kilku godzin.

Rocco nie zna Lucy, chociaż wie, kim ona jest. Ona natomiast zna go bardzo dobrze, mimo że nigdy się nie widzieli. W tym momencie, kiedy przypina się pasami do fotela, a concorde zapuszcza silniki Rolls Royce'a, młoda kobieta nie może się już doczekać, żeby spotkać się z Caggianem. Jej niecierpliwość podsycy przemożny gniew, który przerodzi się w nerwowe podniecenie, zanim Lucy dotrze w końcu do Europy Wschodniej.

ROZDZIAŁ 7

– Mam nadzieję, że nie czuje się pani tak źle jak ja – mówi Nicole do Kay Scarpetty.

Siedzą w salonie apartamentu wykładowczyni w hotelu Marriott, czekając na kelnera. Jest dziewiąta rano, a Nic już dwa razy pytała panią doktor o samopoczucie. Te banalne odzywki biorą się po części z niedowierzania, że kobieta, którą tak bezgranicznie podziwia, zaprosiła ją na śniadanie.

Dlaczego ja? To pytanie skacze po głowie Nic jak piłeczka pingpongowa. Może jest jej mniej żal.

– Czuję się lepiej – odpowiada doktor Scarpetta z uśmiechem.

– Popeye i jego wino. Ale zdarza mu się przynosić gorszą truciznę.

– Nie wyobrażam sobie, jak może istnieć coś gorszego – mówi jej idolka i w tym momencie rozlega się pukanie do drzwi. – Chyba że to naprawdę trucizna. Przepraszam.

Wstaje z kanapy. Śniadanie dostarczono na stoliku na kółkach. Wykładowczyni podpisuje rachunek i daje napiwek gotówką. Nic zauważa, że jest hojna.

– Pokój Popeye’a – numer sto sześć – to wodopój – ciągnie Nicole. – Każdego wieczoru po prostu przychodzi się tam z własnym sześciopakiem i wrzuca go do wanny. Poczynając od ósmej, Popeye zaczyna znosić do swojego pokoju dziesięciokilogramowe worki z lodem. Dobrze, że mieszka na parterze. Byłam tam raz.

– Tylko raz w ciągu dziesięciu tygodni? – Doktor Scarpetta przygląda się jej uważnie, badawczo.

Po powrocie do Luizjany ta młoda kobieta będzie miała do czynienia z najgorszymi przypadkami zabójstw w swoim życiu. Nie powiedziała dotąd ani słowa na ten temat, a Kay niepokoi się o nią.

– Kiedy studiowałam medycynę u Johna Hopkinsa – wspomina, nalewając kawę – byłam jedną z trzech kobiet na roku. Jeśli mieli tam gdzie wannę pełną piwa, mogę cię zapewnić, że nikt nigdy mi o tym nie powiedział. Co do kawy?

– Dużo śmietanki i cukru. Nie powinna mnie pani obsługiwać. Sama to zrobię. – Nic podrywa się z fotela.

– Siedź, siedź. – Doktor Scarpetta stawia kawę na stoliku. – Są rogaliki i bajgle, które wyglądają na niejadalne. Częstuj się.

– Ale kiedy pani studiowała, nie była pani prowincjonalną... – Nicole chce powiedzieć „gęsią”, ale gryzie się w język. – Miami nie jest jakąś małą zapadłą dziurą w Luizjanie. A ci faceci z kursu pochodzą z wielkich miast.

Koncentruje uwagę na filiżance kawy swej rozmówczynie, na tym, jaka jest doskonale stabilna, kiedy doktor Scarpetta podnosi ją do ust. Pije kawę bez dodatków i zdaje się nie interesować jedzeniem.

– Kiedy szef mnie poinformował, że wydział oferuje miejsce na kursie w akademii z pokryciem wszystkich kosztów i że to ja mam pojechać, nie potrafię wyrazić, jak się poczułam – ciągnie Nic, obawiając się, iż mówi za dużo o sobie. – Naprawdę nie mogłam w to uwierzyć i musiałam załatwić masę rzeczy, żeby móc opuścić dom na prawie trzy miesiące. A potem znalazłam się w Knoxville i zamieszkałam w jednym pokoju z Rebą. Ale to nie jest nic zabawnego i czuję się strasznie, siedząc tutaj i narzekając. – Pije nerwowo kawę, odstawia ją, a potem znowu podnosi i gniecie leżącą na kolanach serwetkę. – Zwłaszcza przed panią.

– Dlaczego zwłaszcza przede mną?

– Prawdę mówiąc, chyba miałam nadzieję zrobić na pani wrażenie.

– Zrobiłaś.

– A pani nie wygląda na taką, która aprobejuje uzalanie się nad sobą. – Nic patrzy na nią. – Co nie znaczy, że ludzie zawsze są dla pani mili.

Doktor Scarpetta się śmieje.

– Czy mam to nazwać niedomówieniem?

– Nie było pani łatwo. Ludzie są zawistni. Musiała pani stoczyć niejedną bitwę. Chcę po prostu powiedzieć, że pani się nie skarży.

– Zapytaj o to Rosę. – Jej idolka jest rozbawiona.

Nicole wyteżęza umysł, jakby powinna wiedzieć, kim jest Rósę, ale nie może sobie przypomnieć.

– To moja sekretarka – wyjaśnia doktor Scarpetta, sącząc kawę.

Po chwili niezręcznego milczenia Nic pyta:

– A co się stało z pozostałymi dwiema?

Jej rozmówczyni jest zdezorientowana.

– Z pozostałymi dwiema kobietami na pani roku.

– Jedna rzuciła studia. Druga chyba wyszła za mąż i nigdy nie praktykowała medycyny.

– Zastanawiam się, co teraz czują. Pewnie żałują.

– One pewnie też się zastanawiają, co ja czuję – odpowiada doktor Scarpetta. – Prawdopodobnie myślą, że żałuję.

Nicole otwiera usta ze zdziwienia.

– Pani?

– Za wszystko trzeba płacić. A ludziom trudno zaakceptować kogoś, kto jest inny, już taką mają naturę. Zazwyczaj nie zdajesz sobie z tego sprawy, dopóki nie osiągniesz tego, czego pragnęłaś w życiu, i jesteś głęboko

zdumiona, że w niektórych wypadkach dostajesz w nagrodę nienawiść zamiast podziwu.

– Nie uważam się za inną czy znienawidzoną. Może trochę się wyróżniam, ale nie tam, w domu – odpowiada szybko Nic. – To, że pracuję w małym wydziale, a nie w Departamencie Policji Los Angeles, nie znaczy, że jestem głupia. – Ożywia się, w jej głosie brzmi podniecenie. – Nie jestem jakimś zacofanym ociężnikiem...

– Ociężnik? – Doktor Scarpetta marszczy brwi. – Chyba nie wiem, co to takiego.

– To langusta.

– Czy ktoś z kolegów nazwał cię langusta?

Nicole uśmiecha się wbrew sobie.

– Gdzie tam. Żadne z nich nigdy nie jadło langusty. Pewnie myślą, że to jakaś odmiana meduzy albo coś takiego.

– Rozumiem.

– Ale wiem, co pani ma na myśli. Mniej więcej – ciągnie. – W Zachary tylko dwaj uliczni gliniarze to kobiety. Ja jestem jedyną kobietą-detektywem, i wcale nie dlatego, że szef nie lubi kobiet czy coś takiego. Nawet mamy burmistrza kobietę. Ale przeważnie kiedy idę do bufetu, żeby napić się kawy albo coś zjeść, jestem tam jedyną kobietą. Tak naprawdę rzadko o tym myślę. Jednak dużo myślałam o tym tutaj, w akademii. Uświadomiłam sobie, że za bardzo się staram udowodnić, że nie jestem prowincjonalną gęsią i że to wszystkich denerwuje. Okay, wiem, że pani się spieszy. Pewnie musi się pani spakować i nie chciałaby pani spóźnić się na samolot.

– Nie tak szybko – odpowiada doktor Scarpetta. – Jeszcze nie skończyliśmy rozmawiać.

Nicole odpręża się, jej atrakcyjna twarz staje się bardziej ożywiona, jej szczupłe ciało wygląda mniej sztywno. Kiedy się odzywa, nie sprawia wrażenia zdenerwowanej.

– Chce pani usłyszeć najmiłą rzecz, jaką o mnie powiedziano podczas tych dziesięciu tygodni? Reba powiedziała, że trochę przypominam panią wyglądem. Oczywiście była wtedy pijana. Mam nadzieję, że pani nie obraziłam.

– Sama mogłabyś się obrazić – odpowiada skromnie Kay. – Jestem sporo starsza od ciebie, jeśli wierzyć temu, co przeczytałam w twoim kwestionariuszu.

– W sierpniu skończę trzydzieści sześć. To zdumiewające, jak dużo pani wie o ludziach.

– Staram się dowiadywać, ile tylko zdołam. Najważniejsze to słuchać. Większość ludzi jest zbyt zajęta udawaniem, zbyt zaabsorbowana sobą, żeby słuchać. A w kostnicy moi pacjenci mówią bardzo cicho i nie wybaczą, jeśli nie słucham i nie dowiaduję się o nich wszystkiego, co można.

– Czasami nie słucham Buddy’ego tak, jak powinnam, kiedy jestem zajęta albo zbyt zmęczona. – Smutek pojawia się w oczach Nicole. – Powinnam wiedzieć, co się wtedy czuje, ponieważ Ricky prawie w ogóle mnie nie słuchał, a to było jednym z powodów, dla których nam się nie udało. Jednym z wielu powodów.

Kay podejrzewała, że małżeństwo tej młodej kobiety przeżywa kryzys albo się rozpada. Ludzie, którzy są nieszczęśliwi w związkach, wytwarzają wokół siebie szczególną aurę rozgoryczenia i samotności. W wypadku Nicole te oznaki są dobrze widoczne, zwłaszcza gniew, który stara się ukryć.

– Jest bardzo źle? – pyta teraz.

– Jesteśmy w separacji, zamierzamy się rozwieść. – Nicole sięga po swoją filiżankę z kawą, ale zmienia zdanie. – Dzięki Bogu, mój ojciec mieszka niedaleko, w Baton Rouge, bo inaczej nie wiem, co bym zrobiła z Buddym. Jestem pewna, że Ricky odebrałby mi go, żeby się na mnie odegrać.

– Odegrać się na tobie? Za co? – chce wiedzieć Kay i ma powód do tych wszystkich pytań.

– To długa historia. Zaczęło się ponad rok temu i było coraz gorzej, co nie znaczy, że kiedykolwiek było dobrze.

– Mniej więcej wtedy, kiedy w twoim rejonie zaczęły zniknąć te kobiety. – Wreszcie dociera do sedna. – Chcę wiedzieć, jak sobie z tym radzisz, ponieważ to cię dopadnie, jeśli tylko pozwolisz. Kiedy najmniej będziesz się tego spodziewać. Nie uszło mojej uwagi, że ani razu nie wspomniałaś o tych sprawach, ani razu, nie w mojej obecności. Dziesięć kobiet w ciągu czternastu miesięcy. Zniknęły ze swoich domów, z samochodów, z parkingów, wszystkie w rejonie Baton Rouge. Zostały uznane za martwe. Mogę cię zapewnić, że są martwe. Mogę cię też zapewnić, że zostały zamordowane przez tego samego człowieka, który jest sprytny – bardzo sprytny. Inteligentny i dostatecznie doświadczony, żeby wzbudzać zaufanie, porywać ofiary, a potem umieć pozbyć się zwłok. Zabijał już wcześniej i zabije znowu. Ostatnie zniknięcie nastąpiło zaledwie cztery dni temu w Zachary. A więc są już dwa przypadki w Zachary, pierwszy kilka miesięcy temu. Do tego właśnie wracasz, Nic. Seryjne morderstwa. Dziesięć.

– Nie dziesięć, tylko dwa w Zachary. Nie jestem w zespole operacyjnym – odpowiada Nicole z tłumioną urazą. – Nie chodzę z dużymi chłopcami. Nie potrzebują pomocy drobnych wiejskich gliniarzy takich jak ja, a przynajmniej tak na to patrzy prokurator okręgowy.

– Co ma z tym wspólnego prokurator okręgowy? – pyta doktor Scarpetta. – Takie sprawy nie są w jurysdykcji federalnych.

– Weldon Winn nie tylko jest zarozumiałym dupkiem, jest także głupi. Nie ma nic gorszego niż głupi i arogancki dupek u władzy. Takie sprawy są głośne, bez przerwy trąbią o nich w wiadomościach. On chce tkwić w centrum wydarzeń, żeby pewnego dnia zostać sędzią federalnym albo senatorem. I ma pani rację. Wiem, do czego wracam, ale wszystko, co mogę zrobić, to pracować nad tymi dwoma zniknięciami w Zachary, nawet jeśli cholernie dobrze wiem, że są powiązane z tamtymi ośmioma.

– Ciekawe, że te porwania przesuwają się teraz bardziej na północ od Baton Rouge – mówi doktor Scarpetta. – Może uznał tamten obszar za zbyt niebezpieczny.

– Jedyna dobra rzecz to ta, że Zachary może i należy do okręgu East Baton Rouge, ale nie podlega jurysdykcji policji z Baton Rouge. Dlatego wielki i potężny zespół operacyjny nie może mi odebrać tych dwóch spraw.

– Opowiedz mi o nich.

– Niech pomyślę. Ostatnia. To, co o niej wiem. To, co wszyscy wiedzą. Dwa dni przed Wielkanocą, zaledwie cztery dni temu – zaczyna Nicole. – Czterdziestoletnia nauczycielka Glenda Marler. Uczyła w szkole średniej – tej samej, do której chodziłam. Blondynka, niebieskie oczy, ładna, bardzo inteligentna. Rozwiedziona, bezdzietna. W ubiegły wtorek wieczorem wybrała się do baru Be Q przy Road Side, zamówiła kotlet wieprzowy, pieczone ziemniaki i sałatkę na wynos. Miała hondę accord rocznik 94, niebieską, została zauważona, jak wyjeżdżała spod restauracji, na południe od Main Street, w samym środku miasta. Zniknęła, a jej samochód znaleziono na parkingu przed szkołą, gdzie uczyła. Oczywiście zespół operacyjny uznał, że miała randkę z jednym ze swoich uczniów, a ta sprawa nie jest powiązana z poprzednimi, że to robota naśladowcy. Bzdury.

– Na parkingu przed szkołą – powtarza z namysłem doktor Scarpetta. – A więc rozmawiał z nią, dowiedział się o niej czegoś, kiedy siedziała w jego samochodzie, może ją zapytał, gdzie pracuje, a ona mu powiedziała. Albo ją śledził.

– A co pani myśli?

– Nie wiem. Większość seryjnych morderców najpierw obserwuje swoje ofiary. Ale to nie jest stała reguła, wbrew temu, co sądzi większość psychologów.

– Pierwsza ofiara – ciągnie Nic – zniknęła tuż przed moim przyjazdem tutaj. Ivy Ford. Czterdzieści dwa lata, blondynka, niebieskie oczy, atrakcyjna, pracowała jako kasjerka w banku. Dzieci w college’u, mąż wyjechał do Jackson w interesach, była więc sama w domu, kiedy ktoś zapukał do drzwi. Jak zwykle, żadnych oznak walki, nic. A ona znika bez śladu.

– Nikt nigdy nie znika bez śladu – mówi Kay, rozważając różne scenariusze i wyciągając oczywisty wniosek: ofiara nie ma powodu bać się mordercy, dopóki nie jest za późno. – Czy dom Ivy Ford wciąż jest zabezpieczony? – pyta, ale w to wątpi.

– Jej rodzina nadal tam mieszka. Nie wiem, dlaczego ludzie wracają do domów, gdzie wydarzyły się takie straszne rzeczy. – Nicole już ma powiedzieć, że ona by nie mogła. Tylko że to nieprawda. Kiedyś tak zrobiła.

– Oczywiście samochód Glendy Marler został dokładnie sprawdzony? – pyta doktor Scarpetta.

– Badano go przez wiele godzin... No cóż, jak pani wie, byłam tutaj. – Ten szczegół ją rozczarowuje. – Jednak dostałam pełny raport i wiem, że technicy spędzili przy nim mnóstwo czasu. Moi chłopcy zdjęli każdy odcisk, jaki zdołali znaleźć. Wprowadzili te bardziej czytelne do rejestru

ASID, bez rezultatu. Osobiście nie sądzę, żeby to miało znaczenie, ponieważ uważam, że człowiek, który porwał Glendę Marler nie wsiadł do jej samochodu, więc jego odcisków i tak tam nie będzie. A jedyne odciski na klamkach należały do niej.

– Co z kluczami, portfelem i innymi rzeczami osobistymi?

– Kluczyki były w stacyjce, notatnik i portfel leżały na parkingu kilka metrów od samochodu.

– Pieniądze w portfelu? – pyta Scarpetta.

Nicole potrząsa głową.

– Ale jej książeczka czekowa i karty kredytowe zostały. Nie nosiła przy sobie większych pieniędzy. To, co miała, zniknęło, a wiem, że miała co najmniej sześć dolarów i trzydzieści dwa centy, ponieważ tyle reszty otrzymała, kiedy dała facetowi w restauracji dziesięciodolarowy banknot, żeby zapłacić za jedzenie. Kazałam swoim chłopakom sprawdzić, ponieważ, dziwnym trafem, torby z jedzeniem nie było w samochodzie. Nie znaleźliśmy więc rachunku. Musieliśmy pójść do restauracji i kazać obsłudze odszukać rachunek.

– Wyglądałoby na to, że sprawca zabrał również jedzenie.

To dziwne, bardziej typowe podczas napadu czy rabunku, a z pewnością niezwykle w przypadku krwawej zbrodni popełnionej przez psychopatę.

– Czy z tego, co słyszałaś, w przypadkach pozostałych ośmiu zaginionych też doszło do rabunku? – pyta doktor Scarpetta.

– Krążą pogłoski, że ich portfele zostały opróżnione z pieniędzy i wyrzucone niedaleko miejsca, gdzie kobiety zostały porwane.

– Żadnych odcisków palców w tamtych przypadkach?

– Nie wiem na pewno.

– Może DNA z komórek skóry tam, gdzie sprawca dotykał portfela?

– Nie wiem, jakie działania podjęła policja z Baton Rouge, ponieważ tamci nie mówią nikomu ani słowa. Ale chłopcy z mojego wydziału zbadali wszystko, co mieliśmy, w tym portfel Ivy Ford, i ustalili jej profil DNA – i jeszcze jeden, którego nie ma w bazie danych FBI, CODIS. Luizjana, jak pani wie, dopiero zaczyna tworzyć własną bazę danych DNA i jest tak zapóźniona we wprowadzaniu próbek, że na dobrą sprawę można o tym zapomnieć.

– A więc macie nieznaną profil – zauważa z zainteresowaniem Kay. – Chociaż musimy przyjąć, iż może należeć do kogokolwiek. Co z jej dziećmi, z mężem?

– To nie ich DNA.

Doktor Scarpetta kiwa głową.

– Zatem zaczniacie się zastanawiać, kto jeszcze miał powód, żeby dotykać portfela Ivy Ford. Kto poza mordercą.

– Zastanawiam się nad tym przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

– A ten ostatni przypadek, zniknięcie Glendy Marler?

– Dowody są w laboratorium policji stanowej. Na wyniki analiz trzeba będzie trochę poczekać, chociaż bardzo się spieszą.

– A badaliście lampę wewnątrz samochodu?

– Tak. Nic, nic, nic, nic – mówi Nicole z goryczą. – Żadnego miejsca zbrodni, żadnych zwłok, to wszystko jest jak zły sen. Gdyby udało się znaleźć chociaż jedno ciało! Mamy świetnego koronera. Słyszała pani o nim? Doktor Sam Lanier.

Doktor Scarpetta go nie zna.

ROZDZIAŁ 8

Biuro koronera okręgu East Baton Rouge wychodzi na długi, prosty odcinek rzeki Missisipi i utrzymaną w stylu art deco dawną siedzibę parlamentu stanowego, gdzie został zamordowany sprytny, nieustraszony i despotyczny Huey Long.

Z okna swego gabinetu na czwartym piętrze budynku rządowego doktor Sam Lanier widzi pływające kasyno, pancernik USS „Kidd”, a nawet odległy most Old Missisipi. Patolog jest wysportowanym mężczyzną tuż po sześćdziesiątce, z siwymi włosami tworzącymi naturalny przedziałek po prawej stronie. W przeciwieństwie do większości ludzi o jego pozycji, unika garniturów, jeśli nie występuje w sądzie lub nie uczestniczy w oficjalnych spotkaniach, od których nie może się wykręcić.

Mógłby zajmować wysokie stanowisko, lecz gardzi polityką i prawie wszystkimi związanymi z nią ludźmi. Przekorny z natury doktor Lanier nosi niemal codziennie taki sam strój, nawet jeśli spotyka się z burmistrzem: wygodne buty, w których może się dostać do trudno dostępnych miejsc, ciemne spodnie i koszulkę polo ozdobioną wyhaftowanym godłem urzędu koronera okręgu East Baton Rouge.

Jako człowiek rozważny, zastanawia się, co ma zrobić z dziwaczną przesyłką, którą otrzymał wczoraj rano w firmowej kopercie Narodowej Akademii Sprawiedliwości. Sam Lanier jest członkiem akademii od lat. Wielka koperta NAS wyglądała na nienaruszoną, dopóki nie otworzył jej i nie znalazł drugiej koperty, również zapieczętowanej. Była zaadresowana do niego, odręcznie, drukowanymi literami i znajdował się na niej adres

zwrotny: Teksaski Zakład Karny, Oddział Polunsky'ego. Poszukiwania w Internecie wykazały, że Oddział Polunsky'ego to więzienny blok śmierci. List, również napisany odręcznie drukowanymi literami, brzmiał:

Szanowny Monsieur Lanier,

Niewątpliwie pamięta pan madame Charlotte Dard, której przedwczesna, tragiczna śmierć nastąpiła 14 września 1995 roku. Był Pan obecny przy sekcji zwłok, a ja zazdroszczę panu tego cudownego doświadczenia, ponieważ sam nigdy żadnej autopsji nie widziałem, nie uczestniczyłem w niej osobiście. Niebawem zostanę stracony i teraz uwalniam się od sekretów.

Madame Dard została zamordowana bardzo sprytnie.

Mais non! Nie przeze mnie.

Osoba w kręgu zainteresowania, jak dzisiaj nazywa się głupio potencjalnych podejrzanych, uciekła do Palm Desert niedługo po śmierci madame Dard. Tej osoby nie ma tam w tej chwili. Miejsce pobytu i tożsamość tej osoby musi pan ustalić sam. Gorąco zachęcam, aby poszukał Pan pomocy. Czy mogę polecić wielkie zdolności detektywa Petea Marino? Zna mnie bardzo dobrze z radosnych czasów w Richmondzie. Z pewnością musiał Pan słyszeć o wielkim kapitanie Marino?

Pańskie nazwisko, mon cher monsieur, sugeruje, że jest pan francuskiego pochodzenia. Może jesteśmy spokrewnieni?

Ř bientôt.

Jean-Baptiste Chandonne

Doktor Lanier słyszał o Jean-Baptiście Chandonnie. Nie słyszał o kapitanie Marino, lecz dociera do niego stosunkowo łatwo, wysyłając kilka

emaili poszukiwawczych, aby przemierzyły cyberprzestrzeń i odnalazły detektywa. To prawda, Marino prowadził dochodzenie, kiedy Chandonne mordował kobiety w Richmondzie. Bardziej jednak interesuje doktora Laniera to, że Marino jest znany ze swoich bliskich zawodowych związków z doktor Kay Scarpettą, utalentowanym patologiem. Doktor Lanier zawsze ją podziwiał i był pod wielkim wrażeniem, kiedy usłyszał jej wykład na regionalnym zjeździe koronerów. Większość patologów sądowych, zwłaszcza o jej reputacji, patrzy z góry na koronerów, uważając ich za dyrektorów domów pogrzebowych, którzy otrzymali swoje stanowiska dzięki układom. Oczywiście w niektórych wypadkach tak jest.

Kłopoty wystawiły swoją wielką stopę i podcięły doktor Scarpettę, raniąc ją boleśnie kilka lat temu. Dlatego Lanier jej współczuje. Nie ma dnia, żeby kłopoty nie dotykały również jego.

A teraz jakiś osławiony seryjny morderca uważa, że doktor Lanier potrzebuje pomocy jej kolegi, detektywa Marino. Może potrzebuje. Może został wystawiony. Ponieważ do wyborów pozostało niecałe sześć miesięcy, Sam Lanier patrzy podejrzliwie na każde odstępstwo od rutyny, a list od więźnia z bloku śmierci nastraja go bardzo nieufnie. Powód, dla którego nie może go zlekceważyć, jest prosty: Jean-Baptiste Chandonne, jeżeli list naprawdę pochodzi od niego, wie o Charlotte Dard. Ta sprawa dawno już została zapomniana przez opinię publiczną i nigdy nie zyskała rozgłosu poza Baton Rouge. Przyczyna zgonu nie została ustalona. Doktor Lanier dopuszczał jednak możliwość, że to było morderstwo.

Zawsze uważał, że najlepiej zidentyfikować błotnego mokasy, szturchając go kijem. Jeśli od wewnątrz paszcza jest biała, należy odrąbać gadowi głowę. Jeśli nie, jest to po prostu nieszkodliwy wąż wodny.

Równie dobrze mógłby poszturczać kijem prawdę i przekonać się, co odkryje. Siedząc przy swoim biurku, podnosi słuchawkę telefonu i

przekonuje się, że kapitan Marino nawet nie chce wiedzieć, kto go szuka – przejawia coś, co doktor Lanier nazywa nastawieniem „dawajcie ich tu”. Wyobraża sobie tamtego jako człowieka, który jeździ bez kasku harleyem. Automatyczna sekretarka nie odpowiada, że detektyw nie może odebrać, ponieważ go nie ma albo rozmawia przez drugi telefon, co większość rzeczowych, uprzejmych ludzi nagrywa jako powitanie. Ochryplý męski głos mówi: „Nie dzwoń do mnie do domu” i podaje inny numer, pod którym należy próbować.

Doktor Lanier próbuje więc pod innym numerem. Głos w słuchawce brzmi tak samo jak nagrany.

– Detektyw Marino?

– Kto pyta?

Jest z New Jersey i nikomu nie ufa, prawdopodobnie też prawie nikogo nie lubi.

Doktor Lanier przedstawia się i uważa na to, co mówi. Pod względem zaufania i innych podobnych cech Marino trafił na równego sobie.

– Mielśmy tu zgon mniej więcej osiem lat temu. Czy słyszał pan o kobiecie nazwiskiem Charlotte Dard?

– Nie.

Koroner podaje kapitanowi kilka szczegółów sprawy.

– Nie.

Doktor Lanier opowiada więcej szczegółów.

– O coś pana zapytam. Dlaczego, do diabła, miałbym wiedzieć cokolwiek o jakimś przedawkowaniu narkotyków w Baton Rouge? – Marino w ogóle nie próbuje być uprzejmy.

– Nasuwa mi się to samo pytanie.

– Tak? Co to ma być? Jest pan jakimś dupkiem, który robi sobie ze mnie jaja?

– Wielu ludzi uważa, że jestem dupkiem – odpowiada doktor Lanier. – Ale nie robię sobie jaj z nikogo.

Zastanawia się, czy powinien powiedzieć kapitanowi o liście od Jean-Baptiste'a Chandonne'a. Uznaje jednak, że do niczego sensownego to nie doprowadzi. Ustalił już to, co chciał wiedzieć: Marino nie zna sprawy Charlotte Dard i jest zirytowany, że naprzykrza mu się jakiś koroner.

– Jeszcze jedno pytanie i nie będę panu zabierał czasu – mówi Sam Lanier. – Długo pan współpracował z doktor Kay Scarpettą...

– Co ona ma z tym wspólnego? – Całe zachowanie Marina zmienia się nagle. Teraz jest już wrogiem.

– Jak rozumiem, udziela prywatnych konsultacji. – Doktor Lanier przeczytał krótką wzmiankę na ten temat w Internecie.

Detektyw nie odpowiada.

– Co pan o niej myśli? – Sam zadaje pytanie, które, jak podejrzewa, wywoła wybuch.

– Powiem ci, dupku. Myślę dostatecznie dużo, żeby nie rozmawiać o niej z jakimś zasranym nieznajomym!

Rozmowa kończy się sygnałem w słuchawce.

Sam Lanier uważa, że nie mógłby uzyskać lepszej rekomendacji doktor Kay Scarpetty. Będzie tu mile widziana.

ROZDZIAŁ 9

Doktor Scarpetta czeka w kolejce do hotelowej recepcji. W głowie jej pulsuje, a centralny układ nerwowy jest tak straszliwie przeciążony winem, że powinna przypiąć sobie tabliczkę z czaszką i skrzyżowanymi pieszczelami.

Jej dolegliwość jest znacznie poważniejsza niż przyznała się przed Nic i z każdą upływającą minutą stan fizyczny i nastrój Kay pogarszają się coraz bardziej. Nie chce zdiagnozować swojej choroby jako kaca (bądź co bądź wypijała zaledwie dwa kieliszki tego przeklętego wina) i nie może sobie wybaczyć, że sięgnęła po napój alkoholowy sprzedawany w kartonie.

Bolesne doświadczenie nauczyło ją przez lata, że kiedy zdarzają się jej takie niemiłe przygody, im więcej kawy wypije, tym gorzej będzie się czuła. Jednak to nigdy nie powstrzymuje jej przed zamówieniem wielkiej filiżanki do pokoju, ponieważ zwykle lata na wyczucie zamiast zaufać instrumentom pokładowym, jak lubi mówić Lucy, kiedy jej ciotka ignoruje to, co wie, robi to, co podpowiada jej impuls, i rozbija się.

Kiedy wreszcie dociera do kontuaru, prosi o rachunek i dostaje kopertę.

– To właśnie nadeszło, proszę pani – mówi znękany recepcjonista, oddzierając wydruk opłat za pokój i wręczając go Kay.

W kopercie jest faks. Doktor Scarpetta idzie za chłopcem hotelowym popychającym jej wózek. Leżą na nim walizki i trzy wielkie twarde kasety ze slajdami, których nie przystosowała do prezentacji w systemie PowerPoint, ponieważ nie może ich znieść. Pokazanie zdjęcia mężczyzny, któremu odstrzelono z dubeltówki czubek głowy lub śmiertelnie poparzonego dziecka nie wymaga komputera i efektów specjalnych. Slajdy

i wycinki służą jej tak samo dobrze jak wtedy, gdy rozpoczynała karierę patologa.

Faks jest od sekretarki, Rosę, która musiała zatelefonować mniej więcej w tym samym czasie, gdy Kay szła z windy do holu. Rosę ma do powiedzenia tylko tyle, że doktor Sam Lanier, koroner z okręgu East Baton Rouge, bardzo prosi o kontakt. Rosę dołącza jego numery telefonów, domowy, biurowy i komórkowy. Kay natychmiast myśli o Nicole Robillard, i ich rozmowie sprzed niecałej godziny.

Czeka, aż znajdzie się w taksówce, nim zadzwoni do biura doktora Laniera. Koroner odbiera sam.

– Skąd pan wiedział, kto jest moją sekretarką i jak do niej dotrzeć? – pyta Kay.

– W pani dawnym biurze w Richmondzie byli tak uprzejmi, że podali mi pani numer na Florydzie. Rosę jest czarująca, nawiasem mówiąc.

– Rozumiem – odzywa się doktor Scarpetta, gdy taksówka odjeżdża spod hotelu. – Jestem w taksówce w drodze na lotnisko. Czy możemy załatwić to szybko?

Mówi szorstko, gdyż jest zła, nie na niego, lecz na dawne biuro. Podanie jej zastrzeżonego numeru telefonu to rażące nadużycie – co nie znaczy, że wcześniej się to nie zdarzało. Niektórzy ludzie wciąż zatrudnieni w biurze Głównego Lekarza Sądowego stanu Wirginia pozostają lojalni swojemu szefowi. Inni są zdrajcami i ustawiają się tam, skąd wieje wiatr.

– Postaram się – odpowiada doktor Lanier. – Czy zbadałaby pani dla mnie pewną sprawę, doktor Scarpetta? Sprawę sprzed ośmiu lat, która nigdy nie została do końca wyjaśniona. Pewna kobieta zmarła w podejrzanych okolicznościach, na pozór z powodu przedawkowania narkotyków. Słyszała pani o Charlotte Dard?

– Nie.

– Właśnie otrzymałem informację – nie wiem, czy dobrą, czy złą – ale nie chcę o tym rozmawiać, kiedy jest pani na telefonie komórkowym.

– To sprawa z Baton Rouge? – Kay grzebie w torebce, szukając notatnika i pióra.

– Inna historia na inny dzień. Ale owszem, to sprawa z Baton Rouge.

– Pan ją prowadzi?

– Prowadziłem. Chciałbym przysłać pani raporty, slajdy i całą resztę. Wygląda na to, że powinienem zagłębić się w to na nowo. – Waha się. – I jak zapewne pani podejrzewa, nie dysponuję wielkim budżetem...

– Nikt, kto do mnie dzwoni, nie ma konsultantów wpisanych do budżetu – przerywa mu Kay. – Ja też nie miałam, kiedy byłam koronerem w Wirginii. – Mówi mu, żeby przesłał jej materiały, i podaje adres. – Czy zna pan przypadkiem śledczą z Zachary Nicole Robillard?

Po krótkiej pauzie Lanier odpowiada:

– Chyba rozmawiałem z nią przez telefon kilka miesięcy temu. Pewnie pani wie, co się tutaj dzieje.

– Trudno nie wiedzieć. Jest o tym we wszystkich wiadomościach – odpowiada ostrożnie doktor Scarpetta, podnosząc głos z powodu hałasu taksówki i ruchu ulicznego.

Ani jej ton, ani słowa nie zdradzają, iż jest osobiście zainteresowana sprawą, a zaufanie do Nicole Robillard spada o kilka kresek, kiedy dochodzi do wniosku, że pewnie to Nic zatelefonowała do doktora Lamera. Trudno powiedzieć, czemu miałyby to zrobić, chyba że po prostu uznała, iż doktor Scarpetta mogłaby mu bardzo pomóc, gdyby się do niej zwrócił. Może Lanier wcale nie potrzebuje jej do tej starej sprawy, o której właśnie wspomniał. Może próbuje nawiązać kontakt, ponieważ sam nie potrafi sobie poradzić z tymi seryjnymi morderstwami.

– Ilu patologów sądowych pracuje dla pana? – pyta go Kay.

- Jeden.
- Czy Nicole Robillard rozmawiała z panem o mnie? – Nie ma czasu na subtelności.
- Dlaczego miałyby to robić?
- To nie jest odpowiedź.
- Do diabła, nie! – oświadcza doktor Lanier.

ROZDZIAŁ 10

Popołudnie jest bardziej upalne niż zazwyczaj w kwietniu, a urządzenie klimatyzacyjne klekocze w zakurzonej oknie, kiedy Jay Talley rąbie mięso na drobne kawałki i wrzuca je do zakrwawionego plastikowego wiadra pod wyszczerbionym drewnianym stołem, przy którym siedzi.

Stół, jak zresztą wszystko w jego rybackiej chacie, jest stary i brzydki, w rodzaju tych sprzętów domowych, jakie ludzie zostawiają na podjazdach, żeby zabrali je śmieciarze lub wzięli sobie zamiatacze ulic. To jego miejsce do pracy, a Jay cierpliwie podkłada kawałki materiału pod nogi stołu, żeby się nie kołysał. Wolałby nie rąbać mięsa na powierzchni, która się porusza, lecz w jego wypaczonym małym świecie równowaga jest praktycznie nieosiągalna, a poszarzała drewniana podłoga pochyła się pod wystarczającym kątem, aby jajko wytoczyło się z kuchenki prosto na przystań, gdzie niektóre deski są przegniłe, a inne wykrzywione niczym zmatowiałe, martwe włosy skręcone na obu końcach.

Opędzając się od komarów, kończy budweisera, gniecie puszkę i wyrzucają przez otwarte drzwi, patrząc z zadowoleniem, jak przelatuje nad łodzią i wpada z pluskiem do wody. Nuda sprawia, że Jay czerpie przyjemność z najbardziej prozaicznych czynności, takich jak sprawdzanie słoików na kraby podwieszonych do pływaków w mętnej wodzie. To nieważne, że w słodkiej wodzie nie spotyka się krabów. Można złapać langusty i właśnie jest na nie sezon, a jeśli się nie opróżni słoików do czysta, trafia się nawet coś większego.

W zeszłym miesiącu wielki pień drzewa zamienił się w aligatora ważącego co najmniej pięćdziesiąt kilogramów. Poruszał się jak torpeda,

mknąc razem z linką i zaimprovizowanym pływakiem z pustej plastikowej butelki. Jay siedział spokojnie w łodzi i nawet dotknął swojej czapki baseballowej, salutując żarłocznej bestii. Talley nie je tego, co się złapie do słoików, ale tutaj, w środku tego pustkowia, które nazywa domem, ma do wyboru tylko zębaczę, okonie, żółwie i tyle żab, ile zdoła złowić w ciągu nocy. Poza tym jego jedzenie przychodzi w torbach i puszkach z różnych sklepów spożywczych na stałym lądzie.

Opuszcza rzeźnicki topór, tnąc mięsień i kość. Kolejne cuchnące kawałki lądują w wiadrze. Mięso szybko zgnije w tym upale.

– Zgadnij, o kim teraz myślę – mówi do Bev Kiffin, swojej kobiety.

– Zamknij się. Gadasz tylko po to, żeby mi zrobić przykrość.

– Nie, *ma chérie*, mówię to, ponieważ sobie przypomniałem, jak ją pieprzyłem w Paryżu.

Rozpala w niej zazdrość. Bev nie potrafi nad sobą zapanować, kiedy musi myśleć o Kay Scarpencie, która jest ładna i inteligentna – bardzo ładna i wystarczająco inteligentna dla Jaya. Bev rzadko przychodzi do głowy, że nie ma sensu współzawodniczyć z kobietą, którą Jay chciałby porąbać i rzucić aligatorom i krabom pływającym w zatoczce przed drzwiami ich chaty. Gdyby Bev mogła poderznąć tamtej gardło, z pewnością by to zrobiła, i marzy, by pewnego dnia nadarzyła jej się okazja. Wtedy Jay nie mówiłby więcej o tej dziwce. Nie gapiłby się na zatokę przez pół nocy, myśląc o Kay Scarpencie.

– Dlaczego zawsze musisz o niej mówić?

Bev podchodzi bliżej i patrzy, jak pot spływa po jego doskonale umięśnionej, gładkiej klatce piersiowej, wsiąkając w brzeg obcisłych dżinsów. Patrzy na jego muskularne ramiona, porośnięte lśniącymi jak złoto włoskami. Gniew wzbiera w niej i wybucha.

– Masz erekcję. Rąbiesz mięso i staje ci kutas! Odłóż tę siekierę!

– To jest topór, kochanie. Gdybyś tylko nie była taka głupia.

Jego przystojna twarz i jasne włosy są mokre od potu, zimne niebieskie oczy błyszczą na tle opalenizny.

Bev pochyla się i nakrywa grubymi, krótkimi dłońmi wypukłość pomiędzy jego udami, a on spokojnie rozsuwa nogi i odchyła się na krzesło, aby mogła rozpiąć mu rozporek. Bev nie nosi stanika, jej tania bluzka w kwiaty jest na wpół rozpięta i Jay widzi ciężkie, obwisłe piersi kobiety, która nie wzbudza w nim żadnych emocji poza potrzebą manipulacji i władzy. Rozrywa jej bluzkę, guziki toczą się po podłodze, i zaczyna pieścić Bev w sposób, który sprawia jej przyjemność.

– Och – jęczy kobieta. – Nie przerywaj – błaga, przysuwając głowę bliżej.

– Chcesz więcej, kochanie?

– Och.

Ssie ją, choć słono-kwaśny smak przyprawia go o mdłości, a potem odpycha mocno bosymi stopami.

Łoskot upadającego na podłogę ciała Bev i jej urywany jęk są znanymi dźwiękami w rybackiej chacie.

ROZDZIAŁ 11

Krew sączy się z zadrapania na pomarszczonym lewym kolanie Bev. Kobieta patrzy na ranę.

– Dlaczego już mnie nie chcesz, kochanie? – pyta. – Dawniej chciałeś bez przerwy, nie mogłam się od ciebie opędzić.

Cieknie jej z nosa. Odgarnia do tyłu krótkie, kręcone, siwiejące brązowe włosy i zasłania się rozdartą bluzką, nagle upokorzona swoją brzydką nagością.

– Chcenie jest wtedy, kiedy ja chcę.

Znowu zaczyna walić rzeźnickim toporem. Małe kawałki tkanek i kości wylatują spod grubego, lśniącego ostrza i przywierają do poplamionego, drewnianego stołu, a także do nagiej, spoconej piersi Jaya. Słodkawy odór gnijącego mięsa unosi się w dusznym powietrzu, a muchy krążą leniwymi zygzakami, poruszając się ociężale jak samoloty pełne towarów. Wiszą nad krwawą masą, a ich czarnozielone odwłoki połyskują niczym rozlana benzyna.

Bev wstaje z podłogi. Patrzy na Jaya rąbiącego i wrzucającego mięso do wiadra, na muchy śmigające w górę i opadające chciwie lotem nurkowym ku swojej uczcie. Brzęczą głośno, obijając się o brzeg wiadra.

– A teraz będziemy jeść na tym stole. – Jest to jej stały tekst. Nigdy na nim nie jedzą. Stół jest prywatną przestrzenią Jaya, a Bev wie, że nie wolno go dotykać.

Talley ogania się wściekle od komarów.

– Do diabła, nienawidzę tych pieprzonych ścierwojadów! Kiedy, do kurwy nędzy, zamierzasz iść po zakupy? I następnym razem nie wracaj bez

płynu na insekty i szczeniaków!

Bev znika w toalecie. Nie jest większa niż ustęp na małej łodzi i nie ma tam zbiornika na chemiczne przetwarzanie ludzkich odchodów, które wypadają przez dziurę do balii pomiędzy palami, na których wspiera się chata. Raz dziennie Bev musi opróżniać balię do zatoki. Nieustannie dręczy ją koszmar, że wodny mokasyn albo aligator zaatakuje ją, kiedy będzie siedziała na drewnianej skrzyni ubikacji, toteż w chwilach szczególnej niepewności kuca i spogląda w dół przez czarną dziurę. Tłuste uda Bev trzęsą się przy tym ze strachu i z wysiłku, jakiego wymaga utrzymanie ciężaru ciała.

Była pulchna, kiedy Jay spotkał ją po raz pierwszy na kempingu w pobliżu Williamsburga w Wirginii, gdzie sprowadziły go zupełnie przypadkowo sprawy rodzinne. Potrzebował ustronnego miejsca, a Bev mieszkała na uboczu, na rozległym, zaśmieconym, gęsto porośniętym drzewami terenie z porzuconymi, rdzewiejącymi przyczepami i motelem, odwiedzanym głównie przez prostytutki i handlarzy narkotyków. Kiedy Jay pojawił się w drzwiach, jego siła wywarła na niej wstrząsające wrażenie. Bev natychmiast poczuła do niego pociąg. Zabrała się do Jaya tak samo jak do wszystkich mężczyzn. Brutalny, niewyszukany seks był jedynym sposobem na zaspokojenie jej samotności i gniewnej frustracji.

Tamtego wieczoru padał deszcz, który przypominał błyszczące gwoździe. Przygotowała Jayowi talerz zupy jarzynowej Campbella i grzanki z serem, podczas gdy jej dzieci schowały się i obserwowały, jak matka zadaje się z jeszcze jednym nieznanym. Bev nie poświęcała wówczas wiele uwagi swoim synom. Próbuje nie myśleć o nich teraz i nie zastanawiać się, jak dorastają. Są na utrzymaniu państwa i znacznie lepiej radzą sobie bez niej. Jak na ironię, Jay był dla nich miłszy niż ona.

Wydawał się wówczas zupełnie inny, kiedy wziął ją do łóżka tamtej pierwszej nocy.

Trzy lata temu była bardziej atrakcyjna i nie roztyła się jeszcze na jedzeniu ze snackbarów, pasteryzowanym serze i mięsie, które się nie psuje. Nie lubi robić pompek i przysiadów przez cały dzień tak jak Jay i w ogóle nie ćwiczy. Za chatą ciągnie się na wiele mil trawiasty, podmokły płaskowyż usłany muszlami. Nie ma tu suchego gruntu, po którym można by biegać czy spacerować, z wyjątkiem przystani, a manewrowanie łodzią Jaya przez wąskie przesmyki nie wymaga wielkiej energii.

Mały zewnętrzny motor wystarczyłby w zupełności, ale Jay ma tylko silnik Evinrude o mocy dwustu koni mechanicznych ze śrubą z nierdzewnej stali, by pędzić po kanałach, zmierzając do swoich sekretnych miejsc, lub dryfować po cichu pod cyprysami, wyczekując nieruchomo jak opos, jeśli w górze pojawi się śmigłowiec albo mały samolot. Nie pomaga Bev w niczym, jego charakterystyczny wygląd natychmiast by go zdradził, a jest zbyt próżny, żeby ukrywać swoją urodę. Schodzi na brzeg tylko po to, aby wziąć pieniądze z rodzinnej skrytki, a nie biegać na posyłki. Bev może chodzić po zakupy, ponieważ nie przypomina kobiety z fotografii na liście poszukiwanych przez FBI. Teraz skórę ma wyschniętą od słońca, tłuste ciało, nalaną twarz i krótko obcięte włosy.

– Dlaczego nie możemy zamknąć drzwi? – pyta Bev, wychodząc z małej, brudnej toalety.

Jay idzie do lodówki, białej z plamami rdzy, reliktu z lat sześćdziesiątych. Otwierają i bierze następne piwo.

– Lubię upał – mówi, a jego kroki rozbrzmiewają ciężko na starych deskach.

– Klimatyzator niepotrzebnie pracuje. – To jej stała skarga. – Mamy tylko tyle benzyny, ile trzeba do prądnicy.

– Więc pojedziesz i kupisz. Ile razy mam ci mówić, żebyś ruszyła swoją tłustą dupę i przywiozła więcej?

Patrzy na nią, a oczy ma dziwne – robią się takie, kiedy jest pochłonięty swoim rytuałem. Jego podniecenie napiera na suwak rozporoka, niebawem je uwolni – znowu, tym razem z własnego wyboru. Kiedy owiewa ją odór ciała i zapach zgnilizny, wynosi wiadro na zewnątrz; muchy ciągną za nim hałaśliwą, brzęczącą chmarą. Jay wyciąga słoje na kraby za żółte nylonowe linki. Ma dziesiątki słoików. Duże kawałki mięsa po prostu wrzuca do wody, gdzie aligatory ciągną je na dno i pożerają. Największy problem stanowią czaszki, ponieważ można je zidentyfikować. Toteż jego kolejnym rytuałem jest rozbijanie czerepów na proch, który miesza ze sproszkowaną kredą i chowa w pustych puszkach po farbie. Kredowy, kostny pył przypomina mu katakumby, które wiją się głęboko pod ulicami Paryża.

Wraca do chaty, wyciąga się na wąskim łóżku pod ścianą i kładzie ręce pod głowę.

Bev zrzuca swoją rozdartą bluzkę, kusząc go jak striptizerka. Jay, mistrz wyczekiwania, nie reaguje, kiedy kochanka muska jego wargi. Dygocze przy tym konwulsyjnie. Może to trwać bardzo długo, a kiedy jest gotowy, i dopiero wtedy, gryzie, ale nie tak mocno, żeby pozostawić ślad, ponieważ nie może znieść myśli, że mógłby być kimś takim jak Jean-Baptiste, jego brat.

Wcześniej Jay ładnie pachniał, a jego skóra miała przyjemny smak. Teraz, kiedy jest zbiegiem, rzadko się kąpie, i nawet kiedy to robi, po prostu polewa się mętą wodą z zatoki. Bev nie ośmiela się skarżyć ani zareagować w najmniejszy sposób na mocny zapach jego oddechu i krocza. Jeden jedyny raz, kiedy z tego zażartowała, złamał jej nos i zmusił ją, żeby skończyła, a jej krew i ciche okrzyki bólu sprawiały mu przyjemność.

Kiedy Bev sprząta chatę, obsesyjnie szoruje plamę pod łóżkiem, ale ślady krwi są uparte, jak na filmach grozy. Wybielacz pozostawił cętkowany, białawo-brunatny placek wielkości wycieraczki, na który Jay nieustannie się skarży, jakby nie miał nic wspólnego z tym, w jaki sposób ta plama się tam znalazła.

ROZDZIAŁ 12

Jean-Baptiste Chandonne jest „Myślicielem” Rodina na toalecie z nierdzewnej stali, w białych spodniach opuszczonych poniżej owłosionych kolan.

Strażnicy więzienni naigrawają się z niego bez końca. Czuje to, kiedy siedzi na toalecie, patrząc na zamknięte stalowe drzwi celi. Żelazne kraty w małym oknie przyciąga żelazo w krwi Jean-Baptiste’a. Zwierzęcy magnetyzm jest faktem naukowym, o którym rzadko się obecnie słyszy i który nie był na ogół akceptowany również przed wiekami, chociaż są udokumentowane przypadki, gdy namagnesowane przedmioty przywierały do chorych i uszkodzonych części ciała, powodując ustąpienie wszystkich objawów i powrót pacjenta do zdrowia. Jean-Baptiste doskonale zna teorię sławnego doktora Mesmera, który przejrzyście wyłożył swoją metodę leczenia w pracy „Mémor sur la Découverte du Magnétisme Animal”.

Dzieło, opublikowane po raz pierwszy we Francji w 1779 roku, jest Biblią Jean-Baptiste’a. Zanim skonfiskowano mu radio i książki, nauczył się na pamięć długich ustępów z Mesmera i trwa w swojej wierze, iż uniwersalny magnetyczny fluid oddziałuje na zdarzenia i ludzi.

„Posiadłem niezwykłą wiedzę o magnetyzmie: jego oddziaływaniu na żelazo i zdolności naszych płynów ustrojowych do wydzielania tego minerału...”, napisał Mesmer, a Jean-Baptiste cytuje go pod nosem, gdy rozmyśla na toalecie. „Przygotowałem pacjenta przez ciągłe stosowanie chalibeatów”.

Chalibeat jest roztworem żelaza, ale kto oprócz Jean-Baptiste’a o tym wie? Gdyby tylko mógł odkryć ów właściwy, byłby uleczony! Zanim

znalazł się w więzieniu, próbował rozpuszczać opiłki żelaza w wodzie do picia, jeść rdzę, spać z kawałkami żelaza pod łóżkiem i poduszką, nosić nakrętki, sworznie i magnesy w kieszeniach spodni. Doszedł do przekonania, że jego chalibeatem jest żelazo z ludzkiej krwi, lecz nie zdołał uzyskać go w dostatecznej ilości, zanim trafił do więzienia, i nie może zdobyć go teraz. Kiedy przy rzadkich okazjach gryzie i ssie sam siebie, nic mu to nie daje – zupełnie jakby ktoś pił własną krew, żeby wyleczyć się z anemii.

Franz Anton Mesmer został wyśmiany przez środowisko kościelne i naukowe, tak samo jak zawsze był wyśmiewany Jean-Baptiste. Prawdziwi wyznawcy publicznie udawali sceptycyzm lub używali pseudonimów, by nie uznano ich za szarlatanów. Na przykład „Filozofię magnetyzmu zwierzęcego”, opublikowaną w 1837 roku, napisał niejaki „Dzentelmen z Filadelfii”, którym, jak podejrzewano, był Edgar Allan Poe. Takie książki trzymano na uniwersytetach, ale uczelniane biblioteki pozbywały się ich z czasem, dzięki czemu Jean-Baptiste zgromadził niewielką, lecz imponującą kolekcję tego rodzaju dzieł.

Bardzo chciałby wiedzieć, co się stało z jego książkami. Tętno pulsuje mu na szyi, kiedy natęży się na toalecie. Książki, które przywiózł z Francji, odebrano mu za karę, kiedy więzienna komisja klasyfikacyjna zdegradowała go z poziomu pierwszego na poziom trzeci, rzekomo dlatego, że się masturbuje i narusza przepisy porządkowe. Jean-Baptiste spędza dużo czasu na toalecie, a strażnicy nazywają to masturbacją.

Dwukrotnie w ciągu jednego dnia – nie pamięta już, kiedy to było – upuścił tacę z posiłkiem, którą wsunięto przez szczelinę w drzwiach. Jedzenie rozbryznięto się po całej celi, a te incydenty uznano za rozmyślne. Został pozbawiony wszystkich przywilejów, w tym oczywiście książek. Ma

prawo tylko do godziny rekreacji raz w tygodniu. Jednak to wszystko jest bez znaczenia. Może pisać listy. Strażnicy są zdumieni.

– Jak może pisać listy, skoro jest ślepy? – pytają się nawzajem.

– Nie wiadomo na pewno, czy jest. Wygląda na to, że czasem jest, a czasem nie.

– Symuluje?

– Człowieku, to pieprzony czubek.

Jean-Baptiste może robić pompki, przysiady i inne ćwiczenia w swojej celi o powierzchni sześciu metrów kwadratowych. Liczba wizyt ze świata zewnętrznego została ograniczona. To też nie ma znaczenia. Kto chciałby się z nim widzieć, z wyjątkiem dziennikarzy oraz tych lekarzy, psychologów i naukowców, którzy pragnęliby go badać, jakby był nową odmianą wirusa? Uwięzienie, zniewagi i perspektywa rychłej śmierci przekształciły duszę Jean-Baptiste'a w snop jasnego światła upstrzony białymi cętkami.

Jest nieustannie namagnetyzowany i cierpi na bezsenność, a dar jasnowidzenia pozwala mu widzieć wyraźnie bez oczu. Ma uszy, ale nie potrzebuje ich, żeby słyszeć. Może wiedzieć, nie wiedząc, i iść, dokąd chce, bez ciała, które dręczyło go od urodzenia. Jean-Baptiste nigdy nie zaznał niczego oprócz nienawiści. Zanim próbował zamordować panią koroner Wirginii i wreszcie wpadł w ręce policji, intensywna nienawiść przepływała przez innych, potem przez niego i powracała do innych – obwód był zamknięty i nieskończony. Jego napady szału są nieuniknione, lecz nie wini za nie swojego ciała i nie doświadczą skruchy.

Po dwóch latach spędzonych w celi śmierci Jean-Baptiste żyje w ciągłym stanie magnetyzmu i nie darzy już negatywnymi uczuciami żadnej żywej istoty. To nie znaczy, że już by nie zabijał. Gdyby nadarzyła mu się sposobność, rozszarpywałby kobiety tak jak w przeszłości, lecz jego

psychika nie jest naładowana nienawiścią i żądzą. Unicestwiałyby piękne kobiety, żeby odpowiedzieć na wyższe wezwanie, zamknąć czysty krąg, który jest konieczny i boski. Cudowna ekstaza Jean-Baptiste'a przepływałaby przez jego wybranki. Ich ból i śmierć byłyby piękne, a te kobiety czułyby doń bezgraniczną wdzięczność, że oddzielił ich dusze od ciał.

– Kto tam? – odzywa się do zastałego, cuchnącego powietrza.

Popycha rolkę papieru toaletowego w kierunku swojej małej pryczy, patrząc na rozwijającą się białą autostradę, która wyprowadzi go poza więzienne mury. Dzisiaj może wybierze się do Beaune, odwiedzi swoją ulubioną dwunastowieczną jaskinię w posiadłości monsieur Cambrai i spróbuje burgunda z beczek, które sam wybierze. Nie będzie zawracał sobie głowy wciąganiem powietrza do ust i wypluwaniem wina do kamiennego kubka, jak to jest przyjęte, kiedy próbuje się skarbów *le terroire*. Nie może uronić ani kropli! Ha! Zobaczmy, jakie są wyśmienite *vins de Bourgogne* tym razem? Dotyka palcem wskazującym swoich zdeformowanych warg.

Jego ojciec, monsieur Chandonne, ma winnice w Beaune. Zatrudnia producentów i eksporterów wina. Jean-Baptiste dobrze zna się na winach, chociaż odmawiano mu ich, kiedy siedział zamknięty w piwnicy, a później został wygnany z domu rodzinnego. Wizyty w Beaune są bujną fantazją zaczerpniętą ze szczegółowych opowieści jego czarującego brata, który chciał przypomnieć Jean-Baptiste'owi o jego wydziedziczeniu i nieistnieniu. Ha! Jean-Baptiste nie potrzebuje języka,, żeby czuć smak. Zna mocny Cios de Vougeot i łagodny, złożony i wytworny czerwony Cios de Mouches.

Tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty siódmy był bardzo dobrym rokiem dla czerwonego Cios de Mouches, a białe wina z tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego mają leciutką orzechową nutę i dlatego są takie

szczególne. I, och, harmonia Echezeaux! Ale to król burgundów cieszy się prawdziwą miłością Wilkołaka, jedyny i неповtarzalny Chambertin. Z dwustu osiemdziesięciu butelek wyprodukowanych w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym dziewiątym monsieur Chandonne nabył sto pięćdziesiąt do swojej piwnicy. Z tych stu pięćdziesięciu butelek Jean-Baptiste nie skosztował ani jednego łyeczka. Ale po jednym ze swoich morderstw w Paryżu obrabował ofiarę i uczcił to Chambertinem z tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego ósmego, który smakował różami i minerałami i przypominał mu jej krew. A co z bordeaux? Premier Grand Cru Classe lub może Chateau HautBrion rocznik tysiąc dziewięćset osiemdziesiąt cztery.

– Kto tam? – woła.

– Zamknij się i przestań się pieprzyć z papierem toaletowym! Pozbieraj go.

Jean-Baptiste nie musi patrzeć, żeby zobaczyć gniewne oczy spoglądające przez kraty w drzwiach.

– Zwiń go ładnie i przestań się bawić swoim małym fiutem!

Oczy znikają, pozostawiając zimne powietrze. Jean-Baptiste musi się dostać do Beaune, gdzie nie ma żadnych oczu. Musi znaleźć następną wybrankę i wydrzeć jej niedoskonałe oczy, a potem sprawić, by zapomniała, aby nie pamiętała swojej odrazy na jego widok. Potem jej posiadłość będzie należała do niego. Zbocza i soczyste kiście winogron będą jego. Będzie mógł badać groty, wymacywać drogę wzdłuż ciemnych, wilgotnych ścian, które stają się coraz chłodniejsze, im dalej się zapuszcza. Jej krew jest jak wspaniałe czerwone wino każdego rocznika, jakiego zapragnie. Wino rozpryskujące się i spływające mu po rękach, barwiące włosy na czerwono, przyprawiające jego zęby o ból z radości!

– Kto tam?

Rzadko otrzymuje odpowiedź.

Po dwóch latach strażnicy przydzieleni do bloku śmierci są zmęczeni szalonym mutantem Chandonne'em. Czekają na jego koniec. Francuski Wilkołak ze swoim zdeformowanym penisem i włochatym ciałem jest odrażający. Ma asymetryczną twarz, jakby obie połówki nie ułożyły się równo w łonie matki, jedno oko niżej niż drugie, a małe dziecięce zęby są szeroko rozstawione i spiczaste. Aż do niedawna Jean-Baptiste golił się codziennie. Teraz już tego nie robi. To jego prawo. Przez ostatnie cztery miesiące przed egzekucją skazaniec nie musi się golić. Może iść do pokoju straceń z długimi włosami i brodą.

Inni więźniowie nie mają dziecięcych delikatnych włosów, które pokrywałyby każdy skrawek ich ciał z wyjątkiem błon śluzowych, dłoni i podeszew stóp. Jean-Baptiste nie golił się od dwóch miesięcy i siedmiocentymetrowe kosmyki porastają jego szczupłe, żylaste ciało, całą twarz, szyję, nawet grzbiety dłoni. Inni więźniowie w bloku śmierci żartują, że ofiary Jean-Baptiste'a umierały ze strachu, zanim zdążył je zatłuc i pogryźć jak hamburgera.

– Hamburger! Na pomoc!

Te drwiny mają upokorzyć Jean-Baptiste'a, który otrzymuje też obelgi na piśmie, w formie zwitków papieru – czyli grypsów przekazywanych przez szczeliny pod drzwiami, z celi do celi, a on jest ostatnim odbiorcą. Przeżuwa te karteczki na papkę i połyka, czasem po dziesięć dziennie, smakując każde słowo. – Szkoda, że nie przywiązemy jego włochoatej dupy do krzesła, żeby się upiekł. Usmażył. – Podśledzał, jak rozmawiają o tym strażnicy. – Całe skrzydło śmierdziałoby spalonymi włosami.

– Szkoda, że nie możemy go ogolić na łyso, zanim dostanie zastrzyk.

– Szkoda, że już się ich nie smaży. Teraz to jest zbyt proste. Małe ukłucie igłą i lulu.

– Porządnie zamrozimy soczek dla Wilkołaka.

ROZDZIAŁ 13

Jean-Baptiste naprężył się na toalecie, jakby słyszał te szydercze komentarze, chociaż w tej chwili za drzwiami panuje cisza.

Mrożenie płynu jest brudnym sekretem funkcjonariuszy przywiązujących skazańca i podłączających kroplówkę, ludzi, którzy chcą mieć odrobinę sadystycznej radości przy każdej egzekucji. Pracownik odpowiedzialny za śmiertelne ampułki umieszcza je w pudełku z lodem, które jest przenoszone z zamkniętej chłodziarki do komory straceń. Jean-Baptiste podsłuchiwał, jak więźniowie mówią, że ampułki są schłodzone bardziej niż to konieczne, prawie do punktu zamarzania. Strażnicy uważają to za sprawiedliwe, że skazaniec czuje w żyłach lodowate zimno, kiedy dawka trucizny wystarczająca do uśmiercenia czterech koni zostaje wstrzyknięta do jego krwi. Jeśli nie krzyczy: „O Boże!” albo „Jezu!”, gdy czuje tę lodowatą, nieuchronną śmierć, asystujący przy egzekucji są rozczarowani i trochę wkurzeni.

– Ten ostatni chłopak miał lodowy ból głowy – ryczą głosy i odbijają się od stalowych drzwi, gdy skazańcy po raz któryś z rzędu opowiadają sobie tę historię.

– Ale wrzeszczał. Słyszeliście, jak rzeził, kiedy dostał szprycę?

– Nie, to było radio.

– Wołał mamę.

– Wiele dziwek, które załatwiłem, wołało mamę. Ta ostatnia krzyczała: „Mamo! Mamo! Mamo!”. – Facet, którego inni więźniowie nazywają Bestią, znowu się chełpi.

Uważa, że jego anegdoty są zabawne.

– Jesteś świrem. Nie wierzę, że gubernator dał ci kolejny miesiąc, ty świrze!

Większość krążących w celach bloku śmierci opowieści o egzekucjach pochodzi od Bestii. Ten został już przewieziony furgonetką do odległego o sześćdziesiąt osiem kilometrów Huntsville i jadł właśnie swój ostatni posiłek złożony ze smażonych krewetek, steku, frytek i ciasta orzechowego, kiedy gubernator nagle odroczył egzekucję, żeby można było przeprowadzić kolejne testy DNA. Bestia doskonale wie, że testy to strata czasu, ale korzysta ze swoich ostatnich dni, skoro już wrócił na Oddział Polunsky’ego. Bez przerwy opowiada o procedurze, która powinna być tajemnicą. Zna nawet nazwiska ludzi asystujących przy egzekucji i lekarza, który podłączy kroplówkę, a potem stwierdzi, że skazaniec nie żyje.

– Jeśli kiedykolwiek stąd wyjdę, załatwię wszystkie dziwki i nagram to na wideo! – chępi się znowu Bestia. – Szkoda, że nie sfilmowałem tych, które załatwiłem. Do diabła, oddałbym wszystko, co mam, za jedną kasetę. Nie wiem, dlaczego nie pomyślałem o tym wtedy. Te konowały i dupki z FBI miałyby o czym myśleć, kiedy wracają do domu do żon i dzieci.

Jean-Baptiste nigdy nie filmował swoich morderstw. Nie było na to czasu, a podobna myśl nigdy nie przysłała mu do głowy. Nieustannie to sobie wyrzuca. Rzadko zdarza mu się być głupim.

Esp̄ce de sale gorille...

Głupi małpi mutant.

Jean-Baptiste zakrywa uszy dłońmi.

– Kto tam?

Gdyby tak filmował swoje krwawe dzieła sztuki lub przynajmniej robił zdjęcia! Och, tęsknota, obłądna tęsknota, pragnienie, którego nie może zaspokoić, ponieważ nie może ożywić ich ekstazy, kiedy umierały. Ta myśl wywołuje nieznośne ciśnienie w kroczu. Nie może ulżyć cierpieniu. Urodził

się z zapłonem, który nie działa, seksualnym tłokiem, który iskrzy, ale nie zapala. Oddycha ciężko, siedząc na toalecie, a pot spływa mu po twarzy.

ROZDZIAŁ 14

– Co ty tam robisz?

Strażnik wali w drzwi. Para drwiących czarnych oczu znowu tam jest, pomiędzy kratami okienka.

– Znowu siedzisz na kiblu? Człowieku, któregoś dnia wysrasz wnętrzności!

Jean-Baptiste słyszy kroki na metalowych pomostach, a inni więźniowie z bloku śmierci wyrzaskują swoje zwykłe skargi i plugastwa. Poza nim dwustu czterdziestu pięciu mężczyzn czeka na swoją kolej, podczas gdy adwokaci wciąż składają apelacje i robią, co mogą, żeby przekonać okręgowe sądy wyższych instancji lub Sąd Najwyższy Stanów Zjednoczonych, aby uchylono wyrok, albo przynajmniej urobić sędziego, by ten zezwolił na kolejne testy DNA bądź jakieś inne sztuczki. Jean-Baptiste wie, co zrobił, i przyznał się do winy mimo scenicznych popisów swego adwokata, Rocca Caggiano, którego również opłaciła rodzina Chandonne'ów.

Dramatyczny żarliwy protest Caggiana przeciwko przyznaniu się do winy Jean-Baptiste'a został bardzo źle zagrany. Rocco stosował się do instrukcji, tak jak zdaje się to robić Jean-Baptiste, tylko że Jean-Baptiste jest bardzo dobrym aktorem. Rodzina Chandonne'ów uważa, że będzie najlepiej, jeśli ich żałosny, odrażający potomek umrze.

„Czy chciałbyś siedzieć w celi śmierci przez dziesięć lat?, tłumaczyli mu. Chciałbyś wyjść na wolność i wrócić do społeczeństwa, które będzie cię tropić jak potwora?”.

Z początku Jean-Baptiste nie mógł pogodzić się z faktem, że rodzina chce, aby umarł. Teraz się godzi. To ma sens. Dlaczego miałyby ich obchodzić, czy umrze, skoro nigdy ich nie obchodziło, czy żyje? Jean-Baptiste nie ma wyboru. To jasne. Gdyby nie przyznał się do winy, jego ojciec zadbałby o to, żeby niewygodny potomek został zamordowany, oczekując na proces.

„Więzienie to niebezpieczne miejsce, łagodnie powiedział mu ojciec po francusku przez telefon. Pamiętasz, co się stało z kanibalem Jeffreyem Dahmerem? Zatruli go na śmierć szczotką, czy może miotłą”.

Jean-Baptiste emocjonalnie został już zatłuczony na śmierć, wszelka nadzieja go opuściła, kiedy *papa* to powiedział. Zdał się na własny umysł i zaczął drobiazgowo analizować swoje położenie, kiedy przewozili go do Houston. Doskonale pamięta napis „Witamy w Humble” i Holiday Inn z dołkiem golfowym na tablicy z nazwą, co nie miało sensu, ponieważ nie widział w okolicy żadnych pól golfowych, tylko zeschnięte liście i martwe drzewa oraz ciągnące się bez końca linie telefoniczne, karłowate sosny, magazyny, przyczepy mieszkalne, zrujnowane budynki i prefabrykowane domy z żużlu. Kolumna samochodów skręciła w Północną Pięćdziesiątą Dziewiątą, a wszyscy ci agenci federalni i lokalni funkcjonariusze traktowali Jean-Baptiste’a jak Frankensteina.

Siedział bardzo spokojnie z tyłu białego forda LTD, skuty kajdankami jak Houdini. Kolumna wjechała na opuszczoną szosę porośniętą z obu stron krzewami, które przechodziły stopniowo w gęsty las, a kiedy dotarli do Oddziału Polunsky’ego Teksaskiego Zakładu Karnego, Jean-Baptiste poczuł, jak słońce bierze w posiadanie szare niebo i wstaje dzień. Uznał to za znak.

Odtąd czeka cierpliwie. Wyobraża sobie deszcz meteorytów i zwarte bataliony, które maszerują, ponieważ on tak chce. Jakie to proste! Ludzie są

głupcami! Ustanawiają takie idiotyczne reguły! Funkcjonariusze więzienni mogą zabrać radio i ukarać go, mieląc mu posiłki i podając je jako bezkształtną masę, ale nikt nie może zneutralizować jego magnetyzmu i pozbawić go prawa do wysyłania i otrzymywania nieocenzurowanej poczty. Jeśli oznaczy kopertę lub paczkę „Poczta prawnicza” lub „Poczta medialna”, żaden pracownik więzienia nie może jej otworzyć. Jean-Baptiste wysyła listy do Rocca Caggiano, kiedy mu się podoba. Od czasu do czasu otrzymuje korespondencję w taki sam sposób. To największa przyjemność ze wszystkich, zwłaszcza kiedy madame Scarpetta napisała ostatnio, że nie może go zapomnieć. Znalazła się tak blisko ekstazy i przez własną głupotę pozbawiła się szczęścia z rąk Jean-Baptiste’a! Miał bezinteresowny zamiar uwolnić jej cudowne ciało od duszy. Jej odejście byłoby doskonałe. Wreszcie uświadomiła sobie swój straszny błąd i teraz szuka pretekstu, żeby się z nim zobaczyć.

Znowu się zobaczą.

Jean-Baptiste ma dosyć informacji, by pogrążyć cały kartel Chandonne’ów.

Jeśli ona tego właśnie chce, dlaczego nie? Kiedy przyjedzie, on znajdzie sposób, żeby ją uwolnić i obdarzyć tym, czego pragnie. Ekstazą. Ekstazą!

Podarł list na maleńkie kawałeczki i zjadł każde słowo, żując tak mocno, że pokaleczył sobie dziąsła.

Jean-Baptiste wstaje z toalety i nie zawraca sobie głowy spłukiwaniem. Podciąga spodnie.

Biała koszula ma wydrukowane na plecach czarne litery BS, Blok Śmierci. To skrót dla pani doktor. Kolejny znak. On jest teraz jej, a ona będzie jego na zawsze. Więzienny ubiór przesiąkł potem. Cuchnie. Jean-Baptiste poci się nieustannie i śmierdzi jak brudne zwierzę. Uśmiecha się i myśli o ostatnim skazańcu straconym kilka tygodni temu, starym

mężczyźnie nazwiskiem Pitt, który zabił policjanta w Atlancie. Pitt przez wiele lat mordował bezkarnie prostytutki i porzucał swoje ofiary na parkingach lub na środku drogi. Złamał kodeks, kiedy trzynaste razy dźgnął policjanta nożem.

Po oddziale krąży pogłoska, że kiedy lekarz podał Pittowi śmiertelny koktajl przez przewód kroplówki, śmierć nastąpiła dokładnie po dwóch minutach i pięćdziesięciu sześciu sekundach. Przy egzekucjach asystują na zmianę trzej lekarze – więźniowie, którzy wrócili z Huntsville po odroczeniu egzekucji, rozpowszechniają kolejne plotki – są to pediatra, kardiochirurg i kobieta, która kilka lat temu prowadziła praktykę rodzinną w Lufkin. Jest najbardziej beznamiętnym katem z nich wszystkich. Przychodzi z czarną lekarską torbą, robi swoje i wychodzi, obojętna i arogancka, nie zamieniając z nikim słowa.

Pobudza to Jean-Baptiste'a do fantazji na temat pani doktor, niewidzialnej w małym ukrytym pokoju, czekającej na sygnał, by pozbawić życia skrepowane pasami ciało. Jean-Baptiste nie boi się śmierci cielesnej, ponieważ umysł jest jego duszą i nie może zostać zniszczony. Jean-Baptiste jest elektrycznością. Jest fluidem. Potrafi oddzielić swój umysł od ciała. Jest częścią Boga. Wzdycha, leżąc na plecach na pryczy i wpatrując się w sufit, który nie może powstrzymać jego wizjonerskich podróży. Zazwyczaj przenosi swego ducha z powrotem do Paryża i lata niewidzialny, dojmująco świadom dźwięków, których doświadcza jak nigdy przedtem. Odwiedził Paryż zaledwie wczoraj, tuż po lekkim deszczu, opony zgrzytały na mokrej jezdni, a odległy ruch uliczny brzmiał zdumiewająco wyraźnie, przypominając mu burczenie w żołądku. Krople deszczu lśniły jak diamenty na siodełkach zaparkowanych motocykli. Kobieta z bukietem lilii przeszła obok, a on unosił się w zapachu perfum.

Jakiż stał się spostrzegawczy! Ilekroć jego dusza odwiedza Paryż, najpiękniejsze miasto na ziemi, Jean-Baptiste odkrywa kolejny stary budynek otulony zieloną siatką i ludzi chłuszczących wapień strumieniami sprężonego powietrza, by usunąć stulecia brudu. Przywrócenie Notre Dame kremowej karnacji zajęło lata. Obserwowanie postępów prac jest jego sposobem mierzenia czasu. Nigdy nie zatrzymuje się w Paryżu dłużej niż kilka dni, a każdej nocy wyrusza w kierunku Gare de Lyon, a później do Quai de Rapee, żeby popatrzeć na Institut Médico-Légal, gdzie przeprowadzono sekcje kilku jego wcześniejszych wybranek. Widzi twarze i ciała tych kobiet, pamięta ich imiona. Czeka, aż przebrzmi ostatnie Bateau-Mouche, aż ostatnia fala obmyje jego buty, a potem rozbiera się do naga na zimnych kamieniach Quai de Bourbon.

Przez całe życie stawiał czoło mrocznym zimnym prądom Sekwany, aby zmyć z siebie przekleństwo le Loup-Garou.

Wilkołak.

Nocne kąpiele nie wyleczyły go z hipertrychozy, niezwykle rzadkiej choroby o podłożu genetycznym, która sprawia, że włosy pokrywają całe jego ciało, i nie szczędzi innych okrucieństw, dodając do tego zdeformowaną twarz, anormalne zęby i karłowate genitalia. Jean-Baptiste zanurza się w rzece i płynie wzdłuż Quai d'Orléans i Quai de Béthune do wschodniego krańca Wyspy Świętego Ludwika. Tam, na Quai d'Anjou, stoi siedemnastowieczny czteropiętrowy budynek z rzeźbionymi drzwiami frontowymi i złoconymi rynnami, *hôtel particulier*, gdzie jego sławni rodzice żyją w nieprzyzwoitym luksusie. Kiedy żyrandole połyskują kryształami i srebrem, jego rodzice są w domu, ale często przyjmują przyjaciół lub piją ostatni kieliszek przed snem w salonie, którego nie widać z ulicy.

Podczas swoich bezcielesnych podróży Jean-Baptiste może wejść do każdego pokoju w *hôtel particulier*. Chodzi, gdzie mu się podoba. Innej nocy, kiedy odwiedził Wyspę Świętego Ludwika, jego korpulentna matka miała kilka więcej fałd tłuszczu pod brodą, a małe oczy wyglądały jak rodzynki w jej tłustej twarzy. Owinęła się czarnym jedwabnym peniuarem, na grube stopy wsunęła domowe pantofle. Bez przerwy paliła mocne francuskie papierosy, skarżyła się i paplała do męża, podczas gdy on oglądał wiadomości, rozmawiał przez telefon i porządkował papiery.

Tak jak Jean-Baptiste może słyszeć bez uszu, jego ojciec może ogłuchnąć, kiedy sobie tego życzy. Trudno się dziwić, iż szuka wytchnienia i przyjemności w ramionach wielu młodych, pięknych kobiet i pozostaje w związku małżeńskim z madame Chandonne tylko dlatego, że tak musi być. W młodości Jean-Baptiste'owi powiedziano, iż hipertrychoza to wada genetyczna, ale on jest pewien, że spowodował ją alkoholizm matki. Nie podjęła żadnych wysiłków, aby ograniczyć picie, kiedy była w ciąży z nim i jego bratem bliźniakiem, który nazywa się Jay Talley i miał szczęście wyjść z matczynego łona niecałe trzy minuty później niż Jean-Baptiste. Jego brat urodził się idealny, wyrósł na okaz męskiej urody, złoty posąg o doskonałym ciele, z jasnymi włosami, w których połyskuje światło, i twarzy uformowanej przez mistrza. Olśniewa każdego, kogo spotka, a jedyna satysfakcja, jaką czerpie Jean-Baptiste z niesprawiedliwości ich narodzin, polega na tym, że Jay Talley, naprawdę nazywający się Jean-Paul Chandonne, nie wygląda na tego, kim jest. Pod tym względem jest gorszy niż le Loup-Garou.

Nie umyka Jean-Baptiste'owi, że te kilka minut oddzielających jego narodziny od narodzin jego brata to dokładnie tyle, ile będzie potrzebował Wilkołak, żeby umrzeć. Kilka minut to mniej więcej tyle, ile żyły jego wybranki, kiedy krew tryskała po ścianach, tworząc szczyty i doliny

przypominające abstrakcyjny obraz, który pewnego razu zobaczył i który bardzo chciał kupić, ale nie miał ani pieniędzy, ani miejsca, żeby go zawiesić.

– Kto tam? – krzyczy.

ROZDZIAŁ 15

Rzeka Charles odbija pączkującą wiosenną zieleń na nabrzeżu Bostonu, a Benton Wesley patrzy, jak młodzi ludzie w wyścigowym kajaku wiosłują w idealnym rytmie.

Mięśnie poruszają się łagodnie, wiosła zanurzają w wodzie z szemrzącym pluskiem. Mógłby patrzeć przez całe popołudnie i nic nie mówić. Dzień jest idealny, bezchmurny, temperatura dwadzieścia cztery stopnie. Benton stał się zwolennikiem samotności i ciszy i pragnie ich do tego stopnia, że rozmowa go męczy i jest przerywana długimi pauzami, które onieśmielają jednych, a drażnią innych. Rzadko ma do powiedzenia więcej niż bezdomni, którzy śpią na stertach łachmanów pod mostem Arthura Fiedlera. Udało mu się nawet obrazić hałaśliwego towarzyskiego Maksa, który pracuje w Cafe Esplanade, gdzie Benton kupuje czasami piwo z korzeniami, herbatniki lub miękkie precle. Pierwszy komentarz, jaki Benton wygłosił pod adresem Maksa, został źle zrozumiany.

– Coś podobnego – mruknął Benton, potrząsając głową.

Max, z pochodzenia Niemiec, często błędnie tłumaczy sobie angielski i łatwo się obraża. Wtedy uznał, iż enigmatyczna uwaga oznacza, że ten mądrała w sportowym ubraniu i ciemnych okularach przeciwsłonecznych uważa wszystkich cudzoziemców za gorszych od siebie i nieuczciwych i domaga się reszty z pięciodolarowego banknotu, który Max włożył do kasy. Innymi słowy, ciężko pracujący Max jest złodziejem.

Natomiast Benton miał na myśli to, że herbatniki w Cafe Esplanade podaje się w torebkach, nie w pudełkach, i że kosztują dolara zamiast ćwierć dolara. Znajdujące się w środku niespodzianki są grami

drukowanymi na złożonym białym papierze, tanim jak diabli, a wymagają inteligencji gołębia. Minęły czasy dzieciństwa Bentona, gdy jego lepkie palce grzebały w oblanej karmelem kukurydzy i orzeszkach w poszukiwaniu skarbów, takich jak plastikowy gwizdek lub naprawdę dobra gra albo magiczny pierścień, który mały Benton nosił na palcu wskazującym, udając, iż za jego sprawą wie, co ludzie myślą i robią, albo jakiego potwora pokona podczas swojej następnej tajnej misji.

Dostrzega ironię w fakcie, że kiedy dorósł, zaczął nosić inny specjalny pierścień – złoty, z wygrawerowanym godłem FBI – i stał się mistrzem w rozszyfrowywaniu myśli, motywów i działań ludzi, których opinia publiczna nazywa potworami. Benton urodził się ze szczególnym darem do penetrowania dzięki swojej intuicji i intelektowi neurologicznych i duchowych otchłani najgorszych z najgorszych. Obiektem jego zainteresowania byli nieuchwytni złoczyńcy, którzy dopuszczali się tak wynaturzonych zbrodni seksualnych, że przerażeni policjanci ze Stanów Zjednoczonych i z zagranicy ustawiali się w kolejce, żeby omówić z nim swoje przypadki na Wydziale Profilowania Osobowości Akademii FBI w Quantico w Wirginii. Benton Wesley był legendarnym szefem wydziału, nosił konserwatywne garnitury i wielki złoty sygnet.

Uważano powszechnie, że z raportów i koszmarnych fotografii potrafił wyłowić wskazówki, niedostrzeżone przez detektywów jakby to było magiczne trofeum, które można zdobyć podczas sesji w wilgotnej, pozbawionej okien norze, gdzie jedynymi dźwiękami są gniewne głosy, szelest papieru ślizgającego się po stole konferencyjnym i odległe, stłumione wystrzały na wewnętrznej strzelnicy. Światem Bentona przez większą część jego kariery w FBI był dawny schron przeciwoatomowy J. Edgara Hoovera, duszny podziemny bunkier, gdzie woda z rur w toaletach

na wyższych kondygnacjach akademii kapłała czasem na wytarty dywan lub ciekła strumyczkami po betonowych ścianach.

Benton ma pięćdziesiąt lat i doszedł do gorzkiego przekonania, że tworzenie portretów psychologicznych nie jest bynajmniej psychologią, lecz zbiorem formuł i domysłów opartych na przestarzałych danych. Profilowanie to propaganda i marketing. To oszustwo. To jeszcze jeden sposób na wyciągnięcie federalnych dolarów. Na sam dźwięk słowa „profilowanie” Wesley zgrzyta zębami i nie może ścierpieć, że to, czym się zajmował, zostało tak bardzo wypaczone, sponiewierane, stało się pospolitą hollywoodzką sztuczką opartą na zużytej i wadliwej teorii behawioralnej, anegdotach i dedukcyjnych założeniach. Nowoczesne profilowanie nie jest indukcyjne. Jest tak samo zdradliwe i zwodnicze jak fizjonomika i antropometria – lub niebezpieczne i niedorzeczne jak wiara z minionych stuleci, że mordercy wyglądają jak jaskiniowcy i można ich bezbłędnie rozpoznać po obwodach czaszek lub długości ramion. Profilowanie jest fałszywym złotem, a dla Bentona dojście do takiego wniosku stało się tym samym co dla księdza stwierdzenie, że nie ma Boga.

Nieważne, co kto mówi, nieważne, co sugerują studia epidemiologiczne i głoszą naukowe autorytety, jedyną stałą jest zmiana. Ludzkie istoty popełniają dzisiaj więcej morderstw, gwałtów, porwań, aktów pedofilii i terroryzmu, a także zwyczajnych nieuczciwych, niegodnych i samolubnych występków przeciwko wszelkim formom życia niż kiedykolwiek widział wolny świat. Wesley bardzo się tym przejmuje. Ma na to mnóstwo czasu. Max uważa Bentona, którego nazwiska nie zna, za stukniętego intelektualnego snoba, zapewne profesora Harvardu lub MIT, do tego pozbawionego poczucia humoru. Max nie chwyta okazjonalnej ironii ani sarkazmu, z których był znany Benton, kiedy był znany. Teraz nie zna go właściwie nikt.

Max już z nim nie rozmawia, po prostu przyjmuje pieniądze i robi wielkie przedstawienie z wyliczania reszty, zanim poda tej *Scheisse Arsch* kawałek pizzy z serem, butelkę wody sodowej albo torebkę herbatników.

Rozmawia o Bentonie, ilekroć nadarzy mu się okazja.

– Wczoraj kupił precel – powiedział Nosmo Kingowi, dostawcy, który nosi swoje tajemniczo brzmiące imię i nazwisko, ponieważ jego matka zobaczyła napis „No Smoking”, podzielony na No Smo king, kiedy otworzyły się dwuskrzydłowe drzwi, gdy wieziono ją do sali porodowej, aby wydała go na świat.

– Szjadł swój precel tam – Max macha papierosem w stronę kopuły starych dębów – i gapił się jak jakiś szombi na ten sztary latawiec – znowu pokazuje papierosem wystrzępiony czerwony latawiec wysoko w gałęziach dębu – jakby to było jakieś szjawiszko naukowe albo szymbol od Boga. Może UFO!

Nosmo King wnosił skrzynki butelkowanej wody Fidzi do Cafe Esplanade i zatrzymał się, osłaniając oczy przed słońcem i podążając wzrokiem za papierosem Maksa do uwięzionego latawca.

– Pamiętam, jak mnie to wkurzało, kiedy byłem dzieckiem – zadumał się teraz. – Dostajesz zupełnie nowy latawiec, a pięć minut później już wisi na przewodach wysokiego napięcia albo na pieprzonym drzewie. Takie właśnie jest życie. W jednej chwili wszystko idzie gładko, a w następnej wieje wiatr i jesteś załatwiony.

Bentona nawiedzają mroczne obsesje i cienie przeszłości, bez względu na to, gdzie jest i co robi. Żyje w stalowym pudełku izolacji, która przygnębia go i frustruje tak dogłębnie, że są chwile, godziny, dni i tygodnie, kiedy nic go nie obchodzi, nie ma apetytu i zbyt dużo śpi. Potrzebuje słońca i boi się zimy. Jest wdzięczny, że to wczesne popołudnie jest tak jasne, iż nie może patrzeć za rzekę Charles ani na intensywnie

niebieskie niebo, jeśli jego oczy nie są zasłonięte, tak jak zwykle, okularami przeciwsłonecznymi. Obojętnie odwraca się od młodych sportowców, którzy zmagają się z rzeką, zasmucony, że minęło pół stulecia, a jego nie przepełniają już odwaga i wola walki, lecz nieistnienie, bezsilność i poczucie nieodwracalnej straty.

Jestem martwy, mówi sobie każdego ranka przy goleniu. Jakkolwiek by na to popatrzeć, jestem martwy. Nazywam się Tom. Tom Haviland. Tom Speck Haviland, urodzony w Greenwich w stanie Connecticut 20 lutego 1955 roku, oboje rodzice pochodzą z Salem w Massachusetts. Psycholog na emeryturze, znudzony wysłuchiowaniem ludzkich problemów, numer ubezpieczenia socjalnego bla bla bla, nieżonaty, homoseksualista, pozytywny wynik testu na HIV, lubi patrzeć na pięknych chłopców przeglądających się w lustrach w ośrodku sportowym, ale nigdy ich nie zaczepia, nie nawiązuje rozmowy, nie chodzi do gejowskich barów ani nie umawia się na randki. Nigdy, nigdy, nigdy.

To wszystko jest kłamstwem.

Benton Wesley żyje wśród fałszerstw na wygnaniu już sześć lat.

Podchodzi do piknikowego stołu i siada na nim, opiera łokcie na kolanach i mocno splata długie palce. Serce zaczyna mu gwałtownie bić z podniecenia i strachu. Dziesięciolecia poszukiwania sprawiedliwości zostały nagrodzone zesłaniem, przymusowym wyparciem się siebie i wszystkiego, co znał. Są dni, kiedy ledwo pamięta, kim był, ponieważ spędza większość czasu, zagłębiany w swoim umyśle, znajdując zapomnienie, a nawet przyjemność w czytaniu książek filozoficznych i religijnych, historii i poezji, a także karmiąc gołębie w parku miejskim przy Żabim Stawie lub gdziekolwiek indziej, gdzie może wmieszać się w tłum ludzi, miejscowych i turystów.

Nie nosi już garniturów. Goli swoje gęste, srebrne włosy aż do skóry i starannie strzyże wąsy oraz brodę, lecz jego ciało i postawa zadają kłam wysiłkom, by wyglądać niedbale i starzej niż w rzeczywistości. Twarz ma opaloną, lecz gładką, sylwetkę po wojskowemu wyprostowaną. Jest zwinny i umięśniony i ma na ciele tak mało tłuszczu, iż żyły rysują się pod skórą jak smukłe korzenie drzewa przeciskające się przez ziemię. W Bostonie jest wiele klubów sportowych i miejsc, gdzie można uprawiać *jogging*, a Benton dba o kondycję i chce utrzymać się w dobrej formie. Ból fizyczny przypomina mu, że żyje. Nie pozwala sobie na rutynę co do tego, kiedy i gdzie biega albo pracuje, robi zakupy albo je w restauracjach.

Odwraca się w prawo, gdy kątem oka dostrzega ociężałą postać Pete'a Marino idącego w jego kierunku. Bentonowi nagle brakuje tchu. Jest przepełniony oczekiwaniem i radością, ale nie macha ani się nie uśmiecha. Nie kontaktował się ze starymi przyjaciółmi i dawnymi kolegami od czasu, kiedy rzekomo umarł i zniknął, objęty czymś, co nazywa się programem ochrony świadków pierwszego stopnia, wymyślonym specjalnie dla niego i prowadzonym wspólnie przez policję londyńską, Waszyngton oraz Interpol.

Marino sadowi się obok Bentona na piknikowym stole, sprawdzając najpierw, czy nie ma tam ptasich odchodów. Wyjmuje z miękkiej paczki lucky strike'a bez filtra i przypala go po kilku próbach jednorazową zapalniczką, w której kończy się gaz. Benton zauważa, że detektywowi trzęsą się ręce. Obaj siedzą zgarbieni, patrząc, jak zagłówka odbija od przystani.

– Przychodzisz tu do muszli koncertowej? – pyta Marino, targany emocjami, które dławi w gardle, kaszląc i głośno zaciągając się dymem.

– Słyszałem Boston Pops czwartego lipca – mówi cicho Benton. – Nic na to nie poradzę, że koncerty słyhać tam, gdzie mieszkam. Jak się masz?

– Ale sam nie przychodzisz tutaj. – Marino robi, co może, żeby mówić normalnie, jak za dawnych czasów. – Tak, mogę to zrozumieć. Ja też prawdopodobnie bym nie przyszedł, te tłumy idiotów, nienawidzę tłumów. Jak w centrach handlowych. Doszło do tego, że nie mogę już robić zakupów w supermarketach. – Wypuszcza wielki kłęb dymu, papieros bez filtra drży w jego grubych palcach. – Przynajmniej mieszkasz dostatecznie blisko, żeby słyszeć muzykę, kolego. Mogło być gorzej. Zawsze to powtarzam, mogło być gorzej.

Szczupła, przystojna twarz Bentona nie rejestruje mieszaniny myśli i uczuć. Ręce też nie zdradzają niczego. Panuje nad nerwami i wyrazem twarzy. Nie jest niczym kolegą i nigdy nie był, wzbierają w nim żal i gniew. Detektyw nazwał go kolegą, ponieważ nie wie, jak inaczej miałby go nazwać.

– Chyba nie powinienesz nazywać mnie kolegą – mówi uprzejmym tonem.

– Jasne. Nie ma, kurwa, sprawy. – Urażony Marino wzrusza ramionami.

Jak na wielkiego, twardego gliniarza, jest nadmiernie wrażliwy i traktuje wszystko osobiście. Jego zdolność do zinterpretowania każdej szczerzej uwagi jako obelgi męczy tych, którzy go znają, i przeraża tych, którzy go nie znają. Marino ma piekielne usposobienie, a jego furia nie zna granic, kiedy jest dostatecznie wkurzony. Jedyne powód, dla którego nie został zabity podczas jednego z wybuchów, to ten, że jego fizyczna siła i umiejętność przetrwania łączą się z odpowiednią dozą doświadczenia i szczęścia. Mimo to nic nie trwa wiecznie. Kiedy Benton chłonie każdy szczegół powierzchowności Marina, nawiedzają go znane lęki z przeszłości. Któregoś dnia zabije go kula albo wylew.

– Na pewno nie mogę nazywać cię Tomem – replikuje detektyw. – Nie w twarz.

– Nie krępuj się. Przywykłem do tego.

Mięśnie szczęki Marina napinają się, kiedy pali.

– Dbałeś o siebie od czasu, kiedy widzieliśmy się po raz ostatni? – Benton patrzy na swoje rozluźnione ręce pomiędzy kolanami. Jego palce leniwie bawią się drzazgą, którą odrywa od stołu piknikowego. – Chociaż myślę, że odpowiedź jest oczywista – dodaje z lekkim uśmiechem.

Pot spływa po łysiej głowie Marina, który zmienia pozycję, świadom pistoletu Glock czterdziestki w kaburze pod lewym ramieniem. Marzy, by zedrzeć z siebie wiatrówkę drużyny baseballowej. Pod nią jest cały mokry, serce bije mu mocno, ciemnoniebieski nylon chłonie słońce jak gąbka. Wypuszcza chmurę dymu, mając nadzieję, że nie poleci w kierunku Bentona. Poleciała. Prosto w twarz.

– Dzięki.

– Bardzo proszę. Nie mogę nazywać cię Tomem.

Marino obrzuca spojrzeniem przebiegającą obok młodą kobietę w elastycznych szortach i sportowym staniku, jej piersi podskakują rytmicznie. Nie może się przyzwyczaić do kobiet biegających w topach i jak na detektywa z wydziału zabójstw, który widział w życiu setki nagich kobiet – większość z nich w nocnych klubach albo na stole sekcyjnym – jest zdumiewająco onieśmielony, kiedy widzi dziewczynę pokazującą się publicznie w tak skąnym stroju, że wiadomo dokładnie, jak wygląda nago, aż do rozmiaru jej biustonosza.

– Gdyby moja córka tak biegała, zabiłbym ją – mruczy, patrząc na oddalające się pośladki.

– Dziękować Bogu, że nie masz córki, Pete – zauważa Benton.

– A żebyś wiedział. Zwłaszcza gdyby miała moją posturę. Prawdopodobnie skończyłaby jako jakiś szurnięty zawodowy zapaśnik.

– Nic o tym nie wiem. Krążą pogłoski, że byłeś całkiem atrakcyjny.

Benton widział fotografie Marina w mundurze gliniarza Nowojorskiego Departamentu Policji na początku jego imponującej kariery. Miał szerokie bary i świetnie wyglądał, jak prawdziwy ogier, zanim zaczął sobie pobłażać, niezmordowany w samounicestwianiu, jakby nienawidził własnego ciała i chciał je zabić, usunąć ze swojej drogi.

Wesley zeskakuje ze stołu piknikowego. On i Marino zaczynają iść w stronę mostu.

– Och. – Detektyw uśmiecha się złośliwie. – Zapomniałem, że jesteś gejem. Chyba nie powinienem wspominać o pedałach i szurniętych zapaśnikach, co? Ale jeśli spróbujesz wziąć mnie za rękę, rozwalę ci łeb.

Zawsze miał skłonności do homofobii, lecz nigdy nie był taki zdeorientowany i zawstydzony jak na tym etapie swojego życia. Jego przekonanie, że geje to zбочeńcy, a lesbijki może wyleczyć seks z mężczyznami, przekształciło się z czystego jak powietrze w ciemne jak atrament. Sam już nie wie, co myśleć o ludziach, którzy odczuwają pociąg do własnej płci, a jego cyniczne, niesmaczne komentarze mają stłumione brzmienie dzwonu odlanego z ołowiu. Nic już nie jest dla niego oczywiste. Mało co wydaje się niekwestionowaną prawdą. Kiedy był zatwardziałym homofobem, przynajmniej nie miał wątpliwości. Na początku żył zgodnie z ewangelią według Marina. W ostatnich latach stał się agnostykiem, kompasem bez magnetycznej północy. Jego poglądy chwieją się na wszystkie strony.

– Jak się z tym czujesz, kiedy ludzie myślą, że jesteś... no wiesz? – pyta teraz. – Mam nadzieję, że nikt nie próbował cię stłuc czy coś w tym rodzaju.

– Nie dbam o to, co o mnie myślą inni – odpowiada cicho Benton, świadom ludzi mijających ich na moście i samochodów pędzących w dole

po Storrow Drive, jakby każdy w odległości trzydziestu metrów mógł ich obserwować i słuchać. – Kiedy ostatnio byłeś na rybach?

ROZDZIAŁ 16

Zachowanie Marina zmienia się, gdy tak idą brukowanym chodnikiem w cieniu podwójnego szpaleru japońskich wiśni, klonów i pachnących świerków.

W napadach najbardziej jadowitego humoru, zwykle późną nocą, kiedy jest sam i wlewa w siebie kolejne piwa lub szklanki burbona, nie cierpi Bentona Wesleya i prawie nim pogardza za to, że spieprzył życie wszystkim, którzy się liczą. Byłoby łatwiej, gdyby Benton naprawdę nie żył. Detektyw przypuszcza, że do tej pory już dawno by się z tego otrząsnął. Ale jak ma dojść do siebie po stracie, która nigdy nie nastąpiła, i żyć z tą tajemnicą?

Kiedy więc Marino jest sam, pijany, i doprowadzi się do stanu furii, przeklina głośno Bentona, zgniatając w palcach kolejne puszki po piwie i ciskając nimi w drugi koniec swego małego, niechlujnego salonu.

– Spójrz, co jej zrobiłeś! – złorzeczy ścianom. – Spójrz, co jej zrobiłeś, ty pierdolony skurwysynu!

Kay Scarpetta unosi się w powietrzu niczym zjawa pomiędzy detektywem a Bentonem, kiedy teraz idą chodnikiem. Jest jedną z najbardziej błyskotliwych i nadzwyczajnych kobiet, jakie Marino w życiu spotkał, a wiadomość o torturowaniu i zamordowaniu Bentona niemal ją zdruzgotała. Kay na każdym kroku potyka się o martwe ciało Bentona, a przez cały ten czas – od pierwszego dnia – Marino wie, że przerażająca śmierć Wesleya była mistyfikacją aż po autopsję i wyniki badań laboratoryjnych, akt zgonu i popioły, które rozsypała na wietrze na Hilton Head Island, w ulubionym nadmorskim kurorcie ich obojga.

Popioły i kawałeczki kości zostały zdrapane z dna pieca krematoryjnego w Filadelfii. Szczątki, Bóg jeden wie, czyje. Marino przekazał je doktor Scarpetcie w małej taniej urnie wręczonej mu w biurze lekarza sądowego w Filadelfii i wszystko, co zdołał powiedzieć, to: „Przykro mi, Kay. Naprawdę mi przykro”. Pocąc się w garniturze i krawacie i stojąc na mokrym piasku, patrzył, jak Scarpetta rozsypuje popioły z wiszącego w powietrzu śmigłowca pilotowanego przez Lucy. W huraganie spienionej wody i wirujących łopat rzekome szczątki kochanka Kay uleciały tak samo daleko jak jej ból. Detektyw patrzył na zaciętą twarz Lucy, która spoglądała na niego, robiąc dokładnie to, o co prosiła ją ciotka. Przez cały ten czas Lucy również wiedziała.

Kay ufa Lucy i Marinowi bardziej niż komukolwiek w swoim życiu. A oni pomogli zrealizować plan rzekomego morderstwa oraz zniknięcia Bentona i ta prawda jest jak zapalenie mózgu, choroba, z którą zmagają się codziennie, podczas gdy Wesley żyje własnym życiem jako nikt imieniem Tom.

– Przypuszczam, że nie chodzisz na ryby – ciągnie Benton tym samym lekkim tonem.

– Nie biorą. – Marino jest coraz bardziej wściekły. Jego furia ukazuje kły.

– Rozumiem. Ani jednej ryby. A kręgle? Z tego, co pamiętam, byłeś drugi w swojej lidze. Iglice. Tak się chyba nazywała wasza drużyna.

– Wieki temu, owszem. Nie bywam teraz w Wirginii. Tylko kiedy ściągają mnie do sądu w Richmondzie. Nie pracuję już w tamtejszej policji. Przenoszę się na Florydę i wstępuję do Departamentu Policji Hollywood, na południe od Lauderdale.

– Jesteś na Florydzie – podkreśla Benton. – Kiedy jedziesz do Richmondu, jedziesz na północ, nie na południe. Zawsze miałeś zabawne

poczucie kierunku, Pete.

Marino został przyłapany na kłamstwie i wie o tym. Ciągłe myśli o wyprowadzce z Richmondu. Wstydzi się, że nie ma odwagi. To wszystko, co zna, nawet jeśli w tym mieście nie pozostało dla niego już nic oprócz starych bitew, które ciągle się toczą.

– Nie przyszedłem tu, żeby cię zanudzać długimi opowieściami – mówi.

Ciemne okulary dawnego przyjaciela kierują się w jego stronę, kiedy obaj idą dalej leniwym krokiem.

– No cóż, pewnie się za mną stęskniłeś – odpowiada Benton z lekkim lodem w głosie.

– To nie w porządku, kurwa – syczy Marino, zaciskając pięści. – I dłużej już tego nie zniosę, kolego. Lucy też już tego nie zniesie. Szkoda, że nie jesteś pieprzoną muchą na ścianie. I popatrz, co jej zrobiłeś. Doktor Scarpette. A może jej też nie pamiętasz?

– Przyszedłeś wyładować na mnie swoją złość?

– Po prostu pomyślałem, że skoro już jestem w sąsiedztwie, powiem ci, teraz, kiedy już zyskałem twoją uwagę, że nie widzę różnicy pomiędzy śmiercią a życiem, jakie prowadzisz.

– Cicho bądź – mówi Benton z kamiennym spokojem. – Porozmawiamy w środku.

ROZDZIAŁ 17

W rejonie Beacon Hill, wśród dumnych starych ceglanych domów i pięknych drzew, Benton Wesley znalazł miejsce odpowiadające jego obecnym szczególnym potrzebom.

Dom, w którym mieszka, jest brzydkim beżowym budynkiem z plastikowymi krzesłami ogrodowymi na balkonach i pordzewiałym żelaznym parkanem, zamykającym frontowy dziedziniec, nieproporcjonalnie duży i przygnębiająco ciemny. Wesley i Marino wchodzą po skąpo oświetlonych schodach, cuchnących uryną i zastarzałym dymem papierosowym.

– Kurwa! – sapie pod nosem detektyw. – Nie mogłeś przynajmniej znaleźć sobie chaty z windą? Nie miałem nic złego na myśli, kiedy to powiedziałem. O śmierci. Nikt nie chce, żebyś umarł.

Na czwartym piętrze Benton otwiera zgrzytające metalowe drzwi mieszkania numer 56.

– Większość ludzi i tak myśli, że umarłem.

– Kurwa. Znowu powiedziałem coś niewłaściwego. – Marino ociera pot z twarzy.

– Mam dos equis i limonki. – Głos Bentona zdaje się naśladować trzask zamka w drzwiach. – I, oczywiście, świeży sok.

– Nie masz budweisera?

– Rozgość się, proszę.

– Masz budweisera, prawda? – W głosie detektywa brzmi ból. Benton nic już nie pamięta!

– Ponieważ wiedziałem, że przyjdiesz, oczywiście mam budweisera – mówi tamten z kuchni. – Całą lodówkę.

Marino rozgląda się i wybiera kanapę z kwiecistym obiciem, niezbyt ładną. Mieszkanie zostało wynajęte umeblowane i nosi niechlujne piętno wielu flejtuchowatych i niedbałych osób, które przychodziły i odchodziły. Benton prawdopodobnie nie mieszkał przyzwoicie, odkąd umarł i stał się Tomem, a Marino zastanawia się czasem, jak ten pedantyczny, wyrafinowany człowiek to znosi. Przecież pochodzi z bogatej rodziny z Nowej Anglii i zawsze wiódł wygodne życie, chociaż żadna suma pieniędzy nie wystarczyłaby, by uwolnić go od koszmarów jego pracy. Zobaczyć Bentona w mieszkaniu zajmowanym zwykle przez studentów college’u lub przedstawicieli niższej klasy średniej – zobaczyć go z ogoloną głową, z zarostem na twarzy, w workowatych dżinsach i tshircie, i wiedzieć, że nie ma nawet własnego samochodu – to dla detektywa coś niewyobrażalnego.

– Przynajmniej jesteś w dobrej formie – zauważa z ziewnięciem.

– Przynajmniej, w tym sensie, że to najlepsze, co możesz o mnie powiedzieć. – Benton sięga do lodówki i wyciąga dwa piwa.

Zimne butelki dzwonią mu w rękę, kiedy otwiera szufladę, szukając klucza, jak Marino nazywa każdy przedmiot, którym można zerwać kapsel z piwa.

– Miałyś coś przeciwko temu, gdybym zapalił? – pyta detektyw.

– Owszem. – Benton otwiera i zamyka drzwi szafki.

– Dobra, więc dostanę ataku szału i połknę język.

– Nie powiedziałem, że nie możesz zapalić. – Przechodzi przez ciemny, nędznie umeblowany salon i wręcza Marinowi budweisera. – Powiedziałem, że miałbym coś przeciwko temu. – Podaje mu szklanę, która ma służyć jako popielniczka.

– Tak, może i jesteś w dobrej formie, nie palisz i w ogóle – mówi Marino, kiedy pociąga łyk piwa i wzdycha z zadowoleniem – ale twoje życie to gówno.

Benton siada naprzeciwko niego, przestrzeń pomiędzy nimi zajmuje odrapany stolik do kawy z laminowanym blatem, na którym leżą schludnie poukładane czasopisma i pilot do telewizora.

– Nie musisz spadać z nieba, żeby mi powiedzieć, że moje życie to gówno – mówi. – Jeśli po to tu jesteś, wolałbym, żebyś wcale nie przychodził. Pogwałciłeś program, wystawiłeś mnie na niebezpieczeństwo...

– I siebie również – warczy Marino.

– Właśnie miałem to powiedzieć. – Benton podnosi głos, oczy mu płoną. – Cholernie dobrze wiemy, że w całej tej historii z Tomem nie chodzi tylko o mnie. Gdyby chodziło tylko o mnie, pozwoliłbym im oddać swój najlepszy strzał.

Marino zaczyna odrywać nalepkę ze swojej butelki.

– Wilkołak zgodził się puścić farbę na temat swojej rodziny, wielkich Chandonne'ów.

Benton czyta gazety kilka razy dziennie i myszkuje po Internecie, żeby odzyskać skrawki swojego dawnego życia. Wie wszystko o Wilkołaku, zdeformowanym, zwyrodniałym synu słynnego monsieur Chandonne'a, serdecznego przyjaciela paryskiej arystokracji, jak również szefa największego, najbardziej niebezpiecznego zorganizowanego kartelu przestępczego na świecie. Jean-Baptiste wie o interesach rodziny i o tych, którzy wypełniają jej straszliwe polecenia, dostatecznie dużo, żeby posłać każdego, kto się liczy, za kratki albo do celi śmierci.

Na razie Jean-Baptiste tkwi w teksaskim więzieniu o zaostrzonym rygorze, nie mówiąc nikomu ani słowa. To właśnie w potężną sieć rodziny

Chandonne'ów zaplątał się Benton, a teraz, tysiące kilometrów stąd, monsieur Chandonne sący swoje doskonałe wino i ani przez moment nie wątpi, że Wesley zapłacił najwyższą cenę, straszną cenę. Monsieur Chandonne jest w błędzie, lecz nie do końca. Benton zmarł upozorowaną śmiercią, aby ocalić siebie i innych od prawdziwej. Zapłacił za to jednak prometejską cenę. Równie dobrze mógłby zostać przykuty do skały. Nie może wyzdrowieć, ponieważ codziennie wyszarpuje mu się wnętrzności.

– Wilkołak – Marino zwykle nazywa tak Jean-Baptiste'a – mówi, że wystawi nam wszystkich, od swojego tatusia do lokajów, ale pod pewnymi warunkami. – Urywa. – Nie robi nas w konia, Benton. Mówi poważnie.

– Wiesz to na pewno – zauważa szyderczo tamten.

– Tak. Na pewno.

– Jak cię o tym poinformował? – Oczy Bentona nabierają znanego wyrazu, kiedy pyta nadal tym samym tonem.

– Listownie.

– Czy wiemy, do kogo pisał poza tobą?

– Do doktor Kay. List przesłano mnie. Nie dałem go jej, nie widziałem potrzeby.

– Do kogo jeszcze?

– Do Lucy.

– Ten też przesłano tobie?

– Nie. Bezpośrednio do jej biura. Nie mam pojęcia, skąd zdobył adres i skąd zna nazwę Ostatni Posterunek, skoro jej nie zarejestrowała. Wszyscy myślą, że jej firma nazywa się Rozwiązania Informacyjno-Poszukiwawcze.

– Skąd wie, że osoby takie jak Lucy i ty nazywają jej firmę Ostatnim Posterunkiem? Gdybym zalogował się teraz do Internetu, znalazłbym jakąś wzmiankę o Ostatnim Posterunku?

– Nie, o tym, o którym mówimy, nie znalazłbyś.

- Czy znalazłbym firmę Rozwiązania Informacyjno-Poszukiwawcze?
- Jasne.
- Jest tam jej numer telefonu? – pyta Benton.
- Jest numer firmy.
- Więc może on zna także zarejestrowaną nazwę firmy. Zadzwoił do informacji telefonicznej i w ten sposób zdobył adres. Dzisiaj możesz znaleźć w Internecie wszystko, co chcesz, i to za mniej niż pięćdziesiąt dolarów, a nawet kupić numery telefonów zastrzeżonych i komórkowych.
- Nie sądzę, żeby Wilkołak miał komputer w celi śmierci – mówi z irytacją Marino.
- Rocco Caggiano może mu dostarczać wszelkiego rodzaju informacji – przypomina Benton. – Kiedyś musiał mieć numer Lucy, ponieważ zamierzał się jej pozbyć. Potem, rzecz jasna, Jean-Baptiste przyznał się do winy.
- Wygląda na to, że jesteś na bieżąco. – Marino próbuje ominąć temat Rocca i skierować rozmowę na inne tory.
- Czytałeś list, który napisał do Lucy?
- Opowiadała mi o nim. Nie chciała go wysłać faksem ani email. – To też intryguje detektywa. Lucy nie chciała, żeby zobaczył list.
- Jakież listy do innych osób?
- Marino wzrusza ramionami, upija łyk piwa.
- Nie wiem. Najwyraźniej nie napisał do ciebie, – Uważa, że to zabawne.
- Benton się nie uśmiecha.
- Ponieważ jesteś martwy, prawda? – Detektyw uznaje, że Benton nie zrozumiał dowcipu. – No cóż, w więzieniu, jeśli więzień oznaczy wysyłane listy „Poczta prawnicza” albo „Poczta medialna”, funkcjonariuszom nie

wolno ich otwierać. Jeśli więc Wilkołak ma jakichś kumpli wśród prawników albo w mediach, informacje są zastrzeżone.

Zdziera kapsel z butelki od piwa, ciągnąc swoje wyjaśnienia, jakby Benton nie wiedział nic o funkcjonowaniu zakładów karnych, gdzie przesłuchiwał kiedyś setki kryminalistów.

– Jedyne, do czego można zajrzeć, to lista gości, ponieważ mnóstwo ludzi, którzy piszą do tych szumowin, składa im również wizyty. Wilkołak ma taką listę. Zobaczmy, gubernator Teksasu, prezydent...

– Prezydent Stanów Zjednoczonych? – Benton ma zwyczaj traktować wszystkie informacje poważnie.

– Tak – mówi detektyw.

Denerwuje go, że widzi gesty i reakcje Bentona z przeszłości, tego, z którym pracował, który był jego przyjacielem.

– Kto jeszcze? – Benton wstaje, bierze notatnik i pióro ze schludnej sterty czasopism i papierów obok komputera na stole kuchennym.

Wkłada drucziane okulary, bardzo małe, w stylu Johna Lennona, jakich w poprzednim życiu nigdy by nie nosił. Znowu siada, zapisuje godzinę, datę i miejsce na czystej kartce papieru. Ze swojego miejsca Marino rozróżnia słowo „sprawca”, ale poza tym nie może odczytać drobnego, niewyraźnego pisma, zwłaszcza do góry nogami.

– Jego ojciec i matka są na liście – odpowiada. – To dopiero dowcip, co?

Pióro zatrzymuje się nagle. Benton podnosi głowę.

– A jego adwokat? Rocco Caggiano?

Marino przygląda się resztkom piwa na dnie butelki.

– Rocco? – powtarza Benton z naciskiem. – Zamierzasz mi o nim opowiedzieć?

Po twarzy detektywa przemykają gniew i wstyd.

– Tylko pamiętaj, on nie jest mój, nie wychowywał się u mnie, nie znam go i nie chcę go znać, rozwalilibym mu pierdolony łeb z taką samą łatwością jak każdemu innemu śmieciowi.

– Genetycznie jest twoim synem, czy ci się to podoba, czy nie – odpowiada rzeczowo Benton.

– Nawet nie pamiętam, kiedy ma urodziny. – Marino zbywa swojego jedyne go potomka machnięciem ręki i wypija ostatni łyk budweisera.

Rocco Marino, który zmienił nazwisko na Caggiano, urodził się zły. Był wstydliwą, brudną tajemnicą detektywa, wrzodem, którego nie ujawniał nikomu, dopóki na scenie nie zjawił się Jean-Baptiste Chandonne. Przez większą część życia Marino wierzył, że życiowe decyzje Rocca miały podłoże osobiste – były najsurowszą karą, jaką mógł wymierzyć ojcu, którym gardził. Co dziwne, detektyw znajdował w tym swego rodzaju pociechę. Osobista wendeta syna była lepsza niż upokarzająca i bolesna prawda, że Rocco jest inny niż ojciec. Decyzje syna nie miały z nim nic wspólnego. Jeżeli już, to Rocco śmiał się z niego, ze swego ojca, i uważał go za burleskowego gliniarza, nieudacznika, który ubiera się jak świnia, żyje jak świnia i jest świnia.

Ponowne pojawienie się syna w świecie kapitana było przypadkiem – „cholernie zabawnym zbiegiem okoliczności”, jak ujął to sam Rocco, kiedy zatrzymał się na chwilę, aby porozmawiać z ojcem przed drzwiami sali sądowej po przesłuchaniu Jean-Baptiste’a Chandonne’a. Był prawnikiem Chandonne’ów na długo przed tym, nim Marino o nich usłyszał.

– Wiemy, gdzie Rocco spędza ostatnio czas? – pyta Benton.

Oczy detektywa robią się ciemne i płaskie jak stare monety.

– Możliwe – bardzo możliwe – że wkrótce się dowiemy.

– To znaczy?

Marino odchyła się na oparcie kanapy, jakby rozmowa go bawiła i napawała dumą.

– To znaczy, że tym razem ma przywiązane do tyłka metalowe puszkę i nie wie o tym.

– To znaczy? – powtarza Benton.

– Interpol oflagował go jako poszukiwanego, a Rocco nie ma o tym pojęcia. Lucy mi powiedziała. Jestem przekonany, że go znajdziemy, a wraz z nim także wielu innych dupków.

My?

Marino znów wzrusza ramionami, chce napić się piwa i łyka powietrze. Czeka i zastanawia się, czy wstać i pójść po następną butelkę.

– My to zaimek zbiorowy – wyjaśnia. – My to znaczy my, dobrzy chłopcy. Rocco wpadnie, ponieważ kiedy wejdzie na lotnisko, czerwone ostrzeżenie Interpolu wyświetli się na komputerze. Zanim się obejrzy, będzie miał na rękach parę ślicznych lśniących kajdanek i może także AR-piętnaście wymierzony w głowę.

– Za jakie przestępstwa? Brudne sprawy zawsze uchodziły mu na sucho. To część jego uroku.

– Wiem tylko, że jest na niego nakaz we Włoszech.

– Od kogo?

– Od Lucy. Dałbym wszystko, żeby być tym, który wymierzy mu z AR-piętnaście w głowę, tylko że ja na pewno pociągnąłbym za spust – mówi detektyw, przekonany, że tak by było, lecz nie mogąc sobie tego wyobrazić.

– To twój syn – przypomina mu spokojnie Benton. – Proponuję, żebyś się zastanowił, jak byś się czuł, gdybyś miał cokolwiek wspólnego z tym, co może mu się stać. Nie jestem pewien, czy pościg za nim lub za jakimkolwiek innym najemnikiem Chandonne'ów leży w zakresie twoich kompetencji. Chyba że pracujesz teraz w ukryciu dla federalnych.

Pauza. Marino nienawidzi federalnych.

– Nic bym nie czuł. – Próbuje zachowywać się obojętnie, lecz nerwy mu iskrzą z wściekłości i strachu. – Poza tym nie wiem nawet, gdzie on jest. Ktoś inny go złapie. Zostanie przekazany do Włoch, jeśli pożyje dostatecznie długo. Nie wątpię, że Chandonne'owie go załatwią, zanim zdąży otworzyć usta.

– Kto jeszcze? – ciągnie Benton. – Kto jeszcze jest na liście?

– Dwóch dziennikarzy. Nigdy o nich nie słyszałem i z tego, co wiem, nie istnieją. Och, tak, to naprawdę dobre. Śliczny braciszek Wilkołaka, Jean-Paul Chandonne, znany też jako Jay Talley. Szkoda, że skurwysyn nie wpadł do więzienia z wizytą, żebyśmy mogli go przyskrzynić i posadzić obok bliźniaka w celi śmierci.

Benton przestaje pisać, na wspomnienie Jaya Talleya w jego oczach pojawia się cień emocji.

– Zakładasz, że on jeszcze żyje. Wiesz to na pewno?

– Nie mam powodu, żeby myśleć inaczej. Przypuszczam, że rodzina go ochrania, więc żyje sobie gdzieś wygodnie i prowadzi interesy kartelu.

Kiedy Marino to mówi, przychodzi mu do głowy, że Benton prawdopodobnie wie, iż Jay Talley to Chandonne, który podawał się za Amerykanina, został agentem ATF i udało mu się objąć funkcję łącznika z kwaterą główną Interpolu we Francji. Marino dokonuje w myślach przeglądu wszystkiego, co ujawniono publicznie na temat sprawy Jean-Baptiste'a. Nie jest pewien, czy pojawiła się jakakolwiek wzmianka o związku doktor Scarpetty z Talleyem, kiedy Kay wraz z połową świata uważała go za przystojnego, błyskotliwego agenta, który włada kilkoma językami i ukończył Harvard. Wesley nie musi wiedzieć, co się wydarzyło pomiędzy Kay a Talleyem. Marino ma nadzieję, że przyjaciel nigdy się o tym nie dowie.

– Czytałem o Jayu Talleyu – mówi Benton. – Jest bardzo sprytny, bardzo inteligentny, wyjątkowo zwyrodniały i niebezpieczny. Poważnie wątpię w to, że nie żyje.

– Uh... – Myśli detektywa ulatują jak spłoszone ptaki. – Co takiego czytałeś?

– Nie jest tajemnicą, że to bliźniaczy brat Jean-Baptiste’a. Młodszy bliźniak. – Twarz Bentona pozostaje bez wyrazu.

– Najbardziej niesamowita rzecz, o jakiej słyszałem. – Marino potrząsa głową. – Tylko sobie wyobraź. On i Wilkołak urodzili się w odstępie kilku minut. Jeden dostaje z rozdania same kiepskie karty, a drugi, Talley, ma wszystkie atuty.

– Jest zwyrodniałym psychopatą – odpowiada Benton. – Nie nazwałbym tego atutem.

– Ich DNA wykazuje takie podobieństwo – ciągnie Marino – że trzeba było zrobić wiele analiz, żeby stwierdzić, że to DNA dwóch różnych ludzi. – Milknie, trochę zirytowany, znowu próbuje zderzyć nalepkę z butelki. – Nie pytaj mnie, co to za analizy i o całe to gównno z DNA. Nasza doktorka ustaliła to wszystko...

– Kto jeszcze jest na liście? – przerywa mu Benton.

Detektyw ma zakłopotaną minę.

– Na liście gości.

– Ta lista to śmietnik. Jestem pewien, że nikt z tej listy nie przyszedł z wizytą do Wilkołaka z wyjątkiem jego prawnika.

– Twojego syna, Rocca Caggiano. – Benton nie pozwala detektywowi zapomnieć o tym fakcie. – Kto jeszcze? – nie ustępuje, robiąc notatki.

– Okazuje się, że ja. Czy to nie cudowne? A potem mój nowy kumpel Wilkołak przysłała mi pocztę. List dla mnie i list dla Kay, którego jej nie dałem.

Marino wstaje, żeby wziąć sobie następne piwo.

– Chcesz?

– Nie – odpowiada Benton.

Marino sięga po kurtkę, grzebie w jednej kieszeni, potem w drugiej i wyciąga złożone kartki papieru.

– Przypadkiem mam je przy sobie. Fotokopie, również kopert.

– Lista. – Benton nie daje się odwieść od tematu. – Z pewnością przyniosłeś też kopię listy.

– Nie potrzebuję kopii tej cholernej listy. – Marino jest zirytowany. – Co z tobą i z tą pierdoloną listą? Mogę ci powiedzieć, kto na niej był. Ludzie, których przed chwilą wymieniłem, oraz dwóch dziennikarzy. Carlos Guarino i Emmanuelle La Fleur.

Wymawia niewyraźnie i Benton prosi go o powtórzenie nazwisk.

– Pewnie mieszkają na Sycylii i w Paryżu.

– A więc istnieją?

– W Internecie nie ma żadnego śladu ich artykułów, a Lucy szukała.

– Jeśli Lucy nie może ich znaleźć, to nie istnieją – decyduje Benton.

– Na liście Wilkołaka – dodaje Marino – jest też nie kto inny tylko Jaime Berger, która by go oskarżała, gdyby miał proces w Nowym Jorku, za zmasakrowanie tej kobiety. Berger to twarda sztuka, zna naszą doktorkę. Przyjaźnią się.

Benton wie to wszystko i nie reaguje. Robi notatki.

– I na koniec jakiś facet nazwiskiem Robert Lee.

– To nazwisko z pewnością brzmi prawdziwie. Czy w środku nie ma przypadkiem inicjału E? – zauważa Benton cierpko. – Jakaś korespondencja pomiędzy Chandonne'em a tym Robertem Lee, przy mało prawdopodobnym założeniu, że pan Lee nie umarł sto ileś lat temu?

– Wszystko, co mogę powiedzieć, to że znajduje się na liście gości. Jeśli poczta jest uprzywilejowana, władze więzienne nic nie ujawnią, więc nie mam pojęcia, do kogo jeszcze Wilkołak pisze ani od kogo dostaje listy miłosne.

ROZDZIAŁ 18

Marino otwiera list od Jean-Baptiste'a i zaczyna czytać:

– *Bonjour, mon cher ami, Pete...*

Przerywa sobie i podnosi wzrok, marszcząc brwi.

– Dasz wiarę, że nazywa mnie Pete? To mnie naprawdę wkurza.

– Bardziej niż kiedy cię nazywa *mon cher ami*? – pyta Benton zgryźliwie.

– Nie lubię, jak męty mówią mi po imieniu. To jedno z moich dziwactw.

– Czytaj, proszę – mówi Benton z nutą zniecierpliwienia w głosie. – I mam nadzieję, że nie ma tam już nic po francusku, bo strasznie kaleczysz język. Kiedy został napisany ten list?

– Niespełna tydzień temu. Załatwiłem wszystko, żeby tu przyjechać tak szybko jak tylko mogłem. Żeby się z tobą spotkać... och, jasna cholera, zaraz zacznę do ciebie mówić Benton.

– Lepiej nie. Czytaj, proszę.

Marino zapala następnego papierosa, zaciąga się głęboko i czyta:

To tylko krótki list, żeby ci powiedzieć, że zapuszczam włosy. Dlaczego? Ależ oczywiście dlatego, że wyznaczono datę mojej śmierci. Siódmego maja o dziesiątej wieczorem. Ani minuty później, więc mam nadzieję, że pojawisz się jako mój specjalny gość. Zanim to nastąpi, mon ami, muszę zakończyć pewną sprawę, toteż składam Ci propozycję nie do odrzucenia (jak to mówią w filmach).

Nigdy ich nie złapiecie beze mnie, Jean-Baptiste'a. To byłoby jak łowienie tysięcy ryb bez bardzo wielkiej sieci. Ja jestem siecią. Stawiam

dwa warunki. Są bardzo proste.

Nie będę rozmawiał z nikim z wyjątkiem madame Scarpetty, która poprosiła mnie, żebym się z nią spotkał i opowiedział jej, co wiem.

Nikt inny nie może być obecny.

Mam też drugi warunek, o którym ona nie wie. To ona musi być lekarzem, który poda mi śmiertelny koktajl, jak to mówią. Madame Scarpetta musi mnie zabić. Szczerze ufam, że się zgodzi, nie złamie danego mi słowa. Przekonasz się, jak dobrze ją znam.

À bientôt,

Jean-Baptiste Chandonne

– A list do niej? – pyta szorstko Benton, nie chcąc wymieniać nazwiska Kay.

– To samo. Mniej więcej. – Marino nie chce mu go przeczytać.

– Masz go przy sobie. Czytaj.

Detektyw strząsa popiół do szklanki i mruży oczy, kiedy wypuszcza dym.

– Streszczę ci go.

– Nie ochraniaj mnie, Pete – mówi łagodnie Benton.

– Jasne. Jeśli chcesz go usłyszeć, przeczytam. Ale nie uważam, żeby to było konieczne, i może powinieneś...

– Czytaj, proszę. – W głosie Wesleya brzmi zmęczenie. Odchyła się do tyłu na krześle, oczy już mu nie błyszczą.

Marino chrząka, rozkładając kolejną kartkę białego papieru. Zaczyna:

Mon cher amour, Kay...

Spogląda na pozbawioną wyrazu twarz Bentona. Zniknęła z niej wszelka barwa, skóra jest ziemista pod opalenizną.

Bardzo mi ciężko na sercu, ponieważ nie przyszedł, żeby się ze mną zobaczyć. Nie rozumiem. Oczywiście czujesz to samo co ja. Jestem Twoim nocnym złodziejem, wielkim kochankiem, który przyszedł Cię wykraść, ale Ty nie pozwoliłaś. Unikałaś mnie i zraniłaś mnie. Teraz musisz czuć się pusta i znudzona. Usychasz z tęsknoty za mną, madame Scarpetta.

A ja? Ja się nie nudzę. Jesteś tu ze mną w celi, bezwolna, całkowicie pod moim urokiem. Musisz to wiedzieć. Musisz czuć. Zobaczmy, czy potrafię Uczyć? Cztery, pięć albo piętnaście razy dziennie rozrywam te piękne ubrania, które nosisz – haute couture madame Scarpetty, lekarza, prawnika, Szefa. Zrywam wszystko gołymi rękami i gryzę te wielkie cycki, a Ty drżysz i umierasz z rozkoszy...

– Jaki to ma cel? – Głos Bentona brzmi jak odciągane suwadło pistoletu.
– Nie interesuje mnie jego pornograficzny bełkot. Czego ten drań chce?

Kapitan patrzy na niego w milczeniu, potem wraca do listu. Pot perli się na jego łysiejącej głowie i spływa po skroniach. Marino czyta to, co jest napisane na odwrocie kartki:

Muszę Cię zobaczyć! Nie możesz uciec, chyba że nie dbasz o to, czy zginie jeszcze więcej niewinnych ludzi. Nie żeby ktokolwiek był niewinny. Powiem Ci wszystko, co trzeba. Ale muszę patrzeć na Ciebie, kiedy będę wyznawał prawdę. A potem mnie zabijesz.

Przestaje czytać.

– Więcej gówna, którego nie chcesz słuchać...

– A ona nic o tym nie wie?

– No cóż – odpowiada wymijająco Marino – niezupełnie. Jak już mówiłem, nie pokazałem tego naszej doktorce. Ale powiedziałem, że dostałem list i że Wilkołak chce się z nią zobaczyć i wymienić informacje za jej wizytę. I życzy sobie, żeby to ona wbiła mu igłę.

– Zazwyczaj zakłady karne zatrudniają lekarzy z zewnątrz, aby podali śmiertelny koktajl – wygłasza osobliwy komentarz Benton, jakby to, co powiedział detektyw, w ogóle nie zrobiło na nim wrażenia. – Użyłeś ninhydryny do listów? – Teraz on zmienia temat. – Oczywiście nie mogę tego stwierdzić, ponieważ to fotokopie.

Ninhydryna weszłaby w reakcję z aminokwasem z koniuszków palców, barwiąc fragmenty oryginalnych listów na ciemny fiolet.

– Nie chciałem ich uszkodzić – odpowiada Marino.

– Co z alternatywnym źródłem światła? Coś nieszkodliwego, na przykład oscyloskop?

Kiedy kapitan nie odpowiada, Benton przygważdża go oczywistym argumentem.

– Nie zrobiłeś nic, żeby sprawdzić, czy te listy naprawdę są od Jean-Baptiste'a Chandonne'a? Po prostu zakładasz? Jezu. – Pociera twarz dłońmi. – Jezu Chryste. Przychodzisz tutaj – tutaj – podejmujesz takie ryzyko i nawet nie wiesz na pewno, czy te listy są od niego? Niech zgadnę. Nie poddałeś również znaczków i kopert testom na DNA. Co ze stemplem pocztowym? Co z adresem zwrotnym?

– Nie ma adresu zwrotnego – to znaczy, nie do niego – ani stempla, który mógłby nam powiedzieć, skąd wysłano list – przyznaje Marino, pocąc się teraz gwałtownie.

Benton pochyla się do przodu.

– Co? Doręczył list własnoręcznie? Adres zwrotny nie jest jego? O czym ty, do cholery, mówisz? Jak mógł ci cokolwiek przysłać bez stempla pocztowego?

Marino rozkłada kolejny kawałek papieru i wręcza mu go. Jest to fotokopia białej koperty o wymiarach dwadzieścia dwa na dwadzieścia osiem centymetrów z wydrukowanym znaczkiem – Urząd Pocztowy

Stanów Zjednoczonych zapłacił za nieprzynoszącą zysków organizację, Narodową Akademię Sprawiedliwości.

– No cóż, przypuszczam, że obaj już to widzieliśmy – mówi Benton, patrząc na fotokopię – ponieważ jesteśmy członkami NAS przez większą część życia. A w każdym razie ja byłem. Przykro mi to oznajmić, ale nie figuruję już na ich liście. – Urywa, zauważywszy, że nadruk „Przesyłka polecona” tuż pod znaczkiem został skasowany stemplem w kształcie litery X. – Jestem otwarty na każde możliwe wyjaśnienie – dodaje.

– To właśnie przyszło w mojej poczcie – wyjaśnia Marino. – Koperta NAS, a kiedy ją otworzyłem, w środku były dwa listy. Jeden do mnie, drugi do doktor Kay. Zaklejone, oznaczone „Poczta prawnicza”, pewnie na wypadek gdyby kogoś w więzieniu zaciekawiła koperta NAS i postanowił do niej zajrzeć. Poza tym na kopertach widniały tylko nasze nazwiska.

Obaj milczą przez chwilę. Marino pali i pije piwo.

– No cóż, jest pewna możliwość, jedyna, jaka przychodzi mi do głowy – oświadcza wreszcie. – Sprawdziłem w NAS i poczynając od strażnika więziennego jest tam pięćdziesięciu sześciu funkcjonariuszy, którzy są jej członkami. Nie byłoby w tym nic niezwykłego, gdyby taka koperta gdzieś tam sobie po prostu leżała.

Benton potrząsa głową.

– Ale twój adres został wydrukowany, wydrukowany na maszynie. Jak Chandonne miałby tego dokonać?

– Jak, do diabła, wytrzymujesz w takiej norze? Nie masz tu nawet klimatyzacji! Zbadaliśmy koperty, w których przyszły listy, ale mają te samoprzylepne paski. Więc nie musiał niczego lizać.

To unik i kapitan o tym wie. Do samoprzylepnych pasków mogą przylgnąć martwe komórki naskórka. Nie chce odpowiadać na pytanie Bentona.

– Jak Chandonne zdołał przysłać ci listy w takiej kopercie? – Tamten potrząsa fotokopią przed nosem detektywa. – I czy nie wydaje ci się trochę dziwne, że nadruk „Przesyłka polecona” został skasowany? Po jaką cholere?

– Chyba musimy poprosić Wilkołaka, żeby nam to wyjaśnił – odpowiada ostro Marino. – Nie mam bladego pojęcia.

– Za to wiesz na pewno, że listy są od Jean-Baptiste’a. – Benton waży każde słowo. – Pete, stać cię na więcej.

Marino ociera czoło rękawem.

– Widzisz, po prawdzie, to nie możemy niczego udowodnić naukowo. Ale nie dlatego, że nie próbowaliśmy. Używaliśmy lumalite i próbowaliśmy z DNA, ale na razie bez rezultatu.

– Mitochondrialny DNA? Próbowaliście z tym?

– Po co zawracać sobie głowę? To zajmie miesiące, a do tego czasu on będzie już martwy. I nie ma mowy, żebyśmy coś znaleźli. Ponieważ, ujmując rzecz wprost, nie sądzisz, że dupek nas podpuszcza, używając koperty Narodowej Akademii Sprawiedliwości? Nie przyszło ci to do głowy? Nie sądzisz, że nas podpuszcza, każe nam przeprowadzać te wszystkie testy, a sam doskonale wie, że gównem znajdziemy? Wszystko, co musiał zrobić, to owinąć sobie ręce papierem toaletowym, kiedy czegokolwiek dotykał.

– Może – odpowiada Benton.

Marino lada chwila wybuchnie. Jest zirytowany do ostatecznych granic.

– Spokojnie, Pete – rzuca tamten. – Miałbyś o mnie złe zdanie, gdybym nie spytał.

Detektyw patrzy na niego gniewnie.

– Moja opinia? – ciągnie Benton. – Napisał te listy i uważał, żeby nie zostawić żadnych śladów. Nie wiem, jak mu się udało zdobyć kopertę

Narodowej Akademii Sprawiedliwości, i masz rację, podpuszcza nas. Szczerze mówiąc, jestem zaskoczony, że nie odezwał się do ciebie wcześniej. Listy wyglądają na autentyczne, to raczej nie jest czyjś głupi kawał. Wiemy, że Jean-Baptiste ma obsesję na punkcie kobiecych piersi. – Mówi to klinicznie obojętnym tonem. – Wiemy, że prawdopodobnie dysponuje informacjami, które mogą zniszczyć jego przestępczą rodzinę i kartel. Pasuje to do jego nienasyconej potrzeby dominacji, że stawia takie warunki, jakie postawił.

– A dlaczego twierdzi, że Kay chce się z nim spotkać?

– Ty mi powiedz.

– Nigdy do niego nie pisała. Zapytałem ją o to wprost. Po jakiego diabła miałaby pisać do takiego świra? Powiedziałem jej o kopercie Narodowej Akademii Sprawiedliwości, że przyszły w niej listy do niej i do mnie. Pokazałem jej fotokopię...

– Czego? – przerywa Benton.

– Fotokopię koperty Narodowej Akademii Sprawiedliwości. – Marino znów zaczyna się irytować. – Tej, w której przyszły listy Wilkołaka. Powiedziałem jej, że jeśli sama dostanie list w takiej kopercie, ma go nie otwierać, nawet nie dotykać. Naprawdę myślisz, że on chce, żeby to Kay go zabiła?

– Jeśli zamierza umrzeć...

– Zamierza? – przerywa mu Marino. – Nie sądzę, aby nasz mały Wilczek miał w tej sprawie dużo do powiedzenia.

– Do tego czasu mnóstwo może się wydarzyć, Pete. Pamiętaj, jakie on ma powiązania. Nie byłbym niczego pewien. A tak nawiasem mówiąc, jego list do Lucy też przyszedł w kopercie Narodowej Akademii Sprawiedliwości z wydrukowanym znaczkiem?

– Taa.

– Fantazje na temat lekarki podającej mu śmiertelny zastrzyk i patrzącej, jak umiera, mogą go podniecać. – Benton myśli na głos.

– Nie jakiejś lekarki. Mówimy o doktor Scarpencie.

– Chce panować i dominować nad inną istotą ludzką do samego końca, zmusić ją, żeby dokonała czynu, który zawsze będzie ją prześladował. – Benton urywa, potem dodaje: – Jeśli kogoś zabijasz, nigdy o nim nie zapomnisz, prawda? Musimy potraktować te listy poważnie. Uważam, że są od niego – bez względu na odciski palców, DNA i całą resztę.

– Tak, ja też myślę, że są od niego, a to znaczy, że on nie żartuje, i właśnie dlatego tu jestem, jeśli jeszcze nie załapałeś. Jeżeli uda nam się skłonić Wilkołaka do mówienia, dopadniemy pomagierów jego tatusia i wyłączymy kartel Chandonne'ów z interesu. A ty nie będziesz już musiał niczym się martwić.

– Co to znaczy „my”?

– Może byś przestał to powtarzać! – Detektyw wstaje, aby wziąć sobie kolejne piwo. Gniew i rozgoryczenie znowu w nim płoną. – Nie rozumiesz? – woła, myszkując w lodówce. – Po siódmym maja, kiedy Wilkołak umrze, a my dostaniemy jego zeznania, nie będzie żadnego powodu, żebyś nadal miał być Tomem jak mu tam!

– Co to znaczy „my”?

Marino parska jak byk i tym razem otwiera butelkę dos equis.

– My to my. My to Lucy.

– Czy Lucy wie, że postanowiłeś się ze mną spotkać?

– Nie. Nikomu nie powiedziałem i nie powiem.

– To dobrze. – Benton nie porusza się na krześle.

– Wilkołak podsuwa nam pionki, żebyśmy je strącili z szachownicy – kontynuuje swoje rozważania kapitan. – Może już dał nam pierwszy,

wystawiając Rocca. Chyba ktoś musiał go wystawić, skoro nagle stał się poszukiwany.

– Rozumiem. Jak to miło ze strony Chandonne’a, że twój syn jest jego pierwszym pionkiem. Odwiedzisz Rocca w więzieniu, Pete?

Marino nagle rozbija butelkę w zlewie. Brzęczy szkło. Podchodzi do Bentona, pochyła się nad nim i patrzy mu prosto w twarz.

– Przestań o nim mówić, słyszysz mnie? Mam nadzieję, że w więzieniu złapie AIDS i umrze! Spowodował tyle cierpień! Teraz jego cholerna kolej!

– Czyich cierpień? – Benton nie cofa się przed gorącym oddechem detektywa. – Twoich cierpień?

– Zaczęło się od cierpień jego matki. I trwa nadal. – Marino wciąż nie może myśleć spokojnie o Doris, swojej byłej żonie i matce Rocca.

Była jedyną prawdziwą miłością Marina, kiedy przeżywał swoje najlepsze lata. Myślał o niej jako o jedynej prawdziwej miłości jeszcze długo po tym, jak przestał zwracać na nią uwagę. Był wstrząśnięty, gdy go zostawiła dla innego mężczyzny.

Kiedy to wszystko przelatuje mu przez głowę, krzyczy do Bentona:

– Będziesz mógł wrócić do domu, ty pierdolony idioto! Będziesz mógł znowu żyć własnym życiem!

Detektyw siada na kanapie, oddycha ciężko, a jego czerwona twarz kojarzy się Bentonowi z 575M maranello ferrari, które widział w Cambridge. Miało kolor ciemnego burgunda, a myśl o samochodzie przypomina mu o Lucy, która zawsze kochała szybkie, potężne maszyny.

– Będziesz mógł widywać doktorkę, Lucy i...

– Nieprawda – szepcze Benton. – Jean-Baptiste Chandonne sam wmanewrował się w tę sytuację. Jest dokładnie tam, gdzie chciał być. Połącz wszystkie fakty, Pete. Cofnij się do momentu, kiedy został aresztowany. Zaszokował wszystkich, składając dobrowolne zeznanie na

temat jeszcze jednego morderstwa, tego w Teksasie, a potem, jakby nigdy nic, przyznał się do winy. Dlaczego? Ponieważ chciał być sądzony w Teksasie. To był jego wybór, a nie gubernatora Wirginii.

– Nigdy w życiu – sprzeciwia się Marino. – Nasz ambitny gubernator Wirginii nie chciał wkurzyć Waszyngtonu, wkurzając Francję – światową stolicę przeciwników kary śmierci. Wysłał więc Chandonne’a do Teksasu.

Benton potrząsa głową.

– Wcale nie. To Jean-Baptiste Chandonne wysłał Jean-Baptiste’a Chandonne’a do Teksasu.

– A skąd ty to, do diabła, wiesz? Rozmawiasz z ludźmi? Myślałem, że nie rozmawiasz z nikim.

Jego rozmówca nie odpowiada.

– Nie rozumiem – ciągnie Marino. – Dlaczego Wilkołak miałby upodobać sobie Teksas?

– Wiedział, że tam umrze szybko, a chciał umrzeć szybko. To była część jego planu. Nie miał ochoty gnąć w celi śmierci przez dziesięć czy piętnaście lat. A w Teksasie ma znacznie większe możliwości manipulowania ludźmi. Wirginia mogłaby się ugiąć pod naciskiem politycznym i wstrzymać jego egzekucję.

Wirginia jest również bardzo rygorystyczna i każdy jego krok byłby śledzony. Nie mógłby sobie na zbyt wiele pozwolić, ponieważ stróże prawa i strażnicy więzienni postawiliby sobie za cel zadbać o jego bezpieczeństwo i dobre sprawowanie. Znalazłby się pod ścisłym nadzorem. Nie mów mi, że gdyby siedział w Wirginii, jego poczta nie byłaby potajemnie sprawdzana. Do diabła z prawami skazańca!

– W Wirginii z przyjemnością usmażyliby mu dupę – upiera się Marino.
– Po tym, co zrobił.

– Zabił kasjerkę. Zabił gliniarza. Omal nie zabił głównego lekarza sądowego. Ówczesny gubernator jest teraz senatorem i przewodniczącym krajowego komitetu demokratów. Nie wkurzył Waszyngtonu, ponieważ nie zamierzał wkurzać Francuzów. Gubernator Teksasu, który odbywa właśnie drugą kadencję i jest porywczym republikaninem, nawiasem mówiąc, nie dba o to, kogo wkurza.

– Główny lekarz sądowy? Nie możesz się zdobyć na to, żeby wypowiedzieć jej imię i nazwisko czy co? – woła z niedowierzaniem Marino.

ROZDZIAŁ 19

Przed laty ciotka Kay opowiadała Lucy Farinelli o głowie niemieckiego żołnierza, który zginął podczas drugiej wojny światowej.

Ciało znaleziono zakopane w piasku gdzieś w Polsce, wspominała, a jałowe środowisko doskonale zachowało jego aryjskie krótkie jasne włosy, regularne rysy i nawet zarost na policzkach. Kiedy doktor Scarpetta zobaczyła głowę w polskim instytucie medycyny sądowej, gdzie przyjechała wygłosić wykład, pomyślała o madame Tussaud.

– Przednie zęby były połamane – opowiadała Scarpetta, wyjaśniając, iż nie uważa, by do uszkodzenia zębów doszło po śmierci bądź mniej więcej w chwili śmierci chłopca. Po prostu miał kiepską opiekę dentystyczną. – Rana postrzałowa na prawej skroni – zacytowała oficjalną przyczynę śmierci z raportu. – Kąt rany wskazywał, że broń była skierowana w dół. Przy samobójstwie wylot lufy byłby skierowany na wprost albo ku górze. W tym wypadku nie znaleziono śladów sadzy, rana była czysta, włosy wokół niej ogolono w kostnicy, dokąd wysłano zmumifikowane szczątki, aby się upewnić, że śmierć nie nastąpiła niedawno. Tak mi przynajmniej powiedziano, kiedy wygłaszałam wykład w Pomorskiej Akademii Medycznej.

Jedyny powód, dla którego Lucy przypomniała sobie zastrzelonego nazistę, kiedy jej samochód przeszukiwano na północno-wschodniej granicy Niemiec, jest taki, że niemiecki strażnik jest przystojnym, niebieskookim blondynem i wydaje się o wiele za młody, żeby być znudzonym tym, co robi, gdy zagląda do wnętrza jej czarnego wypożyczonego mercedesa, omiatając skórzane siedzenia światłem latarki. Następnie sprawdza

wyłożoną czarnym dywanikiem podłogę, silny snop oświetla czarną skórzaną aktówkę Lucy i czerwoną torbę Nike z tyłu. Wreszcie żołnierz kieruje latarkę na przednie siedzenie pasażera, po czym podchodzi do bagażnika i otwiera go. Zamyka, ledwie rzuciwszy do środka okiem.

Gdyby zadał sobie trud, żeby rozpiąć suwaki dwóch toreb i poszukać wśród ubrań, znalazłby składaną pałkę. Wygląda zupełnie jak czarny gumowy uchwyt wędki, ale szybki ruch nadgarstka przekształca ją w sześćdziesięciocentymetrowy pręt z karburezowanej stali, zdolny strzaskać kość i rozerwać miękką tkanę, w tym organy wewnętrzne w jamie brzusznej.

Lucy jest przygotowana na pytanie po co jej taka broń, stosunkowo mało znana i używana wyłącznie przez stróżów prawa. Powiedziałaaby, że jej nadopiekuńczy chłopak dał jej pałkę do samoobrony, ponieważ prowadząc interesy, często podróżuje sama. Naprawdę nie bardzo wie, jak się posługiwać czymś takim, wyjaśniłaby zakłopotana, ale on się uparł i zapewniał, że to całkowicie zgodne z prawem. Gdyby straż skonfiskowała pałkę, trudno. Ale Lucy odczuwa ulgę, że broń nie została odkryta i że funkcjonariusz w jasnozielonym mundurze, sprawdzający jej paszport z wnętrza swojej budki, nie wydaje się zaciekawiony młodą Amerykanką, która jedzie sama po nocy mercedesem.

– Jaki jest cel pani wizyty? – pyta nieporadną angielszczyzną.

– *Geschäft*. – Nie mówi mu, jakie interesy, ale ma przygotowaną odpowiedź, gdyby zaszła taka konieczność.

Funkcjonariusz podnosi słuchawkę telefonu i mówi coś, czego Lucy nie udaje się zrozumieć, lecz wyczuwa, że nie mówi o niej, a jeśli nawet, to nic ważnego. Spodziewała się, że jej rzeczy zostaną przeszukane, i jest na to gotowa. Ale strażnik, który przywodzi na myśl zastrzelonego nazistę, zwraca jej paszport.

– *Danke* – mówi Lucy i w milczeniu klasyfikuje go jako *trag Narr*.

Świat jest pełen leniwych głupców takich jak on.

Macha na nią, żeby przejeżdżała.

Rusza powoli, przekraczając polską granicę, a tam kolejny strażnik, tym razem polski, poddaje ją tej samej procedurze. Nie ma żadnych problemów, żadnego dokładnego sprawdzania, ani śladu niczego poza sennością i nudą. To zbyt proste. Odzywa się paranoja. Lucy przypomina sobie, że nie powinna ufać niczemu, co jest zbyt proste, i wyobraża sobie gestapowców i esesmanów, okrutne widma z przeszłości. Strach unosi się jak odór ciała, strach pozbawiony podstaw i irracjonalny. Pot spływa jej po plecach pod wiatrówką, kiedy myśli o Polakach, pokonanych, pozbawionych własnych nazwisk i zabijanych podczas wojny, którą zna tylko z podręczników historii.

Bardzo podobnie istnieje Benton Wesley, a Lucy zastanawia się, co by myślał i czuł, gdyby wiedział, że ona jest w Polsce i dlaczego. Nie ma dnia, żeby nie rzucał cienia na jej życie.

ROZDZIAŁ 20

Jej doświadczenie zawodowe nie ujawnia się, dopóki Lucy celowo nie posłuży się nim jak bronią.

Była jeszcze w szkole średniej, kiedy zaczęła pracować dla FBI i zaprojektowała ich kryminalną sieć sztucznej inteligencji, znaną jako CAIN. Kiedy ukończyła Uniwersytet Wirginii, została agentem specjalnym FBI. Jako ekspert komputerowy i techniczny miała dużą niezależność. Nauczyła się pilotować śmigłowce i została pierwszym żeńskim członkiem HRT, specjalnego zespołu FBI do ratowania zakładników. Wrogość, szykany i okrutne insynuacje towarzyszyły jej przy każdym nowym przydziale, każdej operacji i każdym treningu. Mężczyźni rzadko zapraszali ją na piwo do baru akademii nazywanego Salą Konferencyjną. Nie opowiadali jej o akcjach, które poszły źle, ani o żonach, dzieciach i dziewczynach. Ale ją obserwowali i rozmawiali o niej pod prysznicem.

Jej kariera w FBI dobiegła końca pewnego dżdżystego październikowego poranka, kiedy Lucy i jej partner w zespole, Rudy Musil, strzelali do celu dziewięciomilimetrowymi pociskami w Domu Opon akademii FBI. Jak sama nazwa wskazuje, ta bardzo niebezpieczna kryta strzelnica była wypełniona starymi oponami, wśród których agenci operacyjni musieli biegać, skakać, czołgać się i chować, kiedy odbywali swoje maniackie ćwiczenia. Rudy dyszał ciężko i pocił się, klęcząc za stertą opon, wkładając nowy magazynek do glocka i rozglądając się za Lucy, swoją partnerką.

– W porządku, wyjaśnijmy coś! – zawołał do niej przez dym prochowy.
– Jakie są twoje preferencje seksualne?

– Uprawiać seks tak często, jak to możliwe! – Przeładowała broń i odciągnęła suwadło, czołgając się pomiędzy oponami, zanim wystrzeliła pięć pocisków do oddalonego o dziesięć metrów celu. Seria strzałów w głowę była tak skoncentrowana, że ślady po kulach wyglądały jak mały kwiat.

– Ach tak? – Dwie kule trafiły z donośnym brzękiem w sylwetkę zbira trzymającego karabin maszynowy. – Założyliśmy się o to z chłopakami. – Głos się zbliżał, Rudy czołgał się po brudnej betonowej podłodze.

Wyskoczył zza stosu okopconych opon i chwycił niepodświadomie niczego Lucy za wzmocnione stałą buty Red Wing.

– Mam cię! – Roześmiał się, odkładając broń na oponę.

– Odbiło ci? – Lucy wyprowadziła nabój z komory, wyrzucona łuska spadła na podłogę. – Strzelamy ostrą amunicją, ty pieprzony idioto!

– Pokaż. – Rudy spowaźniał. – To nie brzmi dobrze.

Wziął od niej pistolet i wyjął magazynek.

– Luźna sprężyna. – Potrząsnął pistoletem, zanim położył go na oponie obok swojego. – Aha, zasada numer jeden: nigdy nie oddawaj broni.

Położył się na niej, śmiejąc się, kiedy się z nią mocował, przekonany, że Lucy właśnie tego chce, że jest podniecona i tylko się z nim droczy, kiedy wrzeszczy:

– Zejdź ze mnie, dupku!

Wreszcie unieruchomił jej oba nadgarstki jedną ręką, wsunął drugą pod bluzkę i wepchnął język do ust Lucy, kiedy rozpiął jej stanik.

– Chłopaki mówią – sapał – że jesteś lesbą, ponieważ – gmerał przy klamerce jej paska – nie mogą cię przelecieć...

Lucy przegryzła Rudy'emu dolną wargę i rąbnęła go czołem w grzbiet nosa. Spędził resztę dnia w ambulatorium.

Prawnicy FBI poinformowali ją, że sprawy nie można rozstrzygnąć na niczyją korzyść, ponieważ Rudy uważał, że ona „chciała tego” i prawdopodobnie miał powód, aby tak myśleć. Lucy powiedziała Rudy’emu, że chce to robić „tak często jak to możliwe”, jak przyznał niechętnie w oświadczeniu, które był zmuszony złożyć w wydziale spraw wewnętrznych.

– To prawda – zgodziła się spokojnie Lucy, składając zaprzysiężone oświadczenie przed komisją pięciu prawników, z których żaden nie reprezentował jej. – Powiedziałam tak, ale nie powiedziałam, że chcę to robić z nim czy z kimkolwiek innym w środku ostrego strzelania w środku Domu Opon w środku ćwiczeń i w środku mojej miesiączki.

– Ale kokietowała go pani w przeszłości. Dała pani agentowi Musilowi do zrozumienia, że jest dla pani pociągający.

– W jaki sposób? – zdumiała się Lucy. – Często go od czasu do czasu gumą do żucia, pomagając mu czyścić broń, biegając z nim po Yellow Brick Road i innych torach przeszkód, łącznie z tym najgorszym w bazie piechoty morskiej, dowcipkując i takie tam rzeczy?

– Poczucie bycia razem – stwierdzili zgodnie prawnicy.

– To mój partner. Partnerzy muszą mieć poczucie bycia razem.

– Mimo to zdawała się pani poświęcać sporo czasu i uwagi agentowi Musilowi, w tym również uwagi osobistej, pytając go o weekendy i wakacje i telefonując do niego do domu, kiedy był chory.

– Może dowcipkowanie, jak to pani ujęła, mogło zostać zinterpretowane jako flirtowanie? Niektórzy ludzie dowcipkują, kiedy flirtują.

Prawnicy znowu się zgodzili, a co najgorsze, były wśród nich dwie kobiety – kobiety w męskich garniturach i butach na wysokich obcasach, kobiety, w których oczach odzwierciedlała się identyfikacja z napastnikiem, jakby ich tęczęwki były przyklejone do gałek ocznych odwrotnie, jakby

były ciemne, a niejasne, i ślepe na to, co się dzieje przed nimi. Kobiety prawniczki miały martwe oczy ludzi, którzy wychodzą z siebie, żeby dostać to, co chcą, lub stać się tym, czego się boją.

– Przepraszam – powiedziała Lucy, koncentrując się i unikając martwych oczu. – Zagłuszacie mnie. Proszę powtórzyć – mruknęła żargonem lotniczym.

– Przepraszam? Kto panią zagłusza? – Marsowe miny.

– Zagłuszacie moją transmisję do wieży. Och, tu nie ma żadnej wieży. To niekontrolowana przestrzeń powietrzna, a wy możecie robić, co wam się podoba. Tak?

Znowu marsowe miny. Prawnicy spoglądali po sobie, jakby Lucy zachowywała się bardzo dziwnie.

– Nieważne – dodała.

– Jest pani atrakcyjną samotną kobietą. Nie rozumie pani, że agent Musil mógł zinterpretować dowcipkowanie, telefony do domu i tak dalej jako oznakę seksualnego zainteresowania z pani strony, agentko Farinelli?

– Stwierdzono również, że często określała pani agenta Musila i siebie jako „jin i jlang”.

– Powtarzałam Rudy’emu setki razy, że jlang to malajskie drzewo. Jlang-jlang, ściśle mówiąc. Drzewo o żółtych kwiatach, z których destyluje się perfumy... ale on nie zawsze dostraja uszy na właściwą częstotliwość. – Lucy starała się nie uśmiechnąć.

Prawnicy robili notatki.

– Nigdy nie nazwałam Rudy’ego „jlang”. Od czasu do czasu nazywałam go „Jang”, a on nazywał mnie „jing”, bez względu na to, ile razy mu mówiłam, że to słowo brzmi „jin” – wyjaśniała dalej Lucy.

Milczenie, pióra zawisły w powietrzu.

– To ma związek z chińską filozofią. – Równie dobrze Lucy mogłaby przemawiać do ściany. – Równowaga, jedność przeciwieństw.

– Dlaczego nazywaliście siebie nawzajem... jakoś tam?

– Ponieważ jesteśmy jak dwa ziarenka w korcu maku. Znacie to wyrażenie?

– Wyrażenie „dwa ziarenka w korcu maku” chyba jest nam znane. Ale takie przezwiska znowu sugerują więź...

– Nie tego rodzaju, o jakim mówicie – odparta Lucy bez gniewu, ponieważ nie czuła do Rudy’ego nienawiści. – On i ja jesteśmy jak dwa ziarenka w korcu maku, ponieważ żadne z nas tu nie pasuje. On jest Austriakiem i reszta chłopaków nazywa go Musili, ponieważ jest, cytuję, kupą gówna, czego on wcale nie uważa za zabawne. A ja jestem lesbijką, wrogiem mężczyzn, ponieważ żadna normalna kobieta, która lubi mężczyzn, nie chciałaby służyć w oddziale specjalnym. Zgodnie z prawami machismo.

Lucy przyjrzała się oczom członków komisji i uznała, że oczy prawników mężczyzn też są martwe. Jediną oznaką życia był w nich nieprzyjazny wyraz małych, żalonych istot, które nienawidzą kogoś takiego jak ona, ponieważ ośmieliła się nie dać się im sterroryzować i zastraszyć.

– Ta rozmowa, oświadczenie, przesłuchanie, cokolwiek to, do diabła, jest, to strata czasu – oznajmiła. – Nie mam zamiaru pozywać pieprzonego Biura Śledczego. Poradziłam sobie w Domu Opon i nie zameldowałam o incydencie. Rudy zameldował. Musiał wytłumaczyć swoje obrażenia. Wziął na siebie odpowiedzialność. Mógł skłamać, ale nie zrobił tego i oboje możemy spojrzeć sobie w oczy. – Użyła słowa „oczy”, żeby przypomnieć prawnikom o ich martwych tęczęwkach, jakby tamci wiedzieli, że są one martwe i nie dostrzegają rzeczywistości, w której prawda miesza się z

różnymi możliwościami, i jakby błagali innych, aby je rozdzielili i wypowiedzieli wojnę ludziom o martwych oczach, którzy rządzą światem.

– Rudy i ja doszliśmy do porozumienia – ciągnęła spokojnie Lucy. – Ustaliliśmy, że jesteśmy partnerami, a jeden partner nie robi tego, czego drugi nie chce, i nie dopuszcza się niczego, co mogłoby zaszkodzić drugiemu bądź zostać uznane przez niego lub przez nią za akt zdrady. Powiedział mi, że jest mu przykro. I mówił poważnie. Płakał.

– Szpiegzy też mówią, że im przykro. Też płaczą – powiedziała wroga kobieta prawniczka w garniturze w prążki i butach na wysokich obcasach, które przywodziły Lucy na myśl obandażowane ciasno stopy. – A przyjęcie przez panią jego przeprosin to nie jest wyjście, agentko Farinelli. Próbował panią zgwałcić. – Podkreśliła ten fakt, zakładając, że znowu upokorzy i sterroryzuje Lucy, zachęcając prawników mężczyzn, aby wyobrazili ją sobie nagą i seksualnie wykorzystaną na brudnej betonowej podłodze Domu Opon.

– Nie wiedziałam, że Rudy’ego oskarża się o szpiegostwo – odparła Lucy.

Zrezygnowała z pracy w FBI i została zatrudniona przez Agencję do spraw Alkoholu, Tytoniu, Broni Palnej i Materiałów Wybuchowych, uważaną niesłusznie przez FBI za zbiorowisko nieokrzęsanych chłopców, którzy rozbijają destylarnie bimbrowe i noszą pasy z rewolwerami oraz dubeltówki.

Została ekspertem od pożarów w Filadelfii, gdzie pomogła sfingować morderstwo Bentona Wesleya, co obejmowało dostarczenie zwłok z prosektorium akademii medycznej. Martwy mężczyzna był stary, miał gęste srebrne włosy, a ponieważ poniósł śmierć w płonącym budynku, identyfikacja wizualna wydawała się mało prawdopodobna, jeśli nie całkowicie niemożliwa. Na brudnym, zlanym wodą, dymiącym miejscu

zbrodni wstrząśnięta Kay Scarpetta zobaczyła tylko zwęglone ciało, pozbawioną twarzy czaszkę ze srebrnymi włosami i tytanowy zegarek na rękę, który należał do Bentona Wesleya. Zgodnie z tajnymi rozkazami z Waszyngtonu głównemu lekarzowi sądowemu w Filadelfii polecono sfałszować wszystkie raporty. Na papierze Benton był martwy, stał się kolejnym przypadkiem zabójstwa włączonym do statystyki kryminalnej FBI za 1997 rok.

Kiedy zniknął w czarnej dziurze programu ochrony świadków, ATF natychmiast przeniosła dziewczynę do biura terenowego w Miami, gdzie Lucy zgłosiła się do niebezpiecznej tajnej roboty i dostała ją, pomimo zastrzeżeń ze strony naczelnego agenta specjalnego. Lucy miewała humory, była zmienna w nastrojach i nikt z bliskich jej ludzi z wyjątkiem Pete'a Marino nie rozumiał, dlaczego. Ciocia Kay nie znała ani nawet mgliście nie podejrzewała prawdy. Zakładała, iż Lucy przechodzi trudny okres, ponieważ nie może uporać się ze śmiercią Bentona, natomiast w rzeczywistości Lucy nie mogła uporać się z tym, że on żyje. W ciągu roku po objęciu nowego stanowiska w Miami zastrzeliła dwóch handlarzy narkotyków podczas akcji, która poszła źle.

Pomimo taśm wideo, które jasno wykazały, że uratowała życie sobie i swojej partnerce, było dużo gadania. Pojawiły się brzydkie plotki, insynuacje i jedno administracyjne dochodzenie po drugim. Lucy rzuciła ATF, w ogóle rzuciła FBI. Spieniężyła swoje akcje, zanim gospodarka zachwiała się i załamała po jedenastym wrześniu. Zainwestowała część majątku, wraz z doświadczeniem w pracy policyjnej i talentem, w utworzenie prywatnej agencji dochodzeniowej pod nazwą Ostatni Posterunek. To właśnie tam idziesz, kiedy nie masz już dokąd pójść. Firma nie jest zarejestrowana ani nie figuruje w żadnej książce telefonicznej.

ROZDZIAŁ 21

Benton wstaje z krzesła i wsuwa rękę w kieszenie.

– Ludzie z przeszłości – mówi. – Mamy wiele wcieleń, Pete, a przeszłość to śmierć. Coś skończonego. Coś, co nie może wrócić. Idziemy dalej i wymyślamy siebie na nowo.

– Co za stek bzdur. Spędzasz za dużo czasu w samotności – mówi z niesmakiem Marino, lecz strach mrozi mu serce. – Doprowadzasz mnie do mdłości. Cholernie się cieszę, że nie ma tu doktor Kay i że tego nie widzi. Chociaż może powinna, może wreszcie uwolniłaby się od ciebie, tak jak ty najwyraźniej uwolniłeś się od niej. Cholera, nie mógłbyś włączyć klimatyzacji w tej norze? – Podchodzi do okna i przekręca klimatyzator na maksimum. – Wiesz, co ona teraz robi, czy masz to głęboko w dupie? Nic. Jest cholernym konsultantem. Zwolniona z pracy. Możesz w to uwierzyć? Pieprzony gubernator Wirginii pozbył się jej z powodu politycznego gówna! A zwolnienie z pracy w samym środku skandalu nie pomaga w interesach – grzmi dalej. – Nikt jej nie chce, chyba że przy jakiejś zaszranej sprawie w jakiejś zaszranej dziurze, gdzie nie mogą sobie pozwolić na zatrudnienie eksperta, a ona robi to za darmo. Jak to głupie przedawkowanie narkotyków w Baton Rouge. Zwykle głupie przedawkowanie narkotyków...

– W Luizjanie? – Benton podchodzi do okna i wygląda na ulicę.

– Tak, tamtejszy koroner zadzwonił do mnie dziś rano, zanim wyjechałem z Richmondu. Jakiś facet nazwiskiem Lanier. Stare przedawkowanie narkotyków. Nic o tym nie wiedziałem, więc on mnie spytał, czy doktor Kay robi prywatne konsultacje, i generalnie wypytywał

mnie o jej umiejętności. Wkurzyłem się jak cholera. Więc do tego już doszło, doktor Scarpetta potrzebuje pierdolonych referencji!

– W Luizjanie? – powtarza Benton, jakby to musiała być jakaś pomyłka.

– Znasz jakiś inny stan z miastem o nazwie Baton Rouge? – pyta niegrzecznie detektyw, podnosząc głos z powodu hałasującego klimatyzatora.

– To niedobre miejsce dla niej – mówi zagadkowo tamten.

– No cóż, w Nowym Jorku i Los Angeles jej nie chcą. Cholernie dobrze, że ma własne pieniądze, bo w przeciwnym razie...

– To tam doszło do tych seryjnych morderstw... – zaczyna Benton.

– Ale to nie zespół operacyjny pracujący nad tą sprawą ją wzywa. To nie ma nic wspólnego z tymi zniknięciami kobiet. To zwykłe gówno. Zamknięte śledztwo. Przypuszczam, że ten koroner do niej zadzwoni. A jak znam doktor Kay, ona mu pomoże.

– Rejon, gdzie zginęło dziesięć kobiet, a koroner dzwoni w jakiejś starej sprawie? Dlaczego teraz?

– Nie wiem. Podpucha.

– Jaka podpucha?

– Nie wiem!

– Chcę wiedzieć, dlaczego to przedawkowanie narkotyków stało się nagle takie ważne – upiera się Benton.

– Masz anteny zawiązane na supeł? – krzyczy Marino. – Nie złapałeś najważniejszego. Życie Kay Scarpetty zamieniło się w gówno. To tak jakby król strzelców zaczął grać w lidze młodzieżowej.

– Luizjana to niedobre miejsce dla niej – powtarza Wesley. – Dlaczego tamten koroner do ciebie zadzwonił? Tylko po referencje?

Detektyw potrząsa głową, jakby próbował się obudzić. Pociera twarz. A więc Benton całkiem stracił wyczucie.

– Koroner zadzwonił do mnie, ponieważ potrzebuje mojej pomocy w tej sprawie – mówi.

– Twojej pomocy?

– A co to, do kurwy nędzy, ma znaczyć? Uważasz, że nie mogę pomóc komuś przy sprawie? Mógłbym pomóc każdemu pieprzonemu...

– Oczywiście że mógłbyś. Dlaczego więc nie pomagasz temu koronerowi z Baton Rouge?

– Ponieważ nic nie wiem o sprawie! Jezu, doprowadzasz mnie do szału!

– Ostatni Posterunek mógłby pomóc.

– Odpierdolisz się wreszcie? Koroner wcale nie wydawał się szczególnie napalony ani przejęty, po prostu sugerował, że mógłby potrzebować jej medycznej opinii...

– Ich system prawny jest oparty na Kodeksie Napoleona.

Marino nie ma pojęcia, o czym tamten mówi.

– Co ma do tego Napoleon?

– Francuski system prawny – wyjaśnia Benton. – To jedyny stan w Ameryce, który ma system prawny oparty na francuskim, nie na angielskim. Baton Rouge ma więcej niewyjaśnionych zabójstw kobiet niż jakiegokolwiek inne miasto w Ameryce.

– W porządku, zgoda. A więc to nie jest miłe miejsce.

– Nie powinna tam jechać. Zwłaszcza sama. Pod żadnym pozorem. Zadbaj o to, Pete. – Benton wciąż wygląda przez okno. – Zaufaj mi.

– Zaufać ci. Dobry kawał.

– Przynajmniej ty mógłbyś się o nią zatroszczyć.

Marino jest wściekły, wpatruje się w jego plecy.

– Ona nie może się do niego zbliżyć.

– O kim ty mówisz, do cholery? – pyta Marino, jego frustracja się wzmacnia. Benton jest teraz kimś obcym, nie zna tego człowieka. – O

Wilkołaku? Jezu, myślałem, że mówimy o sprawie przedawkowania narkotyków w kraju Kreolów.

– Nie pozwól jej tam jechać.

– Nie masz prawa prosić mnie o nic, zwłaszcza jeśli chodzi o nią.

– On ma obsesję na jej punkcie.

– Co to, do diabła, ma wspólnego z Luizjaną? – Marino podchodzi bliżej i patrzy Wesleyowi badawczo w twarz, jakby usiłował odczytać coś, czego nie może wyraźnie zobaczyć.

– To dalszy ciąg walki o władzę, którą przegrał w przeszłości. A teraz zamierza wygrać, nawet jeśli to będzie ostatnia rzecz, jaką zrobi.

– Nie wydaje mi się, żeby wygrał cokolwiek, kiedy wstrzykną mu dawkę koktajlu, która mogłaby zabić stado koni.

– Nie mówię o Wilkołaku. Zapomniałeś o drugim Chandonnie, jego bracie? To Ostatni Posterunek może pomóc koronerowi. Ona nie powinna.

Marino nie słucha. Czuje się tak, jakby siedział na tylnym siedzeniu pędzącego samochodu, którego nikt nie prowadzi.

– Kay wie, czego od niej chce Wilkołak. – Trzyma się jednego wątku; tego, który go interesuje i jest sensowny. – Nie będzie miała nic przeciwko temu, żeby wbić mu igłę, a ja będę się uśmiechał z za przydymionej szyby.

– A spytałeś ją, czy będzie miała coś przeciwko temu? – Benton patrzy na dogasający łagodnie kolejny wiosenny dzień. Delikatna, żywa zieleń zanurza się w złotym blasku słońca, a cienie kładą się coraz niżej przyziemi.

– Nie muszę pytać.

– Rozumiem. Więc nawet z nią o tym nie rozmawiałeś. Wcale mnie to nie dziwi. To nie byłoby w jej stylu, rozmawiać na ten temat z tobą.

Zniewaga jest subtelna, ale parzy Marina jak pokrzywa. Nigdy nie był blisko z Kay Scarpettą. Nikt nigdy nie był z nią blisko, nie w taki sposób

jak Benton. Nie powiedziała detektywowi, jakby się czuła w roli kata. Nie rozmawia z nim o swoich emocjach.

– Liczę na ciebie, że się o nią zatroszczysz – mówi Benton.

Powietrze wydaje się coraz gorętsze, obaj pocą się i milczą.

– Wiem, co czujesz, Pete – dodaje cicho. – Zawsze wiedziałem.

– Nic nie wiesz.

– Zatroszcz się o nią.

– Przyszedłem tu, żebyś ty mógł zacząć to robić – odpowiada Marino.

ROZDZIAŁ 22

Przystań Carthage Bluff to popularne miejsce, gdzie można kupić jedzenie i benzynę, ale Bev Kiffin tam nie przybija.

Nie zwalnia, przepływając tamtędy, i zbliża się do przystani Tin Lizzy, restauracji, której budowa z resztek zrujnowanych chat kosztowała milion dolarów i którą Bev nazywa „gównem z odzysku”. Bogacze ze stałego lądu mogą teraz przyjeżdżać do Lizzy przez most Springfield, obżerać się kreolskimi stekami i owocami morza, pić, ile dusza zapagnie, i nie muszą po zmroku wracać do domu łodzią. Sześć miesięcy temu Bev poprosiła Jaya, żeby zabrał ją tam na jej urodziny, a tylko się roześmiał, a potem twarz wykrzywiła mu się w szyderczym grymasie. Nazwał ją głupią, brzydką i kompletnie pomyloną, jeśli pomyślała, że zabierze ją do jakiegokolwiek restauracji, a co dopiero drogiej, dostępnej z autostrady.

Zazdrość tli się w niej, kiedy Bev zwiększa prędkość, kierując się prosto na zachód, do przystani Jack's Boat. Wyobraża sobie Jaya dotykającego innych kobiet.

Pamięta, jak jej ojciec sadzał sobie małe dziewczynki na kolanach. Domagał się, żeby Bev przyprowadzała do domu koleżanki, tak aby mógł je przytulać na jej oczach. Był przystojny, wiodło mu się w interesach, a kiedy była nastolatką, jej przyjaciółki durzyły się w nim. Dotykał ich tak, że nie było w tym nic oczywistego czy niestosownego i uważał to za całkowicie niewinny kontakt pomiędzy jego twardym penisem a pośladkami dziewcząt, kiedy siadały mu na kolanach. Nigdy się nie obnażał ani nie odzywał w sposób wulgarny, nigdy nawet nie przeklinał. Co najgorsze,

kiedy przypadkiem ocierał się o ich piersi, im się to podobało i czasem to one ocierały się o niego pierwsze.

Odeszła od niego pewnego dnia i nigdy nie wróciła, tak jak odeszła jej matka, kiedy Bev miała trzy lata. Zostawiała małą z ojcem i jego potrzebami. Bev dorastała uzależniona od mężczyzn, odchodząc od jednego do drugiego. Pozostawienie Jaya to jednak zupełnie inna sprawa i Bev nie bardzo wie, czemu jeszcze tego nie zrobiła. Nie bardzo wie, dlaczego robi wszystko, czego on zażąda, mimo obawy o własne bezpieczeństwo. Myśl, że któregoś dnia mógłby odpłynąć łodzią i już nigdy nie wrócić, napęnia ją przerażeniem. Dostałaby za swoje, ponieważ to właśnie zrobiła ojcu, którego w 1997 roku powalił atak serca. Bev nie poszła na jego pogrzeb.

Kierując się w stronę brzegu, myśli o rzece Missisipi. Przy dobrej pogodzie mogłaby ją przepłynąć w niecałe sześć godzin i wyczuwa, że Jay jest świadom, iż od czasu do czasu nachodzi ją chęć, by uciec nad Zatokę Meksykańską. Tłumaczył jej nieraz, że Missisipi to największa rzeka w Stanach Zjednoczonych, tysiące kilometrów rwącej, mulistej wody i dopływy, które rozlewają się w tysiące strumieni, bagien i mokradeł, gdzie człowiek może zupełnie stracić orientację, a gdyby tak się stało, „zostałby z niej tylko szkielet w dryfującej łodzi”, jak to określił Jay. To jego słowa, mówi „z niej”, nie „z niego”, a taki dobór słów nie jest przypadkowy. Jayowi nigdy nie zdarza się przejeździć ani nic podobnego.

Mimo to kiedy Bev jest na łodzi, fantazjuje na temat Missisipi, na temat przejażdżek po rzece i kasyn, koktajli owocowych i piwa w schłodzonych szklankach, na temat karnawału oglądanego z okna eleganckiego, klimatyzowanego hotelu. Jest ciekawa, czy pochorowałaby się od dobrego jedzenia, skoro od tak dawna obywa się bez niego. W wygodnym łóżku prawdopodobnie nie mogłaby zasnąć, ponieważ przywykła do cuchnących, zapadniętych materacy, na których nawet Jay już nie sypiał.

Opływa na wpół zatopioną kłodę, zaniepokojona z początku, że kłoda może się poruszyć i otworzyć zębatą paszczę, i zaczynają świerzbic, zwłaszcza pod ciasnym paskiem dzinsów.

– Cholera! – Steruje jedną ręką i wsuwa drugą pod ubranie, drapiąc się zawzięcie, ponieważ zaczerwienione miejsca swędzą coraz bardziej. – Niech to szlag! O, cholera, co za skurwiel mnie gryzie?

Oddychając ciężko, bliska paniki, przesuwa dźwignię gazu do pozycji neutralnej, otwiera luk i grzebie w plażowej torbie, szukając środka przeciw insektom, a potem spryskuje się cała, również pod ubraniem.

To wszystko dzieje się w jej głowie, powtarza zawsze Jay. Zaczerwienione miejsca to nie ukąszenia, tylko pokrzywka, ponieważ jej odbija, ponieważ jest na wpół obłąkana. „No cóż, nie byłam na wpół obłąkana, dopóki nie spotkałam ciebie, odpowiada mu w myślach. Nigdy w życiu nie miałam pokrzywki ani nic z tych rzeczy, nawet zwykłego uczulenia”. Bev dryfuje z prądem przez kilka minut, zastanawiając się, co robić, i wyobrażając sobie twarz Jaya, kiedy przyniesie mu to, czego on chce, a potem wyobrażając sobie jego twarz, jeśli tego nie zrobi.

Przesuwa dźwignię i wyrównuje kurs, pędząc z prędkością czterdziestu mil na godzinę, o wiele za szybko na ten odcinek Tickfaw i lekkomyślnie, zważywszy na jej strach przed ciemną wodą i tym, co czai się pod powierzchnią. Zataczając szeroki łuk, raptownie redukuje prędkość i skręca w wąski strumień, a potem podpływa wolno i cicho do bagnistego brzegu, który cuchnie jak śmierć. Sięga pod brezent, wyciąga strzelbę i kładzie ją na kolanach.

ROZDZIAŁ 23

Słońce oświetla fragment twarzy Bentona, który wygląda przez okno. Przez długą, napiętą chwilę panuje milczenie. Powietrze zdaje się migotać złowieszczo i Marino mruży oczy.

– Nie rozumiem. – Usta mu drżą. – Możesz być wolny, wrócić do domu, znowu zacząć żyć. – Głos mu się łamie. – Myślałem, że przynajmniej podziękujesz mi za to, że zadałem sobie trud i przyjechałem tutaj, żeby ci powiedzieć, że oboje z Lucy przez cały czas staramy się sprowadzić cię z powrotem...

– Wystawiając ją? – Benton odwraca się i patrzy na niego. – Wystawiając Kay na przynętę?

Przynajmniej wymienił jej imię, ale zachowuje taki spokój, jakby nie miał żadnych uczuć, i Marino jest wstrząśnięty. Przeciera oczy.

– Na przynętę? Co...?

– Mało ci tego, co sukinsyn już jej zrobił? – ciągnie. – Już raz próbował ją zabić. – Nie mówi o Wilkołaku. Mówi o Jayu Talleyu.

– Nie zabije jej, kiedy będzie siedziała za kuloodporną szybą, gadając przez telefon w więzieniu o zaostrowym rygorze – odpowiada detektyw, ponieważ nadal rozmawiają o dwóch różnych ludziach.

– Nie słuchasz mnie – przerywa mu Benton.

– Ponieważ ty mnie nie słuchasz – oświadcza dziecinnie Marino.

Benton wyłącza klimatyzację i otwiera okno. Zamyka oczy, kiedy wiatr dotyka zimnymi palcami jego gorących policzków. Wdycha zapach pączkującej ziemi. Na chwilę przypomina sobie dawne życie z Kay i zaczyna krwawić w środku jak człowiek chory na hemofilię.

– Czy ona wie? – pyta.

Marino pociera twarz.

– Jezu. Mdli mnie, jestem zmęczony, a ciśnienie mi skacze, jakbym był jakimś cholernym termometrem.

– Powiedz mi. – Benton przyciska dłonie do ramy okiennej, wychylając się na świeże powietrze. – Czy ona wie?

Detektyw zbiera się w sobie i wzdycha.

– Nie, do diabła. Nie wie. Nie dowie się, dopóki ty jej nie powiesz. Nie zrobiłbym jej tego. Lucy też by jej tego nie zrobiła. Widzisz – z gniewem podnosi się na nogi – niektórzy z nas za bardzo się o nią troszczą, żeby ją tak zranić. Wyobraź sobie, jak by się czuła, gdyby wiedziała, że żyjesz i że już ci na niej nie zależy. – Podchodzi do drzwi, trzęsąc się z gniewu i żalu. – Myślałem, że mi podziękujesz.

– Dziękuję ci. Wiem, że chciałeś dobrze. – Benton podchodzi do niego, jego spokój jest niesamowity. – Wiem, że nie rozumiesz, ale może któregoś dnia zrozumiesz. Zegnaj, Pete. Nie chcę cię więcej widzieć ani z tobą rozmawiać. Proszę, nie bierz tego osobiście.

Marino chwyta za gałkę i prawie odrywa ją od drzwi.

– Krzyżyk na drogę i pieprz się! Nie bierz tego osobiście.

Stoją naprzeciwko siebie jak dwaj rewolwerowcy mający stoczyć pojedynek, żaden nie chce wykonać pierwszego ruchu, żaden naprawdę nie chce, aby ten drugi odszedł z jego życia. Orzechowe oczy Bentona są puste, jakby człowiek, który oglądał nimi świat, zniknął. Marino czuje, jak wali mu serce, gdy uświadamia sobie, że tamten Benton, którego znał, odszedł i nic na świecie nie sprowadzi go z powrotem.

Będzie musiał powiedzieć o tym Lucy. W jakiś sposób będzie musiał pogodzić się z faktem, że jego marzenie o uratowaniu Bentona i

wskrzeszeniu go dla Kay Scarpetty na zawsze pozostanie marzeniem, tylko marzeniem.

– To nie ma sensu! – krzyczy.

Benton dotyka palcem wskazującym swoich warg.

– Proszę, idź już, Pete – mówi cicho. – To nie musi mieć sensu.

Marino waha się na słabo oświetlonym, cuchnącym podeście za drzwiami mieszkania numer 56.

– Dobra. – Sięga drżącą ręką po papierosy i wysypuje kilka na brudny beton. – Dobra... – Już chce powiedzieć „Benton”, ale się powstrzymuje. Kuca, aby pozbierać papierosy, a jego grube palce niezdarnie łamią dwa z nich.

Ociera oczy grzbietem wielkiej dłoni, a Wesley patrzy na niego z drzwi mieszkania. Obserwuje detektywa, nie oferując mu pomocy przy zbieraniu papierosów, niezdolny wykonać najmniejszego ruchu.

– Uważaj na siebie, Pete – mówi jako mistrz masek i samokontroli, spokojnym, rozsądnym tonem.

Marino patrzy na niego przekrwionymi oczami, przykucnięty na podeście. Szew w kroku jego wymiętych spodni lekko się pruje, przez szparę wystają białe gatki.

– Nie rozumiesz, możesz wrócić! – wybucha.

– To ty nie rozumiesz, że nie ma dokąd wracać – mówi Benton głosem, który jest ledwie słyszalny. – Nie chcę wracać. A teraz, do diabła, wynoś się z mojego życia i zostaw mnie w spokoju.

Zamyka drzwi mieszkania i zaciąga zasuwę. Wali się na kanapę i zakrywa twarz dłońmi, a tymczasem natarczywe pukanie Marina przemienia się w gwałtowne walenie i kopanie.

– Tak, dobra, ciesz się swoim wspaniałym życiem, dupku! – rozbrzmiewa za drzwiami jego stłumiony głos. – Zawsze wiedziałem, że

jesteś zimnym draniem i masz w dupie wszystkich, łącznie z nią, ty pieprzony psycholu! – Walenie i kopanie nagle ustaje.

Benton wstrzymuje oddech i wyęcza słuch. Nagła cisza jest gorsza niż najgorsze wyzwiska. Milczenie Pete'a Marino jest ostatecznym potępieniem. Ciężkie stopy przyjaciela szurają na schodach.

– Jestem martwy – mruczy Benton w dłonie, pochylając się na kanapie.
– Jakkolwiek na to patrzeć, jestem martwy. Jestem Tom, Tom Haviland. Tom Speck Haviland... – Jego klatka piersiowa unosi się ciężko, serce wydaje się bić nie do rytmu. – Urodzony w Greenwich w stanie Connecticut...

Wstaje, przytłoczony smutkiem, od którego w pokoju robi się ciemno, a powietrze staje się gęste jak oliwa. Wciąga nosem dym z papierosów przyjaciela, a zapach przeszywa go jak ostrze. Zbliża się do okna i staje z boku, tak aby nie było go widać z dołu, i patrzy, jak Pete Marino odchodzi powoli przez plamy cienia i słońca na nierównym bruku.

Detektyw zatrzymuje się, zapala lucky strike'a i odwraca się, by popatrzeć na przygnębiający budynek Bentona, dopóki nie znajdzie mieszkania numer 56. Tanie, lekkie zasłony falują na wietrze w otwartym oknie jak ulatujące duchy.

ROZDZIAŁ 24

W Polsce jest kilka minut po północy.

Lucy mija kolumnę ciężarówek wojskowych i pędzi przez całe kilometry wykładanych kaflami tuneli, a potem wysadzaną drzewami szosą E 28. Nie może przestać myśleć o czerwonym ostrzeżeniu, o tym, jak łatwo jej było wysłać przez Internet informację, która postawiła w stan pogotowia stróżów prawa na całym świecie. Jej informacja jest oczywiście prawdziwa. Rocco Caggiano to kryminalista, Lucy wiedziała o tym od lat. Ale do momentu, kiedy całkiem niedawno otrzymała wiadomość, która wiąże go przynajmniej z kilkoma przestępstwami, ani ona, ani żadna inna zainteresowana strona nie mogła zrobić nic więcej niż go nienawidzić.

Jeden prosty telefon.

Lucy zatelefonowała do centralnego biura Interpolu w Waszyngtonie. Przedstawiła się – swoim prawdziwym nazwiskiem, oczywiście – i przeprowadziła krótką rozmowę z łącznikiem prokuratury nazwiskiem McCord. Następnym krokiem było przeszukanie bazy danych Interpolu, żeby sprawdzić, czy Caggiano tam figuruje. Nie figurował, nie było nawet zielonego ostrzeżenia, które oznacza, że dana osoba jest obiektem zainteresowania Interpolu i powinna być obserwowana i poddawana dodatkowej kontroli, kiedy przekracza granice i przechodzi przez lotniska międzynarodowe.

Rocco Caggiano ma około trzydziestu pięciu lat. Nigdy nie był aresztowany i dorobił się fortuny rzekomo jako obrońca różnych szumowin i ofiar wypadków, ale w istocie bogactwo i wpływy zawdzięcza swoim prawdziwym klientom, Chandonne'om, chociaż określenie „klienci” nie

jest ściśle. Są jego właścicielami i ochraniają go. Zachowuje swoją wysoką pozycję i życie dla ich przyjemności.

– Proszę sprawdzić morderstwo w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym siódmym – powiedziała Lucy McCordowi. – Nowy Rok na Sycylii. Dziennikarz Carlos Guarino zginął od strzału w głowę, jego ciało wrzucono do rowu melioracyjnego. Pracował nad artykułem o Chandonne'ach – bardzo ryzykowne przedsięwzięcie, nawiasem mówiąc. Właśnie przeprowadził wywiad z prawnikiem, który reprezentował Jean-Baptiste'a Chandonne'a...

– Wiem, wiem. Znam tę sprawę. Wilkołak, czy jak go tam nazywają.

– Pisał o tym magazyn „People”, pisał „Time”. Kto nie słyszał o seryjnym mordercy Wilkołaku – odparła Lucy. – Guarino został zamordowany kilka godzin po rozmowie z Caggianem. Dalej, dziennikarz Emmanuelle La Fleur. Barbizon, Francja, jedenasty lutego tego samego roku. Pracował dla „Le Monde”. On też nierozważnie zbierał materiały do artykułu o rodzinie Chandonne.

– Skąd to całe zainteresowanie Chandonne'ami, poza tym, że są nieszczęsnymi rodzicami Jean-Baptiste'a?

– Zorganizowana przestępczość. Wielki kartel. Nigdy nie dowiedziono, że ojciec stoi na jego czele, ale tak jest. Są pogłoski. Dociekliwi dziennikarze czasem zbyt gorliwie gonią za sensacjami. La Fleur pił z Caggianem kilka godzin przedtem, nim jego ciało znaleziono w ogrodzie w pobliżu dawnej posiadłości malarza Jeana Francois Milleta – proszę się nie trudzić szukaniem go. Nie żyje od ponad stu lat.

Nie była złośliwa. Nie zakładała, że Millet to powszechnie znane nazwisko, i nie chciała się przekonać, iż artysta stał się nagle obiektem zainteresowania Interpolu.

– La Fleur zginął od strzału w głowę, a dziesięciomilimetrowy pocisk został wystrzelony z tej samej broni, z której zamordowano Guarina – wyjaśniła.

Było jeszcze więcej. Informacje pochodziły z listu napisanego przez Jean-Baptiste’a Chandonne’a.

– Natychmiast wyślę panu ten list emailem – powiedziała Lucy. Taki sposób przekazywania informacji był nie do pomyślenia, zanim Interpol zaczął korzystać z Internetu.

Ale skomputeryzowana sieć łączności międzynarodowej organizacji policji ma dosyć zabezpieczeń, systemów kodujących i śledzących hakerów, by zapewnić bezpieczeństwo transmisji. Kiedy Interpol zaczął się posługiwać Internetem, sekretarz generalny osobiście poprosił Lucy, aby spróbowała się włamać. Nie mogła. Nie zdołała sforsować pierwszego zabezpieczenia i w duchu była wściekła, że jej się nie udało, chociaż ostatnią rzeczą, jakiej powinna sobie życzyć, był sukces.

Sekretarz generalny zatelefonował do niej jeszcze raz, bardzo rozbawiony. Odczytał listę nazw użytkowników i haseł, z których korzystała, i podał lokalizację jej komputera.

– Nie martw się, Lucy. Nie zawiadomię policji – powiedział.

– *Merci beaucoup, monsieur Hartman* – odpowiedziała sekretarzowi generalnemu, który jest Amerykaninem.

Od Nowego Jorku do Londynu i Berlina i teraz, kiedy wjeżdżała do Polski, policja była zaalarmowana i Lucy to wyczuwała. Ale nie potraktowali jej serio, nie mogliby zwrócić mniejszej uwagi na młodą Amerykankę jadącą wynajętym mercedesem o późnej godzinie w chłodną wiosenną noc. Najwyraźniej nie wygląda na terrorystkę i nią nie jest. Ale mogłaby być – z powodzeniem – i to głupie, że nie traktują jej poważnie,

bez żadnego powodu poza jej narodowością, młodym wiekiem, wyglądem i uśmiechem, który może być ciepły i ujmujący, jeśli Lucy tego chce.

Jest zbyt sprytna, żeby mieć przy sobie broń palną. Pałka w zupełności wystarczy, jeśli pojawią się problemy, nie ze strony policji, lecz ze strony jakiegoś dupka po drodze, który mógłby upatrzeć ją sobie do napadu rabunkowego lub ataku jakiegoś innego rodzaju. Nie było trudno przeschmuglować pałkę do Niemiec. Posłużyła się wypróbowaną procedurą, która nigdy nie zawodziła: nadała ją na pocztę w kosmetyczce wraz z innymi damskimi akcesoriami (elektryczną lokówką, szczotką do włosów, suszarką itp.). Paczka przyszła do taniego hotelu w pobliżu lotniska, zaadresowana na jedno z fałszywych nazwisk Lucy; Lucy miała też pokój zarezerwowany i opłacony na to samo nazwisko. Pojechała wynajętym samochodem do hotelu, zaparkowała w bocznej uliczce, odebrała paczkę w recepcji, zrobiła w pokoju trochę bałaganu i wywiesiła na drzwiach tabliczkę „Nie przeszkadzać”. Pół godziny później była już z powrotem w samochodzie.

Jeśli podczas akcji potrzebna jest poważniejsza broń, jeden ze współników Lucy, odpowiednio przebrany na tę okazję, przynosi pistolet i dodatkowe magazynki zapakowane w zgubionej rzekomo podczas podróży walizce, przewiązanej niedbale taśmą linii lotniczych, i zostawia w hotelowej recepcji. Lucy ma wielu współników. Większość z nich nigdy jej nie widziała i nie wie, kim jest. Tylko najbliższy zespół współpracowników ją zna. Ona ma ich, a oni mają ją. To wystarczy.

Wsuwa międzynarodowy telefon komórkowy pomiędzy kolana i wybiera numer.

– Jestem w drodze – mówi, kiedy zgłasza się Rudy Musil. – Godzina piętnaście, jeśli nie będę się za bardzo spieszyć.

– Nie spiesz się. – W tle głośno gra telewizor.

Lucy zerka na prędkościomierz, który wskazuje sto dwadzieścia kilometrów na godzinę. Może i jest bezczelna, ale nigdy nie bywa świadomie głupia. Nie ma zamiaru wdać się w zatarg z policją, kiedy jedzie w kierunku jednego z najważniejszych miast portowych w Polsce. W Szczecinie nieczęsto widuje się Amerykanów. Po co mieliby tam jeździć? Na pewno nie w celach turystycznych, chyba że chcieliby obejrzeć pobliski obóz koncentracyjny.

Lucy patrzy na autostradę przed sobą, mruży oczy, uśmiech znika z jej twarzy.

– Tylne światła z przodu. Nie podoba mi się to – mówi do telefonu komórkowego. – Ktoś zwalnia. – Zdejmuje nogę z pedału gazu. – Zatrzymuje się na środku pieprzonej autostrady. Nie ma miejsca, żeby zawrócić.

– Nie zatrzymuj się. Wymini go – odpowiada Rudy.

– Zepsuta limuzyna. To niesamowite zobaczyć w tych stronach amerykańską limuzynę!

Lucy omija łukiem białego lincolna. Kierowca i pasażer wysiadają, a ona opiera się pokusie, aby przystanąć i pomóc.

– Cholera – mruczy z irytacją.

– Nawet o tym nie myśl – ostrzegają Rudy, dobrze znając zamiłowanie Lucy do ryzyka i jej przemożne pragnienie zbawiania świata.

Dodaje gazu, a limuzyna i jej bezradni pasażerowie wtapiają się w gęstą ciemność.

– Recepcja jest pusta o tej porze. Wiesz, dokąd masz iść? – upewnia się Rudy.

Lucy co chwila zerka w lusterko wsteczne, obawiając się, że lincoln może za nią ruszyć, a wtedy znalazłaby się w prawdziwych kłopotach. Żołądek jej się ściska. A jeśli ci ludzie rzeczywiście potrzebowali pomocy?

Zostawiła ich samych na ciemnej szosie, gdzie nie można zjechać na bok. Jeszcze wpadnie na nich jakaś ciężarówka.

Przez kilka sekund zastanawia się, czy nie dojechać do następnego zjazdu i nie zawrócić. Robi to dla zabłąkanych psów, żółwi przechodzących przez autostrady i ulice. Zawsze hamuje, widząc na jezdni jeże i wiewiórki, i wybiega z domu, żeby sprawdzić, co z ptakiem, który uderzył w szybę. Ale ludzie to co innego. Nie może sobie pozwolić na takie ryzyko.

– Nie możesz przegapić Radissona – mówi Rudy. – Nie parkuj na dworcu autobusowym. Nie docenią tego.

Żartuje. Rozumie się samo przez się, że Lucy nie będzie parkować przed Radissonem.

ROZDZIAŁ 25

O szóstej po południu w Delray Beach na Florydzie jest gorąco i Kay Scarpetta odwraca się od kuchennego okna z postanowieniem, że popracuje jeszcze godzinę, zanim wyjdzie z domu.

Stała się ekspertem od oceniania cieni i światła w naukowy sposób, zanim wybierze się, aby spojrzeć na drzewka owocowe lub pospacerować po plaży. Podejmowanie bezużytecznych decyzji opartych na analizie i obserwacjach wędrówki słońca na niebie pomaga jej zachować poczucie, że nie straciła zupełnie kontroli nad własnym życiem.

Piętrowy dom z żółtymi stiukami jest skromny jak na standardy Kay, to po prostu stary budynek z rozchwianym białym ogrodzeniem, szwankującą hydrauliką i elektrycznością oraz klimatyzacją, która wydaje się obdarzona własną złą wolą. Ze ściany za elektrycznym piecykiem odpadają czasem kafelki, a wczoraj oderwał się kurek od zimnej wody w łazience. W imię przetrwania doktor Kay musiała przeczytać kilka książek na temat domowych napraw i udaje się jej utrzymać otoczenie we względnym porządku. Jednocześnie stara się nie pamiętać, jak wyglądały dni, zanim przeniosła się setki mil na południe od swojego dawnego życia i zaledwie godzinę jazdy na północ od Miami, gdzie się urodziła. Przeszłość jest martwa, a śmierć to po prostu następna faza egzystencji. To credo doktor Scarpetty. Na ogół w to wierzy.

Czas na ziemi to sposobność, by stać się doskonalszym, a później ludzie idą dalej albo przechodzą na drugą stronę – z pewnością nie jest to oryginalna koncepcja, lecz Kay nie należy do osób, które akceptują rzeczy oczywiste bez drobiazgowej analizy. Po długich rozmyślaniach jej wnioski

na temat wieczności są proste: nikt, dobry czy zły, nie przestaje istnieć; życie to energia, a energii nie można stworzyć ani zniszczyć; wszystko trwa w zamkniętym cyklu. Dlatego jest możliwe, że czyste serca i czyste zło były tu już wcześniej i będą znowu. Kay Scarpetta nie wierzy w niebo ani w piekło i nie chodzi już na mszę, nawet w święta kościelne.

– Co z twoim katolickim poczuciem winy? – spytała ją Lucy kilka Bożych Narodzeń temu, kiedy przygotowywały wielki dzban grzanego piwa z jajkiem, a kościół nie został uwzględniony w porządku dnia.

– Nie mogę uczestniczyć w czymś, w co już nie wierzę – odparła Kay, sięgając po świeżo zmieloną gałkę muszkatołową. – Zwłaszcza jeśli się z tym nie zgadzam, co jest znacznie gorsze od całkowitej utraty wiary.

– Pytanie tylko, co to jest? Mówisz o katolicyzmie czy o Bogu?

– O polityce i o władzy. Mają nieomylny zapach, zupełnie jak w kostnicy. Mogę zamknąć oczy i wiem, co tam jest. Nic żywego.

– Rezygnuję ze swojej części – powiedziała Lucy. – Chyba po prostu napiję się czystego rumu z lodem. Surowe jajka nie wyglądają szczególnie apetycznie.

– Nigdy nie byłaś taka wybredna. – Kay nalała Lucy szklankę grzanego piwa, dodając szczyptę gałki. – Wypij, bo zaraz zjawi się Marino i nic nie zostanie.

Lucy się uśmiechnęła. Jedyna rzecz, jaka przyprawia ją o mdłości, to wejście do damskiej toalety, gdzie ktoś właśnie zmienia dziecku pieluchę. Dla Lucy ten zapach jest gorszy niż rozkładające się zwłoki otoczone rojem much, a doświadczyła swojej porcji koszmarów z powodu niezwykłego zajęcia własnego i ciotki.

– Czy to znaczy, że nie wierzysz już w wieczność? – spytała ją Lucy.

– Wierzę w nią bardziej niż kiedykolwiek.

Kay przez większość życia zmuszała umarłych do mówienia, lecz zawsze za pośrednictwem niemego języka ran, śladów, chorób i szczegółów, które dają się zinterpretować za pomocą medycyny, nauki, doświadczenia i dedukcji graniczącej z intuicją, daru, którego nie można się nauczyć ani przekazać innym. Ale ludzie się zmieniają. Doktor Scarpetta nie jest już wyłącznie patologiem. Zaczęła akceptować fakt, że umarli nadal istnieją i ingerują w losy swoich żyjących ukochanych i wrogów. Ukrywa to przekonanie przed ludźmi i z pewnością nigdy nie wspomina o nim w wykładach, artykułach czy w sądzie.

– Widziałam w telewizji osoby o zdolnościach paranormalnych, które mówiły o tym, jak ludzie umierają i przechodzą na drugą stronę – tak to się chyba nazywa – odezwała się Lucy, sącząc grzane piwo. – Nie wiem. To bardzo ciekawe. Im się robię starsza, tym mniej jestem pewna różnych rzeczy.

– Zauważyłam twój zaawansowany proces starzenia się – odparła jej ciotka. – Kiedy skończysz trzydzieści lat, zaczniesz mieć wizje i objawienia. Miejmy nadzieję, że nie dostaniesz artretyzmu.

Ta rozmowa odbyła się w dawnym domu Kay w Richmondzie, fortecy z kamienia, którą zaprojektowała z miłością i nie licząc się z kosztami, nie szczczędając pieniędzy na stare drewno, odsłonięte krokwie, masywne drzwi i gipsowe ściany, na kuchnię i gabinet, które nadawały się idealnie do wyznaczonych im celów, czy była to praca z mikroskopem, czy przy kuchence gazowej Viking.

Zycie było dobre. Już takie nie jest i nigdy nie będzie. Tyle rzeczy poszło źle. Tyle się popsuło i przepadło i nigdy nie da się odtworzyć. Trzy lata temu zmierzała już prosto ku katastrofie. Zrezygnowała z prezesury Krajowego Stowarzyszenia Lekarzy Sądowych. Gubernator Wirginii zamierzał ją zwolnić. Pewnego dnia zdjęła ze ścian gabinetu swoje

oprawione w ramki pochwały i dyplomy, które spoczywają teraz gdzieś w kartonowych pudłach. Tamta doktor Scarpetta sprzed katastrofy była nieskazitelnie, jeśli nie fanatycznie intelektualna, całkowicie przekonana o swojej wiedzy, uczciwości i zdolności do znajdowania wszelkich odpowiedzi. Była znakomitością w sferze kryminalistyki i wymiaru sprawiedliwości, ale niektórym ludziom wydawała się nieprzystępna i zimna. Teraz nie ma żadnego personelu z wyjątkiem sekretarki, Rosę, która pojechała za nią na Florydę pod pretekstem, że miło będzie „odpocząć” w pobliżu West Palm Beach.

Kay Scarpetta nie może się pogodzić ze śmiercią Bentona Wesleya. Próbowала. Kilka razy umawiała się na randki z całkowicie odpowiednimi mężczyznami, a potem wzdragała się przed ich dotykiem. Żaden z nich nie był Bentonem, a ona wszystko sobie przypominała. Potem wracały obrazy jego spalonego, okaleczonego ciała. Wciąż żałuje, że przeczytała raport z sekcji zwłok, a jednocześnie nie żałuje. Żałuje, że dotykała jego popiołów i rozsypała je na wiatr, a jednocześnie nie żałuje. To było ważne, naprawdę ważne, powtarza sobie nieustannie, kiedy powraca wspomnienie jedwabistych, grudkowatych prochów, kiedy wspomina, jak zwracała go czystemu powietrzu i morzu, które kochał.

Wychodzi z kuchni, ściskając ten sam kubek kawy, który podgrzewała w kuchence mikrofalowej co najmniej cztery razy od południa.

– Doktor Scarpetta, czy coś pani podać? – woła Rosę z zapasowej sypialni, która służy jako jej gabinet.

– Nic nie pomoże – odpowiada Scarpetta, w połowie żartując, kiedy idzie w kierunku głosu Rosę.

– Nonsens. – To ulubiona riposta sekretarki. – Mówiłam pani, że jeśli zacznie pani pracować dla siebie, będzie pani jeszcze bardziej zajęta, jeśli to w ogóle możliwe. Przemęczona i przeciążona.

– A co ja ci mówiłam o przejściu na emeryturę?

Rosę spogląda znad raportu z sekcji zwłok, którego korektę robi na komputerze. Przesuwa kursor na „mózg”, wpisuje: „1200 gramów. W granicach normy” – i poprawia literówkę.

Psie pazury wystukują na drewnianej podłodze alfabet Morse’a. Buldog słyszy głosy i człapie leniwie, zatrzymuje się, podchodzi jeszcze trochę bliżej, a potem siada.

– Chodź tu, Billy-Billy – woła go pieszczotliwie Kay.

Patrzy na nią omdlewającym wzrokiem.

– Nazywa się Billy – przypomina jej Rosę, chociaż wie, że to na nic się nie zda. – Jeśli będzie go pani nazywać Billy-Billy, pomyśli, że ma echoakuzję albo rozszczepienie osobowości.

– Chodź tu, Billy-Billy.

Pies wstaje, nie spiesząc się. Stuk-stuk.

Sekretarka ma na sobie brzoskwiniowy kostium. Wełniany, jak wszystkie jej kostiumy. Dom stoi na plaży. Jest cholernie gorąco i parno, a Rosę nie waha się wyjść na patio w spódnicy i bluzce z długimi rękawami, aby podlać hibiskusy czy wspiąć się na drabinę i zerwać banany albo limonki lub uratować małe żabki przed utonięciem w kałuży. To cud, że mole nie pożarły jej wszystkich rzeczy. Jest twardą kobietą, ale pod maską stanowczości kryje się delikatna, łagodna natura, a Rosę, z szacunku dla siebie i swojej chlebowczyni, każdego ranka upewnia się, czy kostium, który ma tego dnia włożyć, jest wyprasowany i czysty.

Jeżeli już, to zdaje się czerpać sekretną przyjemność z faktu, że jej wyczucie stylu jest z innej epoki, a niektóre rzeczy są tak stare, że nosiła je już ponad dziesięć lat temu, kiedy zaczęła pracować u doktor Scarpetty. Nie zmieniła również uczesania, wciąż upina włosy we francuski kok i nie chce się pozbyć siwizny. Budowlę tworzy dobra struktura, a Rosę ma doskonałe

kości. W wieku sześćdziesięciu siedmiu lat wciąż uważana jest przez mężczyzn za atrakcyjną, lecz nie umówiła się z żadnym od śmierci męża. Jedynym mężczyzną, którego Kay Scarpetta widziała, gdy flirtował z Rosę, jest Pete Marino, ta jednak nie traktuje go poważnie i on o tym wie. Oboje dokuczali sobie nawzajem od czasu, gdy Scarpetta została głównym lekarzem sądowym Wirginii; w tej chwili wydaje się, jakby to było w innym wcieleniu.

Billy dyszy, kiedy dociera do biurka. Nie skończył jeszcze roku, jest biały, ma wielką brązową plamę na grzbiecie, a jego dolne zęby przypominają motykę. Siada u stóp Kay i patrzy na nią błagalnie.

– Nie mam...

– Proszę nie wypowiadać tego słowa! – krzyczy Rosę.

– Nie zamierzałam go wypowiadać. Miałam je przesyłabizować.

– On sam może przesyłabizować.

Billy nie odczuwa żadnej bariery językowej przy słowach „cześć” i „jedzenie”, rozpoznaje też „nie” i „siad”, ale z właściwym swojej rasie uporem udaje, że nie rozumie.

– Lepiej niczego tu nie obgryzaj – ostrzega go Kay.

W ostatnim miesiącu nabrał upodobania do gryzienia i odrywania listew z framug drzwi i u podstawy ścian, zwłaszcza w sypialni swojej pani.

– To nie jest mój dom, będę musiała zapłacić za wszystkie szkody, kiedy się wyprowadzę. – Grozi mu palcem.

– Byłoby gorzej, gdyby to był pani dom – zauważa sekretarka, a pies nadal patrzy na Kay i merda ogonem, który wygląda jak rogalik.

Rosę podnosi z biurka plik korespondencji i podaje szefowej.

– Uporałam się z rachunkami. Jest kilka listów prywatnych. Czasopisma i tak dalej. A to od Lucy.

Zwraca uwagę doktor Scarpetty na dużą brązową kopertę. Nazwisko i adres, a także adres zwrotny nowojorskiego biura Lucy są wypisane czytelnie czarnym markerem. Na kopercie widnieje adnotacja „do rąk własnych”, wypisana wielkimi literami i podkreślona dwa razy. Kay ma zwyczaj patrzeć na stemple pocztowe, a ten jest zagadkowy.

– Kod pocztowy nie z jej dzielnicy – zauważa. – Lucy zawsze wysyła mi wszystko ze swojego biura i zawsze telegraficznie, po niższej taryfie. Nie pamiętam ani jednego wypadku, kiedy przysłała mi coś zwykłą pocztą, nie od czasów, kiedy była w college’u.

Rosę nie wydaje się zaniepokojona.

– „Głupia konsekwencja to zmora małych umysłów” – cytuje Ralpa Waldo Emersona. To jej ulubione powiedzenie. – Potrząsa kopertą. – Chyba nie ma tam nic niebezpiecznego – stwierdza. – Jeśli czuje pani, że zbliża się jeden z pani napadów paranoi, mogę otworzyć ten list, ale jest oznaczony „do rąk własnych”...

– Nieważne. – Kay bierze go wraz z resztą korespondencji.

– A doktor Lanier z Baton Rouge zostawił wiadomość. – Sekretarka stuka w klawiaturę i poprawia następną literówkę. – Dotyczy sprawy Charlotte Dard. Powiedział, że dostanie to pani w poniedziałek, jego raport i tak dalej. Sprawiał wrażenie zdenerwowanego. Chce wiedzieć, co pani ustali, natychmiast.

Obdarza swoją szefową spojrzeniem, które zawsze przywodzi Kay na myśl wzrok nauczyciela zamierzającego wyrwać do odpowiedzi nieprzygotowanego ucznia.

– Myślę, że w tej sprawie coś tkwi, coś gorszego niż przedawkowanie narkotyków. – Kay pieści miękkie, nakrapiane uszy Billy’ego. – Przyczyna śmierci nie jest jasna. To bardzo źle. Co może być gorszego w sprawie sprzed ośmiu lat.

– Nie rozumiem, dlaczego nagle stała się taka ważna teraz, jakby nie mieli tam dosyć nierozwiązanych morderstw i podejrzanych zgonów. Te uprowadzone kobiety. Boże!

– Ja też nie wiem, dlaczego nagle stała się priorytetowa – przyznaje się jej szefowa. – Ale faktem jest, że się stała, a ja czuję się zmuszona zrobić, co w mojej mocy.

– Ponieważ nikomu innemu nie można zawracać głowy.

– Mnie można zawracać głowę, prawda, Billy-Billy?

– No dobrze, coś pani powiem, doktor Echo. Myślę, że jest coś, czego tamten koroner nie chce pani powiedzieć.

– Mam nadzieję, że nie – odpowiada Kay i wychodzi.

ROZDZIAŁ 26

Lucy musi natychmiast skorzystać z toalety.

Nie warto rozglądać się za stacją benzynową albo postojem dla kierowców. Zwiększa prędkość do stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę, pomimo ostrzeżeń Rudy'ego o kontrolach drogowych. Wpatruje się w szosę przed sobą, próbując się skoncentrować i zapomnieć o pęcherzu. Jazda wydaje się trwać dwa razy dłużej niż powinna, lecz Lucy ma świetny czas i wyprzedza harmonogram o trzydzieści pięć minut. Wybiera numer telefonu Rudy'ego.

– Już nie mogę – mówi. – Po prostu muszę się gdzieś zatrzymać.

– Ścisz to – rozkazuje Rudy komuś w pokoju, kiedy telewizor zaczyna grać głośniej. – Żeby nie musiał ci jeszcze raz powtarzać.

ROZDZIAŁ 27

W wolnych chwilach Rocco Caggiano najbardziej lubi przesiadywać w ogródku piwnym, pijąc jedno duże jasne za drugim.

Bladozłoty napój jest serwowany w wysokich, prostych szklankach, a on lubi warzone na sposób niemiecki lagery bez posmaku pszenicy. Rocco nigdy nie umiał zrozumieć, jak to się dzieje, że za jednym posiedzeniem może wypić galon piwa, ale nie galon wody. Nie zdołałby wypić galonu wody przez cały dzień, a nawet przez trzy dni, i zawsze się dziwił, ile piwa, wina, szampana lub drinków z alkoholem jest w stanie w siebie wlać, skoro ledwo zdoła wypić jedną szklankę wody.

W istocie nienawidzi wody. Zapewne prawdą jest to, co powiedziała mu kiedyś jakaś kobieta medium: w poprzednim życiu utonął. Co za straszny rodzaj śmierci, Rocco często myśli o tym mordercy w Anglii, który topił w wannie jedną żonę po drugiej, chwytając je za stopy i ciągnąc, dopóki głowa nie znalazła się pod wodą, a kobieta mogła tylko trzepotać bezradnie rękami jak wyrzucona na brzeg ryba. Ta wizja niezwykle oddziaływała na jego wyobraźnię, kiedy Caggiano zaczął nienawidzić swojej pierwszej żony, a potem drugiej. Alimenty były jednak niższe niż cena, jaką musiałby zapłacić, gdyby jakiś patolog sądowy odkrył sińce lub Bóg wie co jeszcze. Ale nawet jeśli w poprzednim życiu utonął i uważał utopienie kogoś za dobry sposób na popełnienie morderstwa, to, jego zdaniem, nie wyjaśniało zagadki – czysto biologicznego fenomenu – jak ogromne ilości alkoholu jest w stanie pochłonąć i dlaczego nie może wypić nawet jednej szklanki wody.

Nikt nigdy nie udzielił mu odpowiedzi, która by go zadowoliła. Drobne zagadki zawsze mu dokuczały jak ziarnko piasku w bucie.

– To na pewno dlatego, że sikasz przez cały czas, kiedy pijesz piwo. – Caggiano podnosi tę kwestię na każdym spotkaniu towarzyskim. – Kiedy sikasz, robisz miejsce na więcej, prawda?

– Wypij galon wody, a też będziesz sikał przez cały czas – odparł pewien holenderski agent celny kilka miesięcy wcześniej, kiedy Rocco wraz z kilkoma przyjaciółmi z kartelu Chandonne'ów siedział w ogródku piwnym w Monachium.

– Nienawidzę wody – oświadczył Caggiano.

– Więc skąd możesz wiedzieć, czy wysikałbyś wodę tak samo szybko jak piwo? – spytał kapitan niemieckiego kontenerowca.

On wcale tego nie wie.

– Tak. Powinieneś to sprawdzić, Rocco.

– My będziemy pili piwo, a ty wodę, i zobaczymy, kto wysika najwięcej i najszybciej.

Roześmiali się i trącili szklankami w pijackim toaście, rozlewając piwo po całym drewnianym stole. To był udany dzień. Zanim usiedli w ogródku piwnym, poszli do parku nudystów, gdzie przejechał obok nich nagi mężczyzna na rowerze. Holender zawołał do niego po holendersku, żeby uważał, jak zmienia biegi, a kapitan kontenerowca krzyknął po niemiecku, że ma bardzo małą podpórkę. Rocco zawołał po angielsku, iż tamten nie musi się martwić, że kutas wkręci mu się w szprychy, ponieważ nie zwisa nawet poza siodło. Rowerzysta pedałowiał dalej, ignorując ich.

Kobiety opalały się w parku nago i zdawały się nie przejmować, że gapią się na nie mężczyźni. Rocco i jego towarzysze zachowywali się bardzo bezczelnie: przystawali tuż obok nudystki wyciągniętej na ręczniku i wygłaszali komentarze na temat jej anatomii. Zazwyczaj kobieta odwracała

się na brzuch i spała dalej albo czytała czasopismo lub książkę, podczas gdy tamci wpatrywali się w jej pośladki, jakby to były wzgórza, na które mogliby się wspiąć. Z powodu narastającego podniecenia Rocco stał się grubiański i rzucał pod adresem kobiety obraźliwe, sprośne uwagi, dopóki towarzysze go nie odciągnęli. Jest szczególnie zajadły wobec spotykających się w parku homoseksualistów. Uważa, że wszyscy geje powinni zostać wykastrowani i straceni, a on chciałby wykonywać egzekucje i patrzeć, jak skazańcy wypróżniają się ze strachu.

– To medyczny fakt, że kiedy cię torturują albo mają zabić, szczerz i srasz w gacie – oznajmił później w ogródku piwnym.

– Jaki medyczny fakt? Myślałem, że jesteś prawnikiem, a nie lekarzem.

– Wiesz to, Rocco? A skąd wiesz? Ściągasz im spodnie, żeby zobaczyć? Może ściągasz im spodnie, żeby sprawdzić, czy się zesrali i zeszczali? – Głośny śmiech. – Wtedy mógłbyś to stwierdzić jako fakt. Jeśli to prawda, dochodzimy do bardzo ważnej kwestii. Czy ściągasz spodnie umarłakom? Chyba wszyscy mamy prawo to usłyszeć. Bo jeśli chodzi o mnie, kiedy umrę, chcę wiedzieć, czy ściągniesz mi spodnie.

– Kiedy umrzesz – odparł Rocco – nic nie będziesz wiedział.

To irracjonalne, że zapamiętał tę pijacką rozmowę i słowa, które od lat powtarza mu lekarz. Rocco ma nieżyt żołądka i zespół nadwrażliwego jelita z powodu stresu, palenia i nadmiernego picia. Wszystkie nieszczęścia w życiu biorą się z dotkliwego stresu, palenia i nadmiernego picia, mówi sobie Rocco, wychodząc z gabinetu lekarskiego. Występuje o zwrot kosztów leczenia i wraca do swojego zabójczego trybu życia.

Teraz pęcherz i jelita mu puszczają, kiedy siedzi na krześle w pokoju hotelowym, a odbezpieczony colt trzydziestkaósemka jest wycelowany w jego głowę.

ROZDZIAŁ 28

Przystań Jack's Boat to skupisko przyczep, barek, płaskodennych łodzi i motorówek przycumowanych do rozchwierutanego pomostu obwieszzonego starymi oponami, które służą jako odbijacze.

Na błotnistym brzegu leżą pirogi – kreolskie czółna – i zardzewiały ślizgacz, który nie pociągnie już narciarzy wodnych. Parking jest brudny, a na przystani stoją dwie pompy, jedna ze zwykłą benzyną, druga z ropą. Jack pracuje od piątej rano do dziewiątej wieczorem w kantorku ze spreparowanymi rybami wiszącymi na ścianie, z której łuszczy się farba. Kalendarz nad jego starym metalowym biurkiem przedstawia błyszczące fotografie pomalowanych jaskrawo motorówek – bardzo drogich, wyciągających do stu kilometrów na godzinę.

Gdyby nie okienny klimatyzator i przenośna toaleta za budynkiem, Jack byłby zupełnie pozbawiony nowoczesnych wygód. Nie żeby specjalnie o to dbał. Przywykł do twardego życia i godzi się na wszelkie wyrzeczenia, byle tylko pozostać tu, gdzie jest, w świecie wody i żyjących w niej stworzeń, i drzew obrosniętych tropikalnymi pnączami.

Ci, co korzystają z jego przystani, zwykle cumują tu, żeby zatankować paliwo i wybrać się do miasta po zakupy. Urlopowicze, którzy zatrzymują się na kilka tygodni lub dłużej w swoich obozowiskach rybackich na moczarach i rzekach, pozostawiają pojazdy i łodzie na przystani. Jack nie interesuje się białym dżipem cherokee wciśniętym pomiędzy ciężarówkę i inne auta terenowe na odległym krańcu parkingu nad samą wodą. Zajmuje się własnymi sprawami, chociaż ma nosa do ludzi, a jego wyczucie pod tym względem dorównuje zmysłowi powonienia. Kobieta z Bagien wysyłała mu

silne sygnały od pierwszego dnia – to było jakieś dwa lata temu. Jej zachowanie zniechęca do zadawania osobistych pytań.

Bev Kiffin otwiera luk i wyjmuje dużą plażową torbę z płótna. Staje na rufie i rzuca kotwicę, potem rzuca na pomost dwie nylonowe linki, a Jack macha do niej, idąc szybko w kierunku łodzi.

– A niech mnie, jeśli to nie Kobieta z Bagien! – woła. – Może pomóc?

Przystań jest oświetlona, w żółtym blasku lamp krążą chmary owadów. Jack rzuca cumę na lódź.

– Zostawię ją tu na kilka godzin. – Bev splata węzeł i przywiązuje linę do pachołka. Odchyła brezent i stawia na pomoście puste kanistry na benzynę. – Napelnij je. Ile sobie ostatnio liczysz?

– Jeden osiemdziesiąt pięć.

– Cholera. – Bev wskakuje na pomost, porusza się całkiem zwinnie jak na kobietę jej tuszy. – To rozbój na równej drodze.

Jack się śmieje.

– To nie ja ustalam cenę ropy.

Jest wysoki i łyсы, ogorzały i silny jak cyprys. Na głowie ma jak zwykle przepoconą pomarańczową czapkę Harley-Davidson. Żuje tytoń.

– Przyfruwasz i odfruwasz? – Spluwa, ociera usta wierzchem opalanej, sękatej dłoni i pomaga kobiecie przy cumach rufowych.

– Tylko do sklepu.

Bev sięga do plażowej torby po kluczyk przywiązany do spławika – na wypadek, gdyby niechcący wrzuciła kluczyk do wody. Przesuwa wzrokiem po parkingu i skupia uwagę na dziupie cherokee.

– Chyba go zapalę, żeby sprawdzić, czy akumulator nie siadł.

– Jeżeli siadł – mówi Jack, ustawiając cztery kanistry w pobliżu pompy – mogę go naładować.

Bev obserwuje go, jak kuca i wsuwa do kanistra wylot węża, a licznik pompy pokazuje należność. Szyja Jacka przypomina skórę aligatora, łokcie są szorstkie i pomarszczone. Bev przyjeżdża tutaj co najmniej dziesięć razy w roku, ostatnio częściej, a on nic o niej nie wie, na swoje szczęście. Idzie do dżipa, nagle zaniepokojona, czy auto też nie wymaga tankowania. Nie pamięta, czy zrobiła to ostatnim razem.

Otwiera drzwi od strony kierowcy, wsuwa kluczyk do stacyjki i przekręca. Silnik zaskakuje po trzech próbach, a Bev czuje ulgę, widząc, że ma ponad połowę baku. W razie potrzeby pojedzie później na stację benzynową. Zapalając przednie światła, cofa i przystaje w pobliżu przystani. Kiedy wyjmuje pieniądze z portfela i mruży oczy, żeby odczytać cyfry na liczniku, Jack wyciera dłonie w szmatę i czeka, aż kobieta opuści szybę.

– To będzie czterdzieści cztery dolary i czterdzieści centów – mówi jej. – Zaniosem kanistry na łódź i będę miał na nią oko. Zauważyłem, że masz ze sobą przyjaciółkę. – Chodzi mu o dubeltówkę. – Zamierzasz ją zostawić na łodzi? Nie robiłbym tego. Uważaj, jak będziesz z niej strzelać do aligatorów. To je tylko rozwściecza.

Bev nie może uwierzyć, że prawie odjechała i zostawiła strzelbę. Nie myśli dzisiaj jasno; bołą ją kolana.

– Zanim pójdziesz – dodaje, kiedy Jack wchodzi na łódź – napełnij skrzynię na ryby lodem.

– Ile? – Mężczyzna bierze strzelbę, wraca na pomost i ostrożnie kładzie ją na tylnym siedzeniu dżipa.

– Pięćdziesiąt kilogramów wystarczy.

– Musisz robić duże zakupy, skoro potrzebujesz tyle lodu. – Jack wpycha szmatę do tylnej kieszeni starych, brudnych roboczych spodni.

– Żarcie szybko się tu psuje.

– To będzie jeszcze dwadzieścia. Opuszczam ci trzy dolce.

Bev wręcza mu dwie dziesiątki i nie dziękuje za zniżkę.

– Wychodzę o dziewiątej. – Patrzy gdzieś obok niej, do wnętrza poobijanego samochodu. – Jeśli nie wrócisz do tej pory.

– Wrócę – mówi Bev i wrzuca wsteczny bieg.

Zawsze wraca na czas i nie trzeba jej przypominać.

Jack patrzy na drzwi od strony pasażera, zasuniętą szybę, obluzowaną korbkę i urwaną blokadę.

– Wiesz, dziewczyno, mógłbym to naprawić, gdybyś zostawiła mi kluczyki.

Bev spogląda na drzwi.

– Nieważne – odpowiada. – Nikt oprócz mnie tym nie jeździ.

ROZDZIAŁ 29

Na górze w północnym skrzydle domu jest sypialnia dla gości z widokiem na ocean, a pod oknem wychodzącym na zatokę stoi wielkie biurko doktor Scarpetty, żaden antyk ani nic szczególnego, po prostu niedrogie biurko pod komputer, takie z dostawką.

Półki na książki wypełniają ściany tak szczelnie, że niektóre przełączniki oraz gniazdka elektryczne są zasłonięte, nie można się do nich dostać i Kay musi używać przedłużaczy. Meble są oklejone klonowym fornirem i pozostają w przygnębiającym kontraście z pięknymi antykami, a także przedmiotami sztuki użytkowej, w tym orientalnymi dywanami, szkłem i porcelaną, które zbierała w ciągu całej swojej kariery zawodowej. Dawne życie Kay zostało zamknięte w magazynie w Connecticut, dostatecznie bezpiecznym, by przechowywać tam eksponaty muzealne.

Nie pojechała zobaczyć, co z jej dobytkiem, odkąd Lucy zaopiekowała się wszystkimi rzeczami ponad dwa lata temu, wybierając miejsce składowania ze względu na bliskość Nowego Jorku, gdzie ma biuro i mieszkanie. Doktor Scarpetta nie tęskni za meblami z przeszłości. Nie warto się nimi przejmować. Sama myśl o nich męczy ją z powodów, których zupełnie nie rozumie.

Gabinet w jej wynajętym domu w Delray jest wygodny, choć nie tak przestronny i gorzej urządzone niż ten w domu w Richmondzie, gdzie miała biurowe segregatory, całe kilometry przestrzeni roboczej i ogromne, wykonane na zamówienie biurko z brazylijskiej wiśni. Tamten dom był współczesną włoską willą z bielonymi ścianami i krokwiami z dziewiętnastowiecznych mahoniowych podkładów kolejowych z Afryki

Południowej. Jeśli dom, który wybudowała w Richmondzie, nie był wcześniej piękny, to stał się imponujący, kiedy urządziła go na nowo, próbując wykorzenić przeszłość – przeszłość nawiedzaną przez Bentona i Jean-Baptiste'a Chandonne'a. Ale nie czuła się w nim lepiej. Duchy podążały za nią z pokoju do pokoju.

Próbowała nie przyjmować do wiadomości, że poniosła straszliwą stratę i sama omal nie została zamordowana, lecz przeszłość wracała jak koszmarne sen, który mroził jej krew w żyłach, niezależnie od tego, jaka temperatura panowała w pokoju. Każde skrzypnięcie starego drewna i każdy powiew wiatru sprawiał, że Kay sięgała po pistolet, który nosiła przy sobie, a serce zaczynało jej łomotać. Pewnego dnia wyszła ze swojego wspaniałego azylu i już tam nie wróciła, nawet po to, żeby zabrać rzeczy. Zajęła się tym Lucy.

Zawsze odgradzała się murem od podłego świata i bezmiernego bólu, a teraz stała się włóczęgą, przeskakiwała z jednego hotelu do drugiego, umawiając się przez telefon na prywatne konsultacje. Niebawem jednak pogmatwane łańcuchy materiałów dowodowych, zawodowej niekompetencji oraz beztroski policji i lekarzy sądowych tak ją spętały, że nie pozostało nic innego, jak znaleźć inny dom, ponieważ musiała gdzieś zamieszkać. Nie mogła dłużej prowadzić spraw, siedząc na hotelowym łóżku.

– Jedź na południe, daleko na południe – powiedziała jej Lucy spokojnym, serdecznym tonem pewnego popołudnia w Greenwich w Connecticut, gdzie Kay ukrywała się w Homestead Inn. – Nie jesteś jeszcze gotowa na Nowy Jork, ciociu Kay, i z pewnością nie jesteś gotowa, żeby pracować dla mnie.

– Nigdy nie będę dla ciebie pracować. – Powiedziała to poważnie, ze wstydem odwracając oczy od siostrzenicy.

– No cóż, nie musisz się obrażać. – Lucy też poczuła się dotknięta i po chwili już się kłóciły i walczyły.

– Wychowałam cię! – wybuchnęła Kay z łóżka, gdzie siedziała sztywna i wściekła. – Moja cholerna siostra, podziwiana autorka książek dla dzieci, która nie umiała wychować własnej cholernej córki, podrzuciła mnie na twoim progu... To znaczy na odwrót.

– Freudowskie przejęzyczenie! Potrzebowałam mnie bardziej niż ja ciebie.

– Wcale nie. Byłaś potworem. W wieku dziesięciu lat, kiedy wparowałaś w moje życie jak koń trojański, byłam na tyle głupia, że pozwoliłam ci zostać, a potem co? Potem co? – Wielki Szef, logiczna pani doktor-prawnik łkała, łzy spływały jej po twarzy. – Musiałaś być geniuszem, co? Najgorszy bachor na świecie... – Głos jej drżał. – A ja nie mogłam z ciebie zrezygnować, ty okropne dziecko. – Ledwo mogła mówić. – Gdyby Dorothy chciała cię z powrotem, pozwałabym tę dziwkę do sądu i udowodniła, że nie jest odpowiednią matką.

– Nie była odpowiednią matką i nie jest. – Lucy też zaczęła płakać. – Dziwka? Oskarżasz ją o złe prowadzenie się, a ona jest podła. Podła! Ma charakteropatię. Na miłość boską, masz pomyloną siostrę! – Lucy szlochała, siedząc obok ciotki na łóżku.

– Ona jest smokiem, z którym zawsze walczyłaś, poświęciłaś na to całe życie – powiedziała ciotka. – Tak naprawdę to ty walczysz z matką. Dla mnie Dorothy nigdy nie była przeciwnikiem. Jest tylko królikiem z ostrymi zębami, który próbuje dobierać się do twoich kostek. Nie tracę czasu na króliki. Nie mam na to czasu.

– Proszę, jedź na południe – błagała Lucy, podnosząc się z łóżka i stając przed nią z mokrymi oczami i czerwonym nosem. – Zaraz. Proszę, pojedź tam, skąd pochodzisz, i zacznij wszystko od początku.

– Jestem za stara, żeby zaczynać od początku.

– Do diabła! – roześmiała się Lucy. – Masz zaledwie czterdzieści sześć lat, a mężczyźni i kobiety gapią się na ciebie, gdziekolwiek pójdziesz. Jesteś cholernym bagażem!

Doktor Scarpetta tylko raz była nazywana „bagażem”, kiedy znalazła się w gorszych kłopotach niż zwykle i potrzebowała stałego nadzoru policyjnego. Przez radio gliniarze mówili o niej „bagaż” i nie była do końca pewna, co mieli na myśli.

Pojechała więc na południe, do Delray Beach, niezupełnie wracając do korzeni, lecz w okolice, gdzie mieszkały jej matka i siostra, chociaż zatrzymała się w bezpiecznej odległości.

W wynajętym domu z lat pięćdziesiątych jej gabinet jest zavalony papierami i kartonowymi folderami na slajdy. Tyle tego piętrzy się na podłodze, że musi uważać, aby się nie potknąć, kiedy przekracza próg. Półki na książki są przepelnione, część dzieł medycznych i prawniczych stoi w dwóch rzędach, natomiast jej rzadkie antykwaryczne książki zostały zabezpieczone przed słońcem i wilgocią w małym pokoiku obok, który prawdopodobnie miał być pokojem dziecięcym.

Kay dłubie widelcem w sałatce z tuńczyka, którą przygotowała Rosę, i przegląda pocztę. Za nóż do papieru służy jej skalpel. Najpierw rozcina brązową kopertę, prawdopodobnie od siostrzenicy lub kogoś z jej biura, i ze zdumieniem odkrywa, że w środku jest druga, tym razem biała i zaadresowana odręcznie kaligraficznym pismem: „Madame Kay Scarpetta, doktor praw”.

Upuszcza brązową kopertę na stół i wybiega z gabinetu, mija bez słowa Rosę i pędzi do kuchni po pergamin.

ROZDZIAŁ 30

Taksówki przypominają Bentonowi owady.

Podczas swojego wygnania nauczył się lubić niektóre owady. Patyczaki wyglądają zupełnie jak gałązki. Benton często błądzi po parkach i ulicach, cierpliwie przepatrując krzaki w poszukiwaniu patyczaka albo, jeszcze lepiej, modliszki, która jest niezwykle rzadka i stanowi dobry omen, chociaż on sam nigdy nie doświadczył pozytywnej odmiany losu po znalezieniu modliszki. Może jednak któregoś dnia tak się stanie. Biedronki przynoszą szczęście, wszyscy o tym wiedzą. Jeśli jakaś wleci do jego mieszkania, delikatnie bierze ją na palec, wynosi z domu, bez względu na to, ile razy musi pokonać schody, i sadza na krzaku.

Jednego tygodnia zrobił to dziesięć razy i cieszył się myślą, że to ta sama biedronka, która z nim flirtuje. Benton wierzy, że każdy dobry uczynek zostanie wynagrodzony. Wierzy również, że każde zło będzie ukarane, i zanim zaczął swoje nieistnienie, często kłócił się o to z Kay Scarpetta, ponieważ wtedy w to nie wierzył. A ona tak.

„Często nie znamy przyczyny różnych rzeczy, Benton. Ale wierzę, że jest jakiś cel, zawsze”.

Słyszy jej głos w odległej jaskini swego umysłu, kiedy siedzi po ciemku na tylnym siedzeniu jadącej na południe taksówki.

„Jak możesz tak mówić?”.

Słyszy swój głos zadający jej kolejne pytania.

„Ponieważ dużo widziałem. Jaki może być cel w tym, że siostra, córka, brat, syn, ojciec czy jakaś inna bliska osoba zostaje zgwałcona, poddana

torturom i zamordowana?”.

Milczenie. Kierowca taksówki słucha hip-popu.

– Proszę to wyłączyć – mówi Benton spokojnie, tym razem głośno.

„A co ze starą kobietą, którą zabił piorun, ponieważ szkielet jej parasolki był metalowy?”.

Kay nie odpowiada.

„No dobra, a co z rodziną zaczadzoną tlenkiem węgla, ponieważ nikt im nie powiedział, żeby nie palili w piecu węglem drzewnym, zwłaszcza przy zamkniętych oknach? Jaki w tym jest cel?”.

Poczucie obecności Kay towarzyszy mu jak zapach jej ulubionych perfum.

„A więc jest jakiś cel w tym, że zostałem zamordowany i odszedłem z twojego życia na zawsze?”.

Dyskusja jest jednostronna i nigdy się nie skończy. Jaki cel przypisała temu, co, jak wierzy, stało się z nim, pyta, przekonany, że znalazła przyczynę, do tej pory na pewno.

„Racjonalizujesz, Kay. Zapomniałaś o naszych rozmowach o odrzuceniu”.

Umysł Bentona przenosi się do innego punktu, kiedy on sam jedzie taksówką niedługo po zmroku, trasą na Manhattan, a bagażnik i cała wolna przestrzeń w samochodzie są zapchane jego dobytkiem. Kierowca nie ukrywał oburzenia, kiedy zdał sobie sprawę, że trafił mu się pasażer ze sporą stertą rzeczy. Ale Benton był sprytny. Przywołał taksówkę z ulicy, a kierowca nie widział bagażu w gęstym cieniu chodnika, dopóki nie stanął przed wyborem – pospiesznie odjechać czy przyjąć opłacalny kurs do Nowego Jorku.

Kierowca nazywa się Robert Leary, jest białym mężczyzną z brązowymi włosami, brązowymi oczami, ma około stu osiemdziesięciu centymetrów

wzrostu i waży osiemdziesiąt kilogramów. Te i inne szczegóły, łącznie z numerem identyfikacyjnym na zaopatrzonej w fotografię plakietce przypiętej do osłony przeciwsłonecznej, znalazły się już w skórzanym notatniku, który Benton wszędzie ze sobą bierze. Gdy tylko znajdzie się w pokoju hotelowym, przeniesie, jak to ma w zwyczaju, wszystkie te dane do laptopa. Odkąd został objęty programem ochrony świadków, zapisuje każdą swoją czynność, każde miejsce i każdą osobę, którą spotkał – zwłaszcza jeśli zdarzyło się to więcej niż raz – a nawet to, jaka była pogoda, gdzie pracował i co jadł.

Robert Leary już kilka razy próbował nawiązać rozmowę, ale Benton patrzy w okno i nic nie mówi; kierowca oczywiście nie ma pojęcia, że ten mężczyzna z opaloną, pobrużdżoną, brodatą twarzą i ogoloną głową w milczeniu układa strategię, pod każdym możliwym kątem analizując wymagania taktyczne, możliwości i prawdopodobieństwa. Niewątpliwie, myśli taksówkarz, takie już jego szczęście, że zabrał dziwaka, któremu, sądząc po żalonym wyglądzie jego bagażu, źle się wiedzie, bardzo źle się wiedzie.

– Na pewno może pan zapłacić za kurs? – pyta, a raczej draży, po raz trzeci. – To nie będzie tanio, wie pan, zależy, jaką trasę będę musiał wybrać, zależy od ruchu i jakie ulice zamkną w mieście. Ostatnio nigdy nie wiadomo, jakie ulice gliny zamkną. Bezpieczeństwo. To jest coś. Co do mnie, nie jestem wielkim fanem karabinów maszynowych i facetów w maskach.

– Mogę zapłacić za kurs – odpowiada Benton.

Przednie światła mijanych samochodów uderzają w szybę, rozjaśniając na krótko jego posępną twarz. Jednego jest pewien: próba zamordowania Kay Scarpetty przez Jean-Baptiste'a Chandonne'a nie ma żadnego znaczenia w zestawieniu z najważniejszym faktem, że wykorzystwała swój

spryt i przeżyła. Dzięki Bogu, dzięki Bogu. Inne próby doprowadzenia do jej zguby także nie mają znaczenia w zestawieniu z cudem, iż też się nie powiodły. Benton zna szczegóły, może nie wszystkie, ale to, co pojawiało się w wiadomościach, w zupełności wystarczy.

Każda osoba zamieszana w jego plan jest pośrednio lub bezpośrednio związana ze złowrogą, poplątaną siecią Chandonne'ów. Benton wie, co stanowi o sile Chandonne'ów i co pozbawia ich tej siły. Zna istotne punkty, bez których kanały pomiędzy wykonawcami a zleceniodawcami nie mogą funkcjonować. Rozwiązanie tego problemu zawsze było zbyt skomplikowane, by ktokolwiek mógł je znaleźć, lecz przez sześć lat Benton nie miał nic innego do roboty, tylko je rozpracowywać.

Odpowiedź, jak się przekonał, jest prosta: chirurgicznie przeciąć druty, rozłączyć je i obdrzeć z izolacji, następnie zaś spleść i połączyć ponownie, aby spowodować krótkie spięcie, a imperium Chandonne'ów się rozpadnie. Tymczasem Benton – martwy Benton – z ukrycia obserwuje to, co zaplanował i wprowadził w czyn, jakby to była gra wideo, przy czym żaden z uczestników tej rozgrywki nie ma pojęcia, co się dzieje, wie tylko, że coś się dzieje, i cokolwiek to jest, musi być spowodowane przez zdrajców z wewnątrz. Główni gracze muszą umrzeć. Pomniejsi, z których wielu Benton nie zna, zostaną obarczeni winą i uznani za zdrajców. Oni też umrą.

Tą metodą Benton będzie manipulował swoimi wrogami i wyeliminuje ich, jednego po drugim. Według jego kalkulacji koalicja złożona z niego i ludzi, którzy nawet nie wiedzą, że zostali zwerbowani do jego prywatnej armii, wykona swoje zadanie w ciągu kilku miesięcy, może tygodni. Według jego kalkulacji Rocco Caggiano już nie żyje albo wkrótce będzie martwy, zabity z zimną krwią, jego śmierć została zaaranżowana, a Lucy i Rudy mogą wiedzieć, co robią albo zrobili, ale nie wiedzą, że to czyjaś strategia. Nie wiedzą, że są jej częścią.

Jednego tylko Benton nie zaplanował i nie przewidział – tego, że Kay Scarpetta zostanie powiązana z Baton Rouge, najbardziej strategicznym punktem na jego wymyślonej mapie. Z jakiegoś powodu ta część jego niemal doskonałego planu zawiodła. Nie wie, dlaczego. Nie wie, co się stało. Sprawdza nieustannie wszystkie szczegóły, ale pod koniec tej operacji ekran jest pusty, a beużyteczny kursor mruga do niego hipnotycznie. Teraz Benton musi się spieszyć. Pośpiech jest wbrew jego naturze, ale Kay nigdy nie powinna mieć jakiegokolwiek styczności z nikim i niczym w Baton Rouge. Powinien to zrobić Pete Marino. Powinien tym się zająć Ostatni Posterunek.

Na wieść o śmierci syna detektyw miał ruszyć śladami Rocca, co doprowadziłoby go i jego towarzyszy do Baton Rouge, gdzie Caggiano od wielu lat wynajmuje mieszkanie. Port w Baton Rouge jest niebezpiecznym miejscem. Wybrzeże to żyła złota. Po Missisipi pływają codziennie wszelkiego rodzaju cenne i groźne materiały. Baton Rouge to jeszcze jeden bastion Chandonne'ów, a Rocco odniósł tam wiele sukcesów i uzyskał znaczne wpływy, w tym całkowitą nietykalność ze strony policji, i uknuł wiele intryg, między innymi ochraniając Jaya Talleya i Jean-Baptiste'a Chandonne'a, kiedy zabawiali się w okolicy.

Jean-Baptiste i Jay mieli zaledwie po szesnaście lat, gdy odwiedzili po raz pierwszy Baton Rouge. Jean-Baptiste doskonalił swoje mordercze umiejętności, zabijając prostytutki, kiedy już obsłużyły Jaya. Te sprawy nigdy nie zostały powiązane, ponieważ były koroner zrzekł się swoich uprawnień na rzecz innych agencji, a policja nie zawraca sobie głowy prostytutkami.

Jeden krok prowadził do następnego, dopóki Marino nie odkryłby Jaya Talleya i Bev Kiffin w Baton Rouge i ich nie wyeliminował. Taki był plan,

a Kay Scarpetta nigdy nie miała w nim uczestniczyć. Puls łomocze Bentonowi gwałtownie w skroniach.

Trzyma nadgarstek blisko twarzy, ale nie może odczytać godziny na tanim, czarnym plastikowym zegarku, ponieważ tarcza nie fosforyzuje. I nie bez przyczyny. Benton nie chce mieć przy sobie niczego, co świeci w ciemnościach.

– Kiedy dotrzemy na miejsce? – pyta tym samym szorstkim tonem.

– Nie wiem dokładnie – odpowiada kierowca. – To zależy, czy przez cały czas będzie taki mały ruch. Może za dwie, dwie i pół godziny.

Jakiś samochód zbliża się do nich z tyłu, we wstecznym lusterku taksówki odbija się oślepiająco białe światło reflektorów. Kierowca klnie, kiedy wyprzedza ich czarny porsche 911, jego oddalające się czerwone tylne lampy przywodzą Bentonowi na myśl piekło.

ROZDZIAŁ 31

Doktor Scarpetta wpatruje się w zakleiony list. Gorące, wilgotne powietrze wpada swobodnie przez otwarte drzwi.

Chmury przypominają czarne kwiaty unoszące się nisko nad horyzontem, i Kay czuje, że przed świtem spadnie deszcz. Kiedy się obudzi, okna będą zaparowane, czego nie znosi. Niewątpliwie sąsiedzi myślą, że jest szalona, kiedy widzą ją o siódmej rano na balkonie, ścierając energicznie ręcznikiem parę z zewnętrznych szyb. Potem, z powodu wymuszonej i odrażającej więzi z mordercą, wyobraża go sobie w celi śmierci bez dostępu światła, i jej potrzeba wytarcia do czysta zamglonych, zmętniałych okien staje się jeszcze bardziej nagląca.

Nieotwarty list zaadresowany „Madame Scarpetta, doktor praw” leży na kawałku czystego białego pergaminu. Do kobiet lekarzy we Francji mówi się „madame”. W Ameryce zwrócenie się do kobiety lekarza inaczej niż „doktorze” jest zniewagą. Nawiedza ją nieprzyjemne wspomnienie, jak sprytni obrońcy zwracali się do niej w sądzie „pani Scarpetta” zamiast „doktor Scarpetta”, odzierając ją w ten sposób z autorytetu i doświadczenia, w nadziei, że ławnicy, a może nawet sędzia, nie potraktują jej tak poważnie, jak potraktowaliby doktora nauk medycznych – mężczyznę, którego specjalizacja w zakresie patologii i druga, w dziedzinie patologii sądowej, wymagały sześciu dodatkowych lat studiów po ukończeniu akademii medycznej.

Choć jest prawdą, że Kay Scarpetta ma również dyplom z prawa, praktycznie nikt nie dodaje tytułu „doktor praw” po jej nazwisku, a gdyby ktoś tak zrobił, uznałaby to za impertynenckie i mylące, ponieważ nie

praktykuje prawa. Spędziła trzy lata na wydziale prawa w Georgetown wyłącznie po to, by ułatwić sobie przyszłą karierę na polu medycyny sądowej, i to wszystko. Dodanie tytułu „doktor praw” po jej nazwisku jest aroganckie w swojej pretensjonalności i protekcyjności.

Jean-Baptiste Chandonne.

Wie, że list jest od niego.

Wyczuwa ten ohydny zapach. Węchowa halucynacja. Ostatnio doświadczyła czegoś podobnego, kiedy odwiedziła Muzeum Holocaustu i wychwytiła woń śmierci.

– Będę na podwórzu z Billym. Załatwił się, a teraz pracowicie ściga jaszczurki – mówi Rose. – Czy coś jeszcze mogę dla pani zrobić, zanim wyjdę?

– Nie, dziękuję, Rose.

Pauza, potem sekretarka pyta:

– Smakowała pani moja sałatka z tuńczyka?

– Mogłabyś otworzyć własną restaurację – odpowiada z przekonaniem doktor Scarpetta.

Wkłada świeżą parę białych bawełnianych rękawiczek, następnie podnosi list i skalpel, a potem wsuwa koniec trójkątnego ostrza w górny róg koperty. Nierdzewna stal tnie z szelestem tani papier.

ROZDZIAŁ 32

Krzesło, na którym siedzi Rocco, jest wyściełane.

Dwie – nie, zapewne trzy albo cztery surrealistyczne godziny temu siedział na tym samym krześle, jedząc kolację, kiedy ktoś z obsługi zastukał do drzwi i przyniósł mu butelkę szampana, bardzo dobry Moet & Chandon, z pozdrowieniami od dyrekcji. Rocco, cwany i nieustannie czujny, nie nabrał żadnych podejrzeń. Jest ważnym człowiekiem, który zatrzymuje się tutaj, ilekroć przyjeżdża do Szczecina. To jedyny przyzwoity hotel w mieście, a dyrekcja regularnie przysyła swemu stałemu klientowi prezenty, w tym drogi koniak i kubańskie cygara.

Rocco czuł się w tym miejscu bezpiecznie i dlatego właśnie intruz z pistoletem tak łatwo wtargnął do jego luksusowego schronienia. Stało się to tak szybko, że Caggiano nie zdążył zareagować. Wysoki kelner, bez służbowego uniformu, wszedł do pokoju z pustą butelką po szampanie na tacy, którą najwidoczniej zabrał sprzed drzwi innego gościa. Ten dupek – kimkolwiek jest – podszedł Rocca tak łatwo.

Rocco odsuwa od siebie talerz możliwie najdalej. Boi się, że zaraz zwymiotuje. Sfajdał się w spodnie. W pokoju tak cuchnie, że nie rozumie, jak tamten może to wytrzymać, ale młody, muskularny mężczyzna siedzący na łóżku jak gdyby niczego nie czuł. Patrzy na Rocca – jest to spojrzenie człowieka napompowanego adrenaliną i gotowego zabić. Nie pozwoli, by Caggiano doprowadził się do porządku. Nie pozwoli, by wstał z krzesła. Rzuca swój telefon komórkowy na łóżko po kolejnej krótkiej rozmowie i podchodzi do tacy, na której stoi pusta butelka po szampanie. Rocco obserwuje, jak nieznajomy starannie wyciera butelkę serwetką, i próbuje go

umiejszczyć. Może już gdzieś go widział, a może wszystko wyjaśnia to jego spojrzenie – spojrzenie agenta federalnego.

– Posłuchaj – mówi Caggiano, podnosząc głos ponad hałas telewizora – po prostu powiedz mi, kto i dlaczego, śmiało. Powiedz mi, kto i dlaczego, a może razem wymyślimy coś, co ci się bardziej spodoba. Jesteś agentem, prawda? Pracujesz w jakiejś agencji. To nie znaczy, że nie możemy czegoś wymyślić.

Powiedział to co najmniej sześć razy, odkąd tamten wszedł do pokoju z pustą butelką na tacy, zatrzasnął kopnięciem drzwi i wyciągnął pistolet. Już kilka razy otworzył drzwi i znowu je zatrzasnął. To coraz bardziej niepokoi Rocca. Chociaż nie rozumie, po co ten człowiek to robi, przychodzi mu do głowy, zresztą zauważył to już podczas poprzednich pobytów, że drzwi w tym hotelu trzaskają tak głośno, iż brzmi to jak wystrzał.

– Nie wydzieraj się – mówi mężczyzna. Stawia butelkę po szampanie na stole obok Rocca. – Podnieś ją. – Wskazuje głową.

Rocco patrzy na butelkę i głośno przetyka ślinę.

– Podnieś ją, Rocco.

– Zapytam znowu. Skąd wiesz, jak się nazywam? – Caggiano nie daje za wygraną. – Daj spokój. Znasz mnie, prawda? Możemy dojść do porozumienia...

– Weź ją do ręki.

Rocco spełnia polecenie. Agent chce, żeby zostawił na butelce swoje odciski palców. To niedobrze. Agent chce, żeby wyglądało to tak, jakby Rocco zamówił albo zdobył skądś szampana i wypił go. To bardzo niedobrze. Jego obawy potęgują się, kiedy napastnik podchodzi do łóżka, podnosi kurtkę i wyciąga skórzaną piersiówkę. Odkręcają, wraca do stołu i wlewa dużą porcję wódki do resztek jednego z koktajli Rocca.

– Pij – mówi.

Rocco przełyka wódkę kilkoma haustami, czując, jak mocny trunek spływa palącą strugą do żołądka, rozgrzewa go i wysyła swoich uwodzicielskich, otępiających emisariuszy do jego krwi i głowy. Jego poplątane myśli szybują ku nadziei, że agent okazuje mu życzliwość, traktuje go przyzwoicie, próbuje sprawić, aby się zrelaksował. Może przemyślał wszystko i chce zawrzeć układ.

Caggiano snuje różne domysły, ale faktem jest, że ktoś przysłał tu tego człowieka, ktoś, kto doskonale się orientuje w działalności Rocca i wie, że ten raz w miesiącu jeździ do Szczecina, by dopilnować spraw Chandonne'ów w porcie. Podstawowym zadaniem jest dogadanie się z policją i innymi urzędnikami. To po prostu interes. Rocco może go załatwić po pijanemu, wszystko sprowadza się do rutynowych prawniczych sztuczek i zwyczajowych gratyfikacji, a od czasu do czasu przypomnienia komu trzeba, jaki niebezpieczny jest świat.

Tylko ktoś wtajemniczony mógł znać rozkład dnia Rocca i wiedzieć, gdzie się zatrzymuje. Personel hotelowy nie wie, kim jest, wie tylko, że przyjeżdża z Nowego Jorku lub tak przynajmniej twierdzi. Nikogo nie obchodzi, czym się zajmuje. Jest hojny. Jest bogaty. Zostawia szczodre napiwki, więc wszyscy go lubią. Kelnerzy nalewają podwójną porcję wódki Chopin do jego drinków w barze, gdzie często przesiaduje w półmroku, paląc cygara.

Napastnik wygląda na jakieś dwadzieścia osiem, najwyżej trzydzieści kilka lat. Czarne włosy ma krótko obcięte i ułożone za pomocą żelu, taką sterczącą fryzurę nosi teraz wielu młodych ludzi. Rocco zwraca uwagę na kwadratową szczękę, prosty nos, ciemnoniebieskie oczy, a także zgrubienia i żyły na jego bicepsach i dłoniach. Ten facet prawdopodobnie nie potrzebuje broni, żeby kogoś zabić. Podoba się kobietom. Gapią się na niego, lecą na niego. Rocco nigdy nie był atrakcyjny. Już jako nastolatek

miał początki łysiny i nie mógł przejść spokojnie obok pizzy i piwa, co było widać. Zżera go zazdrość. Zawsze zżerała. Kobiety sypiają z nim tylko dlatego, że ma władzę i pieniądze. Rośnie w nim nienawiść do napastnika.

– Nie wiesz, w co się pakujesz – mówi.

Tamten nie zadaje sobie trudu, żeby odpowiedzieć, tylko omiata wzrokiem pokój. Rocco ociera twarz tłustą serwetką i skupia uwagę na nożu leżącym na talerzu.

– Spróbuj – rzuca mężczyzna, patrząc na nóż. – No dalej, spróbuj. Bardzo ułatwisz mi życie.

– Nie zamierzałem nic robić. Po prostu wypuść mnie i zapomnijmy o wszystkim.

– Nie mogę cię wypuścić. Prawdę mówiąc, mnie to też nie bawi. Dlatego jestem w parszywym nastroju. Nie wkurzaj mnie. Chcesz sobie pomóc? Dobra, wiesz, co mówią o spowiedzi przed śmiercią.

– Nie. Co, do diabła, mówią?

– Gdzie jest Jay Talley, i nie opowiadaj mi następnych pieprzonych łgarstw, dupku.

– Nie wiem – jęczy Rocco. – Przysięgam na Boga, że nie wiem. Ja też się go boję. To świr. Nie przestrzega reguł gry i wszyscy trzymamy się od niego z daleka. Chodzi własnymi drogami, przysięgam na Boga. Proszę, czy nie mógłbym zmienić spodni? Możesz mnie obserwować, niczego nie będę próbował.

Agent wstaje z łóżka i otwiera drzwi szafy, z coltem niedbale opuszczonym, co dla coraz bardziej zgnębionego i przerażonego Rocca jest sygnałem, że ten człowiek niczego się nie boi. W szafie wisi około pół tuzina eleganckich garniturów, a on ściąga z wieszaka parę spodni i rzuca ją Roccowi.

– Idź. – Otwiera drzwi łazienki i siada z powrotem na łóżku.

Caggiano trzęsie się, kiedy idzie do łazienki i zdejmuje spodnie i gatki. Wrzuca je do wanny, zwilża ręcznik wodą z kranu i wyciera się.

– Jay Talley – mówi znowu mężczyzna. – Prawdziwe nazwisko Jean-Paul Chandonne.

– Spytaj mnie o coś innego. – Rocco siada na innym krześle.

– Dobra. Do Talley'a wrócimy później. Masz zamiar sprzątnąć swojego ojca? – Agent obrzuca go zimnym spojrzeniem. – Wszyscy wiedzą, że go nienawidzisz.

– Nic do niego nie mam.

– Nie chrzań, Rocco. Uciekłeś z domu. Zmieniłeś nazwisko z Marino na Caggiano. Jaki masz plan i kto jest zamieszany?

Caggiano waha się przez dłuższy czas, myśli przelatują mu po głowie. Napastnik wstaje, oddychając przez usta, jakby chciał uniknąć smrodu. Przyciska lufę colta do prawej skroni Rocca.

– Kto, jak, kiedy i gdzie? – pyta, stukając go w głowę lufą pistoletu przy każdym słowie. – Nie rób ze mnie wała!

– Zamierzałem to zrobić. Za kilka miesięcy, kiedy pojedzie na ryby. Zawsze jeździ na ryby nad jezioro Buggs w pierwszym tygodniu sierpnia. Miałem dopaść go w chacie, upozorować napad rabunkowy.

– Więc zabiłbyś własnego ojca, kiedy pojedzie na ryby! Wiesz, czym jesteś, Rocco? Najgorszym gównem, jakie w życiu widziałem.

ROZDZIAŁ 33

Ilekcroć Nicole Robillard przejeżdża obok Sno Depot w centrum Zachary, zbiera jej się na płacz.

Tego wieczoru stragan z ręcznie wymalowanym szyldem zachwalającym rożki lodowe jest ciemny i opuszczony. Gdyby był z nią Buddy, wyglądałby teraz przez okno i błagał, nie zważając na to, że lodziarnia jest zamknięta i matka nie może mu kupić ulubionego przysmaku. Chłopiec uwielbia rożki lodowe bardziej niż cokolwiek na świecie i pomimo wysiłków Nicole, aby odwrócić uwagę synka od słodyczy, domaga się rożka – wiśniowego lub winogronowego – za każdym razem, kiedy Nic zabiera go gdzieś samochodem.

Buddy jest teraz u dziadka w Baton Rouge, gdzie mieszka zawsze, kiedy Nicole pracuje do późna, a od powrotu z Knoxville pracuje nieustannie. Doktor Scarpetta ją zainspirowała. Chęć zaimponowania uwielbianej wykładowczyni zdominowała życie Nic. Jest zdecydowana doprowadzić do aresztowania seryjnego mordercy. Rozpaczliwie współczuje uprowadzonym kobietom i ma absolutną pewność, że to zdarzy się znowu, jeśli szaleniec nie zostanie schwytany. Dręczą ją smutek i poczucie winy, że zaniedbuje syna po tym, jak przez dwa i pół miesiąca była z dala od niego.

Gdyby Buddy kiedykolwiek przestał ją kochać lub zszedł na złą drogę, Nicole wolałaby umrzeć. Czasami, kiedy wreszcie wraca do swego maleńkiego wiktoriańskiego domu w pobliżu kościoła Świętego Jana Chrzciciela przy Lee Street, leży w łóżku, obserwując mroczne kształty w małej sypialni, i wsłuchuje się w ciszę, wyobrażając sobie, jak Buddy śpi smacznie w domu jej ojca w Baton Rouge. Myśli o synu i byłym mężu,

Rickym, trzepoczą jak ćmy. Zastanawia się, czy strzeliłaby sobie w serce, czy w głowę, gdyby straciła wszystko, co się liczy.

Nikt nie ma pojęcia, że Nicole popada w depresję. Nikt nie podejrzewa, że są chwile, kiedy bawi się myślami o samobójstwie. Przed niewyobrażalnym powstrzymuje ją przekonanie, że śmierć z własnej ręki jest najbardziej samolubnym grzechem, jaki człowiek może popełnić. Wyobraża sobie straszliwe konsekwencje takiego czynu, odpychając ponure fantazje, dopóki znowu nie wciągnie ją wir bezsilności, samotności i rozpacz.

– Cholera – szepcze, kiedy jedzie Main Street, zostawiając za sobą Sno Depot. – Przepraszam cię, Buddy, mój kochany synku.

Jakże trudną decyzję musi podjąć: nie zrobić nic w sprawie zamordowanych kobiet albo nie zrobić nic dla własnego dziecka.

ROZDZIAŁ 34

MON PETIT AGNEAU PRISÉ!

„Moje małe najdroższe jagniątko”, tłumaczy doktor Scarpetta, serce jej zamiera na widok charakteru pisma Chandonne’a i czuje jego obecność w liście.

Siedzi w tej samej pozycji tak długo – na krześle z prostym oparciem przy otwartych drzwiach sypialni – że rozboleły ją plecy, a niski szklany stolik zaparował od wilgotnego morskiego powietrza. Kiedy przypomina sobie, żeby zaczerpnąć tchu, czuje, że wszystkie mięśnie ma napięte, jej całe ciało jest jak zaciśnięta pięść.

List, list, list.

Uderza ją, że charakter pisma Jean-Baptiste’a jest piękny: starannie wykaligrafowane czarnym atramentem litery, ani jednego przekreślonego słowa, ani jednego błędu, który mogłaby dostrzec na pierwszy rzut oka. Musiał spędzić dużo czasu, pisząc do niej ten list, jakby sprawiało mu to niebywałą przyjemność, a ta myśl wprawia ją w jeszcze większe przerażenie. Wilkołak o niej myśli. Mówi jej o tym samym aktem pisania.

Kay czyta:

*Czy wiesz już o Czerwonej Lasce i że musisz tam pojechać?
Ale najpierw przyjedziesz zobaczyć się ze mną. W stanie Longhorn, jak to mówią!*

Widzisz, rozkazuję Ci.

Nie masz własnej woli. Możesz myśleć, że masz, ale to ja jestem prądem płynącym przez Twoje ciało, każdy impuls pochodzi ode mnie. Jestem w Twoim wnętrzu, czujesz to!

Czy pamiętasz tamtą noc? Chętnie otworzyłaś drzwi, a potem zaatakowałaś mnie, ponieważ nie mogłaś stawić czoła swojej tęsknocie za mną. Wybaczyłem Ci, że zabrałaś mi oczy, lecz nie mogłaś zabrać duszy. Podąża za Tobą nieustannie. Jeśli się postarasz, zdołasz jej dotknąć.

Maintenant! Maintenant! Już czas. Czerwona Laska czeka na Ciebie.

Najpierw jednak musisz przyjechać do mnie, bo nie zdążysz wysłuchać mojej historii.

Opowiem ją tylko Tobie.

Wiem, czego pragniesz, mon petit agneau prisé! Mam to, czego chcesz.

*Za dwa tygodnie stanę się martwy i nie będę miał nic do powiedzenia.
Ha!*

Czy uwolnisz mnie dla ekstazy?

Albo może ja uwolnię Ciebie? Zatapiając zęby w Twojej miękkiej, krągłej urodzie.

Jeśli Ty nie znajdziesz mnie, ja znajdę Ciebie.

Uściski i uniesienia

Jean-Baptiste.

Kay Scarpetta długo wymiotuje w staromodnej łazience z prostą białą toaletą, prostą plastikową zasłoną wokół prostej białej wanny i pokrytymi pleśnią białymi ścianami. Wypija szklanekę wody z kranu i wraca do sypialni, do stołu, do tego przekłętego kawałka papieru, który, jak podejrzewa, nie dostarczy jej żadnych śladów. On jest za sprytny, żeby pozostawiać ślady.

Siada na krześle, próbując walczyć z obrazami ohydnej bestii wdzierającej się przez jej frontowe drzwi jak zły duch z czeluści piekła. Z

trudem przypomina sobie szczegóły pościgu, straszliwego pościgu wokół jej salonu, kiedy on wymachiwał żelaznym młotkiem, tym samym żelaznym młotkiem, którym posługiwał się wcześniej, żeby rozbijać głowy i ciała kobiet na krwawą miazgę, zwłaszcza ich twarze.

Jako lekarz sądowy badała wtedy sprawę morderstw w Richmondzie i nigdy nie przypuszczała, że może być następną ofiarą Wilkołaka. Od tamtej pory stara się wyrzucić ze świadomości wyobrażenia własnego zmaltretowanego ciała i twarzy. Nie zgwałciłby jej. Nie jest zdolny do gwałtu. Jean-Baptiste mści się na całym świecie, powodując śmierć i koszmarnie zniekształcenia, by tworzyć od nowa innych na własne podobieństwo. Jest ostatecznym ucieleśnieniem nienawiści do samego siebie.

Jeśli to prawda, że ocaliła sobie życie, trwale go oślepiając, powinien być szczęśliwy, że oszczędzono mu własnego odbicia w wypolerowanym metalowym lustrze, w które musi patrzeć codziennie w swojej celi śmierci.

Doktor Scarpetta idzie do szafy w przedpokoju i odsuwa odkurzacz. Wyciąga walizkę.

ROZDZIAŁ 35

Jeśli będziesz czegoś potrzebował, zadzwoń do mnie na komórkę – mówi Nicole, stojąc w drzwiach frontowych białego ceglanego domu swego ojca w dzielnicy Old Garden, gdzie budynki są wielkie, a baldachimy magnolii i dęby ocieniają najstarszą część miasta.

Nawet w słoneczne dni dom, w którym spędziła dzieciństwo, wydaje jej się mroczny i złowrogi.

– No cóż, wiesz, nie lubię tego twojego małego nowomodnego telefonu – mówi ojciec, mrugając do niej. – Nawet jeśli nie dzwonisz, musisz płacić, prawda? Chyba że masz nieograniczony przydział darmowych minut.

– Co takiego? – Nicole marszczy brwi, a potem wybucha śmiechem. – Nieważne. Mój nowy numer jest przyczepiony do drzwi lodówki, gdybyś zdecydował się zatelefonować. Jeśli nie oddzwonię natychmiast, to dlatego, że jestem zajęta. A ty bądź grzeczny, Buddy. Jesteś moim dużym mężczyzną, prawda?

Jej pięcioletni syn wychyla się zza pleców dziadka i robi miny.

– Złapałam! – Nicole udaje, że chwyta go za nos i próbuje starej sztuczki z wsunięciem kciuka pomiędzy dwa palce. – Chcesz swój nos z powrotem czy nie?

Buddy wygląda jak wyobrażenie jasnowłosego chłopca z chóru, ubrany jest w kombinezon, który stał się już o kilka centymetrów za krótki. Dotyka swojego nosa i pokazuje język.

– Wystawiaj dalej język, a pewnego dnia nie będziesz go mógł schować z powrotem do buzi – ostrzega go dziadek.

– Sza – wtrąca Nic. – Nie mów takich rzeczy, tato. On w to wierzy. – Zagląda za plecy ojca i łapie chłopca. – Mam cię! – Podnosi synka i okrywa jego twarzyczkę pocałunkami. – Wygląda na to, że już czas iść po zakupy, mój mały mężczyzno. Znowu wyrosłeś ze swoich rzeczy. Jak ty to robisz?

– Nie wiem. – Obejmuje ją mocno za szyję.

– Myślisz, że mógłbyś nosić coś innego niż kombinezony? – szepcze mu do ucha Nicole.

Buddy energicznie potrząsa głową. Matka delikatnie stawia go na ziemi.

– Dlaczego nie mogę iść? – Buddy wydyma wargi.

– Mama musi pracować. Zanim się obudzisz, będę z powrotem, dobrze? Pójdiesz teraz do łóżka jak duży mężczyzna, a ja przyniosę ci niespodziankę.

– Jaką niespodziankę?

– Gdybym ci powiedziała, to nie byłaby niespodzianka, prawda? – Znowu całuje go w czubek głowy, a on z irytacją czochra włosy, jakby coś go ugryzło.

– Oho – mówi Nic do ojca. – Chyba ktoś tu się dąsa.

Buddy obrzuca ją spojrzeniem pełnym gniewu i bólu, po którym Nicole zawsze czuje się tak, jakby go zdradziła i zawiodła. Kiedy jej były mąż dostał awans, którego zawsze pragnął, życie z nim stało się zupełnie nie do wytrzymania, ciągle wyjeżdżał, narzekał i zachowywał się okropnie. W końcu odszedł, a Nic jest zadowolona, a jednocześnie głęboko dotknięta w sposób, którego nie potrafi zdefiniować. Trudności w życiu zawsze wychodzą człowiekowi na dobre, jeśli wypełnia się wolę Boga, zgodnie z twierdzeniem ojca, który ją kocha, ale nie weźmie jej strony w nieudanym małżeństwie.

– Powinnaś wiedzieć, że zawód policjanta nie idzie w parze z życiem rodzinnym, jeśli kiedykolwiek wyjdiesz za mąż – powiedział, kiedy Nic

osiem lat temu wstąpiła do akademii policyjnej, po krótkim okresie pracy na stanowisku księgowej w filii Forda w Zachary, gdzie poznała Ricky'ego. Spotykali się przez trzy miesiące, a potem zamieszkali razem. Kolejny grzech. Wreszcie wyrwała się z nawiedzonego domu.

– Mama miała własną firmę – przypomina Nicole za każdym razem, kiedy ojciec wygłasza ten komentarz.

– Kochanie, to nie to samo. Nie nosiła broni...

– Może gdyby nosiła...

– Dosyć, zamknij buzię!

Dokończyła to zdanie tylko raz. To było zaraz po tym, jak wystąpiła o rozwód, a ojciec przez całe popołudnie robił jej wymówki, przechadzając się po salonie. Na jego twarzy malowały się niedowierzanie, strach i gniew. Jest wysokim, szczupłym mężczyzną; tamtego dnia chodził nerwowo od ściany do ściany i potraçał kryształową lampę na stoliku obok kanapy, aż w końcu spadła i rozbiła się z hukiem.

– Spójrz, co zrobiłaś! – krzyknął. – Stłukłaś lampę mamy!

– To ty ją stłukłeś.

– Dziewczeta nie ścigają kryminalistów i nie strzelają z pistoletów. Dlatego właśnie straciłaś Ricky'ego. Ożenił się z ładną kobietą, nie z Annie Oakley. I co z ciebie za matka...

Wtedy właśnie to powiedziała:

– Gdyby mama miała broń, może nie zarznąłby jej we własnym domu jakiś pieprzony skurwiel!

– Nie waź się używać takich wyrazów – powiedział ojciec, podkreślając każde słowo gwałtownym wysunięciem palca, a te gesty przypominały jej, co stało się z matką.

Nigdy więcej nie poruszali tego tematu, pozostał jednak pomiędzy nimi niczym odgradzający ich front burzowy. Bez względu na to jak często się

widują, Nicole nie może się bardziej zbliżyć do ojca. Urodziła się po dwóch wcześniakach, które nie przeżyły, i jest jego jedynym dzieckiem. Od kiedy przestał uczyć socjologii w szkole średniej i przeszedł na emeryturę, nudzi się i właściwie wycofał się z życia. Jeśli nie zajmuje się Buddym, spędza poranki na rozwiązywaniu krzyżówek i odbywa długie, samotne spacerki.

Nicole wie, że ojciec ma poczucie winy. Jej matka została zamordowana osiem lat temu w środku dnia, kiedy oni oboje byli w pracy. Zapewne Nic też ma poczucie winy, nie z powodu śmierci matki, jak sobie tłumaczy, lecz dlatego, że gdyby po pracy nie poszła na piwo z przyjaciółmi, może to nie ojciec zobaczyłby pierwsze ciało żony i krew w całym domu, jako że matka broniła się przed mordercą i uciekała z pokoju do pokoju. Kiedy Nic wróciła do domu, lekko wstawiona, na terenie posesji roіło się od policjantów, a ciało już zabrano. Nigdy go nie widziała. Podczas pogrzebu trumna była zamknięta. Nicole nie mogła się zdobyć na to, żeby przeczytać protokół policyjny, a ponieważ sprawa pozostała nierozwiązana, biuro koronera nie udostępniło kopii raportu z sekcji zwłok. Nic wie tylko, że matce zadano wiele ran ciętych i kłutych, aż wykrwawiła się na śmierć. Ta wiedza dotąd jej wystarczała. Ale z jakiegoś powodu teraz już nie wystarcza.

Tego szczególnego wieczoru Nicole chce porozmawiać z ojcem, ale to niemożliwe, dopóki Buddy jest w pobliżu.

– Chcesz pooglądać telewizję przez kilka minut przed snem? – pyta go.

To naprawdę specjalny przywilej.

– Tak – mówi chłopiec, wciąż nadąsany.

Biegnie do pokoju i włącza telewizor.

Nic kiwa na ojca, aby wyszedł z nią na zewnątrz.

– Chodź – szepcze do niego i idą jak zwykle pod stary dąb na końcu podwórza.

– Niech to lepiej będzie coś ważnego. – Ojciec ma swoje powiedzonka, których powtarzanie nigdy go nie nuży.

Nic widzi błysk jego zębów, kiedy to mówi, i wie, że ojciec jest zadowolony, iż wyciągnęła go w środku nocy na poufną rozmowę, nieprzeznaczoną dla uszu malca.

– Wiem, że nie chcesz o tym mówić – zaczyna stanowczym tonem – ale chodzi o mamę. – Zauważa, jak ojciec wzdryga się i wycofuje, jakby cała energia nagle opuściła jego ciało. – Muszę wiedzieć więcej, tato. Męczy mnie to, że nie wiem. Może z powodu tego, co się teraz dzieje, z tymi zaginionymi kobietami. Coś czuję. Nie wiem, jak inaczej to powiedzieć, ale coś czuję. Coś strasznego. – Głos jej drży. – I to mnie przeraża, tato. To, jak się czuję, bardzo mnie przeraża.

Jego milczenie jest posępne, jak drzewo, pod którym stoją.

– Pamiętasz, jak pewnego razu wzięłam drabinę i oparłam ją o to właśnie drzewo? – Patrzy w niebo, jej wzrok napotyka gęste, ciemne gałęzie i liście. – Następne, co pamiętam, to jak utknęłam tam na górze, zbyt przerażona, żeby wejść wyżej albo zejść na dół. I musiałeś mnie zdejmować.

– Pamiętam. – Jego głos brzmi tak, jakby nikogo nie było w domu.

– Tak właśnie się teraz czuję – ciągnie Nicole, próbując dotrzeć do tej części jego serca, która zamknęła się po zamordowaniu żony. – Nie mogę wejść wyżej ani zejść i potrzebuję twojej pomocy, tato.

– Nic nie mogę zrobić – odpowiada ojciec.

ROZDZIAŁ 36

Szczecińskie niebo przeszywają anteny, ulice są ciche, śródmieście robi ponure wrażenie.

Sklepy nie wyglądają zachęcająco, zwłaszcza o tej późnej godzinie. Radisson jest zbudowany z cegły, ma brukowany szarą i czerwoną kostką dziedziniec, a wielki niebieski transparent nad frontowym wejściem zaprasza na sesję „Metody i modele w automatyce i robotyce”, co się dobrze składa.

Im więcej ludzi jest w hotelu, tym lepiej, a Lucy programowała roboty i w razie potrzeby może rozmawiać na ten temat z każdym. Ale to nie będzie konieczne. Ma plan, bardzo dobry pod każdym względem. Znajduje miejsce do parkowania kilka ulic dalej, zaraz za delikatesami.

Opuszcza lusterko na osłonie przeciwsłonecznej, poprawia makijaż i wpina w uszy złote kolczyki. Zrzuca z nóg tenisówki i wciąga czarne błyszczące kowbojskie buty, niezbędne do kamuflażu, gdyby ktoś zobaczył ją w hotelu. Wkłada czarną bluzkę, z marszczonego materiału, i wsuwa w rękaw pałkę. Rozpina guziki u góry, żeby odsłonić rowek między piersiami. Przeistoczona w seksowną młodą kobietę, Lucy jest dostatecznie rozczochrana i ponętna, by uchodzić za uczestniczkę zjazdu, która przez pół nocy dobrze się bawiła. Narzuca wiatrówkę i przeklinając buty, idzie szybkim krokiem do hotelu w mętnym świetle lamp ulicznych.

Radisson jest samoobsługowy, jak Lucy nazywa hotele, gdzie sama musi nosić swój bagaż, używać magnetycznego klucza do pokoju, żeby dostać się do sali gimnastycznej i sama napełniać wiaderko lodem i gdzie właściciele są wstrząśnięci, kiedy zostawia napiwek. O tej porze nie ma

portiera ani odźwiernego, tylko młoda kobieta czyta polskie czasopismo, siedząc za kontuarem recepcji. Lucy zatrzymuje się na zewnątrz w ciemnościach, rozgląda i upewnia, że nikt nagle nie wyjdzie i jej nie zobaczy. W takim wypadku zaczęłaby grzebać w małej skórzanej torebce zawieszanej na ramieniu, udając, że szuka klucza do pokoju. Czeka niecierpliwie dziesięć minut, aż znudzona, zmęczona recepcjonistka wstaje i odchodzi, może do toalety, może po kawę. Lucy przebiega przez hol i znika w windzie, naciskając guzik czwartego piętra.

Rudy jest w pokoju 511. To nie jego pokój. Dostał się do hotelu mniej więcej w taki sam sposób jak Lucy, ale miał dobrą sposobność, wszedł razem z tłumem biznesmenów wracających z kolacji. Na szczęście był dostatecznie sprytny, żeby włożyć garnitur i krawat. Musil to dziwny facet. Dawni koledzy z HRT zazdrościli mu pięknie umięśnionego ciała i oskarżali go, że bierze sterydy, których nigdy nie tknął. Lucy by o tym wiedziała, ponieważ Rudy może mieć swoje wady, ale jest tak uczciwy i szczery, że czasem nazywa go swoją przyjaciółką. Zna każdy składnik jego diety, łącznie z witaminami i proteinami, jego rozkład ćwiczeń, ulubione czasopisma i programy telewizyjne. Nie pamięta, kiedy ostatnio przeczytał książkę. Rozumie też, dlaczego napastował ją w Domu Opon, i jest jej przykro, że złamała mu nos.

– Myślałem, że też na mnie lecisz. Przysięgam – tłumaczył się z żalonym wyrazem twarzy. – To było strasznie ekscytujące, czołgać się pomiędzy tymi oponami i strzelać, a ty byłaś tam ze mną, wszędzie dookoła spadały puste łuski, oboje byliśmy brudni i okopceni, a ty wyglądałaś tak ładnie, że nie mogłem się powstrzymać i zadałem ci to pytanie – choć nie powinienem – a ty powiedziałaś, że lubisz uprawiać seks tak często, jak to możliwe. Myślałem, że masz na myśli seks ze mną.

– Akurat w tej chwili? – spytała Lucy. – Naprawdę tak myślałeś?

– Tak. Że też jesteś podekscytowana i napalona.

– Od czasu do czasu powinienes obejrzeć coś poza filmami akcji – odparła Lucy. – Może Walta Disneya?

Przeprowadzili tę rozmowę w jej pokoju w akademii FBI, oboje siedzieli na jej łóżku, ponieważ Lucy nie bała się Rudy’ego, ani wtedy, ani nigdy. To on miał szwy pod dolną wargą i złamany nos, który wymagał interwencji chirurga plastycznego.

– Poza tym, i wiem, że dla ciebie może to zabrzmieć idiotycznie, Lucy, ale wkurzało mnie to, co mówiła reszta chłopaków. Może chciałem coś udowodnić – udowodnić, że nie jesteś taka, jak mówią.

– Rozumiem. Gdybyśmy się kochali, mógłbyś do nich pójść i wszystko opowiedzieć.

– Nie! Nie miałem takiego zamiaru. Nic bym im nie powiedział. To nie ich sprawa!

– Hm. Uporządkujmy to. Gdybyśmy się kochali w Domu Opon, udowodniłbyś innym chłopakom, że lubię facetów – chociaż oni by się nie dowiedzieli, że się kochaliśmy w Domu Opon, ponieważ jesteś za bardzo taktowny, żeby o tym opowiadać.

– Och, szlag by to trafił. – Rudy zapatrzył się smętnie w podłogę. – Nie potrafię tego wyrazić. Nic bym im nie powiedział, ale następnym razem, kiedy by cię obmawiali i gadali, że jesteś homo, oziębła albo coś, mógłbym na nich spojrzeć i zrobić coś, żeby pokazać, że nie wiedzą, o czym mówią.

– Doceniam to, że chodziło ci wyłącznie o moje dobro, kiedy próbowałeś zedrzeć ze mnie ubranie i mnie zgwałcić – odparła Lucy.

– Nie próbowałem cię zgwałcić! Na miłość boską, nie mów tak! Myślałem, że tego chcesz. Cholera, Lucy, co chcesz, żebyś zrobił?

– Nigdy więcej nie próbuj takich rzeczy. Bo następnym razem złamię ci nie tylko nos.

– Dobra. Nic nie zrobię, chyba że ty zaczniesz. Albo zmienisz zdanie.

Odszedł z biura i w końcu zaczął pracować w Ostatnim Posterunku. Rudy jest zdumiewającą mieszanką. Pod pewnymi względami to wielki, przystojny głupek, niezdolny oświadczyć się żadnej z kobiet, które, jak utrzymuje, kochał do szaleństwa (a odznacza się w tej dziedzinie, o ile Lucy może stwierdzić, przerażająco złym gustem). Ale jako stróż prawa, a także pilot śmigłowca, jest skrupulatny i zręczny. Rudy nie jest samolubny ani narcystyczny. Rzadko pije i nigdy nie bierze prochów, nawet aspiryny.

– Jedno w tym dobre. – Popatrzył na Lucy, gdy siedzieli na jej łóżku. – Kiedy chirurg plastyczny mi go składał, poszedł na całość i zlikwidował tę lekką wypukłość. – Dotknął delikatnie strzałki na grzbiecie swojego nosa. – Powiedział, że będę miał idealny rzymski nos. Tak właśnie go nazwał, rzymski nos. – Urwał, lekko zaniepokojony. – Co to właściwie jest rzymski nos?

ROZDZIAŁ 37

Lucy puka do drzwi pokoju 511.

Na klamce znajduje się wywieszka „Nie przeszkadzać”, a w środku głośno gra telewizor, stukają podkowy, huczą wystrzały. Sprawia to wrażenie, jakby Rudy oglądał western. Ale on obserwuje Rocca.

– Tak. – Po dłuższej chwili ze środka dochodzi głos Rudy’ego.

– Cało i bezpiecznie. – Lucy używa lotniczego slangu i obrzuca wzrokiem korytarz, kiedy wyjmuje z kieszeni lateksowe rękawiczki i wciąga je na dłonie.

Drzwi otwierają się dostatecznie szeroko, żeby mogła wśliznąć się do środka, a potem szybko zamyka je za sobą. Rudy, też w chirurgicznych rękawiczkach, przekręca zasuwę. Lucy zdejmuje wiatrówkę i patrzy twardo na Rocca Caggiano, na jego sflaczałe, tłuste ciało i przekrwione oczy. Chłonie każdy szczegół w pokoju. Na krześle leży czarny kaszmirowy płaszcz, a w rogu na dywanie widać plastikową tacę z pustą butelką po szampanie. Obok stoi kubełek do lodu, z nierdzewnej stali, wypełniony wodą. Potrzeba by kilku godzin, żeby lód się całkowicie stopił. Łóżko jest ogromne, a naprzeciwko niego, pod oknem z zaciągniętymi zasłonami, widać mały szklany stół i dwa krzesła. Na dywanie poniewiera się kilka angielskich gazet. Może ostatnio był w Anglii. Ale też mógł kupić gazety gdziekolwiek w drodze tutaj.

Pomiędzy stołem a łóżkiem stoi wózek hotelowy, pusty, jeśli nie liczyć czterech pokrywek na talerze z nierdzewnej stali. Lucy nic nie może na to poradzić, że przychodzi jej na myśl ojciec Rocca, Pete Marino, kiedy widzi przed sobą ogryzione żeberka, postrzępione skórki pieczonych ziemniaków,

talerz z jednym krążkiem masła (stopionego), pusty koszyk na pieczywo i szklaną salaterkę wypełnioną przywiedłą sałatą, sosem, plasterkami cytryny i ogonami krewetek. Rocco pożarł całe ciasto czekoladowe, na talerzyku pozostały tylko tłuste ślady jego palców.

– Muszę iść.

– Nie krępuj się.

Lucy pędzi do łazienki. Smród jest straszliwy.

– Trzeźwy? – pyta Rudy’ego, kiedy wraca.

– W miarę.

– To musi być w genach.

Co?

– To, że ojciec i syn w ten sam sposób dbają o siebie – wyjaśnia Lucy. – I mają wspólne upodobania kulinarne. – Zwraca się do Rocca. – Wpadłeś do Szczecina wysłać parę dodatkowych sztuk broni palnej? Może trochę amunicji, materiałów wybuchowych, elektroniki, perfum i ubrań? Ile fałszywych listów przewozowych masz w teczce?

Caggiano patrzy na nią, skupiając uwagę na jej dekolcie.

– Trzymaj cholerne gały przy sobie – warczy Lucy, przypomniawszy sobie, jak wygląda. Zapina się i podejmuje przesłuchanie. – Pewnie wszystkie te rzeczy gdzieś sobie teraz płyną, prawda, Rocco?

Caggiano nie odpowiada. Lucy zauważa wymiociny pomiędzy jego czarnymi mokasynami z krokodylej skóry.

– Narzygałeś na własne gównno, Rocco. – Siada na skraju łóżka.

– Masz w rękawie ogórek czy po prostu cieszysz się, że mnie widzisz? – pyta Rudy bez uśmiechu, nie spuszczając wzroku z więźnia.

Lucy przypomina sobie o pałce w rękawie, wyciąga ją i kładzie na nocnym stoliku. W pokoju jest gorąco. Zerka na termostat i widzi, że Rudy podkręcił ogrzewanie do dwudziestu trzech stopni. Wyższa temperatura

mogłaby wzbudzić podejrzenia. Ciepłe podmuchy poruszają zaciągniętymi zasłonami w oknie po drugiej stronie pokoju. Wielkie okno wychodzi na podjazd przed hotelem. Rocco patrzy na pistolet, jego oczy wypełniają się łzami.

– No, no. – Lucy kręci głową. – Jesteś strasznym mazgajem jak na kogoś tak podłego i bezwzględnego. A tak nawiasem mówiąc, twój ojciec nie płacze. – Spogląda na Rudy’ego. – Widziałeś kiedyś, żeby Marino płakał?

– Nie.

– Widziałeś, żeby zesrał się w spodnie?

– Nie. Czy wiesz, że Rocco zamierza wpakować ojcu kulkę w głowę podczas jego wycieczki na ryby? No wiesz, nad jeziorem Buggs, tam, gdzie Marino zawsze jeździ na urlop.

Lucy nie odpowiada. Czuje mrowienie na karku. Ma nadzieję, że detektyw nigdy się nie dowie, iż ona i Rudy byli tutaj i prawdopodobnie uratowali mu życie. Rocco już nigdy nikogo nie zastrzeli.

– Mogłeś zabić ojca wiele lat temu. Dlaczego właśnie w sierpniu tego roku? – pyta Lucy.

Wie, kiedy Marino odbywa swoją roczną wycieczkę na ryby.

Rocco wzrusza ramionami.

– Instrukcje.

– Od kogo?

– Od mojego byłego klienta. Ma rachunki do wyrównania.

– Jean-Baptiste – mówi Lucy. – A zatem wy dwaj pozostajecie w kontakcie. To wzruszające, ponieważ on jest powodem, dla którego umrzesz.

– Nie wierzę ci! – krzyczy Rocco. – On nigdy... Potrzebuje mnie.

– Do czego? – pyta Rudy.

– Zlecenia na zewnątrz – wyjaśnia Caggiano. – Nadal jestem jego adwokatem. Może do mnie wysłać wszystko, co chce. Skontaktować się ze mną, kiedy chce.

– Co ci przysyła? – pyta Rudy.

– Wszystko. Wystarczy, że napisze na kopercie „Poczta prawnicza” i nikt jej nie otworzy. Więc jeśli chce przesłać list albo cokolwiek komuś, kto nie jest prawnikiem, robi to za moim pośrednictwem.

– A więc list, który od niego dostałam i w którym cię wystawił, został wysłany za twoim pośrednictwem? – pyta Lucy.

– Nie. Nigdy nie dostałem listu z twoim nazwiskiem na kopercie. Nigdy nie otwieram jego korespondencji. To zbyt ryzykowne. Gdyby się dowiedział... – Milknie, wzrok ma szklany. – Nie wierzę, że wysłał do ciebie taki list!

– Jesteśmy tu, prawda? – mówi Rudy. – Jakbyśmy tu trafili, gdyby Chandonne nie przysłał listu i nie wyjawiał nam wszystkiego, co chcieliśmy wiedzieć?

Rocco nie znajduje odpowiedzi.

– Dlaczego chciał, żebyś zabił ojca? – Lucy nie zamierza zostawiać tego tematu. – Zwłaszcza teraz. Ma jakieś rachunki do wyrównania?

– Może Jean-Baptiste go nie lubi. Myślę, że można by to uznać za pożegnalny strzał. – Przez chwilę Caggiano wygląda na zadowolonego z siebie.

– Dasz mi go na minutkę? – Lucy wyciąga rękę po pistolet Rudy’ego.

Rudy wyjmuje magazynek i usuwa nabój z komory. Pocisk upada na łóżko. Lucy podnosi go, a Rudy wręcza jej colta. Lucy podchodzi do Rocca i kciukiem wpycha nabój do magazynka.

– Twój ojciec nauczył mnie prowadzić – informuje go tonem swobodnej konwersacji. – Widziałeś te jego wielkie ciężarówki? No cóż, właśnie na

nich nauczyłam się jeździć, kiedy byłam taka mała, że musiałam siedzieć na poduszce, nawet przy podniesionym siedzeniu.

Odciąga suwadło i mierzy mu z pistoletu pomiędzy oczy.

– Nauczył mnie również strzelać.

Pociąga za spust.

Klik.

Rocco podskakuje gwałtownie.

– Och. – Lucy wsuwa magazynek na miejsce. – Zapomniałam, że nie był załadowany. Wstań, Rocco.

– Jesteście gliniarzami. – Głos mu drży ze strachu i niedowierzania. – Gliniarze nie zabijają ludzi. Nie robią tego!

– Nie jestem gliniarzem – mówi Rudy do Lucy. – A ty jesteś?

– Nie. Nie jestem. Nie widzę w tym pokoju żadnego gliniarza, a ty?

– No to jakimiś paramilitarnymi agentami CIA. Założę się, że wysyłają was do Iraku, prawda? Żeby wykończyć Saddama Husajna. Wiem, co robią tacy jak wy.

– Nigdy nie byłam w Iraku, a ty? – pyta Lucy Rudy'ego.

– Ostatnio nie.

ROZDZIAŁ 38

W telewizji nadają kolejny western, dwaj kowboje zsiadają właśnie z koni. Film jest dubbingowany.

– Ostatnia szansa – mówi Rudy do Rocca. – Gdzie jest Jay Talley? Tylko nie kłam. Zapewniam cię, że poznam się na tym.

– Ukończył kurs analizy zeznań w akademii FBI – wtrąca Lucy cierpko.
– Był najlepszy w grupie.

Rocco powoli potrząsa głową. Jest oczywiste, że gdyby wiedział, powiedziałyby im. Ten oportunistyczny, zasmarkany tchórz w tej chwili boi się ich bardziej niż Talleya.

– Oto nasza propozycja. Nie zabijemy cię, Rocco. – Lucy oddaje pistolet Rudy’emu. – Popełnisz samobójstwo.

– Nie. – Potrząsa głową, jakby cierpiał na chorobę Parkinsona.

– Jesteś już historią, Rocco – mówi Rudy. – Zbiegiem, poszukiwanym czerwonym listem gończym. I tak nie możesz nigdzie uciec. Złapią cię. Jeśli będziesz miał szczęście, skończysz w więzieniu, prawdopodobnie na Sycylii, a słyszałem, że to nie wczasy. Zresztą ty wiesz lepiej. Chandonne’owie cię wykończą. Na miejscu. I pewnie nie tak humanitarnie, jak sam możesz zakończyć swoje żalosne, śmierdzące życie. Teraz.

Lucy podchodzi do łóżka i wyjmuje z torebki kopertę. Wewnątrz jest złożony arkusz papieru.

– Proszę. – Podaje papier Roccowi.

Ten nie czyni żadnego ruchu, żeby go wziąć.

– Trzymaj. Jeszcze ciepły egzemplarz czerwonego listu gończego. Prosto spod prasy. Pewnie jesteś ciekawy.

Caggiano nie odpowiada. Nawet jego gałki oczne zdają się drżeć.

– Trzymaj – powtarza Lucy.

Rocco spełnia polecenie. Czerwony list gończy trzęsie się gwałtownie w jego dłoniach, kiedy pozostawia na papierze swoje odciski palców, szczególnie, o którym prawdopodobnie w tej chwili nie myśli.

– A teraz przeczytaj głośno. To bardzo ważne, żebyś zrozumiał, co tam jest napisane. Jestem przekonana, że sam uznasz, że nie masz innego wyboru, jak zabić się tutaj, w tym uroczym pokoju hotelowym – mówi Lucy.

Pojedyncza kartka jest opatrzona godłem Interpolu w prawym górnym rogu, oczywiście jaskrawoczerwonym. Jest tam również fotografia Rocca, łatwa do zdobycia. Przy swoim egotyzmie Rocco nigdy nie unika aparatów fotograficznych, kiedy reprezentuje kryminalistów na skandalicznych procesach. Zdjęcie na czerwonym liście gończym jest świeże i bardzo dobrej jakości.

– Czytaj głośno – rozkazuje mu ponownie Lucy. – Czas na historię twojego życia, Rocco.

– Dane osobowe. – Głos mu drży i Rocco co chwila chrząka. – Obecne imię i nazwisko: Rocco Caggiano. Imię i nazwisko po urodzeniu: Peter Rocco Marino junior.

Na tym urywa, a oczy błyszczą mu od łez. Przygryza dolną wargę, a potem znowu zaczyna czytać o sobie. Kiedy dochodzi do informacji policyjnych i dowiaduje się, że jest poszukiwany za zamordowanie sycylijskiego i francuskiego dziennikarza, wznosi oczy do sufitu.

– Jezu – wzdycha, biorąc głęboki oddech.

– No właśnie – wtrąca Lucy. – Nakaz aresztowania numer siedem tysięcy dwieście sześćdziesiąt za biednego pana Guarino. Nakaz aresztowania numer siedem tysięcy dwieście sześćdziesiąt jeden za

biednego monsieur La Fleur. Wydane dwudziestego czwartego kwietnia dwutysięcznego trzeciego roku. Dwa dni temu.

– Jezu Chryste.

– Twój wierny klient, Jean-Baptiste – przypomina mu Lucy.

– Sukinsyn – mruczy Rocco. – Po tym wszystkim, co zrobiłem dla tej śmierdzącej kupy gówna.

– To koniec, Rocco – oświadcza Rudy.

Caggiano upuszcza czerwony list gończy na stół.

– Rozumiem, że Chandonne'owie potrafią być bardzo pomysłowi – mówi Lucy. – Tortury. Pamiętasz, że Jay Talley uwielbia wiązać ludzi liną, podwieszać na śrubach i przypalać palnikiem? Przypala ich, dopóki skóra się nie zwęgla. A oni przez cały czas żyją i są przytomni. Pamiętasz, jak próbował zrobić to mojej ciotce, podczas gdy jego pieprzona współpracowniczka, Bev Kiffm, chciała rozwalić mnie z dubeltówki?

Rocco odwraca wzrok.

Lucy podchodzi do niego bliżej. Na myśl o tym, co omal nie stało się z ciotką, czuje pokusę, aby chwycić pałkę i zatłuc tego drania na śmierć. Spogląda na pałkę leżącą na nocnym stoliku i zmienia zdanie.

– Utopienie to kolejna przyjemna możliwość – ciągnie.

Rocco wzdryga się na te słowa.

– Nie – błaga.

– Pamiętasz kuzyna Jean-Baptiste'a, Thomasa? Utonął. Niezbyt miły rodzaj śmierci. – Spogląda na swojego towarzysza.

Rudy starannie wyciera colta skrawkiem prześcieradła, na wszelki wypadek, w jego oczach malują się obojętność i determinacja, które pozwalają mu stłumić nagły przypływ współczucia dla Rocca, bez względu na to, jak niegodziwie prowadził życie.

Potem patrzy na Lucy i na krótko ich spojrzenia spotykają się jak dwie iskry.

Pot spływa po jej twarzy, kosmyki włosów lepią się do skroni. Jest blada, a Rudy wie, że jej cierpkie poczucie humoru i surowość są wymuszone, ponieważ Lucy odgrywa najstraszniejszą rolę w swoim życiu.

Odciąga suwadło, wprowadza nabój do komory i podchodzi do Rocca.

– Praworęczny, zgadza się? – mówi spokojnie do partnerki.

– Zgadza się.

Lucy nie może oderwać oczu od Rocca. Ręce zaczynają jej drżeć i zmusza się, żeby myśleć o Jayu Talleyu i jego nikczemnej kochance, Bev Kiffin.

Obrazy.

Przypomina sobie smutek na twarzy ciotki, kiedy wrzucała do wody to, co uważała za popioły Bentona Wesleya. Mózg Lucy zdaje się unosić wewnątrz czaszki. Nigdy nie miała choroby morskiej. To musi być bardzo podobne uczucie.

– Twój wybór – zwraca się do Rocca. – Mówię poważnie. Możesz umrzeć teraz i oszczędzić sobie bólu. Żadnych tortur. Żadnego przypalania. Żadnego topienia. Czerwony list gończy zostanie znaleziony tam, gdzie go upuściłeś, twoje samobójstwo będzie całkowicie zrozumiałe. Albo możesz stąd wyjść, nie wiedząc, kiedy wydasz ostatnie tchnienie i jakich koszmarów doświadczysz, gdy Chandonne'owie cię dopadną. A dopadną.

Caggiano kiwa głową. Oczywiście, że dopadną. To pewne.

– Wyciągnij prawą rękę – mówi do niego Rudy.

Rocco znowu wznosi oczy do sufitu.

– Widzisz? Trzymam broń, pomogę ci – ciągnie Rudy lekko, obojętnie, kiedy krople potu spadają na dywan.

– Upewnij się, czy lufa jest skierowana w górę – dodaje Lucy, myśląc o głowie zastrzelonego nazisty.

– No, dalej, Rocco. Rób, co mówię. To nie będzie bolało. Nawet nie będziesz wiedział.

Rudy przykłada lufę do jego prawej skroni.

– W górę – przypomina mu znowu Lucy.

– Twoja ręka obejmuje kolbę, a moja obejmuje twoją.

Rocco zamyka oczy, głowa mu podskakuje w górę i w dół. Zwiera grube, krótkie palce na kolbie, a wielka, silna dłoń Rudy’ego natychmiast zaciska się na jego dłoni.

– Muszę ci pomóc, ponieważ nie możesz utrzymać broni nieruchomo – tłumaczy mu Musil. – Nie strzelisz prosto, a to może być nieprzyjemne. I nie mogę pozwolić, żebyś trzymał broń sam, prawda? To byłoby głupie z mojej strony. – Głos Rudy’ego brzmi teraz bardzo łagodnie. – Widzisz, to nie takie trudne. Teraz przyłóż lufę do skroni.

Rocco krztusi się i dyszy ciężko. Nie może złapać tchu.

– W górę – powtarza jeszcze raz Lucy, skoncentrowana na głowie nazisty, starając się nie patrzeć na głowę Rocca.

Rocco chwieje się na krześle, oddycha płytko, twarz ma bladą, oczy zaciśnięte. Palec Rudy’ego w rękawiczce pociąga za spust.

Rozlega się stłumiony wystrzał.

Rocco upada do tyłu razem z krzesłem. Jego głowa ląduje na angielskiej gazecie rozpostartej na dywanie, twarz jest zwrócona w stronę okna. Krew buchająca z rany szumi jak lejąca się woda. Powietrze staje się kwaśne od dymu.

Rudy kuca, by wetknąć bezwładną prawą rękę denata wraz z pistoletem pod jego pierś. Wszystkie odciski palców na błękitnej stali colta będą należały do Rocca.

Lucy uchyla okno, nie więcej niż na kilka centymetrów, i zdejmuje rękawiczki, a Rudy przyciska dwa palce do tętnicy szyjnej Rocca Caggiano. Puls bije słabo i po chwili zanika. Rudy kiwa Lucy głową i wstaje. Sięga do kieszeni kurtki i wyciąga słoik po musztardzie. W pokrywce zostały przewiercone małe otwory, a w szklanym naczyniu pełzają muchy plujki, karmiąc się tym, co pozostało z gnijącego mięsa, które wczoraj zwabiło je w pułapkę na śmietniku za restauracją.

Otwiera słoik i potrząsa nim. Kilkadziesiąt much wylatuje ospale, wznosi się ku lampom i obija o oświetlone ściany. Wyczuwając feromony i woń otwartej rany, pikują chciwie w kierunku nieruchomego ciała Rocca. Muchy plujki, najpospolitsze z owadów żywiących się padliną, siadają na jego zakrwawionej twarzy. Kilka znika w ustach.

ROZDZIAŁ 39

W Bostonie jest dopiero ósma wieczorem.

Pete Marino siedzi przed bramką Amerykańskich Linii Lotniczych, zajadając oblewane czekoladą precle, i słucha kolejnego wygłoszonego przepaszającym tonem komunikatu, że jego samolot odleci po kolejnej drobnej zwłoce w postaci zaledwie dwóch godzin i dziesięciu minut. I to po tym, jak ugrzązł na lotnisku Logan, kiedy odlot opóźnił się o godzinę i dwadzieścia pięć minut.

– Cholera! – krzyczy, nie dbając o to, że ktoś może go słyszeć. – Do tej pory doszedłbym pieszo!

Rzadko ma dosyć czasu, by zastanawiać się nad własnym życiem, myśli więc o Bentonie i tłumi swój żal i gniew, koncentrując się na kondycji fizycznej i silnym, męskim ciele tamtego. Wygląda jeszcze lepiej niż kiedyś, stwierdza z przygnębieniem Marino. Jak to możliwe po sześciu latach odosobnienia i samotności? Detektyw nie potrafi tego zrozumieć. Wyjmuje ciastko czekoladowe z koszyka Pysznych Deserów z Gainesville, na który natknął się w lotniskowym sklepie z upominkami, i zastanawia się, jak by to było, gdyby zrezygnował z pracy u Lucy i przestał uganiać się za szumowinami. Są jak karaluchy. Rozgnieć jednego, a na jego miejsce pojawia się pięć innych. Może powinien częściej jeździć na ryby albo też zostać zawodowym graczem w kręgle (raz prawie uzyskał idealny wynik), znaleźć sobie miłą kobietę i wybudować domek w lesie.

Kiedyś, bardzo dawno temu, Pete Marino też był podziwiany, a lustro nie drwiło z niego. Kobiety – mężczyźni także, uświadamia sobie ze skrępowaniem i niesmakiem detektyw – gapią się na Bentona i pożądata go.

Jest tego pewien. Nie mogą mu się oprzeć, zwłaszcza jeśli do jego wyglądu dodać intelekt i status grubej ryby w FBI, a ściślej mówiąc, były status grubej ryby w FBI. Marino odgarnia do tyłu kosmyki siwych włosów i uzmysławia sobie fakt, że ludzie nie spotykają się już z Bentonem, nie znają jego nazwiska ani nie podziwiają jego osiągnięć w FBI. Umarł i stał się Tomem, czyli nikim. Świadomość, że doktor Kay tak bardzo tęskni za Bentonem, sprawia Marina o ból gdzieś w okolicy serca i wtrąca go w jeszcze głębszą rozpacz. Głęboko jej współczuje. Głęboko współczuje też sobie. Gdyby umarł, żałowałyby go, ale nie przez wieczność. Nigdy nie była w nim zakochana, nigdy nie będzie i nie chce jego tłustego, owłosionego cielska w swoim łóżku. Marino wchodzi do kolejnego sklepu z upominkami i porywa ze sterty na podłodze magazyn poświęcony sprawności fizycznej, dziedzinie obcej mu tak samo jak hebrajski. Przystojny mężczyzna na okładce „Men’s Workout” wygląda jak wyrzeźbiony z gładkiego kamienia. Musiał ogolić całe ciało z wyjątkiem głowy i natrzeć opaloną skórę oliwą. Detektyw wraca do pobliskiego baru, zamawia następnego budweisera z beczki, zajmuje ten sam stolik, zmiata okruchy pizzy i kładzie magazyn, trochę bojąc się go otworzyć. Wreszcie zbiera się na odwagę, żeby go podnieść, a śliska okładka przywiera do stołu.

– Hej! – krzyczy na barmana. – Czy ktoś w ogóle wyciera stoły w tym lokalu?

Wszyscy w barze patrzą na Marina.

– Właśnie zapłaciłem trzy pięćdziesiąt za to rozwodnione piwo, a stół jest taki zapaćkany, że mój magazyn lepi się do niego.

Wszyscy w barze patrzą na kolorową okładkę. Kilku młodych mężczyzn trąca się łokciami i uśmiecha pod nosem. Zirytowany barman, który musiałby być ośmiornicą, żeby utrzymać porządek, rzuca detektywowi

mokrą barową ścierkę. Ten wyciera swój stół i odrzuca ścierkę, prawie trafiając w głowę starszą kobietę. Niczego nieświadoma, sączy swoje białe wino. Marino zaczyna wertować magazyn. Może nie jest za późno, by odzyskać męską sprawność, mieć mięśnie, które mógłby przeżyć jak paw rozkładający ogon. Jako chłopiec w New Jersey dbał o kondycję fizyczną: podciągał się, robił pompki i ćwiczył ze sztangą, którą sam zrobił z betonowych bloków i kija od szczotki. Podnosił samochody za tylny zderzak, żeby rozwinąć bicepsy i mięśnie grzbietu, trzymał torbę wypełnioną cegłami, kiedy wykonywał przysiady lub zbiegał i wbiegał po schodach. Boksował się z praniem rozwieszonym na sznurze, zawsze w wietrzne dni, kiedy prześcieradła i obrusy stawały opór.

– Peter Rocco! Przestań walczyć z bielizną! Zwalisz ją na ziemię i będziesz musiał pracować jeszcze raz!

Matka, stojąc za siatkowymi drzwiami, z rękami na biodrach, starała się nadać głosowi surowe brzmienie, kiedy jej syn potężnym prawym sierpowym zerwał ze sznura jeden z mokrych podkoszulków ojca i posłał go w pobliskie krzaki. Gdy podrósł, owijał sobie pięści szmatami i walczył ze starym materacem, który trzymał w ciasnym schowku pod domem. Gdyby można było zabić materac, ten umarłby tysiące razy, gdy stał oparty o ganek, płótno zwisało w strzępach, a przegniła piankowa guma rozpadała się przy każdym ciosie. Marino buszował po śmietnikach w całym sąsiedztwie w poszukiwaniu wyrzuconych materacy i walczył ze swymi tępyimi, poplamionymi przeciwnikami, jakby nienawidził ich za jakiś niewybaczalny grzech, który popełnili przeciwko niemu.

– Kogo próbujesz zabić, kochanie? – spytała go matka pewnego popołudnia, kiedy, ociekając potem i słaniając się na nogach z wyczerpania, otworzył drzwi lodówki, żeby wyjąć wodę z lodem, którą zawsze tam wstawiała. – Nie pij z dzbanka. Ile razy ci mówiłam? Wiesz, co to są

zarazki? To małe paskudne robaki wypełzające z twoich ust prosto do dzbanka. Nie szkodzi, że ich nie widzisz. Nie stają się przez to ani trochę mniej prawdziwe, a to te same zarazki, od których dostaje się grypy i paraliżu dziecięcego, i można skończyć z respiratorem w płucach i...

– Tata pije z dzbanka.

– Ach.

– Ach co, mammo?

– On jest domatorem.

– Też coś. Czyli nie ma tych małych paskudnych robaków, które mają wszyscy, ponieważ jest domatorem. Pewnie nic go to nie obchodzi, że skończy z respiratorem w płucach...

– Z kim walczysz, kiedy tłuczesz ten materac? Walczysz, walczysz, walczysz. Ciągłe tylko walczysz.

Marino kupuje następne piwo i pociesza się myślą, że mężczyźni w magazynie nie są wojownikami, ponieważ mają elastyczność skały. Nie tańczą, tylko boksują. Nie robią nic, jedynie podnoszą ciężary, pozują fotografom i zatruwają się sterydami. Mimo to nie miałyby nic przeciwko temu, gdyby jego brzuch wyglądał jak tor do biegów narciarskich i gdyby jego włosy wróciły na głowę, zamiast kontynuować swoją niestrudzoną migrację do innych części ciała. Pali i pije przy akompaniamencie odgłosów meczu koszykówki, skrzypienia butów i tłumów wyjących na wielkim ekranie telewizyjnym. Wertując hałaśliwie kolejne strony, zaczyna dostrzegać reklamy afrodyzjaków i środków podnoszących sprawność oraz zaproszenia na rozbierane przyjęcia i mecze siatkówki.

Kiedy dociera do rozkładówki przedstawiającej bezwłosego młodzieńca w majtkach bikini, zamyka z trzaskiem magazyn. Biznesmen siedzący przy sąsiednim stoliku wstaje i przenosi się w drugi koniec baru. Marino bez pośpiechu dopija piwo i wstaje, przeciąga się i ziewa. Ludzie w barze

patrzą na niego, kiedy podchodzi do biznesmena i rzuca magazyn na jego „Wall Street Journal”.

– Zadzwoń do mnie – mówi, puszcżając oko, i powoli wychodzi z baru.

ROZDZIAŁ 40

Po powrocie do bramki Amerykańskich Linii Lotniczych Marino znów czuje złość i zniecierpliwienie.

Odlot został przesunięty o kolejne pół godziny z powodu pogody. Nagle detektyw nabiera pewności, że nie chce wracać do domu do Trixie, wstać rano i przypomnieć sobie, co się wydarzyło w Bostonie. Myśl o małym domku z garażem w robotniczej dzielnicy napędza go jeszcze większym rozgoryczeniem i budzi potrzebę walki. Gdyby tylko mógł zidentyfikować przeciwnika. To bez sensu, że nadal mieszka w Richmondzie. Richmond to przeszłość. To bez sensu, że pozwolił się wyrzucić Bentonowi. Nie powinien był wychodzić z tamtego mieszkania.

– Wie pani, co to znaczy „z powodu pogody”? – pyta Marino młodą rudowłosą kobietę, która siedzi obok niego, opiłowując paznokcie.

Dwa rodzaje grubiańskiego zachowania, których Marino nie może ścierpieć, to publiczne puszczenie bąków i zgrzytliwe odgłosy pilnika oraz unoszący się w powietrzu pył z paznokci.

Pilnik nadal przeraźliwie zgrzyta.

– To znaczy, że jeszcze nie zdecydowali, czy w ogóle zabiorą nasze dupy z Bostonu. Rozumie pani? Nie ma dosyć pasażerów, żeby im się to opłacało. Tracą pieniądze, nigdzie nie lecą i zwalają winę na coś innego.

Pilnik nieruchomieje, a kobieta patrzy na tuziny pustych plastikowych krzeseł.

– Może pani tu siedzieć całą noc – ciągnie Marino – albo pójść ze mną poszukać jakiegoś pokoju w motelu.

Po chwili niedowierzania oburzona kobieta wstaje i odchodzi.

– Świnia – mówi.

Marino uśmiecha się, uprzejmość powraca, złość została wyładowana, choć jedynie na krótko. Nie zamierza czekać na odlot, który prawdopodobnie nigdy nie nastąpi, a potem znowu zaczyna myśleć o Bentonie. Gniew buzuje mu pod czaszką. Poczucie bezsilności i odrzucenia narasta, dławiąc go przygnębieniem, które przeszkadza mu w myśleniu, i męczy go, jakby nie spał od kilku dni. Nie może tego znieść. Nie zniesie. Chciałby zadzwonić do Lucy, ale nie wie, gdzie ona jest. Powiedziała mu tylko, że ma do załatwienia pewną sprawę, wymagającą wyjazdu.

– Jaką sprawę? – spytał Marino.

– Po prostu sprawę.

– Czasami się zastanawiam, dlaczego, do diabła, pracuję dla ciebie.

– A ja w ogóle się nie zastanawiam. Nigdy o tym nie myślę – odpowiedziała Lucy przez telefon ze swojego biura na Manhattanie. – Uwielbiasz mnie.

Wyszedłszy z lotniska Logan, Marino przywołuje taksówkę, po prostu stając przed nią i machając rękami, ignorując kolejkę i dziesiątki zmęczonych, nieszczęśliwych ludzi na postoju.

– Promenada – mówi do kierowcy. – Gdzieś w pobliżu muszli koncertowej.

ROZDZIAŁ 41

Doktor Scarpetta też nie wie, gdzie jest Lucy.

Jej siostrzenica nie odbiera telefonu domowego ani komórkowego i nie odpowiada na liczne wezwania przez pager. Kay nie może się skontaktować z Marinem, a nie ma zamiaru mówić Rosę o liście. Sekretarka i tak za bardzo się denerwuje. Pani doktor siada na łóżku, zatopiona w myślach. Billy wdrapuje się także na łóżko i siada dostatecznie daleko, żeby musiała się przesunąć, jeśli zechce go pogłaskać.

– Dlaczego zawsze siadasz tak daleko ode mnie? – pyta Kay, wyciągając rękę, żeby popieścić jego miękkie, obwisłe uszy. – Och, rozumiem. Mam się odprężyć i przysunąć bliżej. – Robi to. – Jesteś bardzo zmyślnym psem.

Billy liże jej rękę.

– Muszę wyjechać z miasta na kilka dni – mówi mu. – Ale Rosę świetnie się tobą zajmie. Może zostaniesz u niej, będzie cię zabierać na plażę. Dlatego obiecaj, że nie będziesz się martwić, że wyjeżdżam.

Nigdy się nie martwi. Jedyne powód, dla którego przybiega, kiedy ona wybiera się w podróż, jest taki, że chce się przejechać samochodem. Jeździłby samochodem przez cały dzień, gdyby mógł. Doktor Scarpetta po raz drugi wybiera numer biura Lucy. Chociaż pora zamknięcia już dawno minęła, telefon odbiera pracownik, który dyżuruje tam dwadzieścia cztery godziny na dobę przez siedem dni w tygodniu. Tego wieczoru wypadło na Zacha Manhama.

– No dobrze, Zach – mówi Kay wprost. – To bardzo źle, że nie chcesz mi wyjawić, gdzie jest Lucy...

– Nie chodzi o to, że nie chcę powiedzieć...

– Właśnie o to – przerywa mu. – Wiesz, ale mi nie powiesz.

– Przysięgam na Boga, że nie wiem – zapewniają Manham. – Proszę posłuchać, gdybym wiedział, zadzwoniłbym do niej na międzynarodowy telefon komórkowy i przynajmniej powiedział, że pani dzwoniła.

– A więc ma przy sobie międzynarodowy telefon komórkowy. Zatem wyjechała z kraju?

– Zawsze nosi ze sobą międzynarodowy telefon komórkowy. Wie pani, ten, który robi zdjęcia, nagrania wideo, łączy z Internetem. To ostatni model. Robi nawet pizzę.

W tej chwili nic nie jest w stanie jej rozśmieszyć.

– Próbowałam dzwonić na telefon komórkowy. Gdziekolwiek jest, w tym kraju czy w jakimś innym, nie odpowiada. A co z Marinem? Na jego temat też nic z ciebie nie wyciągnę?

– Nie rozmawiałem z nim od kilku dni – mówi Manham. – Nie, nie wiem, gdzie jest. On też nie odpowiada na telefon komórkowy ani na wezwanie z pagera?

– Nie.

– Chce mnie pani podłączyć do wykrywacza kłamstw, pani doktor?

– Tak.

Manham się śmieje.

– Dobrze, poddaję się. Jestem za bardzo zmęczona, żeby to ciągnąć przez całą noc – mówi Kay, głaszcząc Billy’ego po brzuchu. – Jeśli i kiedy któreś z nich odezwie się do ciebie, powiedz im, żeby natychmiast się ze mną skontaktowali. To pilne. Do tego stopnia pilne, że jutro przylatuję do Nowego Jorku.

– Co takiego? Czy coś pani grozi? – pyta zaniepokojony Manham.

– Nie chcę o tym rozmawiać z tobą, Zach. Bez obrazy. Dobranoc.

Zamyka drzwi sypialni, włącza system alarmowy i kładzie pistolet na nocnym stoliku.

ROZDZIAŁ 42

Marinowi nie podoba się kierowca i pyta go, skąd pochodzi.

– Z Kabulu.

– Kabul? Gdzie to dokładnie jest? – pyta. – To znaczy, wiem, w jakim kraju (nie wie), ale nie pamiętam, gdzie dokładnie leży.

– Kabul jest stolicą Afganistanu.

Detektyw próbuje zlokalizować w myślach Afganistan. Wszystko, co przychodzi mu do głowy, to dyktatorzy, terroryści i wielbłądy.

– I co pan tam robi?

– Nic tam nie robię. Mieszkam tutaj. – Ciemne oczy kierowcy spoglądają na niego ze wstecznego lusterka. – Moja rodzina pracowała w fabryce, a ja przyjechałem tu osiem lat temu. Powinien pan pojechać do Kabulu. Jest bardzo piękny. Zobaczyć stare miasto. Nazywam się Babur. Gdyby pan miał jakieś pytania albo potrzebował taksówki, proszę zadzwonić do mojej firmy i zapytać o mnie. – Uśmiecha się, a jego białe zęby połyskują w ciemnościach.

Marino wyczuwa, że tamten żartuje sobie z niego, lecz nie chwytą dowcipu. Plakietka identyfikacyjna kierowcy jest przyczepiona do osłony przeciwsłonecznej nad siedzeniem pasażera i detektyw próbuje ją odczytać, ale nie może. Wzrok ma już nie taki jak kiedyś, a nie chce nosić okularów. Pomimo nalegań doktor Kay nie chce się też poddać chirurgii laserowej, ponieważ uparcie twierdzi, że zabieg go oślepi lub uszkodzi mu płat czołowy.

– Ta droga nie wygląda znajomo – komentuje swoim zwykłym gderliwym tonem, kiedy za oknem przesuwiają się nierozpoznawalne

budynki.

– Jedziemy na skróty przez port, obok nabrzeża, a potem groblą. Bardzo ładne widoki.

Marino pochyla się do przodu na twardym siedzeniu, unikając sprężyny, która najwyraźniej próbuje się przebić przez winylową tapicerkę i ukąsić go w lewy pośladek.

– Jedziesz na północ, ty pomocie Mahometa! Może nie pochodzę z Bostonu, ale wiem, gdzie jest promenada, a my nie jesteśmy nawet po właściwej stronie rzeki!

Taksówkarz, który nazywa się Babur, całkowicie ignoruje pasażera i jedzie dalej, radośnie pokazując widoki, w tym więzienie hrabstwa Suffolk, Szpital Ogólny Massachusetts i ośrodek Strażników Mistycznej Świątyni. Zanim wysadza Marina przy Storow Drive, blisko, choć nie przesadnie blisko domu Bentona Wesleya, licznik pokazuje sześćdziesiąt osiem dolarów i trzydzieści pięć centów. Marino uchyla drzwi i rzuca na przednie siedzenie zmięty banknot dolarowy.

– Jest mi pan winien sześćdziesiąt siedem dolarów i trzydzieści pięć centów. – Taksówkarz rozprostowuje na nodze banknot dolarowy. – Wezwę policję!

– A ja skopię ci dupę. I nic mi nie zrobisz, bo jesteś tu nielegalnie, prawda? Pokaż mi swoją zieloną kartę, dupku, i wiesz co, ja jestem policjantem i mam pistolet w kaburze pod pachą. – Wyciąga portfel i błyska odznaką, której nie zwrócił, kiedy odchodził z departamentu policji w Richmondzie.

Powiedział, że ją zgubił.

Opony piszczą, kiedy taksówkarz odjeżdża, wywrzaskując przekleństwa przez otwarte okno. Marino kieruje się w stronę mostu Longfellowa i skręca na południowy wschód. Przez jakiś czas idzie tym samym

chodnikiem, którym spacerował wcześniej z Bentonem. Wybiera okrężną drogę pod lampami gazowymi na Pinckney i Revere, nieustannie nasłuchując i sprawdzając otoczenie, by upewnić się, że nie jest śledzony, jak to ma w zwyczaju. Nie myśli w tej chwili o kartelu Chandonne'ów. Wypatruje zwykłych ulicznych rzezimieszków i świrów, chociaż nie widywał ich w tej części Beacon Hill.

Kiedy ukazuje się budynek Bentona, detektyw zauważa, że okna mieszkania numer 56 są ciemne.

– Cholera – mruczy i wyrzuca papierosa, nie zadając sobie trudu, żeby go zgasić.

Benton musiał wyjść na późną kolację albo do siłowni, albo poszedł pobiegać. Ale to mało prawdopodobne i Marino czuje, jak przy każdym kroku niepokój ściska mu pierś. Doskonale wie, że Benton zostawia zapalone światła, kiedy wychodzi. Nie należy do ludzi, którzy wchodzą do ciemnego domu czy mieszkania.

Wspinaczka po schodach na czwarte piętro męczy go bardziej niż poprzednim razem, ponieważ adrenalina i piwo przyspieszają rytm jego wyczerpanego serca i ledwo może oddychać. Dociera do mieszkania 56 i wali w drzwi. Nie dochodzi zza nich żaden dźwięk.

Wali mocniej i woła:

– Hej, Tom!

ROZDZIAŁ 43

Lucy uruchamia silnik mercedesa i nagle spogląda w nieprzeniknionych ciemnościach na Rudy'ego.

– O mój Boże! Nie mogę w to uwierzyć! – Uderza pięścią w kierownicę, naciskając przypadkowo na klakson.

– Co jest? – Partner podskakuje, zaskoczony i nagle przestraszony. – Co, do diabła? Co ty, do cholery, wyprawiasz!

– Moja pałka. A niech to szlag! Zostawiłam ją na nocnym stoliku w pokoju. Są na niej moje odciski palców, Rudy.

Jak mogła popełnić taki idiotyczny błąd? Wszystko szło zgodnie z planem, dopóki nie popełniła głupiej, bezmyślnej pomyłki, w rodzaju tych, jakie bez przerwy przytrafiają się ludziom, którzy się spieszą. Silnik pomrukuje cicho w ciemnej uliczce, Lucy i Rudy nie bardzo wiedzą, co robić. Są wolni. Udało im się. Nikt w środku ani w pobliżu hotelu ich nie widział, a teraz jedno z nich musi wrócić.

– Przepraszam – szepcze Lucy. – Jestem skończoną idiotką – mówi. – Poczekaj tu.

– Nie. Ja się tym zajmę. – Strach Rudy'ego przemienia się w łatwiejsze do opanowania uczucie gniewu, a nie chce wyładowywać go na niej.

– Ja to spieprzyłam, ja to naprawię. – Lucy otwiera drzwi samochodu.

ROZDZIAŁ 44

Bev Kiffin przesuwa palcami wzdłuż półki pełnej tanich majtek i staników z syntetycznej tkaniny.

Dział z bielizną damską w Wal-Mart znajduje się w pobliżu wyrobów rękodzielniczych i dokładnie naprzeciwko męskich sportowych butów, a Bev często go odwiedza. Ma jednak pewność, że sprzedawczynie w tanich niebieskich kamizelkach z przypiętymi identyfikatorami jej nie rozpoznają. Jest to ten rodzaj sklepu, gdzie zmęczeni, znudzeni pracownicy nie zwracają większej uwagi na klientów o pospolitym wyglądzie, takich jak Bev, którzy krążą w poszukiwaniu okazji po magazynie z przecenionymi rzeczami, otwartym dwadzieścia cztery godziny na dobę przez siedem dni w tygodniu.

Czerwony, koronkowy stanik oddziałuje na jej wyobraźnię i Bev sprawdza rozmiary, szukając 38D. Znajduje jeden czarny i wpycha go do rękawa zielonego płaszcza przeciwdeszczowego. W ślad za stanikiem idą dwie pary majtek bikini, w dużych rozmiarach. Tak łatwo ukraść bieliznę i inne artykuły, które nie mają czujników zabezpieczających. Bev zastanawia się, dlaczego wszyscy tego nie robią. Ona nie boi się konsekwencji. Żaden alarm w płacie czołowym jej mózgu nie odzywa się, kiedy Bev planuje popełnienie zbrodni, bez względu na to, jak poważnej. Na ekranie jej radaru wyświetlają się sposobności, niektóre są większe i błyskają jaśniej od innych, jak choćby ta kobieta, która właśnie zawędrowała do działu z rękodziełem, zainteresowana haftami.

Na myśl o tego rodzaju głupim hobby Bev czuje pogardę i natychmiast uznaje, że atrakcyjna blondynka ubrana w dzinsy i jasnoniebieską kurtkę

jest naiwna.

Jagnię.

Bev nadał przetrząsa stojak z bielizną, a cel na jej radarze rozbłyskuje jaśniej z każdą upływającą sekundą, puls przyspiesza, dłonie wilgotnieją.

Kobieta wrzuca do swojego wózka motki kolorowych nici oraz wzór orła i flagi do wyszycia. A więc jest patriotką, myśli Bev. Może ma męża albo chłopaka w wojsku, może wyjechał, może jest w Iraku. Wygląda na trzydzieści pięć lat albo trochę bliżej czterdziestki. Może jej facet służy w Gwardii Narodowej.

Wózek sunie naprzód, zbliżając się coraz bardziej.

Bev wyczuwa perfumy. Nieznany zapach, zapewne drogi. Kobieta ma szczupłe nogi i zgrabną sylwetkę. Ćwiczy w sali gimnastycznej. Po dłoniach widać, że nie pracuje fizycznie. Jeśli ma dzieci, musi ją być stać na wynajęcie kogoś do opieki nad nimi, kiedy sama idzie do siłowni albo salonu fryzjerskiego.

Bev wpatruje się w skrawek papieru jak w listę zakupów i udaje, że nie dostrzega kobiety, która zatrzymuje się obok, patrząc na stojak z bielizną. Chce uszczęśliwić swojego faceta.

Jagnię.

Zadbana.

Roztacza wokół siebie aurę, którą Bev kojarzy z inteligencją.

Potrąfi wyczuć, którzy ludzie są mądrzy. Nie muszą nic mówić, ponieważ cała reszta przemawia sama. Kobieta popycha wózek prosto do stojaka, niecałe pół metra od miejsca, gdzie stoi Bev, zapach perfum wpełza do jej zatok, wdzierając się w głąb czaszki. Uwaga Bev wyostrza się, kiedy tamta rozpina kurtkę, bierze ze stojaka czerwony stanik i przykłada do jędrnych, pełnych piersi.

Nienawiść i zazdrość przenikają każdy nerw i mięsień w zwiotczalym ciele Bev, jej górną wargę pokrywa zimny pot. Idzie w kierunku działu męskich sportowych butów, a nieznajoma kobieta wyjmując telefon komórkowy i dzwoni gdzieś.

– Kochanie? – mówi słodkim, szczęśliwym głosem. – Ciągle tu jestem. Wiem. To taki wielki sklep. – Śmieje się. – Wolę Wal-Mart w Acadian. – Znowu się śmieje. – No dobrze, może, jeżeli na pewno nie masz nic przeciwko temu.

Wyciąga lewą rękę i spogląda na zegarek wysuwający się spod rękawa – taki, jakie noszą lekkoatleci. Bev oczekiwała czegoś bardziej wyszukanego.

ROZDZIAŁ 45

Lekki, mglisty deszcz kapie na ulice Szczecina, kiedy Lucy zbliża się do hotelu Radisson.

Tym razem nie musi czekać, aż recepcjonistka opuści swój posterunek. Hol jest pusty. Wchodzi do środka niedbale, ale żwawo, i kieruje się ku windom. Już ma nacisnąć guzik, kiedy drzwi się otwierają i prosto na nią wytacza się bardzo pijany mężczyzna.

– Przepraszam! – mówi głośno, a przestraszona Lucy traci orientację.

Co robić? Co robić?

– Słuchaj, jesteś najpiękniejszą lalą, jaką w życiu widziałem!

Bełkocze, jakby miał usta zdrtwiałe od lidokainy, i prawie krzyczy, kiedy się jej przygląda, oceniając ją od czubka głowy po kowbojskie buty. Oznajmia, że w pokoju 301 odbywa się przyjęcie i że Lucy musi przyjść. Paple i paple. No, no, jaka jest piękna i pociągająca, widać że Amerykanka, a on pochodzi z Chicago, został przeniesiony do Niemiec, jest samotny i w separacji z żoną, która jest dziwką.

Recepcjonistka wraca do holu, a niecałą minutę później zjawia się funkcjonariusz ochrony.

– Może wróci pan do swojego pokoju. Jest późno, powinien pan iść spać – mówi chłodno po angielsku do pijaka, zerkając z niesmakiem na Lucy, jakby zakładał, że jest dziewczyną zalanego mężczyzny, a może prostytutką, i prawdopodobnie też jest wstawiona.

Lucy naciska guzik windy, nie trafiając kilka razy, chwieje się i czepia ramienia mężczyzny.

– Chodź, kochanie, idziemy – bełkocze z rosyjskim akcentem, opierając się o niego.

– No proszę, czy to nie słodkie... – Mężczyzna już ma okazać głupie zdziwienie i radość, że przyjęła zaproszenie, kiedy Lucy obejmuje go i całuje mocno w usta.

Drzwi windy otwierają się, a ona wciąga pijaka do środka, klejąc się do niego i nie przerywając długiego, namiętnego pocałunku, który smakuje jak whisky z czosnkiem. Ochroniarz patrzy na nich kamiennym wzrokiem, kiedy drzwi się zamykają.

Błąd.

Ochroniarz zapamięta jej twarz. Twarz Lucy trudno zapomnieć, a ten człowiek miał mnóstwo czasu, żeby jej się przyjrzeć, ponieważ nie mogła się uwolnić od zalanego dupka.

Wielki błąd.

Naciska guzik drugiego piętra, a pijak ją obmacuje. Zdaje się nie zauważać, że winda zatrzymuje się w niewłaściwym miejscu, lecz nagle jego nowa zdobycz wyrywa mu się z objęć i ucieka. Próbuje ją gonić, machając dziko rękami i klnąc, zaczepia butem o dywan i potyka się.

Lucy podąża za tabliczkami „Wyjście ewakuacyjne”, skręca w następny korytarz i wpada na klatkę schodową. W milczeniu biegnie trzy piętra w górę i czeka na słabo oświetlonym podeście, wstrzymując oddech i nasłuchując, a pot spływa jej po twarzy i wsiąka w seksowną czarną bluzkę. Zapewne to raczej nawyk niż instynkt kazał jej zabrać ze stołu w pokoju Caggiana plastikowy klucz hotelowy i wsunąć go do kieszeni wiatrówki. Ilekroć wymeldowuje się z hotelu, zawsze zatrzymuje klucz, jeśli wisi zapasowy, na wypadek gdyby czegoś zapomniała. Raz, i woli o tym nie pamiętać, zostawiła pistolet w nocnej szafce, a uświadomiła to sobie, dopiero kiedy wsiadała do taksówki. Na szczęście nadal miała klucz.

Tabliczka „Nie przeszkadzać” zwisa złowieszczo z klamki u drzwi pokoju 511, a Lucy rozgląda się po korytarzu, mając rozpaczliwą nadzieję, że nikt więcej jej nie zaskoczy. Kiedy się zbliża, niewyraźnie słyszy dźwięki telewizora w pokoju Rocca i czuje lekki skurcz w żołądku. Ogarnia ją strach. Uzmysławia sobie, że ona i Rudy zrobili coś strasznego, a teraz musi stawić temu czoło jeszcze raz.

Zielone światło mruga, Lucy otwiera drzwi łokciami, ponieważ nie ma drugich rękawiczek, w pośpiechu o nich zapomniała. Wpada na ścianę smrodu z ostatniego obfitego posiłku Rocca i dostrzega jego przesyconą alkoholem krew. Czerwona kałuża tężeje jak pudding pod głową zabitego, jego oczy są otwarte i puste, krzesło przewrócone, broń pod pierś, wszystko dokładnie tak, jak to zostawili. Muchy brzęczą wokół nieruchomego ciała, szukając odpowiedniego wilgotnego miejsca, aby złożyć jaja. Lucy patrzy jak zauroczona na uwijające się gorączkowo owady.

Skupia się na swojej pałce. Leży dokładnie tam, gdzie Lucy ją zostawiła, na stoliku po lewej stronie łóżka.

– Och, dzięki Bogu – mruczy.

Wsuwa pałkę z powrotem do rękawa bluzki i ostrożnie otwiera drzwi, trzymając klamkę przez bluzkę. Tym razem schodzi po schodach aż na poziom służbowy, gdzie słyszy szmer głosów, prawdopodobnie z kuchni. Wzdłuż ścian stoją wózki wyładowane brudnymi naczyniami, zwiędłymi kwiatami w wazonach, pustymi butelkami po winie, resztkami koktajli i innych napojów. Na hotelowej porcelanie, poplamionych białych obrusach i zwiniętych serwetkach widać zaschnięte ślady jedzenia. Nie ma tu żadnych much. Ani jednej.

Lucy przełyka ślinę, nagle zdjęta obrzydzeniem, kiedy przypomina sobie tamte łażące po ciele Rocca i karmiące się jego krwią. Myśli o tym, co

stanie się później. W ciepłym pokoju z jaj much plujek wylęgną się larwy, które, w zależności od tego, ile czasu minie, zanim Caggiano zostanie znaleziony, będą się roić na jego rozkładającym się ciele, zwłaszcza we wnętrzu rany i w innych otworach. Muchy plujki lubią głębokie, ciemne, wilgotne szczeliny i szpary.

Intensywna działalność owadów uniemożliwi określenie dokładnego czasu śmierci Rocca, dlatego właśnie Rudy wpuścił muchy do pokoju. Patolog sądowy, który zbada ciało, natrafi na sprzeczność pomiędzy zeznaniami na temat tego, kiedy gościowi przyniesiono późną kolację, a zaawansowanym stadium zarobaczenia larwami i rozkładu zwłok. Poziom alkoholu we krwi będzie wskazywał, że Caggiano był zamroczony, kiedy zginął od rany postrzałowej pozostawionej przez kulę o spłaszczonym czubku, która przebiła skroń i rozdarła mózg ostrymi jak brzytwa miedzianymi krawędziami. Na broni będą odciski palców zabitego.

Temperatura w pokoju zostanie uwzględniona w wynikach autopsji, ale nie powinna budzić podejrzeń. Na pustej butelce po szampanie policja znajdzie odciski palców Caggiana, jeśli zada sobie trud, żeby to sprawdzić, lecz nie będzie żadnego śladu, że zamówił szampana lub otrzymał go w prezencie od dyrektora. Mógł go zresztą kupić gdziekolwiek. Na czerwonym liście gończym też będą odciski palców denata, jeśli ktoś zada sobie trud, żeby to sprawdzić, a Lucy musi założyć, że ktoś to zrobi.

Wolałaby, żeby Rocco nie zamawiał kolacji do pokoju, lecz uwzględniła taką możliwość, zakładając, że ten, kto dostarczył mu jedzenie, wie, że widział denata ostatni i nie będzie chciał się ujawniać. Nie będzie chciał zostać zamieszany w żaden skandal z udziałem policji. Ponadto, jeśli czas śmierci Rocca, ustalony przez patologa sądowego, nie będzie się zgadzał z tym, co ma do powiedzenia pracownik hotelu, który przyniósł posiłek – przyjmując, że zechce mówić – wówczas nasunie się wniosek, iż ta osoba

myli się co do godziny, a może nawet dnia. Albo kłamie. Nikt z pracowników nie będzie chciał się przyznać, że przyjmował od Amerykanina napiwki i kto wie, jakie jeszcze prezenty i kontrabandę, które Rocco, poszukiwany listem gończym, prawdopodobnie wręczał im przez wiele lat, kiedy zatrzymywał się w hotelu.

Kto się zmartwi tym, że Rocco Caggiano nie żyje? Zapewne nikt z wyjątkiem rodziny Chandonne'ów. Oni zaczną się zastanawiać. Lucy zaplanowała to wszystko z przekonaniem, że tamci będą się starali ustalić fakty. Może im się uda. Może nie. Wersja o samobójstwie zostanie w końcu zaakceptowana i nikt nie będzie płakał, nikogo to nawet nie obejdzie.

ROZDZIAŁ 46

Lucy biegnie w ciemnościach, a ból w jej piersi nie jest efektem wysiłku fizycznego.

Mercedes stoi cicho w bocznej uliczce, ale przez przyciemnione szyby nie widać Rudy'ego. Szczeka zwolniona blokada i Lucy otwiera drzwi.

– Misja zakończona? – odzywa się ponuro jej partner z ciemnego wnętrza samochodu. – Nie włączaj jeszcze silnika.

Opowiada mu o spotkaniu z pijakiem i ochroniarzem hotelowym i wyjaśnia, jak sobie poradziła. Rudy nic nie mówi. Lucy czuje jego dezaprobatę i irytację.

– Zaufaj mi choć trochę. Myślę, że świetnie się spisaliśmy.

– Rzeczywiście świetnie, zważywszy na okoliczności – musi przyznać Rudy.

– Nie ma żadnego powodu, żeby ktoś skojarzył mnie z pokojem Rocca i z jego śmiercią – ciągnie Lucy. – Zapewniam cię, że obsługa hotelowa nie zbliży się do drzwi z wywieszką „Nie przeszkadzać” na klamce. Przez uchylone okno wleci jeszcze więcej much. Powiedzmy, że znajdą trupa za trzy albo cztery dni, do tego czasu larwy tak go urządują, że będzie nierozpoznawalny. A w razie gdybyś nie wiedział, muchy przyciąga również gówno.

Przy tak wysokim poziomie alkoholu we krwi nikt nie pomyśli, że to coś innego niż samobójstwo, a hotel będzie chciał jak najszybciej pozbyć się gnijącego ciała i larw. Lekarz sądowy uzna, że umarł wcześniej, niż twierdzi obsługa hotelowa – zakładając, że wiadoma jest dokładna godzina,

kiedy Rocco zamówił kolację, a prawdopodobnie nie. Zamówienia nie przechodzą u nich przez komputer. Wiem to na pewno.

– Na pewno? – pyta Rudy. – Skąd, do diabła, możesz to wiedzieć na pewno?

– Masz mnie za jakąś cholerną idiotkę? Dzwoniłam kilka dni temu. Powiedziałam, że jestem z firmy Hewlett-Packard, sprawdzam ich komputery i że ten używany w kuchni do przyjmowania zamówień wymaga lepszego oprogramowania. A oni nie mieli pojęcia, o czym mówię, powiedzieli, że nie używają komputerów do przyjmowania zamówień, tylko do inwentaryzowania zapasów. Wtedy zrobiłam im wykład na temat zalet poziomej stacji dysków z procesorem Intel Pentium, osiemdziesięciogigabitowym twardym dyskiem, napędem CDRROM i całą resztą... Chodzi o to, że nie ma żadnego komputerowego zapisu, kiedy Rocco zamówił kolację, rozumiesz?

Rudy milczy, a potem pyta:

– A czy oni w tym hotelu używają Hewlett-packardów?

– Łatwo to sprawdzić, dzwoniąc do biura. Tak – odpowiada Lucy.

– W porządku. Dobrze to rozegrałaś. Więc nawet jeśli pijak lub ktokolwiek inny zwrócił na ciebie uwagę, sposób, w jaki zaaranżowaliśmy wszystko na miejscu zbrodni, będzie wskazywał, że Rocco od dawna już nie żył, kiedy poszłaś balować z pijakiem.

– Zgadza się, Rudy. Świetnie się spisaliśmy. Rocco już jest zarobaczony. Larwy będą wytwarzały ciepło i przyspieszą rozkład, a tak czy inaczej, wygląda to na samobójstwo popełnione wcześniej – dużo wcześniej – niż ktokolwiek mógłby sobie wyobrazić. – Włącza silnik i kładzie rękę na ramieniu partnera. – Dobra, czy możemy wynosić się stąd w cholerę?

– Nie możemy popełnić więcej błędów, Lucy – mówi Rudy obronnym tonem. – Po prostu nie możemy.

Lucy odjeżdża od krawężnika, zła.

– Faktem jest, że przynajmniej dwoje ludzi w tym hotelu mogło pomyśleć, że jesteś pijaną uczestniczką konferencji, może nawet prostytutką, tylko że ciebie trudno zapomnieć, bez względu na to, za kogo cię wzięli. To prawdopodobnie nie ma żadnego znaczenia, ale... – Nie kończy.

– Ale mogłoby. – Lucy prowadzi ostrożnie, zerkając w lusterka i na tonące w cieniach chodniki.

– Właśnie. Mogłoby.

Lucy czuje jego wzrok i zmianę w jego nastroju. Musil mięknie, jest mu przykro, że był wobec niej taki szorstki.

– Hej, Rudy. – Wyciąga rękę i dotyka czule jego policzka, ostry zarost przypomina jej język kota. – Jedziemy i wszystko jest w porządku. – Ujmuje jego rękę i trzyma ją mocno. – To poszło źle, Rudy, bardzo źle, ale dobrze się skończy. Świetnie się spisaliśmy – powtarza jeszcze raz.

Kiedy jedno z nich albo oboje są przestraszeni, nigdy się do tego nie przyznają, jednak wiedzą o tym, ponieważ potrzebują się nawzajem. Rozpaczliwie potrzebują ciepła swoich ciał. Lucy podnosi rękę Musila do ust, kładzie jego ramię na swoim.

– Nie – mówi Rudy. – Oboje jesteśmy zmęczeni, zestresowani. To nie jest dobry moment, żeby... żeby nie trzymać obu rąk na kierownicy. Lucy, nie – mruczy, kiedy ona całuje jego palce, kłykcie, wnętrze dłoni.

Drugą jego rękę wsuwa sobie pod bluzkę.

– Lucy, przestań... o Jezu... to nie w porządku. – Rudy rozpina pas bezpieczeństwa. – Cholera, nie chcę myśleć o tobie w ten sposób.

Lucy prowadzi mercedesa ostrożnie i z uwagą.

– Myślisz tak o mnie. Przynajmniej czasami, prawda?

Gładzi jego włosy, szyję, wsuwa mu rękę za kołnierz i dotyka karku.
Jedzie szybciej i nie patrzy na niego.

ROZDZIAŁ 47

Nicole Robillard kilka razy wysyłała raporty do zespołu operacyjnego w Baton Rouge, przypominając mężczyznom i kobietom – głównie mężczyznom – że Wal-Mart i inne wielkie domy towarowe to dla mordercy znakomite miejsce, gdzie może wybierać swoje ofiary.

Nikt nie zwraca uwagi na pojazd na parkingu, bez względu na porę, a jak wynika z numerów kart kredytowych na kwitach, wszystkie zaginione kobiety robiły zakupy w Wal-Mart, jeśli nie w pobliżu kampusu Uniwersytetu Stanowego Luizjany, to w Baton Rouge albo w Nowym Orleanie. Ivy Ford także. Tej soboty, kiedy zniknęła, przyjechała z Zachary i zrobiła zakupy w Wal-Mart przy uniwersytecie.

Zespół operacyjny ani razu nie odpowiedział jej bezpośrednio, ale ktoś od nich musiał zatelefonować do szefa Nicole, który znalazł ją w bufecie, zanim wyjechała do Knoxville, i ni stąd, ni zowąd powiedział:

– Prawie wszyscy na świecie kupują w sklepach Wal-Mart, Sam's Club, Kmart, Costcos i tak dalej, Nic.

– Tak jest, panie komendancie – odparła. – Prawie wszyscy.

Baton Rouge to nie jej rejon, a jedyny sposób, żeby to zmienić, to zwrócić się do prokuratora generalnego o przyznanie szerszych kompetencji. Nicole nie ma żadnego powodu, aby tego żądać, a on nie ma żadnego powodu, aby jej to przyznać. Nicole nigdy nie prosi nikogo o pozwolenie, chyba że śledztwo podnosi się przed nią jak most zwodzony, nie pozostawiając jej innego wyboru, jak tylko nacisnąć na hamulce albo zawrócić. Ostatnio działa na własną rękę, szuka wszędzie, gdzie prowadzi ją instynkt, często zagląda do sklepu Wal-Mart w pobliżu uniwersytetu,

niedaleko Old Garden, gdzie mieszka jej ojciec. Nietrudno się domyślić, w którym dziale może bywać morderca, jeśli szuka ofiary. Podnieca go damska bielizna, zwłaszcza jeśli potencjalna ofiara wybiera staniki i majtki, sprawdzając fasony i rozmiary, tak jak robiła to ta tłusta kobieta z krótkimi siwiejącymi włosami kilka chwil wcześniej, zanim wyszła ze sklepu z ukradzionym towarem wetkniętym w rękaw płaszcza przeciwdeszczowego. Drobną kradzież pozostaje niezgłoszona, ponieważ Nicole zajmuje się poważniejszą sprawą. Pozostawia wózek pomiędzy regałami i wychodzi ze sklepu, zwracając uwagę na wszystkich mężczyzn, których dostrzega, obserwując, czym się zajmują, dotkliwie świadoma pistoletu w torebce.

Na zewnątrz parking jest dobrze oświetlony przez wysokie latarnie. Samochody, które tam stoją – niecała setka – są zaparkowane blisko siebie, jakby dotrzymywały sobie nawzajem towarzystwa. Nic widzi otyłą złodziejkę, zmierzającą szybkim krokiem w stronę ciemnoniebieskiego chevroleta z tablicami rejestracyjnymi z Luizjany i zapamiętuje jego numery, kiedy idzie mniej więcej w kierunku kobiety, udając, że jej nie zauważa. Ściśle rzecz biorąc, nie zauważa w pobliżu nikogo, kto mógłby być potencjalnym seryjnym mordercą. Jeśli ta gruba jest śledzona, a to oczywiście tylko przypuszczenie, nic na to nie wskazuje.

Nicole znowu ma wyrzuty sumienia, ponieważ jest rozczarowana. Myśl, iż mogłaby żałować, że ta złodziejka nie stanie się kolejną ofiarą, jest tak obrzydliwa, iż śledcza Robillard nie przyznaje się do swoich występnych nadziei przed nikim i rzadko przed sobą. Ukrywa tę prawdę tak głęboko, że prawdopodobnie przeszłaby test na wykrywaczu kłamstw. Gdyby badający spytał ją nawet: „Czy czuje się pani zawiedziona, kiedy widzi pani potencjalną ofiarę, a morderca nie próbuje jej porwać?”, Nic nie zdenerwowałaby się ani nie zawahała. Jej puls pozostałby taki sam, kiedy

zdecydowanie odpowiedziałyby: „Nie”. Im krótsze odpowiedzi, tym mniejsze ryzyko, że system nerwowy cię zdradzi.

Zbliża się teraz do własnego samochodu, pięcioletniego ciemnozielonego forda explorera, wyposażonego w przenośny migacz, dubeltówkę, zestaw pierwszej pomocy, kable połączeniowe, gaśnicę, torbę zawierającą mundur, buty, dodatkowe magazynki i inny sprzęt taktyczny, ręczny skaner ukryty pod tablicą rozdzielczą i zasilacz do międzynarodowego telefonu komórkowego, który służy także jako dwuzakresowe radio. Większość ekwipunku kupiła za własne pieniądze. W życiu jest zawsze przygotowana na najgorsze.

Gruba kobieta grzebie w brudnej płóciennej plażowej torbie, może trzy metry od chevroleta. Z pewnością nie spełnia kryteriów wiktyologii, w najmniejszym stopniu. Ale Nicole nie dowierza tak zwanym wzorcom czy profilom osobowości. Pamięta, jak doktor Scarpetta wyjaśniała, że profile są niebezpieczne, ponieważ roi się w nich od błędów. Nie każdy robi wszystko tak samo za każdym razem, a ta kobieta jest sama na ciemnym, względnie pustym parkingu na skraju miasteczka uniwersyteckiego, co czyni z niej potencjalną ofiarę.

Kobieta znajduje kluczyki i upuszcza je. Kiedy pochyła się, żeby je podnieść, traci równowagę i upada z krzykiem, łapiąc się za lewe kolano.

Rozgląda się bezradnie, spostrzega Nicole i woła:

– Proszę mi pomóc!

Nic podbiega i kuca przy niej.

– Niech się pani nie rusza – mówi. – Gdzie panią boli?

Wyczuwa płyn odstraszaający owady i odór spoconego ciała. Mglistość przechodzi jej przez myśl, że kluczyki na chodniku nie wyglądają, jakby należały do względnie nowego chevroleta.

– Chyba naderwałam sobie coś w kolanie – mówi kobieta, wbijając wzrok w Nicole. – To moje pechowe kolano.

Ma południowy akcent z lekkim zaśpiewem. Nie pochodzi stąd, a jej dłonie są szorstkie i twarde, jakby przywykła do ciężkiej, fizycznej pracy, takiej jak sprzątanie czy czyszczenie skorupiaków. Nic nie dostrzega żadnej biżuterii, nawet zegarka. Kobieta podciąga nogawkę spodni i patrzy na fioletowy siniec wokół rzepki kolanowej. Siniec nie jest świeży. Nicole wzdryga się odruchowo, nie mogąc opanować wstrętu, jaki budzi w niej nieprzyjemny zapach kobiety, jej nieświeży oddech i coś w zachowaniu, czego nie potrafi określić, a co ją niepokoi. Wstaje i cofa się szybko.

– Wezwę karetkę – mówi. – Niewiele więcej mogę zrobić, proszę pani. Nie jestem lekarzem.

Na twarzy kobiety pojawia się grymas, co sprawia, że jej rysy są jeszcze surowsze w blasku parkingowych latarni.

– Nie, nie potrzebuję karetki. Jak powiedziałam, często mi się to zdarza. – Próbuje wstać.

– Więc dlaczego ma pani tylko jeden siniec?

– Zawsze upadam w ten sam sposób.

Nic stoi w pewnej odległości i nie ma zamiaru oferować tamtej dalszej pomocy. Kobieta jest brudna, może umyślowo chora, a ona ma dosyć rozsądku, żeby nie zadawać się z takimi osobami. Mogą być czymś zarażone i przy bliższym kontakcie potrafią zachowywać się nieprzewidywalnie, a nawet agresywnie. Kobieta wstaje, uważając na lewą nogę.

– Chyba napiję się kawy i odpocznę chwilę – mówi. – Nic mi nie będzie. Powoli, kulejąc, oddala się od chevroleta i rusza z powrotem do sklepu. Nicole mięknie. Idzie za kobietą i sięga do kieszeni dzinsów.

– Proszę. – Wręcza jej banknot pięciodolarowy.

Tamta uśmiecha się, patrząc na nią przenikliwymi ciemnymi oczami.

– Niech cię Bóg błogosławi – mówi, chowając pieniądze. – Jesteś jagniątkiem – dodaje.

ROZDZIAŁ 48

Otwierają się drzwi po drugiej stronie korytarza. Starszy mężczyzna w podkoszulku i gatkach patrzy podejrzliwie na Marina.

– Co to za hałasy? – warczy. Siwe włosy sterczą mu jak kolce jeża, twarz ma nieogoloną, oczy zapuchnięte i przekrwione.

Marino aż za dobrze zna takie spojrzenie. Ten facet pił, prawdopodobnie odkąd wstał z łóżka i strzelił sobie coś na kaca.

– Widział pan Toma? – pyta detektyw. Poci się i dyszy ciężko.

– Nie mogę powiedzieć, żebym go znał. Niech pan nie dostanie zawału. Nie umiem robić masażu serca, chociaż znam zasady pierwszej pomocy.

– Miał się ze mną spotkać – Marino łapie oddech – a ja przyjechałem aż z choleryjnej Kalifornii.

– Naprawdę? – Mężczyzna jest teraz bardzo zaciekawiony i wychodzi na korytarz. – Po co?

– Jak to, po co? – Detektyw dochodzi do siebie na tyle, żeby odpysknąć, dając tamtemu do zrozumienia, że to nie jego sprawa. – Ponieważ skończyła się cholerna gorączka złota. Ponieważ znudziło mi się siedzenie nad cholerną zatoką. Ponieważ nie mam już ochoty być cholerną gwiazdą filmową.

– Gdyby pan grał w filmach, znałbym pana, bez przerwy pożyczam filmy. Co innego można tu robić?

– Widział pan Toma? – Marino nie ustępuje, ciągnie za gałkę i szarpie drzwiami.

– Spałem, kiedy pan zaczął hałasować – mówi mężczyzna, który wygląda na co najmniej sześćdziesiąt lat i sprawia wrażenie trochę

pomyłonego. – Nie widziałem Toma i unikam takich jak on, jeśli łapie pan, co mam na myśli. – Patrzy na niego badawczo.

– Co to znaczy: takich jak on?

– Homo.

– Pierwsze słyszę, nie żeby mnie obchodziło, co ludzie robią, dopóki nie muszę na to patrzeć. Sprowadza sobie facetów do mieszkania czy jak? Bo nie jestem pewien, czy mam ochotę tam wchodzić, jeżeli...

– Och, nie. Nigdy nie widziałem, żeby sprowadził sobie kogoś do mieszkania. Ale w tym budynku mieszka inny taki, który ubiera się w skóry i nosi kolczyki, i on mi mówił, że widział Toma w jednym z tych barów, gdzie zbierają się homo i chodzą parami do łazienki.

– Słuchaj pan, miałem odnająć tę norę od sukinsyna – informuje go detektyw z determinacją w głosie. – Zapłaciłem mu czynsz za trzy miesiące i przyjechałem z Kalifornii, żeby odebrać klucz i się wprowadzić. Wszystkie moje rzeczy są na dole w cholernej furgonetce.

– To mnie martwi.

– Bez żartów, Sherlocku.

– Mówię poważnie, naprawdę mnie to martwi. Kto to jest Sherlock? Ach, tak, to ten detektyw w czapce i z fajką. Nie czytuję kryminałów.

– Więc jeśli usłyszysz pan jakiś hałas w tym mieszkaniu, proszę się nie przejmować. Wchodzę, nawet gdybym miał użyć dynamitu.

– Chyba pan tego nie robi – niepokoi się stary.

– Zrobię – mówi Marino sarkastycznym tonem. – Mam zwyczaj chodzić z dynamitem w kieszeniach. Jestem zamachowcem samobójcą z New Jersey. Umiem latać samolotami, tylko nie potrafię wystartować ani wylądować.

Sąsiad Toma znika w swoim mieszkaniu i zamyka drzwi na łańcuch.

ROZDZIAŁ 49

Marino ogląda metalowe drzwi mieszkania numer 56.

Jakieś trzydzieści centymetrów nad gałką znajduje się zamek rygla. Detektyw zapala papierosa, patrząc przez dym na przeciwnika: tanią mosiężną gałkę z przyciskiem zwalniającym blokadę i bardziej problematyczny cylinder zamka. Żadne inne drzwi w korytarzu nie mają rygli, co potwierdza podejrzenie detektywa, że Benton sam zainstalował to zabezpieczenie. Znając go, wybrał niedający się podważyć rygiel, którego ani złodziej, ani wynajęty zabójca, ani wściekły Marino nie zdoła otworzyć bez poruszanej sprężyną blaszki, którą trzeba wsunąć w mechanizm. Należy tylko mieć nadzieję, że Benton nie mógł nic zrobić z framugą drzwi, cienkim paskiem metalu przyśrubowanym do drewna.

Bułka z masłem, mówi do siebie detektyw, odpinając od paska podręczny zestaw narzędzi, i wysuwa go ze skózanego futerału.

Zawiasy są typowe i Marino szczypcami atakuje sworzeń i wyciąga go z zawiasu jak korek z butelki. Niebawem już trzy leżą na podłodze i nic nie trzyma drzwi po lewej stronie. Potem dwoma silnymi szarpnięciami uwalnia rygiel z metalowego gniazda. Znalazłszy się w mieszkaniu, opiera drzwi o futrynę, aby zapewnić sobie trochę prywatności. Zapala górne światła.

Benton się wyprowadził, nie pozostawiając nic oprócz jedzenia w szafkach, lodówki pełnej budweisera i torby ze śmieciami w kuchni. Skoro już tu jestem, mogę poczęstować się piwem, myśli detektyw. Otwieracz do butelek leży na szafce, tam, gdzie widział go po raz ostatni, zdając się go zapraszać w szczodroblivy, czuły sposób, jak skarpeta z prezentami na

Boże Narodzenie. Poza tym wszędzie panuje porządek. Nawet zmywarka do naczyń jest pusta.

Dziwne.

Benton starał się nie zostawić odcisków palców na szybach, blatach stołów, kieliszkach, naczyniach i sztućcach. Marino podnosi kolejno przedmioty i ogląda je pod światło. Na dywanie widać ślady odkurzacza. Wesley wyczyścił całe mieszkanie, a kiedy detektyw grzebie w torbie ze śmieciami, znajduje tylko puste butelki po budweiserze i rozbite szkło z dos equis, które roztrzaskał w zlewie. Wszystkie butelki są czyste, etykiety mokre i pokryte mydłem.

– Co się, do diabła, dzieje? – zastanawia się głośno.

– Nie wiem – odpowiada męski głos zza wyważonych drzwi. – Wszystko w porządku?

Marino rozpoznaje sąsiada z naprzeciwka.

– Niech pan idzie spać – mówi zrzędlawie. – A jeśli my dwaj mamy żyć ze sobą w zgodzie, proszę pilnować własnego nosa... jak pan ma na imię?

– Dave.

– To zabawne, ja też. Też Dave.

– Też Dave.

– Tak się składa. – Detektyw patrzy przez szczelinę pomiędzy wyważonymi drzwiami a framugą.

Dave, chyba bardziej zaciekawiony niż przestraszony, zerka do środka, próbując rozejrzeć się po pokoju. Potężna sylwetka Marina zasłania wścibskiemu sąsiadowi widok.

– Nie mogę uwierzyć, że sukinsyn tak sobie po prostu wyjechał – mówi detektyw. – Jakbyś się czuł, gdybyś musiał się włamywać do własnego cholernego mieszkania?

– Nie zrobiłbym tego.

– To nie wszystko, ta nora to chlew, a on zabrał zastawę, naczynia i garnki, nie zostawił nawet kawałka mydła ani rolki papieru toaletowego.

– Sztućce i naczynia należą do wyposażenia mieszkania – oświadcza Dave z dezaprobatą. – Ale z tego, co widzę, wygląda tu całkiem schludnie.

– Tak, z tego, co widzisz.

– Zawsze uważałem go za dziwaka. Zastanawiam się, dlaczego zabrał papier toaletowy.

– Rozmawiałem z nim kilka miesięcy temu, odpowiedziałem na jego ogłoszenie o podnajęciu – wyjaśnia Marino.

Prostuje się i odchodzi od drzwi, by obejrzeć wnętrze mieszkania, a Dave nadal zerka przez szparę. Oczy ma podkrążone i szkliste, policzki obwisłe i czerwone od popękanych naczyń krwionośnych, prawdopodobnie na skutek długoletniego picia.

– Tak – mówi. – Nigdy się nie odzywał, nigdy, nawet jak mijał mnie w korytarzu albo kiedy przypadkiem otwieraliśmy drzwi w tym samym momencie. Staliśmy tak, twarzą w twarz, a on zwykle tylko się uśmiechał i kiwał głową.

Marino nie wierzy w przypadki i podejrzewa, że Dave nasłuchiwał, czy Benton nie wchodzi lub nie wychodzi, i otwierał drzwi, kiedy Wesley otwierał swoje.

– Gdzie byłeś dziś po południu? – Kapitan zastanawia się, czy stary słyszał sprzeczkę, dosyć głośną, w mieszkaniu sąsiada.

– Och, bo ja wiem. Po lunchu trochę spałem.

Pijany, myśli Marino.

– Tacy jak on nie mają przyjaciół – ciągnie Dave.

Detektyw wciąż się rozgląda, a tamten zerka przez szczelinę.

– Nigdy nie widziałem, żeby ktoś go odwiedzał, a mieszkam tu już pięć lat. Pięć lat i dwa miesiące. Nienawidzę tego miejsca. Czasem chyba gdzieś

wychodził. Byłem szefem kuchni w Lobster House, ale odkąd przeszedłem na emeryturę, muszę liczyć każdy grosz.

Marino nie ma pojęcia, co wspólnego ma liczenie każdego grosza z tajemniczym sąsiadem starszego mężczyzny.

– Byłeś tam szefem kuchni? Za każdym razem, kiedy przyjeżdżam do Bostonu, jem w Lobster House.

To nieprawda, a poza tym nie przyjeżdża często do Bostonu.

– Ty i reszta świata, tak jest. No cóż, nie byłem szefem kuchni, ale powinienem nim być. Któregoś dnia ugotuję coś dla ciebie.

– Jak długo ten cudak tu mieszkał?

– Och. – Dave wzdycha, oczy mu błyszczą przez szparę, kiedy obserwuje Marina. – Powiedziałbym, że ze dwa lata. Z przerwami. Jakie jest twoje ulubione danie w Lobster House?

– Dwa cholerne lata. To ciekawe. Tłumaczył mi, że właśnie się wprowadził i został przeniesiony czy coś w tym rodzaju, i dlatego właśnie zwalnia mieszkanie.

– Cóż, pewnie homar – ciągnie stary. – Wszyscy turyści zamawiają homara i dodają do niego tyle masła, że chyba nie czują smaku niczego poza masłem, dlatego zawsze mówiłem innym pracownikom w kuchni: po co podawać pięknego świeżego homara, jeśli nikt nie czuje niczego poza masłem?

– Nienawidzę morskiego żarcia – oświadcza Marino.

– No cóż, mamy świetne steki. Z najlepszej wołowiny, odpowiednio zleżałej.

– Słowo „zleżały” mnie niepokoi. W sklepie spożywczym „zleżały” znaczy zepsuty. No wiesz, robaczywe gówno.

– Nie, nie mieszkał tu przez cały czas – wyjaśnia Dave. – Przyjeżdżał i wyjeżdżał, czasem na całe tygodnie. Ale nie mógł się dopiero wprowadzić.

Widywałem go przez dwa lata, jak powiedziałem.

– Coś jeszcze możesz mi powiedzieć o tym homo, który zostawił zamknięte drzwi i wyjechał z połową rzeczy z mieszkania? – pyta Marino.

– Kiedy go spotkam, skopię mu dupę.

Tamten potrząsa głową, w jego oczach pojawia się rozczarowanie.

– Żałuję, że nie mogę ci pomóc, ale jak powiedziałem, nie znałem człowieka i cieszę się, że wyjechał, bo wygląda na to, że ty i ja będziemy wspaniałymi sąsiadami, Też Dave.

– Na pewno. A teraz idź do łóżka. Muszę tu zrobić kilka rzeczy i odezwę się do ciebie później.

– Miło było cię poznać. Chyba od tej pory będę cię nazywał Też Dave, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

– Dobranoc.

ROZDZIAŁ 50

Benton mieszkał tu przez dwa lata i nikt go nie zna, nawet jego samotny wścibski sąsiad Dave.

Nie żeby Marino był tym naprawdę zaskoczony, lecz ten fakt świadczy dobitnie, jakie smutne i samotne życie prowadził Wesley, co jest jeszcze jednym powodem, dla którego jego odmowa powrotu do własnej skóry, do przyjaciół i tych, którzy go kochają, nie ma sensu. Detektyw siada na idealnie zasłanym łóżku, wpatrując się szklanym wzrokiem w lustro nad bieliźniarką. Benton doskonale go znał i musiał podejrzewać, że przyjaciel wróci, aby znowu robić mu wymówki i prawić kazania. Nic nie mogło zboleć Marina bardziej niż to, że tamten nie chce go więcej widzieć – nigdy.

Patrzy na siebie w lustrze, pot spływa mu po twarzy, i nagle uświadamia sobie, że Benton wyłączył klimatyzację w salonie, kiedy się kłócili. Ale kiedy przed chwilą się tu włamał, klimatyzacja była włączona w tamtym pokoju, a wyłączona w tym. Zazwyczaj Benton nie robi nic bez celu. Taki już jest i musiał mieć jakiś powód, żeby nastawić klimatyzację na maksimum w salonie i wyłączyć ją w sypialni. Marino wstaje z łóżka i podchodzi do okna. Od razu zauważa kopertę przyklejoną taśmą do szyby.

Idealnie na środku widnieją wypisane dużymi literami inicjały PM.

Pomimo zmęczenia ogarnia go podniecenie. Wychodzi do kuchni po ostry nóż. W sypialni kładzie go na klimatyzatorze pod oknem. Potem idzie do łazienki, odrywa kilka kawałków papieru toaletowego i owija nim palce. Wraca do okna i ostrożnie zdejmuje kopertę, zauważając przy tym, że oba końce taśmy są zagięte i sklejone – tą samą techniką posługują się

policjanci, żeby taśma z odciskami palców nie przyklejała im się do rękawiczek.

Rozcina brzeg koperty, wyjmując złożoną kartkę taniego białego papieru i rozkłada ją. Takimi samymi literami jak na kopercie są na niej wypisane słowa: „Wytrzymaj, proszę”.

Oszołomiony Marino zastanawia się przez chwilę, czy wiadomość była przeznaczona dla niego i czy napisał ją Benton. Ani taśma, ani papier nie są stare i wydają się bardzo czyste, a zagięte końce taśmy sugerują, że ten, kto jej używał, musiał nosić lateksowe rękawiczki. PM to inicjały Marina, a Benton wie, iż porównanie charakteru pisma zwykle nic nie daje przy drukowanych literach, chyba że grafolog ocenia dwie próbki napisane drukowanymi literami przez tę samą osobę. Benton wie również, że w pokoju będzie piekielnie gorąco i że Marino sprawdzi klimatyzację. A przynajmniej zauważy, że jeden klimatyzator jest włączony, a drugi nie, i zastanowi go ta niekonsekwencja.

– Wytrzymaj z klimatyzacją? – mówi głośno kapitan, zniechęcony i zmęczony.

Wraca do kuchni i otwiera szafkę, gdzie kilka minut wcześniej widział schludny, równy plik małych papierowych torebek śniadaniowych. Wyjmuje jedną i wrzuca do środka kopertę.

– O czym ty, do cholery, mówisz? Bawisz się ze mną, sukinsynu?

Gorycz wypełnia mu serce, kiedy myśli, jak tamten go potraktował, jakby przez wiele lat nie byli przyjaciółmi, kumplami, prawie braćmi, dzieląc się tą samą kobietą, choć w całkowicie odmienny sposób. W jakimś tajemnym zakątku umysłu detektywa błąka się przekonanie, że on i Benton byli poślubieni Kay Scarpencie – jednocześnie. Teraz Marino ma do niej wyłączne prawa. Ale ona za nim nie tęskni i ten tłumiony ból umacnia jego

niepokój, jego strach. Skurcz paniki ściska mu żołądek i podchodzi do gardła.

Na zewnątrz, w ciemnościach detektyw zapala papierosa i siada ciężko na ceglanym murku. Oddycha z trudem, serce łomocze mu gwałtownie o żebra jak bokser, pozbawiając go tchu. Czuje ból po lewej stronie klatki piersiowej i, przerażony, robi kilka wolnych, głębokich wdechów, lecz nadal brakuje mu powietrza.

W pobliżu przejeżdżają puste taksówki, a Marino siedzi nieruchomo na murku, pot spływa mu po twarzy, oczy ma szeroko otwarte, ręce na kolanach. Papieros wypada mu z zaciśniętych palców i toczy się po bruku, dopóki nie wpada w szczelinę.

ROZDZIAŁ 51

Bev nie może przestać o niej myśleć.

Powinna trzymać się z daleka od jagniątka, które dało jej pięć dolarów na parkingu przed Wal-Mart, ale nie może. Bev nie potrafi zapanować nad swoim impulsem, a chociaż coś takiego wymyka się wszelkim racjonalnym wyjaśnieniom, w jej mrocznych, niedobrych myślach jest przyczyna i skutek. Jagniątko okazało jej pogardę. Kobieta cofnęła się, jakby się nią brzydziła, a potem ośmieliła się poniżyć Bev jeszcze bardziej, dając jej pieniądze.

W sklepie Bev kręci się w pobliżu półki ze środkami na owady, podnosząc butelki i udając, że czyta etykiety, kiedy obserwuje parking przez szybę. Ku jej zaskoczeniu, jagniątko nie jeździ nowym wozem, tylko starym ciemnozielonym explorerem, który z jakiegoś powodu nie pasuje do rozpieszczonej, bogatej żony czy kochanki. Co jeszcze bardziej interesujące, siedzi w samochodzie z włączonym silnikiem i wyłączonymi światłami. Bev wchodzi do przymierzami i wychodzi stamtąd po pięciu minutach, przebrana w krzykliwą hawajską koszulę i szorty bermudy – nie zapłaciła za nie i wycięła klipsy magnetyczne nożem. Płaszcz przeciwdeszczowy, przewrócony na lewą stronę, przerzuciła sobie przez ramię, a chociaż noc jest pogodna, na głowie ma tani plastikowy kaptur przeciwdeszczowy. Gdyby ludzie w ogóle ją zauważyli, uznaliby, że albo jest szalona, albo chroni włosy.

Explorer nie odjechał. Bev idzie prosto do rozklekotanego, brudnego dżipa, przekonana, że jagniątko jej nie zauważyło, a przynajmniej nie skojarzyło z kobietą, którą spotkało i której dało pieniądze niecałe pół

godziny temu. Odjeżdżając, Bev skręca w lewo do Perkins, potem przecina Acadian i zatrzymuje się na małym parkingu wypełnionym samochodami, ponieważ Caterie jest popularną restauracją, zwłaszcza wśród studentów. Wyłącza silnik oraz światła i czeka, a jej żądza rozpala się tym mocniej, im dłużej jagniątko siedzi w ciemnozielonym explorerze na parkingu przed Wal-Mart po drugiej stronie ulicy.

Może rozmawia przez telefon? Może tym razem nie szczebiocze tak obrzydliwie słodko, lecz kłóci się ze swoim facetem. Bev jest ekspertem od śledzenia ludzi. Robi to regularnie, kiedy prowadzi samochód Jaya. Zanim zaczęła wieść życie zbiega w obozowiskach rybackich, śledziła ludzi w zależności od tego, co trzeba było zrobić, lub po prostu dla samej zabawy. Ostatnio jej poczynania mają określony cel, a przynajmniej prowadzą do pożytecznego celu. Cokolwiek Bev robi, wypełnia polecenia swojego mężczyzny.

Teraz też w jakimś stopniu wypełnia polecenia Jaya, ale metody i emocje zmieniają się, kiedy wykonujesz ciągle to samo zadanie. Bev zaczęła sobie pobłażać, zabawiać się własnymi fantazjami i czerpać z tego przyjemność. To jej prawo.

Explorer kieruje się do dzielnicy Old Garden. Ładna blondynka za kierownicą nie ma pojęcia, że kobieta ze stłuczonym kolanem jest niedaleko. To bawi Bev. Uśmiecha się, kiedy explorer zwalnia i skręca w prawo, na ciemny podjazd zarośnięty po obu stronach wysokimi krzewami. Bev przejeżdża kawałek dalej, zatrzymuje się i wysiada. Szybko wkłada ciemny płaszcz przeciwdeszczowy i przemyka do domu z białej cegły, akurat w samą porę, żeby zobaczyć, jak zamykają się drzwi frontowe i kobieta jest bezpieczna w środku. Bev wraca do dżipa, zapisuje adres i skręca w boczną uliczkę, żeby nie przejeżdżać jeszcze raz obok tego domu. Czeka.

ROZDZIAŁ 52

Bardziej niż czegokolwiek Jean-Baptiste Chandonne potrzebuje podwójnej anteny, ale nie przysługuje mu przywilej korzystania z kantyny, a właśnie tam są one sprzedawane.

Więźniowie, którzy cieszą się uprzywilejowanym statusem, mogą kupować anteny, słuchawki, przenośne radioodbiorniki, zasilacze i święte medaliki na łańcuszku. Przynajmniej niektórzy mogą. Bestia, na przykład, uwielbia się chełpić swoim przenośnym radiem, ale nie ma podwójnej anteny, ponieważ więźniom wolno kupić tylko jeden przedmiot ze specjalnej listy Wielkiej Dziesiątki, jak ją nazywają. W bloku śmierci przywileje są limitowane z obawy, że więźniowie skonstruują jakąś broń.

Jean-Baptiste nie musi się starać o broń. Jego ciało jest bronią, gdyby kiedykolwiek zdecydował się jej użyć. Ale nie zamierza jej używać, nie teraz. Kiedy prowadzą go w więzach pod prysznic, nie musi atakować strażników, co z pewnością mógłby zrobić, wykorzystując swój magnetyzm, który tylko się powiększa, gdy Chandonne przechodzi przez liczne metalowe drzwi z żelaznymi kratami. Jego potęga rośnie. Pulsuje w kroczu i unosi górną część czaszki w przestrzeń ponad jego głową. Jean-Baptiste pozostawia widoczny ślad w postaci iskier. Strażnicy nie rozumieją, dlaczego się uśmiecha, i jego zachowanie ogromnie ich irytuje.

Światła zgaszono o dziesiątej. Strażnik w dyżurce lubi wciskać wszystkie wyłączniki jednocześnie, aby wtrącić więźniów w całkowitą ciemność. Jean-Baptiste podsłuchiwał komentarze funkcjonariuszy, że ciemność daje „draniom” czas na myślenie o zbliżającej się nieuchronnie egzekucji, karze za to, co zrobili, kiedy byli na wolności i mogli zaspokajać

swoją miłość. Ci, którzy nie zabijają, nie rozumieją, że połączyć się z kobietą to znaczy dla niego wyzwolić ją, słyszeć, jak krzyczy i jęczy, wysmarować się jej krwią, kiedy bierze w posiadanie ciało ofiary, a następnie pozostawia tak, żeby wszyscy ludzie mogli ją zobaczyć, a zatem dzielić jej ekstazę.

Leży na swojej pryzy, pot przesącza się przez prześcieradło, jego zapach wypełnia małą, duszną celę, pod przeciwległą ścianą majaczy muchomorowaty kształt toalety z błyszczącej stali. Skazańcy zachowują ciszę, z wyjątkiem Bestii. Ten mówi cicho do siebie, niemal szepcze, nie zdając sobie sprawy z tego, że Jean-Baptiste słyszy wszystko. Bestia przemienia się w nocy w bezradną, słabą istotę, którą naprawdę jest. Będzie mu znacznie lepiej, kiedy dostanie swój koktajl, po którym zapadnie w wieczny sen i nie będzie już potrzebował słabego, ułomnego ciała.

– ...Leż spokojnie. To miłe, prawda? To takie miłe. Przestań, proszę, przestań. Przestań! To boli! Nie krzycz. To bardzo przyjemne. Nie rozumiesz, ty mała dziwko? To przyjemne! Chcę do mamy! Ja też. Ale ona jest kurwą. Natychmiast przestań krzyczeć, słyszysz mnie! Jeśli krzykniesz jeszcze raz...

– Kto tam? – pyta Jean-Baptiste cuchnącego powietrza.

– Zamknij się. Zamknij się, do cholery. To twoja wina. Bo oczywiście musiałaś krzyczeć. Chociaż ci mówiłem, żebyś tego nie robiła. Nie dostaniesz więcej gumy do żucia. Cynamonowej. Rzucasz opakowania na prawo i lewo, żebyśmy wiedział, jaki smak lubisz. Ty głupia cipo. Zostań tutaj, w cieniu, dobra? Ja muszę biec, muszę biec. Jak by ci tu rzec, muszę biec, muszę biec, muszę biec. – Zaczyna cicho śpiewać. – Muszę biec, muszę biec, muszę biec-biec-biec...

– Kto tam?

– Puk, puk, kto tam? – woła Bestia szyderczym tonem. – Włochaty, Włochaty, jak się ma twój malec? Dwa małe orzeszki ukryte w futerku i ptaszek mniejszy niż palec. – Śpiewa ochrypłym głosem bardzo cicho, lecz dostatecznie głośno. – Jestem poetą, wiesz o tym? Wiesz o tym, odmieńcu bez ptaszka? Naprawdę wrażliwym facetem. Zielone jajka i szynka! Kot w kapeluszu! Lubię je mięsiste, ale nie za tłuste. Udko, proszę.

– Kto tam? – Jean-Baptiste wbija w wargi swoje rzadkie, małe, spiczaste zęby. Liże je i czuje słony, metaliczny posmak własnej krwi.

– To ja, Włochaty. Twój najlepszy kumpel. Twój jedyny kumpel. Nie masz nikogo oprócz mnie, wiesz o tym? Na pewno. Kto oprócz mnie z tobą rozmawia i posyła świńskie miłosne liściki z celi do celi, dopóki nie trafią do twojej?

Jean-Baptiste słucha, wysysając krew z języka.

– Masz potężną rodzinę. Słyszałem o tym w radiu. Nieraz słyszałem.

Milczenie. Uszy Jean-Baptiste'a są jak talerze anten satelitarnych.

– Koneksje. Gdzie są ci cholerni strażnicy, kiedy się ich potrzebuje? – szyci tamten w ciemności.

Jego nienawistny głos wlatuje jak maleńkie nietoperze przez żelazne kraty w drzwiach celi Jean-Baptiste'a. Słowa trzepoczą wokół niego i opędza się od nich owłosionymi rękami.

– Wiesz, że wariujesz tutaj, Włochaty? Jeśli nie wyjdiesz, będziesz szalony jak kot z M 40 w dupie. Wiesz o tym, Włochaty?

– *Je ne comprendspas* – szepcze Jean-Baptiste. Kropla krwi spływa mu po brodzie i znika we włosach.

Ściera krew i oblizuje palec.

– Och, *comprenez vous*, na pewno. Może wetknęli ci coś w dupę, ha? I bum! – Bestia śmieje się cicho. – Widzisz, jak już cię mają w tej klatce,

mogą robić, co im się podoba, i kto się o tym dowie? Skarżysz się, a oni robią ci jeszcze większe kuku i mówią, że sam to sobie zrobiłeś.

– Kto tam?

– Wkurza mnie, że ciągle to powtarzasz, Mały Fiutku! Cholernie dobrze wiesz, kto tam. To ja. Twój kumpel.

Jean-Baptiste słucha oddechu Bestii. Wydychane przez tamtego powietrze przelatuje wzdłuż dwóch cel i Jean-Baptiste czuje czosnek i czerwony młody burgund, który nazywa głupim winem, ponieważ nie leżakowało dostatecznie długo w ciemnych, wilgotnych piwnicach, żeby stać się błyskotliwym i mądrym. W ciemnościach celi śmierci Jean-Baptiste'a jest jego jaskinią.

– Powiem ci coś, kumplu, ja, twój jedyny kumpel. Zawiozą mnie furgonetką do tego miejsca, gdzie mnie zabiją. Do Huntsville. Co za nazwa. To zajmie godzinę, jazda. A jeśli coś się stanie pomiędzy punktami A i B?

Place Dauphine, kasztanowce, kwitną azalie i róże. Jean-Baptiste nie musi widzieć, wystarczy mu zapach, żeby wiedzieć, gdzie jest: Bar du Caveau i restauracja Paula, naprawdę dobra. Ludzie są od niego oddzieleni, jedzą i piją za szybą, uśmiechają się i śmieją lub pochylają do płomienia świecy. Niektórzy wyjdą stąd i będą się kochać, nie wiedząc, że są śledzeni. Jean-Baptiste prześlizguje się w mroku nocy na drugi koniec Wyspy Świętego Ludwika, a światła Paryża odbijają się w nurcie Sekwany i połyskują jak włosy. Zaledwie kilka minut później jest o kilometr od kostnicy.

– Ja już nic nie mogę zrobić. Ale założę się, że ty możesz. Zatrzymasz tę furgonetkę, kiedy będą mnie wieźli na zastrzyk, a ja wrócę do ciebie, Włochaty. Mój czas się skończył. Trzy dni. Słyszysz mnie? Trzy cholerne dni. Wiem, że możesz wymyślić jakiś sposób. Możesz to załatwić, ocalić mi dupę, i wtedy będziemy współnikami.

W piwiarni na Wyspie Świętego Ludwika usiadł w rogu i obserwował balkon pełen doniczek z kwiatami. Jakaś kobieta wyszła, żeby popatrzeć, pewnie na błękitne niebo i rzekę. Była bardzo piękna, gdy tak stała, mając za sobą okna otwarte na świeże, jesienne powietrze. Pamiętał, że pachniała lawendą. Tak mu się wydawało.

– Możesz ją mieć, kiedy z nią skończę – powiedział Jay, sącząc burgunda z Domaine Prieuré Roch. Wino miało posmak palonych migdałów.

Obracał wolno swój kieliszek, a czerwony płyn obmywał szklaną czaszę jak gorący język liżący ją dookoła.

– Wiem, że chcesz trochę. – Jay podniósł kieliszek i roześmiał się na ten dwuznacznik. – Ale wiesz, jak to z tobą jest, *mon frère*.

– Słuchasz mnie, Włochaty? Trzy pieprzone dni, zaledwie tydzień przed tobą, a ja się postaram, żebyś miał wszystkie dziwki, których zapragniesz. Przyprowadzę ci je, jeśli nie masz nic przeciwko temu, żebym najpierw trochę się z nimi zabawił. Bo ty nie możesz, prawda? Więc dlaczego miałbyś się nie podzielić? – Pauza, potem głos Bestii nabiera złowieszczonego brzmienia. – Słuchasz mnie, Włochaty? Wolny jak ptak!

– No to ruszamy – powiedział Jay, puszczając oko.

Odstawił swój kieliszek i powiedział, że zaraz wróci. Jean-Baptiste, gładko ogolony, w kapeluszu nasuniętym na twarz, miał nic nie mówić, kiedy Jay... Nie może nazywać go Jay. Jean-Paul, Jean-Paul wyszedł. Przez okno Jean-Baptiste obserwował, jak jego piękny brat woła kobietę na balkonie. Gestykulował, wskazując ręką, jakby pytał o kierunek, a ona uśmiechała się, a później zaczęła się śmiać z jego błazeństw. Nagle, oczarowana urokiem Jean-Paula, zniknęła w mieszkaniu.

Potem jakimś magicznym sposobem jego błogosławiony brat znalazł się znowu przy stoliku.

– Idź – rozkazał Jean-Baptiste’owi. – Mieszkanie na drugim piętrze. – Wskazał głową. – Zobaczysz, gdzie. Ukryj się, a przez ten czas my się czegoś napijemy. To będzie łatwe. Wiesz, co robić. A teraz znikaj stąd i nie przestrasz nikogo.

– Ty pieprzony włochaty brzydalu. – Obrzydliwy szept Bestii dolatuje do celi Jean-Baptiste’a. – Nie chcesz umrzeć, prawda? Nikt nie chce umrzeć, z wyjątkiem ludzi, których my załatwiliśmy, kiedy nie mogli już wytrzymać i zaczęli błagać, tak? Wolny jak ptak. Pomyśl o tym. Wolny jak ptak.

Jean-Baptiste wyobraża sobie lekarkę nazwiskiem Scarpetta. Zaśnie w jego ramionach i będzie z nim zawsze. Głaszcze otrzymany od niej list, napisany na maszynie i krótki, w którym błaga go o spotkanie i prosi o pomoc. Żałuje, że nie napisała go odręcznie, żeby mógł studiować każde wygięcie i kontur jej zmysłowego pisma. Jean-Baptiste wyobraża ją sobie nagą i ssie język.

ROZDZIAŁ 53

Grzmot brzmi jak werbel w oddali, chmury zasnuwają blady księżyc.

Bev nie wróci do Dutch Bayou, dopóki nie minie burza, jeśli dotrze tak daleko na południowy wschód, a prognoza w radiu tego nie zapowiada. Ale nie jest jeszcze gotowa, żeby wrócić na przystań. Jagniątko w ciemnozielonym explorerze jechało interesującą trasą przez ostatnie dwie godziny, a Bev nie może tego zrozumieć. Kobieta – kimkolwiek jest – krążyła po ulicach i parkingach z powodu, którego nie da się określić.

Przypuszcza, że jagniątko pokłóciło się ze swoim facetem i nie chce wracać do niego, prawdopodobnie żeby się zamartwiał, to jedna z tych małych gier. Bev uważa, aby trzymać się w stosownej odległości, skręca w boczne uliczki, zatrzymuje się na stacjach benzynowych przy autostradzie, a potem znowu przyspiesza. Kilka razy wyprzedziła explorera na lewym pasie, przeleciała co najmniej piętnaście kilometrów naprzód, a potem stanęła na poboczu, czekając, aż ofiara znowu znajdzie się przed nią. Niebawem minęły Baker, małe miasteczko z firmami o tak dziwacznych nazwach jak Raif's PoBoy, Money Flash Cash, Crawfish Depot.

Miasteczko zniknęło jak miraż i autostrada stała się smoliście czarna. Nie ma tu nic, żadnych świateł, tylko drzewa i tablica ogłoszeniowa z napisem: „Potrzebujesz Jezusa”.

ROZDZIAŁ 54

Oczy aligatora przypominają Bev peryskopy namierzające ją w celownikach, zanim znikają pod wodą koloru słabej kawy.

Jay zapewniał ją, że aligatory nie będą jej niepokoić, jeżeli ona nie będzie niepokoić ich. To samo mówi o wodnych mokasynach.

– Pytałeś je o zdanie? A jeśli to prawda, to dlaczego mokasyny spadają z drzew, próbując dostać się na łódź? A pamiętasz ten film, który oglądaliśmy? Och, jak on się nazywał...?

– „Oblicza śmierci” – odrzekł, tym razem nie zirytowany, lecz rozbawiony jej pytaniami.

– Pamiętasz tego leśniczego, który wpadł do jeziora, i natychmiast dopadł go wielki aligator?

– Mokasyny nie spadają do łodzi, jeśli ich nie przestraszysz – wyjaśnił Jay. – A tamten aligator dopadł leśniczego, ponieważ leśniczy próbował dopaść jego.

Brzmiało to dosyć rozsądnie i Bev poczuła się trochę podniesiona na duchu, dopóki Jay nie uśmiechnął się tym swoim okrutnym uśmiechem, nie zmienił tematu i nie wyjaśnił jej, po czym można poznać, czy zwierzę albo gad jest drapieżnikiem, czyli napastnikiem, a zatem nieustraszonym łowcą.

– Widać to po oczach, kochanie – powiedział. – Oczy drapieżników są umieszczone z przodu głowy, tak jak moje. – Wskazał na swoje piękne niebieskie oczy. – Jak u aligatora czy u mokasyna, jak u tygrysa. My, drapieżniki, patrzymy na wprost, szukając czegoś, co można by zaatakować. Oczy niedrapieżników są umieszczone bardziej po bokach głowy, bo jak królik ma się obronić przed aligatorem, co? Mały króliczek

musi widzieć wszystko dookoła, żeby zobaczyć, co się zbliża, i w porę zwać.

– Ja też mam oczy drapieżnika – oświadczyła Bev, zadowolona, że się tego dowiedziała, ale niezbyt uszczęśliwiona nowiną, że aligatory i mokasyny są drapieżnikami.

Takie oczy, uświadomiła sobie, wypatrują zdobyczy, szukają czegoś, co można złapać i zabić. Drapieżniki, zwłaszcza gady, nie boją się ludzi. Cholera! Co do niej, to nie może się równać z aligatorem czy wężem. Jeśli wpadnie do wody albo nadeptnie na mokasyna, kto zwycięży? Na pewno nie ona.

– Ludzie są największymi drapieżnikami – powiedział Jay. – Ale my jesteśmy skomplikowani. Aligator to zawsze aligator. Wąż to zawsze wąż. A człowiek może być wilkiem albo jagnięciem.

Bev jest wilkiem.

Czuje, jak jej gorąca wilcza krew wrze, kiedy przepływa obok cyprysów sterczących z wody niczym grzebienie na grzbiecie morskiego potwora. Ładna blondynka związana na dnie łodzi krzywi się w przeświecającym przez konary słońcu wczesnego poranka. Tam, gdzie korzenie cyprysów łamią powierzchnię, woda nie jest głęboka i Bev zachowuje czujność, kiedy pod pływa wolno do rybackiej przystani. Od czasu do czasu ofiara próbuje zmienić pozycję, aby złagodzić straszliwy ból w stawach, oddycha ciężko przez nos, knebel w ustach zasysa się z mokrym odgłosem przy każdym wdechu.

Bev nie zna jej imienia i ostrzegła ją, żeby go nie wymieniała. To było kilka godzin temu, w dziupie, kiedy ofiara uświadomiła sobie, że nie zdoła wyskoczyć drzwiami od strony pasażera, a gdyby próbowała uciekać przez siedzenie, Bev ją zastrzeli. Potem stała się gadatliwa, próbowała być przyjacielska, starała się, aby Bev ją polubiła, posunęła się nawet do tego,

że spytała uprzejmie, jak Bev ma na imię. One wszystkie to robią, a Bev zawsze odpowiada tak samo:

– Moje imię to nie twój zasrany interes, ja nie chcę znać twojego ani nic o tobie wiedzieć.

Tamta natychmiast poczuła się bezsilna, uświadomiwszy sobie, że nie uniknie koszmaru, który jest jej przeznaczony.

Imiona służą tylko dwóm celom: można ich używać, aby ludzie wiedzieli, że ich życie ma jakąś wartość, i można ich nie używać, aby zrozumieli, że ich życie nie ma żadnej wartości. Poza tym niedługo Bev dowie się wielu rzeczy o tym ładnym małym jagniątku, kiedy Jay będzie słuchał wiadomości w swoim radiu na baterie.

– Proszę, nie rób mi krzywdy – błaga jagnię. – Mam rodzinę.

– Nie obchodzi mnie to – mówi Bev. – A wiesz dlaczego? Bo jesteś tylko moją dzisiejszą zdobyczą.

Bev śmieje się, ucieszona siłą własnego głosu, ponieważ niebawem nie będzie miała nic do powiedzenia. Jay będzie miał. Kiedy weźmie jagnię w posiadanie, dla Bev nie pozostanie już nic do roboty, z wyjątkiem tego, co on każe jej robić. Będzie głównie patrzeć i ta świadomość wywołuje u niej odruch, aby wykorzystywać swoją władzę, dopóki może. Wiąże ofiarę mocniej niż Jay, przymocowuje kostki do nadgarstków za plecami, tak aby ciało było wygięte w łuk, a przepona nie mogła pracować, kiedy jagnię próbuje oddychać.

– Coś ci powiem, kochanie – mówi Bev, nie przestając sterować. – Zaraz zakotwiczymy tam, pod tymi drzewami, a ja zamierzam cię wysmarować płynem na owady, całą, bo mój mężczyzna nie będzie cię chciał pogryzionej i spuchniętej.

Śmieje się, kiedy oczy kobiety rozszerzają się i łzy płyną spod jej zaczerwienionych powiek. Jagnię po raz pierwszy usłyszało o mężczyźnie.

– A teraz przestań się mazać, kochanie. Musisz wyglądać ładnie, a w tej chwili wyglądasz jak gówno.

Jagnię mruga oczami, knebel wydaje mlaskające dźwięki przy każdym raptownym, płytkim oddechu. Bev podpływa bliżej brzegu, wyłącza silnik i rzuca kotwicę. Bierze dubeltówkę i przygląda się drzewom, wypatrując węży. Upewniwszy się, że jedyną osobą, której coś grozi, jest jej ofiara, kładzie dubeltówkę na brezencie i umieszcza poduszkę kilkanaście centymetrów od swojej „małej zdobyczy”, jak wciąż ją nazywa. Sięga do plażowej torby i wyciąga plastikową butelkę płynu odstraszającego insekty.

– Teraz zamierzam wyjąć knebel i rozwiązać cię – mówi Bev. – Wiesz, dlaczego będę taka miła, kochanie? Ponieważ i tak nie masz dokąd uciec, chyba że za burtę, a jeśli pomyślisz, co jest w tych wodach, odejdzie ci ochota na pływanie. Chyba że wolisz skrzynię na ryby?

Bev otwiera wieko skrzyni na ryby. Skrzynia ma wymiary trumny i jest wypełniona lodem.

– Tam sobie poleżysz, jeśli postanowisz się awanturować. Ale nie zamierzasz tego robić, prawda?

Kobieta energicznie potrząsa głową i mówi ochryple: „nie”, kiedy Bev wyjmuje jej knebel.

– Dziękuję, dziękuję – mówi drżącym głosem, zwilżając wargi.

– Założę się, że stawy cię bolą jak diabli – mówi Bev, rozwiązując ją bez pośpiechu. – Mój mężczyzna Jay związał mnie tak raz, związał mi kostki i nadgarstki za plecami i byłam zwinięta w precel, jak ty. To go podnieca, wiesz. – Rzuca linę na brezent. – No cóż, wkrótce się przekonasz.

Kobieta masuje sobie otarte kostki i nadgarstki, próbując złapać oddech. Przypomina Bev cheerleaderkę, jedną z tych ładnych wysportowanych blondynek, takich jak w magazynie „Seventeen”. Nosi małe okulary w

rogowej oprawce i jest w odpowiednim wieku, trzydzieści kilka, może czterdzieści lat.

– Chodziłaś do college'u? – pyta ją Bev.

– Tak.

– Dobrze. To naprawdę dobrze. – Na chwilę zatapia się we własnych myślach, na jej pulchnej, zniszczonej twarzy pojawia się wyraz rozleniwienia.

– Proszę, odwieź mnie z powrotem. Mamy pieniądze. Zapłacimy wam, ile chcecie.

W oczach Bev znów zapalają się złe błyski. Jay jest inteligentny i ma pieniądze. Ta kobieta jest inteligentna i ma pieniądze. Bev nachyla się nad nią, pod drzewami brzęczą głośno komary. Niedaleko pluska ryba. Im wyżej podnosi się słońce, tym robi się goręcej, a hawajska koszula Bev jest wilgotna od potu.

– Tu nie chodzi o pieniądze – mówi, gdy kobieta patrzy na nią, a w jej jasnoblękitnych oczach gaśnie nadzieja. – Nie wiesz, o co chodzi?

– Nic ci nie zrobiłam. Proszę, pozwól mi wrócić do domu, a nikomu nie powiem. Nie narobię ci żadnych kłopotów. Zresztą jak bym mogła? Nie znam cię.

– No cóż, niebawem mnie poznasz, kochanie – zapewnia Bev, kładąc szorstką, suchą dłoń na szyi kobiety i głaszcząc ją kciukiem. – Poznamy się nawzajem naprawdę dobrze.

Kobieta mruga, zwilżając popękane wargi, kiedy ręka tamtej posuwa się w dół, dotykając zagłębienia szyi, a potem jeszcze niżej, wędrując wszędzie, gdzie jej się podoba. Ofiara siedzi sztywno i zamyka oczy. Wzdryga się, gdy Bev sięga pod jej bluzkę, rozpinając stanik na plecach. Bev zaczyna wyciskać płyn na insekty i wciera go w skórę jagnięcia, czując, jak ponętne, jędrne ciało drży jak galareta. Myśli o Jayu i o plamie

na podłodze pod łóżkiem i gwałtownie popycha kobietę, aż jej głowa uderza o silnik za burzą.

ROZDZIAŁ 55

Na rogu Osiemdziesiątej Trzeciej i Lexington ciężarówka dostawcza przejechała przechodnia – starszą kobietę.

Benton Wesley słyszy podniecone głosy w tłumie gapiów, błyskają światła karetek i radiowozów, ulica została odgradzona żółtą taśmą. Śmiertelny wypadek zdarzył się niecałą godzinę wcześniej, a on widział w życiu dosyć krwi, aby przyspieszyć kroku i z szacunkiem odwrócić oczy od ciała uwięzionego pod jednym z tylnych kół ciężarówki.

Wyłapuje słowa „mózg” i „odcięta głowa” i coś o sztucznej szczęce leżącej na jezdni. Gdyby tłum ustanawiał reguły, każde miejsce wypadku byłoby płatne: pięć dolarów za bilet i możesz gapić się do woli na krew i wnętrzności. Kiedy Benton zjawiał się na miejscu zbrodni, a wszyscy gliniarze usuwali mu się z drogi, by mógł wprawnym okiem zbadać każdy szczegół, miał prawo rozkazać nieupoważnionym osobom, żeby opuściły teren. Mógł dawać upust swojej odrazie, jak chciał – czasem spokojnie, czasem nie.

Obserwuje teraz otoczenie zza ciemnych okularów, idąc zatłoczonym chodnikiem. Przeciska się przez tłumy ze zręcznością rysia, czarna czapka baseballowa zakrywa jego ogoloną głowę. Podąża w kierunku biura Lucy, ale wysiadł z taksówki dziesięć przecznic na północ, a nie bezpośrednio przed budynkiem lub w jego pobliżu. Wesley prawdopodobnie mógłby przejść obok Lucy i powiedzieć „przepraszam”, a ona by go nie rozpoznała. Minęło sześć lat od czasu, kiedy ostatni raz się widzieli lub rozmawiali ze sobą, i bardzo chciałby wiedzieć, jak ona teraz wygląda, jak mówi, jak działa. Niepokój każe mu iść dalej zdecydowanym krokiem, dopóki Benton

nie dotrze do nowoczesnego budynku z polerowanego granitu przy Siedemdziesiątej Piątej. W drzwiach stoi portier, ręce trzyma za plecami. Jest mu gorąco w szarym uniformie i przerzuca ciężar ciała z nogi na nogę, co świadczy, że bolą go stopy.

– Szukam Ostatniego Posterunku – mówi Wesley.

– Czego? – Portier patrzy na niego jak na wariata.

Benton powtarza.

– Mówi pan o czymś w rodzaju posterunku policyjnego? – Portier przygląda mu się uważnie, na jego zmęczonej irlandzkiej twarzy wypisane są słowa „bezdomny” i „dziwak”. – Pewnie ma pan na myśli posterunek przy Sześćdziesiątej Dziewiątej.

– Dwudzieste pierwsze piętro, apartament dwa tysiące sto trzy – odpowiada Benton.

– Taak, teraz wiem, o czym pan mówi, ale to się nie nazywa Ostatni Posterunek. Dwa tysiące sto trzy to firma komputerowa – no wie pan, oprogramowanie, te rzeczy.

– Jest pan pewien?

– Do diabła, pracuję tutaj, no nie? – Portier robi się zniecierpliwiony i patrzy na kobietę, której pies obwąchuje klomb przed budynkiem. – Hej – mówi do niej. – Psy nie załatwiają się do kwiatków.

– Ona tylko wacha – odpowiada z oburzeniem kobieta i szarpie za smycz, ciągnąc nieszczęsnego pudła z powrotem na środek chodnika.

Postawiwszy na swoim, portier przestaje się interesować kobietą i jej psem. Benton grzebie w kieszeni wytartych dżinsów i wyciąga złożony kawałek papieru. Rozprostowuje go i spogląda na adres i numer telefonu, niewiążące się w żaden sposób z Lucy, z tym budynkiem ani firmą, która naprawdę nazywa się Ostatni Posterunek, wbrew temu, co myśli portier. Jeśli ten człowiek przypadkiem powiadomi Lucy, zapewne żartem, że jakiś

dziwak pytał o Ostatni Posterunek, będzie zaniepokojona, bardzo zaniepokojona. Marino uważa, że Jean-Baptiste zna firmę Lucy pod tą nazwą, a Benton chce, aby detektyw i Lucy byli zaniepokojeni i czujni.

– Tu jest napisane dwa tysiące sto trzy – mówi, wsuwając kartkę z powrotem do kieszeni. – Jak się nazywa ta firma? Może udzielono mi błędnych informacji.

Portier wchodzi do środka i podnosi listę na sztywnej podkładce. Przeciągając palcem w dół strony, odpowiada:

– Jest, dwa tysiące sto trzy. Tak jak powiedziałem, firma komputerowa. Rozwiązania Informacyjno-Poszukiwawcze. Jeśli chce pan wejść na górę, muszę do nich zadzwonić i zobaczyć jakiś dokument.

Dokument, owszem, ale telefon to przesada i Benton jest zdziwiony. Portier jest rozmyślnie grubiański, uprzedzony do stojącego przed nim niechlujnego przybysza. Nie pamięta już – podobnie jak wielu nowojorczyków – że w przeszłości to miasto przyjmowało z otwartymi ramionami niechlujnych przybyszów, zdesperowanych biednych imigrantów, którzy prawie nie mówili po angielsku. Benton mówi po angielsku doskonale, kiedy chce, i nie jest biedny, choć ma ograniczone fundusze.

Sięga do kieszeni po portfel i wyciąga prawo jazdy: Steven Leonard Glover, czterdzieści cztery lata, urodzony w Ithace w stanie Nowy Jork, już nie Tom Haviland, ponieważ Marino zna go pod tym nazwiskiem. Kiedy Benton musi zmienić tożsamość, a robi to, ilekroć zachodzi taka potrzeba, przeżywa okres depresji i przygnębienia, staje się bardziej zły niż to konieczne i jeszcze bardziej panuje nad sobą, żeby nie zapłonąć nienawiścią.

Nienawiść niszczy człowieka, który jej ulega. Nienawidzić to znaczy stracić jasność umysłu i trzeźwe spojrzenie na sytuację. Przez całe życie

opierał się nienawiści, choć aż nazbyt łatwo byłoby nienawidzić przepełnionych nienawiścią sadystycznych i bezlitosnych przestępców, których niezmordowanie tropił, kiedy pracował w FBI. Nie mógłby korzystać ze swoich zdolności, gdyby nienawidził lub poddawał się jakimś skrajnym emocjom.

Został kochankiem Kay Scarpetty, mimo że wciąż był żonaty, i jest to zapewne jedyny grzech, którego sobie nie wybaczy. Nie potrafi zmierzyć się z bólem, jaki przeżywały Connie i ich córki na wieść, że został zamordowany. Czasami myśli o swoim wygnaniu jako o karze za to, co zrobił rodzinie, ponieważ był słaby i poddał się skrajnej emocji. Nadal też ją odczuwa. Kay miała na niego ogromny wpływ i popełniłby ten sam grzech jeszcze raz – wie o tym – gdyby mógł się cofnąć do chwili, kiedy uświadomił sobie po raz pierwszy, co czują do siebie nawzajem. Jego jedynym usprawiedliwieniem – kiepskim, co też wie – jest to, że żadne z nich tego nie zaplanowało. To się stało. Po prostu się stało.

– Zadzwoń do nich i zapowiem pana – mówi portier, oddając fałszywe prawo jazdy Ben tonowi.

– Dziękuję... jak się pan nazywa?

– Jim.

– Dziękuję, Jim, ale to nie będzie konieczne.

Benton oddała się, ignorując czerwone światło, przechodzi przez ulicę i staje się częścią anonimowego strumienia przechodniów na Lexington Avenue. Omijając rusztowanie, naciąga czapkę jeszcze niżej na czoło, lecz jego oczy za ciemnymi okularami rejestrują wszystko. Gdyby któryś z tych jednakowych ludzi minął go ponownie na innym skrzyżowaniu, Benton rozpoznałby jego twarz, zawsze czujny i wyczulony. Za trzecim razem poszedłby za taką osobą i nagrał ją kieszonkową kamerą wideo. W ciągu ostatnich sześciu lat zgromadził setki takich taśm, ale na razie nie świadczą

o niczym, poza tym, że żyje w małym świecie, bez względu na to, jak ogromne jest miasto.

Gliniarze są stale obecni w Nowym Jorku, siedzą w radiowozach lub rozmawiają ze sobą na chodnikach i skrzyżowaniach ulic. Benton mija ich, spokojnie patrząc prosto przed siebie, z pistoletem ukrytym w kaburze nad kostką, co jest tak poważnym wykroczeniem, że z pewnością zostałyby zatrzymany i postawiony twarzą do ściany, gdyby jakiś gliniarz zauważył broń. Skuliby go, wrzucili do radiowozu, przesłuchali, sprawdzili w systemie komputerowym FBI, zdjęli mu odciski palców i postawili go przed sądem, a wszystko to nie na niby, tylko naprawdę. Kiedy badał miejsca zbrodni, jego odciski znajdowały się w ASID, Automatycznym Systemie Identyfikacji Daktyloskopijnej. Po jego rzekomej śmierci odciski – w tym karta przechowywana w bazie – zostały zmienione, zastąpione odciskami człowieka, który umarł z przyczyn naturalnych i któremu zdjęto potajemnie odciski w domu pogrzebowym w Filadelfii. Profilu DNA Bentona nie ma w żadnym systemie komputerowym nigdzie na świecie.

Wchodzi do bramy i wybiera numer zastępcy dyrektora na telefonie komórkowym, który jest podłączony do billingu telefonów Teksaskiego Departamentu Sprawiedliwości. Zaprogramowanie billingu wcale nie było trudne. Benton miał kilka lat, żeby nauczyć się posługiwać biegle komputerem, a także wykorzystywać i naruszać cyberprzestrzeń do swoich celów. Przypadkowe połączenie dodane do rozmów Teksaskiego Zakładu Karnego prawdopodobnie nie zostanie zauważone i nie może doprowadzić do nikogo, a z pewnością nie do niego.

Benton wie, że kiedy zadzwoni do biura Lucy, stosowany przez nią system zabezpieczeń, niezależnie od tego, jak wyrafinowany, pokaże nazwę i numer teksaskiego więzienia. Oczywiście wszystkie rozmowy są nagrywane. Oczywiście Lucy ma własny system komputerowej analizy

głosu. Oczywiście Benton ma na taśmie głos Jean-Baptiste'a i miał go od lat, od czasów bardzo niebezpiecznej tajnej operacji, która nie doprowadziła do zniszczenia kartelu Chandonne'ów, za to zniszczyła tożsamość i życie agenta Wesleya. Tego Benton jeszcze sobie nie wybaczył. Nie wierzy, by kiedykolwiek zdołał uwolnić się od poczucia winy i upokorzenia. Nie docenił tych, których zaufanie było nierozzerwalnie związane z jego życiem.

Jako dziecko Benton i jego magiczny pierścień popełniali błędy w wyimaginowanych dochodzeniach. Jako dorosły Benton i jego złoty sygnet FBI również popełniali błędy w ocenie i portretach psychologicznych morderców. I ten jeden raz w swojej karierze, kiedy potrzebował całej swojej przenikliwości i sprytu, pokpił sprawę, a myśl o tym wciąż go irytuje, przyprawia o mdłości, napełnia poczuciem winy.

Mówi sobie w chwilach największego zniechęcenia: „Nikt inny nie jest winien. Nawet Chandonne'owie i ich śludzy nie ponoszą winy. Wykopałeś sobie dół, a teraz musisz się z niego wydostać”.

ROZDZIAŁ 56

– Po prostu zwykły papier biurowy – wyjaśnia doktor Scarpetcie przez telefon Wayne Reeve, urzędnik informacyjny na Oddziale Polunsky’ego. – Kupujemy go w ryzach i sprzedajemy więźniom po cencie za arkusz. Koperty są tanie, trzy za ćwierć dolara – dodaje. – Jeśli wolno spytać, czemu to panią interesuje?

– Badania.

– Och. – Urzędnik wciąż jest zaciekawiony.

– Analiza dla czasopisma prawniczego. Jestem naukowcem. A jeśli więzień nie może korzystać z kantyny? – dopytuje się ze swojego gabinetu w Delray Beach.

Wychodziła z domu z walizką, kiedy zadzwonił telefon. Odebrała Rosę. Doktor Scarpetta chętnie wzięła słuchawkę. Spóźni się na samolot do Nowego Jorku.

– Każdy może dostać papier, koperty, znaczki i tak dalej. Nikomu nie odmawia się tego przywileju. Trzeba to zrozumieć – prawnicy – tłumaczy Reeve.

Kay Scarpetta nie pyta go, czy Jean-Baptiste Chandonne nadal przebywa w celi śmierci. Nie mówi, że dostała od niego list i nie ma pewności, czy Chandonne jest naprawdę dobrze zamknięty i strzeżony.

Dosyć, ty sukinsynu.

Mam dosyć, ty sukinsynu.

Chcesz mnie zobaczyć, więc mnie zobaczysz, ty sukinsynu.

Chcesz porozmawiać, więc porozmawiamy, ty sukinsynu.

Jeśli uciekłeś, dowiem się o tym, ty sukinsynu.

Dowiem się, czy napisałeś ten list, czy nie, ty sukinsynu.

Nie skrzywdzisz już nikogo, ty sukinsynu.

Chcę twojej śmierci, ty sukinsynu.

– Czy możecie przysłać mi próbki papieru z kantyny? – pyta Reeve’a.

– Dostanie je pani jutro – obiecuje urzędnik.

ROZDZIAŁ 57

Sępy krążą nisko na błękitnym niebie, zapach śmierci i rozkładu ciągnie je na bagna za szarym, zniszczonym pomostem.

– Co zrobiłeś, wyrzuciłeś mięso w trawę? – pyta Bev, zawiązując linę na pachołku. – Wiesz, że nienawidzę tych cholernych ścierwojadów.

Jay uśmiecha się, skupiając uwagę na jagniątku skulonym na rufie łodzi. Kobieta rozciera sobie nadgarstki i kostki, ubranie ma częściowo porozpinane i rozchełstane. Przez chwilę w jej przerażonych oczach maluje się ulga, jakby przystojny blondyn na przystani nie mógł być naprawdę zły. Jay ma na sobie tylko obcięte džinsy, mięśnie jego rzeźbionego, opalonego ciała napinają się przy każdym ruchu. Zeskakuje lekko do łodzi.

– Idź do środka – rozkazuje Bev. – Cześć – mówi do kobiety. – Jestem Jay. Możesz się już odprężyć.

Blondynka wpatruje się w niego szeroko otwartymi, szklistymi oczami. Nadal rozciera sobie nadgarstki i zwilża wargi.

– Gdzie ja jestem? – pyta. – Nie rozumiem...

Jay wyciąga ręce, żeby jej pomóc wstać, lecz nogi odmawiają jej posłuszeństwa, więc chwyta ją w talii.

– Chodźmy. Trochę zesztynieliśmy, prawda? – Dotyka zlepionych zakrzepłą krwią włosów z tyłu jej głowy i oczy mu błyszczą. – Ona nie powinna tak cię potraktować. Jesteś ranna, prawda? Dobrze. Poczekaj. Podniosę cię, właśnie tak. – Unosi kobietę, jakby nic nie ważyła. – Obejmij mnie za szyję. Dobrze. – Sadza ją na pomoście i wspina się za nią. Znowu pomaga jej wstać, podnosi ją i niesie do chaty.

Bev siedzi na wąskim, przesyconym kwaśnym zapachem łóżku. Nie ma na nim pościeli, tylko brudne, zmięte białe prześcieradło i poplamiona poduszka, która straciła kształt i jest prawie płaska. Bev wodzi wzrokiem za Jayem, który stawia blondynkę na podłodze, trzymając ją w talii, podczas gdy kobieta stara się utrzymać równowagę.

– Nie mogę stać – mówi jagnię, unikając Bev i udając, że jej tam nie ma.
– Zdrętwiały mi stopy.

– Za mocno cię związała, prawda? – mówi Jay, a jego oczy płoną jeszcze jaśniej. – Co jej zrobiłaś? – zwraca się do Bev.

Ta patrzy na niego bez słowa.

– Wstań – rozkazuje jej Jay. – Musimy ją położyć. Jest ranna. Przynieś mokry ręcznik. – Kładzie jagniątko na łóżku i mówi: – Nie mam lodu. Przykro mi. Lód byłby dobry na twoją głowę.

– W skrzyni na ryby jest lód. I jedzenie – oświadcza Bev obojętnym tonem.

– Nie przywiozłaś szczeniaków – mówi Jay.

– Byłam zajęta i wszystko już pozamykali.

– Kręci się tu mnóstwo bezpańskich psów, tylko jesteś za leniwa, żeby ich poszukać.

Bev otwiera lodówkę i leje zimną wodę na ścierkę do naczyń.

– Wszystko w porządku – odpowiada słabo jagniątko, rozluźniając się trochę.

Jay jest przystojny i miły. Zachowuje się jak przyjaciel. Nie jest przerażający, jak ta brzydka okropna kobieta.

– Nic mi nie będzie. Nie potrzebuję lodu.

– Nie jest w porządku. – Jay delikatnie układa jej poduszkę pod głowę, a jagnię krzyczy z bólu. – Nie, wcale nie jest w porządku.

Wsuwa rękę pod jej kark, przesuając głowę tak, żeby namacać jej tył. Nacisk jego palców jest zbyt silny i kobieta znowu krzyczy.

– Co jej zrobiłaś? – zwraca się do Bev.

– Upadła na łodzi.

Kobieta nic nie mówi i nie patrzy na Bev.

– Pewnie upadła z niewielką pomocą? – pyta Jay idealnie opanowanym tonem.

Okrywa jagniątko bluzką i zapina guziki, nie dotykając ciała kobiety.

ROZDZIAŁ 58

Benton zdejmuje kurtkę i wrzuca ją do pojemnika na śmieci.

Przecznicę dalej na południe wrzuca do innego pojemnika na śmieci czapkę baseballową i kuca w cieniu rusztowania, żeby rozsznurować płócienny plecak. Wewnątrz jest czarna bandana i Benton zawiązuje ją sobie na głowie. Wkłada drelichową kamizelkę z wyhaftowaną na plecach amerykańską flagą. Podczas krótkiej przerwy w ruchu pieszym zamienia ciemne okulary przeciwsłoneczne na bursztynowe w innej oprawce. Zwija plecak, wsuwa go pod pachę i skręca w lewo, w Siedemdziesiątą Trzecią, później znowu w lewo, w Trzecią, a wreszcie wraca na Siedemdziesiątą Piątą i staje na rogu budynku, w którym mieści się agencja Lucy. Portier Jim ignoruje go i wchodzi do holu, gdzie działa klimatyzator.

Nowa technologia jest sprzymierzeńcem i wrogiem Bentona. Telefony komórkowe mogą zostać wysłedzone nie tylko za pomocą identyfikatora rozmówcy. Sygnał odbija się od satelity i wraca jak bumerang do miejsca, w którym znajduje się rozmówca w momencie, gdy toczy się rozmowa, i nie da się oszukać tej technologii. Benton musi ją jakoś ominąć. Wprawdzie identyfikator ujawni błędnie, że rozmowa jest prowadzona z więzienia w Teksasie, ale transmisja satelitarna ujawni, że rozmowa została przeprowadzona z Manhattanu, i wskaże obszar mniejszy niż miejski kwartał.

Benton wyzyskuje to jednak na swoją korzyść. Wszystkie przeszkody mogą stać się stopniami na drodze do wyższego celu.

Dzwoni spod biura Lucy przy Lexington i Siedemdziesiątej Piątej. Jean-Baptiste przebywa teraz w celi śmierci i łatwo to sprawdzić. Logika powie,

że Chandonne nie mógł dzwonić z Manhattanu. A zatem kto? Lucy będzie zaskoczona, że rozmowę przeprowadzono z miejsca w bezpośredniej bliskości jej agencji, a ponieważ Benton doskonale ją zna, jest pewien, że siostrzenica Kay sprawdzi połączenie z własnego biura, żeby się przekonać, czy satelita wskaże te same koordynaty.

To doprowadzi ją do wniosku, że musiało dojść do jakiejś usterki technicznej, że z niezrozumiałych przyczyn transmisja satelitarna zlokalizowała miejsce, gdzie odebrano telefon, a nie miejsce, skąd dzwonił. Nie będzie umiała wyjaśnić, jak to się mogło stać, skoro nigdy wcześniej się nie zdarzyło. Wpadnie w złość. Niewątpliwie będzie wściekła, ponieważ nie toleruje niedbalstwa ani błędów technicznych. Zwali winę na bałagan w spółce telefonicznej albo we własnej firmie. Prawdopodobnie to drugie.

A co się tyczy portiera Jima, powie, że w chwili gdy prowadzona była rozmowa, nie widział nikogo z telefonem komórkowym przed budynkiem lub w jego pobliżu. To będzie kłamstwo. Prawie każdy w Nowym Jorku spaceruje z telefonem komórkowym przy uchu. Ale nawet jeśli Jim zapamiętał moment, kiedy opuścił swój posterunek, żeby wejść do klimatyzowanego holu, nie będzie chciał się do tego przyznać.

Ostatnią przeszkodą jest analiza głosu, którą Lucy natychmiast przeprowadzi, żeby sprawdzić, czy rozmówcą był Jean-Baptiste Chandonne. To żaden problem. Benton przez kilka lat pracowicie studiował, zapisywał i preparował nagrania głosu Wilkołaka, a następnie przekształcał je w pliki cyfrowe za pomocą pojedynczego mikrofonu kierunkowego, który, używany w trybie wysokiej czułości, wychwytuje wielokierunkowe źródło, czyli dźwięki tła – w tym przypadku wewnątrz więzienia. Benton przetworzył je na komputerze, a rezultaty są bezbłędne, każdy plik jest zlepkiem dźwiękowych bitów przeznaczonych dla poczty

głosowej lub żywego odbiorcy, który nie ma szans na reakcję wymagającą zaangażowania umysłowego. Przełączając się z menu na folder, który nazwał „Czerwona Laska” – od „Baton Rouge”, sprawdza czas na ciekłokrystalicznym wyświetlaczu i upewnia się, czy wszystkie elementy zestawu działają jak należy.

Wtyka mikrofon do gniazdka głośnika i podłącza słuchawkę.

W firmie Rozwiązania Informacyjno-Poszukiwawcze Ostatni Posterunek ktoś odbiera telefon.

– Manhattan. Zamawiam rozmowę z Rozwiązaniami Informacyjno-Poszukiwawczymi na Siedemdziesiątej Piątej – mówi do mikrofonu.

– Pańskie nazwisko?

– Oddział Polunsky’ego.

– Proszę poczekać.

Operator łączy rozmowę.

– Zamówiona rozmowa z Oddziałem Polunsky’ego. Płaci pan za połączenie?

– Tak – oświadcza bez wahania i nie zmienia intonacji.

– Dobry wieczór. Mogę zapytać, kto mówi? – odzywa się męski głos. Identyfikator rozmówcy wskazuje Teksaski Zakład Karny.

Benton włącza kasowanie tła, żeby wyeliminować odgłosy nowojorskiego ruchu ulicznego i inne dźwięki, które nie pasują do rozmowy prowadzonej rzekomo z zakładu karnego. Wciska „play”. Zapala się zielona lampka, włączając „plik jeden”.

– „Kiedy mademoiselle Farinelli wróci, proszę jej powiedzieć: Baton Rouge”. – Nagrany głos Jean-Baptiste’a jest tak naturalny, jakby to on sam mówił w tej chwili.

– Nie ma jej w biurze. Kto mówi? – Mężczyzna w biurze Lucy próbuje rozmawiać z mikroprocesorem. – Czy mam jej przekazać wiadomość?

Połączenie zostało przerwane kilka sekund temu. Benton kasuje „plik jeden” z foldera „Czerwona Laska”, aby mieć pewność, iż rzekoma wiadomość od Jean-Baptiste’a nie zostanie powtórnie odtworzona, nigdy i przez nikogo.

Znowu idzie szybko zatłoczonym chodnikiem, z pochyloną głową, nie przegapiając niczego.

ROZDZIAŁ 59

– Proszę, nie róbcie mi krzywdy – mówi jagniątko.

Jay pomaga jej usiąść. Kobieta krzyczy i jęczy, kiedy on delikatnie czyści jej zakrwawione włosy, zaniepokojona raną odniesioną przy uderzeniu głową o silnik łodzi. Jay zapewnia, że to nic poważnego i że nie doznała pęknięcia czaszki. Nie widzi podwójnie, prawda?

– Nie – odpowiada kobieta, wstrzymując oddech, gdy Jay znowu dotyka jej włosów mokrym zakrwawionym ręcznikiem. – Widzę dobrze.

Uprzejmość i opiekuńczość mężczyzny wywiera zamierzony efekt i uwaga ofiary skupia się na nim. Jagnię ufa mu do tego stopnia, że czuje, iż może powiedzieć, że to Bev – której imienia nie zna – popchnęła ją na silnik łodzi.

– Wtedy właśnie uderzyłam się w głowę – wyznaje Jayowi.

Jay rzuca Bev mokry ręcznik. Ta nie porusza się jednak, po prostu stoi pośrodku małego pomieszczenia, wpatrując się w niego jak mokasyn zwinięty do ataku. Ręcznik ląduje u jej stóp, ale Bev go nie podnosi.

Jay każe jej to zrobić.

Jego współniczka się nie porusza.

– Podnieś go i wypierz w zlewie – mówi Jay. – Nie chcę, żeby leżał na podłodze. Nie powinnaś była robić jej krzywdy. Wypłucz ręcznik i zmyj z niej ten środek na insekty.

– Nie musi go zmywać – błaga kobieta. – Lepiej go zostawić, tyle tu robactwa.

– Nie. Trzeba to zmyć – mówi Jay, nachylając się i wachając jej szyję. – Masz na sobie za dużo. Jest toksyczny. Musiała wylać na ciebie całą

butelkę. To niedobrze.

– Nie chcę, żeby znowu mnie dotykała!

– Zraniła cię?

Jagniątko nie odpowiada.

– Jestem tu. Nic ci nie robi.

Jay wstaje z łóżka, a Bev podnosi mokry, zakrwawiony ręcznik.

– Nie powinniśmy marnować wody – mówi. – W zbiorniku jest mało.

– Zanoszę się na deszcz – odpowiada Jay, przyglądając się kobiecie, jakby była samochodem, który mógłby kupić. – A w zbiorniku mamy jeszcze dosyć. Wypłucz ręcznik i przynieś go tutaj.

– Proszę, nie róbcie mi krzywdy.

Kobieta podnosi głowę z poduszki. Poduszka jest różowawa i mokra, a jasnoczerwona plama świadczy, że rana znowu zaczęła krwawić.

– Po prostu odwieźcie mnie do domu, a nikomu nie powiem. Nikomu, przysięgam na Boga.

Patrzy błagalnie na Jaya, który jest jej jedyną nadzieją, ponieważ wygląda wspaniale i dotąd był dla niej miły.

– Nie powiesz nikomu czego? – pyta Jay, przysuwając się bliżej. Siada na żelaznej ramie łóżka przykrytej wstrętnym, oklapniętym materacem. – A co tu jest do powiedzenia? Zraniłaś się, nieprawdaż, a my jesteśmy dobrymi samarytanami, którzy się tobą zajęli.

Kobieta kiwa głową niepewnie, a potem strach wykrzywia jej rysy.

– Zróbcie to szybko, proszę – szepcze. Jej ciałem wstrząsają dreszcze i łkania. – Nie wypuścicie mnie. Zróbcie to szybko.

Bev wraca z ręcznikiem i podaje go Jayowi. Woda kapie na łóżko i spływa po nagim, muskularnym ramieniu mężczyzny. Bev przeciąga palcami po jego włosach i całuje go w kark, a potem przywiera do niego, kiedy Jay rozpina kobiecie bluzkę.

– Ach. Nie ma stanika – mówi. – Nie miała go? – Obraca głowę, domagając się odpowiedzi cichym głosem, który teraz staje się straszny.

Bev przesuwa dłońmi po spoconym torsie kochanka.

W szeroko otwartych oczach kobiety maluje się to samo szkliste przerażenie, które Bev widziała na łodzi. Trzęsie się gwałtownie, jej nagie piersi drżą. Kropelka śliny spływa z kącika jej ust, a Jay wstaje, zniesmaczony.

– Zdejmij z niej resztę rzeczy i umyj ją – rozkazuje Bev. – Dotknij jej jeszcze raz, a wiesz, co z tobą zrobię.

Bev uśmiecha się. To ich dobrze przećwiczone, wielokrotnie powtarzane przedstawienie.

ROZDZIAŁ 60

Następnego ranka Kay Scarpetta wciąż jest na Florydzie.

Znowu szykowała się do wyjazdu i musiała zostać, tym razem z powodu dwóch przesyłek, które dostarczono pocztą, jednej z biura informacyjnego Więzienia Polunsky'ego i drugiej, grubej, zawierającej materiały w sprawie Charlotte Dard, głównie kopie raportów z sekcji zwłok i analiz laboratoryjnych oraz preparaty histologiczne.

Umieszcza wycinek lewej komory serca pod mikroskopem. Gdyby mogła policzyć godziny, które spędziła na oglądaniu preparatów, wynik sięgałby dziesiątków tysięcy. Chociaż szanuje histologów, którzy zajmują się drobnymi wycinkami tkanek i opowiadanymi przez nie historiami, nigdy nie potrafiła zrozumieć, jak można przesiadywać całymi dniami w małym laboratorium, w otoczeniu kawałków serca, płuc, wątroby, mózgu i innych organów, ujawniających obrażenia i symptomy różnych chorób, a następnie dzielić je na części i umieszczać w słojach wypełnionych utrwalaczami takimi jak formalina. Każdy wycinek tkanki, skrojony na płátky tak cienkie, że przepuszczają światło, jest zalewany parafiną lub żywicą. Kiedy znajdują się na szkiełkach, są poddawane działaniu różnych barwników wynalezionych przez dziewiętnastowieczny przemysł tekstylny.

Zazwyczaj Kay widzi mnóstwo różów i błękitów, stosuje się jednak wiele nakładających się na siebie kolorów, w zależności od tkanki i struktury komórkowej oraz prawdopodobnych uszkodzeń, które muszą zdradzić swoje sekrety osobie obserwującej preparat z drugiego końca obiektywu. Barwniki, podobnie jak kolory, są często nazywane na cześć swoich odkrywców, i dlatego właśnie histologia stała się niepotrzebnie

skomplikowana, jeśli nie irytująca. Nie wystarczy nazwać barwnik błękitem lub fioletem; musi to być błękit Cresyla, fiolet Cresyla, pruski błękit Perłą, hematoksylin Heidenheina (purpurowy czerwony), trójbarwnik Massona (niebieski i zielony) lub Bielschowsky'ego (neutralny czerwony) lub jej ulubiona kombinacja: srebrna heksametylenotetramina Jonesa. Typowym egocentrycznym dziedzictwem jest barwnik van Giesona dla jądra komórkowego nerwiaka Schwanna, a doktor Scarpetta nie może zrozumieć, dlaczego niemiecki fizjolog Theodor Schwann życzył sobie, aby na jego cześć nazwano guz.

Patrzy przez obiektyw na zabarwiony na różowo płatek skrojony z wycinka serca Charlotte Dard podczas sekcji. Niektóre włókna są pozbawione jąder, co wskazuje na nekrozę, czyli obumarcie tkanki, a inne preparaty ujawniają zabarwione na różowo i niebiesko ogniska zapalne, stare zbliznowacenia i zwężone naczynia wieńcowe. Kobieta z Luizjany miała zaledwie trzydzieści dwa lata, kiedy padła martwa w drzwiach motelu w Baton Rouge, ubrana do wyjścia, z kluczykami samochodowymi w ręku.

Osiem lat temu, gdy zmarła, podejrzewano, że znajomy aptekarz sprzedał jej po cichu silny środek przeciwbólowy, oxycontin, znaleziony w torebce Charlotte. Nie miała recepty na ten lek. W liście do Kay doktor Lanier zasugerował, że ów aptekarz mógł uciec do Palm Desert w Kalifornii. Koroner nie wyjaśnił, na czym opiera swoje przypuszczenie, ani nie przedstawił powodów, dla których zdecydował się ponownie otworzyć sprawę Charlotte Dard.

Stanowi to problem z wielu względów: sprawa jest stara; nie ma żadnych dowodów na to, że lek pochodził od aptekarza, a nawet jeśli tak, to człowiek ten nie może być uznany winnym morderstwa pierwszego stopnia, chyba że z premedytacją zabił ją oxycontinem; kiedy zmarła Charlotte Dard, nie rozmawiał z policją, tylko za pośrednictwem swojego adwokata

złożył oświadczenie, że ktoś z wypadającym dyskiem musiał dać Charlotte Dard oxycontin, a ona nieumyślnie przedawkowała lek.

Kilka listów wysłanych osiem lat temu do doktora Laniera pochodzi od adwokata aptekarza, Rocca Caggiano.

ROZDZIAŁ 61

Za oknem naprzeciwko biurka doktor Scarpetty cienie pełzną przez piaszczyste wydmy, a słońce opuszcza się coraz niżej.

Liście palm szeleszczą lekko, a mężczyzna spacerujący po plaży z żółtym labradorem kuli się na wietrze. Daleko na zamglonym błękitnym horyzoncie jakiś kontenerowiec płynie na południe, zapewne do Miami. Kay jest pochłonięta pracą, a wtedy czas przestaje dla niej istnieć i niebawem spóźni się na kolejny samolot do Nowego Jorku.

Doktor Lanier odbiera telefon:

– Halo – chrypi w słuchawkę.
– Ma pan straszny głos – zauważa doktor Scarpetta ze współczuciem.
– Nie wiem, co złapałem, ale czuję się okropnie. Dzięki, że pani oddzwoniła.

– Jakie leki pan bierze? Mam nadzieję, że rozkurczające i wykrztuśne i że trzyma się pan z daleka od przeciwhistaminowych. Proszę nie stosować przeciwhistaminowych, chyba że chce się pan wysuszyć i dostać infekcji bakteryjnej. I proszę unikać alkoholu. Obniża odporność.

Lanier wyciera nos.

– Jestem doktorem medycyny, jak pani zapewne wie. I specjalistą od uzależnień, co oznacza, że wiem co nieco o lekach. – Mówi to bez cienia urazy. – Pomyślałem, że poczuje pani ulgę, słysząc to.

Kay czuje się zakłopotana. Koronerzy to urzędnicy wybierani i, niestety, wielu z nich nie jest lekarzami.

– Nie chciałam pana urazić, doktorze Lanier.

– Nie uraziła pani. Nawiasem mówiąc, pani przyjaciel Pete Marino uważa, że chodzi pani po wodzie.

– Sprawdzał mnie pan. – Jest zmieszana. – To dobrze. Teraz, mam nadzieję, możemy przystąpić do rzeczy. Przejrzałam akta sprawy Charlotte Dard.

– Stara, ale jara, i nie mówię tego dosłownie. Nie ma w niej nic dobrego. Proszę poczekać, wezmę coś do pisania. Niewątpliwie istnieje Trójkąt Bermudzki dla długopisów, a u mnie w domu jest nim moja ukochana żona. Już.

– Sprawa pani Dard wydaje się zastanawiająca – zaczyna doktor Scarpetta. – Jak pan wie z analiz toksykologicznych, stężenie oksymorfonu – metabolitu oxycontinu – wynosi zaledwie cztery miligramy na litr krwi, co stanowi dolną granicę dawki śmiertelnej. W żołądku wynik negatywny, a poziom w wątrobie nie wyższy niż we krwi. Innymi słowy, śmierć na skutek przedawkowania oxycontinu wydaje mi się problematyczna. Najwyraźniej poziom leku nie jest tak krytyczny jak zmiany kliniczne.

– Zgadzam się. Od początku tak uważałem. Jeśli zinterpretuje się analizę toksykologiczną w świetle badań histologicznych, jest możliwe, że nie musiała zażyć dużo, żeby przypadkowo przedawkować. Chociaż oględziny nie wykazują żadnych powierzchniowych śladów dożylnego stosowania narkotyków – dodaje koroner. – Przypuszczam więc, że łykała pigułki, ale niczym się nie szprycowała.

– Z pewnością nie używała regularnie narkotyków – potwierdza Kay. – Mówi o tym jej serce. Śladowa nekroza i zwłóknienie, a także przewlekłe niedokrwienie, ale brak objawów choroby naczyń wieńcowych czy kardiomegalii. Krótko mówiąc, serce kokainisty.

To obiegowy zwrot, który niekoniecznie oznacza, że dana osoba była uzależniona od kokainy. Leki takie jak środki przeciwbólowe i nasenne,

oxycontin, hydrokodon, percocet, percodan i co tam jeszcze wpadnie komuś w ręce, mogą zniszczyć serce tak samo jak kokaina. Elvis Presley jest tego smutnym przykładem.

– Chciałbym panią zapytać o zaniki świadomości – odzywa się Lanier po chwili milczenia.

– Co w związku z nimi? – To musi być tamto coś, o czym tak pilnie chciał z nią porozmawiać. – W teczce, którą mi pan przysłał, nie znalazłam żadnej wzmianki o zanikach świadomości.

Tłumi irytację. Jako prywatny konsultant jest ograniczona medycznoprawnymi informacjami, które otrzymuje, a brak istotnych wiadomości – lub dostarczanie niedokładnych danych – jest nie do zniesienia. Dopóki prowadziła własne sprawy lub nadzorowała sprawy prowadzone przez innych patologów sądowych, nie musiała polegać na kompetencji czy prawdomówności obcych ludzi.

– Charlotte Dard cierpiała na chwilowe zaniki świadomości – wyjaśnia Lanier. – A przynajmniej tak mi wówczas powiedziano.

– Kto to panu powiedział?

– Jej siostra. Wygląda na to – ciągnie koroner – a właściwie powinienem powiedzieć: rzekomo cierpiała na amnezję wsteczną...

– Rodzina z pewnością by o tym wiedziała, chyba że nikogo nie było w domu.

– Problem w tym, że jej mąż, Jason Dard, to dosyć tajemnicza postać. Tu w okolicy niewiele o nim wiadomo, właściwie to nawet nic, poza tym, że jest bogaty i mieszka na starej plantacji. Nie nazwałbym pani Guidon wiarygodnym świadkiem. Chociaż z pewnością mogła mówić prawdę o stanie zdrowia swojej siostry przed jej śmiercią.

– Czytałam protokół policyjny, ale jest krótki. Proszę mi powiedzieć, co pan wie – mówi doktor Scarpetta.

Po ataku kaszlu doktor Lanier odpowiada:

– Hotel, gdzie zmarła, znajduje się w niezbyt przyjemnej części miasta, w mojej jurysdykcji. Ciało znalazł właściciel.

– Co z badaniem krwi? W papierach, które mi pan przesłał, mam tylko wyniki pośmiertne. Dlatego nie wiem, czy mogła mieć podwyższone GGTP albo CDT na skutek nadużywania alkoholu.

– Po tym jak pierwszy raz do pani zadzwoniłem, udało mi się znaleźć wcześniejsze wyniki badań krwi, ponieważ mniej więcej dwa tygodnie przed śmiercią Charlotte Dard była w szpitalu. Zostały wciągnięte błędnie do rejestru, przykro mi to powiedzieć. Mam pewną pracownicę, której z przyjemnością bym się pozbył. Ale czasem potrafi zdobyć to i owo. Odpowiedź na pani pytanie brzmi nie – ofiara nie miała podwyższonego GGTP ani CDT.

– Była w szpitalu z jakiego powodu?

– Badania po ostatnim zaniku świadomości. Najwyraźniej miała jeden z tych ataków w dwa tygodnie przed śmiercią. Znow powiem: rzekomo.

– No cóż, jeśli nie miała podwyższonego GGTP ani CDT, wydaje mi się, że możemy wykluczyć alkohol jako przyczynę zaników świadomości – stwierdza Kay. – Niestety, doktorze Lanier, nie mogę panu przedłożyć drugiej opinii, jeśli nie będę dysponowała wszystkimi informacjami.

– Byłoby miło, gdybym ja dysponował wszystkimi informacjami. Niech mi pani nie każe wyklócać się z tutejszą policją.

– Jak zachowywała się pani Dard podczas tych zaników świadomości?

– Podobno agresywnie, rzucała przedmiotami, demolowała dom czy miejsce, gdzie się akurat znajdowała. Przy jednej okazji zniszczyła swoje maserati, wałać w szyby, drzwi i maskę młotkiem. Wylała rozpuszczalnik na skórzaną tapicerkę.

– Jest w warsztacie jakiś zapis na temat tego incydentu?

– To się stało w maju 1995 roku, a naprawa uszkodzeń zajęła dwa miesiące. Potem mąż sprzedał samochód i kupił jej nowy.

– Ale to nie był jej ostatni zanik świadomości. – Doktor Scarpetta przewraca kartkę w notesie, pisząc szybko i nieczytelnie.

– Nie, ostatni – dwa tygodnie przed śmiercią – zdarzył się jesienią. Pierwszego września tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego piątego roku. Wtedy złapała brzytwę czy coś w tym rodzaju, żeby pociąć obrazy warte ponad milion dolarów. Podobno.

– To było w jej domu?

– W salonie, o ile dobrze zrozumiałem.

– Świadców?

– Dopiero po fakcie, z tego, co mi powiedziano. I znowu, tak wówczas twierdzili jej siostra i mąż.

– Z pewnością zaniki świadomości mogły być efektem nadużywania leków. Kolejna możliwość to padaczka skroniowa. Stwierdzono u denatki jakieś obrażenia głowy?

– Nie wiem o żadnych, prześwietlenie i badanie ogólne nie wykazały starych pęknięć ani blizn. Z karty szpitalnej wynika, że po drugim zaniku świadomości, który, jak powiedziałem, nastąpił pierwszego września dziewięćdziesiątego piątego roku, przeszła cały zestaw badań: rezonans magnetyczny, tomografię i tak dalej. Nic. Oczywiście padaczka skroniowa nie zawsze się ujawnia, a może ofiara odniosła jakieś obrażenia głowy, ale my po prostu o tym nie wiemy. Trudno zgadywać. Jestem skłonny sądzić, że przyczyną było nadużywanie leków.

– Bazując na informacjach, które uzyskałam, zgadzam się. Wyniki badań wskazują na chroniczne nadużywanie, a nie jednorazowe przedawkowanie oxycontin. Wygląda na to, że jedynym sposobem ustalenia przyczyny śmierci byłoby dochodzenie.

– Jezu Chryste, tu się zaczyna problem. Gliniarze, który pracowali nad tą sprawą, nic nie działali i jestem pewien, że teraz też nic nie zrobią. Do diabła, tutaj ze wszystkim jest problem. Z wyjątkiem jedzenia.

– Charlotte Dard prawdopodobnie umarła na serce, a czynnikiem dodatkowym było przewlekłe nadużywanie leków – oświadcza Kay. – To wszystko, co mogę panu powiedzieć.

– Na domiar złego nasz prokurator federalny, Weldon Winn, jest idiotą – nie przestaje się skarżyć doktor Lanier. – Od czasu kiedy zaczął grasować ten cholerny seryjny morderca, mnóstwo ludzi wtyka nosy we wszystko. Polityka.

– Przypuszczam, że jest pan w zespole operacyjnym – przerywa mu Scarpetta.

– Nie. Powiedzieli, że mnie nie potrzebują, bo nie znaleziono ciała.

– A jeśli znajdą ciało, to czy nie powinien pan wiedzieć czegoś na temat śledztwa? Nawet jeśli uważa się, że każda z tych kobiet została zamordowana? To wszystko, co pan mówi, brzmi coraz gorzej.

– Ma pani absolutną rację. Nie poproszono mnie, żebym obejrzał miejsca porwań. Nie widziałem domów ani samochodów ofiar i ani jednego miejsca zbrodni.

– No cóż, powinien pan to zrobić – odpowiada doktor Scarpetta. – Kiedy ktoś zostaje porwany i podejrzewa się zabójstwo, policja powinna ściągnąć koronera, aby obejrzał wszystko i zbadał każdy szczegół. Powinien pan być w pełni poinformowany.

– Słowo „powinien” głównie tutaj znaczy.

– Ile porwanych kobiet pochodzi – lub pochodziło – z pańskiego okręgu?

– Jak dotąd siedem.

– I nie widział pan ani jednego miejsca przestępstwa? Przepraszam, że ciągle zadaję to samo pytanie. Ale to brzmi zupełnie niewiarygodnie. A teraz te miejsca już nie istnieją, mam rację?

– Sprawy są zimne jak lód – odpowiada koroner. – Przypuszczam, że samochody zostały skonfiskowane przez policję i przynajmniej to jest dobre. Ale nie można zabezpieczyć parkingu czy domu na zawsze, a ja nie mam pojęcia, co się stało z ich domami. – Urywa, żeby odkaszląć. – To znowu się zdarzy. Wkrótce. On nie przestanie.

ROZDZIAŁ 62

Niebo przybiera barwę brudnego, zamglonego błękitu, a wiatr się wzmaga.

Rozmawiając z Lanierem, doktor Scarpetta przerzuca papiery. Właśnie w tej chwili znajduje kopię świadectwa zgonu, złożoną w kopercie. Dokument nie jest poświadczony i nie powinien zostać wydany przez biuro koronera. Tylko główne archiwum byłoby upoważnione do wysłania jej – lub jakiegokolwiek innej zainteresowanej osobie kopii, ale poświadczonej. Kiedy Kay pracowała na stanowisku naczelnego lekarza sądowego Wirginii, byłoby nie do pomyślenia, żeby któryś z podwładnych popełnił taki kardynalny błąd.

Wspomina o problematycznej kopii aktu zgonu i dodaje:

– Nie próbuję się mieszać do tego, jak kieruje pan swoim biurem, ale pomyślałam, że powinien pan wiedzieć...

– Cholera! – krzyczy Lanier. – Założę się, że wiem, która to urzędniczka. I proszę nie zakładać, że to pomyłka. Niektórzy ludzie tutaj uwielbiają przysparzać mi poważnych kłopotów.

Nazwisko panięńskie na akcie zgonu brzmi De Nardi, ojcem Charlotte był Bernard De Nardi, matką Sylvie Gaillot De Nardi.

Charlotte De Nardi Dard urodziła się w Paryżu.

– Doktor Scarpetta?

Mglicie słyszy ochrypy głos i kaszel Laniera. Jej umysł skupia się na porwanych kobietach, na podejrzanej śmierci Charlotte Dard oraz blokadzie informacyjnej nałożonej na koronera. System prawny w Luizjanie słynie z korupcji.

– Doktor Scarpetta? Jest pani tam? Słyszysz mnie pani?

Jean-Baptiste Chandonne ma niedługo umrzeć.

– Halo?

– Doktorze Lanier – odzywa się w końcu Kay. – O coś pana spytam. Skąd się pan o mnie dowiedział?

– No, nareszcie. Już myślałem, że nas rozłączono. Pośrednia wzmianka, dosyć niezwykła. Zasugerowano mi, żebym skontaktował się z Pete'em Marino. To doprowadziło mnie do pani.

– Niezwykła wzmianka, czyja?

Czeka, aż Lanierowi minie kolejny atak kaszlu.

– Faceta w celi śmierci.

– Niech zgadnę. To Jean-Baptiste Chandonne?

– Nie jestem zaskoczony, że się pani domyśliła. Sprawdzałem, przyznaję. Miała pani z nim straszne przeżycia.

– Nie rozmawiajmy o tym teraz. Zakładam również, że to on jest źródłem informacji na temat Charlotte Dard. A tak nawiasem mówiąc. Rocco Caggiano, adwokat reprezentujący naszego tajemniczego aptekarza, który rzekomo uciekł do Palm Desert, był również obrońcą Chandonne'a.

– O tym nie wiedziałem. Myśli pani, że Chandonne miał coś wspólnego ze śmiercią Charlotte Dard?

– Założę się, że on albo ktoś inny z jego rodziny lub związanych z nią ludzi miał – mówi doktor Scarpetta.

ROZDZIAŁ 63

Lucy nie zdążyła wziąć prysznic, w biurze bije od niej zmęczenie i posttraumatyczny stres, do którego się nie przyzna.

Jej ubranie wygląda tak, jakby w nim spała, bo i rzeczywiście spała – dwa razy. Raz w Berlinie, kiedy odwołano lot, a drugi raz na Heathrow, gdy ona i Rudy musieli czekać trzy godziny, by wsiąść do samolotu, który po ośmiogodzinnym locie wylądował wreszcie na lotnisku Kennedy’ego niecałą godzinę temu. Przynajmniej nie mieli żadnych bagaży do zgubienia, ponieważ wszystkie swoje rzeczy wepchnęli do małej podręcznej sportowej torby. Przed opuszczeniem Niemiec wzięli prysznic i pozbyli się ubrań, które mieli na sobie w pokoju 511 w szczecińskim hotelu Radisson.

Lucy starła wszystkie odciski palców ze swojej pałki i nie przystając ani na chwilę, wrzuciła ją przez lekko uchylone okno do odrapanego mercedesa w cichej bocznej uliczce pełnej zaparkowanych samochodów. Z pewnością właściciel mercedesa zdziwi się na widok pałki i będzie się zastanawiał, kto zostawił ją na przednim siedzeniu i po co.

– Wesołych świąt – mruknęła Lucy, kiedy wraz z Rudym odchodzili pośpiesznie w szary półmrok świtu.

Poranek był zbyt ciemny i zbyt zimny dla much, ale po południu, kiedy Rudy i Lucy będą już daleko, w Polsce obudzą się muchy. Mnóstwo obrzydliwych skrzydlatych owadów znajdzie uchylone okno pokoju Rocca Caggiano i wleci do środka. Na jego zimnym, sztywnym ciele pracowite muchy złożą setki – może nawet tysiące – jajeczek.

Szef sztabu Lucy, Zach Manham, potrzebuje zaledwie skrawka dowodu, aby wydedukować, że jego pracodawczyni nie jest sobą i że tam, gdzie

pojechała, zdarzyło się coś bardzo niedobrego. Lucy roztacza dziś wokół siebie specyficzną woń. Nawet kiedy Manham spędza kilka godzin w sali gimnastycznej lub przebiegnie kilka kilometrów razem z Lucy, ona nie śmierdzi, nie w ten sposób. Teraz bije od niej silna woń strachu i stresu. Taki zapach nie wymaga dużo potu, który jest wilgotny, koncentruje się pod pachami i przechodzi na ubranie, coraz bardziej nieprzyjemny i wyczuwalny. Tej ostrej reakcji towarzyszą przyspieszone bicie serca, płytki oddech, bladość i zwężone źrenice. Manham nie zna fizjologii reakcji, którą nauczył się rozpoznawać, pracując jako detektyw w biurze nowojorskiego prokuratora okręgowego, ale nie musi jej znać.

– Idź do domu i odpocznij trochę – powtarza co chwila.

– Przestań – warczy w końcu Lucy, zainteresowana wielką nagrywarką cyfrową na jego biurku.

Wkłada słuchawki i znów naciska guzik „play”, manipulując potencjometrem głośności.

Po raz trzeci słucha tajemniczej wiadomości, którą jej wysoce wyspecjalizowany system identyfikacji rozmówcy określa jako nadaną z Oddziału Polunsky’ego, natomiast system namierzania satelitarnego wskazuje, że połączenie nastąpiło dosłownie przed drzwiami frontowymi budynku, gdzie mieści się Ostatni Posterunek, a może nawet w środku. Lucy wciska guzik „stop” i siada, zmęczona i wściekła.

– Cholera, niech to cholera! – krzyczy. – Nie rozumiem! Coś spieprzyłeś, Zach?

Trze dłonią twarz, resztki tuszu zlepiają rzęsy i doprowadzają ją do szału. Kiedy grała rolę młodej ładnej laski, całkowicie na miejscu w hotelu Radisson w Szczecinie, kupiła tubkę wodoodpornego tuszu do rzęs, a nienawidzi tuszu do rzęs, ale nie pomyślała o mleczku do demakijażu, ponieważ nie zna się na kosmetykach. Szorowała więc zawzięcie twarz i

osiągnęła tylko tyle, że mydło dostało się jej do oczu, aż zrobiły się przekrwione i opuchnięte, jakby przez całą noc piła. Z rzadkimi wyjątkami, alkohol w pracy jest zakazany, a pierwsze słowa, jakie padły z ust Lucy, kiedy pojawiła się w biurze niecałą godzinę temu, ciągnąc za sobą smugę intensywnego zapachu, brzmiały, że nie była na popijawie, jakby Manham lub ktokolwiek inny mógł podejrzewać, choćby przez sekundę, że była.

– Niczego nie spieprzyłem, Lucy – odpowiada cierpliwie Zach, patrząc na nią z troską.

Zbliża się do pięćdziesiątki, jest wysportowany, ma metr osiemdziesiąt pięć wzrostu, gęste brązowe włosy, lekko siwiejące na skroniach, a jego twardy akcent z Bronksu znika lub zmienia się, kiedy zachodzi taka potrzeba. Manham to urodzony mim. I co zdumiewające, potrafi się dostosować praktycznie do każdego środowiska. Kobiety uważają go za nieodparcie przystojnego i zabawnego, a on wykorzystuje to do celów zawodowych. Skrupuły moralne nie istnieją w Ostatnim Posterunku, chyba że pracownik jest na tyle głupi i samolubny, by pogwałcić sztywne reguły nieskazitelnego zachowania. Sprawy osobiste nie mogą nigdy i pod żadnym pozorem kolidować z pracą, w której codziennie naraża się życie.

– Naprawdę nie mam pojęcia, co się stało, dlaczego system namierzania satelitarne wskazuje najbliższy rejon budynku – powtarza Manham. – Skontaktowałem się z Polunskym i Jean-Baptiste tam jest. Mówią, że jest. Nie mógł więc być tutaj. To niemożliwe, chyba że lewituje, na miłość boską.

– Przypuszczam, że chodzi ci o podróżowanie poza ciałem – odpowiada Lucy. Nie panuje w tej chwili nad złośliwością i arogancją, chociaż czuje się z tym strasznie. – Lewitować to znaczy unosić się nad ziemią.

Jest bezradna, ponieważ jej zazwyczaj błyskotliwy i logiczny umysł nie może rozszyfrować, co się stało, a nie było jej tutaj, kiedy to nastąpiło.

Manham patrzy na nią spokojnie.

– To on? Jesteś pewna?

Lucy zna głos Jean-Baptiste'a – miękki, niemal słodki, z wyraźnym francuskim akcentem. Nigdy nie zapomni tego głosu.

– To on, nie ma wątpliwości – mówi. – Możesz zrobić analizę głosu, ale ja i tak wiem, co wykaże. I myślę, że Polunsky musi udowodnić, że facet, którego trzymają w celi śmierci, to naprawdę Chandonne – na przykład na podstawie DNA. Może jego pieprzona rodzinka odstawiła jakiś numer. Jeśli będzie trzeba, pojedę tam i osobiście spojrzę na jego wredną gębę.

Nienawidzi go, chociaż nie powinna. Żaden kompetentny śledczy nie powinien ulegać emocjom, gdyż w przeciwnym razie ma zmałowany osąd, a to może drogo kosztować, nawet życie. Ale Jean-Baptiste próbował zabić ciotkę Kay i tego Lucy mu nie daruje. Za to powinien umrzeć. Bolesną śmiercią. Za to, co zamierzał i próbował zrobić, powinien doświadczyć straszliwego koszmaru, który zgotował innym i pragnął zgotować doktor Scarpencie.

– Mam zażądać nowych testów DNA? Lucy, potrzebujemy nakazu sądowego. – Manham jest świadom kompetencyjnych i prawnych ograniczeń i stosował się do nich tak długo, że czuje się co najmniej odrobinę zaniepokojony, kiedy Lucy planuje posunięcie, które w przeszłości byłoby nie do pomyślenia, gdyż zakończyłoby się zakwestionowaniem dowodów i przegraniem sprawy w sądzie.

– Berger może ich zażądać. – Lucy ma na myśli zastępczynię prokuratora okręgowego Jaime Berger. – Zadzwoń do niej i poproś, żeby tu jak najszybciej przyjechała. Na przykład zaraz.

Manham musi się uśmiechnąć.

– Na pewno nie ma nic do roboty i z radością powita jakąś odmianę.

ROZDZIAŁ 64

Doktor Scarpetta rozkłada dziesiątki kolorowych fotografii osiem na dziesięć, które zrobiła, umieszczając każdy arkusz papieru z kantyny Polunsky'ego w komorze świetlnej i fotografując je wszystkie w świetle ultrafioletowym, a następnie w pięćdziesięciokrotnym powiększeniu.

Porównuje je z fotografiami listu Chandonne'a, który otrzymała. Kartka nie ma znaków wodnych i składa się z ciasno zbitych włókien drzewnych, typowych dla taniego papieru, w przeciwieństwie do tego dobrego gatunkowo wyrabianego ze szmat.

Na oko ma gładką, lśniącą powierzchnię, typową dla papieru maszynowego, a Kay nie widzi żadnych nieregularności, które mogłyby dowodzić, że obie próbki pochodzą z tej samej wytwórni, co naprawdę nie ma żadnego znaczenia. Nawet gdyby pochodziły z tej samej wytwórni, ten naukowy dowód nie utrzymałby się w sądzie, ponieważ obrona natychmiast wysunęłaby argument, że tanie gatunki papieru takie jak ten są produkowane w niezliczonych milionach arkuszy.

Papier o wymiarach dwadzieścia jeden na dwadzieścia dziewięć i pół centymetra nie różni się od tego, którego ona sama używa do drukarki. Obrona mogłaby zasugerować, że to doktor Scarpetta napisała list Chandonne'a i sama go do siebie wysłała.

Wysuwano już wobec niej znacznie dziwniejsze oskarżenia. Kay nie ma złudzeń. Kto raz był oskarżony, zawsze będzie oskarżony, a oskarżano ją o zbyt wiele wykroczeń zawodowych, prawnych i moralnych, by zdołała przetrwać drobiazgowo dochodzenie prowadzone przez kogoś, kto znów mógłby chcieć ją zniszczyć.

Rosę wsuwa głowę do gabinetu.

– Jeśli nie wyjdzie pani w tej chwili, spóźni się pani na następny samolot.

ROZDZIAŁ 65

Kupowanie kawy na ulicy jest starym przyzwyczajeniem, które zapewnia Jaime Berger tymczasową ucieczkę przed chaosem.

Bierze resztę od Raula, dziękuje mu, a on kiwa głową, zajęty, świadom długiej kolejki za nią, i pyta, czy chce śmietankę, chociaż Jaime odmawiała śmietanki przez wszystkie te lata, kiedy robiła zakupy w jego kiosku naprzeciwko biura prokuratora okręgowego. Odchodzi ze swoją kawą i zwykłym, bogatym w węglowodany lunchem w postaci bajgla – tym razem z makiem – i dwóch opakowań kremowego serka w białej papierowej torbie z serwetką i plastikowym nożem.

– Tak – mówi do telefonu, przystając na chodniku naprzeciwko granitowego budynku w centrum miasta, w pobliżu Strefy Zero, z którego 11 września 2001 roku obserwowała z okna gabinetu, jak drugi samolot wbija się w World Trade Center.

Ziejąca wyrwa nad rzeką Hudson pozostawiła ziejącą wyrwę również w niej. Patrząc na pustą przestrzeń, na to, czego już nie ma, czuje się, jakby miała więcej niż czterdzieści osiem lat, a z każdą przemijającą epoką w swoim życiu traciła jakąś część siebie, której nigdy nie uda się wskrzesić.

– Co robisz? – pyta Lucy. – Słyszę zgiełk uliczny, a zatem jesteś wśród gliniarzy, prawników i zbirów krążących wokół budynku sądu. Jak szybko możesz przyjechać na Upper East Side, gdzie wszystko jest bardziej cywilizowane?

W typowy dla siebie sposób Lucy nie daje jej dojść do słowa, dopóki nie jest za późno, żeby odmówić.

– Nie masz rozprawy w sądzie, prawda?

Jaime Berger odpowiada, że nie.

– Przypuszczam, że potrzebujesz mnie natychmiast.

Ujmując rzecz realistycznie, natychmiast to ponad czterdzieści pięć minut, z powodu dużego ruchu. Dochodzi pierwsza, kiedy pani prokurator dociera na dwudzieste pierwsze piętro budynku Lucy. Drzwi windy otwierają się na mahoniową recepcję z nazwą „Rozwiązania Informacyjno-Poszukiwawcze” wypisaną mosiężnymi literami na ścianie za wygiętym szklanym biurkiem. To nie jest poczekalnia dla klientów, a po obu stronach biurka znajdują się drzwi z nieprzejrzystego szkła. Lewe otwierają się automatycznie, kiedy zamykają się drzwi windy, a niewidoczna kamera w żyrandolu przekazuje obraz Jaime Berger i wszystkie wydawane przez nią dźwięki na ekran telewizyjny w każdym z gabinetów.

– Wyglądasz okropnie. Ale tu liczy się to, jak ja wyglądam – odpowiada Jaime sucho na powitanie gościa.

– Jesteś bardzo fotogeniczna – zauważa Lucy z sarkazmem. – Zrobiłabyś błyskotliwą karierę w Hollywood.

Pani prokurator jest ciemnowłosą kobietą o ostrych rysach i ładnych zębach. Zawsze ma na sobie nieskazitelnie elegancki kostium z kosztownymi dodatkami, a chociaż nie uważa się za aktorkę, każdy dobry prokurator gra podczas przesłuchań i z pewnością w sądzie. Jaime Berger patrzy wzdłuż szeregu zamkniętych mahoniowych drzwi. Jedne się otwierają i wychodzi Zach Manham, trzymając plik płyt kompaktowych.

– Zapraszam do salonu – mówi Lucy. – Objawił się pająk.

– Tarantula – dodaje ponuro Manham. – Jak się masz, szefowo? – Ścisła dłoń przybyłej.

– Wciąż tęsknisz za starymi dobrymi czasami? – Jaime Berger uśmiecha się do niego, ale jej oczy zadają kłam niefrasobliwemu zachowaniu.

Odejście Manhama z wydziału śledczego prokuratora okręgowego, czyli z Zespołu A, jak go nazywa, wciąż boli, chociaż rozstali się w przyjaźni, a często nadal pracują razem w przypadkach takich jak ten.

Przeminęła kolejna epoka.

– Proszę tędy – zaprasza Manham.

Jaime Berger idzie za nim i Lucy do pomieszczenia nazywanego laboratorium. Ogromny pokój jest dźwiękoszczelny jak profesjonalne studio nagraniowe. Półki nad głową są zastawione wyrafinowanym sprzętem audio i wideo oraz różnego rodzaju systemami namierzającymi, których przeznaczenia Jaime nie zna i które nie przestają jej zdumiewać, ilekroć wchodzi do biura Lucy. Wszędzie mrugają światełka, a ekrany kamer przeskakują od jednego obrazu do drugiego. Część z nich ukazuje wnętrze budynku, inne monitorują miejsca, które dla pani prokurator nie mają żadnego sensu.

Zauważa coś, co wygląda jak zestaw maleńkich mikroskopów na biurku zastawionym modemami i monitorami.

– Co to za nowy wynalazek? – pyta.

– Nasze najnowsze cacko. Miniaturowy przekaźnik – wyjaśnia Lucy, podnosząc zestaw i odczepiając jeden z aparatów, nie większy od ćwierćdolarówki, podłączony do długiego, cienkiego przewodu. – Współpracuje z tym. – Dotyka czegoś, co wygląda jak czarna skrzynka z gniazdkami wtyczkowymi i ciekłokrystalicznym wyświetlaczem. – Możemy schować to maleństwo w lamówce jednej z twoich marynarek od Armaniego, a jeśli zostaniesz porwana, quasi-dopplerowski namiernik kierunkowy zlokalizuje dokładnie miejsce, gdzie przebywasz, na podstawie sygnałów VHF i UHF. Zakres częstotliwości od dwudziestu siedmiu do pięciuset megaherców. Kanały wybierane na prostej klawiaturze, a to, na co patrzysz – klepie czarną skrzynkę – to system namierzający, za pomocą

którego możemy cię monitorować wszędzie, w samochodzie, na motocyklu, na rowerze. Zwykły krystaliczny oscylator zasilany baterią. Możemy monitorować do dziesięciu obiektów jednocześnie, jeśli na przykład mąż zdradza cię z wieloma kobietami.

Jaime nie reaguje na tę niezbyt subtelną uwagę.

– Wodoodporny – ciągnie Lucy. – Ładna przenośna kasetka z paskiem na ramię; zapewne Gurkha albo Hermes mogą zaprojektować specjalny model wyłącznie dla ciebie. Dodatkowo antena lotnicza, jeśli chcesz się czuć bezpiecznie, kiedy lecisz learjetem, gulfstreamem albo czym tam podróżuje taka aktywna kobieta jak ty.

– Innym razem – proponuje pani prokurator. – Mam nadzieję, że nie sprowadziłaś mnie tu po to, żeby mi pokazać, co się stanie, jeśli się zgubię albo zostanę porwana.

– Rzeczywiście, nie po to.

Lucy siada przed wielkim monitorem. Jej palce stukają szybko w klawiaturę, kiedy otwiera kolejne okna, wchodząc coraz głębiej w aplikację, której Jaime nie rozpoznaje.

– Dostałaś to z NASA? – pyta.

– Może – odpowiada Lucy, najeżdżając kursorem na folder oznaczony numerem, który dla tamtej znów nie ma żadnego sensu. – NASA nie zajmuje się wyłącznie dostarczaniem na Ziemię kamieni z Księżyca. Ujmijmy to w ten sposób – Lucy urywa i naciska klawisz, wpatrując się z napięciem w ekran – mam kolegów w Ośrodku Badawczym Langley. – Manipuluje myszą. – Mili ludzie, których nie docenia się tak, jak na to zasługują. Robimy kilka zabawnych projektów. Dobra. – Otwiera plik oznaczony numerem dostępu i dzisiejszą datą. – To właśnie to. – Patrzy na swego gościa. – Posłuchaj.

„Dzień dobry. Mogę spytać, kto mówi?” – Męski głos na taśmie należy do Zacha Manhama.

„Kiedy mademoiselle Farinelli wróci, proszę jej powiedzieć: Baton Rouge”.

ROZDZIAŁ 66

Jaime Berger przysuwa sobie krzesło i siada, wpatrzona w ekran komputera.

Widnieją na nim dwa wykresy głosu, czyli spektrogramy – dwuipółsekundowe wycinki – utrwalonego na taśmie ludzkiego głosu przedstawionego jako zmiany częstotliwości sygnału dźwiękowego. W efekcie powstają czarne i białe, poziome i pionowe pasma, które, jak plamy Rorschacha, wywołują różne skojarzenia, w zależności od tego, kto na nie patrzy. W tym wypadku wykresy przypominają Lucy czarnobiały abstrakcyjny obraz tornada.

Dzieli się tym spostrzeżeniem z Jaime.

– Przemawia do wyobraźni, prawda? To, co tutaj zrobiłam – a raczej powinnam powiedzieć, co zrobił komputer – polegało na odnalezieniu nagrania głosu Chandonne’a z innego źródła. W tym wypadku, z twojej rozmowy z nim zarejestrowanej na taśmie wideo po jego aresztowaniu w Richmondzie. Komputer szukał pasujących słów.

Oczywiście sukinsyn nie ułatwił nam zadania, jeśli spojrzeć na słowa użyte w rozmowie telefonicznej, którą mamy. Nigdzie w rozmowie z tobą – ciągnie Lucy – nie padła na przykład nazwa Baton Rouge. Ani razu też nie wymienił mnie z nazwiska. Zostaje nam zatem „kiedy”, „wróci”, „powiedzieć” i „jej”. Znacznie mniej dźwięków niż potrzeba do porównania. Wymaga się co najmniej dwudziestu pasujących dźwięków do pozytywnego wyniku. Ale mamy tutaj znamienne podobieństwo. Ciemne obszary na znanym i spornym wykresie odpowiadają sobie pod względem

częstotliwości. – Pokazuje czarne pasma spektrogramu na ekranie komputera.

– Dla mnie wyglądają tak samo – stwierdza Jaime Berger.

– Zdecydowanie. W czterech słowach, „kiedy”, „wróci”, „powiedzieć” i „jej”, owszem, zgadzam się.

– Mnie to przekonuje – wtrąca się Manham. – Ale w sądzie nie mielibyśmy łatwego zadania, z powodu, o którym wspomniała Lucy. Mamy za mało pasujących słów, żeby przekonać ławę przysięgłych.

– Zapomnijcie na razie o sądzie – mówi najbardziej szanowana nowojorska prokurator.

Lucy uderza w inny klawisz i otwiera drugi plik.

„Zaczynam dotykać jej piersi i rozpinam stanik” – mówi Jean-Baptiste cichym, uprzejmym głosem.

– A to trzy inne fragmenty rozmowy, które zawierają słowa do porównania – wyjaśnia Lucy.

„Z początku byłem trochę speszony, kiedy próbowałem jej dotknąć i nie mogłem ściągnąć góry”.

Dalej:

„Ale muszę powiedzieć, że jesteś ładna” – oznajmia Jean-Baptiste.

– I następne – mówi Lucy.

„Kupiłem bilet powrotny, sypialny, żeby wrócić do Nowego Jorku”.

Lucy wyjaśnia:

– Nasze cztery słowa, Jaime, powtarzają się. Jak powiedziałam, te zdania pochodzą z twojej nagranej rozmowy z nim przed postawieniem go w stan oskarżenia, kiedy przysłano cię jako prokuratora specjalnego do Richmondu.

Lucy trudno jest słuchać fragmentów tego przesłuchania. Ma trochę za złe Jaime Berger, że zmusiła Kay Scarpettę do obejrzenia taśmy wideo,

choć to było konieczne, absolutnie konieczne. Ciotka musiała przez kilka godzin słuchać tej brutalnej pornografii po tym, jak omal nie została zamordowana. Jean-Baptiste kłamał i czerpał z tego przyjemność. Niewątpliwie podniecała go myśl, że doktor Scarpetta, ofiara i koronny świadek, jest jego widownią. Przez kilka godzin patrzyła i słuchała, jak opowiadał ze szczegółami nie tylko o tym, co zrobił w Richmondzie, lecz także o swojej, jak ją nazwał, romantycznej randce z Susan Pless, telewizyjnym meteorologiem w CNBS, której zmasakrowane zwłoki znaleziono w 1997 roku w Upper East Side w Nowym Jorku.

Miała dwadzieścia osiem lat. Ta piękna Afroamerykanka została pobita i pogryziona w ten sam groteskowy sposób co inne ofiary Chandonne'a. Tylko że tym razem znaleziono płyn nasienny. W późniejszych zbrodniach Jean-Baptiste'a, tych w Richmondzie, ofiary były nagie od pasa w górę i nie wykryto płynu nasiennego, tylko ślinę. Ten fakt doprowadził do konkluzji, opartej częściowo na analizach DNA, że działalność Chandonne'ów jest połączeniem zorganizowanej przestępczości dla zysku i wynaturzonych aktów przemocy dokonywanych dla sadystycznej przyjemności. Jean-Baptiste i Jay Talley folgują swojej nieprzynoszącej zysku przyjemności. W zabójstwie Susan Pless obaj bracia działali wspólnie: czarujący Jay uwiódł i zgwałcił Susan, a później zostawił ją swojemu ohydnemu, dotkniętemu impotencją bliźniakowi.

Lucy, Jaime Berger i Manham patrzą na spektrogramy na ekranie komputera. Choć analiza głosu nie jest nauką ścisłą, wszyscy troje są przekonani, że człowiek, który zostawił wiadomość, i Jean-Baptiste Chandonne to jedna i ta sama osoba.

– Jakbym tego potrzebowała. – Jaime przesuwając palcem po ekranie, pozostawiając niewyraźny ślad. – I tak rozpoznałabym głos skurczybyka. Tornado. Trafiałaś. To cholerna prawda. To sposób, w jaki niszczy życie, i

niech mnie diabli, jeśli nie wygląda na to, że ma zamiar zrobić coś takiego znowu.

Lucy wyjaśnia, że transmisja satelitarna zlokalizowała obszar w bezpośredniej bliskości budynku, natomiast identyfikator rozmówcy wskazał, iż rozmowa została przeprowadzona z Oddziału Polunsky'ego w Teksasie.

– I jak się w tym połączyć?

Jaime Berger potrząsa głową.

– Chyba że to jakiś błąd techniczny albo inne wyjaśnienie, które mi umyka, przynajmniej w tej chwili.

– A co najważniejsze, chcę wiedzieć na pewno, czy Jean-Baptiste Chandonne nadal przebywa w celi śmierci w Teksasie i dostanie zastrzyk siódmego maja – mówi Lucy.

– Bez żartów – mruczy Manham, pstrykając raz po raz długopisem. Ten nerwowy nawyk irytuje wszystkich, którzy go znają.

– Zach? – Prokurator Berger unosi brew, patrząc na długopis.

– Przepraszam. – Manham chowa go do kieszeni nakrochmalonej białej koszuli: – Jeśli mnie nie potrzebujecie, muszę wykonać kilka telefonów. – Patrzy na obie kobiety.

– Poradzimy sobie. Zawołam cię później – mówi Lucy. – A gdyby ktoś mnie szukał, nie wiadomo, gdzie jestem.

– Nie jesteś gotowa, by wyjść na powietrze? – uśmiecha się Manham.

– Nie.

Wychodzi; przytłumiony dźwięk wyściełanych drzwi jest ledwo słyszalny.

– A Rudy? – pyta Jaime. – Mam nadzieję, że jest w swoim mieszkaniu, bierze prysznic albo śpi? Wygląda na to, że powinnaś zrobić to samo.

– Nie. Oboje pracujemy. Siedzi w swoim gabinecie w głębi korytarza, zagubiony w cyberprzestrzeni. Rudy jest maniakiem Internetu, co się dobrze składa. Ma więcej programów poszukiwawczych buszujących po całym świecie niż Anglia linii metra.

– Pewnie chcesz, żebym wydała nakaz zrobienia Chandonne’owi testu na DNA – mówi pani prokurator. – Muszę podać przekonujący powód, Lucy. Nagrana rozmowa telefoniczna nie wystarczy, a poza tym nie jestem pewna, czy chcesz, żeby coś przeciekło z tego biura. Zwłaszcza że naprawdę nie wiemy, co oznacza ta rozmowa...

– Nic – przerywa Lucy. – Wiesz, że właśnie tyle może przeciec z mojego biura. Absolutnie nic.

– Niewybaczalny grzech. – Jaime uśmiecha się, ale w jej oczach widać cień smutku, kiedy patrzy na surową, zdeterminowaną twarz Lucy, wciąż gładką i młodą, ze zmysłowo pełnymi wargami w odcieniu ciemnoczerwonej ziemi.

Jeśli to prawda, że ludzie zaczynają umierać w dniu, kiedy się rodzą, Lucy wydaje się wyjątkiem od tej reguły. Jest wyjątkiem we wszystkich ludzkich sprawach, jak często myśli Jaime Berger i z tego powodu obawia się, że Lucy nie pożyje długo. Wyobraża sobie jej silne ciało na stole sekcyjnym, z kulą w głowie, i bez względu na to, jak bardzo się stara wyrzucić ten obraz ze świadomości, nie potrafi.

– Nielojalność, nawet wynikająca ze słabości, jest niewybaczalnym grzechem – zgadza się Lucy, zdziwiona i speszona tym, w jaki sposób tamta na nią patrzy. – O co chodzi, Jaime? Uważasz, że mamy przeciek? Jezu, to koszmar, który mnie prześladowuje. Koszmar, z którym żyję. Boję się go bardziej niż śmierci. – Robi się zła. – Jeśli przyłapię kogokolwiek na zdradzie... no cóż, jeden judasz w tej organizacji i wszyscy jesteśmy ugotowani. Dlatego muszę być twarda.

– Tak, jesteś twarda, Lucy. – Prokurator Berger wstaje, prawie nie patrząc na wykres głosu Chandonne’a na monitorze. – Mamy otwartą nierozwiązaną sprawę tutaj, w Nowym Jorku: Susan Pless.

Lucy też wstaje i patrzy na nią uważnie, domyślając się, co Jaime ma zamiar powiedzieć.

– Chandonne jest oskarżony o jej zamordowanie, a znasz wszystkie powody, dla których zrezygnowałam, zwinęłam namiot, postanowiłam nie wnosić sprawy do sądu i pozwolić, żeby sędzieli go w Teksasie.

– Z powodu kary śmierci – mówi Lucy.

ROZDZIAŁ 67

Lucy i Jaime Berger zatrzymują się przy dźwiękoszczelnych drzwiach. Za nimi jarzą się monitory, obrazy z pracujących w zamkniętym obwodzie kamer przeskakują z jednego do drugiego, mrugają białe, zielone i czerwone światła, jakby obie znajdowały się w kabinie statku kosmicznego.

– Wiedziałaś, że zostanie skazany na śmierć w Teksasie, i został. Siódmego maja – mówi pani prokurator. – Ale nie dostałby kary śmierci tutaj, nie w Nowym Jorku. – Wsuwa notatnik do aktówki i zamyka ją. – Pewnego dnia prokurator okręgowy może zezwoli na igłę, jednak chyba nie za mojej kadencji. Ale przypuszczam, Lucy, że pytanie, które obecnie się nasuwa, brzmi: czy chcemy, żeby Chandonne umarł? A bardziej precyzyjnie, czy chcemy, żeby człowiek, który przebywa w jego celi na Oddziale Polunsky’ego, został stracony, skoro teraz, kiedy otrzymujemy te wiadomości od niesławnego Wilkołaka, nie możemy być pewne, co to za osoba?

Jaime Berger mówi „my”, chociaż nie dostała żadnej wiadomości od Jean-Baptiste’a Chandonne’a. O ile Lucy wie, otrzymała je tylko ona, Marino i Kay Scarpetta: listy, a teraz telefon, najwyraźniej z Upper East Side na Manhattanie, chyba że zawiodła technologia lub programujący ją ludzie.

– Żaden sędzia nie wyda oficjalnego nakazu pobrania jego próbki DNA – mówi znowu Jaime Berger swoim zwykłym, spokojnym, pewnym siebie tonem. – Nie bez przekonywającego powodu. Znajdę go i spróbuję doprowadzić do ekstradycji skazańca do Nowego Jorku, aby postawić go przed sądem za zamordowanie Susan Pless. Mamy dowód w postaci DNA z

jego śliny, nawet jeśli wiemy, że płyn nasienny w jej pochwie nie był jego, tylko Jaya Talleya, jego brata bliźniaka. Adwokat Chandonne'a, Rocco Caggiano, zastosuje wszystkie brudne chwyt, jakie mu przyjdą do głowy, jeśli spróbujemy przywrócić tę sprawę do życia – że się tak wyrażę.

Lucy unika tematu Rocca Caggiano. Jej twarz nie wyraża żadnych emocji. Znow wzbiera w niej fala mdłości. Walczy z nią. Nie zwymiotuję, rozkazuje sobie w milczeniu.

– Z pewnością włączę płyn nasienny Talleya do materiału dowodowego i tu właśnie sprawa robi się śliska. Obrona będzie utrzymywać, że Jay Talley, obecnie zbieg, zgwałcił i zamordował Susan, a wszystko, co mogę udowodnić bez cienia wątpliwości, to że Chandonne zatopił zęby w ciele ofiary. Podsumowując – Jaime wpada w swój sądowy ton – problem dawcy nasienia może się okazać nieistotny dla przysięgłych, którzy będą przerażeni, kiedy się dowiedzą, że ślina znaleziona w śladach po ugryzieniach praktycznie na całej górnej połowie ciała Susan świadczy, iż ją torturował. Ale nie mogę udowodnić, że ją zamordował albo że jeszcze żyła, kiedy zaczął ją gryźć.

– Cholera – mówi Lucy.

– Może zostanie skazany. Może przysięgli uwierzą, że cierpiała straszliwy ból fizyczny, że morderstwo było wyjątkowo okrutne i brutalne. Możliwe, że nawet dostałby karę śmierci, ale w Nowym Jorku jej się nie wykonuje. A zatem, jeśli zostanie skazany, to prawdopodobnie jedynie na dożywocie bez możliwości zwolnienia warunkowego, a wtedy będziemy musiały z tym żyć, dopóki Jean-Baptiste nie umrze w więzieniu.

Lucy kładzie obie dłonie na klamce u drzwi i opiera się o grubą akustyczną gumową piankę.

– Zawsze chciałam jego śmierci.

– I ja byłam zadowolona, że umrze w Teksasie – odpowiada Jaime Berger. – Ale ja też chcę dostać jego DNA, abyśmy wiedziały na pewno, że nie włóczy się gdzieś po ulicach, szukając następnej ofiary...

– Którą może być jedna z nas – dodaje Lucy.

– Muszę odbyć kilka rozmów telefonicznych. Najpierw powiem sędziemu, że zamierzam wznowić sprawę o zamordowanie Susan Pless i chcę mieć nakaz sądowy na zbadanie DNA więźnia. Potem skontaktuję się z gubernatorem Teksasu. Bez jego sankcji Chandonne nigdzie nie pojedzie. Znam gubernatora Corleya dostatecznie dobrze, by spodziewać się poważnych trudności z jego strony, ale myślę, że przynajmniej mnie wysłucha. Jego stan szczyli się tym, że uwalnia świat od morderców. Będę musiała zawrzeć z nim układ.

– Nie ma to jak sprawiedliwość, żeby pomóc komuś podczas wyborów – zauważa Lucy cynicznie, otwierając drzwi.

ROZDZIAŁ 68

Późnym rankiem w Szczecinie hydraulik nazwiskiem Jerzy Skrzypek zostaje skierowany do pokoju 513 w hotelu Radisson, żeby udrożnić zatkany odpływ w wannie, powodujący nieprzyjemny zapach.

Puka do drzwi i kilka razy woła „hydraulik”. Ponieważ nie otrzymuje odpowiedzi, pozwala sobie wejść i natychmiast zauważa, że goście się wymeldowali, pozostawiając na łóżku skotłowaną i poplamioną pościel oraz liczne puste butelki po winie i popielniczki pełne niedopałków na nocnych stolikach.

Drzwi szafy są otwarte, wieszaki leżą na podłodze, a kiedy Skrzypek wchodzi do łazienki ze swoją torbą narzędzi, odkrywa zaschniętą pastę do zębów na umywalce i lustrze. Toaleta jest niespłukana, wannę wypełnia piana, a po talerzu niedojedzonych czekoladek na półce koło lustra łożą wielkie muchy. Muchy krążą też wokół lampy nad lustrem i opadają lotem nurkowym na głowę mężczyzny.

Świnie.

Niektórzy ludzie to świnie.

Wkłada wielkie gumowe rękawice i zanurza ręce w zimnej, tłustej wodzie, szukając odpływu. Jest zapchany pasmami długich czarnych włosów.

Świnie.

Woda zaczyna spływać z wanny. Hydraulik wrzuca mokre, splątane włosy do toalety i odgania muchy z twarzy, patrząc z obrzydzeniem, jak pełzają po talerzu z czekoladkami. Zdejmuje gumowe rękawice i opęda się nimi od tłustych, czarnych, wstrętnych owadów.

Oczywiście widuje muchy podczas pracy, ale nigdy aż tyle w jednym pokoju i nie o tej porze roku, kiedy jest chłodno. Przechodzi obok łóżka i zauważa otwarte okno, typowy widok, nawet w zimie, ponieważ wielu gości pali. Kiedy wyciąga rękę, żeby je zamknąć, dostrzega jeszcze jedną muchę, łązącą po szybie. Mucha unosi się jak sterowiec i wlatuje do pokoju. Z zewnątrz sączy się słaby odór, który przypomina skwaśniałe mleko albo zgniłe mięso. Skrzypek wystawia głowę przez okno. Smród dochodzi z pokoju tuż obok na prawo. Pokoju 511.

ROZDZIAŁ 69

Samochód jest zaparkowany przy Wschodniej Stoczternastej w Harlemie, przecznicę od restauracji Rao.

W swoim dawnym życiu Benton mógł zawsze dostać stolik u Rao, ponieważ pracował w FBI i cieszył się specjalnymi względami rodziny, do której ta sławna, jeśli nie osławiona włoska restauracja należała od stu lat. Była to spelunka mafii i trudno powiedzieć, kto tam jada obecnie. Znane osobistości mają kilka zarezerwowanych stolików. Gliniarze uwielbiają to miejsce. Burmistrz Nowego Jorku trzyma się od niego z daleka. Benton prawdopodobnie już nigdy nie zbliży się do Rao bardziej niż w tej chwili, gdy siedzi w zaparkowanym przy Wschodniej Stoczternastej poobijanym czarnym cadillacu, którego kupił za dwa i pół tysiąca dolarów gotówką.

Podłącza telefon komórkowy do zapalniczki, silnik i klimatyzacja pracują, drzwi są zamknięte, a Wesley nie odrywa wzroku od lusterek, obserwując ludzi, którzy nie mają nic innego do roboty niż chodzić po ulicach i szukać kłopotów. Adres billingowy tego telefonu to numer skrytki pocztowej pewnej kobiety z Waszyngtonu, która nie istnieje. Satelitarna lokalizacja miejsca, skąd Benton dzwoni, jest bez znaczenia i dwie minuty później słyszy, jak senator Frank Lord rozmawia z kimś ze swojego sztabu, kto nie ma pojęcia, że senator aktywował tryb drugi międzynarodowego telefonu komórkowego i będzie teraz odbierał połączenia i prowadził rozmowę bez obawy, iż może zostać przez kogoś podsłuchany.

Kiedy Lord mówił na żywo w telewizji, zerknął na zegarek i nagle poprosił o przerwę. Nie dotykając telefonu przyczepionego do paska, osoba

wykonująca połączenie – w tym wypadku Benton – może słyszeć każde słowo senatora.

Rozlegają się przytłumione kroki i głosy.

– ...Najbardziej obstrukcyjne ciało na świecie. Może to nieprawda – mówi senator Lord, który zawsze jest powściągliwy, ale twardy jak gładz. – Cholerny Stevens.

– Podnosi obstrukcjonizm do rangi sztuki, to pewne – rozbrzmiewa w słuchawce inny męski głos.

Gdy Benton zostawił w telefonie komórkowym senatora wiadomość z dokładnym czasem, kiedy zadzwoni, skontaktował się z nim po raz pierwszy od prawie roku. Frank Lord wie, że Benton słucha, chyba że zapomniał lub nie otrzymał wiadomości. Pewność Bentona zmaga się z wątpliwościami. Próbuje sobie wyobrazić senatora, ubranego jak zawsze w świetnie skrojony tradycyjny garnitur, o postawie czterogwiazdkowego generała.

Ale to jednostronne spotkanie na odległość musi dojść do skutku. Senator wyszedł z przesłuchania, które prawdopodobnie było transmitowane na żywo. Nie zrobiłby tego bez ważnego powodu, a byłby to osobliwy zbieg okoliczności, co najmniej, gdyby wyszedł akurat w momencie, kiedy Benton miał się z nim połączyć w trybie drugim.

Poza tym, uświadamia sobie z ulgą, senator najwyraźniej przełączył swój telefon na tryb drugi. W przeciwnym razie Benton nie mógłby słyszeć rozmowy. Nie bądź głupi i taki cholernie nerwowy, mówi sobie w duchu. Nie jesteś głupi. Senator Lord też nie jest głupi. Myśl jasno.

Uświadamia sobie, jak bardzo chciałby się spotkać osobiście ze starymi przyjaciółmi i znajomymi. Słyszając głos senatora Lorda, zaufanego przyjaciela Kay Scarpetty, człowieka, który zrobiłby dla niej wszystko,

Benton czuje dławienie w gardle. Zaciska dłonie, trzymając telefon tak mocno, że bieleją mu kłykcie.

Mężczyzna, prawdopodobnie członek sztabu, pyta:

– Przynieść panu coś do picia?

– Nie teraz – odpowiada senator Lord.

Benton zauważa muskularnego młodzieńca z nagim torsem, który zbliża się do jego zardzewiałego, poobijanego cadillaca. Spogląda na niego groźnie i młodzieniec odchodzi w innym kierunku.

– Nie uda się uzyskać dla niego tej nominacji, panie senatorze – odzywa się inny członek sztabu, nieświadomy, że każde jego słowo jest przekazywane do telefonu komórkowego Nokia w Harlemie.

– Jestem większym optymistą niż ty, Jeff. Wszystko może się zdarzyć – mówi senator Lord, przewodniczący Komisji Sprawiedliwości i najpotężniejszy polityk zajmujący się wymiarem sprawiedliwości, ponieważ sprawuje kontrolę nad funduszami, a wszystko zależy od funduszy, nawet ściganie najbardziej odrażających zbrodni. – Chciałbym, żebyś wyszedł i skontaktował się z Sabatem. – Senator Lord ma na myśli Dona Sabata, dyrektora FBI. – Zapewnij go, że dostanie wszystko, czego potrzebuje dla swojej nowej jednostki do zwalczania przestępczości elektronicznej.

– Tak jest, panie senatorze. – Tamten sprawia wrażenie zaskoczonego. – No cóż, będzie uszczęśliwiony.

– Robi to, co trzeba, i potrzebuje mojej pomocy.

– Nie jestem pewien, czy się z panem zgadzam, panie przewodniczący, w tym sensie, że mamy inne bardzo ważne kwestie, a to spowoduje mnóstwo...

– Dziękuję, że o tym myślisz – przerywa mu senator Lord. – Będę musiał tam wrócić i sprawić, żeby ci idioci zaczęli myśleć o ludziach

zamiast o cholernych rozgrywkach politycznych.

– I karach. Oni chyba niespecjalnie pana lubią.

Senator się śmieje.

– To znaczy, że robię coś dobrego. Przekaż Sabatowi moje pozdrowienia i powiedz, że wszystko idzie dobrze. Dodaj mu otuchy, wiem, że jest zaniepokojony. Ale naprawdę musimy być ostrożni, zwłaszcza teraz.

Połączenie zostaje przerwane. W ciągu kilku godzin pieniądze zostaną przelane na różne konta w Banku Nowojorskim przy Madison i Sześćdziesiątej Trzeciej i Benton będzie mógł dokonać wypłat na karty kredytowe wydane na inne fikcyjne nazwiska.

ROZDZIAŁ 70

Na komputerze w gabinecie Lucy zaczyna błyskać światełko.

Wiadomość trafiła do agencji informacyjnych. Osławiony prawnik Rocco Caggiano prawdopodobnie popełnił samobójstwo w pewnym hotelu w Polsce, ciało znalazł hydraulik, który zwrócił uwagę na nieprzyjemny zapach dochodzący z jednego z pokoiów.

– Jak, u diabła...? – Lucy stuka w klawisz, żeby wyłączyć błyskające światełko. Klika myszą na „drukuj”.

Programy wyszukujące są jej specjalnością, a wiele z nich zostało opracowanych z myślą o wynajdywaniu wszelkich informacji, które dotyczą Caggiana. Jest ich mnóstwo. Rocco uwielbiał czytać o sobie, a za każdym razem, gdy Lucy przegląda jakiś artykuł o nim lub o kliencie, którego reprezentował, ogarnia ją poczucie niepewności, jakiego nigdy wcześniej nie doświadczała. Nie potrafi się zmusić, żeby przestać wracać pamięcią do sceny, kiedy Rudy pomagał tamtemu strzelić sobie w głowę.

Ku górze.

Lufa powinna być skierowana ku górze.

Szczegół, który zawdzięcza swojej ciotce. Nawet nie próbuje sobie wyobrazić, jak by zareagowała ciocia Kay, gdyby się dowiedziała, co zrobiła jej ukochana siostrzenica i Rudy.

– Nawet nie czterdzieści osiem godzin? – Musil pochyla się nad jej ramieniem, jego oddech ma zapach gumy cynamonowej, którą żuje, kiedy nie jest w miejscu publicznym.

– Wygląda na to, że w Szczecinie prześladował nas pech. Za sprawą hydraulika i zapchanego odpływu. – Lucy czyta relację Associated Press.

Rudy siada obok niej, kładzie łokieć na biurku i opiera podbródek na dłoni. Wygląda jak chłopiec, który właśnie przegrał swój pierwszy mecz baseballowy.

– Po całym tym planowaniu. Kurwa. Co teraz? Wyciągnęłaś raport lekarza sądowego? Chryste, nie mów mi, że jest po polsku.

– Poczekaj. Wyjdźmy z tego... – Klika myszą. – I poszukajmy czegoś innego... Kocham Interpol...

Ostatni Posterunek jest bardzo szczególnym tworem, jedną z organizacji uważanych za część ogromnej międzynarodowej sieci Interpolu. Za ten przywilej Lucy musi przestrzegać wszystkich procedur bezpieczeństwa i płacić taką samą składkę roczną jak mały kraj. Wybiera polecenie „szukaj” i po kilku sekundach na ekranie pojawiają informacje dotyczące śmierci Rocca Caggiano. Protokół policyjny i raport z sekcji zwłok zostały przetłumaczone z polskiego na francuski.

– Och, nie – wzdycha Lucy, odwraca się z krzesłem i patrzy na Rudy’ego. – Jak twój francuski?

– Wiesz, jak. Ograniczony do mojego języka.

– Jesteś wulgarny. Jednozadaniowy komputer. Mężczyźni. Myślicie tylko o jednym.

– Ja nie zawsze myślę tylko o jednym.

– Masz rację, przepraszam. Myślisz tylko o jednym, ale robisz to dwa, trzy, milion razy dziennie.

– A pani, mam-ouzelle Farinelli?

– O Boże, twój francuski jest okropny.

Spogląda na zegarek, tytanowy Breitling z osobistym nadajnikiem pozycyjnym.

– Myślałem, że go nie nosisz, kiedy nie latasz. – Rudy puka w szkiełko.

– Nie dotykaj. Uruchomisz czujnik.

Trzyma ją za rękę, oglądając zegarek. Marszczy brwi, patrząc na błękitną tarczę, i przechyla głowę na wszystkie strony, udając głupiego. Lucy wybucha śmiechem.

– Któregoś dnia odkręcę tę śrubkę – znów puka w zegarek, wciąż trzymając ją za rękę – i wysunę całą antenę. A potem będę zwiewał ile sił w nogach...

Odzywa się telefon komórkowy Lucy, która wyjmuje aparat z futerału przy pasku.

– I pękał ze śmiechu, kiedy nadlecą z rykiem F15 straży przybrzeżnej...

– Tak – mówi Lucy do telefonu.

– Masz takie słodkie podejście do ludzi – szepcze jej Rudy do ucha. – Jeśli umrę, wyjdiesz za mnie?

Na drugim końcu słychać trzaski.

– Kto mówi? – pyta głośno Lucy. – Nic nie słyszę. – Trzaski się nasilają. Lucy wzrusza ramionami i przerywa połączenie. – Nie rozpoznaję numeru, a ty?

Trzyma aparat, pokazując Rudy'emu numer, spod którego ktoś do niej zadzwonił.

– Nie. Dziewięć-trzy-sześć...? Co to za obszar?

– Łatwo to sprawdzić.

Ustalenie, do kogo należy numer, nie wymaga specjalnych programów wyszukiwujących ani Interpolu. Nazwa, która pojawia się na ekranie komputera, to Teksaski Zakład Karny, Oddział Polunsky'ego. Pojawia się również mapa.

– Nie odpowiedziałas na moje pytanie – mówi Rudy, wciąż z nią flirtując, choć jest w pełni świadomy znaczenia telefonu z Oddziału Polunsky'ego.

– Czy wyjdę za ciebie, jeśli umrzesz? – mruczy Lucy, prawie go nie słuchając.

– Ponieważ nie możesz beze mnie żyć.

– Nie wierzę. – Wpatruje się w ekran. – Co się, do diabła, dzieje? Powiedz Zachowi, żeby zadzwonił do mojej ciotki i upewnił się, czy jest bezpieczna. Niech jej powie, że Chandonne może być na wolności. Cholera! Bawi się z nami!

– Dlaczego nie zadzwonisz do niej sama? – dziwi się Musil.

– Ten zasraniec bawi się z nami! – Oczy jej błyszczą.

– Dlaczego ty nie zadzwonisz do doktor Scarpetty? – pyta znowu Rudy. Lucy natychmiast posepnieje.

– Nie mogę z nią teraz rozmawiać. Po prostu nie mogę. – Patrzy na niego. – Jak się czujesz?

– Okropnie – mówi jej partner.

ROZDZIAŁ 71

Benton nie zadzwonił na numer stacjonarny, ponieważ nie chciał, żeby niesłyszalna rozmowa została nagrana.

Urządzenia techniczne, które Lucy uwielbia i bez których nie może żyć, nie obejmują telefonu komórkowego automatycznie rejestrującego rozmowy, zwłaszcza że niewielu ludzi zna jej numer komórkowy, a Lucy nie nagrywa potajemnie tych, którzy go znają. Ta sztuczka była znacznie łatwiejsza niż poprzednia i nie występuje ryzyko, że Lucy spróbuje przeprowadzić analizę głosu, żeby zbadać, co miał do powiedzenia nagrany głos Jean-Baptiste'a, a nie miał nic.

Benton po prostu połączył przypadkowe fragmenty nagranych głosu Wilkołaka z zakłóceniami, aby stworzyć wrażenie, że ktoś próbuje rozmawiać z bardzo kiepskiego telefonu komórkowego. Lucy z pewnością już wyśledziła – tak jak poprzednim razem – że połączenia dokonano z Polunsky'ego. Nie zdoła posłużyć się satelitą, ponieważ zniekształcona rozmowa zaginęła, zagubiona w przestrzeni – znowu dlatego, że Benton nie zadzwonił na żaden z jej telefonów biurowych.

Będzie wściekła. Kiedy robi się naprawdę zła, nic nie może jej powstrzymać. Jean-Baptiste Chandonne bawi się z nią. Tak właśnie pomyśli, a Benton zna Lucy dostatecznie dobrze, by wiedzieć, że popełniła błąd i znienawidziła Chandonne'a. Nienawiść nie pozwoli jej teraz jasno myśleć. Będzie się zastanawiać, jak Wilkołak może dzwonić do niej z więzienia i z Nowego Jorku, jeśli wierzyć technologii satelitarnej.

W końcu Lucy, jak zawsze, zaufa technologii.

Druga rozmowa z Oddziału Polunsky'ego sprawi, że zacznie wierzyć, poważnie wierzyć, iż Chandonne ma telefon z adresem billingowym Teksaskiego Zakładu Karnego. A stąd już tylko krok do uwierzenia, że Jean-Baptiste uciekł.

Kay Scarpetta uzna, że musi się z nim spotkać twarzą w twarz, za ochronną szybą, na Oddziale Polunsky'ego. Wilkołak nie będzie chciał rozmawiać z nikim innym, to jego prawo.

Tak, Kay, tak. Zrób to, zrób to. Proszę. Spotkaj się z nim, zanim będzie za późno. Pozwól mu mówić!

Benton zaczyna się gorączkować.

Baton Rouge, Lucy!

Chandonne powiedział „Baton Rouge”!

Słuchasz mnie, Lucy?

ROZDZIAŁ 72

Jean-Baptiste Chandonne nie musi mieć radia z podwójną anteną, żeby usłyszeć wstrząsającą wiadomość.

– Hej, Włochaty! – krzyczy Bestia. – Słyszałeś? Pewnie nie, skoro nie masz pieprzonego radia, a ja mam. Wiesz, co? Wiesz, co właśnie usłyszałem? Twój adwokat palnął sobie w łeb w Polsce.

Jean-Baptiste uważnie porusza piórem trzymanym wprawną dłonią chirurga, zapisując słowa „w celi śmierci i w pierwszym szeregu życia”. Przesuwa końcami palców po zagłębieniach na białym papierze, układając list do doktor Scarpetty, który miał jej przekazać jego adwokat, lecz ten, jak właśnie się okazało, podobno nie żyje. Jeśli Rocco naprawdę nie żyje, Jean-Baptiste nie jest tym poruszony, chciałby jednak wiedzieć, czy ta śmierć coś znaczy, czy też Rocco po prostu wykonał swój zamiar.

Wiadomość o samobójstwie wywołuje wrzawę zwykłych obscenicznych komentarzy, okrutnych uwag i pytań.

Informacje.

W bloku śmierci informacje są cenne. Każda nowa wiadomość jest niemal pożerana. Ludzie są spragnieni plotek, pogłosek, nowości. Jest to więc ich wielki dzień. Żaden z więźniów nigdy nie widział Rocca Caggiano, ilekroć jednak nazwisko Jean-Baptiste’a pojawiało się w dziennikach, jego obrońca też był wymieniany i vice versa. Jean-Baptiste’owi wystarczy zwykła dedukcja, aby dojść do przekonania, że śmierć Rocca budzi zainteresowanie prasy tylko dlatego, że jego klientem był osławiony Jean-Baptiste Chandonne, alias le Loup-Garou, alias

Włochaty, Mały Ptaszek, Wilkołak i och... Jak brzmiało to nowe przezwisko, które Bestia – przemądrzały Bestia – wymyślił dzisiaj rano?

Wróg łonowy numer jeden.

Napisał to na karteczce, którą wsunął pod drzwi Jean-Baptiste'a, uzupełnioną włosem łonowym. Włosem łonowym Bestii. Jean-Baptiste zjadł karteczkę, smakując słowa, a włos łonowy wydmuchnął przez zakratowane okienko. Upadł na podłogę przed jego celą.

– Gdybym ja był adwokatem Wilkołaka, też palnąłbym sobie w łeb! – krzyczy Bestia.

Rozlega się śmiech i łomot, kiedy inni więźniowie kopią w stalowe drzwi cel.

– Spokój! Co się tu, do diabła, dzieje?

Wrzawa nie trwa długo. Strażnicy natychmiast przywracają porządek na oddziale, a w zakratowanym okienku w drzwiach Jean-Baptiste'a pojawia się para brązowych oczu.

Jean-Baptiste czuje złą energię tego spojrzenia. Nigdy go nie odwzajemnia.

ROZDZIAŁ 73

– Chcesz zatelefonować, Chandonne? – pyta głos należący do oczu. – Twój adwokat nie żyje, popełnił samobójstwo. Znaleźli jego ciało w pokoju hotelowym w jakimś polskim mieście, którego nazwy nie wymówię. Wygląda na to, że nie żył od dłuższego czasu. Zabił się, ponieważ był poszukiwany. Wychodzi na to, że reprezentował cię kryminalista. To wszystko, co wiem.

Jean-Baptiste siada na pryczy, przypatrując się słowom na białym papierze.

– Jak się pan nazywa?

– Strażnik Duck.

– Monsieur Canard? *Coin-coin*. To po francusku kwa-kwa, monsieur Kaczka.

– Chcesz zatelefonować czy nie?

– Nie, *merci*.

Strażnik Duck nigdy nie jest pewien, jak opisać czy zdefiniować przyczyny, które rozpalają w nim gniew za każdym razem, kiedy Jean-Baptiste się odzywa, ale efektem są uczucia poniżenia i bezsilności, jakby zmutowany morderca był kimś lepszym i obojętnym na blok śmierci oraz tych, którzy mają tutaj nad nim całkowitą władzę. Wilkołak sprawia, że strażnik Duck czuje się tak, jakby był tylko cieniem w mundurze. Nie może się doczekać egzekucji mordercy i chciałby, żeby była bolesna.

– Jak chcesz. Za dziesięć dni i tak już będzie po tobie – mówi teraz. – Przykro mi, że twój adwokat strzelił sobie w łeb i zgnął w pokoju hotelowym. Pewnie kiepsko się z tego powodu czujesz.

– Kłamstwa – odpowiada Jean-Baptiste. Wstaje z pryczy i podchodzi do drzwi, zaciskając palce porośnięte jasnymi, puszystymi włosami na żelaznych kratkach w maleńkim okienku.

Jego upiorna twarz wypełnia otwór i napawa lękiem Ducka, który prawie wpada w panikę, mając świadomość bezpośredniej bliskości długiego paznokcia na kciuku Wilkołaka – jedyne paznokcia, którego z jakiegoś powodu skazaniec nigdy nie obcina.

– Kłamstwa – powtarza Jean-Baptiste.

Trudno się zorientować, gdzie są skierowane jego asymetryczne oczy i jak dużo widzą, a włosy pokrywające czoło i szyję i sterczące pękami z uszu przejmują strażnika Ducka zgrozą.

– Cofnij się. Cholera, śmierdzisz gorzej niż pies, który wytarzał się w gnoju. Obetniemy ci ten pieprzony paznokieć.

– Mam prawo zapuszczać paznokcie i włosy – odpowiada Jean-Baptiste spokojnie, z szerokim uśmiechem, który przywodzi Duckowi na myśl otwarty pysk ryby.

Wyobraża sobie te szeroko rozstawione, spiczaste dziecięce zęby rozrywające kobiece ciało, kłapiące piersi jak rozszalały rekin, i włochate pięści rozbijające piękną twarz na miazgę. Chandonne atakował tylko eleganckie, bogate kobiety o ponętnych ciałach. Ma obsesję na punkcie dużych piersi i sutków, które są jego fetyszem, i, jak twierdzi psycholog sądowy odwiedzający czasami oddział, odczuwa nieodparty przymus, żeby rozszarpać te części ciała.

– W przypadku niektórych sprawców są to buty i stopy – wyjaśnił psycholog sądowy przy kawie, mniej więcej miesiąc temu.

– Tak, słyszałem o tym. Te świry włamują się do domów i kradną damskie buty.

– Zdarza się to częściej, niż pan myśli. Sam but podnieca seksualnie sprawcę. Często odczuwa wtedy przymus, żeby zabić kobietę, która nosi fetysz lub której część ciała jest fetyszem. Wielu seryjnych morderców zaczynało jako złodzieje fetyszów, włamywali się do domów, kradli buty, bieliznę albo inne przedmioty, które coś dla nich znaczyły seksualnie.

– No to Wilkołak pewnie kradł biustonosze, kiedy był włochatym małym dzieckiem.

– Bardzo możliwe. Na pewno z łatwością wchodził do domów i to pasuje do seryjnego włamywacza, który przemienia się w seryjnego mordercę. Problem ze złodziejami fetyszów polega na tym, że ofiara często nie ma pojęcia, że ktoś był w jej domu i że coś zostało zabrane. Ile kobiet, które nie mogą znaleźć buta czy nawet kilku butów albo bielizny, pomyślałoby, że do ich domu wślizgnął się włamywacz?

Strażnik Duck wzruszył ramionami.

– Do diabła, moja żona nie może znaleźć połowy swoich rzeczy. Powinien pan zobaczyć jej szafę! Jeśli ktoś ma obsesję na punkcie butów, to na pewno Sally. Ale nie zdarza się chyba, żeby facet włamał się do domu kobiety i wyszedł z kawałkiem piersi. Zresztą pewnie niektórzy z nich to robią.

– To może być kolor włosów, kolor oczu albo cokolwiek innego. Sprawca ma obsesję na punkcie tego, co wywołuje podniecenie seksualne, i w niektórych sytuacjach odczuwa sadystyczną potrzebę zniszczenia tego fetyszu. W tym przypadku jest to kobieta z dużymi piersiami, które są fetyszem dla Jean-Baptiste'a Chandonne'a.

Strażnik Duck nie do końca rozumie. On też lubi kobiece piersi. Jest perwersyjnie, wstydliwie podniecony fantazjami, nawet brutalnymi.

ROZDZIAŁ 74

Odgłos kroków strażnika cichnie.

Jean-Baptiste znowu kładzie się na pryczy, z plikiem arkuszy czystego białego papieru na kolanach. Stuka długopisem i układa kolejną poetycką frazę, rozwijając ją ze swego wyjątkowego umysłu niczym jaskrawą czerwoną flagę, która powiewa w zgodnym rytmie z długopisem. Jego dusza promieniuje poezją. Kształtowanie słów w obrazy i głębie, które toczą się w idealnym rytmie, jest łatwe, takie łatwe.

Toczą się w idealnym rytmie. Przygląda się swojemu pięknemu pismu, postukując długopisem.

Tłoczą się w idealnym rytmie. Tak jest lepiej, myśli, uderzając długopisem o papier, w rytmie zgodnym ze swoim wewnętrznym rytmem.

Stuk-stuk, stuk-stuk, stuk-stuk.

Może zwolnić lub przyspieszyć, uderzać słabiej lub mocniej, w zależności od muzyki krwi zapamiętanej z każdego zabójstwa.

Toczą się – zaczyna znowu. – Mais non.

Tłoczą się w idealnym rytmie.

Mais non.

Stuk-stuk długopisem.

Drogi Rocco – decyduje się napisać Jean-Baptiste. – Nie ośmieliłeś się wspomnieć o Polsce niewłaściwej osobie, tego jestem pewien. Jesteś zbyt wielkim tchórzem.

Stuk, stuk, stuk.

Ale kto? Może Jean-Paul – pisze do nieżyjącego adwokata.

Stuk-stuk, stuk-stuk, stuk-stuk-stuk...

– Hej, Włochaty! Mam włączone radio – krzyczy Bestia. – Ooooch, szkoda, że tego nie słyszysz. Wiesz co? Znowu mówią o twoim adwokacie. Kolejny małeńki komunikat. Zostawił list, rozumiesz? Napisał w nim, że posiadanie takiego klienta jak ty go zabiło. Chwytasz?

– Zamknij się, Bestio.

– Odwal się, Bestio.

– Twoje dowcipy są wkurzające, człowieku.

– Chcę zapalić! Dlaczego, do kurwy, nie pozwolą mi zapalić!

– To szkodliwe dla zdrowia, człowieku.

– Palenie cię zabije, głupi dupku. Tak jest napisane na opakowaniu.

ROZDZIAŁ 75

Dieta Atkinsa bardzo odpowiada Lucy, która nigdy nie lubiła słodczy i bez trudu może się wyrzec makaronu i chleba.

Jej najbardziej niebezpieczną słabością są piwo i wino, lecz powstrzymuje się od jednego i drugiego w mieszkaniu Jaime Berger w nadbudówce przy Central Park West.

– Nie będę cię zmuszać – mówi Jaime, odstawiając butelkę Pinot Grigio z powrotem na górną półkę lodówki w swojej pięknej kuchni z orzechowymi szafkami i granitowymi blatami. – Wyjdzie mi to na dobre, jeśli też nie będę piła. I tak już prawie nic nie pamiętam.

– Mnie wyszłoby na dobre, gdybyś od czasu do czasu o czymś zapomniała. Wyszłoby mi na dobre, gdybym ja też zapomniała.

Po raz ostatni była w tym mieszkaniu co najmniej trzy miesiące temu. Mąż Jaime upił się i niebawem on i Lucy zaczęli skakać sobie do oczu, dopóki Berger nie poprosiła jej, żeby wyszła.

– To już zapomniane – mówi teraz z uśmiechem.

– Nie ma go tutaj, prawda? – upewnia się Lucy. – Powiedziałaś, że mogę śmiało przyjść.

– Czy bym cię okłamała?

– No cóż... – rzuca z ironią Lucy.

W tej chwili ich beztroska rozmowa zadaje kłam tamtej strasznej scenie. Jaime Berger nigdy dotąd nie widziała czegoś podobnego w cywilizowanym towarzystwie. Naprawdę się obawiała, że między tymi dwojgiem dojdzie do rękoczynów. Lucy by wygrała.

– On mnie nienawidzi – mówi teraz, wyjmując z tylnej kieszeni obciętych dzinsów złożoną kartkę.

Pani domu nie odpowiada. Nalewa wody mineralnej do dwóch wysokich szklanek i wraca do lodówki po talerzyk ze świeżo pokrojonymi plasterkami cytryny. Nawet ubrana niezobowiązująco w miękki biały bawełniany komplet i skarpety, tak jak teraz, nie wygląda na odprężoną.

Lucy zaczyna się denerwować, wsuwa papier z powrotem do kieszeni.

– Czy myślisz, że możemy czuć się swobodnie, Jaime? Nie było tak samo...

– Chyba nie może być tak samo, prawda?

Jaime Berger zarabia grosze jako prokurator. Jej mąż jest kombinatorem od nieruchomości i znajduje się może o szczebel wyżej na drabinie ewolucji niż Rocco Caggiano, w opinii Lucy.

– Poważnie, kiedy on wróci do domu? Bo jeśli wkrótce, wychodzę – mówi Lucy, patrząc na nią.

– Nie byłoby cię tutaj, gdyby miał wrócić wkrótce. Jest na spotkaniu w Scottsdale. Tym Scottsdale w Arizonie. Na pustyni.

– Z węzami i kaktusami. Tam, gdzie jego miejsce.

– Przestań, Lucy. Moje nieudane małżeństwo nie ma nic wspólnego z tymi wszystkimi okropnymi mężczyznami, z którymi wiązała się twoja matka, kiedy dorastałaś. Przerabiałymy to już.

– Po prostu nie rozumiem, dlaczego...

– Proszę, nie wracajmy do tego. To przeszłość. – Jaime wzdycha, sięgając do lodówki po butelkę San Pellegrino. – Ile razy mam ci powtarzać?

– Tak, to przeszłość. Zajmijmy się więc czymś, co ma znaczenie.

– Nigdy nie powiedziałam, że to nie ma znaczenia. – Niesie drinki do salonu. – Daj już temu spokój. Jesteś tu. Cieszę się, że tu jesteś. Więc tak to

zostawmy, dobrze?

Okna wychodzą na rzekę Hudson, ta strona budynku jest uważana za mniej atrakcyjną niż front, z którego rozpościera się widok na park. Ale Jaime kocha wodę. Uwielbia obserwować statki wycieczkowe przybijające do przystani. Gdyby do szczęścia potrzebne jej były drzewa, powtarzała to Lucy wiele razy, nie mieszkałaby w Nowym Jorku. Jeśli do szczęścia potrzebna jej woda, odpowiada zwykle Lucy, nie powinna mieszkać w Nowym Jorku.

– Ładny widok. Całkiem niezły jak na tańszą stronę budynku – mówi teraz do Jaime.

– Jesteś niemożliwa.

– Wiem o tym.

– Jak biedny Rudy z tobą wytrzyma?

– Tego nie wiem. Przypuszczam, że kocha swoją pracę.

Lucy wyciąga się na kanapie, gołe nogi ma skrzyżowane, jej mięśnie przemawiają własnym językiem, podczas gdy ona nie dba specjalnie o to, jak wygląda. Jej treningi są uzależniającą formą uwolnienia się od demonów.

ROZDZIAŁ 76

Jean-Baptiste wyciąga się na cienkim wełnianym kocu, który każdej nocy przesiąka jego potem.

Opiera się o twardą, zimną ścianę. Zdecydował, że Rocco nie może być martwy. On, Jean-Baptiste nie podda się kolejnej manipulacji, chociaż nie rozumie, jaki mógłby być jej cel. Ach, oczywiście, strach. Za tym kłamstwem musi się kryć jego ojciec. Ostrzega Jean-Baptiste'a, że kara za zdradę to cierpienie i śmierć, nawet gdyby zdrajcą był syn potężnego monsieur Chandonne'a.

Ostrzeżenie.

Jean-Baptiste nie powinien mówić, teraz, kiedy niebawem ma umrzeć.

Ha.

Każdego dnia o każdej godzinie wróg próbuje zadać mu cierpienie i śmierć.

Nie mów.

Będę, jeśli zechcę. Ha! To ja, Jean-Baptiste, który rządzi śmiercią.

Mógłby się zabić z łatwością. W ciągu kilku minut mógłby skrócić prześcieradło i zawiązać je sobie wokół szyi i nogi stalowego łóżka. Ludzie niewiele wiedzą o powieszeniu. Nie wysokość jest ważna, lecz pozycja – wystarczy usiąść ze skrzyżowanymi nogami na podłodze i pochylić się całym ciężarem w przód, uciskając naczynia krwionośne. Po kilku sekundach następuje utrata przytomności, potem śmierć. Strach go nie

dosięgnie, a jeśli ma zakończyć swoje biologiczne życie, przekroczy je i jego dusza będzie kierować wszystkim, co od tej chwili zrobi.

Jean-Baptiste nie zakończy jednak swojego biologicznego życia w ten sposób. Na tak wiele jeszcze czeka, z radością opuszcza więc małą celę śmierci i przenosi swoją duszę w przyszłość, do miejsca, gdzie siedzi za pleksiglasową szybą i patrzy na panią doktor Scarpettę. Chciwie bierze w posiadanie całą jej istotę, wysila całą pomysłowość, by zakraść się do jej cudownego *château*, podnieść młotek i roztrzaskać jej głowę. Nie chciała ekstazy. Wyparła się Jean-Baptiste'a, pozbawiając go swojej krwi. Teraz przyjdzie do niego w upokorzeniu i miłości, uświadamiając sobie, co zrobiła, widząc całą głupotę tego postępu, radość, której się wyparła, kiedy okaleczyła go jeszcze bardziej i wypaliła mu oczy formaliną, odczynnikami umarłych. Doktor Scarpetta chlusnęła nią w twarz Jean-Baptiste'owi. Zły płyn zdemagnetyzował go na krótko, a nawet tak krótki ból wtrącił go do piekła życia wyłącznie we własnym ciele.

Madame Scarpetta spędzi całą wieczność, oddając cześć jego wyższej naturze. Jego wyższa istota zapanuje nad innymi istotami ludzkimi w całym wszechświecie, jak napisał Poe pod pseudonimem Dzentelmena z Filadelfii. Oczywiście ukrytym autorem jest Poe. Niewidzialny wysłannik, będący transcendentnym Poem, przyszedł do Jean-Baptiste'a w delirium, gdy leżał związany w szpitalu w Richmondzie. W Richmondzie dorastał Poe. Pozostała tam jego dusza.

Poe powiedział Jean-Baptiste'owi: „Przeczytaj moje natchnione słowa, a staniesz się niezależny od intelektu, którego nie będziesz już potrzebował, mój przyjacielu. Pokieruje tobą siła i nie będą cię już rozpraszały ból ani wrażenia wewnętrzne”.

Strona 56 i 57. Koniec „ograniczonego rozwoju władz umysłowych” Jean-Baptiste'a. Żadnych więcej chorób i dolegliwości. Wewnętrzny głos i

promienna światłość.

Kto tam?

Owłosiona ręka Jean-Baptiste'a porusza się szybciej pod kocem. Jego pot wydziela silną woń, a on krzyczy w szale frustracji.

ROZDZIAŁ 77

Lucy wyjmuje z tylnej kieszeni złożone papiery. Jaime Berger siada obok niej na kanapie.

– Protokół policyjny, raport z sekcji zwłok – wylicza Lucy.

Pani prokurator bierze od niej komputerowe wydruki i czyta je uważnie, ale szybko.

– Bogaty amerykański prawnik, często przyjeżdżał do Szczecina w interesach, często zatrzymywał się w hotelu Radisson. Najprawdopodobniej strzelił sobie w prawą skroń z pistoletu małego kalibru. Ubrany, wypróżnił się na siebie, poziom alkoholu we krwi zero przecinek dwadzieścia sześć. – Spogląda na Lucy.

– Dla takiego pijaka jak on to prawdopodobnie nic – zauważa Lucy.

Jaime czyta dalej. Raporty są szczegółowe, mowa w nich o poplamionych kałem kaszmirowych spodniach, gatkach i ręczniku, pustej butelce po szampanie oraz na wpół opróżnionej butelce wódki.

– Wygląda na to, że był chory. Zobaczmy – kontynuuje – dwa tysiące czterysta amerykańskich dolarów gotówką w skarpecie w dolnej szufladzie bieliźniarki. Złoty zegarek, złoty sygnet, złoty łańcuszek. Żadnych śladów włamania. Nikt nie słyszał strzału, a przynajmniej nikt nie zgłosił, że słyszał.

Resztki posiłku. Stek, pieczone ziemniaki, sałatka z krewetek, ciasto czekoladowe, wódka. Komuś – nie mogę wymówić nazwiska – zatrudnionemu w kuchni wydaje się, nie jest tego pewien, że Rocco zamówił kolację do pokoju około ósmej wieczorem dwudziestego szóstego. Pochodzenie butelki po szampanie nieznane, jednak hotel sprowadza tę

markę. Na butelce tylko odciski palców Rocca Caggiano... W pokoju zdjęto odciski palców, znaleziono jedną łuskę po kuli, z pistoletu też zdjęto odciski palców. Znowu należą do Rocca. Na rękach wykryto ślady prochu strzelniczego, blabląbla. Byli dokładni. – Zerka na swą towarzyszkę. – Nie dotarliśmy nawet do połowy protokołu policyjnego.

– Co ze świadkami? – pyta Lucy. – Jacyś podejrzani...

– Nie. – Jaime Berger przewraca kolejne strony. – Raport z sekcji zwłok... uch... chore serce i wątroba, dlaczego mnie to nie dziwi? Rana postrzałowa o poszarpanych, osmalonych brzegach, ale bez śladów prochu. Śmierć nastąpiła natychmiast – to rozwścieczyłoby twoją ciotkę. Wiesz, jak reaguje, kiedy słyszy, że ktoś umarł natychmiast. Nikt nie umiera natychmiast, prawda, Lucy? – Spogląda sponad okularów i napotyka jej oczy. – Myślisz, że Rocco umarł po kilku sekundach, minutach, może po godzinie?

Lucy nie odpowiada.

– Ciało znaleziono o dziewiątej piętnaście rano dwudziestego ósmego kwietnia... – Prokurator Berger patrzy na nią ze zdziwieniem. – Czyli był już martwy od czterdziestu godzin. Niecałe dwa dni. – Marszczy brwi. – Ciało znalazł... nie mogę wymówić nazwiska, hydraulik. Było w stanie zaawansowanego rozkładu. – Urywa. – Zarobaczone larwami. – Podnosi wzrok. – To bardzo zaawansowane stadium rozkładu, zważywszy, że zwłoki leżały przez tak krótki czas w stosunkowo chłodnym pokoju.

– Chłodnym? Podali temperaturę w pokoju? – Lucy wyciąga szyję, żeby spojrzeć na wydruk, którego nie umie przetłumaczyć.

– Okno lekko uchylone, temperatura w pokoju dwadzieścia stopni, chociaż termostat nastawiono na dwadzieścia trzy, ale na zewnątrz było zimno, poniżej szesnastu stopni w ciągu dnia, około dziesięciu w nocy. Deszcz... – Znowu marszczy brwi. – Mój francuski wymaga odświeżenia.

Hm. Nie zachodzi podejrzenie zabójstwa. Nic niezwykłego nie wydarzyło się w hotelu tego wieczoru, kiedy Rocco zamówił kolację, tego domniemanego wieczoru, jeśli facet z obsługi ma rację. Hm. – Czyta uważnie. – prostytutka zrobiła scenę w holu. Jest tu opis. To ciekawe. Z przyjemnością bym ją przesłuchała.

Podnosi głowę i zatrzymuje spojrzenie na swojej rozmówczyni.

– No cóż – mówi w sposób, który niepokoi Lucy – wszyscy wiemy, jak mylący może być czas śmierci. I wygląda na to, że policja nie jest pewna dnia ani godziny ostatniej wieczerzy Rocca, że się tak wyrażę. Najwyraźniej hotel nie prowadzi komputerowej rejestracji zamówień.

Pochyliła się na krześle. Lucy widziała już u niej taki wyraz twarzy. Ten teraz ją przeraża.

– Czy powinnam zadzwonić do twojej ciotki w sprawie czasu śmierci? A może chcesz, żebym zadzwoniła do naszego starego przyjaciela, detektywa Marino, i poprosiła go o opinię na temat tej kłótlivej prostytutki w holu? Opis w raporcie pasuje trochę do ciebie. Tylko że tamta była cudzoziemką. Może Rosjanką.

Jaime Berger wstaje z kanapy, podchodzi do okna i patrzy na rzekę. Potrząsa głową i przegarnia palcami włosy. Kiedy się odwraca, jej oczy przesłania kurtyna ochronna, którą trzyma zaciągniętą niemal przez cały czas.

Zaczyna się prokuratorskie przesłuchanie.

ROZDZIAŁ 78

Równie dobrze mogłaby być zamknięta w pokoju konferencyjnym na trzecim piętrze biura nowojorskiego prokuratora okręgowego i patrzeć przez zakurzone okna na stare budynki cisnące się ze wszystkich stron, podczas gdy Jaime Berger sączyłaby kawę z papierowego kubka z greckim wzorem wokół brzegu, tak jak podczas każdego przesłuchania, które Lucy oglądała.

A widziała ich wiele z wielu różnych powodów. Zna ten dźwięk i uczucie, kiedy pani prokurator zmienia biegi. Zna modulacje i obroty jej silnika, kiedy ta ściga, wyprzedza lub zderza się czołowo ze sprawcą przestępstwa lub kłamliwym świadkiem. Teraz potężna maszyna jest skierowana na Lucy, a ona odczuwa zarówno ulgę, jak i paraliżujący strach.

– Właśnie byłeś w Berlinie, gdzie wynajęłaś czarnego mercedesa sedana – mówi Jaime Berger. – Rudy wrócił z tobą do Nowego Jorku – a w każdym razie przypuszczam, że Frederick Mullins, twój rzekomy mąż, to był Rudy, który siedział obok ciebie w samolocie Lufthansy, a później British Air? Zamierzasz zapytać mnie, skąd to wiem, pani Mullins?

– Straszny pseudonim. Jeden z najgorszych. – Lucy czuje się załamana. – No cóż, przynajmniej w kategorii nazwisk. To znaczy... – Śmieje się sztucznie.

– Odpowiedz na moje pytanie. Opowiedz mi o tej pani Mullins. Po co pojechała do Berlina. – Twarz Jaime Berger jest nieruchoma, w jej oczach błyszczy gniew zrodzony ze strachu. – Mam przeczucie, że historia, którą zaraz usłyszę, wcale nie jest zabawna.

Lucy patrzy na swoją spotniałą szklankę, na cytrynę utopioną na dnie i pęcherzyki gazu.

– Twój bilet powrotny i kwit na wynajęty samochód były w aktówce, a twoja aktówka – jak zwykle – leżała otwarta na twoim biurku – mówi Jaime.

Twarz młodej kobiety pozostaje bez wyrazu. Lucy doskonale wie, że tamta myszkuje do woli po cudzych pokojach i że nic się przed nią nie ukryje.

– Może chciałaś, abym je zobaczyła.

– Nie wiem. Nie sędzę, abym chciała, żebyś cokolwiek zobaczyła – odpowiada Lucy cicho.

Jaime Berger patrzy na statek wycieczkowy płynący powoli za holownikiem.

Lucy nerwowo zakłada nogę na nogę.

– Tak więc Rocco Caggiano popełnił samobójstwo. Nie przypuszczam, że przypadkiem natknęłaś się na niego, kiedy byłaś w Europie? Nie twierdzę, że przypadkiem pojawiłaś się w Szczecinie, ale wiem, że większość ludzi podróżujących do tej części północnej Polski leci najpierw do Berlina, tak jak ty i Rudy.

– Jesteś świetnym prokuratorem – odpowiada Lucy żartobliwie. – Nie miałabym z tobą żadnych szans w krzyżowym przesłuchaniu.

– Nie chcę sobie nawet wyobrazić takiego scenariusza. Jezu. Pan Caggiano – adwokat pana Jean-Baptiste’a Chandonne’a – były adwokat. Martwy, z kulą w głowie. Przypuszczam, że cię to cieszy.

– Zamierzał zabić Marina.

– Kto ci o tym powiedział? Rocco czy Marino?

– Rocco – szepcze ledwie dosłyszalnie Lucy.

Zabrnęła zbyt głęboko. Jest za późno. Rozpaczliwie pragnie się oczyścić.

- W swoim pokoju hotelowym – dodaje.
- Boże – wzdycha Jaime Berger.
- Musieliśmy, Jaime. To zupełnie to samo, co robią żołnierze w Iraku, rozumiesz?
- Nie, nie rozumiem. – Jej rozmówczyni znowu potrząsa głową. – Jak, do diabła, mogliście zrobić coś takiego?
- On chciał umrzeć.

ROZDZIAŁ 79

Lucy stoi na najpiękniejszym perskim dywanie, jaki kiedykolwiek widziała, na którym tyle razy stała wraz z jego właścicielką w lepszych chwilach swojego życia.

Teraz stoją daleko od siebie.

– Trudno mi jest wyobrazić sobie ciebie ubraną jak prostytutka i wdającą się w awanturę z pijakiem – ciągnie Jaime Berger. – To fuszerka z twojej strony.

– Popełniłam błąd.

– Powiedziałabym, że tak.

– Musiałam wrócić. Po swoją pałkę – tłumaczy się Lucy.

– Które z was pociągnęło za spust?

Lucy jest wstrząśnięta pytaniem. Nie chce tego pamiętać.

– Rocco zamierzał zabić swojego ojca – wyjaśnia. – Następnym razem, gdy Marino pojechałby na ryby, Rocco zamierzał go sprzątnąć. Rocco chciał umrzeć. Zabił się, tak jakby...

Prokurator Berger patrzy na miasto, dłonie ma ciasno splecione.

– Tak jakby się zabił. Tak jakby go zamordowałaś. Tak jakby nie żyje. Tak jakby zająć w ciążę. Tak jakby popełnić krzywoprzysięstwo.

– Musieliśmy.

Jaime nie chce tego słuchać. Nie ma wyboru.

– Musieliśmy, naprawdę.

Milczy.

– Był poszukiwany czerwonym listem gończym. I tak by umarł. Chandonne'owie by go załatwili, i to w bardzo nieprzyjemny sposób.

– Teraz twoja linia obrony to zabójstwo z litości – odzywa się wreszcie pani prokurator.

– Czym to się różni od tego, co robią żołnierze w Iraku?

– Teraz twoja linia obrony to światowy pokój.

– Rocco był już martwy, tak czy inaczej.

– Teraz twoja linia obrony to stwierdzenie, że już nie żył.

– Proszę, przestań ze mnie drwić, Jaime!

– Może mam ci gratulować? Przecież wrobiłaś również mnie, ponieważ wiem o tym. Wiem o tym. – Powtarza powoli każde słowo. – Myślisz, że jestem głupia? Jezu! Siedziałam tam – odwraca się i pokazuje palcem na Lucy – i tłumaczyłam dla ciebie te cholerne raporty. Równie dobrze mogłaś wejść do mojego gabinetu, przyznać się do morderstwa i kazać mi powiedzieć: „Nie przejmuj się, Lucy. Wszyscy popełniamy błędy”. Albo: „To się zdarzyło w Polsce, więc to nie mój rejon. To się nie liczy”. Albo: „Opowiedz mi o wszystkim, jeśli to sprawi, że poczujesz się lepiej”. Widzisz, nie czuję się prawdziwym prokuratorem okręgowym, kiedy jestem z tobą. Kiedy jesteśmy tu same, kiedy siedzimy w moim mieszkaniu, nie ma w tym krzty profesjonalizmu.

ROZDZIAŁ 80

Fluid biały jak światło i rozjarzony iskrami. Strona czterdziesta siódma!
Kto tam?

– Jezu Chryste! – W zakratowanym okienku błyszczą oczy, tym razem inne.

Jean-Baptiste czuje ich ciepło. Są jak małe, żarzące się słabo węgielki.

– Chandonne, zamknij się, do cholery! Dość tych bzdur z numerami stron. Cholera, rzygać mi się chce od tych numerów stron. Ukrywasz tu jakąś książkę? – Oczy śmigają po celi jak iskry niesione wiatrem. – I wyjmij tę obleśną łapę z gaci, Mały Ptaszku!

Ten znajomy nienawistny śmiech.

– Mały Ptaszek, Mały Ptaszek! Mały Ptaszek, Mały Ptaszek...! – Głos Bestii dochodzi jak z piekła.

Jean-Baptiste znajduje się sześć metrów od Bestii. Tyle dzieli zakratowane okienko w drzwiach Wilkołaka od wewnętrznego pomieszczenia rekreacyjnego piętro niżej.

Nie ma nic do roboty podczas tej jednej godziny, którą uprzywilejowani więźniowie bloku śmierci mogą spędzać na prostokątnej drewnianej podłodze ogrodzonej ze względów bezpieczeństwa grubą drucianą siatką jak klatka w zoo. Popularną rozrywką jest rzucanie piłką do kosza albo po prostu kilometrowy spacer, który według obliczeń Jean-Baptiste’a wymaga około pięćdziesięciu okrążeń, lecz nikt oprócz niego nie ma ochoty ich wykonywać. Jeśli spaceruje, co jest jego nawykiem podczas tej jednej godziny tygodniowo, kiedy wolno mu przebywać w pomieszczeniu rekreacyjnym, nie zwraca uwagi na innych więźniów ze swojego bloku,

którzy łypią na niego, a ich oczy przypominają małe gorące plamy słońca świecącego przez lupę. Wygłaszają swoje zwykłe złośliwe uwagi. Godzina rekreacji to jedyna okazja, kiedy skazańcy mogą się spotkać i porozmawiać ze sobą na odległość. Wiele z tych rozmów jest przyjaznych, a nawet zabawnych. Wilkołak nie dba o to, że nikt nie zachowuje się przyjaźnie wobec niego i wszyscy bawią się jego kosztem.

Wie wszystko na temat Bestii, który nie jest uważany za wzorowego więźnia, lecz, w przeciwieństwie do Chandonne'a, korzysta z przywilejów, takich jak codzienna rekreacja i, oczywiście, radio. Jean-Baptiste po raz pierwszy doświadczył wszystkich aspektów obecności Bestii, kiedy dwaj strażnicy prowadzili go na wewnętrzny teren rekreacyjny, gdzie skierował całą swoją chorą energię ku górze, ku drzwiom celi Wilkołaka.

Chandonne wygląda przez kraty okienka. Nadszedł czas, aby patrzeć. Pewnego dnia Bestia może się okazać użyteczny.

– Popatrz na to, Mały Fiutku! – zawołał do niego wtedy, podwijając koszulę i napinając mięśnie brzucha, które, podobnie jak jego grube przedramiona, były niemal czarne od tatuaży. Opadł na betonową podłogę i zaczął robić pompki na jednej ręce. Jean-Baptiste odsunął się od zakratowanego okienka, ale najpierw przyjrzał się tamtemu uważnie. Bestia ma gładką skórę z puszką jasnobrązowych włosów, które biegną od jego muskularnej piersi w dół brzucha i znikają w pachwinie. Jest przystojny na swój okrutny, zuchwały sposób, ma silną szczękę, wielkie, błyszczące zęby, prosty nos i przenikliwie zimne orzechowe oczy.

Włosy strzyże do skóry i chociaż wydaje się zdolny do brutalnego seksu i bicia swojej kobiety, nikt by nie podejrzewał, że najbardziej lubi porywać młode dziewczęta, torturować je, aż umrą, i dopuszczać się aktów nekrofilii na ich martwych ciałach. W niektórych przypadkach wracał do płytkich grobów, gdzie pochował swoje ofiary, i odgrzebywał je dla dalszych

perwersji, dopóki rozkład nie posunął się tak daleko, że nawet on nie mógł tego znieść.

Bestia jest nazywany Bestią nie dlatego, że wygląda jak bestia, lecz dlatego, że odkopuje padlinę jak bestia i podobno dopuścił się również kanibalizmu na kilku swoich ofiarach. Nekrofilia, kanibalizm i pedofilia to występki odrażające dla typowego zbrodniarza, który mógł gwałcić, dusić, okaleczać, ćwiartować lub skuwać łańcuchem w piwnicy swoje ofiary (by wymienić tylko kilka przykładów), ale gwałcenie dzieci lub martwych ciał i zjadanie fragmentów ludzkich ciał są przestępstwami tak szokującymi, że wielu więźniów z bloku śmierci z przyjemnością zabiłoby Bestię.

Jean-Baptiste nie traci czasu na obmyślanie sposobów pogruchotania tamtemu kości lub zmiżdżenia tchawicy – to jałowe fantazje dla tych, którzy nie mogą zbliżyć się do Bestii bardziej niż na trzy metry. Konieczność przetrzymywania więźniów oddzielnie jest oczywista. Kiedy zbrodniarz zostanie skazany na śmierć, nie ma już nic do stracenia i może zabić znowu, chociaż w swoim pojęciu Jean-Baptiste nigdy nie miał nic do stracenia, jeśli zaś nie ma nic do stracenia, nie ma nic do zyskania, a życie nie istnieje. Odniesienia do ludzi potępionych przy urodzeniu są opisowe i odczłowieczające, a w wypadku Jean-Baptiste'a sięgają jego najwcześniejszych wspomnień.

Zobaczmy.

Rozmyśla, siedząc na swojej magnetyzującej metalowej toalecie. Pamięta trzy rzeczy. Pamięta, jak matka prowadziła go brutalnie do łazienki, gdzie mógł widzieć Sekwanę z okna i w bardzo młodym wieku skojarzył rzekę z kąpielą. Pamięta, jak matka szorowała jego drobne ciało perfumowanym mydłem i kazała mu siedzieć nieruchomo jak kamień, kiedy zeszkrobywała jasne dziecięce włosy z jego twarzy, ramion, szyi, pleców, nóg, stóp i tak dalej oprawioną w srebro brzytwą jego ojca.

Czasami krzyczała na Jean-Baptiste'a, jeśli niechcący zacięła go w palec albo w kilka palców, jakby jej niezdarność była jego winą. Zwłaszcza kłykcie były bardzo trudne. Drżenie rąk i pijackie napady szału madame Chandonne położyły kres goleniu jej brzydkiego syna, kiedy prawie obcięła Jean-Baptiste'owi lewy sutek, a ojciec musiał wezwać domowego lekarza, monsieur Raynauda, który przyszywał blady skrawek zwisający na pasku tkanki z puszystej piersi i upominał małego pacjenta, żeby był *un grand garçon*, kiedy chłopiec krzyczał, ilekroć igła wbijała się w krwawiące ciało.

Pijana matka płakała, załamywała ręce i besztła *le petit monstre vilain*, że nie siedzi spokojnie, służący ścierał krew małego potwora, natomiast ojciec Jean-Baptiste'a palił papierosy, skarżąc się na brzemię posiadania syna, który urodził się w *un costume de singe* – małpim garniturze.

Monsieur Chandonne mógł swobodnie rozmawiać, żartować i skarżyć się w obecności monsieur Raynauda, który był jedynym lekarzem dopuszczonym do kontaktów z chłopcem, gdy ten mały potwór, *une espèce d'imbecile*, urodzony w małpim garniturze, mieszkał w rodzinnym *hôtel particulier*, gdzie jego łóżeczko stało w piwnicy. Żadne świadectwa medyczne, w tym również akt urodzenia, nie istnieją. Doktor Raynaud zadbał o to i odwiedzał Jean-Baptiste'a tylko w nagłych wypadkach, do których nie zaliczały się zwykle choroby i obrażenia, takie jak ostre zapalenie ucha, wysoka gorączka, oparzenia, zwichnięte kostki i nadgarstki, drzazga pod paznokciem i inne wypadki, kiedy do większości dzieci wzywa się lekarza domowego. Monsieur Raynaud jest teraz starym człowiekiem. Nie ośmieli się rozmawiać na temat Jean-Baptiste'a, nawet jeśli gazety zapłacą mu wysokie honoraria za wyjawienie tajemnic związanych z jego sławnym byłym pacjentem.

ROZDZIAŁ 81

Lucy czuje wstyd i strach.

Opowiedziała Jaime Berger ze szczegółami, co wydarzyło się w pokoju 511 w hotelu Radisson w Szczecinie, z wyjątkiem tego, kto naprawdę zastrzelił Rocca.

– Kto pociągnął za spust, Lucy? – Pani prokurator nie daje za wygraną.

– To nie ma znaczenia.

– Ponieważ nie chcesz odpowiedzieć na moje pytanie, zakładam, że ty!

Lucy nic nie mówi.

Jaime Berger nie porusza się, zapatrzona na oszałamiające światła miasta, które ustępują miejsca ciemnościom rzeki Hudson i stają się migoczącymi miejskimi równinami New Jersey. Przestrzeń oddzielająca ją od Lucy nie mogłaby być bardziej nieprzebyta, gdyby obie stały po dwóch stronach ogromnej szyby.

Lucy cicho podchodzi bliżej, pragnąc dotknąć ramienia Jaime, przerażona, że jeśli się ośmieli to zrobić, może utracić ją na zawsze.

– Marino nie może się dowiedzieć. Nigdy – mówi. – Moja ciotka nie może się dowiedzieć. Nigdy.

– Powinam cię znienawidzić – oświadcza Jaime Berger.

Pachnie perfumami, zapach jest silny, a Lucy przechodzi przez myśl, że nie uperfumowała się dla męża. Nie ma go tutaj.

– Nazywaj to jak chcesz – ciągnie. – Ty i Rudy popełniliście morderstwo.

– Słowa – odpowiada Lucy. – Ofiary wojny. Samoobrona. Zabójstwo sądowe. Bezpieczeństwo kraju. Mamy słowa, prawne usprawiedliwienia

czynów, dla których nie powinno być usprawiedliwienia, Jaime. Zapewniam cię, nie czuliśmy żadnej radości, żadnego rozkosznego smaku zemsty. To był żałosny tchórz, płakał i żałował tylko jednej rzeczy w całym swoim okrutnym, nędznym życiu: że musi zapłacić za swoje podłości. Jak Marino mógł mieć takiego syna? Jakie znaczniki w ludzkim genotypie spotkały się, żeby stworzyć Rocca?

– Kto jeszcze wie?

– Rudy. Teraz ty...

– Ktoś jeszcze? Otrzymywaliście instrukcje? – naciska Jaime.

Lucy myśli o sfingowanym zabójstwie Bentona, o wielu wydarzeniach i rozmowach, o których nie może jej powiedzieć. Tyle bólu i gniewu szarpało nią przez te wszystkie lata.

– Są inni zamieszani. Pośrednio zamieszani. Nie mogę o tym mówić. Naprawdę – oświadczają.

Jaime Berger nie wie, że Benton nie umarł.

– Och, pieprzenie. Jacy inni?

– Powiedziałam: pośrednio. Nie mogę ci wyjawić nic więcej. Nie powiem.

– Ludzie, którzy wydają tajne rozkazy, mają zwyczaj rozplątywać się bez śladu. To są ci twoi inni? Ludzie, którzy wydawali tajne rozkazy?

– Nie bezpośrednio w sprawie Rocca. – Myśli o senatorze Lordzie, o kartelu Chandonne'ów. – Powiedzmy, że są ludzie, którzy chcieli jego śmierci. Aż do tej pory nie miałam wystarczających informacji, żeby coś z tym zrobić. Kiedy Chandonne napisał do mnie, wyjaśnił mi to, co chciałam wiedzieć.

– Rozumiem. A Jean-Baptiste Chandonne jest wiarygodny. Oczywiście, wszyscy psychopaci są wiarygodni. Wszyscy inni pośrednio zamieszani już zniknęli. Możesz na to liczyć.

– Nie wiem. Są instrukcje w sprawie kartelu Chandonne'ów. Och, tak. Były już od dłuższego czasu. Od lat. Robiłam, co mogłam, kiedy pracowałam w agencji w Miami. Ale nigdy nic z tego nie wychodziło. Reguły.

– Rzeczywiście. Ty i reguły – mówi zimno pani prokurator.

– Aż do tej historii z Rocco byłam nieskuteczna.

– No cóż, tym razem z pewnością okazałaś się skuteczna. Powiedz mi coś, Lucy. Uważasz, że ujdzie ci to na sucho?

– Tak.

– Ty i Rudy popełniście błędy. Zostawiłaś pałkę i musiałaś po nią wrócić, widziało cię kilka osób. To niedobrze, bardzo niedobrze. I zaaranżowaliście miejsce zbrodni – bardzo fachowo, bardzo sprytnie. Może zbyt fachowo, zbyt sprytnie. Mnie by zastanowiło, że w pokoju, na pistolecie, na butelce po szampanie i tak dalej są tylko odciski palców Rocca. Zastanowiłoby mnie zaawansowane stadium rozkładu, które zdaje się kłócić z czasem śmierci. I muchy, tak cholernie dużo much. Muchy niespecjalnie lubią zimny klimat.

– W Europie są bardziej przyzwyczajone do zimnego klimatu. Do temperatur poniżej piętnastu stopni. Pospolita odmiana, mucha plujka. Oczywiście wyższe temperatury są lepsze.

– Musiałaś się tego nauczyć od swojej ciotki Kay. Byłaby z ciebie dumna.

– Ciebie by zastanowiło. – Lucy wraca do błędów. – Ciebie zastanawia wszystko. Dlatego właśnie jesteś tym, kim jesteś.

– Nie lekceważ polskich władz i lekarzy sądowych, Lucy. Może nie usłyszałaś jeszcze ostatniego słowa. Jeśli jakoś dojdą do ciebie, nie będę mogła ci pomóc. Muszę uważać tę rozmowę za zastrzeżoną. W tej chwili jestem twoim obrońcą, nie oskarżycielem. To kłamstwo, ale jakoś będę

musiała z tym żyć. A ten, kto wydawał ci polecenia, nieważne, jak dawno temu, nie będzie teraz odpowiadał na twoje telefony, nie będzie nawet chciał znać twojego nazwiska, będzie marszczył brwi i wzruszał ramionami na jakimś rządowym posiedzeniu albo przy kieliszku w Palm, albo jeszcze gorzej, będzie się z tego śmiał. Wymyśl jakiegoś nadgorliwego prywatnego detektywa.

– Tak się nie stanie.

Jaime Berger odwraca się powoli i chwyta Lucy za nadgarstki.

– Jesteś tak cholernie pewna siebie, że aż głupia! Jak ktoś tak sprytny może być tak głupi?

Krew napływa Lucy do policzków.

– Świat jest pełen cwaniaków. Nakłonią cię do popełnienia najbardziej odrażających czynów w imię wolności i sprawiedliwości, a potem rozwieją się jak mgła. Okazą się fantazją. Zaczнеш się zastanawiać, czy kiedykolwiek istnieli, a kiedy będziesz gniła w jakimś federalnym więzieniu albo, uchowaj Boże, zostaniesz ekstradowana do obcego kraju, powoli, lecz nieuchronnie zaczniesz myśleć, że to wszystko było złudzeniem, ponieważ ludzie dookoła uwierzą, że masz skłonność do wyobrażania sobie różnych rzeczy, że jesteś żalostną wariatką, która popełniła morderstwo, ponieważ wykonywała jakąś tajną misję dla CIA, FBI, pieprzonego Pentagonu, Tajnej Służby Jej Królewskiej Mości, wielkanocnego króliczka.

– Przestań! – krzyczy Lucy. – To nie tak!

Jaime Berger kładzie dłonie na jej ramionach.

– Ten jeden raz w życiu ty posłuchaj kogoś!

Lucy z trudem powstrzymuje łzy.

– Kto? – chce wiedzieć pani prokurator. – Kto wysłał cię z tą cholerną, przerażającą misją? Czy to ktoś, kogo znam?

– Proszę, przestań! Nie mogę ci powiedzieć i nie powiem! Jest tyle...
Jaime, będzie lepiej dla ciebie, jeśli się nie dowiesz. Zaufaj mi, proszę.

– Jezu! – Jaime rozluźnia uścisk, ale nie puszcza jej. – Jezu, Lucy, spójrz na siebie! Trzęsiesz się jak liść.

– Nie możesz tego robić. – Lucy cofa się gniewnie. – Nie jestem dzieckiem. Kiedy mnie dotykasz... – Cofa się jeszcze dalej. – Kiedy mnie dotykasz, to znaczy coś innego. Ciągłe znaczy. Więc nie rób tego. Nie rób.

– Wiem, co to znaczy – mówi Jaime Berger. – Przepraszam.

ROZDZIAŁ 82

O dziesiątej wieczorem doktor Scarpetta wysiada z taksówki przed budynkiem, w którym mieszka Jaime Berger.

Ponieważ nadal nie może skontaktować się z siostrzenicą, dręczy ją niepokój, pogłębiający się z każdą nieudaną próbą. Lucy nie odbiera telefonu w swoim mieszkaniu ani telefonu komórkowego. Jeden z jej kolegów w biurze powiedział, że nie wie, gdzie ona jest. Kay zaczyna myśleć o swojej lekkomyślnej, porywczej siostrzenicy i wyobraża sobie najgorsze. Jej wątpliwości co do nowego zajęcia dziewczyny nie osłabły. Lucy prowadzi niezdyscyplinowane, niebezpieczne i bardzo tajemnicze życie, które może i odpowiada jej naturze, ale przygnębia i przeraża Kay. Lucy potrafi być nieuchwytna, a doktor Scarpetta rzadko wie, co robi jej siostrzenica.

W holu luksusowego wysokościowca wita ją portier.

– Czym mogę pani służyć?

– Jaime Berger – mówi Kay. – Nadbudówka.

ROZDZIAŁ 83

Lucy ma ochotę uciec, kiedy się dowiaduje, że ciotka jedzie na górę windą.

– Uspokój się – mówi Jaime Berger.

– Ona nie wie, że tu jestem – denerwuje się Lucy. – Nie chcę, żeby wiedziała. Nie mogę z nią teraz rozmawiać.

– Kiedyś będziesz musiała z nią porozmawiać. Równie dobrze może to być teraz.

– Ale ona nie wie, że tu jestem – powtarza Lucy. – Co mam jej powiedzieć?

Jaime patrzy na nią dziwnie, kiedy stoją przy drzwiach, nasłuchując dźwięku zatrzymującej się windy.

– Czy prawda to taka zła rzecz? – odpowiada gniewnie. – Możesz jej wyjawić prawdę. Od czasu do czasu powiedzenie prawdy bardzo dobrze robi.

– Ja nie kłamię – protestuje Lucy. – Tego jednego przynajmniej nie robię, chyba że dla dobra pracy, zwłaszcza tajnej.

– Problem polega na tym, w którym punkcie zacierają się granice – mówi Jaime, kiedy winda się zatrzymuje. – Idź do salonu i usiądź. – Jakby Lucy była dzieckiem. – Porozmawiam z nią pierwsza.

Przedpokój jest wykładany marmurem, naprzeciwko mosiężnej windy stoi stolik ze świeżymi kwiatami. Jaime Berger nie widziała doktor Scarpetty od kilku lat i jest przerażona, gdy ta wychodzi z windy. Kay wygląda na wyczerpaną, kostium ma wygnieciony, oczy niespokojne.

– Czy ktoś jeszcze odbiera moje telefony? – brzmia jej pierwsze słowa. – Dzwoniłam do Marina, do Lucy, do ciebie. W twoim wypadku linia była zajęta przez godzinę. Uznałam więc, że ktoś jest w domu.

– Zdjęłam słuchawkę z widełek... Nie chciałam, żeby mi przeszkadzano. Dla Kay to nie ma sensu.

– Przepraszam, że zwałam ci się na głowę w ten sposób. Odchodzę od zmysłów, Jaime.

– Widzę. Zanim wejdiesz, powinnaś wiedzieć, że jest tu Lucy. – Oznajmia to rzeczowym tonem. – Nie chciałam, żebyś przeżyła wstrząs. Ale spodziewam się, że ci ulżyło.

– Nie całkiem. W jej biurze mnie zbyli, to znaczy Lucy mnie zbyła.

– Kay, wejdź, proszę.

Idą do salonu.

– Cześć. – Lucy ściska ciotkę.

Kay jest sztywna i spięta.

– Dlaczego mnie tak traktujesz? – pyta, nie zważając na to, że Jaime Berger słucha.

– Jak cię traktuję? – Lucy wraca do salonu i siada na kanapie. – Chodź. – Kiwa na ciotkę, żeby do niej dołączyła. – Ty też, Jaime.

– Nie, dopóki jej nie powiesz – oświadcza pani prokurator. – W przeciwnym razie nie chcę brać udziału w tej rozmowie.

– Co ma mi powiedzieć? – Doktor Scarpetta siada obok siostrzenicy. – Co masz mi powiedzieć, Lucy?

– Pewnie już słyszałaś, że Rocco Caggiano rzekomo popełnił samobójstwo w Polsce – informuje ją Jaime.

– Nie słuchałam dzisiaj żadnych wiadomości – odpowiada Kay. – Najpierw rozmawiałam przez telefon, później byłam w samolocie, potem w taksówce. Teraz jestem tutaj. Co to znaczy: rzekomo?

Lucy patrzy pod nogi i nic nie mówi. Jaime Berger stoi w drugim końcu salonu i milczy.

– Zniknęłaś na kilka dni. Nikt nie chciał mi powiedzieć, gdzie jesteś – zaczyna Kay spokojnie. – Byłaś w Polsce?

Następuje długa pauza, wreszcie Lucy podnosi wzrok.

– Tak, byłam.

– Dobry Boże – wzdycha doktor Scarpetta. – Rzekome samobójstwo – szepcze.

Lucy wyjaśnia, że Chandonne przekazał jej w liście informacje o zamordowanych dziennikarzach oraz o miejscu pobytu Rocca. Potem mówi ciotce o czerwonym liście gończym.

– W ten sposób Rudy i ja znaleźliśmy go w hotelu, w którym zawsze się zatrzymuje, kiedy załatwia swoje brudne interesy w Szczecinie. Powiedzieliśmy mu o czerwonym liście gończym, a Caggiano zrozumiał, co to oznacza. Koniec. Ponieważ, bez względu na to, czy zostałby aresztowany, czy nie, Chandonne’owie zadbaliby, żeby długo nie pożył.

– Więc się zabił – mówi Kay, patrząc Lucy prosto w oczy i szukając w nich potwierdzenia.

Ta jednak nie odpowiada. Jaime Berger wychodzi z pokoju.

– Interpol zamieścił informację – mówi po chwili Lucy trochę bez związku. – Policja twierdzi, że to samobójstwo.

Jej słowa na razie zadowolają ciotkę, tylko dlatego, że nie ma siły drążyć głębiej.

Otwiera aktówkę i pokazuje Lucy list od Chandonne’a, a ta puka do gabinetu Jaime Berger.

– Przyjdź, proszę – mówi.

– Nie – odpowiada Jaime, w jej oczach maluje się wyraz rozczarowania i potępienia. – Jak mogłaś ją okłamać?

- Nie okłamałam.
- Nie powiedziałaś całej prawdy. Całej prawdy, Lucy.
- Dojdę do tego. Kiedy przyjdzie czas. Chandonne do niej napisał. Powinnaś to zobaczyć. Dzieje się coś naprawdę dziwnego.
- Niewątpliwie. – Jaime wstaje zza biurka.

Wracają do salonu i oglądają list oraz kopertę przez ochronny plastik.

- Nie wygląda jak list, który ja dostałam – zauważa natychmiast Lucy. – Tamten był napisany drukowanymi literami. Został wysłany zwykłą pocztą. Przypuszczam, że to Rocco go nadał. Rocco wysyłał dla niego mnóstwo rzeczy. Dlaczego Chandonne napisał do Marina i do mnie drukowanymi literami?

- Jak wyglądał papier? – pyta doktor Scarpetta.
- Arkusz z notatnika. Liniowany.
- Papier w więziennej kantynie jest gładki, tani. Taki sam, jakiego większość ludzi używa do drukarek.
- Jeśli nie on wysłał te listy do Marina i do mnie, to kto? – Lucy czuje się śpiąca, jej system jest przeciążony.

Opierając się na informacjach zawartych w liście, który otrzymała, doprowadziła do śmierci Rocca Caggiano. Kiedy ona i Rudy przetrzymywali go w pokoju hotelowym, Rocco nie przyznał się do zamordowania dziennikarzy. Lucy przypomina sobie, jak wzniósł oczy do sufitu – to była jego jedyna reakcja. Nie ma żadnej pewności, co naprawdę chciał wyrazić tym gestem. Nie ma żadnej pewności, czy informacje, które przesłała do Interpolu, były prawdziwe. To, co wysłała, stanowiło wystarczającą podstawę do aresztowania, ale niekoniecznie do skazania, ponieważ tak naprawdę Lucy nie znała faktów. Czy Rocco rzeczywiście spotkał się z tymi dwoma dziennikarzami kilka godzin przed ich śmiercią? A nawet jeśli tak, to czy ich zastrzelił?

Lucy czuje się odpowiedzialna za czerwony list gończy. Właśnie z powodu listu gończego Rocco uświadomił sobie, że już po nim, bez względu na to, do czego się przyznał, a do czego nie. Stał się poszukiwanym, zbiegiem, a gdyby Lucy i Rudy nie spowodowali jego śmierci, zrobiliby to Chandonne'owie. I tak byłby martwy. Musiał umrzeć. Lucy powtarza sobie, że świat jest lepszy, kiedy nie ma na nim Rocca.

– Kto napisał do mnie ten cholerny list? – pyta. – Kto napisał list do Marina i ten pierwszy do ciebie? – Patrzy na ciotkę. – Te, które przyszły w kopertach z nadrukiem Narodowej Akademii Sprawiedliwości z opłaconymi kosztami przesyłki. Sprawiały wrażenie, jakby napisał je Chandonne.

– Zgadzam się – mówi Kay. – A koroner w Baton Rouge też dostał taki list.

– Może Chandonne zmienił charakter pisma i papier, kiedy pisał ten? – Lucy pokazuje na pięknie wykaligrafowany list. – Może skurwiel wcale nie siedzi w więzieniu?

– Słyszałam o telefonach do twojego biura. Zach zadzwonił do mnie na komórkę. Chyba nie możemy zakładać, że Chandonne nadal znajduje się w więzieniu – odpowiada doktor Scarpetta.

– Wydaje mi się – wtrąca Jaime Berger – że nie miałby dostępu do liniowanego papieru ani kopert Narodowej Akademii Sprawiedliwości, gdyby przebywał w więzieniu. Jak trudno byłoby zrobić kopie tych kopert na komputerze?

– Boże, ależ jestem głupia! – woła Lucy. – Wprost nie potrafię wyrazić, jaka głupia! Oczywiście że można to zrobić. Wystarczy zeskanować kopertę, potem wpisać dowolny adres i wydrukować go na takiej samej kopercie. Mogłabym to zrobić w pięć minut.

Prokurator Berger patrzy na nią przez dłuższy czas.

– Zrobiłaś to?

Lucy jest wstrząśnięta.

– Czy ja to zrobiłam? Dlaczego miałabym to robić?

– Właśnie się przyznałaś, że mogłabyś – zauważa ponuro Jaime. – Wygląda na to, że jesteś zdolna do wielu rzeczy, Lucy. A to wygodne, że informacje w liście do ciebie skłoniły cię do wyjazdu do Polski, żeby znaleźć Rocca, który w tej chwili nie żyje. Wychodzę. Prokurator we mnie nie zamierza słuchać dalszych kłamstw ani wyznań. Jeśli ty i twoja ciotka chcecie przez chwilę porozmawiać, nie krępujcie się. Ja muszę odłożyć z powrotem słuchawkę na widełki. Mam kilka rozmów telefonicznych do wykonania.

– Nie skłamałam – oświadcza Lucy.

ROZDZIAŁ 84

– Siadaj – mówi Kay, jakby Lucy nie była dorosła.

W salonie jest mrok, otacza je pejzaż Nowego Jorku i jego strzelista potęga. Doktor Scarpetta mogłaby patrzeć na ten obraz godzinami, tak jak patrzy na morze. Lucy siada obok niej na kanapie.

– To dobre miejsce, żeby tu mieszkać – odzywa się Kay, patrząc na miliony świateł.

Szuka księżycą, ale nie może go dostrzec za budynkami. Lucy cicho płacze.

– Często się zastanawiałam, Lucy, co by się stało, gdybym była twoją prawdziwą matką. Czy wkroczyłabyś w ten niebezpieczny świat i przedzierała się przez niego tak zuchwale, tak skandalicznie, tak oszałamiająco? A może wyszłabyś za mąż i miała dzieci?

– Myślę, że znasz odpowiedź – szepcze Lucy, wycierając oczy.

– Może dostałabyś stypendium Rhodesa, poszła do Oksfordu i została sławną poetką.

Lucy patrzy na nią, jakby żartowała. Jednak ciotka nie żartuje.

– Wiodłabyś subtelniejsze życie – mówi cicho. – Wychowałam cię, czy może raczej obsługiwałam cię najlepiej, jak potrafiłam, i nie wyobrażam sobie, że mogłabym kochać jakieś dziecko bardziej niż kochałam – i Kocham – Ciebie. Ale moimi oczami zobaczyłaś szpetotę tego świata.

– Twoimi oczami zobaczyłam przyzwoitość, człowieczeństwo i sprawiedliwość – odpowiada Lucy. – Nie zmieniałabym niczego.

– No to dlaczego płaczesz? – Kay obserwuje odległe samoloty połyskujące jak małe planety.

– Nie wiem.

Doktor Scarpetta uśmiecha się lekko.

– Tak mówiłaś, kiedy byłaś małą dziewczynką. Ilekroć byłaś smutna, a ja cię pytałam, dlaczego, odpowiadałaś: nie wiem. Dlatego moja wnikliwa diagnoza brzmi, że jesteś smutna.

Lucy ociera łzy z twarzy.

– Nie wiem dokładnie, co się wydarzyło w Polsce – mówi jej ciotka.

Zmieniając pozycję na kanapie, układa sobie poduszki za plecami, jakby szykowała się do wysłuchania długiej opowieści. Nadal nie patrzy na siostrzenicę, spogląda przez okno w połyskującą noc, ponieważ ludziom łatwiej jest prowadzić trudną rozmowę, kiedy na siebie nie patrzą.

– Nie zmuszam cię, żebyś mi o tym opowiadała. Ale myślę, że chcesz mi o tym opowiedzieć, Lucy.

Jej siostrzenica patrzy na miasto w dole. Myśli o ciemnych morskich odmętach i oświetlonych statkach. Statki to porty, a porty oznaczają Chandonne'ów. Porty są arteriami ich przestępczego handlu. Rocco był tylko jednym ze statków, ale jego związki z ciotką, z nimi wszystkimi, musiały zostać zerwane.

Tak. Musiały.

Proszę, wybac mi, ciociu Kay. Proszę, powiedz, że wszystko jest dobrze. Proszę, nie trać szacunku dla mnie i nie myśl, że stałam się jedną z nich.

– Od śmierci Bentona stałaś się furia, duchem kary, a w całym tym mieście nie było dosyć władzy, żeby nasycić twój głód – mówi doktor Scarpetta, nadal łagodnie. – To dobre miejsce dla ciebie – ciągnie, podczas gdy obie patrzą na światła najpotężniejszego miasta na świecie. – Ponieważ pewnego dnia, kiedy nasycisz się władzą, może uświadomisz sobie, że zbyt wielka potęga jest nie do zniesienia.

– Mówisz to, żeby wytłumaczyć siebie – zauważa Lucy bez cienia gniewu. – Byłaś najważniejszym lekarzem sądowym w kraju, może na świecie. Byłaś Wielkim Szefem. Może to się stało nie do zniesienia, ta władza i podziw.

Piękna twarz Lucy nie jest już taka smutna.

– Tyle rzeczy wydaje się nie do zniesienia – odpowiada Kay. – Tyle rzeczy. Ale nie. Nie uważałam, że moja władza jest nie do zniesienia, kiedy byłam Wielkim Szefem. Odkryłam, że nie mogę znieść utraty władzy. Ty i ja postrzegamy ją inaczej. Ja niczego nie udowadniam. Ty zawsze musisz coś udowadniać, nawet kiedy to nie jest konieczne.

– Nie straciłaś jej – mówi Lucy. – Pozbawienie cię władzy było iluzją. Polityką. Twoja prawdziwa władza nie została ci nadana przez świat zewnętrzny i dlatego świat zewnętrzny nie może ci jej odebrać.

– Co Benton nam zrobił?

Jej pytanie zaskakuje Lucy, jakby ciotka w jakiś sposób знаła prawdę.

– Odkąd umarł... Nadal ledwo mogę się zmusić, żeby wypowiedzieć to słowo. Umarł. – Kay urywa. – Od tamtej pory wydaje się, że my wszyscy zmierzamy ku ruinie. Jak kraj w obliczu najazdu. Jedno miasto upada po drugim. Ty, Marino, ja. Głównie ty.

– Tak, jestem furia. – Lucy wstaje, podchodzi do okna i siada ze skrzyżowanymi nogami na wspaniałym starym dywanie Jaime Berger. – Jestem mścicielem. Przyznaję to. Uważam, że świat jest bezpieczniejszy, ty jesteś bezpieczniejsza, wszyscy jesteśmy bezpieczniejsi, kiedy Rocco nie żyje.

– Ale nie możesz bawić się w Boga. Nie jesteś już nawet zaprzysiężonym funkcjonariuszem wymiaru sprawiedliwości. Ostatni Posterunek to przedsięwzięcie prywatne.

– Niezupełnie. Jesteśmy filią międzynarodowego wymiaru sprawiedliwości, współpracujemy z policją, zwykle pod przykrywką Interpolu. Działamy z upoważnienia wyższych władz, o których nie mogę z tobą rozmawiać.

– Wyższe władze upoważniły cię, żebyś zgodnie z prawem uwolniła świat od Rocca Caggiano? – pyta doktor Scarpetta. – Czy pociągnęłaś za spust, Lucy? Chcę to wiedzieć. Przynajmniej tyle.

Lucy potrząsa głową. Nie, nie pociągnęła za spust. Tylko dlatego, że Rudy uparł się, żeby wystrzelić tę kulę, żeby to on miał na rękach proch i maleńkie kropelki krwi Rocca, nie ona. Krew Rocca na rękach Rudy’ego. To nie było w porządku, mówi Lucy ciotce.

– Nie powinnam pozwolić, żeby wziął to na siebie. Ponoszę taką samą odpowiedzialność za śmierć Rocca. A właściwie ponoszę pełną odpowiedzialność, ponieważ Rudy pojechał do Polski za moją namową.

Rozmawiają do późna, a kiedy Lucy wyjawia wszystko, co wydarzyło się w Szczecinie, czeka na słowa potępienia. Najgorszą karą byłoby wygnanie z życia ciotki, tak jak został z niego wygnany Benton.

– Czuję ulgę, że Rocco nie żyje – mówi doktor Scarpetta. – Co się stało, to się nie odstanie – dodaje. – W jakimś momencie Marino będzie chciał się dowiedzieć, co naprawdę stało się z jego synem.

ROZDZIAŁ 85

Sądząc po głosie, doktor Lanier wraca do zdrowia, ale jest napięty jak załadowana katapulta.

– Ma pan bezpieczne miejsce, gdzie mogłabym się zatrzymać? – pyta go doktor Scarpetta przez telefon ze swojego pojedynczego pokoju w hotelu Melrose przy Sześćdziesiątej Trzeciej i Lexington.

Postanowiła nie nocować u Lucy, pomimo jej uporczywych nalegań. Gdyby się u niej zatrzymała, nie mogłaby pojechać rano na lotnisko bez wiedzy siostrzenicy.

– Najbezpieczniejsze miejsce w Luizjanie. Mój gościnny domek. Jest mały. Dlaczego? Jak pani wie, nie mogę sobie pozwolić na zatrudnianie konsultantów...

– Proszę posłuchać – przerywa mu Kay. – Muszę najpierw polecieć do Houston. – Unika konkretów. – Nie mogę zjawić się u pana przez co najmniej następny dzień.

– Przyjadę po panią, proszę mi tylko powiedzieć kiedy.

– Najlepiej będzie, jeśli wypożyczy pan dla mnie samochód. W tej chwili nie mam pojęcia o niczym. Jestem zbyt zmęczona. Ale chyba sama się o siebie zatroszczę i nie będę panu sprawiać kłopotu. Niech mi pan tylko powie, jak do pana dojechać.

Zapisuje szczegóły. Dojazd wydaje się dosyć prosty.

– Jakiś szczególny samochód?

– Bezpieczny.

– Wiem na ten temat wszystko – odpowiada koroner. – Wyciągałem mnóstwo ludzi z niebezpiecznych samochodów. Najpierw wsadzę do niego

swoją sekretarkę.

ROZDZIAŁ 86

Trixie opiera się o blat i pałąc mentolowego papierosa, przygląda się ponuro, jak Marino wrzuca do wielkiej skrzynki z lodem piwo, konserwy, słoiki musztardy i majonezu, wszystko, co jego wielkie łapska wyciągną z lodówki.

– Już po północy – skarży się Trixie, sięgając po piwo w butelce z długą szyjką, którą zatkała, wpychając do środka zbyt wielkie kawałki cytryny. – Chodź do łóżka, a rano możesz wyjechać, prawda? Koniecznie musisz wypadać stąd w środku nocy, na wpół pijany i cały roztrzęsiony?

Jest pijany od powrotu z Bostonu. Siedział przed telewizorem, nie odbierając telefonów, nie chciał z nikim rozmawiać, nawet z Lucy i Kay Scarpettą. Mniej więcej godzinę temu dostał na komórkę wiadomość z biura Lucy. Otrzeźwiła go na tyle, że poderwał się z fotela.

Trixie trzyma butelkę w górze i próbuje odsunąć cytrynę językiem. Udaje jej się to i piwo leci jej do ust i spływa po brodzie. Jeszcze niedawno Marino uznałby to za komiczne. Teraz nic go nie śmieszy. Otwiera drzwiczki zamrażalnika, wyciąga pojemnik z kostkami lodu i wrzuca go do skrzynki. Trixie, która naprawdę nazywa się Teresa, ma trzydzieści lat i niecały rok temu wprowadziła się do małego domku Marina w robotniczej dzielnicy, tuż za Midlothian Turnpike na niewłaściwym brzegu rzeki James w Richmondzie.

Marino zapala papierosa i patrzy na kobietę, na jej twarz, nabrzmiałą od alkoholu, na makijaż pod oczami, który wygląda jak wytatuowany. Jej platynowe włosy są tak zniszczone od ciągłego farbowania, że brzydził się ich dotykać, a raz, kiedy był pijany, powiedział jej, że w dotyku

przypominają papier ścierny. Jej zranione uczucia są dotknięte trwałym kalectwem, a kiedy Marino widzi to w wyrazie oczu Trixie lub grymasie jej ust, znika z pokoju, myślami albo naprawdę.

– Proszę, nie jedź. – Ssie papierosa i wypuszcza dym kącikiem ust, prawie się nie zaciągając. – Wiem, co zamierzasz zrobić. Już nie wrócisz, ot co. Widziałam, co pakujesz do samochodu. Broń, kulę do kręgli, nawet swoje trofea i wędkę. Nie mówiąc już o ubraniach, same stare łachy, żadnych ładnych, jak te garnitury, które wisały w szafie od czasu, gdy Jezus napisał dziesięć przykazań.

Podchodzi i chwytą Marina za ramię, gdy on układa lód w skrzynce, mrużąc oczy od dymu.

– Zadzwoń do ciebie. Muszę jechać do Luizjany i wiesz o tym. Doktor Kay tam jest albo zaraz będzie. Znam ją. Cholernie dobrze wiem, co zamierza zrobić, nie musi mi mówić. Nie chciałybyś, żeby coś jej się stało, Trixie.

– Rzygać mi się chce od twojego „doktor Kay to” i „doktor Kay tamto”!
– Twarz jej się marszczy. Odpycha rękę Marina, jakby to on jej dotknął, a nie ona jego. – Odkąd cię poznałam, ciągle jest „doktor Kay”. To jedyna kobieta w twoim życiu, gdybyś miał być szczery. Ja jestem tylko rezerwowym zawodnikiem w twoim meczu koszykówki.

Marino się krzywi. Nie może znieść barwnych powiedzonek Trixie, które przypominają mu rozstrojony fortepian.

– Ja jestem tylko dziewczyną, która siedzi w poczekalni twojego życia. – Trixie kontynuuje przedstawienie.

Przedstawienie. Jak kiepska opera mydlana.

Toczą swoje kłótnie z pamięci, a chociaż Marino żywi szczególną awersję do psychologii, nie może uniknąć introspekcji wielkiej jak góra. On i Trixie kłócą się o wszystko, ponieważ kłócą się o nic.

Jej grube bosc stopy z paznokciami pomalowanymi czerwonym odpryskującym lakierem człapią głośno po kuchni, kiedy idzie, machając gwałtownie pulchnymi ramionami. Popiół z papierosa opada na poplamione linoleum podłogi.

– No cóż, jedź do Luizjany i spotkaj się ze swoją doktor Kay, a kiedy wrócisz – jeżeli kiedykolwiek wrócisz – może ktoś inny będzie mieszkał w tej norze, bo mnie już tu nie będzie. Nie będzie. Nie będzie.

Pół godziny temu Marino powiedział jej, żeby wystawiła dom na sprzedaż. Może w nim mieszkać, dopóki ktoś go nie kupi.

Kwiecisty szlafrok ze sztucznego jedwabiu powiewa wokół stóp Trixie, jej piersi zwisają nad paskiem, którym obwiązuje się wokół grubej talii. Marino czuje gniew i wyrzuty sumienia. Kiedy Trixie dokucza mu z powodu doktor Scarpetty, detektyw traci panowanie nad sobą i miota się jak oszalały ptak, nie wie dokąd iść, jak się bronić, jak kontratakować.

Insynuacje na temat Kay, które, niestety, nie są prawdziwe, nie mogą uśmierzyć bólu, jaki odczuwa jego zranione ego. Dlatego strzały zazdrosnej Trixie trafiają w cel i leje się krew. Marino nie przejmuje się tym, że stracił wszystkie kobiety, jakie w życiu miał. Przejmuje się tą jedną, której nigdy nie miał, a wściekłość Trixie zbliża się niebezpiecznie do nieuniknionego crescendo, które przyniesie nieuniknioną kodę.

– Szalejesz za nią do tego stopnia, że to aż niesmaczne! – krzyczy Trixie.
– Jesteś dla niej tylko zwykłym prostakiem. Niczym więcej. Wielkim, tłustym, głupim prostakiem! – wrzeszczy. – I nic mnie to nie obchodzi, że może umrzeć! Ona już jest martwa!

Marino podnosi skrzynkę z lodem, jakby nic nie ważyła, przechodzi przez brudny, zagracony salon i zatrzymuje się przy frontowych drzwiach. Patrzy na trzydziestosześciodobowy kolorowy telewizor – nienowoczesny, ale Sony i całkiem ładny. Spogląda ze smutkiem na swój ulubiony fotel, w

którym spędził większość życia, i czuje ból tak głęboki, że aż ściska go w środku. Zastanawia się, ile godzin tu spędził, na wpół pijany, oglądając mecze piłki nożnej i tracąc czas i energię na takie jak Trixie.

Nie jest złą kobietą. Żadna z nich nie była zła. Były po prostu żalosne, a on jest jeszcze bardziej żaloszny, ponieważ nigdy nie chciał dla siebie niczego więcej, chociaż mógł.

– Nie zadzwonię do ciebie mimo wszystko – mówi jej. – I głównie mnie obchodzi, co się stanie z domem. Sprzedaj go. Wynajmij go. Mieszkaj w nim.

– Nie mówisz poważnie, skarbie. – Trixie zaczyna płakać. – Kocham cię.

– Nie znasz mnie – rzuca Marino od drzwi. Czuje się zbyt zmęczony, żeby wyjść, i zbyt przygnębiony, żeby zostać.

– Oczywiście, że cię znam. – Trixie gasi papierosa i sięga do lodówki po następne piwo. – I będziesz za mną tęsknił. – Wykrzywia twarz w uśmiechu, a jednocześnie płacze. – I na pewno wrócisz. Byłam wściekła, kiedy powiedziałam, że nie wrócisz. Wrócisz. – Zrywa kapsel z butelki. – A skąd wiem, że wrócisz? – Patrzy na niego bojaźliwie. – Wiesz, co zauważyła detektyw Trixie? Nie zabrałaś swoich ozdób świątecznych. Wszystkich tych plastikowych Mikołajów, reniferów, lampek i całej reszty, którą zbierałaś przez wieki. Miałyś tak po prostu odjechać i zostawić wszystko w piwnicy? Nie, nie. Nie ma mowy.

Przekonuje samą siebie. Nie wyjechałby na dobre, zostawiając swoje ukochane świecidełka bożonarodzeniowe.

– Rocco nie żyje – oznajmia Marino.

– Kto? – Trixie robi zdziwioną minę.

– Widzisz, to właśnie miałem na myśli. Nie znasz mnie – mówi. – W porządku. To nie twoja wina.

Zamyka za sobą drzwi, zamyka na dobre drzwi do Richmondu.

ROZDZIAŁ 87

Zaginiona kobieta nazywa się Katherine Bruce.

Została uznana za uprowadzoną. Jest ostatnią ofiarą seryjnego mordercy i prawdopodobnie nie żyje. Jej mąż, były pilot sił powietrznych zatrudniony obecnie przez Continental, znajdował się poza miastem, a kiedy przez dwa dni nie mógł się skontaktować z żoną, zaczął się niepokoić. Poprosił przyjaciółkę Katherine, aby poszła do ich domu. Katherine nie było, nie było też jej samochodu, który znaleziono na parkingu przy Wal-Mart w pobliżu uniwersytetu, gdzie nie zwracał na siebie uwagi, ponieważ przez dwadzieścia cztery godziny na dobę stoi tam mnóstwo samochodów. Kluczyk tkwił w stacyjce, drzwi nie były zamknięte, torebka i portfel Katherine zniknęły.

Poranek wstaje z wolna, jakby jego molekuly dopiero zbierały się na niebie, które obiecuje czysty i jasny błękit. Nicole nie wiedziała o porwaniu aż do wczorajszych wiadomości o szóstej. Nadal nie może w to uwierzyć. Przyjaciółka Katherine Bruce, zgodnie z tym, co podały media, zawiadomiła policję w Baton Rouge wczoraj rano. Informację podano natychmiast w całym kraju. Co robił ten kretyński zespół operacyjny? Podłączyli przyjaciółkę, której tożsamości nie ujawniono, do wykrywacza kłamstw, żeby się upewnić, czy Katherine naprawdę zaginęła? Przekopali podwórze, żeby sprawdzić, czy mąż nie zamordował i nie pogrzebał żony, zanim wyjechał z miasta?

Morderca zyskał osiem dodatkowych godzin. Opinia publiczna straciła osiem godzin. Katherine straciła osiem godzin. Mogła jeszcze żyć, zakładając, że teraz już nie żyje. Ktoś mógł zauważyć ją i mordercę, nigdy

nie wiadomo. Nicole uparcie spaceruje po parkingu Wal-Mart, szukając jakiegoś szczegółu, który mógłby wskazać jej ślad. Ogromne miejsce zbrodni jest nieme, samochód Katherine dawno zniknął, zabrany przez policję. Zostały tylko śmieci, guma do zucia i miliony niedopałków papierosów.

Jest siódma szesnaście, kiedy Nic Robillard dokonuje swojego jedyne dotąd odkrycia, takiego, które w dzieciństwie przejmowało ją dreszczem: widzi dwie ćwierćdolarówki. Obie reszki. To zawsze szczęśliwiej niż orły, a teraz potrzebne jest jej szczęście. Gdy tylko usłyszała wiadomości wczorajszego wieczoru, przybiegła tu natychmiast. Jeśli monety leżały wówczas na asfalcie, nie zauważyła ich w świetle latarki. I nie od razu spostrzegła je rankiem, kiedy tu wróciła i było jeszcze ciemno. Pstryka zdjęcia trzydziestopięciomilimetrowym aparatem, a potem polaroidem i zapamiętuje położenie monet, robiąc notatki, tak jak ją nauczono w akademii policyjnej. Wciąga chirurgiczne rękawiczki i wkłada monety do papierowej koperty, po czym wchodzi do sklepu.

– Muszę się widzieć z kierownikiem – oznajmia kasjerowi, który podlicza zawartość wózka pełnego dziecięcych ubranek, podczas gdy zmęczona młoda kobieta – pewnie matka – wyjmuje MasterCard.

Nicole przypomina sobie o kombinezonie Buddy'ego i czuje się strasznie.

– Tędy. – Kasjer wskazuje jej biuro za dwuskrzydłowymi drzwiami.

Dzięki Bogu, kierownik jest w środku.

Nicole pokazuje mu odznakę i mówi:

– Muszę wiedzieć, gdzie dokładnie znaleziono samochód Katherine Bruce.

Kierownik jest młody i sympatyczny, choć bardzo zdenerwowany.

– Z przyjemnością pani pokażę. Wiem na pewno, gdzie stał. Policja była tu przez kilka godzin, obejrżeli wszystko, a potem go odholowali. To naprawdę straszne.

– Owszem, to straszne – przytakuje Nicole, kiedy wychodzą ze sklepu, a wschodzące słońce zaczyna ukazywać swoje jasne oblicze.

Należąca do Katherine Bruce czarna maxima rocznik 1999 stała około sześciu metrów od miejsca, gdzie Nicole znalazła ćwierćdolarówki.

– Jest pan pewien, że to właśnie tu?

– O tak, jestem pewien, proszę pani. Zaparkowany właśnie tutaj, pięć miejsc od wejścia. Wiele kobiet, które robią zakupy po zmroku, parkuje stosunkowo blisko drzwi frontowych.

Katherine Bruce to nie pomogło. Ale musiała być świadoma niebezpieczeństwa. No cóż, może wcale nie. Większość ludzi woli parkować jak najbliżej wejścia, chyba że jeżdżą drogimi samochodami i nie chcą, żeby ktoś porysował im drzwi. Zwykle martwią się o to mężczyźni. Nicole nigdy nie mogła zrozumieć, dlaczego tak wiele kobiet nie interesuje się samochodami ani ich wartością. Gdyby miała córkę, zadbałaby o to, żeby dziewczynka znała marki wszystkich zagranicznych aut, i powiedziała by jej, że jeśli będzie ciężko pracować, może któregoś dnia zacznie jeździć lamborghini – to samo mówi Buddy’emu, który ma mnóstwo modeli sportowych samochodów i uwielbia wjeżdżać nimi na ściany.

– Czy ktoś zauważył coś niezwykłego tego wieczoru, kiedy tu przyjechała? Czy ktoś widział Katherine Bruce w sklepie? Czy ktoś w ogóle coś widział? – pyta Nicole kierownika. Oboje stoją w tym samym miejscu i rozglądają się wokół.

– Nie. Nie sądzę, żeby w ogóle udało jej się wejść do środka – mówi mężczyzna.

ROZDZIAŁ 88

Bell 407 ma najpiękniejsze kolory, jakie Lucy kiedykolwiek widziała.

I powinien. To jej śmigłowiec i zaprojektowała każdy element jego wyposażenia, z wyjątkiem tych, które są montowane w fabryce. Cztery łopaty wirnika, prędkość maksymalna 140 węzłów (całkiem nieźle jak na niewojskową maszynę) i skomputeryzowany wskaźnik paliwa to tylko kilka podstawowych udogodnień. Do tego dochodzą skórzane siedzenia, nadmuchiwane pływaki na wypadek awarii silnika nad wodą, co jest mało prawdopodobne, dodatkowy zbiornik paliwa oraz system radionawigacji satelitarnej GPS – wszystkie przyrządy nawigacyjne są oczywiście najlepszej jakości.

Łądowisko dla śmigłowców znajduje się nad Hudsonem, w połowie drogi pomiędzy Statuą Wolności a Intrepid. Na stanowisku drugim Lucy obchodzi swoją maszynę po raz czwarty, sprawdzając poziom paliwa, filtry i szczelność systemu hydraulicznego. Jednym z wielu powodów, dla których spędza tyle czasu w siłowni, podnosząc ciężary, jest ten, że gdyby podczas lotu zawiodła hydraulika, mogłaby liczyć tylko na własne mięśnie. Słaba kobieta z pewnością by sobie nie poradziła.

Przesuwa pieścotliwie dłonią po belce ogonowej, a potem znowu przykuca, żeby sprawdzić anteny przy podwoziu. Następnie siada na fotelu pilota i przynagla w myślach Rudy'ego, żeby się pospieszył. Jej życzeniu staje się zadość, ponieważ drzwi na płytę lądowiska otwierają się i wychodzi z nich Musil z płócienną torbą. Zmierza szybko w stronę śmigłowca. Cień rozczarowania przemyka po jego twarzy, gdy spostrzega puste lewe miejsce i uświadamia sobie, że, jak zwykle, przypadnie mu rola

drugiego pilota. W workowatych spodniach i koszulce polo wygląda jak typowy przystojny osiłek.

– Wiesz co? – mówi, zapinając pasy, kiedy Lucy sprawdza przed startem obwody, instrumenty i przepustnicę. – Jesteś cholernie zachłanna. Masz świra na punkcie tego śmigłowca.

– Bo to mój śmigłowiec, dzieciaku. – Lucy włącza akumulator. – Dwadzieścia sześć amperów. Mnóstwo paliwa. Nie zapominaj, mam więcej godzin niż ty – i więcej dyplomów.

– Przestań się chwalić – mówi dobrodusznie Rudy, ponieważ jest w dobrym nastroju, jak zawsze, gdy lecą we dwoje. – Czysto z lewej.

– Czysto z prawej.

ROZDZIAŁ 89

Latanie to jedyna forma euforii, jakiej Rudy'emu dane będzie z nią zaznać.

Lucy nigdy nie kończy tego, co ledwie zaczyna. Rudy mógłby czuć się wykorzystany, kiedy odjechali spod hotelu Radisson w Szczecinie, gdyby nie rozumiał, o co chodzi. Otarcie się o śmierć czy też jakiegokolwiek inne traumatyczne doświadczenia wywołują u większości ludzi prostą reakcję. Pragną wówczas ciepła ludzkiego ciała, a seks daje im pewność, że nadal żyją. Rudy zastanawia się, czy właśnie dlatego on sam nieustannie myśli o seksie.

Nie jest zakochany w Lucy. Nigdy by do tego nie dopuścił. Kiedy zobaczył ją pierwszy raz Bóg wie ile lat temu, nie miał zamiaru się nią zainteresować. Wysiadała z ogromnego śmigłowca Bell 412 po wykonaniu wszystkich popisowych manewrów, których oczekuje FBI, kiedy ważna osobistość, zwłaszcza polityk, odwiedza akademię. Ponieważ Lucy była jedyną kobietą w zespole HRT, Rudy przypuszczał, iż było to poprawne politycznie, aby prokurator generalny czy ktokolwiek to był zobaczył za sterami młodą ładną agentkę.

Rudy patrzył, jak zatrzymała potężną dwusilnikową maszynę i wysiadła, ubrana w granatowy kombinezon i miękkie czarne buty do kostek. Był zaskoczony płomienną urodą Lucy, kiedy przyglądał się, jak szła z pewnością siebie i gracją, bez cienia męskiej toporności. Zaczął się zastanawiać, czy to, co o niej słyszał, jest prawdą. Jej ciało go zachwyliło. Zdawała się poruszać jak egzotyczne zwierzę, tygrys, pomyślał, gdy

podeszła prosto do prokuratora generalnego czy ktokolwiek to był i uprzejmie podała mu rękę.

Lucy jest wysportowana, lecz zdecydowanie kobieca i bardzo przyjemnie jej dotykać. Rudy nauczył się nie kochać jej za bardzo. Wie, kiedy się wycofać.

W ciągu kilku minut śmigłowiec jest gotowy do lotu, awionika i radio włączone, szybkie uderzenia łopat wytwarzają muzykę, którą oboje uwielbiają. Rudy czuje, jak dusza Lucy wznosi się wraz ze śmigłowcem.

– Ruszamy – mówi Lucy do mikrofonu. – Wieża Hudson, śmigłowiec cztery-zero-siedem Tango, Lima, Papa na Trzydziestej Czwartej.

Zawis to jest to, co Lucy lubi najbardziej, i umie trzymać maszynę idealnie nieruchomo, nawet przy silnym wietrze. Pochylając przód śmigłowca nad wodą, zwiększa obroty i startuje.

ROZDZIAŁ 90

Kay Scarpetta złapała najwcześniejszy samolot do Houston i, na skutek godzinnej różnicy czasu, wylądowała na Międzynarodowym Lotnisku George'a Busha o dziesiątej piętnaście.

Stamtąd jazda niemal prosto na północ, do Livingstone, trwała godzinę i czterdzieści minut. Kay nie miała zamiaru wypożyczać samochodu i sama jechać do więzienia. To była mądra decyzja. Chociaż nie liczyła, droga miała wiele zakrętów, to najdłuższy odcinek US59, który ciągnie się niemal bez końca. Teraz doktor Scarpetta czuje się tak, jakby była nowym rekrutem przyjmującym rozkazy.

Jest w swoim najbardziej beznamiętnym nastroju, stała się osobą, w którą się wciela, kiedy zeznaje w sądzie, a obrońcy atakują jak rekiny, wietrzące zapach krwi. Rzadko bywa ranna. Nigdy śmiertelnie. Zamknięta głęboko w twierdzy swego analitycznego umysłu, milczy przez całą drogę. Nie odzywa się do kobiety za kierownicą, chyba że po to, by wydać instrukcje. Tamta wyglądała na gadatliwą, więc kiedy Kay wsiadała do czarnego lincolna, powiedziała jej, że nie chce rozmawiać. Ma pracę do wykonania.

– Nie ma sprawy – odrzekła kobieta ubrana w czarny uniform, w którego skład wchodzi czapka i krawat.

– Może pani zdjąć czapkę – zaproponowała doktor Scarpetta.

– No cóż, dziękuję – odparła kobieta z ulgą. – Nie potrafię wyrazić, jak jej nienawidzę, ale większość pasażerów życzy sobie, żebym wyglądała jak prawdziwy kierowca.

– Dla mnie nie musi pani – powiedziała Kay.

Przed nimi majaczy więzienie, nowoczesna forteca, która wygląda jak ogromny frachtowiec zbudowany z betonu, z rzędem okien biegnących pod płaskim dachem, gdzie dwaj robotnicy rozmawiają i gestykulują. Na otaczającym budynek rozległym trawniku piętrzą się grube zwoje drutu kolczastego, który lśni w słońcu jak srebro. Strażnicy na wieżyczkach patrzą przez lornetki.

– No, no – mruży kobieta. – Muszę przyznać, że trochę mnie to deprymuje.

– Wszystko będzie dobrze – zapewnia ją Kay. – Pokażą pani, gdzie zaparkować, i zostanie pani w samochodzie. Może pani w ogóle nie wysiadać.

– A jeśli będę musiała skorzystać z toalety? – niepokoi się kobieta, zwalnając przy budce wartowniczej, która wyznacza początek strefy wzmocnionego bezpieczeństwa i najbardziej przerażającego zadania, jakiego doktor Scarpetta kiedykolwiek się podjęła.

– Wtedy chyba będzie musiała pani kogoś zapytać – odpowiada z roztargnieniem, opuszczając szybę i podając umundurowanemu strażnikowi swoje prawo jazdy i dokumenty lekarza sądowego, lśniącą mosiężną plakietkę i dowód tożsamości w czarnym portfelu.

Kiedy odchodziła ze swojego stanowiska w Richmondzie, zrobiła to samo, co Marino, nie zwróciła odznaki. Nikt nie pomyślał, żeby o to poprosić. A może nikt nie śmiał. Doktor Scarpetta może i nie jest już głównym koronerem Wirginii, ale to, co powiedziała wczoraj wieczorem Lucy, jest prawdą. Nikt nie może pozbawić Kay tego, kim jest i jakie ma osiągnięcia w pracy, którą kocha. Kay Scarpetta wie, że jest dobra, nawet jeśli nigdy by tego nie powiedziała.

– Z kim chce się pani zobaczyć? – pyta strażnik, zwracając jej prawo jazdy i dokumenty.

– Z Jean-Baptiste’em Chandonne’em. – Jego nazwisko z trudem przechodzi jej przez gardło.

Strażnik jest dosyć niedbały, biorąc pod uwagę otoczenie i odpowiedzialność. Sądząc po zachowaniu i wieku, prawdopodobnie pracował w więziennictwie przez długi czas i ledwo zauważa groźny świat, do którego wkracza na początku każdej zmiany. Wchodzi do swojej budki i sprawdza listę.

– W porządku – mówi, wychodząc z budki i wskazując szklany fronton więzienia. – Podjedzie pani tam i ktoś pani powie, gdzie zaparkować. Naczelnik wydziału informacji spotka się z panią na zewnątrz.

Teksańska flaga zdaje się zapraszać doktor Scarpettę. Niebo jest przejrzyste niebieskie, temperatura przypomina jesień. Ptaki prowadzą ożywioną rozmowę, natura nie przestaje być sobą, niewrażliwa na zło.

ROZDZIAŁ 91

Życie w Bloku A właściwie się nie zmienia.

Skazańcy przychodzą i odchodzą, a stare nazwiska otacza milczenie. Po kilku dniach, może tygodniach – Jean-Baptiste często traci poczucie czasu – nowi, którzy przybyli, aby oczekiwać na śmierć, stają się nazwiskami kojarzonymi z celami zajmowanymi wcześniej przez stare nazwiska, należące do innych więźniów, którzy oczekiwali na egzekucję. Blok A cela 25 to Bestia – ten za kilka godzin zostanie przeniesiony do innej. Blok A cela 30 to Jean-Baptiste. Blok A cela 31, zaraz na prawo od Jean-Baptiste’a, to Ćma – morderca-nekrofil, który ożywia się po zgaszeniu świateł, nazywany tak, ponieważ ma drżące dłonie, które niemal trzepoczą, i prawie szarą skórę. Lubi spać na podłodze, a jego więzienna odzież jest zawsze pokryta szarym kurzem przypominającym pyłek na skrzydłach ćmy.

Jean-Baptiste goli sobie grzbiety dłoni, długie pasma włosów spadają do umywalki z nierdzewnej stali.

– W porządku, Włochaty. – Czyjeś oczy spoglądają przez małeńkie okienko w drzwiach. – Twoje piętnaście minut prawie minęło. Jeszcze dwie minuty i zabieram brzytwę.

– *Certainement*. – Namydla drugą dłoń mydłem o tanim zapachu i powraca do golenia, uważając na kłykcie.

Pęki włosów w uszach są zdradliwe, ale udaje mu się.

– Czas minął.

Jean-Baptiste ostrożnie płucze brzytwę.

– Ogoliłeś się. – Ćma mówi bardzo cicho, tak cicho, że inni więźniowie ledwo go słyszą.

– *Oui, mon ami*. Wyglądam pięknie.

Zakrzywiony klucz, który wygląda jak łom, zgrzyta w szczelinie u dołu drzwi i wysuwa się szuflada. Strażnik cofa się poza zasięg bladych, bezwłosych palców, wkładających do szuflady niebieską brzytwę.

ROZDZIAŁ 92

Ćma siedzi i toczy piłkę do koszykówki pod ścianę, precyzyjnie, tak że piłka zawsze wraca do niego po linii prostej.

Jest do niczego, tak słaby, że jedyną przyjemnością, jaką czerpał z zabijania, był seks z martwymi ciałami. Martwe ciało nie ma żadnej energii, krew nie może już wtedy być magnesem. Jean-Baptiste odkrył bardzo skuteczną metodę, kiedy doprowadzał swoje wybranki do ekstazy. Osoba z poważnymi obrażeniami głowy może żyć przez jakiś czas, dostatecznie długo, by on mógł gryźć i ssać żywe ciało i krew, doładowując swój magnetyzm.

– Cudowny dzień, prawda? – Ciche komentarze Ćmy docierają do celi Jean-Baptiste’a, ponieważ ma on uszy, które odbierają ledwo słyszalny głos. – Żadnych chmur, ale później będzie trochę bardzo wysokich, a pod wieczór przesuną się na południe.

Ćma ma radio i obsesyjnie słucha prognozy pogody.

– Widzę, że panna Gittleman ma nowy samochód, piękny mały srebrny bmw roadster.

Wąskie okno, znajdujące się w każdej celi, wychodzi na parking za więzieniem i z braku innych widoków do oglądania więźniowie bloku śmierci patrzą na niego przez większą część dnia. W jakimś sensie jest to akt zastraszenia. Uwaga o nowym bmw panny Gittleman to najlepsza groźba, na jaką Ćma może się zdobyć. Tutejsi strażnicy z pewnością przekażą innym strażnikom, którzy z kolei przekażą pannie Gittleman, młodej i bardzo ładnej zastępczyni naczelnika wydziału informacji publicznej, że skazanym podoba się jej nowy samochód. Żaden pracownik

więzienia nie chce, aby przestępcy tak podli, że zasługują na śmierć, znali jakiegokolwiek szczegóły z jego życia prywatnego.

Jean-Baptiste jest zapewne jedynym więźniem, który rzadko wygląda przez szczelinę, mającą w zamyśle być oknem. Po zapamiętaniu wszystkich pojazdów, marek, modeli, a nawet niektórych numerów rejestracyjnych i kierowców, nie widzi żadnego celu w patrzeniu na bladobłękitne lub zachmurzone niebo. Wstaje z toalety, nie zadając sobie trudu, by podciągnąć spodnie, i wygląda na parking. Uwaga Cmy go zaciekała. Spozstrzega bmw, a potem znowu siada na toalecie, aby rozmyślać.

Rozmyśla nad listem, który wysłał do pięknej doktor Scarpetty. Wierzy, że to zmieni wszystko, i wyobrażają sobie, jak czyta i poddaje się jego woli.

Dzisiaj Bestia będzie miał cztery godziny na spotkanie z księdzem i rodziną. Potem wybierze się na krótką przejażdżkę do Huntsville, do Domu Śmierci. O szóstej po południu umrze.

To też wiele zmienia.

Jean-Baptiste zauważa złożoną kartkę wsuniętą pod prawy róg drzwi. Odrywa kawałek papieru toaletowego i, znów bez podciągania spodni, podnosi ją i wraca na toaletę.

Bestia zajmuje całą piątą na lewo od Jean-Baptiste'a, a on zawsze potrafi rozpoznać, kiedy wiadomość podana z celi do celi pochodzi od tamtego. Złożony papier nabiera odcienia wytartej szarości, włókna na zgięciach są osłabione od ciągłego otwierania i składania, ponieważ każdy więzień po drodze czyta wiadomość, a niektórzy dodają własne komentarze.

Jean-Baptiste kuli się na toalecie z nierdzewnej stali, długie włosy na plecach lepią się od potu, który przesiąka przez białą koszulkę. Zawsze jest mu gorąco, kiedy jest namagnetyzowany, a znajduje się w stanie ciągłego magnetyzmu, ponieważ jego elektryczność krąży w metalu celi, dąży do

żelaza w jego krwi, a potem znowu wypływa, żeby zamknąć kolejny obwód, bez końca, bez końca, bez końca.

Dzisiaj – napisał ołówkiem półanalfabeta Bestia – bendziesz sie cieszył, kiedy mnie wywiozq. Bendziesz za mnq tęsknił? Chyba nie.

Tym razem Bestia nie znieważa go, chociaż dla innych więźniów gryps brzmi jak szyderstwo, tego Jean-Baptiste jest pewien.

Odpisuje: *Ty nie musisz za mnq tęsknić, mon ami.*

Bestia będzie wiedział, co Jean-Baptiste ma na myśli, chociaż nie będzie wiedział, co Jean-Baptiste zrobi, żeby uratować Bestię od śmierci. Na metalowych pomostach dźwięczą kroki, kiedy przechodzą strażnicy. Jean-Baptiste drze liścik na maleńkie kawałeczki i wkłada je do ust.

ROZDZIAŁ 93

Musiała zaparkować, a morderca podszedł do niej, zanim zdążyła wyjąć kluczyki ze stacyjki.

Nicole zakłada, że torebka i portfel mogły zostać wyrzucone na parkingu i po dwóch dniach z pewnością ktoś je podniesie. Niestety, więcej jest nieuczciwych znalazców. Na temat porwania Katherine Bruce tyle się mówi w mediach, że ten, kto znajdzie jej torebkę i portfel, z pewnością będzie wiedział, że jest w posiadaniu dowodu rzeczowego. Zasmarkany gnojek, który kieruje się etyką sytuacyjną, nie zawiadomi policji i nie przyzna pośrednio, że zamierzał zatrzymać torebkę i portfel, dopóki się nie dowiedział, iż należały do zamordowanej kobiety, zakładając, że Katherine została zamordowana.

Jeśli jeszcze nie, to wkrótce zostanie.

Potem Nicole uświadamia sobie ze złością, że jeśli torebka i portfel zostały przez kogoś zabrane, ten, kto je miał, mógł zawiadomić wszechpotężną grupę operacyjną z Baton Rouge, która, jakże by inaczej, znalazła jakiś idiotyczny powód, żeby nie przekazywać informacji prasie ani kolegom i koleżankom po fachu. Nic nie może przestać myśleć o Wal-Mart i o tym, że sama była tam mniej więcej w czasie, kiedy Katherine Bruce została porwana i wywieziona prawdopodobnie do tego samego ukrytego miejsca, dokąd morderca zabierał wszystkie swoje ofiary.

Nicole bierze pod uwagę możliwość, że Katherine Bruce mogła być w Wal-Mart, kiedy ona tam zajrzała, tak jak robi to zawsze po powrocie z Knoxville.

Fotografie ładnej jasnowłosej kobiety pojawiają się nieustannie w wiadomościach telewizyjnych i we wszystkich gazetach, które Nic Robillard bierze do ręki. Nie pamięta, by zauważyła kogokolwiek, kto byłby chociaż trochę podobny do tamtej, kiedy wybierała wzory do wyhaftowania, chociaż nie ma pojęcia o haftach, i udawała zainteresowanie kolorową bielizną, której nigdy by nie nosiła.

Z jakiegoś powodu od czasu do czasu przychodzi jej na myśl dziwna kobieta, która upadła na parkingu i stłukła sobie kolano. Coś w tej kobiecie ją niepokoi.

ROZDZIAŁ 94

Podczas przyływu małe łodzie mogą wpływać do strumieni i zatoczek, gdzie zwykle nie da się wpłynąć i gdzie rozsądni ludzie prawie nigdy się nie zapuszczają.

Darren Citron jest znany z tego, że krąży swoją starą motorówką po płytkich wodach i wpływa do błotnistego ujścia strumienia, który upatrzy sobie danego dnia. W tej chwili przyływ jest trochę niższy, aniżeli chłopak by chciał, ale łódź mknie z pełną prędkością po Blind River i niemal grzęźnie w szlamie, który może mieć do dwóch metrów głębokości. W błocie można stracić buty, a chociaż Darrenowi zwykle udaje się zepchnąć łódź z mielizny, nie lubi brodzić w wodzie pełnej mokasynów.

Mieszka tutaj na stałe, ma osiemnaście lat, jest zawsze opalony na kolor palonego orzecha. Spędza czas na łowieniu ryb i szukaniu nowych miejsc do polowania na aligatory. Z powodu tego ostatniego zajęcia Darren nie jest szczególnie lubiany. Jeśli zasadza się na wielkie sztuki, za których skóry, mięso i łby można dostać dobrą cenę, potrzebuje mocnej liny, wielkiego stalowego haka i oczywiście przynęty. Im wyżej przynęta zwisa nad wodą, tym większy musi być aligator, żeby jej dosięgnąć. Najlepszą przynętą są psy. Darren jeździ po nie do schronisk w całej okolicy, ludzie nabierają się na jego miły sposób bycia. Robi to, co musi, tłumacząc sobie, że zwierzaki i tak zostałyby uspione. Kiedy poluje na aligatora, myśli o aligatorze, nie o przynęcie czy o tym, jak ją zdobył. Aligatory łapią się nocą, zwłaszcza gdy Darren siedzi bardzo spokojnie w łodzi i odtwarza taśmę z nagrany skomleniem psa. Potrafi całkowicie zapomnieć o przynęcie, myśląc tylko o wielkim aligatorze, który wynurzy się z wody, kłapnie szczękami i złapie

się na hak. Wtedy wkracza Darren i humanitarnie strzela gadowi w łeb z karabinu.

Citron płynie wzdłuż brzegu porośniętego liliami i ostrą trawą, w cieniu cyprysów udrapowanych w pnącza, z węzlastymi korzeniami. Aligatory wchodzą do wody i wychodzą na brzeg, zwłaszcza jeśli samica złożyła jaja. Długie ogony gadów pozostawiają ślady, a kiedy Darren widzi ich wiele, rejestruje to miejsce w pamięci i wraca tam po zmroku, jeśli pogoda i przyływ pozwalają.

Woda jest pokryta kożuchem rzęsy, a błękitna czapla podrywa się do lotu, niezadowolona z wtargnięcia człowieka i motoru. Darren wypatruje śladów. Podążają za nim opalizujące ważki. Oczy aligatora przypominają małe tunele tuż nad powierzchnią wody. Za zakrętem dostrzega mnóstwo gadzich śladów i żółtą nylonową linę zwisającą z drzewa. Przynętą na wielkim stalowym haku jest ludzkie ramię.

ROZDZIAŁ 95

Dzisiaj po raz pierwszy od ponad pięciu lat Benton Wesley rozmawia z senatorem Frankiem Lordem. Obaj korzystają z płatnych telefonów.

Dla Bentona jest to niemal komiczne, kiedy wyobraża sobie przesadnie schludnego i nienagannie ubranego senatora Lorda, który jedzie ze swego domu w Wirginii Północnej na Kapitol i zatrzymuje się na stacji benzynowej, by skorzystać z płatnego telefonu. Wesley zaaranżował tę rozmowę po otrzymaniu wczorajszego wieczoru bardzo nieoczekiwanego emaila od senatora.

Brzmiał on: „Problem. Jutro 7:15. Zostaw mi numer”.

Benton przesłał emailiem numer telefonu, z którego właśnie korzysta, a który wybrał wczoraj wieczorem. Zawsze należy wybierać najprostszy, najbardziej oczywisty plan. Te szczegółowe i skomplikowane przeważnie zawiodą na całej linii.

Opiera się o ścianę, obserwując swojego odrapanego cadillaca, upewniając się, czy nikt się nie zbliża do auta lub nie okazuje zainteresowania jemu. W głowie Bentona dźwięczą wszystkie dzwonki alarmowe. Senator Lord opowiada mu o liście Chandonne’a do doktor Scarpetty, tym wykaligrafowanym.

– Jak się o tym dowiedziałeś? – pyta Wesley.

– Jaime Berger zadzwoniła wczoraj wieczorem do mnie do domu, bardzo zaniepokojona, że Chandonne zastawił pułapkę, a Kay w nią wchodzi. Jaime oczekuje ode mnie pomocy, interwencji. Ludzie zapominają, że mam swoje ograniczenia. Co prawda, moi wrogowie o tym nie zapominają.

Senator chciałby wysłać zastępy agentów federalnych do Baton Rouge, ale nawet on nie może nagiąć prawa. Tamtejszy zespół operacyjny musi zaprosić FBI do udziału w śledztwie, a praktycznie rzecz biorąc, do przejęcia śledztwa. Te seryjne porwania – a właściwie morderstwa, bo o nie właśnie chodzi – stwarzają nieprzewyciężony problem kompetencyjny, gdy agenci wkraczają do akcji na własną rękę. Żadne prawa federalne nie zostały złamane.

– Cholerna niekompetencja – narzeka senator Lord. – Cholerni nieudolni głupcy!

– To już nie potrwa długo – mówi Benton do telefonu. – List oznacza, że sytuacja zbliża się do prawdopodobnego rozwiązania. Nie takiego, jak chciałem. To źle, bardzo źle. Nie martwię się o siebie.

– Można nad tym zapanować?

– Tylko ja wiem, jak to zrobić. Musiałbym się ujawnić.

Długa pauza, a potem senator Lord przyznaje:

– Tak, chyba tak. Ale jeśli do tego dojdzie, nie będzie już odwrotu. Nie możemy przechodzić przez to jeszcze raz. Czy naprawdę...?

– Muszę. Ten list diametralnie wszystko zmienia, a wiesz, jaka jest Kay. On próbuje ją tam zwabić.

– Ona już tam jest.

– W Baton Rouge? – Benton jest przerażony.

– W Teksasie. Mam na myśli Teksas.

– Chryste. To też niedobrze. Nie, nie, nie. List. Ten jest prawdziwy. W Teksasie nie jest dla niej bezpiecznie.

Przez chwilę rozważa, co wyniknie z wizyty Kay u Chandonne'a. Pierwotnie z powodów taktycznych i osobistych chciał, żeby do niego pojechała. Ale jeśli ma być wobec siebie szczery, nigdy nie myślał, że ona

to zrobi. Naprawdę nie przypuszczał, że Kay się zdecyduje, mimo jego usilnych starań. A teraz nie powinno jej tam być. Chryste.

– Ona tam jest – przypomina mu senator Lord.

– Frank, on zamierza uciec.

– Nie rozumiem jak. Nie z tego miejsca. Niezależnie od tego, jaki jest sprytny. Uprzedzę ich natychmiast.

– Jest więcej niż sprytny. To jest tak: jeśli on próbuje zwabić ją do Baton Rouge, musi mieć plan, jak się tam dostać. Znam go i znam Kay. Z Teksasu pojedzie prosto do Baton Rouge. Chyba że on przechwyci ją wcześniej, w Teksasie, jeśli może działać tak szybko. Miejmy nadzieję, że nie. Ale tak czy inaczej, grozi jej poważne niebezpieczeństwo. Nie tylko z jego strony, ale też ze strony jego przyjaciół. Muszą być w Baton Rouge. Jego brat tam jest. Morderstwa nabierają teraz sensu. To on je popełnia, a ta kobieta prawdopodobnie mu pomaga. Ponieważ nie została jeszcze schwytana, zakładam, że Talley i Bev Kiffin są razem, ukrywają się.

– Czy porywanie kobiet to nie za wielkie ryzyko dla tak poszukiwanych zbiegów?

– On się nudzi – wyjaśnia krótko Benton.

ROZDZIAŁ 96

Strażnicy na Oddziale Polunsky'ego noszą szare mundury i czarne baseballowe czapki.

Kajdanki zwisają u pasów dwóch funkcjonariuszy prowadzących Chandonne'a przez szereg ciężkich drzwi, które zatraskują się tak głośno, że brzmi to jak wystrzał z pistoletu wielkiego kalibru w pomieszczeniu o stalowych ścianach. Każda eksplozja jest zastrzykiem energii dla Jean-Baptiste'a, który idzie swobodnie, tylko nadgarstki ma skute. Wszędzie wokół niego są tony stali, które magnetyzują go i przemieniają w słoneczny ogień. Z każdym krokiem jego potęga rośnie.

– Nie rozumiem, czemu ktoś chce cię odwiedzić – mówi mu jeden ze strażników. – To pierwszy raz, co?

Nazywa się Phillip Wilson. Jeździ czerwonym mustangiem z rejestracją STRNK.

STRAŻNIK. Jean-Baptiste domyślił się tego już pierwszego dnia.

Nie odzywając się do funkcjonariuszy, przechodzi przez kolejne drzwi w fali palącego gorąca.

– Ani jednego gościa? – dziwi się drugi, Ron Abrams, biały, szczupły, z przerzedzonymi brązowymi włosami. – To naprawdę smutne, monsieur Chandonne – dodaje szyderczo.

Rotacja wśród strażników jest bardzo duża. Ron Abrams jest nowy, a Jean-Baptiste wyczuwa, że tamten chciał zaprowadzić osławionego Wilkołaka do pokoju widzeń. Nowi funkcjonariusze zawsze są ciekawi Jean-Baptiste'a. Potem przyzwyczajają się do niego i nawet robią się zdegustowani. Ćma mówi, że strażnik Abrams jeździ czarną toyotą. Ćma

zna wszystkie samochody na parkingu, tak jak zawsze zna najświeższą prognozę pogody.

Tył rozmównicy stanowi gruba drucziana siatka pomalowana na biało. Strażnik Wilson otwierają, zdejmując więźniowi kajdanki i zamyka go w rozmównicy, gdzie znajduje się krzesło, półka i czarny telefon przytwierdzony do metalowego kabla.

– Poproszę pepsa i czekoladowe herbatniki – mówi Jean-Baptiste przez siatkę.

– Masz pieniądze?

– Nie mam pieniędzy – odpowiada cicho Jean-Baptiste.

– Dobra. Tym razem zrobię ci grzeczność, ponieważ nikt cię jeszcze nie odwiedzał, a ta pani nie będzie taka głupia, żeby ci cokolwiek kupować, dupku. – To strażnik Abrams odzywa się tak grubiańsko.

Jean-Baptiste ogląda przez szybę uderzająco czysty, przestronny pokój. Nie potrzebuje oczu, żeby widzieć automaty ze słodyczami i wszystko, co jest w środku, a także trzech gości rozmawiających przez telefon z trzema więźniami z bloku śmierci.

Nie ma jej tutaj.

Prąd elektryczny Jean-Baptiste'a iskrzy gniewem.

ROZDZIAŁ 97

Jak to się często zdarza, kiedy sytuacja nagli, najlepsze starania krzyżuje jakiś drobiazg.

Senatorowi Lordowi nigdy nie przeszkadza, jeśli musi zatelefonować sam. Nie ma żadnych egoistycznych zahamowań i uważa, że szybciej jest załatwić sprawę osobiście niż wyjaśniać ją komuś innemu. Gdy tylko odwiesza słuchawkę płatnego telefonu, wraca do samochodu i jedzie na północ, rozmawiając ze swoim głównym doradcą.

– Jeff, potrzebny mi numer naczelnika Oddziału Polunsky’ego. Natychmiast.

Robienie notatek podczas jazdy autostradą 195 w godzinie szczytu jest niezwykłą sztuką, której senator musiał się nauczyć wiele lat temu.

Wciska zły guzik i nie słyszy swojego rozmówcy.

Telefonuje ponownie, lecz nie uzyskuje połączenia. Kiedy wreszcie mu się to udaje, wita go poczta głosowa, ponieważ Jeff też próbuje się do niego dodzwonić.

– Zwolnij linię! – krzyczy senator, chociaż nikt go nie słyszy.

Dwadzieścia minut później sekretarka wciąż usiłuje zlokalizować naczelnika.

Senator Lord czuje – zdarzało się to już wcześniej – że nie jest pewna, czy osobą na drugiej linii jest naprawdę senator Frank Lord, jeden z najpotężniejszych i najbardziej znanych polityków w kraju. Zazwyczaj ważni ludzie pozwalają mniej ważnym umawiać spotkania i przeprowadzać rozmowy telefoniczne.

Senator Lord obserwuje pełznące w ślimaczym tempie samochody oraz wściekłych kierowców i czeka przez kilka minut. Nikt obdarzony inteligencją, a w każdym razie mający pewność, z kim rozmawia, nie ośmieliłby się kazać mu czekać. To jego nagroda za pokorę i za to, że sam potrafi o siebie zadbać, co obejmuje odbieranie rzeczy z pralni, robienie zakupów i rezerwacji w restauracjach, pomimo stałych problemów z właścicielami, którzy niczego nie zapisują, przekonani, że to żart lub że ktoś próbuje podstępem zdobyć najlepszy stół.

– Przepraszam. – Sekretarka wreszcie wraca. – Nie mogę go zlokalizować. Jest bardzo zajęty, ponieważ wieczorem odbędzie się egzekucja. Czy mogę zostawić wiadomość?

– Jak masz na imię?

– Jodi.

– Nie, Jodi, nie możesz zostawić wiadomości. To bardzo pilne.

– No cóż – waha się sekretarka – identyfikator nie wskazuje, że dzwoni pan z Waszyngtonu. Nie mogę tak po prostu wyrwać naczelnika z ważnego spotkania, żeby się potem okazało, że to wcale nie pan.

– Nie mam na to czasu. Znajdź go. Albo, na miłość boską, czy ten człowiek ma zastępcę?

Znów wciska niewłaściwy guzik i mija piętnaście minut, nim ponownie udaje mu się dodzwonić do sekretarki. Odeszła od biurka. Telefon odbiera inna młoda kobieta i wszystko się powtarza.

ROZDZIAŁ 98

– Niedobrze mi się robi od tego – mówi Nicole ojcu.

Pojechała do mieszczącego się w starym ceglany budynku wydziału policji w Baton Rouge i dotarła tylko do sieni na parterze. Kiedy powiedziała, że prawdopodobnie ma dowody rzeczowe, pojawił się detektyw w cywilnym ubraniu i spojrzał na ćwierćdolarówki w kopercie. Popatrzył na ich fotografie zrobione polaroidem na parkingu przy Wal-Mart i bez zainteresowania wysłuchał wyjaśnień i teorii Nicole, zerkając co chwila na zegarek. Wręczyła mu monety, pewna, że kiedy wróci do tak zwanego pokoju operacyjnego, stanie się to dowcipem dnia.

– Wszyscy pracujemy nad tymi samymi sprawami, a te fiuty nie chcą mnie słuchać. Przepraszam. – Czasami zapomina, że ojciec nienawidzi takich słów. – Może wiedzą coś, co mogłoby pomóc w naszym śledztwie w Zachary. Ale nie. Mam im powiedzieć wszystko, co wiem, ale to nie działa w drugą stronę.

– Wyglądasz na bardzo zmęczoną, Nic – zauważa ojciec, kiedy jedzą kaszę, jajecznicę z serem i pikantne paszteciki.

Buddy jest w swojej krainie fantazji z zabawkami i telewizorem.

– Może jeszcze kaszy? – pyta ojciec.

– Już nie mogę. Ale gotujesz najlepszą kaszę, jaką w życiu jadłam.

– Zawsze to mówisz.

– Bo to zawsze prawda.

– Bądź ostrożna. Ci chłopcy w Baton Rouge nie lubią takich ludzi jak ty.

A zwłaszcza takich kobiet jak ty.

– Nawet mnie nie znają.

– Nie muszą cię znać, żeby cię nienawidzić. Pragną uznania. Kiedy byłem młody, uznanie oznaczało, że ktoś ci ufa – mogłaś zrobić zakupy w pobliskim sklepie i zapłacić później. Nikt nie chodził głodny. Dzisiaj uznanie to czysty egoizm. Ci chłopcy w Baton Rouge pragną uznania, uznania, uznania.

– Opowiedz mi o tym. – Nicole smaruje masłem następną grzanekę. – Za każdym razem, kiedy gotujesz, jem za dużo.

– Ludzie, którzy pragną uznania, kłamią, oszukują i kradną – ciągnie ojciec.

– A tymczasem kobiety umierają. – Nic traci apetyt i odkłada grzanekę z powrotem na talerz. – Kto jest gorszy? Człowiek, który to robi, czy ludzie, którzy pragną uznania i nie przejmują się ofiarami ani niczym innym?

– Dwa zła nigdy nie tworzą dobra, Nic – mówi ojciec. – Cieszę się, że tam nie pracujesz. Martwiłbym się o twoje bezpieczeństwo jeszcze bardziej niż teraz. I nie z powodu tego szaleńca, lecz z powodu twoich kolegów.

Nicole rozgląda się po skromnej kuchni swojego dzieciństwa. Od śmierci matki nic w domu nie zostało unowocześnione ani zmienione. Elektryczna kuchenka z czterema palnikami, biała lodówka, podobnie jak blaty szafek. Jej matka chciała urządzić kuchnię w stylu francuskiej wsi, zamierzała znaleźć stare meble i biało-niebieskie firanki, może jakieś ciekawe kafelki na ściany. Ale nie zdążyła. Zatem kuchnia jest po prostu biała. Nicole jest pewna, że gdyby jakieś urządzenie zepsuło się na dobre, ojciec nigdy by go nie wyrzucił. W razie konieczności brałby codziennie jedzenie na wynos. Męczy ją świadomość, że ojciec nie może uwolnić się od przeszłości. Nurtuje go cichy smutek i gniew.

Odsuwa krzesło i całuje ojca w czubek głowy, jej oczy wypełniają się łzami.

– Kocham cię, tato. Opiekuj się Buddym. Obiecuję, że pewnego dnia będę dobrą matką.

– Jesteś dobrą matką. – Patrzy na nią ze swojego miejsca przy stole, dłubiąc widelcem w jajeczniczy. – Nie chodzi o to, ile czasu z nim spędzasz, ale jaki jest ten czas.

Nicole myśli o swojej matce. Jej czas szybko się skończył, ale każda minuta była dobra. Przynajmniej tak się teraz wydaje.

– A teraz płaczesz – mówi ojciec. – Powiesz mi w końcu, co się z tobą dzieje, Nic?

– Nie wiem, nie wiem. Zajmuję się własnymi sprawami i nagle wybucham płaczem. Myślę, że to z powodu mamy, tak jak ci mówiłam. To, co się tu dzieje, przywołało wspomnienia, albo po prostu otworzyło w mojej głowie jakąś zapadnię. Zapadnię, o której nie miałam pojęcia i która prowadzi do mrocznego, przerażającego miejsca, tato. Proszę, zapal mi światło. Proszę.

Ojciec powoli wstaje od stołu, wiedząc, o co jej chodzi. Wzdycha.

– Nie rób sobie tego, Nic – mówi ponuro. – Widzisz, co się stało ze mną. Przestałem żyć. Wiesz, że tak jest. Kiedy przychodziłem co wieczór do domu i widziałem... – Chrząka, powstrzymując łzy. – Czułem, jak wszystko we mnie drży, jak coś szarpie mi serce. Dlaczego chcesz wracać do tamtych spraw?

– Ponieważ są prawdziwe. I może moje wyobrażenia są gorsze, ponieważ nie znam prawdy.

Ojciec kiwa głową i znowu wzdycha.

– Chodźmy na strych. Pod tymi starymi dywanami w kącie jest mały niebieski neseser. Należał do niej.

– Pamiętam – szepcze Nicole, przypominając sobie matkę wychodzącą z domu z niebieskim neseserem tego dnia, kiedy jechała do Nashville

odwiedzić ciotkę, która miała operację oka.

– Zamek cyfrowy nigdy nie został ustawiony, ponieważ powiedziała, że nie zdołałaby zapamiętać kombinacji. Zero-zero-zero, tak jak w nowym. – Ojciec znowu chrząka, patrząc w bok. – To, o co pytasz, jest w środku. Parę rzeczy, których nie powinienem widzieć, ale byłem taki sam jak ty. Po prostu musiałem wiedzieć. A uczyłem córkę szefa policji, więc miałem dojście, przyznaję ze wstydem. Obiecałem komendantowi, że dam jej lepszą ocenę, niż na to zasługiwała, i rekomendację do college’u, która była jednym wielkim kłamstwem. Moją karą jest to, że dostałem, co chciałem – ciągnie. – Tylko nie znoś tych papierów na dół. Nie chcę ich więcej oglądać.

ROZDZIAŁ 99

Zastępczyni naczelnika Pio Jayne Gittleman tłumaczy się gęsto, że kazała doktor Scarpette czekać.

Przez piętnaście minut Kay stała przed drzwiami frontowymi, pod tabliczką z napisem „Oddział Allana B. Polunsky’ego”, pocąc się w słońcu. Czuje się brudna i nieświeża po podróży. Jej cierpliwość jest na wyczerpaniu, mimo postanowienia, by panować nad emocjami. Ponad wszystko w świecie chce mieć to wreszcie za sobą.

– Dziennikarze bez przerwy dzwonią, ponieważ mamy dziś wieczorem egzekucję – wyjaśnia panna Gittleman.

Wręcza przybyłej plaketkę gościa, a Kay przypinają do klapy tego samego kostiumu, który miała na sobie w różnych samolotach od opuszczenia Florydy. Spodnie są czarne i przynajmniej wyprasowała je w swoim pokoju w nowojorskim hotelu Melrose po rozstaniu z siostrzenicą. Lucy nie wie, gdzie w tej chwili jest jej ciotka. Gdyby Kay jej powiedziała, siostrzenica próbowałaby ją powstrzymać lub upierała się, że pojedzie razem z nią. Doktor Scarpetta zaryzykowała i poleciała na zachód bez zapowiedzi, zatelefonowała na Oddział Polunsky’ego dopiero po wylądowaniu w Houston. Jej pewność, że Chandonne zechce z nią porozmawiać, została potwierdzona nieprzyjemnym odkryciem, iż znajduje się na liście odwiedzających. Przynajmniej jego niesmaczny dowcip okazał się użyteczny. Jest tutaj. A im mniej czasu on będzie miał na myślenie o spotkaniu z nią, tym lepiej.

Strażnicy sprawdzają dokumenty, a panna Gittleman prowadzi ją przez szereg łomoczących stalowych bram, a następnie przez ogród z

piknikowymi stołami pod parasolami, najwyraźniej przeznaczonymi dla personelu. Kay zatrzymuje się przed pięciorgiem zamkniętych elektronicznie drzwi, dochodząc po drodze do niepokojącej konkluzji, że w ogóle nie powinna tu przyjeżdżać. Chandonne nią manipuluje i będzie żałowała tej wizyty, ponieważ robi dokładnie to, czego on chce, i wyjdzie na idiotkę.

W poczekalni dla odwiedzających jej kroki wydają się bardzo głośne i jest boleśnie świadoma swojego wyglądu, kiedy idzie po lśniącej kafelkowej podłodze. Ponieważ wierzy w psychologię ubioru i zachowania, jej wejście jest pozbawione stylu. Wolałaby być nienagannie ubrana w oficjalny garnitur, najlepiej w jodełkę, i w białą koszulową bluzkę ze sztywnymi mankietami. Prawdopodobnie, myśli, nie wywarłaby większego wrażenia na tym skurwielu, który próbował ją zabić, ale czułaby się mniej zagrożona.

Kolana uginają się pod nią na widok Jean-Baptiste'a Chandonne'a w rozmównicy numer dwa. Gładko ogolony, łącznie z rękami i głową, siedzi odprężony za szybą, pije pepsi i zajada czekoladowe herbatniki, udając, że nie zauważa gościa.

Doktor Scarpetta przygląda mu się otwarcie, nie podejmując gry, którą rozpoczął, i zdumiewa się, widząc go ogolonego i ubranego na białą. Jest brzydki, ale wygląda niemal normalnie bez swoich jasnych, dziecięcych włosów, które zwisały w długich, brudnych strąkach, kiedy widziała go po raz ostatni. Sączy pepsi i oblizuje palce, gdy Kay siada naprzeciw niego i podnosi słuchawkę czarnego telefonu.

Jego asymetryczne oczy błędzą dookoła, obdarza ją swoim uśmiechem barakudy, skórę ma białą jak pergamin. Doktor Scarpetta zauważa mocno zarysowane, muskularne ramiona i to, że oddał rękawy swojej białej koszuli, a potem spostrzega te długie, straszne włosy. Sterczą spod pach i

spod wycięcia przy szyi. Najwyraźniej ogolił tylko te partie ciała, które pozostają odkryte.

– Jak miło – mówi zimno do słuchawki. – Przygotowałeś się na moje przyjście.

– Ależ oczywiście. Cudownie, że tu jesteś. Wiedziałem, że przyjdiesz. – Jego zamglone oczy nie zatrzymują się na niej, kiedy na krótko zwracają się w jej stronę.

– Tak. Wczoraj. Specjalnie dla ciebie.

– To dosyć trudne, skoro nie widzisz – mówi Kay spokojnym, mocnym głosem.

– Nie potrzebuję oczu, żeby widzieć. – Dotyka językiem małego, ostrego zęba i sięga po pepsi. – Co myślisz o moim liście?

– A co chciałeś, żebym pomyślała?

– Że jestem artystą, oczywiście.

– Nauczyłeś się kaligrafii w więzieniu?

– Zawsze umiałem ładnie pisać. Kiedy byłem niewinnym małym chłopcem i rodzice trzymali mnie w piwnicy, miałem mnóstwo czasu na rozwijanie moich licznych talentów.

– Kto wysłał ten list? – Kay stara się zdominować go swoimi pytaniami.

– Mój drogi nieżyjący adwokat. – Chandonne cmoka. – Naprawdę nie wiem, dlaczego popełnił samobójstwo. Ale może dobrze się stało. Nie był nic wart, zresztą wiesz, to u nich rodzinne.

Doktor Scarpetta pochyla się i wyjmuje z torebki notatnik i pióro.

– Napisałeś, że masz dla mnie informacje. Dlatego tu jestem. Jeśli po prostu chcesz porozmawiać, wychodzę. Nie interesują mnie pogawędki z tobą.

– Druga część układu, madame Scarpetta – mówi Jean-Baptiste, a jego oczy nadal błędzą w przestrzeni. – Moja egzekucja. Czy zechcesz?

– Bez problemu.

Uśmiecha się i sprawia wrażenie wręcz zachwyconego.

– Powiedz mi. – Wspiera brodę na rękę. – Jak to jest?

– Żadnego bólu. Zastrzyk z tiopentalu sodu, który działa uśmierzająco. I bromek wapnia, na rozluźnienie mięśni. Chlorek potasu wstrzymuje akcję serca. – Kay ciągnie swój kliniczny opis, a on słucha, oczarowany. – Bardzo tanie leki, co wydaje się nader stosowne, biorąc pod uwagę ich cel. Śmierć następuje w ciągu kilku minut.

– I nie będę cierpiał, kiedy mi to zrobisz?

– Nie będziesz cierpiał w sposób, w jaki inni cierpieli przez ciebie. Zaśniesz natychmiast.

– Zatem obiecujesz, że będziesz moim lekarzem w tym ostatnim momencie? – Zaczyna się bawić puszką pepsi, jego przerażająco długi paznokieć na prawym kciuku jest umazany czymś, co wygląda jak czekolada, prawdopodobnie z herbatników.

– Spełnię twoje życzenie, jeśli zechcesz pomóc policji. Jakie to informacje?

Jean-Baptiste wymienia nazwiska i miejsca, które nic dla niej nie znaczą. Doktor Scarpetta zapełnia dwadzieścia stron w notatniku, podejrzewając, że morderca się z nią bawi. Informacje są pozbawione znaczenia. Może.

Po chwili, kiedy Wilkołak postanawia zjeść następnego herbatnika, Kay pyta:

– Gdzie są twój brat i Bev Kiffin?

Chandonne wyciera dłonie i usta koszulą, jego żylaste mięśnie grają przy każdym ruchu. Jest silny i przerażająco szybki. Doktor Scarpetta z coraz większym trudem panuje nad wyobraźnią. Stara się wyrzucić ze świadomości wspomnienia tamtej nocy, kiedy ten człowiek, oddzielony teraz od niej jedynie grubym szkłem, próbował zatłuc ją na śmierć. Potem

pojawia się twarz Jaya Talleya, który ją oszukał, a później też chciał zabić. Ta mordercza obsesja braci na jej punkcie jest niepojęta. Kay nie może w to uwierzyć, a potem zdumiewają, że kiedy patrzy na Jean-Baptiste'a Chandonne'a, czuje tylko determinację, aby zapomnieć o koszmarach przeszłości. Morderca jest już nieszkodliwy. Za kilka dni będzie martwy.

Ona nie wróci tutaj, żeby zaaplikować mu śmiertelny zastrzyk. Fakt, że go okłamuje, nie martwi jej w najmniejszym stopniu.

Chandonne nie mówi nic o Jayu Talleyu i Bev Kiffin.

Mówi jej za to:

– Rocco ma dom w Baton Rouge. Bardzo oryginalny, w odnowionej dzielnicy, gdzie mieszka wielu homoseksualistów. Blisko centrum. Zatrzymywałem się tam wiele razy.

– Czy słyszałeś o kobiecie z Baton Rouge nazwiskiem Charlotte Dard?

– Oczywiście. Nie była dostatecznie piękna dla mojego brata.

– Czy Rocco Caggiano ją zamordował?

– Nie. – Chandonne wzdycha, jakby zaczynało go to nudzić. – Przecież powiedziałem, a ty musisz słuchać mnie bardziej uważnie, nie była dostatecznie piękna dla mojego brata. Czerwona Laska. – Obdarza Kay swoim odrażającym uśmiechem, a jego oczy wciąż błędzą dookoła. – Czy wiesz, że to, kim jesteś, widać na twoich dłoniach?

Jej ręce spoczywają na kolanach, ściskając notatnik i pióro. Ten człowiek mówi o jej dłoniach, jakby je widział, chociaż jego oczy błędzą, jakby był ślepy.

Symulant.

– Na dłoniach wszystkich synów człowieczych Bóg umieszcza znaki, tak aby wszyscy synowie człowieczy znali swoje dzieła. Każdy wysiłek umysłu pozostawia znaki na dłoni, formuje dłoń, która jest miarą inteligencji i kreatywności.

Kay słucha, zastanawiając się, czy Chandonne zmierza w ten sposób do czegoś ważnego.

– We Francji można znaleźć najbardziej artystyczne dłonie. Takie jak moje. – Podnosi ogoloną dłoń o długich, wąskich palcach. – I takie jak twoje, madame Scarpetta. Masz eleganckie dłonie artystki. „Psychonomia dłoni” albo „Dłoń jako wyznacznik rozwoju umysłowego”, monsieur Richarda Beamisha. Bardzo dobra książka, z wieloma rysunkami ciekawych dłoni, gdyby udało ci się ją zdobyć, ale niestety, została napisana w tysiąc osiemset sześćdziesiątym piątym roku i nie ma jej w twojej lokalnej bibliotece. Są tam dwa rysunki, które odnoszą się do ciebie. Kwadratowa dłoń, elegancka, ale silna. I druga, artystyczna, elastyczna i giętka, też elegancka. Ale bardziej typowa dla impulsywnej osobowości.

Doktor Scarpetta nie komentuje jego słów.

– Impulsywnej. Jesteś tutaj i nagle jesteś tam. Dosyć nerwowa osoba. Ale sangwiniczna.

Napawa się słowem „sangwiniczna”, które w średniowiecznej medycynie oznaczało, że krew była najbardziej dominującym z humorów ciała. Sangwinicy są podobno optymistyczni i radośni. Ona nie jest w tej chwili ani optymistyczna, ani radosna.

– Mówisz, że nie dotykasz dłoni. To wyjaśnia, dlaczego nie pogryzłeś dłoni kobietom, które zamordowałeś – zauważa ironicznie.

– Dłonie są umysłem i duszą. Nie skrzywdziłbym przejawu tego, co uwalniam u swoich wybranek. Tylko liżę dłonie.

Teraz próbuje ją zniesmaczyć i poniżyć, ale Kay jeszcze z nim nie skończyła.

– Nie gryzłeś też podeszew ich stóp – przypomina mu.

Chandonne wzrusza ramionami, bawiąc się puszką pepsi, która wydała pusty dźwięk, kiedy ją odstawił.

– Stopy mnie nie interesują.
– Gdzie są Jay Talley i Bev Kiffin? – pyta powtórnie Kay.
– Robię się zmęczony.
– Dlaczego ochraniaś swojego brata, który przez całe życie tak cię traktował?

– Ja jestem swoim bratem – mówi tajemniczo. – Skoro więc znalazłaś mnie, nie musisz szukać jego. Jestem już bardzo zmęczony. – Zaczyna masować sobie żołądek i krzywić się, jego oczy wciąż błędzą dookoła. – Chyba zwymiotuję.

– Nie masz mi nic więcej do powiedzenia? Jeśli nie, wychodzę.
– Jestem ślepy.
– Jesteś symulantem – odpowiada doktor Scarpetta.
– Odebrałaś mi wzrok fizyczny, ale wcześniej zdążyłem cię zobaczyć. – Wilkołak dotyka językiem ostrego zęba. – Pamiętasz swój uroczy dom z prysznicem w garażu? Kiedy wróciłaś z miejsca zbrodni w porcie Richmond, poszłaś do garażu, żeby się przebrać i zdezynfekować, i wzięłaś tam prysznic.

Kay czuje gniew i upokorzenie. Badała cuchnące, rozkładające się zwłoki w ładowni kontenerowca, a potem owszem, zrobiła to samo, co zawsze: zdjęła ochronny kombinezon i buty i włożyła je do grubego plastikowego worka, który powędrował do bagażnika; później pojechała do domu. W garażu, który z pewnością nie był typowym pomieszczeniem na samochód, wrzuciła rzeczy z miejsca zbrodni do stalowego zlewu o rozmiarach przemysłowych. Rozebrała się i weszła pod prysznic, ponieważ nie wpuszcza śmierci do swojego domu.

– Okienko w drzwiach twojego garażu. Bardzo podobne do tego w mojej celi – ciągnie Chandonne. – Widziałem cię.

Znowu te rozbiegane oczy i rybi uśmiech.

Jego język krwawi.

Ręce Kay są zimne, drętwieją jej stopy. Czuje, jak unoszą się włoski na jej ramionach i karku.

– Nagą. – Napawa się tym słowem, ssąc język. – Widziałem cię rozebraną. Widziałem cię nagą. To taka radość jak dobre wino. Byłaś wtedy burgundem, krągłym i jędrnym, skomplikowanym, który trzeba pić, nie sączyć. Teraz jesteś bordeaux, bo kiedy mówisz, jesteś cięższa, rozumiesz. Nie fizycznie, nie sądzę. Musiałbym zobaczyć cię nagą, żeby to stwierdzić. – Przyciska dłoń do szyby, dłoń, która miażdżyła istoty ludzkie na drzazgi i papkę. – Czerwone wino, oczywiście. Jesteś zawsze...

– Dostyc tego! – Doktor Scarpetta krzyczy, jej wściekłość wyrywa się ze swojej kryjówki jak rozjuszony dzik. – Zamknij się, ty żalosny gnoju! – Nachyla się bliżej do szyby. – Nie zamierzam słuchać twojego masturbacyjnego bełkotu. To mnie nie obchodzi. Nie dbam o to, czy widziałeś mnie nagą. Wydaje ci się, że mnie zastraszysz, opowiadając, jak mnie podglądałeś i co myślisz o moim ciele? Wydaje ci się, że mam wyrzuty sumienia, że cię oślepiłam, kiedy zamierzałeś się na mnie tym pieprzonym młotkiem? A wiesz, co jest w tym wszystkim najlepsze, Jean-Baptiste Chandonne? Jesteś tutaj z mojego powodu. Kto więc wygrał? I nie, nie wrócę tutaj, żeby cię zabić. Zrobi to ktoś obcy. Tak jak ty byłeś obcy dla tych, które zamordowałeś.

Jean-Baptiste odwraca się nagle do drucianej siatki za plecami.

– Kto tam? – szepcze.

Kay Scarpetta odkłada słuchawkę czarnego telefonu i odchodzi.

– Kto tam? – krzyczy Chandonne.

ROZDZIAŁ 100

Jean-Baptiste dosyć lubi swoje kajdanki.

Grube stalowe bransoletki na jego nadgarstkach są pierścieniami magnetycznej mocy. Przepływa przez nie potęga. Jest teraz spokojny, nawet towarzyski, kiedy Abrams i Wilson eskortują go przez korytarze i zatrzymują się przed każdymi stalowymi drzwiami, pokazują swoje plakietki identyfikacyjne i zbliżają twarze do szklanych okienek. Strażnik po drugiej stronie zwalnia elektroniczny zamek i ruszają w dalszą drogę.

– Bardzo mnie zdenerwowała – mówi cichym głosem. – Żałuję swojego wybuchu. Oślepiła mnie, wiecie, i nawet nie powie, że jej przykro.

– Nie wiem, po co w ogóle przyszła zobaczyć się z takim śmieciem jak ty – komentuje Abrams. – Jeśli ktoś mógł być zdenerwowany, to ona, po tym, co próbowałeś zrobić. Czytałem o tym, wiem wszystko o twoim nędznym życiu.

Strażnik Abrams popełnia wielki błąd, ulegając emocjom. Nienawidzi Chandonne'a i chciałby go ukarać.

– Jestem teraz spokojny – mówi Jean-Baptiste potulnie. – Ale czuję się chory.

Strażnicy zatrzymują się przy kolejnych drzwiach i Abrams pokazuje w szklanym okienku swój identyfikator. Przechodzą. Jean-Baptiste odwraca twarz, wbijając wzrok w podłogę, i nie patrzy na żadnego ze strażników, którzy przepuszczają całą trójkę w głąb więzienia.

– Jem papier – wyznaje. – To u mnie nerwowe i zjadłem dzisiaj dużo papieru.

– Piszesz do siebie listy? – ciągnie drwiąco Abrams. – Nic dziwnego, że spędzasz tyle czasu na kiblu.

– To prawda – zgadza się Jean-Baptiste. – Ale tym razem jest gorzej. Czuję się słabo i boli mnie żołądek.

– To minie, jak to mówią.

– Nie martw się. Jeśli nie, zabierzemy cię do szpitala. – Tym razem odzywa się strażnik Wilson. – Zrobiam ci lewatywę. Na pewno ci się spodoba.

W Bloku A głosy więźniów odbijają się od betonu i stali. Hałas jest irytujący, a Jean-Baptiste tylko dlatego mógł go znosić przez tyle miesięcy, że sam decydował, kiedy chce słyszeć, a kiedy nie. Jeśli to nie wystarcza, podróżuje, zwykle do Francji. Ale dzisiaj rozpocznie podróż do Baton Rouge i połączy się z bratem. On jest swoim bratem. Ta refleksja wprawia go w zmieszanie.

Przebywając ze swoim bratem, doświadcza jego istnienia, które jest oddzielone od istnienia Jean-Baptiste'a.

Kiedy nie są razem, Jean-Baptiste staje się swoim bratem, a ich role we wspólnych podbojach łączą się w jednym cudownym akcie. Jean-Baptiste podrywa piękną kobietę, a ona go pożąda, rozpaczliwie. Uprawiają seks. Potem on ją wyzwala i doprowadza do ekstazy, a kiedy jest po wszystkim i staje się wolna, cały jest lepki od jej krwi, na języku czuje jej słoną słodycz i metaliczny posmak żelaza, którego potrzebuje. Później czasem bolą go zęby, więc masuje sobie dziąsła i myje się obsesyjnie.

Ukazuje się jego cela. Jean-Baptiste spogląda do dyżurki na kobietę, która tam dzisiaj siedzi. To trudność, lecz do przewyciężenia. Nikt nie może obserwować wszystkiego przez cały czas, a kiedy Chandonne przechodzi powoli, bardzo powoli i trzyma się za żołądek, strażniczka prawie na niego nie patrzy. To popołudnie należy do Bestii. Ten właśnie

rozmawia ze swoimi gośćmi w specjalnej celi na drugim końcu korytarza, w miejscu znacznie bardziej cywilizowanym, gdzie można przyjmować krewnych i księży. Ponieważ goście wchodzili i wychodzili przez ostatnie trzy albo cztery godziny, kobieta w dyżurce musi szczególnie uważać, ponieważ Bestia mógłby zrobić coś nieobliczalnego. Dlaczego nie? Nie ma nic do stracenia.

Drzwi tamtej celi są wykonane ze stalowych prętów, toteż strażnicy mogą śledzić każdy ruch Bestii i pilnować, aby nie skrzywdził smutnych, uprzejmych ludzi, którzy przychodzą się z nim zobaczyć. Bestia patrzy na Jean-Baptiste'a przez kraty dokładnie w momencie, kiedy kobieta w dyżurce otwiera drzwi celi Chandonne'a, a Abrams i Wilson zdejmują mu kajdanki.

Bestia zaczyna szarpać kraty swojej celi, wrzeszczy, klnie i podskakuje. Cała uwaga zwraca się raptownie w jego kierunku, a wtedy Jean-Baptiste chwyta strażników za grube skórzane pasy i unosi ich w powietrze. Zdumione okrzyki Wilsona i Abramsa mieszają się z drażniącym nerwy, ogłuszającym hałasem na korytarzu, gdy Chandonne rzuca obu na betonową ścianę w celi, na lewo od masywnych drzwi, które przymyka tak, aby się nie zatrasnęły. Oślepia ich swoim długim, brudnym paznokciem, a jego pełne magnetyzmu dłonie miażdżą im tchawice. Twarze mężczyzn sinieją i obaj szybko przestają się szamotać. Jean-Baptiste zabija strażników prawie bez rozlewu krwi, tylko małe strumyczki płyną im z oczu i z rozcięcia na głowie Wilsona.

Szybko ściąga z ciała Abramsa mundur i wkłada go. Robi to w ciągu kilku sekund, nasuwa czapkę na twarz i wkłada okulary zabitego. Wychodzi z celi i zatrzaskuje drzwi, a donośny metaliczny szczęk ginie w ogólnym hałasie dochodzącym z końca korytarza, gdzie Bestia nadal walczy ze

strażnikami i dostaje po oczach gazem pieprzowym, co skłania go do jeszcze głośniejszych wrzasków, tym razem szczerych.

Jean-Baptiste mija kolejne drzwi, pokazując identyfikator Abramsa. Jest tak pewny sukcesu, że zachowuje całkowity spokój, wydaje się nawet trochę zaprzątnięty własnymi myślami, kiedy strażnicy go przepuszczają. Nie kroczy po ziemi, lecz płynie w powietrzu i bez trudu wychodzi z więzienia. Jest wolny i wyjmuje z kieszeni kluczyki do samochodu strażnika Abramsa.

ROZDZIAŁ 101

Na Międzynarodowym Lotnisku George'a Busha doktor Scarpetta staje pod ścianą, z dala od ludzi.

Sący czarną kawę, wiedząc, że to ostatnia rzecz, jakiej potrzebuje. Straciła również apetyt, a kiedy niecałą godzinę temu kupiła sobie hamburgera, nie mogła przełknąć ani kęsa. Kofeina sprawia, że trzęsą jej się ręce. Łyk szkockiej by ją uspokoił, ale nie ośmieli się go wypić, a zresztą ulga byłaby jedynie tymczasowa. Właśnie teraz musi myśleć jasno, uporać się jakoś ze stresem bez pomocy destrukcyjnego alkoholu.

Proszę, odbierz telefon, błaga w milczeniu.

Trzy sygnały, a potem:

Tak.

Marino prowadzi swoją hałaśliwą ciężarówkę.

– Dzięki Bogu! – woła Kay i odwraca się plecami do pasażerów przechodzących przez halę lub spieszących do bramek. – Gdzie, na miłość boską, się podziewałeś? Próbuję się z tobą skontaktować od kilku dni. Przykro mi z powodu Rocca.

Naprawdę jej przykro, przez wzgląd na Marina.

– Nie chcę o tym rozmawiać – odpowiada przygnębiony i bardziej nieszczęśliwy niż zwykle. – Byłem w piekle, jeśli chcesz wiedzieć. Pewnie pobiłem swój życiowy rekord w piciu burbona i piwa i nieodpowiadaniu na cholerne telefony.

– Och, nie. Kolejna kłótnia z Trixie. Powiedziałam ci, co myślę...

– Nie chcę o tym rozmawiać – powtarza detektyw. – Bez obrazy, moja droga.

– Jestem w Houston – mówi mu.

– O cholera!

– Byłam tam. Zrobiłam notatki. Może nic z tego nie jest prawdą. Powiedział, że Rocco ma dom w jakiejś gejowskiej dzielnicy blisko centrum. W Baton Rouge. Są spore szanse, że dom nie jest na jego nazwisko. Ale sąsiedzi muszą go znać. W tym domu może być mnóstwo dowodów.

– Co się tyczy tej drugiej sprawy, w razie gdybyś nie słyszała wiadomości, w jednej z zatoczek w tamtej okolicy znaleziono rękę kobiety – informuje ją Marino. – Robią testy DNA. To może być ta ostatnia, Katherine Bruce. Jeśli tak, to jemu coraz bardziej odbija. Rękę znaleziono u ujścia Blind River, która wpada do jeziora Maurepas. Ten facet musi doskonale znać cały teren. Podobno zatoczka, gdzie znaleziono rękę, nie jest łatwo dostępna. Trzeba wiedzieć, gdzie to jest, i prawie nikt się tam nie zapuszcza. Użył ręki jako przynęty na aligatora, zostawił ją na haku zawieszonym na linie.

– Albo powiesił ją tam dla efektu.

– Nie sędzę, żeby tak było – odpowiada detektyw.

– Tak czy inaczej, masz rację, on się robi coraz bardziej aktywny.

– Pewnie w tej chwili rozgląda się za następną ofiarą.

– Lecę do Baton Rouge – oznajmia doktor Scarpetta.

– Tak, domyślałem się, że to zrobisz. – Głos Marina jest ledwie słyszalny przez warkot silnika. – Żeby pomóc przy jakimś głupim przedawkowaniu narkotyków, do którego doszło osiem lat temu.

– Nie chodzi tylko o przedawkowanie narkotyków, Marino. I wiesz o tym.

– Bez względu na to, o co chodzi, nie jesteś tam bezpieczna i właśnie dlatego gnam w tamtą stronę. Jadę z północy i co minutę musiałem się

zatrzymywać na kawę, a potem co minutę musiałem się zatrzymywać na siusiu.

Kay z ociąganiem opowiada mu o powiązaniach Rocca ze sprawą Charlotte Dard, że reprezentował aptekarza, domniemanego podejrzanego.

Marino jakby jej nie słyszał.

– Pozostało mi jeszcze dziesięć godzin jazdy. I w jakimś momencie będę musiał się przespać. Więc pewnie dołączę do ciebie dopiero jutro – mówi.

ROZDZIAŁ 102

Jay dowiaduje się o swoim zmutowanym bracie z radia.

Nie bardzo wie, co o tym myśleć. Poci się w swojej rybackiej chacie, w głowie mu się mąci, a jego wygląd nie jest już tak wspaniały jak jeszcze tydzień temu. Obwinia o to i o wszystko Bev. Im częściej jego współniczka wybiera się na stały ląd, tym częściej uzupełniane są zapasy piwa. Dawniej Jay mógł się obywać przez całe tygodnie, miesiące, bez piwa. Ostatnio lodówka nigdy nie może być pusta.

Powstrzymywanie się od alkoholu zawsze było dla niego wyzwaniem, od czasu kiedy jako chłopiec zaczął próbować wina we Francji – wina, które jest napojem bogów, jak mawiał jego ojciec. Jako wolny człowiek, całkowicie panujący nad własnym życiem, Jay sączył wino, delektował się nim i napawał własną wstrzemięźliwością. Teraz stał się niewolnikiem taniego piwa. Od czasu ostatnich zakupów wypija skrzynkę dziennie.

– Chyba muszę zrobić następny kurs – mówi Bev ze wzrokiem wbitym w jego poruszające się jabłko Adama, gdy Jay przechyla i opróżnia kolejną puszkę.

– Tak, zrób to. – Piwo ścieka po jego nagim torsie.

– Jak chcesz.

– Pierdol się. To ty tego chcesz. – Podchodzi bliżej, jego twarz staje się groźna. – Rozpadam się na kawałki! – krzyczy na nią, zgniatając puszkę po piwie i rzucając ją w drugi koniec chaty. – To twoja pieprzona wina! Jak można tkwić tutaj z taką głupią krową jak ty i nie pić na umór!

Wyjmuje z lodówki następne piwo i zamyka drzwi bosą stopą. Bev nie reaguje. Powstrzymuje uśmiech, cisnący jej się na usta. Nic nie sprawia jej

większej satysfakcji niż widok Jaya, który nie panuje nad sobą, jest rozkojarzony i zmierza ku ruinie. Przynajmniej znalazła sposób, żeby go zatrzymać, a teraz, kiedy jego potworny brat jest na wolności, Jay stanie się jeszcze gorszy i zrobi coś nieobliczalnego, toteż ona musi zachowywać czujność. Jej metodą obrony jest upijanie go. Nie wie, dlaczego nie pomyślała o tym dawniej, przecież kiedy jeździła na stały ład nie częściej niż raz na cztery albo sześć tygodni, zawsze brakowało im piwa.

Nagle Jay zaczął się domagać, żeby jeździła co miesiąc, potem dwa razy w miesiącu, a ona zawsze wracała ze skrzynkami piwa. Bev nie może się nadziwić, ile on może wypić. Aż do niedawna nigdy nie widziała Jaya pijanego. Kiedy jest pijany, nie opiera się jej, a kiedy traci przytomność, Bev chłozczy go mokrym ręcznikiem. Następnego ranka nie pamięta, co zrobiła, jak zaspokoila własną ochotę na przyjemność w twórczy sposób, na co nigdy by jej nie pozwolił, gdyby był trzeźwy.

Obserwuje Jaya, jak majstruje przy radiu, szukając wśród zakłóceń najświeższych wiadomości. Jest już na najlepszej drodze, żeby znowu się upić. Odkąd Bev go zna, na jego ciele nie było grama tłuszczu, te idealnie uformowane kształty stanowiły dla niej stałe źródło zawiści i upokorzenia. To szybko się zmieni. Nie może być inaczej. Zaokrągli się w biodrach, a jego duma udusi się pod fałdami tłuszczu, bez względu na to ile przysiadów i pompek będzie robił codziennie. Może jego doskonała twarz też przestanie wyglądać tak perfekcyjnie. To byłoby coś, gdyby zrobił się tak brzydki – tak brzydki, jak jego zdaniem ona jest brzydka – że już by go nie chciała.

Co to była za opowieść w Biblii? Samson – potężny, wspaniały Samson – uległ, jak jej tam było, a ona obcięła mu zaczarowane włosy, czy coś takiego. Utracił całą swoją siłę.

– Ty głupia dziwko! – krzyczy Jay. – Co tak stoisz i się gapisz? Mój brat do nas jedzie, jeśli już tu nie dotarł. Będzie wiedział, gdzie jestem. Zawsze wiedział.

– Słyszałam, że bliźniacy myślą w ten sposób, są do siebie dostrojeni. – Słowo „bliźniacy” jest rozmyślnym żądłem skorpiona. – Nie skrzywdzi cię. Nie skrzywdzi mnie. Zapomniałeś, że już go spotkałam wcześniej? No cóż, on chyba mnie lubi, bo nie przeszkadza mi jego wygląd.

– On nie lubi nikogo. – Jay przestaje manipulować przy radiu i wyłącza je ze złością. – Nie żyjesz w prawdziwym świecie. Muszę go znaleźć, zanim zrobi coś głupiego, zobaczy jakąś kobietę i załatwi ją, pozostawi na niej ślady swoich cholernych zębów i rozwali jej łeb.

– Widziałeś kiedyś, jak to robi? – pyta Bev lekkim tonem.

– Przygotuj łódź, Bev.

Nie pamięta, kiedy po raz ostatni wymówił jej imię. Brzmi to przyjemnie, jak stopione masło.

Potem Jay psuje tę chwilę, dodając:

– To twoja wina z tą cholerną ręką. Nie doszłoby do tego, gdybyś przywiozła mi szczeniaki.

Odkąd wróciła z wyprawy na stały ląd, Jay wciąż się skarży, że nie znalazła mu przynęty na aligatory i ani trochę nie jest wdzięczny za to, co mu przywiozła.

Bev patrzy na pusty materac pod ścianą.

– Masz mnóstwo przynęty na aligatory – powiedziała mu tamtego dnia. – Tyle, że nie wiesz, co z nią zrobić.

Przekonała go, że równie dobrze, a nawet łatwiej można zwabić aligatora na ludzkie mięso. Jay miałby dobrą zabawę z naprawdę wielkim okazem. Patrzyłby, jak gad miota się na haku, dopóki by się nie znudził, wtedy strzeliłby mu w łeb. Ponieważ jest kłusownikiem, nigdy nie

zatrzymuje tego, co złowi. Odcina nylonową linkę i patrzy, jak martwy gad osuwa się pod wodę. Potem płyną z powrotem do chaty.

Tym razem stało się inaczej. Jay pamięta jak przez mgłę, że zawiesił hak z przynętą i przywiązał go do grubego konara cyprysu, a później usłyszał w pobliżu inną łódź. Ktoś jeszcze polował na aligatory albo łapał żaby. Jay czym prędzej wyniósł się stamtąd, pozostawiając hak z przynętą dyndający na żółtej nylonowej lince. Powinien był go odciąć. Popęłił wielki błąd, ale nie przyzna się do tego. Bev podejrzewa, że nie było tam żadnego innego myśliwego, po prostu Jay usłyszał coś i nie myślał rozsądnie. Gdyby pomyślał, przyszłoby mu do głowy, że kiedy ktoś znajdzie złowionego aligatora, przynęta albo będzie zwisała mu z paszczy, albo zostanie odkryta w jego wnętrznościach, kiedy ściagną z gada skórę.

– Rób, co mówię, do cholery. Przygotuj łódź – rozkazuje jej. – Żebyś mógł przemówić mu do rozumu.

– A jak to zrobisz? – pyta spokojnie Bev, zachwycona rozgrywającym się na jej oczach szaleństwem.

– Już ci powiedziałem. On mnie znajdzie – mówi Jay. W głowie zaczyna mu pulsować. – Nie może beze mnie żyć. Nie może nawet beze mnie umrzeć.

ROZDZIAŁ 103

Późnym popołudniem doktor Scarpetta siedzi w samolocie, czując, jak drętwieją jej nogi.

Na lewo od niej mały chłopiec, jasnowłosy i sympatyczny, z aparatem na zębach, wyciąga kolorowe karty z talii rozłożonej na tacy. Na prawo przy oknie korpulentny mężczyzna, prawdopodobnie pięćdziesięciokilkuletni, pije wódkę z sokiem. Nieustannie poprawia okulary w drucianej oprawce, przesadnie duże, które przywodzą jej na myśl Elvisa. Korpulentny mężczyzna hałaśliwie wertuje „Wall Street Journal” i od czasu do czasu zerka na nią, najwyraźniej mając nadzieję wciągnąć ją w rozmowę. Kay ignoruje go jednak.

Chłopiec wyciąga kolejną kartę i kładzie ją na tacy.

– Kto wygrywa? – pyta go z uśmiechem doktor Scarpetta.

– Nie mam z kim grać – odpowiada z przygnębieniem malec, nie podnosząc głowy.

Ma około dziesięciu lat, ubrany jest w dżinsy, wyblakłą koszulkę ze Spidermanem i tenisówki.

– Trzeba mieć przynajmniej czterdzieści kart, żeby grać – dodaje.

– Obawiam się, że to mnie dyskwalifikuje.

Chłopiec podnosi kolorową kartę z toporem o złowieszczym wyglądzie.

– Zobacz – mówi – to jedna z moich ulubionych. Topór Rozpaczy. Dobra broń dla potwora, warta tysiąc punktów. – Podnosi kolejną kartę, tym razem jest to Łupieżca. – Bardzo silny potwór z toporem – wyjaśnia.

Doktor Scarpetta ogląda karty i potrząsa głową.

– Przykro mi, to dla mnie zbyt skomplikowane.

- Chcesz się nauczyć?
 - Chyba nie dam rady – odpowiada Kay. – Jak masz na imię?
 - Albert. – Wyciąga więcej kart z talii. – Nie Al – dodaje. – Wszyscy myślą, że mogą mówić do mnie AL. A ja jestem Albert.
 - Miło cię poznać, Albercie. – Kay nie podaje swojego imienia.
- Sąsiad spod okna odwraca się, żeby na nią spojrzeć i opiera się o jej ramię.
- Chyba nie pochodzi pani z Luizjany – zauważa.
 - Nie – odpowiada, odsuwając się od niego. Jej nozdrza atakuje silny zapach wody kolońskiej, którą musiał się spryskać, kiedy wyszedł do łazienki.
 - Nie musi pani tego mówić. Wystarczy kilka wypowiedzianych słów i już wiem. – Sączy swoją wódkę z sokiem pomarańczowym. – Niech zgadnę. Teksas też raczej nie. Nie wygląda pani na Meksykankę. – Uśmiecha się.

Doktor Scarpetta wraca do lektury artykułu na temat biologii strukturalnej w magazynie „Science” i zastanawia się, czy mężczyzna zrozumie ten niezbyt subtelny sygnał i zostawi ją w spokoju.

Rzadko rozmawia z nieznanymi. Zazwyczaj po dwóch minutach pytają, dokąd leci i po co, i zapuszczają się w zastrzeżoną przestrzeń jej profesji. Kiedy mówi im, że jest lekarzem, nie przestają pytać, podobnie jak wtedy, gdy mówi, że jest prawnikiem, a gdyby przyznała, że jest jednym i drugim, konsekwencje byłyby straszne. Ale iść dalej i wyjaśniać, że jest patologiem sądowym, to znaczyłoby zepsuć sobie podróż.

Ponieważ wtedy pojawia się natychmiast Jon Benet Ramsay, O. J. Simpson oraz inne tajemnicze sprawy i zagadki kryminalistyki, a Kay jest uwięziona, przypięta do swojego fotela na wysokości dziesięciu tysięcy metrów. Są jeszcze nieznanymi, których nie obchodzi jej praca i którzy

chcieliby ją zaprosić na kolację, a jeszcze lepiej na drinka w barze hotelowym, co mogłoby doprowadzić do pokoju hotelowego. Ci, tak jak podпиты nudziarz siedzący na prawo od niej, wolą gapić się na jej ciało, niż słuchać historii jej życia.

– Wygląda na to, że czyta pani bardzo skomplikowany artykuł. – Mężczyzna nie daje za wygraną. – Domyślam się, że jest pani kimś w rodzaju nauczycielki.

Doktor Scarpetta nie odpowiada.

– Widzi pani, jestem w tym dobry. – Robi oko i strzela grubymi palcami na wysokości jej twarzy. – Nauczycielka biologii. Dzieciaki są okropne w dzisiejszych czasach. – Podnosi swojego drinka z tacy i grzechocze lodem w plastikowym kubku. – Prawdę mówiąc, nie wiem, jak pani z nimi wytrzymuje – ciągnie, najwyraźniej uznawszy, że jest nauczycielką. – Poza tym, jak im coś strzeli do głowy, bez wahania przyniosą do szkoły broń.

Kay czyta dalej, czując na sobie jego zapuchnięte oczy.

– Ma pani dzieci? Ja mam troje. Wszystkie w szkole średniej. Oczywiście ożeniłem się w wieku dwunastu lat. – Śmieje się, rozpylając w powietrzu kropelki śliny. – Może da mi pani swoją wizytówkę, na wypadek gdybym potrzebował korepetycji, kiedy oboje będziemy w Baton Rouge? Przesiada się tam pani czy zostaje? Ja mieszkam w centrum, nazywam się Weldon Winn – przez dwa n. Dobre nazwisko dla polityka, co*? [Ang. *to win* – zwyciężać, wygrywać.] Pewnie wyobraża pani sobie hasła wyborcze, gdybym zdecydował się kandydować.

– Kiedy lądujemy? – pyta ją Albert.

Doktor Scarpetta patrzy na zegarek i zmusza się do uśmiechu, ponieważ nazwisko sąsiada nią wstrząsnęło.

– Niedługo – informuje chłopca.

– Tak, proszę pani, wyobrażam sobie te plakaty w całej Luizjanie: „Wygraj z Winnem”. Chwyta pani? I „Stawiaj na Zwycięzcę”. Może dopisze mi szczęście i będę miał przeciwnika nazwiskiem Miracle. „Winn nie potrzebuje cudów”. Co pani na to? A kiedy pan Miracle przegra z kretelem, nazwą go „Fałszywy Cud”. – Znowu do niej mruga.

– Przypuszczam, że nie ma szans, żeby kandydował pan przeciwko niej – zauważa Kay, nie podnosząc wzroku znad magazynu i udając, iż nie ma pojęcia, że Weldon Winn jest prokuratorem federalnym w Luizjanie, na którego skarżyła się Nic Robillard.

– Do diabła, żadna kobieta nie może ze mną współzawodniczyć!

– Rozumiem. No więc jakim pan jest politykiem? – pyta go wreszcie.

– Na razie jestem nim tylko duchem, piękna pani. Jestem prokuratorem federalnym w Baton Rouge.

Urywa, żeby miała czas uświadomić sobie, jaki jest ważny, kończy swojego drinka i wyciąga szyję w poszukiwaniu stewardesy. Spostrzega jedną, podnosi rękę i strzela palcami.

To nie może być przypadek, że ten człowiek siedzi obok niej w samolocie, kiedy ona leci pomóc rozwiązać skomplikowaną sprawę, która, według doktora Laniera, wzbudziła zainteresowanie Weldona Winna, i to zaraz po tym, jak spotkała się z Jean-Baptiste’em Chandonne’em.

Zastanawia się, jak Winn zdążył dogonić ją w Houston. Może już tam czekał. Nie ma wątpliwości, że wie, kim ona jest i dlaczego leci tym samolotem.

– Mam lokum w Nowym Orleanie, bardzo przytulny mały pałac w Dzielnicy Francuskiej. Może mnie pani odwiedzi, kiedy będzie pani w pobliżu. Spędzę tu kilka dni, mam coś do załatwienia z gubernatorem i kilkoma chłopakami. Z przyjemnością oprowadzę panią po mieście, pokażę pani dziurę po kuli w kolumnie, gdzie zastrzelono Hueya Longa.

Kay Scarpetta wie wszystko o słynnym zabójstwie Hueya Longa. Kiedy na początku lat dziewięćdziesiątych ponownie otwarto tę sprawę, wyniki nowego śledztwa były omawiane na różnych posiedzeniach akademii kryminalistyki. Ma dosyć pompatycznego Weldona Winna.

– Do pańskiej wiadomości – mówi mu – tak zwana dziura po kuli w marmurowej kolumnie nie pochodzi od kuli przeznaczonej dla Hueya Longa czy kogokolwiek innego, lecz najprawdopodobniej jest skazą w kamieniu lub została zrobiona celowo, żeby przyciągnąć turystów. Jeśli chodzi o ścisłość – dodaje, podczas gdy w oczach Winna maluje się konsternacja, a uśmiech zamiera na jego ustach – po zabójstwie budynek został odnowiony, a marmurowa wykładzina z tej konkretnej kolumny została usunięta i nigdy nie wróciła na swoje miejsce. Jestem zaskoczona, że spędził pan tyle czasu w stolicy stanu i nie wie pan o tym – kończy.

– Moja ciocia miała mnie odebrać, a co, jeżeli się spóźnimy i jej tam nie będzie? – pytają Albert, jakby podróżowali razem.

Stracił zainteresowanie swoimi kartami, które leżą schludnie ułożone obok niebieskiego telefonu komórkowego.

– Czy wiesz, która godzina? – chce wiedzieć.

– Dochodzi szósta – odpowiada Kay. – Jeśli jesteś śpiący, zdrzemnij się, a ja ci powiem, kiedy będziemy lądować.

– Nie jestem śpiący.

Przypomina sobie, że widziała go przy bramce w Houston, bawiącego się kartami. Ponieważ siedział obok innych dorosłych, uznała, że jego rodzina lub ktoś, z kim chłopiec podróżuje, jest gdzieś w samolocie. Nigdy nie przeszło jej przez myśl, że rodzice lub krewni pozwoliliby takiemu dziecku podróżować samotnie, zwłaszcza w dzisiejszych czasach.

– Coś podobnego. Niewielu ludzi zna się na dziurach po kulach – zauważa prokurator federalny, kiedy stewardesa podaje mu następnego

drinka.

– Nie, przypuszczam, że niewielu. – Kay skupia swoją uwagę na zagubionym małym chłopcu siedzącym obok niej. – Nie jesteś zupełnie sam, prawda? – pyta go. – I dlaczego nie jesteś w szkole?

– Są ferie wiosenne. Wujek Walt mnie odwiózł, a pani na lotnisku mnie odebrała. Nie jestem zmęczony. Czasami kładę się naprawdę późno, oglądam filmy. Mamy tysiące kanałów. – Urywa i wzrusza ramionami. – No, może nie aż tyle, ale dużo. Masz jakieś zwierzaki? Ja miałem psa, który nazywał się Nestle, bo był brązowy jak czekoladowe chipsy.

– No proszę – mówi Kay. – Ja wprawdzie nie mam psa koloru czekolady, ale mam angielskiego buldoga, który jest białobrązowy i ma wielkie zęby. Nazywa się Billy. Wiesz, jak wygląda angielski buldog?

– Jak pitbull?

– Wcale nie jak pitbull.

– Mogę spytać, gdzie zatrzyma się pani w mieście? – wtrąca się do rozmowy Weldon Winn.

– Nestle tęsknił za mną, kiedy nie było mnie w domu – ciągnie Albert ze smutkiem.

– Na pewno – odpowiada doktor Scarpetta. – Myślę, że Billy też za mną tęskni. Ale moja sekretarka dobrze się nim opiekuje.

– Nestle była dziewczynką.

– Co się z nią stało?

– Nie wiem.

– No, no, jest pani naprawdę tajemniczą damą – mówi prokurator federalny, patrząc na nią.

Doktor Scarpetta odwraca się w stronę mężczyzny i dostrzega zimny błysk w jego oczach.

Nachyla się ku niemu i szepcze mu do ucha:

– Mam powyżej uszu pańskiego gadania.

ROZDZIAŁ 104

Learjet 35 należy do Agencji Bezpieczeństwa i Benton jest jedynym pasażerem na pokładzie.

Po wylądowaniu na lotnisku Luizjana w Baton Rouge zbiega po stopniach, niosąc miękką torbę, i wcale nie wygląda jak dawny Benton, którego podziwiali kiedyś ludzie: zarost na twarzy, czarna czapka baseballowa Super Bowl i ciemne okulary. Czarny garnitur pochodzi z wyprzedaży u Saksa, gdzie Benton buszował wczoraj w dziale z męską odzieżą. Buty firmy Prada też są czarne, na gumowych podszewkach. Pasek również od Prądy i tshirt z krótkim rękawem, świetnie dopasowany. Ale Benton od lat nie miał uszytego na zamówienie garnituru i w przymierzalni przemknęło mu przez głowę, że tęskni za miękką wełną, kaszmirem i bawełną z dawnych czasów, kiedy krawcy robili znaki kredą na rękawach i mankietach, które wymagały podłożenia.

Zastanawia się, komu Kay oddała te wszystkie drogie ubrania po jego rzekomej śmierci. Ponieważ doskonale ją zna, podejrzewa, że albo wcale nie opróżniła szaf i kazała to zrobić komuś obcemu, albo miała kogoś do pomocy, pewnie Lucy, której łatwiej było usunąć jego rzeczy osobiste, wiedziała bowiem, że nie umarł. Zresztą to zależy, jak Lucy zdecydowała się to wówczas rozegrać. Przeszywa go ból, ponieważ przez chwilę czuje rozpacz Kay, wyobraża sobie to, co niewyobrażalne, jej smutek, z którym prawdopodobnie nie potrafiła się uporać.

Dość! Szkoda czasu i energii na takie rozważania. Jałowe myśli. Skup się.

Idąc szybkim krokiem przez płytę lotniska, zauważa śmigłowiec Bell 407, ciemnoniebieski lub czarny z nadmuchiwanyymi pływakami i śmiałymi, jasnymi pasami. Zauważa numer na ogonie: 407 TLP.

Ostatni Posterunek.

Odległość z Nowego Jorku do Baton Rouge to około półtora tysiąca kilometrów. W zależności od wiatru i postojów na uzupełnienie paliwa Lucy mogła tu dotrzeć w dziesięć godzin, jeśli miała pecha i wiatr od czoła, a znacznie szybciej przy wietrze z tyłu. Tak czy inaczej, jeśli wyleciała wczesnym rankiem, powinna tu dotrzeć późnym popołudniem. Zastanawia się, co robiła od tego czasu i czy jest z nią Marino.

Samochód Bentona to ciemnoczerwony jaguar, wynajęty w Nowym Orleanie i dostarczony tutaj na parking, jeden z przywilejów dla tych, którzy latają prywatnymi samolotami. Przy biurku stałej bazy operacyjnej, jak określa się małe prywatne lotniska, siedzi młoda kobieta. Za jej plecami znajduje się monitor pokazujący inne spodziewane przyloty. Jest ich niewiele, przy jego samolocie widnieje informacja, że właśnie wylądował. Śmigłowca Lucy nie ma na ekranie, co oznacza, że przyleciała jakiś czas temu.

– Wynająłem samochód, który powinien tu być. – I wie, że jest.

Senator zadbał o wszystkie szczegóły.

Urzędniczka przegląda spis wynajętych aut. Benton słyszy dziennik telewizyjny i odwraca się, by popatrzeć na pilotów oglądających CNN w małej salce klubowej. Na ekranie ukazuje się stara fotografia Jean-Baptiste'a Chandonne'a. Benton nie jest zaskoczony. Chandonne uciekł dziś po południu, przebrany za jednego ze strażników, których zabił.

– Boże, mówią o tym wrednym skurwielu – komentuje jeden z pilotów.

– Żarty! Żadna ludzka istota tak nie wygląda.

Fotografię zrobiono w Richmondzie w Wirginii, gdzie Wilkołak został aresztowany trzy lata temu. Nie był wtedy ogolony i jego twarz, nawet czoło, pokrywały jasne dziecięce włosy. Pokazywanie starej fotografii mija się z celem. Chandonne nie mógłby uciec z więzienia, gdyby nie był starannie ogolony. Kiedy jest zarośnięty, wygląda jak straszliwy wybryk natury. Ludziom przed telewizorami niewiele z tego przyjdzie, że zobaczą starą fotografię, zwłaszcza jeśli zbieg nosi czapkę lub okulary przeciwsłoneczne albo stosuje inny kamuflaż, żeby ukryć swoją groteskowo zdeformowaną twarz.

Urzędniczka zamarła za biurkiem, wpatrując się z otwartymi ustami w telewizor w przeciwległym końcu pokoju.

– Gdybym go zobaczyła, umarłabym na atak serca! – woła. – On jest prawdziwy czy to tylko taka maskarada?

Benton patrzy na zegarek, jak przystało na biznesmena, który się spieszy. Trudno mu jednak stłumić stare odruchy stróża prawa.

– Obawiam się, że jest prawdziwy – oświadcza. – Pamiętam, że kilka lat temu słyszałem o jego morderstwach. Chyba powinniście mieć się na baczności, skoro uciekł.

– Nie musi mi pan tego mówić. – Kobieta wręcza mu kopertę. – Jeszcze potrzebna mi będzie pańska karta kredytowa.

Benton wyciąga platynową kartę American Express z portfela, w którym trzyma również dwa tysiące dolarów, głównie w studolarowych banknotach. Więcej gotówki poutykał w różnych kieszeniach. Ponieważ nie wie, jak długo tu zostanie, jest przygotowany na różne ewentualności. Wypełnia formularz wynajęcia samochodu i podpisuje go.

– Dziękuję, panie Andrews. Proszę jechać ostrożnie – mówi urzędniczka z promiennym uśmiechem. – Miłego pobytu w Baton Rouge.

ROZDZIAŁ 105

Napięcie doktor Scarpetty rośnie, kiedy wraz z Albertem obserwują bagaże na karuzeli w głównym terminalu Baton Rouge.

Jest już prawie siódma, a ona zaczyna odczuwać prawdziwy niepokój, że nikt nie przyszedł po chłopca. Albert bierze swoją walizkę i przykleja się do Kay, która odbiera własny bagaż.

– Wygląda na to, że znalazła sobie pani nowego przyjaciela. – Obok nich pojawia się nagle Weldon Winn.

– Nie martw się – mówi Kay do Alberta. Przechodzą przez automatyczne szklane drzwi. – Twoja ciocia na pewno za chwilę przyjedzie. Pewnie musiała zawrócić, ponieważ tutaj nie wolno parkować.

Uzbrojeni żołnierze w kombinezonach patrolują poczekalnię i spacerują na zewnątrz po chodniku, trzymając palce na osłonach spustów karabinów szturmowych. Albert zdaje się ich nie zauważać. Twarz ma czerwoną.

– Musimy porozmawiać, doktor Scarpetta. – Prokurator Winn zwraca się do niej wreszcie po nazwisku i ośmiela się położyć rękę na jej ramieniu.

– Myślę, że byłoby lepiej dla pana, gdyby trzymał pan ręce z daleka ode mnie – ostrzega go spokojnie Kay.

Zabiera rękę.

– A ja myślę, że byłoby lepiej dla pani, gdyby sobie pani uświadomiła, jak tutaj załatwiamy sprawy. – Patrzy na samochody podjeżdżające do krawężnika. – Musimy się spotkać. Wszelkie informacje na temat toczącego się śledztwa są ważne. A jeśli ktoś posiada takie informacje...

– Nie posiadam żadnych informacji – przerywa jego ukrytą groźbę, że jeśli nie będzie z nim współpracowała, oskarży ją o utrudnianie śledztwa. –

Kto panu powiedział, że lecę do Baton Rouge?

Albert zaczyna płakać.

– Zdradzę pani mały sekret, piękna damo. Nie dzieje się tu nic, o czym bym nie wiedział.

– Panie Winn – zwraca się do niego stanowczym tonem Kay – jeśli w jakimś momencie będzie pan chciał ze mną porozmawiać, z przyjemnością spełnię pańskie życzenie. Ale w odpowiednim miejscu, którym z pewnością nie jest chodnik przed lotniskiem.

– I ja nie mogę się doczekać. – Prokurator podnosi rękę i strzela palcami, dając znak kierowcy.

Doktor Scarpetta zarzuca torbę na ramię i bierze Alberta za rękę.

– Nie martw się. Wszystko będzie dobrze – pociesza go. – Jestem pewna, że twoja ciocia jest w drodze. A jeśli spóźni się z jakiegoś powodu, nie zostawię cię tutaj samego, rozumiesz?

– Ale ja cię nie znam. Nie wolno mi chodzić nigdzie z obcymi – chlipie mały.

– Siedzieliśmy razem w samolocie, prawda? – tłumaczy mu, gdy biała limuzyna Weldona Winna podjeżdża do krawężnika. – Więc trochę mnie znasz, a ja ci przyrzekam, że będziesz bezpieczny, zupełnie bezpieczny.

Prokurator gramoli się na tylne siedzenie i zatrząskuje drzwiami, znikając za przyciemnianymi szybami. Samochody i taksówki zatrzymują się, żeby zabrać pasażerów, otwierają się bagażniki. Ludzie ściskają swoich bliskich. Albert rozgląda się ukradkiem na wszystkie strony, jego strach szybko przeradza się w histerię. Doktor Scarpetta wyczuwa, że Winn patrzy na nią, kiedy samochód odjeżdża, jej myśli biegną w różnych kierunkach jak kulki rozsypane po podłodze. Nie może się zdecydować, co powinna teraz zrobić, ale zaczyna od sprawdzenia spisu numerów przez telefon komórkowy i szybko odkrywa, że nie uwzględnia on Weldona Winna ani nikogo o tym

nazwisku w Nowym Orleanie, gdzie podobno prokurator ma dom w Dzielnicy Francuskiej. Jego numer w Baton Rouge jest zastrzeżony.

– Dlaczego mnie to nie dziwi – mruczy Kay i wszystko, co przychodzi jej do głowy, to iż ktoś powiedział prokuratorowi federalnemu, że ona pojawi się tutaj wczesnym wieczorem, a Winn poleciał do Houston, zarezerwował miejsce w tym samym samolocie i usiadł obok niej.

Na tę dziwną i niepokojącą sytuację nakłada się jeszcze odpowiedzialność za dziecko, którego nie zna i które rodzina najwyraźniej porzuciła.

– Masz numer telefonu cioci, prawda? – pyta Alberta. – Chodź, zadzwonimy do niej. A tak przy okazji – uświadamia sobie nagle – nie podałeś mi swojego nazwiska.

– Dard – mówi Albert. – Mam własny telefon komórkowy, ale bateria wysiadła.

– Przepraszam? Jak się nazywasz?

– Dard. – Pochyla głowę, żeby wytrzeć twarz.

ROZDZIAŁ 106

Albert Dard patrzy na brudny chodnik, skupiając wzrok na zaschniętej gumie do żucia, szarej i przypominającej małe ciasteczko.

– Dlaczego byłeś w Houston? – pyta go Scarpetta.

– Przesiadałem się do innego samolotu. – Zaczyna pochlipywać.

– Ale gdzie byłeś najpierw, skąd wracałeś?

– Z Miami – wyjaśnia, coraz bardziej roztrzęsiony. – Pojechałem do wujka na ferie wiosenne, a potem moja ciocia zatelefonowała, że muszę natychmiast wracać.

– Kiedy to było? – Straciwszy nadzieję na przyjazd cioci, doktor Scarpetta bierze Alberta za rękę i idą razem do poczekalni, kierując się do biura wynajmu samochodów Hertz.

– Dziś rano – odpowiada chłopiec. – Chyba zrobiłem coś złego. Wujek Walt wszedł do mojej sypialni i mnie obudził. Powiedział, że wracam do domu. Miałem u niego zostać jeszcze trzy dni.

Kay kuca i patrzy mu w oczy, trzymając go delikatnie za ramię.

– Albercie, gdzie jest twoja mama?

Chłopiec przygryza dolną wargę.

– Z aniołami. Moja ciocia mówi, że są z nami przez cały czas. Ale nigdy żadnego nie widziałem.

– A twój tata?

– Daleko. Jest bardzo ważny.

– Podaj mi swój domowy numer i zobaczymy, co się stało. A może znasz numer komórkowy swojej cioci? Jak ona się nazywa?

Albert podaje jej nazwisko cioci i swój domowy numer. Kay dzwoni. Po kilku sygnałach odbiera jakaś kobieta.

– Pani Guidon? – odzywa się Kay, podczas gdy Albert ściska ją mocno za rękę.

– Mogę spytać, kto mówi? – Kobieta jest uprzejma, ma francuski akcent.

– Pani Guidon mnie nie zna, ale czekam z jej siostrzeńcem, Albertem, na lotnisku. Wygląda na to, że nikt po niego nie przyjechał. – Wręcza telefon Albertowi. – Proszę – zwraca się do niego.

– Kto to? – pyta chłopiec. Po chwili dodaje: – Bo cię tu nie ma, dlatego. Nie wiem, jak się nazywa. – Dąsa się, mówi opryskliwym tonem.

Kay nie podaje mu swojego nazwiska. Albert puszcza jej rękę i zaciska dłoń w pięść. Zaczyna uderzać pięścią o udo.

Kobieta mówi szybko, jej głos jest słyszalny, ale niezrozumiały. Ona i Albert mówią po francusku, a Kay patrzy na chłopca ze zdziwieniem, gdy ten gniewnie kończy rozmowę i oddaje jej telefon.

– Gdzie nauczyłeś się francuskiego? – pyta.

– Od mojej mamy – odpowiada ponuro mały. – Ciocia Eveline każe mi dużo rozmawiać. – Jego oczy znów napęniają się łzami.

– Wiesz co, odbierzemy mój samochód i odwiozę cię do domu. Będiesz umiał mi pokazać, gdzie mieszkasz, prawda?

Albert trze oczy i kiwa głową.

ROZDZIAŁ 107

Baton Rouge rysuje się na tle nieba zbiorowiskiem czarnych kominów różnej wysokości, a perłowy smog wisi wstęgą nad ciemnym horyzontem.

W oddali noc rozjaśniają jaskrawe światła zakładów petrochemicznych.

Nastrój Alberta Darda poprawia się nieco, gdy nowa przyjaciółka wiezie go ulicą Nadrzeczną w pobliżu uniwersyteckiego stadionu piłki nożnej. Chłopiec wskazuje żelazną bramę i ceglane filary w łagodnym zakolu Missisipi.

– To tam – mówi. – Jesteśmy na miejscu.

Dom jest położony około pół kilometra od szosy, ma łupkowy dach i kilka kominów wznoszących się ponad drzewami. Doktor Scarpetta zatrzymuje samochód, Albert wysiada, żeby wprowadzić kod na tabliczce, i brama otwiera się powoli. Podjeżdżają wolno do klasycystycznej, odnowionej willi z małymi oknami i masywnym frontowym gankiem. Stare dęby pochylają się nad budynkiem, jakby go ochraniały. Jedynym widocznym samochodem jest stare białe volvo zaparkowane na brukowanym podjeździe.

– Czy twój tata jest w domu? – pyta Kay, gdy jej wynajęty srebrny lincoln podskakuje na kostce brukowej.

– Nie – odpowiada Albert ponuro, kiedy samochód się zatrzymuje.

Wysiadają i idą po stromych ceglanych schodach. Chłopiec otwiera drzwi i wyłącza alarm antywłamaniowy, po czym wchodzi do odnowionego domostwa sprzed wojny secesyjnej, z ręcznie rzeźbionymi gzymsami, malowanymi boazeriami z ciemnego mahoni i wschodnimi dywanami, wytartymi i posępnymi. Słabe światło przesącza się przez okna

z ciężkimi adamaszkowymi zasłonami, które przytrzymują zakończone chwastami ozdobne sznury, a kręte schody prowadzą na piętro, gdzie na drewnianej podłodze rozbrzmiewają czyjeś szybkie kroki.

– To moja ciocia – mówi Albert, gdy kobieta o ptasich rysach i ciemnych oczach bez uśmiechu ukazuje się na schodach. Jej dłoń ślizga się po gładkiej, błyszczącej, drewnianej poręczy.

– Jestem pani Guidon. – Idzie lekkim, szybkim krokiem do holu wejściowego.

Ze swymi zmysłowymi ustami i delikatnymi nozdrzami pani Guidon mogłaby być ładna, gdyby jej twarz nie była tak ostra, a strój tak surowy. Ma na sobie długą czarną spódnicę i niezgrabne czarne sznurowane pantofle, wysoki kołnierzyk bluzki spina złota broszka, a czarne włosy są zaczesane do tyłu. Wygląda na czterdzieści kilka lat, ale trudno określić jej wiek. Skórę ma gładką i tak bladą, że niemal przezroczystą, jakby nigdy nie widziała słońca.

– Czy mogę pani zaproponować filiżankę herbaty? – Uśmiech pani Guidon jest zimny jak zatechłe, nieruchome powietrze.

– Tak! – Albert chwyta Kay za rękę. – Proszę, zostań na herbatę. I ciasteczka. Jesteś moją nową przyjaciółką!

– Dla ciebie nie będzie herbaty – mówi mu ciocia. – W tej chwili idź do swojego pokoju. Zabierz ze sobą walizkę. Powiem ci, kiedy będziesz mógł zejść na dół.

– Nie odchodź – błaga Albert Scarpette. – Nienawidzę cię – zwraca się do pani Guidon.

Ciocia ignoruje go, najwyraźniej słyszała to już wiele razy.

– To taki pocieszny mały chłopiec. Jest bardzo zmęczony i nieznośny, ponieważ zrobiło się bardzo późno. A teraz pożegnaj się. Obawiam się, że więcej nie zobaczysz tej miłej pani.

Kay żegna się z nim serdecznie.

Chłopiec wchodzi ze złością po schodach, oglądając się kilka razy, wyraz bólu na jego twarzyczce rani jej serce. Usłyszawszy kroki Alberta na drewnianej podłodze na górze, spogląda ostro na nieprzyjemną gospodynię.

– Jest pani bardzo surowa wobec tego małego chłopca, pani Guidon – mówi. – Co z was za ludzie, pani i jego ojciec, że pozwalacie, aby obca osoba odwiozła go do domu?

– Jestem rozczarowana. – Wyniosła poza pani Guidon nie znika. – Myślałam, że naukowiec o pani reputacji dokładnie wszystko zbada, zanim zacznie wyciągać wnioski.

ROZDZIAŁ 108

Lucy i Marino rozmawiają przez telefon komórkowy.

– Gdzie ona ma się zatrzymać? – pyta Lucy ze swego zaparkowanego czarnego lincolna navigatora.

Ona i Rudy przekonali się, że najlepszy sposób, aby nie rzucać się w oczy, to wjechać na parking hotelu Radisson i siedzieć tam z wyłączonym silnikiem i zgaszonymi światłami.

– U koronera. Cieszę się, że nie będzie sama w jakimś hotelu.

– Żadne z nas nie powinno mieszkać w hotelu – mówi Lucy. – Do diabła, nie mógłbyś jeździć głośniejszą ciężarówką?

– Gdybym taką miał.

– Sprawdziłeś go? Jak się nazywa?

– Sam Lanier. Ma przeszłość czystą jak gwizdek. Kiedy zadzwonił do mnie, żeby wypytywać o doktorkę, odniosłem wrażenie, że jest w porządku.

– No cóż, nawet jeśli nie, nic jej nie grozi, ponieważ będzie miał troje innych gości – mówi Lucy.

ROZDZIAŁ 109

Delikatna filiżanka Wedgewooda dzwoni leciutko o spodeczek.

Pani Guidon i doktor Scarpetta siedzą przy kuchennym stole zrobionym ze starego pniaka rzeźnickiego, który Kay wydaje się odpychający. Nie może przestać myśleć o tym, ile kurcząt i innych zwierząt zarżnięto i poćwiartowano na tym drewnianym kłocu ze śladami topora, pęknięciami i odbarwieniami. To nieprzyjemny efekt uboczny jej zawodu, że wie zbyt wiele. Nie da się zabić bakterii na porowatym materiale, takim jak drewno.

– Ile razy jeszcze mam pytać, dlaczego tu jestem i jak się pani udało ściągnąć mnie tutaj? – Patrzy wnikliwie na gospodynię.

– To czarujące, że Albert uznał, że jest pani jego przyjaciółką – zauważa pani Guidon. – Bardzo się staram przewyciężyć jego nieśmiałość. Nie chce słyszeć o uprawianiu sportów ani o innych zajęciach, które mogłyby go zbliżyć do dzieci w jego wieku. Uważa, że jego miejsce jest przy tym stole – stuka w pień swoimi drobnymi, mlecznobiałymi kłykcami. – Chciałby tu siedzieć i rozmawiać z panią i ze mną jak z równymi sobie.

Ponieważ doktor Scarpetta przez wiele lat miała do czynienia z ludźmi, którzy nie chcą lub nie mogą odpowiadać na pytania, potrafi wychwytywać ów subtelny ton prawdy, kiedy się subtelnie objawia.

– Dlaczego nie przyjaźni się z dziećmi w swoim wieku? – pyta.

– Kto to wie? To zagadka. Zawsze był dziwny, naprawdę, wolał siedzieć w domu i odrabiać lekcje albo bawić się tymi dziwnymi grami, w które grają dzisiaj dzieci. Karty z tymi strasznymi potworami. Karty i komputery, karty i znowu karty. – Jej gesty są dramatyczne, a francuski akcent ciężki, jej angielski brzmi sztucznie i niepewnie. – Im robi się starszy, tym bardziej

się izoluje. Często, kiedy jest w domu, zamyka się w pokoju i nie wychodzi.
– Nagle łagodnieje i sprawia wrażenie zatroskanej.

Doktor Scarpetta rozgląda się dyskretnie, a każdy zaobserwowany dookoła szczegół jest sprzeczny i niepokojący. Kuchnia stanowi nagromadzenie anachronizmów, które wydają się metaforą tego domu i mieszkających w nim ludzi. Z tyłu znajduje się ogromny kominek z ręcznie wykutymi kozłami, które mogłyby utrzymać ładunek drewna wystarczający do ogrzania pomieszczenia trzy razy większego. Drzwi prowadzą na zewnątrz, obok nich widać panel skomplikowanego systemu alarmowego z ekranem wideo dla kamer, które niewątpliwie strzegą wszystkich wejść. Inny panel, znacznie większy, wskazuje, że stary dom został zaopatrzony w liczne automaty pozwalające mieszkańcom zdalnie włączać ogrzewanie, chłodzenie, światło i różne urządzenia. Ale aparatura i termostaty, które Kay do tej pory widziała, nie są nowe i ocenia je na co najmniej trzydzieści lat.

Stojak na noże na granitowym blacie jest pusty, żadnych noży nie ma też w porcelanowym zlewozmywaku ani nigdzie w zasięgu wzroku. Nad kominkiem wiszą za to dziewiętnastowieczne szpady, a na masywnym gzymsie z kasztanowca leży rewolwer z gumowaną kolbą, najprawdopodobniej trzydziestkaósemka w czarnej skórzanej kaburze.

Pani Guidon podąża za wzrokiem swego gościa i przez chwilę na jej twarzy widać gniew. Popełniła przeoczenie, wiele mówiący błąd. Pozostawienie broni na widoku nie było zamierzone.

– Z pewnością nie uszło pani uwagi, że pan Dard bardzo dba o bezpieczeństwo. – Wzdycha i wzrusza ramionami, jakby dawała Kay do zrozumienia, że pan Dard jest przesadnie ostrożnym paranoikiem. – W Baton Rouge mamy wysoki wskaźnik przestępczości, na pewno pani o tym

wie. Jeśli ktoś mieszka w takim domu i jest bogaty, ma powody do obaw, chociaż ja nie jestem osobą, która bez przerwy ogląda się przez ramię.

Doktor Scarpetta stara się ukryć antypatię do pani Guidon i jest wściekła, kiedy wyobraża sobie, jak musi wyglądać życie chłopca. Zastanawia się, jak daleko może się posunąć w obnażaniu tajemnic, które otaczają ten stary dom.

– Albert wydaje się bardzo nieszczęśliwy i tęskni za swoim psem – mówi. – Może powinna mu pani kupić drugiego? Zwłaszcza jeśli jest samotny i nie ma przyjaciół.

– Myślę, że u niego to sprawa genów. Jego matka – moja siostra – nie wszystko było z nią w porządku. – Pani Guidon milknie, potem dodaje: – Oczywiście pani o tym wie.

– Może pani mi powie, co powinnam wiedzieć. Zdaje się, że wie pani bardzo dużo na mój temat.

– No proszę, jest pani spostrzegawcza – odpowiada pani Guidon z nutką protekcjonalności. – Ale nie tak ostrożna, jak należałoby się spodziewać. Albert dzwonił do mnie z pani telefonu komórkowego, pamięta pani? To było lekkomyślne jak na kogoś o pani reputacji.

– Co pani wie o mojej reputacji?

– Przez telefon komórkowy można zidentyfikować rozmówcę, a ja wiem, że nie przyjechała pani tak nagle do Baton Rouge na wakacje. Sprawa Charlotte jest skomplikowana. Nikt nie ma pojęcia, co się naprawdę stało i dlaczego poszła do tego straszego motelu odwiedzanego przez kierowców ciężarówek i męty społeczne. Więc doktor Lanier poprosił panią o pomoc? Jestem z tego zadowolona i powiedzmy, że to zostało zaplanowane, aby siedziała pani obok Alberta i odwiozła go do domu. I tak znalazła się pani tutaj. – Podnosi swoją filiżankę. – Wszystko dzieje się z jakiegoś powodu, jak zapewne pani rozumie.

– Jak mogła pani zaaranżować to wszystko? – naciska Kay, dając gospodyni do zrozumienia, że ma już tego dość. – Nie przypuszczam, żeby prokurator Weldon Winn był zamieszany w pani intrygę, chociaż on też przypadkiem siedział obok mnie.

– O tylu rzeczach pani nie wie. Pan Winn jest bliskim przyjacielem rodziny.

– Jakiej rodziny? Ojciec Alberta nie pokazał się na lotnisku. Albert chyba nawet nie wie, gdzie on jest. Czy któreś z was w ogóle pomyślało, co może się stać z małym chłopcem podróżującym bez opieki?

– Nie był sam. Był z panią. A teraz jest pani tutaj. Chciałam się z panią zobaczyć. Doskonale.

– Przyjaciel rodziny? – powtarza Scarpetta. – To dlaczego Albert nie zna Weldona Winna, skoro to taki bliski przyjaciel rodziny?

– Albert nigdy go nie spotkał.

– To nie ma sensu.

– Nie powinna pani tak mówić.

– Będę mówiła, co zechcę, ponieważ najwyraźniej podrzuciła mi pani Alberta, mając pewność, że jest ze mną bezpieczny – z całkowicie obcą osobą – i że odwiozę go do domu. Skąd mogła pani wiedzieć, że się nim zajmę i że jestem godna zaufania? – Doktor Scarpetta wstaje, odsuwając krzesło, które głośno zgrzyta po drewnianej podłodze. – Stracił matkę, diabli wiedzą, gdzie jest jego ojciec, potem stracił psa, a wreszcie znalazł się sam na lotnisku, porzucony i przerażony. W mojej branży to się nazywa zaniedbywanie dziecka, wykorzystywanie dziecka. – Wzbiera w niej gniew.

– Jestem siostrą Charlotte. – Pani Guidon też wstaje.

– Manipulowała pani mną. Albo próbowała. Wychodzę.

– Proszę zostać, chciałabym pokazać pani posiadłość – mówi pani Guidon. – Zwłaszcza *le cave*.

– Jak pani może mieć piwnicę na wino w rejonie, gdzie poziom wody jest tak wysoki, że domy trzeba budować na filarach? – pyta doktor Scarpetta.

– A więc nie zawsze jest pani taka spostrzegawcza. Ten dom stoi na wzniesieniu, został zbudowany w tysiąc siedemset dziewięćdziesiątym trzecim roku. Pierwszy właściciel znalazł idealne miejsce do realizacji swojego zamysłu. Był Francuzem, koneserem win, i często jeździł do Francji. Niewolnicy zbudowali piwnicę na wino, taką jak te, które widział we Francji, a ja nie wątpię, że w tym kraju nie ma drugiej takiej. – Podchodzi do drzwi prowadzących na zewnątrz i otwiera je. – Po prostu musi ją pani zobaczyć. To najlepiej strzeżona tajemnica Baton Rouge.

Kay nie rusza się z miejsca.

– Nie.

Pani Guidon zniża głos i jest niemal łagodna, kiedy wyjaśnia:

– Myli się pani co do Alberta. Krążyłam wokół lotniska. Widziałam was oboje na chodniku. Gdyby go pani zostawiła, zabrałabym go sama, ale na podstawie tego, co o pani wiem, nie zostawiłaby go pani. Jest pani zbyt troskliwa, zbyt przyzwoita. I bardzo wyczulona na zło tego świata. – Mówi to rzeczowo, nie emocjonalnie.

– Jak mogła pani krążyć wokół lotniska? Dzwoniłam do pani do domu...

– Telefon został tak zaprogramowany, że przełącza rozmowy na moją komórkę. Patrzyłam na panią, kiedy pani do mnie dzwoniła. – To ją bawi. – Dojechałam do domu najwyżej piętnaście minut przed panią, doktor Scarpetta. Nie mam pani za złe, że jest pani wściekła i dezorientowana, ale chciałam z panią porozmawiać, kiedy nie będzie tu Jasona, ojca Alberta. Proszę mi wierzyć, ma pani szczęście, że go tu nie ma. – Waha się, trzymając drzwi od kuchni otwarte. – Kiedy jest w pobliżu, nie istnieje coś takiego jak prywatność. Proszę pójść ze mną. – Zaprasza gestem.

Kay patrzy na panel przy drzwiach kuchennych. Na zewnątrz cienie nikną w czarnej zasłonie drzew okrytych świeżymi liśćmi. Gałęzie wyglądają ponuro i groźnie pod bladym księżycem.

– Zatem wyprowadzę panią tędy. Podjazd jest z boku. Ale musi pani obiecać, że wróci i obejrzy piwnicę – mówi pani Guidon.

– Wyjdę frontowymi drzwiami. – Kay rusza w stronę głównego wyjścia.

ROZDZIAŁ 110

Benton krążył przez jakiś czas po okolicy, a potem zameldował się w hotelu Radisson pod przybranym nazwiskiem Tony'ego Wilsona.

Siedzi w pokoju na łóżku, drzwi są zamknięte na zasuwę i łańcuch. Poprosił o zablokowanie telefonu, chociaż nie spodziewa się jakichś połączeń. Jest bogatym człowiekiem z Los Angeles i potrzebuje trochę prywatności. Urzędnicy w recepcji wydają się to rozumieć. To najlepszy hotel w Baton Rouge, jego personel przywykł do gości z całego kraju, którzy lubią dyskrecję, nie chcą być niepokojeni i zwykle nie zostają długo.

Benton podłącza swój laptop do modemu w pokoju. Wprowadza kod, żeby zwolnić zamek nowego czarnego neseseru, który rozmyślnie podniszczył, ocierając go o meble i przesuwając po podłodze. Zdejmuje kaburę na kostce i kładzie na łóżku magnum Smith & Wesson 340DP. Broń jest automatyczna, ładowana pięcioma pociskami Speer Gold Dot 8 gramów.

Z neseseru wyjmuje dwa pistolety. Glock 27 ma magazynek na dziesięć naboji plus jeden w komorze. Amunicja to HydraShok: 8,7 grama, wydrążone czubki z rowkowanym płaszczem, prędkość 360 metrów na sekundę, duża siła przebicia – dziurawi przeciwnika i rozkwita jak kwiat o ostrych jak brzytwa płatkach.

Drugi i ważniejszy pistolet to P 226 SL sig sauer dziewięć milimetrów z magazynkiem na szesnaście naboji plus jeden w komorze. Amunicja to również Hydra-Shok: 8 gramów, wydrążone czubki, rowkowany płaszcz, prędkość 340 metrów na sekundę, głęboka penetracja i duża siła przebicia.

To wygodne, że można nosić przy sobie trzy sztuki broni naraz. Robił to już wcześniej: smitha & wessona w kaburze na kostce, glocka w kaburze pod pachą, a sig sauera za paskiem na plecach.

Dodatkowe magazynki do pistoletów i dodatkowe naboje do magnum 357 idą do skórzanego plecaka. Benton wkłada luźną kurtkę i workowate džinsy, odrobinę za długie, czapkę, ciemne okulary i buty Prady na gumowej podeszwie. Mógłby być turystą. Mógłby pracować w Baton Rouge i ledwo zwracać na siebie uwagę w tym mieście przyjezdnych, gdzie widuje się setki profesorów, nierzadko ekscentrycznych, i tysiące studentów w różnym wieku i różnych narodowości. Mógłby być hetero. Mógłby być homo. Mógłby być jednym i drugim.

ROZDZIAŁ 111

Następnego ranka doktor Scarpetta przenosi wzrok z rzecznego kasyna na pancernik USS „Kidd”, i dalej, na odległy most Old Missisipi i z powrotem na doktora Sama Laniera.

W ciągu tych kilku minut, jakie spędzili razem ostatniej nocy, kiedy wreszcie dotarła do jego drzwi, a gospodarz szybko zaprowadził ją do domku dla gości, nie wchodząc z nią do głównego domu, ponieważ nie chciał budzić żony, Kay uznała, że go lubi. Obawia się, że nie powinna.

– W sprawie Charlotte Dard – pyta – w jakim zakresie pan i pańskie biuro kontaktowaliście się z rodziną? Przesłuchiwaliście ich lub konsultowaliście się z nimi?

– Nie w takim zakresie, w jakim bym chciał. Próbowałem. – Blask w jego oczach gaśnie, usta opadają. – Rozmawiałem z jej siostrą, panią Guidon. Krótko. To dziwna osoba. No dobrze, czas na wprowadzenie. Pokażę pani, gdzie się znajdujemy.

Ta nagła zmiana tematu uderza ją jako paranoiczna, jakby Lanier obawiał się, że ktoś może podsłuchiwać. Obracając się ze swoim krzesłem, wskazuje przez okno na zachód.

– Ludzie ciągle skaczą z mostu Old Missisipi. Nie potrafię pani powiedzieć, ile razy wyławiałem ciała z rzeki, kiedy jakiś nieszczęśnik to zrobił. Zazwyczaj policja próbuje z nim rozmawiać, a ludzie w samochodach krzyczą: „skacz!”, ponieważ tamuje ruch. Może pani w to uwierzyć? Raz miałem faceta z AK47, ubranego w zasłonę od prysznic. Próbował dostać się na pokład USS „Kidd” i zabić wszystkich Rosjan. Został schwytyany – dodaje cierpko. – Wypadki śmiertelne i zaburzenia

psychiczne należą do tego samego wydziału, a my zabieramy wszystkich klientów – co czyni około trzech tysięcy spraw rocznie.

– A jak to dokładnie działa? – pyta doktor Scarpetta. – Ktoś z rodziny domaga się aresztu prewencyjnego?

– Prawie zawsze. Ale policja też może tego zażądać. A jeśli koroner – w tym wypadku ja – uważa, że dana osoba jest poważnie nie zrównoważona lub niebezpieczna dla siebie bądź innych i nie chce lub nie może szukać opieki lekarskiej, wystawia się nakaz.

– Koroner jest wybieralny. To pomaga, jeśli pozostaje w dobrych stosunkach z burmistrzem, policją, szeryfem, Uniwersytetem Luizjany, Uniwersytetem Południowym, prokuratorem okręgowym, sędziami, prokuratorem federalnym, nie wspominając już o wpływowych członkach społeczności. – Kay urywa. – Ludzie u władzy z pewnością mogą wpływać na mieszkańców, jak mają głosować. Zatem policja wnioskuje, aby ktoś został osadzony w szpitalu psychiatrycznym, a koroner wyraża zgodę. W moim świecie to się nazywa konfliktem interesów.

– Jest jeszcze gorzej. Koroner określa też zdolność sprawcy do występowania przed sądem.

– Tak więc nadzoruje pan autopsję ofiary morderstwa, określa przyczynę i sposób popełnienia zbrodni, a następnie, jeśli domniemany sprawca zostaje schwytany, decyduje pan, czy może stanąć przed sądem.

– Pobiera się próbkę DNA w laboratorium. Potem podejrzany siedzi tu, w moim gabinecie, w asyście dwóch gliniarzy i w obecności prokuratora. A ja go przesłuchuję. Albo ją.

– Doktorze Lanier, to najdziwniejszy system, o jakim słyszałam, i wygląda na to, że nie ma pan żadnej ochrony, jeśli władze uznają, że nie mogą panem kierować.

– Witamy w Luizjanie. A jeśli władze próbują mi dyktować, jak mam wykonywać swoją pracę, ja im mówię, żeby pocałowały mnie w dupę.

– A wskaźnik wykrywalności przestępstw? Wiem, że jest kiepski.

– Gorzej niż kiepski. Straszny – odpowiada. – Baton Rouge ma najwyższy wskaźnik nierozwiązanych zabójstw w całym kraju.

– Dlaczego?

– Widocznie Baton Rouge to bardzo brutalne miasto. Nie wiem, dlaczego.

– A policja?

– Proszę zrozumieć, mam wiele szacunku dla zwykłych gliniarzy. Większość z nich naprawdę się stara. Ale są ludzie na stanowiskach, którzy rzucają kłody pod nogi dobrym chłopakom i protegują dupków. Polityka. – Krzesło skrzypi, kiedy Lanier się na nim opiera. – Mamy seryjnego mordercę, który grasuje po okolicy. W ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat prawdopodobnie działał tu niejeden. – Wzrusza ramionami w sposób, który nie jest ani beztroski, ani niefrasobliwy. – Polityka. Ile razy mam powtarzać to słowo?

– Zorganizowana przestępczość?

– Piąty co do wielkości port w kraju, drugi co do wielkości przemysł petrochemiczny, Luizjana dostarcza około szesnastu procent krajowej ropy. No dobrze. – Wstaje zza biurka. – Lunch. Wszyscy muszą jeść, a mam wrażenie, że ostatnio nie miała pani do tego zbyt wielu okazji. Wygląda pani na wykończoną, a pani kostium wisi trochę luźno wokół talii.

Doktor Scarpetta nie mówi mu, jak znienawidziła swój czarny kostium.

Trzy urzędniczki podnoszą głowy, gdy oboje wychodzą z gabinetu.

– Wraca pan? – pyta swojego szefa otyła kobieta z siwymi włosami. W jej głosie pobrzmiewa stalowy chłód.

Kay jest prawie pewna, że to właśnie na nią skarżył się doktor Lanier.

– Kto to może wiedzieć? – odpowiada teraz koroner bezbarwnym tonem doświadczonego świadka zeznającego w sądzie.

Od razu widać, że jej nie lubi. Unoszą się pomiędzy nimi stare, brzydkie upiory. Doktor Lanier wygląda na zadowolonego, kiedy otwierają się zewnętrzne drzwi i wchodzi wysoki, przystojny mężczyzna w spodniach marynarskiego kroju i granatowej kurtce z nadrukiem biura koronera. Jego obecność jest jak pole energetyczne, które wyprzedza go o kilka kroków. Oczy otyłej urzędniczki wbijają mu się w twarz jak ciemne, wściekłe osy.

Erie Murphy, główny śledczy od zabójstw, wita doktor Scarpettę w Luizjanie.

– Dokąd jedziemy na lunch? – pyta.

– Bez względu na wszystko, musi pani coś zjeść – mówi doktor Lanier w windzie. – Nalegam, a to jest odpowiednie po temu miejsce. Jak powiedziałem, nie mogę się jej pozbyć. – Naciska z roztargnieniem guzik garażu. – Do diabła, ona pracuje w tym biurze dłużej ode mnie. Coś w rodzaju ścieku, który przechodzi od jednego koronera do następnego.

Drzwi windy otwierają się w wielkim garażu. Drzwi samochodów trzaskają, kiedy ludzie wyjeżdżają na lunch, a Lanier otwiera kluczykiem czarnego chevroleta caprice z niebieską lampą na desce rozdzielczej, dwuzakresowym radiem, policyjnym skanerem i specjalnym silnikiem V8 z turbodoładowaniem, „niezbędnym w czasie pościgów”, mówi z dumą, kiedy Kay otwiera tylne drzwi i wsuwa się na siedzenie.

– Nie może pani siedzieć z tyłu. To nie wygląda dobrze – protestuje Erie, otwierając przednie drzwi od strony pasażera. – Jest pani naszym gościem, pani doktor.

– Och, proszę mnie tak nie nazywać. Jestem Kay. I mam krótsze nogi, co oznacza, że siedzę z tyłu.

– Nazywaj mnie, jak chcesz – odpowiada radośnie Erie. – Wszyscy tak robią.

– Od tej pory jestem Sam. Koniec z doktorem.

– Mnie też nie nazywajcie doktorem – mówi Erie. – Z tej prostej przyczyny, że nim nie jestem.

Przestaje spierać się z Kay o to, gdzie powinna usiąść, i wsiada do samochodu.

– Do diabła, po raz ostatni byłeś doktorem, kiedy miałeś ile? – Lanier uruchamia silnik. – Dziesięć, może dwanaście lat i molestowałeś wszystkie dziewczynki w sąsiedztwie? Jezu Chryste, nienawidzę parkować pomiędzy tymi cholernymi betonowymi słupami.

– Lubią na ciebie wpadać, prawda, Sam? – Erie odwraca się i mruga do Kay. – Regularnie zaczepiają o jego samochód. – Popatrz tam. – Wskazuje na betonowy wspornik, wyszczerbiony, ze smugą czarnej farby. – Gdybyś pracowała na miejscu zbrodni, do jakich wniosków byś doszła? – Zrywa celofan z opakowania gumy do żucia Dentyne. – Dam ci wskazówkę. To było miejsce do parkowania koronera, ale niedawno temu koroner – zgadnij, który, a jest tylko jeden – poskarżył się, że jest za wąskie, i niech go diabli, jeśli tam jeszcze kiedyś zaparkuje.

– Nie zdradzaj wszystkich moich sekretów. – Sam Lanier powolutku wyprowadza samochód. – Poza tym to moja żona wpadła na ten słup. Jest jeszcze gorszym kierowcą niż ja, jeśli chodzi o ścisłość.

– Ona też jest śledczym od zabójstw. – Erie znowu się odwraca. – Pracuje za darmo, czyli mniej więcej za tyle, ile zarabia reszta z nas.

– Cholera. – Koroner rozpędza swój samochód bardziej niż to konieczne na poziomie parkingowym. – Płacą ci znacznie więcej, niż na to zasługujesz.

– Czy możemy tutaj rozmawiać? – pyta Kay.

– Z całą pewnością. Może ludzie wchodzą do mojego gabinetu, niech mnie diabli, jeśli to wiem. Ale nikt nie dotyka mojego samochodu ani mojego harleya – odpowiada Lanier.

Kay zaczyna mówić stanowczym, spokojnym głosem.

– Tak się złożyło, że kiedy tutaj leciałam, z jednej strony siedział obok mnie synek Dardów, a z drugiej prokurator federalny Weldon Winn. Skończyło się na tym, że musiałam odwiedzić Alberta Darda do domu. Zechcecie mi powiedzieć, o co tu chodzi?

– Przerażasz mnie.

– Chłopiec przypadkiem jest w Miami, wczoraj rano nagle zostaje odwieziony na lotnisko i przypadkiem znajduje się na pokładzie tego samego samolotu, którym ja lecę do Baton Rouge. Oczywiście Weldon Winn też przypadkiem leci tym samym samolotem. A tak nawiasem mówiąc, nie wyglądasz na człowieka, którego łatwo przerazić.

– Dwie rzeczy. Po pierwsze, nie znasz mnie. Po drugie, nie znasz tego miasta.

– Gdzie był Albert osiem lat temu, kiedy jego matka zmarła w tym pokoju motelowym? – pyta Kay. – Gdzie był jego ojciec i czemu ów tajemniczy ojciec, cytuję, „ciągle wyjeżdża”, jak określił to chłopiec?

– Tego nie wiem. Mogę ci tylko powiedzieć, że znam Alberta. W zeszłym roku musiałem go zbadać. Otrzymałem niepokojące sygnały, tak to należy nazwać, zwłaszcza w kontekście jego bogatej rodziny i tajemniczej śmierci matki. Został skierowany do prywatnej kliniki psychiatrycznej w Nowym Orleanie.

– Po co, na miłość boską? – dziwi się Kay i dodaje: – Leczenie psychiatryczne, a rodzina pozwala mu podróżować samemu?

– Ale nie był sam, zgodnie z tym, co mi powiedziałaś. Wuj oddał go w ręce personelu linii lotniczych, który bez wątplenia zadbał o to, żeby trafił

do właściwej bramki w Houston. A potem ty się nim zaopiekowałaś. Nie jest chory psychicznie. Podobno trzy lata temu, w październiku, jego ciotka zadzwoniła na pogotowie i powiedziała, że siostrzeniec bardzo krwawi i twierdzi, że został napadnięty, kiedy jechał na rowerze. Podobno był bliski hysterii, śmiertelnie przerażony. No cóż, moim zdaniem na tego biednego dzieciaka nikt nie napadł, Kay. Nie było na to żadnych dowodów. Prawdę mówiąc, on przejawia skłonność do samookaleczeń. Ostroymi przedmiotami. Najwyraźniej to się znowu zaczęło niedługo przedtem, zanim go zbadałem. Co nie było przyjemnym doświadczeniem.

Doktor Scarpetta przypomina sobie brak noży w kuchni Dardów.

– Jesteś absolutnie pewien, że jego rany były wynikiem samookaleczenia?

– Staram się nie być absolutnie pewnym niczego. Nie wiem, co jest absolutnie pewne z wyjątkiem śmierci – odpowiada Lanier. – Ale znalazłem wiele powierzchownych zranień. Właściwie zadrapań. To typowe dla osób ze skłonnością do autodestrukcji. Jego obrażenia były drobne, w miejscach łatwo dostępnych, ale niewidocznych dla innych. Brzuch. Uda. Pośladki.

– To tłumaczy, dlaczego nie widziałam blizn, kiedy siedziałam obok chłopca w samolocie – przyznaje Kay. – Zauważyłabym.

– To, co mnie naprawdę niepokoi, jest oczywiste – mówi Sam Lanier. – Ktoś chciał, żebyś się znalazła w Baton Rouge. Dlaczego?

– Ty mi to powiedz. Wyjaśnij mi, kto ujawnił moje plany podróży, ponieważ wygląda na to, że najbardziej prawdopodobnym podejrzanym jesteś ty – albo ktoś z twojego biura, kto wiedział, że przyjeżdżam.

– Rozumiem, dlaczego mogłaś tak pomyśleć. To jasne. Wiedziałem dosyć, żeby zaaranżować całą tę cholerną sytuację, zakładając, że jestem w przyjacielskich stosunkach z Weldonem Winnem. A nie jestem, nie znoszę tego sukinsyna. Jest brudniejszy niż śmietnik i ma mnóstwo pieniędzy.

Opowiada, że dorastał z pieniędzmi. Ale wiesz co, on pochodzi z Myrtle Beach w Karolinie Południowej. Jego ojciec miał pole golfowe, a matka harowała jak wół jako pielęgniarzka. Sukinsyn nie odziedziczył żadnych pieniędzy.

– Skąd to wszystko wiesz?

– Spytaj Erica.

Główny śledczy odwraca się i z uśmiechem kiwa głową.

– Zaczynałem w FBI. Od czasu do czasu potrafię wyjść z papierowej torby i sprawdzić to i owo.

– Rzecz w tym, że Weldon Winn jest zamieszany, głęboko zamieszany w nielegalne interesy – ciągnie doktor Lanier. – Czy ktoś potrafi tego dowieść albo czy to kogoś w ogóle obchodzi – to inna sprawa. Ale faktem jest, że wiele osób aresztowanych tutaj w ciągu ostatnich lat zdołało w dziwny sposób uniknąć wydalenia z kraju i nie dostało automatycznie dodatkowych pięciu lat w więzieniu federalnym za posiadanie broni palnej podczas dokonywania przestępstwa. Nasz prokurator federalny jakoś przeoczył te sprawy, podobnie jak komitet, który miał się nimi zajmować.

Jednym z powodów, dla których spotyka mnie tyle przykrości w moim ukochanym mieście, jest to, że nie chcę się płaszczyć przed politykami. W przyszłym roku będę się ubiegał o reelekcję, a jest tu cała arka Noego pełna dupków, którym sprawiłoby ogromną przyjemność, gdybym przestał już być koronerem. Nie jestem lubiany przez złych facetów, bo nie spoufalam się z nimi. Uważam to za komplement.

– Ty i ja rozmawialiśmy przez telefon – zauważa Kay. – Twoje biuro wynajęło mi samochód.

– Błąd. Cholerna głupota z mojej strony. Powinienem był załatwić to sam, poza biurem. Mojej sekretarce można zaufać. Ta urzędniczka, którą właśnie widziałas, mogła podsłuchiwać, nie wiem.

Jadą przez dosyć skromną część Baton Rouge, wzdłuż terenów uniwersytetu, który dominuje nad miastem. Swamp Mama to lokal popularny wśród studentów. Doktor Lanier parkuje w pobliżu i bierze z tablicy rozdzielczej metalową plakietkę „Biuro koronera”, jakby miejsce lunchu zamieniło się nagle w miejsce zbrodni.

ROZDZIAŁ 112

Marino wjeżdża na parking przy lotnisku Luizjana i zatrzymuje się w stylu policyjnym, okno w okno z samochodem Lucy.

– Grzeczny chłopiec. Pozbyłeś się tego grzmota – mówi Lucy na powitanie. – Nie potrzebujemy tu twojego monstrum z tablicami rejestracyjnymi z Wirginii.

– Hej, nie jestem głupi. Nawet jeśli jeżdżę takim gównem.

Jego wynajęty samochód to sześciocyndrowa toyota. Nie ma nawet chlapaczy.

– Gdzie ją zostawiłeś? – pyta Lucy.

– Na parkingu przed zwykłym lotniskiem. Mam nadzieję, że nikt się do niej nie włamie. Jest tam wszystko, co mam. Nawet jeśli niewiele tego.

– Chodźmy.

Parkują, ale niezbyt blisko siebie.

– Gdzie twój chłopak? – pyta Marino, kiedy idą w stronę bazy operacyjnej.

– Rozgląda się. Zobaczymy, czy uda mu się znaleźć dom Rocca w Dzielnicy Hiszpańskiej.

Lucy zatrzymuje się na chwilę przy biurku.

– Bell cztery-zero-siedem – mówi, nie podając numeru ogonowego.

Nie ma takiej potrzeby. Na płycie stoi w tej chwili tylko jej śmigłowiec. Kobieta przy biurku naciska guzik, który odblokowuje drzwi. Gulfstream zapuszcza silniki, hałas jest ogłuszający, a Lucy i Marino zatykają uszy i uważają, żeby nie podejść pod strumień wylotowy. Idą w stronę lądowiska dla śmigłowców, które znajduje się na skraju płyty, z daleka od samolotów,

ponieważ ludzie nieobeznani ze śmigłowcami myślą, że wirnik wzbija tumany piasku i drobnych kamieni, które zdzierają farbę z kadłubów.

Marino nie zna się na helikopterach i nie lubi ich. Ledwo udaje mu wcisnąć swoje masywne cielsko na lewy fotel, który nie jest regulowany. Nie może go cofnąć.

– Cholerny sukinsyn – mówi, poluzowując pasy ile tylko się da.

Lucy po raz ostatni sprawdza przyrządy, przełączniki i przepustnicę i włącza akumulator. Czeką, aż automatyczne procedury kontrolne dobiegną końca, wkłada słuchawki i zwalnia przepustnicę do stu obrotów na minutę. Tym razem instrumenty nawigacyjne nie będą jej potrzebne. Mapa lotnicza też się nie przyda, rozpościera więc na kolanach plan Baton Rouge i przesuwa palec na południowy wschód, wzdłuż szosy 408 znanej jako Droga Hoopera.

– Miejsce, do którego lecimy, nie zostało zaznaczone na mapie – mówi do mikrofonu. – Jezioro Maurepas. Lecimy w tym kierunku, na Nowy Orlean, i miejmy nadzieję, że nie znajdziemy się nad jeziorem Pontchartrain. Nie lecimy aż tak daleko, bo minęlibyśmy jezioro Maurepas, Blind River i Dutch Bayou. Nie sądzę, by do tego doszło.

– Leć szybko – mówi Marino. – Nienawidzę śmigłowców, łącznie z twoim.

– W drogę – oznajmia Lucy, ustawia maszynę w zawisie i startuje pod wiatr.

ROZDZIAŁ 113

Swamp Mama to bar, w którym pachnie piwem, starymi, gumowymi butami i poplamioną, niepolakierowaną, drewnianą podłogą.

Podczas gdy kelner przyjmuje zamówienia, Erie i Lanier znikają w męskiej toalecie.

– A niech mnie – mówi Erie, kiedy drzwi toalety zamykają się za nimi. – Z przyjemnością zabrałbym ją do domu. Może dziś wieczorem?

– Ona nie jest tobą zainteresowana – odpowiada doktor Lanier w kadencji, która wznosi się przy końcu każdego zdania, co sprawia, że jego komentarze brzmią jak pytania, którymi nie są. – Daj spokój.

– Nie jest zamężna.

– Nie kombinuj z moimi konsultantami, zwłaszcza z nią. Zjadłaby cię żywcem.

– Och, proszę, Boże, tak. Pozwól jej na to.

– Za każdym razem, kiedy rzuca cię dziewczyna, kompletnie ci odbija.

Prowadzą tę rozmowę przy pisuarach, jedynym miejscu na ziemi, gdzie nie przeszkadza im, że stoją plecami do drzwi.

– Próbuję sobie uzmysłwić, jak ją opisać – mówi Erie. – Nie jest piękna, tak jak twoja żona. Ma ostrzejsze rysy, ale dla mnie nie ma nic bardziej seksownego niż naprawdę dobre ciało w kostiumie albo nawet w mundurze.

– Jesteś jak mucha krążąca nad gównem. Nie bzycz dookoła niej, Ericu.

– Te jej małe okulary też mi się podobają. Ciekawe, czy z kimś się spotyka. Ten kostium nie ukrywa tego, co ważne, zauważyłeś?

– Nie, nie zauważyłem. – Doktor Lanier zawzięcie szoruje ręce nad umywalką, jakby zaraz miał przystąpić do transplantacji serca. – Jestem ślepy. Nie zapomnij umyć rąk.

Erie śmieje się, podchodzi do umywalki, puszcza gorącą wodę i wyciska sobie na dłonie różowe mydło.

– Bez żartów, a gdybym ją poderwał, szefie? Co w tym złego?

– Może powinieneś spróbować z jej siostrzenicą, jest bardziej w twoim wieku. Niezwykle atrakcyjna i sprytna jak diabli. Mógłbyś nie dać sobie z nią rady. Ona też jest z facetem. Ale nie sypiają w tym samym pokoju.

– Kiedy ją poznam? Może dziś wieczorem? Ty gotujesz? A może poszlibyśmy do Boutina?

– Co się z tobą dzieje?

– Ostrygi jadłem wczoraj.

Doktor Lanier wyciąga papierowe ręczniki z metalowego dozownika na ścianie i kładzie kilka na brzegu umywalki Erica. Wychodząc z toalety, obserwuje doktor Scarpettę i stwierdza, że wszystko w niej jest niezwykle, nawet sposób, w jaki sięga po filizankę z kawą, powoli, z namysłem, emanując pewnością siebie i władzą, które nie mają nic wspólnego z piciem kawy. Zapisuje coś w notesie w czarnej skórzanej okładce, w którym można uzupełniać zapas kartek. Sam podejrzewa, że Kay Scarpetta ciągle uzupełnia te kartki. Sprawia wrażenie osoby, która zapisuje każdy szczegół lub rozmowę, jeśli jej zdaniem mogą okazać się ważne. Jej skrupulatność wykracza poza doświadczenie zawodowe. Doktor Lanier siada obok Kay.

– Polecam okrę – mówi, a jego telefon komórkowy gra cichą, mechaniczną wersję Piątej Symfonii Beethovena.

– Powinieneś zmienić ten sygnał na coś innego – komentuje Erie.

– Lanier – odpowiada koroner. Słucha przez minutę, marszcząc brwi, jego oczy kierują się na Erica. – W tej chwili wychodzę.

Wstaje i kładzie na stole serwetkę.
– Chodźmy – mówi. – Mamy problem.

ROZDZIAŁ 114

Teren pomiędzy lotniskiem w Baton Rouge a jeziorem Maurepas to nieprzerwany ciąg bagien, rozlewisk i strumieni, które budzą niepokój Lucy.

Nawet z nadmuchiwanymi pływakami obawiałyby się przymusowego lądowania tutaj. Jak ktokolwiek miałby do nich dotrzeć, to zupełnie inna kwestia, a ona woli sobie nie wyobrażać, jakie stworzenia czają się w tych wodach, na podmokłych brzegach i w cieniu oplecionych pnączami drzew. W części bagażowej zawsze trzyma zestaw awaryjny, który zawiera krótkofalówki, wodę, tabletki z proteinami i środek odstraszający robactwo.

Wśród gęstych drzew kryją się zamaskowane stanowiska do polowania na kaczki, a czasem chaty rybaków. Lucy leci nisko i wolno, ale nie widzi żadnych oznak obecności ludzi. Na niektórych obszarach tylko bardzo mała łódź mogłaby utorować sobie drogę przez wąskie cieki wodne, które z powietrza wyglądają jak siateczka żył wśród trawy.

– Widzisz tam w dole jakieś aligatory? – pyta Marina.

– Nie szukam aligatorów. I nic tam nie ma.

Kiedy strumienie zmieniają się w rzeki, a Lucy dostrzega na horyzoncie bladoniebieską linię, zaczyna się cywilizacja. Dzień jest rześki i trochę pochmurny, dobra pogoda do pływania po rzece. W dole krąży mnóstwo łodzi, a rybacy i ludzie na żaglówkach unoszą głowy i patrzą na śmigłowiec. Lucy uważa, żeby nie lecieć zbyt nisko, co mogłoby nasuwać podejrzenia, że czegoś szuka. Jest po prostu pilotem lecącym dokądś. Skręca na wschód i zaczyna wypatrywać Blind River. Każe detektywowi robić to samo.

– Jak myślisz, dlaczego nazywają ją Ślepą Rzeką? – pyta Marino. – Ponieważ jej nie widać, dlatego.

Im dalej na wschód, tym więcej jest obozowisk, w większości dobrze utrzymanych, z przycumowanymi do pomostów łodziami. Lucy dostrzega kanał, zawraca i podąża jego zakolami na południe, a kanał robi się stopniowo coraz szerszy i przechodzi w rzekę, która wpada do jeziora. Z rzeki wypływają inne kanały, a Lucy krąży, schodząc niżej, ale nie znajdują ani jednej chaty rybackiej.

– Jeśli to Talley zawiesił ten hak z ręką – mówi Lucy – to mam przecucie, że ukrywa się niedaleko stąd.

– Jeśli masz rację i nadal będziesz tak krążyć, to na pewno nas zauważy – odpowiada Marino.

Zawracają, nie zaprzestając poszukiwań i uważając na anteny, a Lucy stara się nie przelecieć nad zakładami petrochemicznymi, bo wtedy na pewno zostaliby przechwyceni. Zauważyła kilka jaskrawo-pomarańczowych śmigłowców Dauphine, jakimi zwykle lata straż przybrzeżna, stanowiąca część systemu bezpieczeństwa wewnętrznego i utrzymywana ostatnio w stanie ciągłego pogotowia antyterrorystycznego. Nie jest mądrze przelatywać obecnie nad zakładami petrochemicznymi. Jeszcze gorzej byłoby wpaść na trzystumetrową antenę. Lucy zmniejsza prędkość do dziewięćdziesięciu węzłów, nie zamierza jeszcze wracać na lotnisko i zastanawia się, czy to odpowiednia chwila, aby powiedzieć Marinowi prawdę.

Nie będzie mogła patrzeć na niego, zachowując jednocześnie czujność, aby uniknąć pojawiających się w pobliżu przeszkód. Żołądek jej się ściska, a puls przyspiesza.

– Nie wiem, jak to powiedzieć – zaczyna.

– Nie musisz nic mówić – oświadcza detektyw. – Już wiem.

- Skąd? – Jest oszołomiona i przerażona.
- Jestem detektywem, pamiętasz? Chandonne wysłał dwa zaklejone listy, jeden do ciebie, drugi do mnie, oba w kopertach Narodowej Akademii Sprawiedliwości. Nigdy nie pokazałaś mi swojego. Powiedziałaś, że to stek bzdur. Mogłem naciskać, ale coś mi mówiło, żeby tego nie robić. Potem zniknęliście, ty i Rudy, a kilka dni później dowiedziałem się, że Rocco nie żyje. Zapytam cię tylko, czy to Chandonne powiedział ci, gdzie go znaleźć, i czy dostarczył ci dosyć informacji, żeby wysłać ten czerwony list gończy.
- Tak. Nie pokazałam ci listu. Bałam się, że sam pojedziesz do Polski.
- I co zrobię?
- A jak myślisz? Gdybyś znalazł go w tym pokoju hotelowym i stanął z nim twarzą w twarz, zobaczył z bliska, jaki jest naprawdę, co byś zrobił?
- Prawdopodobnie to samo co ty i Rudy – przyznaje się Marino.
- Nie mogę ci zdradzić wszystkich szczegółów.
- Nie chcę wiedzieć.
- Może nie potrafiłbyś zrobić tego sam, Marino. Dzięki Bogu, że tego nie zrobiłeś. Był twoim synem – mówi mu. – I w jakiejś ukrytej części swego serca kochałeś go.
- Bardziej niż jego śmierć boli mnie to, że nigdy go nie kochałem – odpowiada detektyw.

ROZDZIAŁ 115

Pierwszy ślad krwi znajduje się metr od drzwi frontowych, pojedyncza kropla wielkości dziesięciocentówki, idealnie okrągła, z ząbkowanym brzegiem przypominającym ostrze piły tarczowej.

Dziewięćdziesiąt stopni, myśli doktor Scarpetta. Kropla krwi poruszająca się w powietrzu przyjmuje niemal idealnie okrągły kształt przy zetknięciu z podłożem, jeśli spada prosto, pod kątem dziewięćdziesięciu stopni.

– Była wyprostowana, czy ktokolwiek to był – mówi głośno.

Stoi nieruchomo, a jej oczy przesuwają się od jednej kropli do następnej widocznej na podłodze z terakoty. Na skraju dywanu przed kanapą znajduje się większa plama, zapewne rozmazana butem, jakby osoba, która stała na zabrudzonym kafelku, pośliznęła się. Kay podchodzi, żeby się lepiej przyjrzeć, patrzy na zakrzepłą, ciemnoczerwoną krew, a potem odwraca głowę i napotyka wzrok Sama Laniera. Koroner podchodzi bliżej, a doktor Scarpetta pokazuje mu niemal nierozpoznawalny częściowy odcisk obcasa z drobnym sinusoidalnym wzorem wyźłobień, który przypomina dziecięcy rysunek fal oceanu.

Erie zaczyna robić zdjęcia.

Za kanapą ślady walki koncentrują się wokół stolika do kawy z kutego żelaza i szkła, który stoi krzywo, ponieważ zmarszczył się pod nim dywan. Nieco dalej ofiara uderzyła głową o ścianę.

– Włosy. – Kay wskazuje krwawy wzór na bladoróżowej farbie.

Drzwi frontowe otwierają się i wchodzi ubrany po cywilnemu młody policjant z ciemnymi, rzadziejącymi włosami. Wodzi wzrokiem od doktora

Laniera do Erica, a potem przesuwa spojrzenie na doktor Scarpettę.

– Kim ona jest? – pyta.

– Zacznijmy od tego, kim pan jest – mówi do niego Lanier.

Policjant wydaje się przerażony, rozgląda się gorączkowo i co chwila strzela oczami w kierunku tej części domu, której nie widzi.

– Detektyw Clark, z Zachary. – Opędza się od muchy, czarne włosy na grzbietach jego palców prześwitują przez przezroczyste lateksowe rękawiczki naciągnięte na wielkie dłonie. – Zostałem przeniesiony do dochodzeniowego w zeszłym miesiącu – dodaje. – Więc nie znam jej. – Znow wskazuje na Kay, która nie odchodzi od plamy na ścianie.

– Przyjezdny konsultant – wyjaśnia doktor Lanier. – Jeśli pan o niej nie słyszał, to jeszcze pan usłyszysz. Proszę mi powiedzieć, co tu się stało? Gdzie ciało i kto jest przy nim?

– We frontowej sypialni – wygląda na pokój gościnny. Robillard tam jest, robi zdjęcia i wszystko.

Doktor Scarpetta podnosi głowę na dźwięk nazwiska Nicole.

– Bardzo dobrze – mówi.

– Zna ją pani? – Detektyw Clark wydaje się bardzo zakłopotany. Z irytacją opędza się od kolejnej muchy. – Cholera, nienawidzę tych much.

Kay podąża za maleńkimi bryzgami krwi na ścianie i podłodze, niektóre nie są większe od koniuszka szpilki, a zwężające się końce wskazują, skąd leciały. Ofiara upadła na podłogę przy listwie i zdołała podnieść się na nogi. Małe, wydłużone krople na ścianie nie układają się w rozrzucony wzór, jaki zwykle powstaje, kiedy napadniętemu zadawano metodyczne ciosy lub pchnięcia, a krew ściekała z narzędzia zbrodni przecinającego powietrze.

Ich źródłem wydaje się zaciekle walka w salonie. Doktor Scarpetta wyobraża sobie szamotaninę, ślizgające się i kopiące stopy, czego rezultatem jest krwawy chaos – a nie tysiące kropli spadających w różnych

kierunkach z poruszającego się ostrza. Może nie było żadnego narzędzia zbrodni, zastanawia się, a przynajmniej nie w tej fazie walki. Może początkowo, kiedy napastnik wszedł frontowymi drzwiami, jedyną jego bronią była pięść. Może nie przypuszczał, że będzie potrzebował broni, a potem nagle stracił kontrolę nad sytuacją.

Doktor Lanier patrzy na tył domu.

– Ericu, idź i upewnij się, czy wszystko zostało zabezpieczone. My zaraz przyjdziemy.

– Co pan wie o ofierze? – pyta Kay detektywa Clarka. – Co pan w ogóle wie?

– Niewiele. – Clark przerzuca kilka stron w notatniku. – Nazywa się Rebecca Milton, biała kobieta, trzydzieści sześć lat. Wiemy tylko, że wynajmowała ten dom, a jej chłopak przyszedł około dwunastej trzydzieści, żeby zabrać ją na lunch. Nie odpowiadała na pukanie, więc wszedł i znalazł ją w sypialni.

– Drzwi nie były zamknięte? – pyta doktor Lanier.

– Nie. Znalazł ciało i wezwał policję.

– A potem ją zidentyfikował – mówi Kay, podnosząc się z przysiadu, gdyż bolą ją kolana.

Clark się waha.

– Jak dobrze jej się przyjrzał? – Doktor Scarpetta nie ufa identyfikacji wzrokowej, a nigdy nie można zakładać, że ofiara znaleziona w domu jest osobą, która w nim mieszkała.

– Nie jestem pewien – odpowiada Clark. – Myślę, że nie stał w tej sypialni zbyt długo. Zobaczysz pani, kiedy pani tam wejdzie. To paskudny widok, naprawdę paskudny. Ale Nic Robillard uważa, że ofiarą jest Rebecca Milton, kobieta, która tu mieszka.

Doktor Lanier marszczy brwi.

– Skąd, u diabła, może to wiedzieć?
– Mieszka dwa domy dalej.
– Kto? – pyta Kay, rozglądając się po salonie.
– Nicole Robillard mieszka tam. – Detektyw Clark pokazuje na ulicę. –
Dwa domy stąd.

– Jezu Chryste – mówi doktor Lanier. – Czy to nie dziwne? I nic nie
słyszała, nic nie widziała?

– Jest środek dnia. Patrowała ulice jak większość z nas.

Dom należy do schludnej osoby o dosyć wysokich dochodach i
kosztownych gustach, zauważa doktor Scarpetta. Wprawdzie orientalne
dywany zostały zrobione w fabryce, ale są ładne, a na lewo od drzwi
frontowych znajduje się kosztowna aparatura z najnowocześniejszym
systemem audio i wielkoekranowym telewizorem. Wiszące na ścianach
obrazy wydają się radosne w swoich krzykliwych kolorach i prymitywnych
przedstawieniach ryb, ludzi, wody i drzew. Rebecca Milton, jeśli to ona jest
ofiara, kochała sztukę i życie. Fotografie w wymyślnych ramkach ukazują
opaloną kobietę o lśniących ciemnych włosach, promiennym uśmiechu i
szczupłej sylwetce. Na kilku fotografiach siedzi w łodzi lub stoi na
pomoście z inną kobietą, też ciemnowłosą, która jest tak do niej podobna,
że mogłaby być jej siostrą.

– Jesteśmy pewni, że mieszkała sama? – pyta Scarpetta.

– Wygląda na to, że była sama, kiedy została zaatakowana – mówi
Clark, przerzucając kartki w notatniku.

– Ale nie wiemy tego na pewno.

Clark wzrusza ramionami.

– Nie, proszę pani. W tej chwili prawie nic nie wiemy na pewno.

– Zastanawiam się tylko, bo na wielu z tych fotografii są dwie kobiety –
dwie kobiety, które wydają się bardzo zżyte. A kilka fotografii zostało

zrobionych wewnątrz tego domu lub na czymś, co wygląda na frontowy ganek albo podwórze. – Pokazuje ślady włosów przy listwie i zaczyna je interpretować. – Tutaj upadła, albo ktoś upadł, a kimkolwiek była ta osoba, krwawiła tak obficie, że miała mokre włosy...

– No cóż, owszem, ma wielką ranę na głowie. To znaczy, twarz jest okropnie zmasakrowana – potwierdza Clark.

Do salonu przylega jadalnia ze stołem z drewna orzechowego i sześcioma krzesłami. Kredens jest stary, za przeszklonymi drzwiczkami widać zastawę ze złotą obwódką. Dalej jest kuchnia i nie wygląda na to, by morderca lub ofiara przemierzali się w tamtym kierunku. Znajdowali się na prawo od salonu. Pościg rozpoczął się w wyłożonym niebieskim chodnikiem korytarzu i zakończył w sypialni wychodzącej na frontowy podjazd.

Wszędzie widać krew. Zakrzepła już i przybrała ciemnoczerwoną barwę, ale niektóre miejsca na dywanie tak przesiąkły, że nadal jest wilgotna. Doktor Scarpetta zatrzymuje się na końcu korytarza i bada ślady na wyłożonej boazerią ścianie. Jedna kropla jest okrągła, jasnoczerwona w środku i bardzo ciemna na obwodzie. Otacza ją mnóstwo innych, czasem tak małych, że ledwo widocznych.

– Wiadomo, czy została dźgnięta? – Kay odwraca się i pyta Clarka, który stoi w drugim końcu korytarza z kamerą wideo.

Doktor Lanier wszedł już do sypialni. Pojawia się teraz w drzwiach i patrzy na nich ponuro.

– Owszem, została – odpowiada twardym głosem. – Trzydzieści albo czterdzieści razy.

– Na ścianie są ślady krwi jak przy kichaniu albo kaszlu – informuje go Kay. – Można to stwierdzić, ponieważ krople z ciemnymi obwódkami, tutaj, tutaj i tutaj – pokazuje – wskazują na obecność pęcherzyków

powietrza. Czasem widać to, kiedy ktoś krwawi z dróg oddechowych albo z płuc. Albo mogła mieć po prostu krew w ustach.

Podchodzi do lewej krawędzi drzwi sypialni, gdzie jest bardzo niewiele krwi. Zauważa rozmazane palce w miejscu, w którym ktoś chwycił za framugę, i jeszcze więcej kropelek na dywanie i drewnianej podłodze. Widok ciała zasłaniają doktor Lanier, Erie i Nic Robillard. Kay wchodzi i zamyka za sobą drzwi, nie dotykając żadnej zakrwawionej powierzchni, łącznie z klamką.

Nicole siedzi na piętach, opierając łokcie na kolanach, w dłoniach osłoniętych rękawiczkami trzyma aparat fotograficzny.

Jeśli cieszy się, że widzi swoją idolkę, nie daje tego po sobie poznać. Pot spływa jej po karku za ciemnozieloną koszulkę Departamentu Policji Zachary, wetkniętą w robocze spodnie koloru khaki. Nicole wstaje i odsuwa się na bok, aby doktor Scarpetta mogła podejść do ciała.

– Zadano jej bardzo dziwne rany kłute – wyjaśnia. – Temperatura w pokoju, kiedy tu weszłam, wynosiła dwadzieścia jeden stopni.

Doktor Lanier wsuwa długi chemiczny termometr pod pachę zamordowanej. Pochyla się nad ciałem i ogląda je uważnie, bez pośpiechu. Scarpetta mgliście rozpoznaje kobietę jako tę, którą widziała na niektórych fotografiach w salonie.

Nie jest łatwo to stwierdzić. Włosy ofiary oblepia zaschnięta krew, twarz jest opuchnięta i zdeformowana, stopień reakcji tkanki na obrażenia świadczy, że przez dłuższy czas walczyła o życie. Doktor Scarpetta dotyka jej ramienia. Ciało jest ciepłe jak za życia. Proces sztywnienia jeszcze się nie zaczął, sinienie pośmiertne – napływ krwi do dolnych części ciała pod wpływem siły ciężenia, kiedy ustaje krążenie – też nie.

Doktor Lanier wyjmuje termometr i odczytuje wynik:

– Temperatura ciała – trzydzieści pięć i pięć.

– Jest martwa od niedawna – mówi doktor Scarpetta. – Ale stopień stężenia krwi w salonie, w korytarzu i nawet tutaj świadczy, że atak nastąpił kilka godzin temu.

– Prawdopodobnie śmierć spowodowały obrażenia głowy, ale to trochę trwało – ciągnie doktor Lanier, obmacując delikatnie tył głowy. – Pęknięcia. Poważne obrażenia spowodowane uderzeniem o ścianę.

Kay nie jest gotowa wypowiadać się na temat przyczyny śmierci, ale zgadza się, że ofiara doznała poważnego urazu głowy. Gdyby rany kłute spowodowały przecięcie lub rozerwanie większej tętnicy, na przykład szyjnej, śmierć nastąpiłaby w ciągu kilku minut. Ale taka wersja jest mało prawdopodobna – właściwie niemożliwa – ponieważ wygląda na to, że ofiara żyła jeszcze przez jakiś czas. Nie widać śladów krwi typowych dla przeciętej tętnicy. Kobieta mogła jeszcze żyć, kiedy o dwunastej trzydzieści znalazł ją jej chłopak, i zmarła, zanim zjawiała się ekipa ratownicza.

Teraz jest kilka minut po wpół do drugiej.

Denatka ma na sobie bladoniebieską atlasową piżamę, dół jest nietknięty, góra rozerwana. Na brzuchu, piersiach i szyi widnieją liczne rany kłute długości szesnastu milimetrów – oba końce są tępe, jeden odrobinę węższy niż drugi. Te obrażenia sugerują, że nie zadano ich zwykłym nożem. Niemal dokładnie w środku każdej z płytkich ran znajduje się wąski pasek tkanki, który świadczy, iż broń miała na końcu jakąś szczelinę, lub może było to narzędzie o dwóch ostrzach różniących się nieco grubością i długością.

– To naprawdę dziwne – mówi Lanier, pochylając głowę nad ciałem i oglądając rozcięcie przez szkło powiększające. – Nigdy nie widziałem takiego noża. A ty? – Patrzy na doktor Scarpettę.

– Nie.

Rany zostały zadane pod różnymi kątami, niektóre mają kształt litery V lub Y na skutek przekręcenia się ostrza, co jest typowe przy ranach kłutych. Niektóre są rozwarłe, inne wyglądają jak wąskie szczeliny, w zależności od tego, czy przebiegają wzdłuż elastycznych włókien skóry, czy w poprzek nich.

Chronione gumową rękawiczką palce Kay delikatnie rozdzielają krawędzie rany. Znowu zdumiewa ją fragment nienaruszonej skóry niemal dokładnie w środku. Przygląda się temu uważnie przez szkło powiększające, próbując sobie wyobrazić, jakiego ostrza użyto. Ujmując delikatnie brzegi piżamy, dopasowuje dziury w atłasie do ran, zastanawiając się, jak leżała tkanina, kiedy zadawano ciosy. Przy rozdartej górze od piżamy brakuje trzech guzików. Kay dostrzega je na podłodze. Dwa guziki wiszą na jednej nitce.

Kiedy starannie przesuwają piżamę na ciele, tak jak mogłaby się układać tkanina, gdyby ofiara stała, oczywiście dziury w ogóle nie pokrywają się z ranami. W atłasie jest więcej dziur niż ran. Dostrzega trzydzieści osiem dziur i dwadzieścia dwie rany. Przesada, delikatnie mówiąc – przesada typowa w przypadku zabójstw na tle seksualnym, ale typowa również wtedy, kiedy napastnik i ofiara znajdują się nawzajem.

– No i co? – pyta doktor Lanier.

Kay wciąż dopasowuje dziury do ran i coś jej świta.

– Wygląda na to, że góra była zawinięta nad piersiami, kiedy ją dźgał. Widzisz? – Unosi górę, która jest tak zaplamiona krwią, że tylko miejscami atłas pozostał błękitny. – Niektóre dziury przechodzą przez trzy warstwy tkaniny. Dlatego dziur jest więcej niż ran.

– Więc podwinął jej górę od piżamy, zanim zaczął ją dźgać albo kiedy ją dźgał? A potem rozdarł?

– Nie jestem pewna – odpowiada Kay. Zawsze trudno jest zrekonstruować przebieg wydarzeń, a bardziej precyzyjne ustalenia wymagają żmudnych godzin pracy przy dobrym świetle w kostnicy. – Obróćmy ją trochę i obejrzymy plecy.

Oboje pochylają się nad ciałem i chwytają je za lewe ramię. Odwracają zwłoki, ale nie całkiem, i krew wycieka z ran. Na plecach ofiary jest co najmniej sześć ran kłutych i długie cięcie z boku szyi.

– A zatem biegła, a on ją dźgał. Była zwrócona przodem do niego, przynajmniej w jakimś momencie. – To Erie snuje te domysły, a Nic wraca z kilkoma lampami i włącza je.

– Może – mówi doktor Scarpetta.

– Jedno miejsce w korytarzu wygląda tak, jakby ją pchnął na ścianę. Mniej więcej w połowie korytarza. Może popchnął ją na ścianę i dźgał w plecy, a potem ona się wyrwała i wbiegła tutaj – sugeruje Nicole.

– Może – powtarza Kay, po czym ona i doktor Lanier delikatnie układają ciało na podłodze. – Mogę powiedzieć tylko tyle: piżama była podwinięta, kiedy zadano niektóre z ran kłutych piersi i brzucha.

– To sugeruje motyw seksualny – zauważa Erie.

– To morderstwo na tle seksualnym popełnione z wyjątkowym okrucieństwem – odpowiada Scarpetta. – Nawet jeśli nie została zgwałcona.

– Wcale nie musiała zostać zgwałcona. – Doktor Lanier pochyla się nad ciałem, zbierając dowody pęsetą. – Włókna – wyjaśnia. – Mogą pochodzić z piżamy. Wbrew temu, co ludzie myślą, nie zawsze dochodzi do gwałtu. Niektórzy z tych skurwieli nie są do tego zdolni. Albo po prostu się onanizują.

– Była twoją sąsiadką. Jesteś pewna, że to Rebecca, a nie ta druga kobieta z fotografii? Są bardzo podobne do siebie. – Kay zwraca się do Nicole.

– To Rebecca. Ta druga kobieta to jej siostra.

– Mieszka z nią? – pyta doktor Lanier.

– Nie. Rebecca mieszkała sama.

– Na razie niech to będzie wstępna identyfikacja, dopóki się nie upewnimy na podstawie uzębienia lub jakoś inaczej – mówi doktor Lanier, podczas gdy Erie robi zdjęcia, używając jako skali piętnastocentymetrowej plastikowej linijki, którą kładzie obok wszystkiego, co fotografuje.

– Mogę się założyć, że to ona. – Nicole patrzy spokojnie na zmasakrowaną, zakrwawioną twarz martwej kobiety i jej oczy spoglądające tępo spod opuchniętych powiek. – Nie byliśmy przyjaciółkami, nie utrzymywałyśmy kontaktów towarzyskich, ale widywałam ją na ulicy, w ogródku, na spacerze z psem...

– Z jakim psem? – Kay rzuca jej ostre spojrzenie.

– Ma żółtego labradora, szczeniaka, chyba ośmiomiesięcznego, nie wiem dokładnie, ale nie jest jeszcze dorosły. Dostała go w prezencie na Gwiazdkę, chyba od swojego chłopaka.

– Przekaż detektywowi Clarkowi, żeby kazał policjantom poszukać tego psa – odzywa się doktor Lanier. – A przy okazji powiedz mu, żeby przysłał kogo się da, niech zabezpieczą to miejsce. Zostaniemy tu przez jakiś czas.

Koroner podaje doktor Scarpette paczkę bawełnianych wacików, małą butelkę wody destylowanej i sterylny pojemnik. Kay zdejmuje zakrętkę z butelki i pojemnika, moczy wacik w wodzie destylowanej i przemywa piersi ofiary, na których mogła pozostać ślina mordercy; bawełniany wacik zabarwia się na czerwono krwią. Wymazy z pochwy, odbytu i innych otworów mogą poczekać, aż ciało znajdzie się w kostnicy.

Doktor Scarpetta zaczyna zbierać dowody rzeczowe.

– Wychodzę – mówi Nicole.

– Ktoś mógłby tu zapalić więcej świateł! – woła doktor Lanier.

- Przyniosę lampy, wszystkie, jakie są w domu – odpowiada Erie.
- Dobrze i to. Sfotografuj każdą, zanim ruszysz ją z miejsca, bo inaczej jakiś cholerny adwokat powie, że morderca naznosił lamp do sypialni...
- Mnóstwo włosów, to może być psia sierść, może jej psa... – zauważa Kay, wkładając delikatnie próbkę do przezroczystej plastikowej torebki. – Co? Żółty labrador?

Nicole już wyszła.

– Tak powiedziała. Żółty labrador, szczeniak – potwierdza doktor Lanier. Pozostali sami z ciałem.

– Psa trzeba znaleźć z wielu powodów, choćby ze zwykłej przyzwoitości, żeby się upewnić, czy z nim wszystko w porządku – mówi doktor Scarpetta. – Ale także dla porównania sierści. Nie jestem pewna, ale wydaje mi się, że widzę tu dużo różnych zwierzęcych włosów.

– Ja też. Przylepiły się do krwi, głównie tutaj. – Wskazuje zakrwawionym palcem w rękawiczce nagą górną część ciała martwej kobiety. – Ale nie ma ich na rękach ani we włosach, gdzie przede wszystkim należałoby się ich spodziewać, jeśli pochodzą z podłogi, z dywanu, w ogóle z wnętrza domu.

Doktor Scarpetta milczy. Podnosi pęsetą kolejny włos i strząsa go do torebki, gdzie musi się już ich znajdować co najmniej dwadzieścia. Wszystkie pochodzą z zaschniętej krwi na brzuchu.

Na ulicy ktoś zaczyna głośno gwizdać. Słysząc nawoływania:

– Chodź tu, Basil! Chodź, Basil!

Drzwi frontowe otwierają się i zamykają, odgłosy kroków przemieszczają się z salonu do jadalni, policjanci mówią jeden przez drugiego, a potem rozlega się krzyk kobiety.

– Nie! Nie! Nie! To niemożliwe!

– Proszę pani, proszę nam pozwolić wyjaśnić.

Doktor Scarpetta rozpoznaje głos detektywa Clarka. Policjant przemawia stanowczo i próbuje nie okazywać zdenerwowania, ale im głośniej krzyczy kobieta, tym bardziej on podnosi głos.

– Przykro mi, ale nie może pani tam wejść.

– To moja siostra!

– Naprawdę mi przykro.

– O Boże, o Boże.

Potem głosy cichną i przechodzą w jednostajny szmer. Kilka much zwabionych zapachem śmierci wlatuje do domu, ich donośne brzęczenie działa Kay na nerwy.

– Powiedz im, żeby przestali otwierać te cholerne drzwi! – Klęczy na podłodze, pot spływa jej po twarzy, czuje straszliwy ból w kolanach.

– Jezu! Co się tam dzieje? – Doktor Lanier też jest wściekły.

– Chodź, Basil! Chodź tu, mały!

Słysząc gwizdy.

– Hej! Basil! Gdzie jesteś?

Drzwi frontowe znowu się otwierają i zamykają.

– Dostyc tego! – Doktor Lanier podrywa się na nogi i wychodzi z sypialni, ściągając zakrwawione rękawiczki.

Doktor Scarpetta podnosi kolejny zwierzęcy włos, tym razem czarny, i umieszcza go w torebce z dowodami. Włosy przywarły do ciała, kiedy krew była wilgotna. Przykleiły się do brzucha i piersi, ale nie do podeszew bosych stóp kobiety, choć one też są umazane zaschniętą krwią, nie z ran, lecz z podłogi.

Doktor Scarpetta oddycha głośno pod swoją maseczką chirurgiczną, pot szczypie ją w oczy, a ona opędza się od much i pochyla się z lupą nad twarzą kobiety, szukając następnych włosów. Każda powiększona szczelina w zaschniętej krwi wydaje się straszniejsza, każde rozcięcie skóry jest

bardziej poszarpane. Do krwi przylepiły się drobiny farby, prawdopodobnie ze ściany w salonie. Zwierzęca sierść zdjęta z ciała dostarcza Kay ważnej informacji.

– Znaleźliśmy psa. – W drzwiach stoi Nicole Robillard.

Kay na chwilę zostawia za sobą tamten wymiar i ohydny, czerwony krajobraz za szkłem powiększającym.

– Basil, jej pies.

– Większość tych włosów ma inne pochodzenie. Znalazłam dziesiątki różnych rodzajów i różnych kolorów. Prawdopodobnie psie. Są grubsze niż kocie. Ale nie jestem do końca pewna.

Doktor Lanier wraca do sypialni, przeciskając się obok Nicole, i wkłada świeżą parę rękawiczek.

– Z tego, co widzę, dostały się na jej ciało bezpośrednio ze sprawcy – pewnie z jego ubrania. Może kiedy na niej leżał.

Zsuwa ofierze spodnie od piżamy kilka centymetrów w dół, odsłaniając wgłębienie pozostawione przez elastyczną gumkę. Siada na piętach i patrzy, potem zdejmuje maseczkę.

– Dlaczego ten ktoś położył się na niej i nie zdjął jej piżamy? – dziwi się Lanier. – Dlaczego zostawił te wszystkie włosy na górnej połowie ciała denatki i nigdzie indziej? I dlaczego, do diabła, w ogóle miał na sobie psią sierść?

– Znaleźliśmy Basila – odzywa się znowu Nic. – Schował się pod domem po drugiej stronie ulicy. Jest tylko wystraszony i roztrzęsiony. Musiał uciec, kiedy morderca wychodził. Kto się nim zaopiekuje, to znaczy szczeniakiem?

– Przypuszczam, że jej chłopak – odpowiada koroner. – A jeśli nie, to Erie kocha psy.

Rozdziera dwa opakowania zawierające sterylne, syntetyczne prześcieradła. Doktor Scarpetta rozpościera jedno na podłodze, a Lanier i Erie chwytają ciało pod pachy i za kolanami, podnoszą i układają na tkaninie. Przykrywają je drugim prześcieradłem i podwijają brzegi, okręcając ciało jak mumię, aby nie przepadł żaden skrawek dowodu rzeczowego.

ROZDZIAŁ 116

Jay zdejmuje rękę z kierownicy, żeby uderzyć Bev, ale zmienia zdanie.

– Jesteś głupia. Wiesz o tym? – mówi zimno. – Co ty, do diabła, wyprawiasz?

– To wcale nie miało tak wyglądać.

Radio w dżipie nadal przekazuje popołudniowe wiadomości, kiedy Jay i Bev jadą w kierunku przystani Jack's Boat.

– ...doktor Sam Lanier, koroner okręgu East Baton Rouge, nie ukończył jeszcze sekcji, ale źródła zbliżone do wydziału dochodzeniowego potwierdziły, że ofiara to trzydziestosześcioletnia Rebecca Milton z Zachary. Przyczyna śmierci nie jest jeszcze znana, ale wspomniane źródła twierdzą, że ofierze zadano wiele ciosów ostrym narzędziem. Policja nie przypuszcza, by morderstwo było powiązane z zaginięciami kobiet w Baton Rouge w ciągu ostatniego roku...

– Głupcy. – Jay wyłącza radio. – Masz szczęście, że tak nie przypuszczają.

Cztery małe psy mieszanych ras śpią w słońcu przeświecającym przez tylną szybę samochodu. Na tylnym siedzeniu piętrzy się pięć skrzynek piwa. Bev ciężko pracowała, kiedy wysadziła Jaya przy przystani pośrodku kompleksu Uniwersytetu Południowej Luizjany. Nie powiedział, po co tam idzie ani co będzie robił przez cały dzień, kazał jej tylko przyjechać w to samo miejsce o wpół do szóstej. Może szukał swojego zbiegłego z więzienia brata. Może włóczył się po okolicy, zadowolony, że znalazł się dala od Bev i chaty na moczarach. Prawdopodobnie podrywał ładne

studentki. Bev wyobraża go sobie uprawiającego seks z jedną z nich. Wzbiera w niej paląca zazdrość.

– Nie powinienes zostawiać mnie na cały dzień – mówi mu.

– Co ty sobie myślałaś? Zamierzałaś ją porwać i zabrać na łódź w biały dzień?

– Z początku. Potem pomyślałam, że nie byłbyś z tego zadowolony.

Jay się nie odzywa, twarz ma skupioną, kiedy prowadzi dżipa, uważając, żeby nie przekroczyć prędkości lub nie popełnić innego wykroczenia, które ściągnęłoby im na kark policję.

– Nie wyglądała tak jak tamta. Miała czarne włosy. Nie wiem nawet, czy chodziła do college’u.

Bev nie mogła oprzeć się impulsowi. Miała dużo czasu, dosyć czasu, żeby odszukać tamtą ładną kobietę, którą spotkała w Wal-Mart. Jeżdżąc za nią całą noc, zobaczyła, że blondynka nie mieszka w Old Garden, tylko w małym domku w Zachary. W sąsiedztwie było ciemno, a Bev zaczęła się obawiać, że jej jagniątko może nabrać jakichś podejrzeń. Skręciła w boczną uliczkę, zanim ustaliła dokładnie adres.

Tego ranka krążyła po okolicy i wypatrywała zielonego forda explorera, powtarzając sobie, że skoro nie jest zaparkowany na podjeździe, to nie znaczy, że nie stoi w garażu. Najwyraźniej wybrała niewłaściwy dom. Kiedy znalazła się w środku, było już za późno.

Nie spodziewała się, że to szczególne jagniątko będzie walczyć jak wilk. W chwili gdy ciemnowłosa kobieta otworzyła drzwi, Bev sięgnęła do dużej płóciennej torby i wyciągnęła strzelbę, a tamta odepchnęła ją tak mocno, że broń wypadła jej z ręki. Gdy Bev poleciała na podłogę, wysunęła zza paska wielofunkcyjny scyzoryk. Udało jej się otworzyć coś, co wyglądało jak ostrze, i zaczął się pościg. Zdawał się nie mieć końca, kobieta biegła i

krzyczała, w pewnym momencie potknęła się, a wówczas Bev złapała ją za włosy, walnęła jej głową o ścianę i przewróciła ją na podłogę.

Tamta zdołała jednak wstać i mocno uderzyła Bev w ramię. Bev chyba też krzyknęła, ale nie pamięta. Huczało jej w głowie, jakby w pobliżu przejeżdżał pociąg towarowy, biegła i zadawała ciosy, krew tryskała jej na twarz, trwało to całą wieczność. W końcu Bev przewróciła kobietę na podłogę w sypialni, dźgała i dźgała, a potem nie była pewna, czy cokolwiek z tego wydarzyło się naprawdę.

Dopóki nie usłyszała wiadomości przez radio. Dopóki nie przypomniała sobie scyzoryka z zakrwawionym otwieraczem do butelek. Zabiła tę kobietę otwieraczem do butelek. Jak to się mogło stać?

Patrzy na Jaya, kiedy mijają szyldy lombardów i warsztatów samochodowych. Reklama Taco Bell sprawia, że Bev chce się zatrzymać.

„Naleśniki z kwaśnym sosem, serem, chili i jalapeños”.

Pizzerie, warsztaty i firmy wynajmujące samochody, a potem droga się zwęża i na poboczu pojawiają się skrzynki pocztowe, kiedy Jay jedzie w stronę przystani i zatoki.

– Może się zatrzymamy i kupimy batony orzechowe – proponuje Bev.

Jay nie odzywa się do niej.

– Dobra, jak chcesz. Ty i twoje pieprzone Baton Rouge! Wracać tam z powodu twojego parszywego brata. Poczekajmy do zmroku, wtedy będzie łatwiej.

– Zamknij się.

– A jeśli go nie będzie?

Odpowiada jej kamienne milczenie.

– A jeśli będzie, to pewnie w tej cholernej piwnicy, może dobierze się do pieniędzy, które tam chowasz. Moglibyśmy wziąć ich trochę, skarbie. Całe to piwo, co je kupowałam...

– Kazałem ci się zamknąć!

Im bardziej robi się zimny, tym bardziej ona jest dumna ze swoich sińców i zadrapań na ramionach, nogach, brzuchu i wszędzie, gdzie została zraniona podczas tego, co nazywa „bójką”.

– Będą sprawdzać pod jej paznokciami – mówi jej w końcu Jay. – Będą mieli twój DNA.

– Nie mają mojego DNA w żadnej pieprzonej bazie danych – odpowiada Bev. – Nikt nigdy nie badał mi DNA, zanim wynieśliśmy się w cholerę z Dodge. Byłam po prostu miłą panią prowadzącą motel pod Williamsburgiem, pamiętasz?

– Miłą, niech mnie diabli.

Bev się uśmiecha. Jej obrażenia są oznaką odwagi i siły. Nigdy nie przypuszczała, że potrafi tak walczyć. No cóż, któregoś dnia, może spróbuje z Jayem. Natychmiast opuszcza ją odwaga. Nigdy go nie pokona. Mógłby ją zabić jednym uderzeniem w skroń. Powiedział jej to. Jedno uderzenie i pękłaby jej czaszka, ponieważ kobiety mają cienkie czaszki. „Nawet głupie, takie jak ty, Bev”, dodał.

– Co jej zrobiłaś? Wiesz, o co mi chodzi – mówi. – Całe ubranie z przodu masz przesiąknięte krwią. Dosiadłaś jej jak mężczyzna?

– Nie. – To nie jego sprawa.

– To dlaczego twoje ubranie jest zakrwawione od szyi aż do krocza, co? Siedziałaś na jakiejś dziewczynie, która wykrwawiała się na śmierć, i brandzlowałaś się?

– Nieważne. Oni nie uważają, że to się wiąże z tamtymi.

– Jakie słowo powiedziała?

– Co to znaczy „jakie słowo”? – Bev zaczyna myśleć, że mu odbija.

– Kiedy cię błagała. Musiała cię błagać, żebyś przestała. Jakie słowo powiedziała, żeby to wyrazić?

- Wyrazić co?
- Jak to jest bać się bólu i śmierci? Co powiedziała?
- Nie wiem. – Bev próbuje sobie przypomnieć. – Chyba zapytała:
„Dlaczego?”.

ROZDZIAŁ 117

„Pokój był zimny i nie odkryto tam żadnych zapachów”.

Nicole przeczytała tę linijkę co najmniej pięć razy. Matka mogła zostać zamordowana kilka minut przed tym, jak jej mąż – ojciec Nic – wrócił do domu. Nicole zastanawia się, czy morderca usłyszał samochód jej ojca i uciekł, czy był to po prostu zwykły przypadek, że sukinsyn wyszedł właśnie w tym momencie.

Jest dziesiąta wieczorem. Nicole, Rudy, doktor Scarpetta, Marino i Lucy siedzą w domku dla gości Sama Laniera, pijąc kawę.

– „Liczne otarcia i skaleczenia twarzy”. – Kay przegląda raport z autopsji.

Uprzedziła od razu, że nie zamierza pomijać żadnych szczegółów, żeby oszczędzać uczucia Nicole. Nie pomogłaby jej, gdyby tak zrobiła.

– „Otarcia i skaleczenia czoła, sińce okołoooczne, złamana kość nosowa, rozchwiane przednie zęby”.

– To znaczy, że bił ją po twarzy – mówi Marino, sącząc swoją kawę, która jest taka, jaką lubi, ze śmietanką i dużą ilością cukru. – Czy to mógł być ktoś, kogo znała? – Zadaje to pytanie Nicole.

– Otworzyła mu drzwi. Znalaziono ją w pobliżu wejścia.

– Czy pamiętała o zamykaniu drzwi na zasuwę? – Lucy patrzy na nią uważnie, włączając się do rozmowy.

Nicole odwzajemnia jej spojrzenie.

– Tak i nie. W nocy były zamknięte. Ale wiedziała, że tata i ja wkrótce wrócimy do domu, więc mogła nie zamknąć drzwi.

– To nie znaczy, że sprawca nie zadzwonił albo nie zapukał – wtrąca Rudy. – To nie znaczy, że twoja mama się go bała.

– Nie, nie znaczy – zgadza się Nicole.

– „Tępy uraz tyłu głowy. Gwiaździsta rana na czubku głowy, sześć na dziesięć centymetrów. Rozległy skrzep na czubku i z tyłu głowy. Pięćdziesiąt mililitrów płynnej podłopatkowej krwi...”.

Marino i Lucy wymieniają się fotografiami z miejsca zbrodni. Nicole jeszcze ich nie oglądała.

– Krew na ścianie zaraz na lewo od drzwi – zauważa detektyw. – Ślady włosów. Jak długie włosy miała twoja matka?

Nicole głośno przelyka ślinę.

– Do ramion. Miała jasne włosy, prawie takie jak moje.

– Coś się stało w momencie, kiedy wszedł. Błyskawiczny atak – zastanawia się głośno Lucy. – Podobnie jak w wypadku Rebekki Milton. Podobnie jak w wypadku każdego nagłego ataku, kiedy ofiara naprawdę rozwścieczy sprawcę.

– Czy obrażenia takie jak te mogły powstać przy uderzeniu głową o ścianę? – pyta Rudy.

Nicole zachowuje stoicki spokój. Powtarza sobie w myślach, że jest glina.

Doktor Scarpetta patrzy jej w oczy.

– Wiem, że to trudne, Nic. Próbujemy być szczerzy. Może nie będziesz miała tylu wątpliwości, jeśli będziemy szczerzy.

– Zawsze będę miała wątpliwości, ponieważ nigdy się nie dowiemy, kto to zrobił.

– Nigdy nie mów nigdy – wtrąca Marino.

– Słusznie. – Lucy kiwa głową.

– „Rozdrobnione pęknięcie kości okołociemiowej i potylicznej, bez wgniecenia, pęknięcia stropu oczodołów, obustronne skrzepy podtwardówkowe, trzydzieści mililitrów wolnej krwi nad każdym”... tak, tak, tak... – Kay przewraca stronę. Raport jest napisany na maszynie, nie na komputerze. – Rany kłute – dodaje.

Nicole zamyka oczy.

– Mam nadzieję, że tego nie czuła.

Nikt nie komentuje jej słów.

– Chodzi mi o to... – Nic patrzy na doktor Scarpettę – ...czy ona czuła to wszystko?

– Czuła strach. A fizycznie? Trudno powiedzieć, jaki ból czuła. Kiedy obrażenia następują tak szybko...

Przerywa jej Marino.

– Czy wiesz, że kiedy przytniesz sobie rękę szufladą i jednocześnie skaleczysz się nożem, nie czujesz już tego? To było coś podobnego, chyba że działa się powoli. Powoli jak przy torturach.

Serce Nic zdaje się trzepotać, jakby działa się z nim coś złego.

– Nie była torturowana – mówi doktor Scarpetta, patrząc na nią. – Z pewnością nie.

– Co z ranami kłutymi? – pyta Nicole.

– Skaleczenia palców i dłoni. obrażenia obronne. – Znowu spogląda na nią. – Przebicie prawego i lewego płuca z krwinkami opłucnej po obu stronach. Przykro mi. Wiem, że to trudne.

– Czy to mogło ją zabić? Rany płuc?

– Prawdopodobnie. W połączeniu z obrażeniami głowy na pewno. Ma też połamane paznokcie na prawej i lewej dłoni. Pod paznokciami odkryto niezidentyfikowaną substancję.

– Myślicie, że się zachowała? – pyta Lucy. – Badania DNA nie były wtedy tak zaawansowane jak teraz.

– Zastanawiam się, co to, do diabła, znaczy „niezidentyfikowana” – mówi Marino.

– Jaki nóż? – pyta Nicole.

– O krótkim ostrzu. Ale nie potrafię stwierdzić, jak krótkim.

– Może scyzoryk – podpowiada detektyw.

– Może – zgadza się doktor Scarpetta.

– Moja matka nie miała scyzoryka. Nie miała żadnej... – Nicole zaczyna płakać, ale zaraz odzyskuje panowanie nad sobą. – Nie miała żadnej broni, to chcę powiedzieć.

– On mógł mieć – mówi Lucy łagodnie. – Ale moim zdaniem, jeśli narzędziem zbrodni był scyzoryk, sprawca nie przypuszczał, że będzie mu potrzebna broń. Po prostu mógł nosić go przy sobie, tak jak wielu facetów.

– Czy rany klute różnią się od tych, które widzieliśmy dzisiaj? – pyta Nicole.

– Zdecydowanie – odpowiada Kay Scarpetta.

ROZDZIAŁ 118

Nicole zaczyna opowiadać o sklepie z antykami swojej matki.

Tłumaczy, że matka była właścicielką, ale pracowała tam tylko kilka godzin dziennie, żeby mieć więcej czasu dla rodziny. Mówi, że mama znała Charlotte Dard.

Patrzy na swój kubek z kawą.

– Jeśli wstawię ją jeszcze raz do mikrofalówki, myślicie, że jutro będę miała kofeinowe delirium tremens?

– Twoja matka i Charlotte Dard przyjaźniły się? – pyta Marino. – Cholera. Przepraszam, że pytam, ale dlaczego, do diabła, nie wspomniałaś o tym wcześniej?

– To prawda – odpowiada Nicole. – Nie pamiętałam o tym aż do teraz. Myślę, że wyrzuciłam ze świadomości mnóstwo rzeczy. Prawie nigdy nie myślałam o mamie, a przynajmniej do czasu kiedy zaczęły znikać te kobiety. A dzisiaj... tamta scena. To, co zrobił z Rebeccą Milton. I teraz.

Wstaje, żeby podgrzać kawę. Kuchenka mikrofalowa pracuje głośno przez minutę, potem drzwi się otwierają i Nic wraca na kanapę. Para unosi się nad kawą niezdatną już do picia. Pachnie jak przegotowana.

– Nicole – pyta doktor Scarpetta – czy nazwisko Robillard masz po mężu?

Nic kiwa głową.

– Jakie jest twoje panińskie nazwisko?

– Mayera. Moja matka nazywała się Annie Mayera. To dlatego prawie nikt nie zdaje sobie sprawy, że jestem jej córką. Z czasem ludzie zapominają o takich sprawach. Gliniarze, którzy pamiętają jej śmierć, nigdy

nie kojarzyli jej ze mną. – Sący swoją kawę, nie zwracając uwagi na smak. – Jej sklep z antykami specjalizował się w witrażowych oknach, drzwiach, okiennicach, starociach z metalu. Niektóre rzeczy były naprawdę ładne, jeśli ktoś wiedział, czego szuka. Mnóstwo mebli było zrobionych ręcznie z drewna cyprysowego. Charlotte Dard urządzała dom i kupowała mnóstwo rzeczy w sklepie mojej mamy i tak się poznały. Nie były bliskimi przyjaciółkami. – Urywa, szukając w pamięci. – Moja mama mówiła o bogatej kobiecie jeżdżącej sportowymi samochodami i o tym, jaki piękny będzie jej dom, kiedy już go urządzi. Myślę, że pieniądze pani Dard bardzo nam pomogły. Tata nigdy nie zarabiał dużo jako nauczyciel. – Uśmiecha się smutno. – Mama radziła sobie całkiem nieźle i była oszczędna. Większość pieniędzy, za które żyje mój ojciec, pochodzi od mojej matki, ze sklepu.

– Pani Dard była lekomanką – mówi doktor Scarpetta. – Umarła na skutek przedawkowania leków, to był wypadek albo zabójstwo. Podejrzewam to drugie. Podobno niedługo przed śmiercią cierpiała na zaniki świadomości. Wiesz coś na ten temat?

– Wszyscy w okolicy to wiedzą – odpowiada Nicole. – Na pewno mówiło się o tym w Baton Rouge. Zmarła w pokoju, w motelu Rajskie Włości, co brzmi jak nazwa cmentarza. W Chocktaw, to raczej podła część miasta. Krążyły pogłoski, że miała romans i spotykała się tam z kimś. Nie wiem nic więcej poza tym, co było w wiadomościach.

– Co z jej mężem? – pyta Lucy.

– Dobre pytanie. Nie znam nikogo, kto go widział. Dziwne, prawda? Chyba że jest jakimś arystokratą i przez cały czas podróżuje.

– Widziałaś jego zdjęcie? – pyta Rudy.

Nicole potrząsa głową.

– Więc nie mówili o nim w wiadomościach?

– Widać naprawdę ceni swoją prywatność – odpowiada Nicole.

– Co jeszcze? – pyta Marino.

– Taak, widzimy tu jakieś dziwaczne powiązania, prawda? – Rudy patrzy na doktor Scarpettę. – Jakiś aptekarz pojawił się jako podejrzany, a Rocco Caggiano był jego adwokatem.

Kapitan wstaje, żeby dolać sobie kawy.

– Pomyśl, przypomnij sobie. – Lucy zachęca Nicole.

– Dobra. – Nic bierze głęboki oddech. – Jest coś. Charlotte Dard chyba zaprosiła kiedyś mamę na przyjęcie. Pamiętam, bo mama nigdy nie chodziła na przyjęcia. Nie piła i była nieśmiała, czuła się nie na miejscu wśród snobów. Więc to była wielka sprawa, że przyjęła zaproszenie. Przyjęcie odbywało się na plantacji Dardów. Mama poszła tam, żeby rozreklamować sklep. I z szacunku dla swojej najlepszej klientki, pani Dard.

– Kiedy to było? – pyta Scarpetta.

Nicole się zastanawia.

– Niedługo przed śmiercią mojej matki.

– Co to znaczy: niedługo? – pyta Rudy.

– Nie wiem. – Znowu przełyka ślinę. – Kilka dni. Chyba dni. Włożyła tę sukienkę, specjalnie ją kupiła. – Zamyka oczy. Szloch dławi ją w gardło. – Była różowa, z białą lamówką. Wciąż wisiała na drzwiach szafy, kiedy mama została zamordowana. Mama powiesiła ją tam, żeby nie zapomnieć jej oddać do pralni.

– A twoja matka zmarła niecałe dwa tygodnie przed Charlotte Dard? – upewnia się doktor Scarpetta.

– To ciekawe – wtrąca Marino – że pani Dard była taka popieprzona i miewała napady szału, a nikt się nie martwił, że zepsuje eleganckie przyjęcie.

– Właśnie – mówi Rudy.

– Wiecie co? – przerywa im detektyw. – Jechałem tutaj prawie dwadzieścia godzin. Potem Lucy zafundowała mi chorobę powietrzną. Muszę się przespać, bo inaczej zacznę wyciągać takie wnioski, że aresztujecie Świętego Mikołaja.

– Nie zafundowałam ci choroby powietrznej – protestuje Lucy. – Idź się przespać, potrzebujesz tego. Myślałam, że to ty jesteś Świętym Mikołajem.

Kapitan wstaje z kanapy i wychodzi, kierując się w stronę głównego domu.

– Ja też już nie wytrzymam. – Doktor Scarpetta podnosi się z krzesła.

– Czas iść – mówi Nicole.

– Ty nie musisz. – Kay bardzo stara się jej pomóc.

– Czy mogę jeszcze zapytać o ostatnią rzecz?

– Oczywiście. – Ale jest tak zmęczona, że jej mózg pracuje na zwolnionych obrotach.

– Dlaczego zatłukł ją na śmierć?

– A dlaczego ktoś zatłukł Rebeccę Milton na śmierć?

– Coś poszło nie tak, jak sobie zaplanował.

– Czy twoja matka stawiałaby opór? – pyta Lucy.

– Wydrapałaby mu oczy – odpowiada Nic.

– Może to jest odpowiedź. Wybacz mi, proszę. Nie na wiele ci się teraz przydam. Jestem za bardzo zmęczona. – Doktor Scarpetta wychodzi z małego salonu i zamyka drzwi sypialni.

– Jak się czujesz? – Lucy podchodzi do kanapy. – To trudne, naprawdę trudne. Jesteś dzielna, Nic Robillard.

– Gorzej z moim ojcem. Wycofał się z życia. Rzucił wszystko.

– Na przykład co? – pyta łagodnie Rudy.

– No cóż, uwielbiał uczyć. I uwielbia wodę, a raczej uwielbiał. On i mama. Mieli taką małą chatę rybacką, gdzie nikt ich nie niepokoił. W

samym środku pustkowia. Od tamtej pory nie był tam ani razu.

Gdzie?

– Koło Dutch Bayou.

Rudy i Lucy spoglądają na siebie.

– Kto o niej wie? – pyta Lucy.

– Myślę, że matka o niej opowiadała. Była gadułą. W przeciwieństwie do mojego taty.

– Gdzie jest Dutch Bayou?

– W pobliżu jeziora Maurepas. Przy Blind River.

– Czy znalazłabyś ją teraz?

Nicole patrzy na nią ze zdziwieniem.

– Po co?

– Po prostu odpowiedz na moje pytanie. – Lucy dotyka lekko jej ramienia.

Nicole kiwa głową. Ich oczy się spotykają.

– No dobrze. – Lucy nie przestaje na nią patrzeć. – Jutro. Leciałś kiedyś śmigłowcem?

Rudy wstaje.

– Muszę się przespać. Jestem wykończony.

On wie i na swój sposób to akceptuje. Ale nie zamierza patrzeć.

Lucy obrzuca go spojrzeniem, świadoma, że zrozumiał, a jednocześnie nigdy nie zrozumie.

– Do zobaczenia rano, Rudy.

Musil wychodzi, na schodach słychać jego lekkie kroki.

– Nie bądź lekkomyślna – ostrzega ją Lucy. – Wyglądasz mi na osobę, która mogłaby być i prawdopodobnie bywa lekkomyślna.

– Prowadzę własne śledztwo – wyznaje Nic. – Ubieram się jak potencjalne ofiary. Wyglądam jak potencjalna ofiara.

Lucy przygląda się jej uważnie, dokonując oceny, jakby nie robiła tego przez cały wieczór.

– Tak, z twoimi jasnymi włosami, sylwetką, aurą inteligencji. Ale nie zachowujesz się jak ofiara. Czuje się w tobie zbyt dużo siły. Chociaż to może stanowić dla mordercy większe wyzwanie. Bardziej ekscytujące. Element ryzyka.

– Mam niewłaściwą motywację – tłumaczy się Nicole. – Nie chodzi o to, że nie chcę, żeby go złapali. Pragnę tego bardziej niż czegokolwiek. Ale owszem, jestem bardziej agresywna, bardziej uparta i może zbyt lekkomyślnie wystawiam się na niebezpieczeństwo. Wszystko dlatego, że ci z zespołu operacyjnego nie chcą w swoich szeregach dziewczyn z prowincji, takich jak ja. Chociaż prawdopodobnie jestem tu jedyną policjantką, która została wyszkolona w najlepszej akademii policyjnej w Stanach, wyszkolona przez najlepszych. Również przez twoją ciotkę.

– A kiedy prowadziłaś to swoje śledztwo, zauważyłaś coś?

– Owszem, przed Wal-Mart, gdzie została porwana Katherine. Byłam tam kilka godzin później. Jedna rzecz wciąż nie daje mi spokoju, ta kobieta, która zachowywała się bardzo dziwnie, upadła na parkingu i powiedziała, że kolana się pod nią ugięły. Coś mnie w niej zaniepokoiło. Cofnęłam się i nie pomogłam jej wstać. Coś mi mówiło, żeby jej nie dotykać. To chyba jej oczy, takie niesamowite, przerażające. I nazwała mnie jagniątkiem. Różnie mnie już nazywano, ale nigdy jagniątkiem. Myślę, że to jakaś bezdomna schizofreniczka.

– Opisz, jak wyglądała. – Lucy próbuje zachować spokój, aby nie dopasowywać na siłę dowodów do wniosków, zamiast odwrotnie.

– Wiesz, to zabawne, trochę przypominała złodziejkę, którą widziałam kilka minut wcześniej w sklepie. Kręciła się przy regale z tanią bielizną, kradła. – Nic ją opisuje.

Teraz Lucy ogarnia podniecenie.

– Nikomu nie przyszło do głowy, że morderca może być kobietą albo przynajmniej mieć kobietę za współlnika. To Bev Kiffin – mówi.

Nicole wstaje, żeby nalać sobie jeszcze kawy, ręce jej drżą.

– Kto to jest Bev Kiffin?

– Figuruje na liście dziesięciu najbardziej poszukiwanych przez FBI przestępców.

– O mój Boże. – Nicole siada, tym razem bliżej Lucy. Chce być bliżej niej. Nie wie, dlaczego. Ale jej bliskość jest pobudzająca i podniecająca.

– Obiecuj mi, że nigdzie nie wyjdiesz już sama – mówi jej Lucy. – Uważaj się za członka mojego zespołu operacyjnego, dobrze? Działamy razem, wszyscy. Moja ciotka, Rudy, Marino.

– Obiecuję.

– Lepiej, żebyś nie spotkała się sama z Bev Kiffin, bo prawdopodobnie to ona przywozi porwane kobiety swojemu partnerowi, Jayowi Talleyowi, numer jeden na liście najbardziej poszukiwanych przez FBI.

– Ukrywają się tutaj? – Nicole nie może w to uwierzyć. – Dwoje takich groźnych przestępców miałoby ukrywać się tutaj?

– Nie wyobrażam sobie lepszego miejsca. Powiedziałaś, że twój ojciec ma chatę rybacką, do której nie zaglądał, od kiedy twoja matka została zamordowana. A czy istnieje możliwość, że Charlotte Dard mogła o niej wiedzieć, wiedzieć, gdzie stała? Albo stoi.

– Stoi. Ojciec jej nie sprzedał. Pewnie jest już na wpół zbutwiała. Pani Dard mogła o niej wiedzieć, ponieważ moja matka sprzedawała w swoim sklepie różne rzeczy z odzysku. Lubiła stare, ciemne drewno, uważała, że doskonale się nadaje na gzymsy kominków, wyeksponowane belki i tak dalej. Szczególnie lubiła grube pale, na jakich buduje się chaty rybackie. Nie wiem, co mogła powiedzieć pani Dard. Ale moja matka była bardzo

ufna. Uważała, że wszyscy są tacy jak ona. Jednym słowem, za dużo mówiła.

- Pokażesz mi, gdzie jest ta rybacka chata twojego ojca?
- Nad Dutch Bayou, u ujścia rzeki. Pokażę ci.
- Znajdziesz ją z powietrza?
- Na pewno – mówi Nicole.

ROZDZIAŁ 119

Benton zostawia swojego jaguara na parkingu za kościołem mniej więcej kilometr od plantacji Dardów.

Za każdym razem, kiedy słyszy zbliżający się z jednego lub drugiego kierunku samochód albo ciężarówkę, przedziera się przez zarośla i chowa w gęstym lesie przy drodze. Nie wiadomo, kto mógłby nadjechać, a poza tym Benton jest świadom, że mężczyzna w czarnym garniturze, czarnej czapce i z czarnym plecakiem idący poboczem wąskiej drogi w czasie deszczu budziłby zdziwienie. Ktoś mógłby się zatrzymać i spytać, czy ma problemy z samochodem. Ludzie by się gapili.

Kiedy spostrzega bramę, obok której przejechał zeszłej nocy, schodzi z pobocza i zapuszcza się w las, tym razem głębiej, dopóki nie zauważy domu pośród drzew. Przez cały czas zachowuje czujność. Patrzy, gdzie stawia stopy, i stara się nie nastąpić na opadłe gałęzie. Na szczęście martwe liście są mokre i nie szeleszczą. Kiedy badał ten teren zeszłej nocy, nie wchodził do lasu, ponieważ było zbyt ciemno, aby cokolwiek zobaczyć, a on nie śmiał włączyć latarki. Przeszedł jednak przez bramę i ubrudził rdzą kurtkę i dżinsy, co jest jednym z wielu powodów, dla których dziś zdecydował się włożyć czarny garnitur.

Zastanawiał, jak bardzo zmieniło się to miejsce od czasu, kiedy widział je po raz ostatni. W ciemnościach trudno dostrzec, czy posiadłość jest dobrze utrzymana, ale przed odejściem rzucił kamień w zarośla w pobliżu frontowego wejścia, żeby się przekonać, czy zareagują czujniki ruchu. Nie włączyły się. Benton spróbował znowu i nie zapaliło się ani jedno światło. Nawet jeśli niektóre z nich nadal działają i uruchomi je tego ranka, nie będą

szczególnie widoczne, chociaż słońce przesłaniają szare chmury. Kiedyś zainstalowano tu skomplikowany system kamer, ale Benton nie jest na tyle głupi, żeby sprawdzać, czy się włączą i będą go śledzić.

Na podjeździe stoją dwa samochody: nowy biały mercedes 500 AMC i starszy model białego volvo. Mercedesa nie było tu zeszłej nocy. Benton nie wie, do kogo należy to auto, i nie ma czasu ani możliwości, żeby sprawdzać rejestrację z Luizjany. Volvo jest własnością Eveline Guidon, a przynajmniej było sześć lat temu. Wdzięczny losowi za ciemne ubranie, Benton zamiera w bezruchu jak jeleń za grubym, ociekającym wodą drzewem, kiedy otwierają się frontowe drzwi domu. Kuli się, kompletnie niewidoczny, około piętnastu metrów od frontowych schodów.

Prokurator federalny Weldon Winn jak zwykle mówi grzmiącym głosem i jest jeszcze bardziej otyły, niż wtedy kiedy Benton widział go po raz ostatni. Spodiewając się, że Winn wsiądzie do drogiego samochodu, Benton myśli gorączkowo. Obecność tamtego nie jest zgodna z planem, lecz z pewnością stanowi miłą niespodziankę. Sugeruje, że Jean-Baptiste Chandonne szuka lub będzie szukał schronienia w swojej rodzinnej warowni w Baton Rouge, siedlisku niewiarygodnej korupcji, które przez dziesiątki lat nie wzbudzało podejrzeń, ponieważ związani z tym miejscem ludzie są albo całkowicie lojalni, albo po prostu już nie żyją.

Benton, na przykład, nie żyje.

Patrzy, jak godny pogardy prokurator federalny w Luizjanie idzie ceglaną alejką do starego kamiennego budyneczku z neogotyckimi drzwiami. Mieści się tam piwnica na wino, dwustuletnia piwnica na wino, którą tworzy ponad pół kilometra krętych tuneli wykopanych przez niewolników. Winn otwiera drzwi, wchodzi i zamyka je za sobą. Benton rusza szybko, skulony, przemoczony do nitki, kryjąc się pod osłoną bukszpanów, wodząc wzrokiem od piwnicy z winem do domu. Następny

krok jest najbardziej ryzykowny. Idzie spokojnie, wyprostowany, zwrócony plecami do domu.

Gdyby ktoś zobaczył go przez okno, mógłby uznać, że mężczyzna w czerni jest przyjacielem Chandonne'ów. Dębowe drzwi są grube i Benton ledwo rozróżnia dochodzące zza nich głosy.

ROZDZIAŁ 120

Doktor Scarpetta nie może wyrzucić z myśli Alberta Darda.

Wyobraża sobie blizny na jego delikatnym ciele, doskonale zdając sobie sprawę, że samookaleczanie to nałóg i jeśli chłopiec nadal będzie to robił, najprawdopodobniej jeszcze nieraz trafi do szpitala psychiatrycznego, aż w końcu stanie się jednym z pacjentów wymagających przymusowego leczenia.

Albert Dard nie potrzebuje leczenia psychiatrycznego. Potrzebuje pomocy. Potrzebuje kogoś, kto przynajmniej spróbuje się dowiedzieć, dlaczego mniej więcej rok temu chłopiec zamknął się w sobie, zaczął tłumić swoje uczucia i pewnie też wspomnienia do tego stopnia, że teraz musi sprawiać sobie ból, aby doznać krótkotrwałej ulgi i potwierdzić własne istnienie. Kay przypomina sobie niemal całkowite wyobcowanie chłopca, kiedy bawił się swoimi kartami, budzącymi okrutne skojarzenia związane z wizerunkiem topora. Przypomina sobie rozpacz Alberta na myśl, że nikt po niego nie przyjdzie, i jego poczucie odrzucenia, które zapewne nie było niczym nowym.

Z każdą upływającą chwilą jest coraz bardziej wściekła na tych, co powinni się o niego zatroszczyć, i boi się o bezpieczeństwo dziecka.

Pijąc kawę w domku dla gości doktora Laniera, wertuje swój notatnik i znajduje numer telefonu, który zapisała, kiedy Albert czekał na ciotkę, choć ta nie zamierzała go odebrać, lecz zaaranżowała wszystko tak, aby chłopcem zaopiekowała się Kay. Nie ma już znaczenia, jaką intrygę uknuła pani Guidon. Prawdopodobnie chciała tylko zwabić znaną doktor Scarpettę do swojego domu, żeby się zorientować, co jej gość wie na temat śmierci

Charlotte Dard. Zapewne pani Guidon jest teraz zadowolona, że Kay nie wie na ten temat więcej, niż kiedykolwiek było ogólnie wiadomo.

Wybiera numer i jest zaskoczona, gdy Albert odbiera telefon.

– Jestem tą panią, która siedziała obok ciebie w samolocie – wyjaśnia chłopcu.

– Cześć! – witają, zdziwiony i bardzo zadowolony. – Jak to się stało, że do mnie telefonujesz? Moja ciocia powiedziała, że już nie zadzwonisz.

– Gdzie ona jest?

– Nie wiem. Wyszła.

– Pojechała samochodem?

– Nie.

– Myślałam o tobie, Albercie – mówi Kay. – Wciąż jestem w mieście, ale niedługo wyjeżdżam i zastanawiałam się, czy mogłabym cię odwiedzić.

– Teraz? – Wydaje się uszczęśliwiony. – Przyjdiesz zobaczyć się tylko ze mną?

– Mogę?

Chłopiec skwapliwie odpowiada, że tak.

ROZDZIAŁ 121

Benton cicho, ostrożnie otwiera drzwi piwnicy na wino i staje w wąskiej szczelinie, z odbezpieczonym pistoletem w dłoni.

Rozmowa urywa się i męski głos mówi:

– A jednak ich nie zamknąłeś.

Na schodach słyhać kroki, stopni jest chyba pięć, a potem czyjaś ręka, zapewne Weldona Winna, popycha drzwi, żeby je zamknąć. Benton odpycha je gwałtownie z powrotem, drzwi otwierają się na oścież, a Winn spada ze stopni na kamienną podłogę i leży zszokowany, jęcząc z bólu. Osoba, z którą rozmawiał – zapewne Jean-Baptiste – miała kilka sekund, nie więcej, żeby dobiec do innych schodów. Benton słyszy, jak tamten ktoś oddala się szybko, chociaż nie może uciec. Piwnica ma tylko jedno wyjście.

– Wstań – mówi Benton do Winna. – Powoli.

– Jestem ranny. – Prokurator patrzy na Bentona, który stoi na górnym stopniu, zasłaniając sobą drzwi. Trzyma w dłoniach pistolet wymierzony w pierś Winna.

– Gównu mnie to obchodzi, że jesteś ranny. Wstawaj.

Benton zdejmuje baseballową czapkę i rzuca ją w kierunku leżącego. Oczywiście tamten nie rozpoznaje go od razu, nagle jednak jego twarz okrywa się bladością, a usta się rozchylają. Osłupiały Winn leży skręcony na podłodze, zaplątany we własny płaszcz, wytrzeszczając przerażone oczy na przybyłego.

– To nie możesz być ty – mówi niepewnie. – To niemożliwe!

Benton przez cały czas nasłuchuje kroków człowieka, który uciekł. Nic nie słyszy.

W niewielkim, pozbawionym okien pomieszczeniu pali się tylko jedna pokryta pajęczyną naga żarówka. Stoi tu mały, bardzo stary cyprysowy stół, poznaczony ciemnymi kółkami pozostawionymi przez niezliczone butelki wina, którego na nim próbowano. Od kamiennych ścian ciągnie wilgocia, a do tej po lewej przytwierdzone są cztery żelazne pierścienie, też bardzo stare, choć oczyszczone z rdzy. Na podłodze leży zwój żółtej nylonowej linki, a obok znajduje się gniazdko elektryczne.

– Wstawaj – powtarza Benton. – Kto jeszcze tu jest? Z kim rozmawiałeś?

Potłuczony prokurator Winn porusza się z zaskakującą zwinnością, toczy się po podłodze i wyciąga spod płaszcza broń.

Benton strzela do niego dwa razy, raz w pierś i raz w głowę, zanim palec Weldona dosięga spustu. Kamienne ściany tłumią huk wystrzałów.

ROZDZIAŁ 122

Ciężar ciała Marina wystarcza, by zmniejszyć prędkość śmigłowca o pięć węzłów.

Lucy to nie martwi. Przy tej pogodzie nie zdołałaby lecieć z maksymalną prędkością. Nie ma sensu się spieszyć, bo można wpaść na antenę, a anteny są tu wszędzie. Wyrastają ze skłębionej mgły, która sprawia, że ażurowe przeszkody i ich stroboskopy stają się z daleka prawie niewidoczne. Lucy leci na stu pięćdziesięciu metrach, warunki są gorsze, niż kiedy startowali z Baton Rouge dwadzieścia minut temu.

– Nie podoba mi się to – rozbrzmiewa w słuchawkach Lucy nerwowy głos detektywa.

– Nie ty prowadzisz. Uspokój się. Ciesz się lotem. Czy mogę coś panu podać, kapitanie?

– Co powiesz na pieprzony spadochron?

Lucy uśmiecha się, ona i Rudy nie przestają się rozglądać.

– Masz coś przeciwko temu, żebym oddała ci stery na minutę? – mówi do Rudy'ego na użytek detektywa.

– Bez wygłupów! – wrzeszczy Marino.

– Och. – Lucy zmniejsza głośność w słuchawkach, a Rudy przejmuje stery. – Statek twój. – Powtarza standardową formułę, aby drugi pilot wiedział na pewno, że teraz jego kolej.

Przekręca mały bolec w swoim zegarku i zmienia tarczę na tryb chronografu.

Nicole nigdy nie leciała śmigłowcem i upomina detektywa, żeby nie pogarszał sprawy.

– Jeśli z nimi nie jesteśmy bezpieczni – mówi – to już z nikim nie jesteśmy. Poza tym łatwiej wpaść pod samochód niż rozbić się w taką pogodę.

– Gówno prawda. Tu nie ma żadnych samochodów. I byłbym wdzięczny, gdybyś nie wymawiała słów „rozbić się”.

– Uwaga – mówi Lucy i już się nie uśmiecha, tylko spogląda na GPS.

Wczoraj, kiedy ona i Marino przelatywali nad północnozachodnim skrajem jeziora, wprowadziła koordynaty do urządzenia.

– Jesteśmy dokładnie na kursie. – Przejmuje stery od Rudy’ego.

Schodzi na dziewięćdziesiąt metrów i zmniejsza prędkość do osiemdziesięciu węzłów, a wtedy dostrzega wśród płatów mgły jezioro Maurepas. Tafla wody jest niemal pod nimi. Dzięki Bogu. Nad jeziorem i jego dopływami nie ma anten. Lucy zwalnia jeszcze bardziej, a Rudy pochyla się do przodu, próbując wypatrzeć linię brzegową.

– Nic? – pyta Lucy. – Słyszysz mnie?

– Tak.

– Rozpoznajesz tu coś?

Zwalnia do sześćdziesięciu węzłów. Gdyby zmniejszyła prędkość jeszcze bardziej, zrobiłaby zawis, a przy tak kiepskiej widoczności woli nie ryzykować.

– Możesz zawrócić kawałek, tak żebyśmy znaleźli rzekę? – pyta Nic. – Dutch Bayou leży tuż przy jej ujściu na skraju jeziora.

– W którym kierunku? – Lucy powoli obraca śmigłowiec, nie mając wielkiej ochoty zawracać nad lądem na takim pułapie, zadowolona, że wczoraj zapamiętała położenie wszystkich przeszkód.

Nicole milknie na chwilę, potem znów rozlega się jej głos.

– Jeśli polecisz wzdłuż rzeki w stronę jeziora, Dutch Bayou będzie na godzinie trzeciej. Po twojej prawej stronie – mówi.

Lucy wykonuje zwrot i wraca na kurs. Znowu lecą nad wodą.

– Jest – mówi Nicole. – To rzeka. Widzisz, skręca w lewo. Widzielibyśmy lepiej, gdybyśmy lecieli wyżej.

– Zapomnij o tym – odzywa się Rudy.

– Wydaje mi się... tak! – Nicole jest podekscytowana. – To tam, ten wąski przesmyk. Po twojej prawej. Dutch Bayou. Chata rybacka mojego ojca znajduje się niecały kilometr dalej, na lewo.

Wszyscy nagle robią się nerwowi. Rudy wyciąga pistolet z kabury pod pachą. Lucy bierze głęboki oddech, bardziej spięta niż daje to po sobie poznać, i schodzi na trzydzieści metrów, dokładnie nad wąską zatoką okoloną cyprysami, które mającą złowieszczo we mgle.

– Na tym pułapie mogli już nas usłyszeć – mówi spokojnie. Koncentruje się, próbując spokojnie reagować na tę bardzo niebezpieczną sytuację.

Nagle ich oczom ukazuje się na wpół zrujnowana chata. Przycumowana do przekrzywionego pomostu łódź wydaje się całkowicie nie na miejscu w tym otoczeniu.

Lucy zatacza krąg nad chatą.

– Jesteś pewna? Jesteś pewna? – Adrenalina sprawia, że podnosi głos.

– Tak! Poznają dach! Tata pokrył go niebieską blachą. Widzę coś niebieskiego! Ten sam ganek i siatkowe drzwi!

Lucy schodzi na piętnaście metrów, robi zawis i obraca śmigłowiec w lewo, tak że okno po stronie Rudy'ego znajduje się równoległe do łodzi.

– Strzelaj! – krzyczy do niego.

Rudy opuszcza szybę i wystrzeliwuje szybko siedemnaście pocisków w dno łodzi. W tym czasie otwierają się drzwi chaty i wybiega Bev Kiffin ze strzelbą. Lucy zwiększa obroty wirnika, żeby nabrać prędkości.

– Kryć się! Ale pozostać na miejscach!

Rudy zdążył już włożyć nowy magazynek do pistoletu. Wprawdzie tylne siedzenia znajdują się bezpośrednio nad zbiornikiem paliwa, ale Lucy się tym nie martwi. Mieszanka A nie jest tak łatwopalna jak benzyna, a śrut może co najwyżej spowodować wyciek paliwa. Nie przebije natomiast podłogi śmigłowca.

Rudy przygotowuje pływaki.

Strzelba jest wyposażona w wyrzutnik łusek. Bev wystrzeliwuje siedem naboí, jeden po drugim. Śrut rozbija szyby, uderza o poszycie kadłuba, trafia w łopatę głównego wirnika i osłonę silnika. Jeśli komora spalania zostanie przebita, wybuchnie pożar, toteż Lucy natychmiast zamyka przepustnicę i zmniejsza dopływ paliwa. Alarmy włączają się w rozpaczliwych ostrzeżeniach, a Lucy naciska prawy pedał i ustawia się pod wiatr, chociaż nie widzi żadnego miejsca do lądowania poza polem wysokiej trawy. Azot eksploduje, co brzmi jak kolejny wystrzał, pływaki na płozach momentalnie nadmuchują się jak gumowe pontony. Śmigłowiec zarzuca, a Lucy stara się go opanować, uświadamiając sobie, że co najmniej jeden z sześciu pływaków został przebity śrutem.

Lądują wystarczająco twardo, by uruchomił się awaryjny nadajnik kierunkowy, śmigłowiec kołysze się wśród gęstej trawy w ciemnej, błotnistej wodzie, mocno przechylony w prawo. Lucy otwiera drzwi i patrzy w dół. Dwa z trzech pływaków zostały przebite i nie ma w nich powietrza. Rudy wyłącza akumulator oraz prądnice i wszyscy siedzą przez chwilę, nasłuchując, oszołomieni nagłą ciszą, a śmigłowiec przechyla się coraz bardziej na prawo, zapadając się w błoto. Widzą, jak niecałe sto metrów dalej łódź nabiera wody i tonie od rufy.

– Przynajmniej nigdzie nie odpłynie – zauważa Rudy, gdy on i Lucy zdejmują słuchawki.

Lucy przekręca większą śrubkę w swoim zegarku i wysuwa antenę, uruchamiając nadajnik osobisty.

– Chodźcie – mówi. – Nie możemy tu siedzieć.

– Ja mogę – odpowiada Marino.

– Nic? – Lucy odwraca się. – Wiesz, jak głęboka jest tu woda?

– Niezbyt głęboka, bo inaczej nie byłoby całej tej trawy. Bardziej martwiłabym się o błoto. Możemy się zapaść po kolana.

– Nigdzie nie idę – oświadcza detektyw. – Po co? Łódź zatонуła, więc nie uciekną. A ja nie chcę być ukąszony przez węża albo pożarty przez pieprzonego aligatora.

– Możemy iść – ciągnie Nicole, jakby detektyw nie siedział razem z nią z tyłu. – Trawa ciągnie się aż do chaty, a ja wiem, że woda nie jest głęboka, ponieważ wkładaliśmy wysokie buty i zbieraliśmy małże.

– Ja idę. – Lucy otwiera drzwi.

W chacie głośno szczekają psy.

Nadmuchany pływak na płozie uniemożliwia łagodne zejście. Lucy zawiązuje mocniej sznurowadła i podaje Rudy'emu swojego glocka i zapasowe magazynki.

Przykuca w drzwiach jak nurek i mówi:

– No to jazda!

Łąduje w wodzie i jest przyjemnie zaskoczona, że błoto sięga jej tylko do kostek. Jeśli będzie iść szybko, nie zapadnie się głębiej. Podchodzi do śmigłowca, wyciąga rękę po broń i wkłada ją za pasek spodni. Dodatkowe magazynki chowa na razie do kieszeni.

Wszyscy po kolei trzymają broń i amunicję, kiedy Rudy, a potem Nicole wyskakują po tej samej stronie śmigłowca co Lucy. Nadąsany Marino nie rusza się z miejsca.

– Zamierzasz tu siedzieć, aż śmigłowiec przewróci się na bok? – Rudy podnosi głos. – Idiota! Wyłaź!

Detektyw przeciska się pomiędzy siedzeniami i podaje Rudy'emu broń. Skacze, traci równowagę i przewraca się, uderzając głową o pływak. Kiedy udaje mu się wstać, jest utyłany błotem i klnie.

– Cicho – mówi Lucy. – Głos niesie się po wodzie. Nic ci nie jest?

Marino wyciera ręce w koszulę Rudy'ego i odbiera od niego broń, a tymczasem oba nadajniki kierunkowe błyskają na ekranach radarów w wieżach kontrolnych i są przechwytywane przez pilotów, którzy przypadkiem śledzą częstotliwość awaryjną.

Ruszają powoli przed siebie, wypatrując węży i słysząc, jak szeleszczą w wysokiej trawie. Kiedy zatrzymują się trzydzieści metrów od chaty, z wycelowaną bronią, siatkowe drzwi się otwierają i na pomost wypada Bev ze strzelbą, krzycząc, wrzeszcząc na nich, oszalała z gniewu.

Zanim udaje się jej choćby wycelować, Rudy strzela.

Bach-bach! Bach-bach! Bach-bach!

Bev pada na stare, zbutwiałe deski i stacza się do wody obok na wpół zatopionej łodzi.

ROZDZIAŁ 123

Albert Dard otwiera okazałe drzwi, przód jego koszuli z długimi rękawami jest zaplamiony krwią.

– Co się stało? – woła doktor Scarpetta, wchodząc do środka.

Przyklęka i delikatnie unosi mu koszulę. Brzuch chłopca znaczą płytkie nacięcia. Kay wzdycha ciężko, opuszcza koszulę i wstaje.

– Kiedy to sobie zrobiłeś? – Bierze go za rękę.

– Kiedy ona wyszła i nie wróciła. Potem on też wyszedł. Tamten pan z samolotu. Nie lubię go!

– Twoja ciocia nie wróciła?

Wchodząc do domu, Scarpetta zauważyła, że przed frontem stoi zaparkowany biały mercedes i stare volvo pani Guidon.

– Gdzie moglibyśmy coś zrobić z tymi skaleczeniami?

Albert potrząsa głową.

– Nie chcę nic robić.

– No cóż, ale ja chcę. Jestem lekarzem. Chodź.

– Naprawdę? – Wydaje się zdziwiony, jakby nigdy nie przypuszczał, że kobiety mogą być lekarzami.

Prowadzi ją po schodach do łazienki, która, podobnie jak kuchnia, nie była odnawiana od lat. Jest tu staromodna biała wanna, biała umywalka i szafka na lekarstwa, gdzie Kay znajduje jodynę, ale nie widzi bandaży.

– Zdejmujemy ci koszulę. – Pomaga mu ją ściągnąć przez głowę. – Potrafisz być dzielny? Wiem, że potrafisz. Kiedy się kaleczysz, to boli, prawda?

Jest przerażona ilością blizn pokrywających jego plecy i ramiona.

– Nic nie czuję, kiedy to robię – mówi chłopiec, patrząc z niepokojem, jak Kay otwiera butelkę jodyny.

– Obawiam się, że to poczujesz, Albercie. Trochę popiecze. – Kłamię jak wszyscy lekarze przed przystąpieniem do bolesnego zabiegu.

Dezynfekuje szybko skaleczenia, a chłopiec zagryza wargi, macha rękami, żeby ochłodzić piekące miejsca, i stara się nie rozpłakać.

– Jesteś dzielny – chwali go Kay. Opuszcza deskę klozetową i siada. – Powiesz mi, dlaczego zacząłeś się kaleczyć? Ktoś wspomniał, że to się zaczęło kilka lat temu.

Chłopiec zwiesza głowę.

– Możesz mi powiedzieć. – Ujmuje obie jego dłonie. – Jesteśmy przyjaciółmi, prawda?

Albert powoli kiwa głową.

– Przyjechali ci ludzie – szepcze. – Słyszałem samochody. Moja ciocia wyszła, więc ja też wyszedłem, tylko się schowałem. A oni wyciągnęli z samochodu tę panią i ona próbowała krzyczeć, więc ją związali. – Pokazuje na usta, co ma oznaczać knebel. – Potem wepchnęli ją do piwnicy.

– Do piwnicy z winem?

Tak.

Scarpetta przypomina sobie nalegania pani Guidon, by obejrzała piwnicę z winem. Ciarki przechodzą jej po krzyżu. Jest tutaj. Nie wie, kto jeszcze tu się znajduje poza Albertem, ale w każdej chwili ktoś może przyjechać.

– Jeden z tych ludzi, co przyjechali ze związaną panią, był potworem. – Głos Alberta wznosi się niemal do pisku, oczy rozszerzają mu się z przerażenia. – Jak w telewizji, w strasznych filmach, z ostrymi zębami i długimi włosami. Tak się bałem, że mnie zobaczy w krzakach!

Jean-Baptiste Chandonne!

– A potem jeszcze Nestle nie wróciła do domu! – Zaczyna płakać.

Doktor Scarpetta słyszy, jak drzwi frontowe otwierają się i zamykają, a na dole rozlegają się kroki.

– Czy jest tu telefon? – szepcze do Alberta.

Mały trzęsie się i ociera łzy.

Kay powtarza pytanie nagłym tonem.

Chłopiec patrzy na nią, sparaliżowany ze strachu.

– Zamknij się w swoim pokoju!

Albert dotyka ran na brzuchu i zaczyna je drapać, wywołując krwawienie.

– Idź! Nie rób hałasu.

Zszokowany, idzie szybko korytarzem i skręca do pokoju.

Kay czeka kilka minut, nasłuchując kroków, dopóki nie ustają. Brzmią jak kroki mężczyzny, dosyć ciężko, lecz nie jest to ostry dźwięk twardej skóry uderzającej o drewno. Mężczyzna znowu zaczyna iść, a jej wali serce, ponieważ wygląda na to, że tamten zmierza w stronę schodów. Słyszy go na pierwszym stopniu i wychodzi z łazienki, nie chcąc, aby przestępca – a jest pewna, że to Jean-Baptiste Chandonne – znalazł Alberta.

U szczytu schodów zamiera jednak, chwytając się kurczowo poręczy. Patrzy w dół, na przybyłego i nagle krew odpływa jej z twarzy. Zamyka oczy, potem znowu je otwiera, myśląc, że on zniknie. Powoli zaczyna schodzić, po jednym stopniu, trzymając się poręczy. W połowie drogi siada i wciąż na niego patrzy.

Benton Wesley nie rusza się i też na nią patrzy. Jego oczy błyszczą od łez, więc mruga, żeby je powstrzymać.

– Kim jesteś? – Jej głos brzmi, jak gdyby dochodził z odległości wielu kilometrów. – Nie możesz być nim.

– Mogę.

Doktor Scarpetta zaczyna płakać.

– Proszę, zejść na dół. A może wolisz, żebym wszedł i cię sprowadził?

Nie chce jej dotykać, dopóki nie będzie na to gotowa. Dopóki on też nie będzie gotowy.

Kay wstaje i powoli schodzi po schodach. Kiedy staje obok niego, cofa się, daleko.

– A więc bierzesz w tym udział, ty sukinsynu. Ty cholerny sukinsynu! – Głos jej drży tak gwałtownie, że ledwo może mówić. – Teraz chyba powinienes mnie zastrzelić, ponieważ wiem. Wiem, co robiłeś przez cały ten czas, kiedy myślałam, że nie żyjesz. – Patrzy na schody, jakby ktoś tam stał. – Jesteś jednym z nich!

– Nic podobnego.

Sięga do kieszeni marynarki i wyjmuje złożony kawałek białego papieru. Rozkłada go. Jest to koperta Narodowej Akademii Sprawiedliwości, taka sama jak fotokopia, którą pokazał jej Marino – fotokopia zawierająca listy Chandonne’a do nich obojga.

Benton rzuca kopertę na podłogę, tak aby Kay mogła ją zobaczyć.

– Nie – mówi Scarpetta.

– Proszę, porozmawiajmy.

– Powiedziałeś Lucy, gdzie jest Rocco. Wiedziałeś, co ona zrobi!

– Jesteś bezpieczna.

– I manipulowałeś mną, żebym się z nim zobaczyła. Nigdy do niego nie pisałam. To ty napisałeś ten list, podszywając się pode mnie, dając do zrozumienia, że chcę się z nim spotkać i zawrzeć układ.

– Tak.

– Dlaczego? Dlaczego mi to zrobiłeś? Kazałeś mi patrzeć na tego człowieka, tę straszliwą namiastkę ludzkiej istoty.

– Właśnie nazwałeś go człowiekiem. To prawda. Jean-Baptiste Chandonne jest człowiekiem, nie potworem, nie demonem. Chciałem,

żebyś stanęła z nim twarzą w twarz, zanim umrze. Chciałem, żebyś odzyskała dawną siłę.

– Nie miałeś prawa kierować moim życiem, manipulować mną w ten sposób!

– Żałujesz, że tam pojechałaś?

Przez chwilę Kay nie może wykrztusić słowa. Potem mówi:

– Pomyliłeś się. On nie umarł.

– Nie przewidziałem, że kiedy cię zobaczy, będzie miał powód, żeby pozostać przy życiu. Powinienem był wiedzieć. Psychopaci, tacy jak on, nie chcą umierać. Ale ponieważ przyznał się do winy w Teksasie, gdzie wykonuje się karę śmierci, pomyślałem, że naprawdę chce...

– Pomyliłeś się – oskarża go znowu. – Miałeś za dużo czasu, żeby bawić się w Boga. I nie wiem, w co się zmieniłeś, w jakiegoś, jakiegoś...

– Pomyliłem się, tak. Przeliczyłem się, tak. Stałem się maszyną, Kay.

Wypowiedział jej imię. A to wstrząsa nią do głębi.

– Teraz już nikt cię nie skrzywdzi – oznajmia Benton.

– Teraz?

– Rocco nie żyje. Weldon Winn nie żyje. Jay Talley nie żyje.

– Jay?

Benton się wzdryga.

– Przykro mi, jeśli wciąż coś dla ciebie znaczy.

– Jay? – Ogarnia ją zamęt. Czuje zawroty głowy, jakby miała zemdleć. – On miałby coś dla mnie znaczyć? Jakim cudem? Wiesz wszystko?

– Więcej niż wszystko – odpowiada Benton.

ROZDZIAŁ 124

W kuchni siadają przy tym samym stole z kloca rzeźnickiego, gdzie Kay rozmawiała z panią Guidon tamtego wieczoru, który ledwo pamięta.

– Zabrnąłem w to głęboko – mówi Benton.

Siedzą naprzeciwko siebie.

– Byłem tutaj, w tej ich melinie, gdzie mnóstwo ważnych graczy przyjeżdżało robić swoje brudne interesy w porcie i nad Missisipi. Rocco. Weldon Winn. Talley. Nawet Jean-Baptiste.

– Spotkałeś go?

– Wiele razy. Tutaj, w tym domu. Uważał, że jestem zabawny i znacznie miłszy dla niego niż inni. Madame Guidon była panią domu, można powiedzieć. Okazała się nie lepsza od reszty.

– Była?

Benton waha się chwilę.

– Zobaczyłem, jak Winn wchodzi do piwnicy na wino. Nie wiedziałem, że w środku jest ktoś jeszcze, chociaż myślałem, że może się w niej ukrywać Jean-Baptiste. Byli tam oboje, ona i Talley. Nie miałem wyboru.

– Zabiłeś ich.

– Nie miałem wyboru.

Doktor Scarpetta kiwa głową.

– Sześć lat temu pracował ze mną inny agent, Minor. Riley Minor. Chyba pochodził gdzieś stąd. Zrobił coś głupiego, nie wiem dokładnie co. Dorwali go. – Benton wskazuje głową w stronę piwnicy z winem. – Izba tortur, tam zmuszali wszystkich do mówienia. W ścianach są stare żelazne pierścienie z czasów niewolnictwa, a Talley lubił palniki i inne środki do

wyciągania informacji. Robił to szybko. Kiedy zobaczyłem, jak wloką do piwnicy Minora, wiedziałem, że operacja jest spalona, i musiałem się wynosić.

– Nie próbowałeś mu pomóc?

– To było niemożliwe.

Kay milczy.

– Gdybym nie umarł, umarłbym naprawdę, Kay. Gdybym nie umarł, już nigdy nie zobaczyłbym ciebie, Lucy, Marina. Nigdy. Ponieważ was też by zabili.

– Jesteś tchórzem – mówi doktor Scarpetta wypranym z emocji głosem.

– Rozumiem, że nienawidzisz mnie za to, co przeze mnie wycierpiałas.

– Mogłeś mi powiedzieć! Żebym nie cierpiała!

Benton patrzy na nią przez dłuższą chwilę, przypomina sobie jej twarz. Nie zmieniła się wiele. Nic w niej się nie zmieniło.

– Co byś zrobiła, Kay, gdybym ci powiedział, że muszę zaaranżować własną śmierć i już nigdy się nie zobaczymy? – pyta.

Nie ma na to odpowiedzi, chociaż myślała, że ma. Prawda jest taka, że nie pozwoliłaby mu zniknąć i on o tym wie.

– Zaryzykowałabym. – Ból znowu ściska ją za gardło. – Dla ciebie na pewno.

– A zatem rozumiesz. I jeśli to dla ciebie jakaś pociecha, ja też cierpiałem. Nie było dnia, żebym nie myślał o tobie.

Kay zamyka oczy i próbuje zapanować nad oddechem.

– Aż w końcu nie mogłem już tego znieść. Byłem taki nieszczęśliwy, taki cholernie wściekły, i zacząłem kalkulować. Jak w szachach...

– Gra?

– Nie gra. Traktowałem to bardzo poważnie. Jak wyeliminować główne zagrożenia, jedno po drugim, wiedząc, że jeśli się ujawnię, nie będę mógł

wrócić, bo jeśli mi się nie uda, zostanę rozpoznany. Albo po prostu zabity.

– Nigdy nie wierzyłam w samotnych krzyżowców.

– Przypuszczam, że powinnaś o tym porozmawiać ze swoim przyjacielem senatorem Lordem. Chandonne'owie finansują terroryzm.

Kay wstaje.

– Za dużo, za dużo jak na jeden dzień. Zdecydowanie. – Patrzy do góry na schody, przypominając sobie nagle o Albercie. – Ten nieszczęsny chłopiec naprawdę jest synem Charlotte Dard?

– Tak.

– Proszę, nie mów mi tylko, że jesteś jego ojcem.

– Jay Talley nim jest. Był. Albert o tym nie wie. Zawsze opowiadano mu tajemniczą historię o bardzo ważnym, ale ciągle zajęтым ojcu, którego nigdy nie widział. Dziecięce fantazje. Nadal wierzy, że ten wszechpotężny ojciec istnieje. Talley miał krótki romans z Charlotte. Pewnego wieczoru, kiedy tam byłem, odbywało się przyjęcie i Charlotte zaprosiła znajomą właścicielkę sklepu z antykami...

– Wiem – przerywa mu Kay. – Przynajmniej ta sprawa zostanie wyjaśniona.

– Talley zobaczył ją, rozmawiał z nią, poszedł do jej domu. Opierała mu się, a on tego nie tolerował. Zamordował ją, a ponieważ Charlotte widziała ich razem i ponieważ miał już jej dosyć, był znudzony tym romanssem, postarał się, żeby ona też umarła. Spotkali się w motelu i wtedy dał jej te tabletki.

– Biedny chłopiec.

– Nie myśl o nim teraz – mówi Benton.

– Gdzie jest Lucy i Marino? Gdzie Rudy i Nicole? – Kay nagle przypomina sobie o tamtej czwórce.

– Pół godziny temu zabrał ich śmigłowiec straży przybrzeżnej. Znaleźli kryjówkę Bev Kiffm i Jaya Talleya.

– Skąd o tym wiesz?

Benton wstaje od stołu.

– Mam swoje źródła.

Znów przychodzi jej na myśl senator Lord. Straż przybrzeżna jest teraz częścią systemu bezpieczeństwa wewnętrznego. Tak, senator Lord by wiedział.

Benton podchodzi bliżej i patrzy jej w oczy.

– Jeśli znienawidzisz mnie na zawsze, zrozumiem. Jeśli nie zechcesz już ze mną być, nie będę cię winił... no cóż, może nie powinnaś. Jean-Baptiste wciąż gdzieś tam się czai. Przyjdzie po mnie, prędzej czy później.

Kay nic nie mówi, czekając, aż halucynacja przeminie.

– Czy mogę cię dotknąć?

– To nieważne, kto jeszcze się gdzieś tam czai. Zbyt wiele przeszłam.

– Czy mogę cię dotknąć, Kay?

Doktor Scarpetta unosi jego dłonie i przyciska sobie do twarzy.

Spis treści

Karta tytułowa

Dedykacja

Motto

ROZDZIAŁ 1

ROZDZIAŁ 2

ROZDZIAŁ 3

ROZDZIAŁ 4

ROZDZIAŁ 5

ROZDZIAŁ 6

ROZDZIAŁ 7

ROZDZIAŁ 8

ROZDZIAŁ 9

ROZDZIAŁ 10

ROZDZIAŁ 11

ROZDZIAŁ 12

ROZDZIAŁ 13

ROZDZIAŁ 14

ROZDZIAŁ 15

ROZDZIAŁ 16

ROZDZIAŁ 17

ROZDZIAŁ 18

ROZDZIAŁ 19

ROZDZIAŁ 20

ROZDZIAŁ 21

ROZDZIAŁ 22

ROZDZIAŁ 23

ROZDZIAŁ 24

ROZDZIAŁ 25

ROZDZIAŁ 26

ROZDZIAŁ 27

ROZDZIAŁ 28

ROZDZIAŁ 29

ROZDZIAŁ 30

ROZDZIAŁ 31

ROZDZIAŁ 32

ROZDZIAŁ 33

ROZDZIAŁ 34

ROZDZIAŁ 35

ROZDZIAŁ 36

ROZDZIAŁ 37

ROZDZIAŁ 38

ROZDZIAŁ 39

ROZDZIAŁ 40

ROZDZIAŁ 41

ROZDZIAŁ 42

ROZDZIAŁ 43

ROZDZIAŁ 44

ROZDZIAŁ 45

ROZDZIAŁ 46

ROZDZIAŁ 47

ROZDZIAŁ 48

ROZDZIAŁ 49

ROZDZIAŁ 50

ROZDZIAŁ 51

ROZDZIAŁ 52

ROZDZIAŁ 53

ROZDZIAŁ 54

ROZDZIAŁ 55

ROZDZIAŁ 56

ROZDZIAŁ 57

ROZDZIAŁ 58

ROZDZIAŁ 59

ROZDZIAŁ 60

ROZDZIAŁ 61

ROZDZIAŁ 62

ROZDZIAŁ 63

ROZDZIAŁ 64

ROZDZIAŁ 65

ROZDZIAŁ 66

ROZDZIAŁ 67

ROZDZIAŁ 68

ROZDZIAŁ 69

ROZDZIAŁ 70

ROZDZIAŁ 71

ROZDZIAŁ 72

ROZDZIAŁ 73

ROZDZIAŁ 74

ROZDZIAŁ 75

ROZDZIAŁ 76

ROZDZIAŁ 77

ROZDZIAŁ 78

ROZDZIAŁ 79

ROZDZIAŁ 80

ROZDZIAŁ 81

ROZDZIAŁ 82

ROZDZIAŁ 83

ROZDZIAŁ 84

ROZDZIAŁ 85

ROZDZIAŁ 86

ROZDZIAŁ 87

ROZDZIAŁ 88

ROZDZIAŁ 89

ROZDZIAŁ 90

ROZDZIAŁ 91

ROZDZIAŁ 92

ROZDZIAŁ 93

ROZDZIAŁ 94

ROZDZIAŁ 95

ROZDZIAŁ 96

ROZDZIAŁ 97

ROZDZIAŁ 98
ROZDZIAŁ 99
ROZDZIAŁ 100
ROZDZIAŁ 101
ROZDZIAŁ 102
ROZDZIAŁ 103
ROZDZIAŁ 104
ROZDZIAŁ 105
ROZDZIAŁ 106
ROZDZIAŁ 107
ROZDZIAŁ 108
ROZDZIAŁ 109
ROZDZIAŁ 110
ROZDZIAŁ 111
ROZDZIAŁ 112
ROZDZIAŁ 113
ROZDZIAŁ 114
ROZDZIAŁ 115
ROZDZIAŁ 116
ROZDZIAŁ 117
ROZDZIAŁ 118
ROZDZIAŁ 119
ROZDZIAŁ 120
ROZDZIAŁ 121
ROZDZIAŁ 122
ROZDZIAŁ 123

ROZDZIAŁ 124